

SERIA TAJEMNICZYCH ZGONÓW W ODLEGŁEJ LAPONII...

CIEŚNINA WILKA

„Książka wprowadza czytelnika
w nowe, nieznane światy”.

— NEW YORK TIMES



OLIVIER TRUC



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

OLIVIER TRUC CIEŚNINA WILKA

Z języka francuskiego przełożył
Marek Chojnacki



Tytuł oryginału:

Le détroit du Loup

Copyright © Olivier Truc, 2014.

Published by agreement with Hedlund Agency

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Krystyna Borowiecka-Strug

Korekta: Iwona Wyrwisz, Edyta Antoniak-Kiedos, Anna Just

ISBN: 978-83-8110-069-4

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

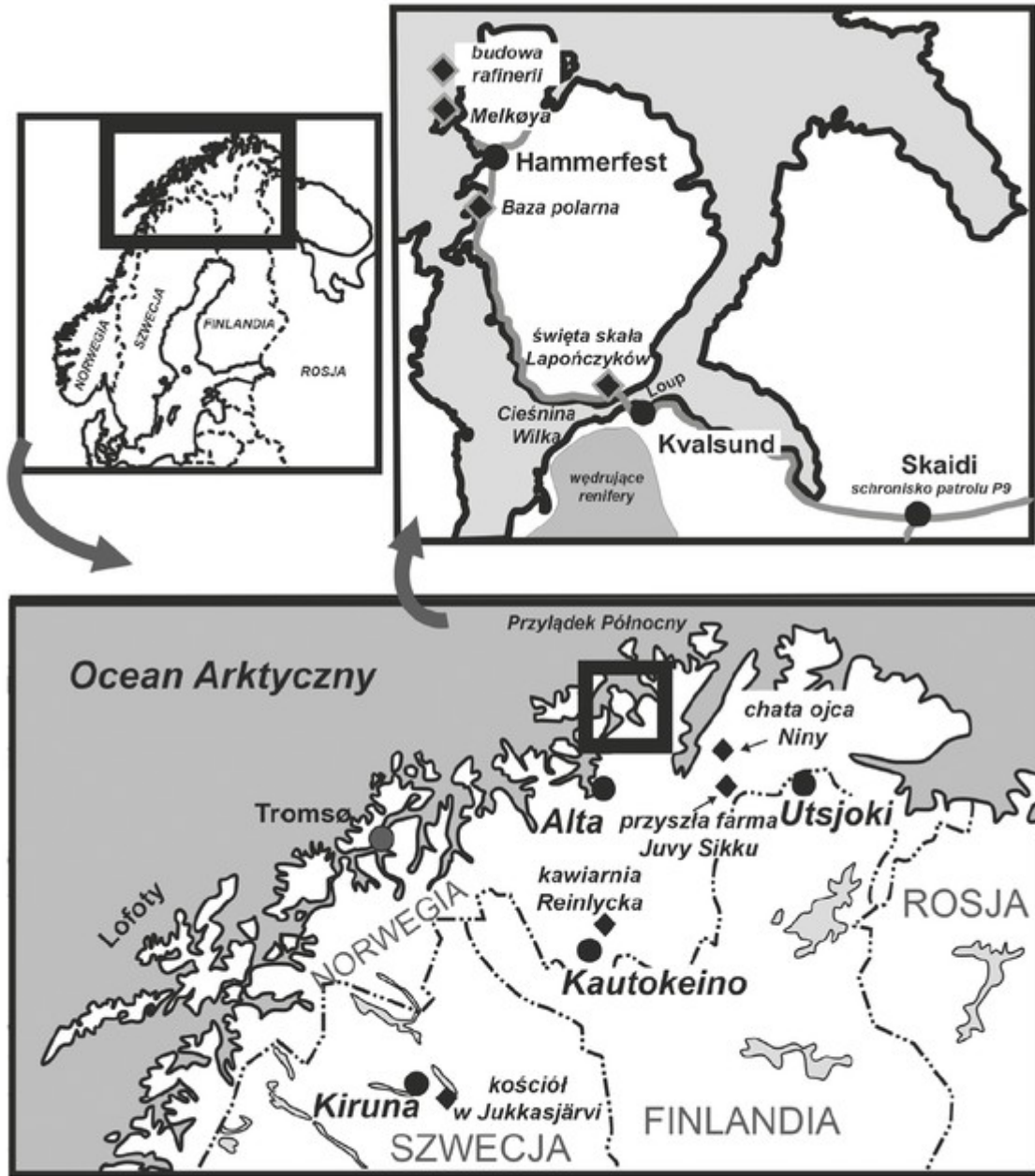
E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

Virtualo Sp. z o.o.

konwersja.virtualo.pl

Dla Malou



Laponia

„Jeszcze jedna bezsenna noc, czemu jeszcze piszę, jakby inne noce miały być lepsze. Duszę się. Poduszka zasłania mi twarz. Okropność. Koszmar. Znow tonę. Mam ochotę z tym skończyć. Jak poprzednich nocy. I znow ocalenie; wypęlam na skały. Jestem nieprzytomny, ale oddycham. W tych warunkach może przeżyć tylko ktoś tak porąbany jak ja. Wdycham łapczywie powietrze, upajam się nim, kręci mi się w głowie. Już lepiej. A wy tam, wynocha! Możecie mi naskoczyć. Spieprzajcie, to moje noce, jasne? Mogę wysadzić się w powietrze, nie dostaniecie mnie! W powietrze, wreszcie powietrze. Nie, nie, obiecałem. Nie wysadzę się w powietrze. Obiecałem. Słowo. Pieszczota. Ona, gdzie ona jest? Gdzie jesteście? Tak mi źle, tak się boję. Czemu obiecałem?”

Rozdział 1

Czwartek, 22 kwietnia

Wschód słońca: 3.31. Zachód słońca: 21.15

Długość dnia: 17 godzin i 44 minuty

Cieśnina Wilka, Laponia norweska, 10.45

Ludzie ukrywali się skutecznie od ponad godziny.

Niektórzy chowali się tu jeszcze dłużej. Czekali, przyczajeni na dwóch brzegach, odległych od siebie o pięćset metrów. Ci, którzy schronili się na wyspie Kvaløya – na Wyspie Wieloryba – siedzieli tam już od wczorajszego wieczoru.

Tam daleko, wysoko, od dawna słońce górowało nad krajobrazem.

Trudno nawet przysnąć. Trudno się poruszyć, by cię nie dostrzegli.

Teraz, w połowie kwietnia, światło narzucało swoją obecność nawet w środku nocy.

Ale nikt nie mówił jeszcze o nocy. Czuwali, oczekując cierpliwie na znak.

Brązowy kształt rozciągnięty na łodzi trwał w bezruchu.

Nie poruszały ich chmary kłębiących się wokół nich owadów. Skórę mieli garbowaną, jak przystało na wędrowców przemierzających tundrę, nieomal nie mrugali oczami, by nie uronić żadnego ruchu. Niektórzy palili dla zabicia czasu, upewniwszy się, czy są dostatecznie daleko, i sprawdziwszy kierunek wiatru, by nie zdradził ich zapach dymu. Inni popijali kawę z termosów. Żuli kawałki suszonego mięsa reniferów, czytali wiadomości z komórek, oglądali filmiki na YouTube, ze słuchawką w jednym uchu, jednocześnie nasłuchując drugim.

Leżąc na łodzi, Erik Steggo obserwował niebo. Temu młodemu mężczyźnie zaczynało być ciepło, co znaczyło, że wkrótce temperatura będzie doskwierać. Były wprawdzie zaledwie trzy albo cztery stopnie, ale liczne warstwy ubrania trzymały ciepło.

Brzeg pokrywały jeszcze warstwy śniegu, choć zanosilo się już na odwilż. Rozłożyste góry także otulał kożuch bieli.

Spostrzegł ich, odwracając się lekko, powoli. Erik znał dobrze ścieżki, którymi tak często chodził.

Pomyślał, że zdejmie z siebie część ubrań, ale jednocześnie poczuł, że ogarnia go błogie rozleniwienie. Był na tyle rześki, że cucilo go chlupotanie wody, trzeźwił go szum fal. Łódź dobijała do brzegu od południa.

Choć nie widział go kątem oka, Erik wyobrażał sobie kamień ofiarny, stojący na drugim brzegu – skałę wznoszącą się ku niebu.

Kiedyś, dawniej, ludzie zbierali się przy nim przed akcjami takimi jak ta, którą Erik zaplanował z towarzyszami. Byli świadomi ryzyka. Wiedzieli, jak go unikać. Chociaż nie zawsze.

Młody człowiek na łodzi nie miał czasu, by złożyć tam ofiarę. Poprosił o to Juve, ten zaś obiecał, że ją złoży. Obietnica to ważna rzecz.

Hałas się przybliżył. Erik zobaczył wyraźnie grupę ludzi. Szli w jego stronę. Przeciągnął się na dnio łodzi. Kilkadziesiąt metrów dalej poczuł nerwowy oddech, usłyszał chrzęst trących o siebie kamieni. Ale oddech się nie przybliżył. Znowu spokój, napięcie, ale spokój.

Alert wytrącił go z równowagi; poczuł, że się poci. Odetchnął głęboko. Zapomniał o ciężkim oddechu, pozwolił swoim myślom powędrować ku ostrej skale i ku ofierze, którą miał złożyć. Zupełnie w nią nie wierzył, ale kochał poezję tych tajemnych miejsc.

Anneli – tylko ona potrafiła otworzyć mu oczy i duszę na to ukryte piękno. Anneli. To także dla niej, dla nich. Musiało im się udać.

Spróbował znów się skupić. Nie mógł wstać, by się rozejrzeć, ale narastające napięcie zapowiadało, że wyczekiwany moment nadchodzi.

Tuż przy nim, na kamienistym brzegu, stłoczyło się kilkaset reniferów – skubały wszystko, co mogły znaleźć, szukając alg przesyconych solą i podnosząc czasem nerwowo łby ku drugiemu brzegowi, ku wyspie Kvaløya. Od wielkiej wyspy, ku której zmierzały, północny wiatr wiejący od Morza Barentsa niósł im zapach roślin. Nie były to jeszcze soczyste, czerwcowe trawy. Ale dla tego stada, które od sześciu miesięcy żywiło się jedynie porostami wyłuskiwanymi ze śniegu, zapach ten stanowił nieodpartą pokusę. Zwierzęta były nerwowe, niecierpliwe. Zbyt niecierpliwe. Samice rodziły dopiero wtedy, gdy znalazły się po drugiej stronie. Podobnie jak co roku czekały je z tego powodu kłopoty

z mieszkańcami miasta. Ale idące z przodu wiedziały, co je czeka z drugiej strony. Biały renifer Juvy był najbardziej doświadczony. Niewątpliwie to on popędzał stado. Czy to, że przyprowadził tu awangardę swojego stada kilka tygodni wcześniej, było oznaką starości? Trzeba jednak przyznać, że pastwiska na trasie ich przemarszu były zbyt ubogie; okoliczność ta pędziła naprzód białego renifera i jego towarzyszy. Zwierzęta instynktownie czuły, że coś się wydarzy. Były łatwym łupem dla pasterzy. Takie było prawo viddy – wysokich, pustych równin Laponii.

Erik czuł napięcie zwierząt; nie musiał na nie patrzeć. Ich nieregularny oddech świdrował mu uszy. Wystarczyło wsłuchać się w echo ich kopyt, ślizgających się po mokrych kamieniach.

Równie wyraźnie, mając za tło nieboskłon, Erik dostrzegał teraz wyłaniające się jedna po drugiej sylwetki swoich przyczajonych towarzyszy, skrywających pod twardymi maskami zdenerwowanie. Podobnie jak on wiedzieli, że nic nie ma prawa pójść nie tak. Nie mogli sobie na to pozwolić. Nie teraz. Jeden ruch, i praca całego dnia pójdzie na marne. W najlepszym razie. Najgorszego scenariusza woleli sobie nawet nie wyobrazić.

Znów pogrążył się w myślach.

Leżąc zbyt długo w bezruchu na plecach, Erik często zadawał sobie pytanie, co by było, gdyby został sparaliżowany w jakimś wypadku. Wspominał burzliwe dzieciństwo, kiedy często robił różne głupoty.

Gdy był młodszy, nie zadawał sobie nigdy podobnych pytań. Wiedział jednak, skąd biorą się te myśli o paraliżu; jego wuj został kaleką po wypadku na skuterze, który zdarzył się pewnego wieczoru, gdy miał wyruszyć w środku zimy na poszukiwanie reniferów, ponieważ zabłądziły na niebezpieczne pastwisko. Banalny dramat viddy. Wypadek ten zrobił jednak na nim wrażenie, gdyż ów wuj nauczył go wszystkiego o jeździe na skuterze śnieżnym. Wuj był współwinny i tego, że Erik nauczył się palić papierosy; uczył go, jak chować papieros w dłoni, jak prawdziwy pasterz. Ale teraz, w wieku dwudziestu jeden lat, Erik był już mężczyzną.

Spotkanie z Anneli uspokoiło go. Ku zaskoczeniu kumpli, którzy nadal szaleli. Ku własnemu zaskoczeniu. U boku tej pogodnej, promiennej kobiety szybciej wydorosła.

Podobnie wstrząsnęło nim, gdy po raz pierwszy pił alkohol. Pamiętał to uczucie. Wstrząs. Fatalne samopoczucie. Wstyd. Odtąd już nigdy nie pił.

Nie mógł już żyć bez Anneli.

Albo jedno, albo drugie.

Słowa Anneli wstrząsały nim z podobną siłą. Gdy mówiła, spływało na niego całe piękno świata. Jej słowa zdawały się wychodzić z obłoku. Miały w sobie nieskazitelną biel, miękką słodycz.

Często powtarzał sobie słowa dziewczyny. Uwalniały go od grubiaństwa. W jego ustach słowa stawały w szeregu, karnie i w odpowiednim porządku, lecz nie miały w sobie uroku. Te same sylaby ulatywały z koniuszka języka Anneli, każąc wibrować duchom uwiecznionym w tańcu. Mój Boże, jaka ona była piękna. Ale jej słowa go wzburzały.

Nagle zapomniał o Anneli.

Poczuł, że się zaczęło.

Biały renifer podjął decyzję.

Zwierzę o imponującym porożu weszło do wody i, jak można się było spodziewać, pozostałe renifery ruszyły za nim. Trochę to trwało, ale zwierzęta, nawet te najmłodsze, zanurzały się bez wahania. Obwisła skóra ułatwiała im pływanie.

Gdy wreszcie ustał chrzęst tratowanych kamieni, Erik uniósł ostrożnie głowę, by zobaczyć, jak przebiega przeprawa. Renifery nie mogły go już widzieć, skupione całkowicie na przeciwległym brzegu, ku któremu zmierzały w długim szyku przypominającym grot strzały.

Wokół panował spokój. Ludzie się pochowali.

W dali Erik widział most łączący wyspę Kvaløya ze stałym lądem. Uniósłszy się trochę wyżej, zobaczył skałę, pod którą Juva złożył ofiarę. Znając go, przypuszczał, że nie położył tam więcej niż koronę.

Pasterzy na obu brzegach wciąż nie było widać, ale Erik poczuł nagle, że stado ogarnia niepokój.

Coś się działo.

Podniósł się trochę wyżej. Gdy spojrział na drugi brzeg, coś ścisnęło go za gardło. Nie wierzył własnym oczom. Przez sekundę myślał, że to niemożliwe. Natychmiast jednak uświadomił sobie, że to się dzieje naprawdę i rzucił się na tył łodzi, by zapuścić motor. Teraz nie było już ważne, czy zwierzęta go widzą.

Zamiast płynąć na drugi brzeg, renifery płynące z przodu nagle, na samym środku cieśniny, zaczęły zawracać. Morderczy manewr. Tworzący się w ten sposób wir potężniał z każdym zawracającym reniferem. Im więcej reniferów zawracało, tym większe było niebezpieczeństwo ich

utonięcia. Na obu brzegach rzeki ludzie zaczęli wychodzić z ukrycia. Nadpływały też inne łodzie.

Erik był najbliżej i wiedział, że musi rzucić się w ten morderczy krąg, by rozpędzić zwierzęta i stłumić wir. Woda bryzgała mu w twarz. Widział już młode i słabe, szamoczące się renifery, które dusiły się i pogrążały w wirze, ciągnącym je na dno.

Przybliżywszy się do zbitej masy oszalałych reniferów, Erik nieco zwolnił – za wszelką cenę trzeba było przełamać krąg, rozproszyć stado. Wstrząsy były tak silne, że musiał chwycić się burty; otaczała go biel spienionej powierzchni morza, zmieszana z pianą toczącą się z pysków zwierząt.

Erik krzyczał, pracując dalej do przodu; szarpał się, wstrząsany coraz gwałtowniejszymi falami, atakowany przez renifery, które patrzyły na niego przerażonym wzrokiem. Pasterz spostrzegł białego renifera Juvy. Wyglądał na wycieńczonego zmaganiami z rwącym nurtem. Inne tonęły, rżąc chrapliwie.

Łódź kołysała się, ale Erik spostrzegł, że niektóre zwierzęta zaczęły się oddalać. Część stada zawróciła, płynąc do brzegu. Poślizgnął się, chwytając się burty. Poczował, że krwawi. Na chwilę zamarł jak ogłuszony i łódź zaczęła się niebezpiecznie przechylać. Miał wrażenie, że wokół szaleje burza, podczas gdy kilkadziesiąt metrów dalej woda była spokojna, a niebo nieomal bezchmurne.

Erik spróbował się podnieść. Silnik zgasł; zapalił go, ocierając krew, która go oślepiała; usłyszał krzyki pasterzy na brzegu, zobaczył, że ci, którzy podpływają łodziami, dają mu znaki. Renifery ryczały, obijając się o jego łódź, oszalałe z przerażenia, łamiąc rogi i uderzając o siebie nawzajem. Fale biły w kadłub, wlewając się do środka. Erik był teraz nieomal w samym środku kotłującego się kręgu.

Dwa renifery, wciągnięte przez wir, uderzały z całej siły o łódź, ich rogi wikłały się w liny zwisające z burt. Szarpały wściekle łbami, próbując się uwolnić. Erik upadł.

Nim pochłonęła go skłębiona kipiela, zobaczył jeszcze białe, puszyste obłoki.

Rozdział 2

Hammerfest, 16.35

Nils Sormi wystawiał twarz ku słońcu, rozkoszując się jego promieniami.

W otoczeniu swoich kumpli, nurków i innych, czuł się jak król. Niektórzy podchodzili, by klepnąć go po ramieniu.

Pod wpływem nagłego kaprysu Nils kupił kilka dni wcześniej kompletny bufet, który zamierzał zainstalować na tarasie modnego pubu, gdzie lubił się bawić. I pokazywać się. Sprowadził go helikopterem.

Pub Black Aurora działał zaledwie od kilku lat. Górował nad okolicą, usytuowany na szczycie klifu na wyżynie Hammerfest, wieńczącej zachodnie wybrzeże Wyspy Wieloryba.

Naprzeciw niego roziskrzone morze przeplatało się z ośnieżonymi górami. W dole majaczyło centrum miasta i port. Od portu wzdłuż zatoki biegła droga dochodząca do małego półwyspu, na którym widać było hangary i zbiorniki z ropą. Większą część miasta stanowiły budynki stłoczone na tym kilkusetmetrowym pasie, wijącym się wzdłuż wybrzeża, wciśniętym między morze i góry.

Wyżyna Hammerfest, całkowicie zniszczona przez Niemców podczas odwrotu pod koniec drugiej wojny światowej, nie grzeszyła szczególną urodą, wręcz przeciwnie. Lecz jej położenie na północnym krańcu Europy, u progu Arktyki i jej nieznanych dali, przydawało jej po części owej tajemniczości i aury przygody, które nie straciły jeszcze swej uwodzicielskiej mocy.

Za zatoką, wtopiona w widnokrąg, droga ciągnęła się dalej, by zejść pod ziemię, a potem wyłonić się znów na sztucznej wyspie Melkøya, wzniesionej pod fabrykę przerabiającą gaz wydobywany pod gołym niebem ze złoża Snø-Hvit. Nazwanie ujęcia gazu imieniem Królowny Śnieżki było dość zabawnym pomysłem. Dwie pochodnie wyrzucały

pracowicie w niebo strumienie ognia, mieniające się wszystkimi kolorami tęczy.

Otuliwszy kolana kocem, Nils zamknął oczy; poczuł rękę Elenor, pieszczącą go delikatnie. Jej postać stanęła przed nim, wychodząc z cienia.

– Nils, ten bufet... naprawdę jesteś szalony. To niesamowite! Tylko ciebie stać na takie pomysły.

– Może poleżysz na słońcu – odpowiedział, wskazując jej miejsce ręką.

Adresat pochlebstwa oddalił się z butelką piwa Mack w rękę, by rozłożyć się na leżaku, nie otrząsnąwszy się z wrażenia, jakie wywarł na nim komplement. Powietrze było rześkie; był jednak koniec zimy i kilka stopni powyżej zera oraz promienie słońca wystarczyły, by zapanowała aura wiosny. Odwrócił się do Elenor, swojej Szwedki. Położył rękę na jej dłoni i przytrzymał ją. Elenor, jego najdroższa zdobycz. Inni mogli tylko o niej pomarzyć. Stać go było na taką laskę jak ona. Być nurkiem pracującym dla nafciarzy w Norwegii to było coś, nawet jeśli Norwegowie uchodzili w Szwecji za prowincjuszy. Ktoś do nich podszedł.

– To jak, do kiedy wakacje?

– Jutro biorę się za robotę.

– Gdzie jedziesz?

– Tam, gdzie mi każą.

– Na platformę?

Nils powoli zdjął okulary przeciwsłoneczne i przesunął wolno dłonią po ciemnych, ostrzyżonych na jeża włosach. Elenor wyjęła rękę spod koca i pogładziła nią tors swego mężczyzny, pełna podziwu i podniecenia, jak zawsze, gdy wspominał o swojej pracy, przypominając innym, gdzie jest ich miejsce. Ta laska była odjechana. W Sztokholmie brakowało jej prawdziwych macho. Zdawała się rozpływać pod czarem jego arogancji. Nils spojrzał na ukrytą w cieniu sylwetkę swojego rozmówcy.

– A co, myślisz, że mógłbyś ze mną nurkować?

Facet się zmył. Elenor uszczypnęła Nilsa w sutek przez koszulę. Uwielbiała to. Gdy przyjeżdżał tu ze swoją bandą nurków, przyciągali zawsze tłumy młodych, chłopców i dziewczyn, którzy chcieli się do nich zbliżyć. Kilku nurków siedziało z boku. Dopiero co wrócili z jakiejś paskudnej wyprawy, widać to było jeszcze po ich napiętych twarzach. Zawsze tak wyglądali pierwszego dnia urlopu. Nils poczuł wibrację; wyjął telefon. To Leif Moe, jeden z kontrolerów z jego firmy, Arctic Diving.

Manifestując niezadowolenie ruchem bioder, Elenor wstała i zaczęła tańczyć sama, wyginając się zalotnie. Nils widział, że inni faceci nie mogą oderwać od niej wzroku, ale odwrócili oczy, gdy Nils powoli się podniósł. Nie zwracając uwagi na Elenor, która zawisała mu u szyi w czułym uścisku, odszedł na parking, by spokojnie porozmawiać.

– Dzwoniła do nas policja, potrzebują nurka, by wyłowić jakiegoś topielca. Nie protestowaliśmy.

– Ach tak?

– Jesteśmy im to winni; wiesz, jak często przymykali oczy na wasze głupoty.

– Wkurzacie mnie, jestem z dziewczyną w Black Aurora.

– Tylko ty jesteś pod ręką i możesz nurkować. Inni pracują albo właśnie wrócili.

– Cholera! Ile oni płacą?

– Jedziemy po ciebie. Zostań tu, gdzie jesteś.

Nils rozłączył się. Tak czy inaczej, zaczynał mieć tego dosyć. Przeciągnął się, spojrzął znów na wspaniałą pejzaż rozciągający się u jego stóp. Góry, jeszcze pokryte śniegiem, przesłaniały cały horyzont. Na tarasie faceci otoczyli Elenor, rozbierając ją wzrokiem, a ona wyginała się, potrząsając szklanką.

– Muszę iść.

– O nie, właśnie zaczynamy zabawę!

– To coś pilnego. Możesz zostać, jak chcesz. Masz, weź klucze.

– Wkurzasz mnie, ja przyjeżdżam do ciebie ze Sztokholmu, a ty mnie spławiasz na tym końcu świata. Żarty sobie robisz?

Zrobiła obrażoną minę, okazując wściekłość. Z założonymi rękoma, co ku uciesze gapiów uwydatniło jej piersi, Elenor wyrzuciła z siebie kolejną falę żalów. Jej głos został wkrótce zagłuszony przez warkot helikoptera, który wylądował na parkingu pubu Black Aurora, wprawiając w zdumienie wszystkich z wyjątkiem nurków. Nils położył palec na ustach Elenor. Przeszyła go wzrokiem i podniosła jego rękę, już mniej zdenerwowana, z widoczną w oczach dumą, że jej mężczyzna wsiada na pokład maszyny.

Helikopter szybko dotarł na południowy kraniec półwyspu. Gdy lądowali na brzegu Cieśniny Wilka, Nils kończył już regulować butle. Nurek popatrzył na lapońskich pasterzy, którzy stali daleko z ponurymi minami. Wydobyto już kilka ciał reniferów.

Słońce właśnie wyjrzało zza chmur, było dosyć światła. Nils postanowił, że nie będzie czekać na policję. Jeden z pasterzy, wyraźnie zgnębiony, wskazał mu miejsce, gdzie zniknął topielec. Prąd nie był zbyt silny.

Po niecałej godzinie Nils znalazł ciało. Z trudem, z resztkami tlenu w butlach, wyciągnął je na drugi brzeg.

Na przeciwległym brzegu pasterze rozmawiali z policjantami, którzy w końcu się zjawili. Widząc Nilsa, cała grupa wsiadła do samochodów i ruszyła przez most.

Nils odwrócił ciało pasterza. Chwyciły go mdłości. Podjechały samochody z policją na czele. Nurek odszedł na stronę i zwymiotował, czując, że brak mu tchu.

Nikt go nie uprzedził. Erik. Wyciągnął właśnie z wody swojego przyjaciela z dzieciństwa. Gwałtownym ruchem kopnął kamień. Jak oni mogli? Otarł usta rękawem kombinezonu i wrócił do ciała, wciąż czując mdłości. Nikt go nie widział. Patrzył na Erika, nie wiedząc, co robić. W głowie kłębiły mu się różne obrazy.

Teraz na miejscu byli już policjanci, z którymi przybyła grupa lapońskich pasterzy. Jeden z nich zaczął im wymyślać. Był pijany. Innych to nie interesowało. Pijak oskarżał policjantów, że nie było ich podczas przeprawy.

Nils rozpoznał policjanta po granatowym drelichu. Towarzyszyła mu młoda funkcjonariuszka, sympatyczna blondynka. Ten drań Nango na pewno próbował ją przelecieć, pomyślał Nils. Nie silił się na uśmiech.

– Dzięki, Nils – powitał go Klemet Nango, podchodząc do ciała.

– Co tu się stało? – spytał nurek.

Wokół nich gromadzili się Lapończycy. Z daleka widać było nadjeżdżający ambulans. Podszedł jeden z pasterzy; on także dobrze znał zmarłego. Juva Sikku. Opowiedział przebieg wypadku.

– Mój biały renifer też utonął – dodał Juva. – Co ja teraz bez niego zrobię?

Nils miał to gdzieś. Młoda policjantka wydawała się zszokowana, że Juva Sikku rozpacza nad swoim reniferem.

– Myślisz, że teraz pora na takie żale?

Sikku popatrzył na nią obojętnie.

– Wiesz, co to znaczy przewodnik stada?

Splunął na ziemię i odszedł. Obok pijani Lapończycy wymachiwali rękami, otaczając Klemeta.

– Policjanci to banda oferm, zawsze przyjeżdżają za późno. Strażnicy reniferów! Nie ma z nich żadnego pożytku! Potrafią tylko kontrolować skutery. Powinniście tam być, to wy go zabiliście. To wasza wina!

Klemet zaczynał się denerwować. Nils zwrócił się do policjantki.

– Długo pani z nim pracuje?

– Nina Nansen – powiedziała, wyciągając rękę. – Od niedawna jestem w patrolu P9. I w ogóle w policji. To moja pierwsza praca po szkole.

Nils skinął tylko głową. Policjantka mówiła dalej.

– To straszne, co się stało z tym pasterzem. Nie wiedziałam, że to może być tak niebezpieczne.

– Jeśli chce się pani dowiedzieć, co to jest prawdziwe niebezpieczeństwo, proszę zacząć nurkować na wieżach naftowych.

Nina posłała mu ciężkie spojrzenie; widział, że ledwo powstrzymuje się od odpowiedzi. Ale zmilczała. Najwyraźniej ją uraził. Nie obchodziło go to. Niewielu ludzi wiedziało, jak się zachować przy takich jak on, którzy codziennie ryzykowali życie. Jeszcze jedna idiotka.

– Muszę już iść, czekają na mnie.

Rzucił okiem na ciało Erika, które zabierali ludzie z ambulansu. Klemet rozmawiał z pasterzami, odwrócony tyłem do człowieka, który wciąż mu wymyślał, chwiejąc się na nogach.

Nils zebrał sprzęt i zaniósł go do helikoptera. Śmigło zaczęło wirować. Klemet podszedł bliżej, wciąż otoczony wrzeszczącymi Lapończykami, których obelgi ginęły już w huk w wirnika.

– Wciąż lubisz pracę w policji? – krzyknął do niego Nils obraźliwym tonem.

Klemet patrzył na niego przeciągle, podczas gdy Nils zapinał pas bezpieczeństwa. Potem pokazał palcem na jego kombinezon.

– To chyba wymiociny – krzyknął z kolei Klemet. – Zresztą to czuć.

Helikopter odleciał. Klemet oddalił się, czując na plecach spojrzenie Nilsa.

Rozdział 3

Dolina Cieśniny Wilka, 21.20

– Na pewno – mówi Nina, oglądając jego mały aparat fotograficzny – mógłbyś robić lepsze. Pokażę ci, jak się posługiwać stabilizatorem.

Klemet z posępną miną prowadził patrolowego pikapa straży reniferów. Nina domyślała się, że scena na brzegu Cieśniny Wilka trochę go zdenerwowała. Do tego dochodziła jeszcze późna pora. I introwertyczny charakter Klemeta.

– Mówię ci, trzeba było skuć tego pijaka.

– O tak, zasłużył sobie na to.

Klemet nie mógł widzieć jej uśmiešku. Ale wiedziała też, że Klemet, podobnie jak wielu jego kolegów, ma za sobą trudne doświadczenia z małych komisariatów na północy, gdzie trzeba było interweniować nieraz samemu, uciszając pijatyki, które często kończyły się bójkami. Praca w straży reniferów była wytchnieniem od służby w nieustannym napięciu, w przypadku niektórych strażników wręcz po załamaniach nerwowych.

– Widziałeś tę wielką, ostrą skałę przy brzegu? Leżało pod nią coś w rodzaju ofiary. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego. – Odwróciła się do Klemeta, wciąż jeszcze chmurnego. Powoli mu przechodziło.

Słońce dopiero co zaszło i było jeszcze bardzo widno. O tej porze roku ciało często zbyt późno dawało znać o potrzebie odpoczynku, narastało zmęczenie. Nina się nie skarżyła. Poznawała coś, z czym nie spotkała się na południu Norwegii, gdzie się wychowała. Na razie brała to za dobrą monetę.

Klemet zahamował gwałtownie. Po przeciwległej stronie drogi Nina dostrzegła mały samochód kempingowy. Spojrzała zdziwiona na partnera.

– Rutynowa kontrola. Zaparkowali za blisko drogi. To niebezpieczne.

Klemet zdawał się być nazbyt skrupulatny. I mało rozmowny. Odkąd przyjechała tu z południa Norwegii kilka miesięcy temu, Nina miała okazję przyjrzeć się zachowaniu partnera w czasie patroli, gdy całe dnie musieli znosić swoje towarzystwo. Niech sobie sprawdza, pomyślała, może go to uspokoi.

Klemet zastukał w okno kampera. W oknie ukazała się łyśa głowa z resztką drobnych, krótkich włosów. Mężczyzna miał opaloną twarz z piękną, silną szczęką. Szyję owijała mu czerwona wzorzysta chusta. Był zaskoczony.

– Dokumenty proszę.

Mężczyzna zaczął tłumaczyć, że jest Niemcem i nie mówi po norwesku. Próbował mówić po angielsku, ale Klemet nie mówił dobrze w tym języku. Nina czuła, że ta sytuacja zaraz jeszcze bardziej go zdenerwuje. Podeszła i zaczęła tłumaczyć. Klemet okazał się szczególnie gorliwy. Sprawdził cały kamper, podczas gdy Nina oglądała dokumenty pojazdu.

– Zobacz, Nina. Teraz nie powiesz już, że nie mam nosa.

Z tyłu pojazdu leżał mężczyzna w stroju turystycznym. Klemet potrząsnął nim. Jeszcze jeden Niemiec, tym razem pijany. W małej umywalce leżała butelka koniaku. Ci dwaj szybko przyswoili sobie lokalną tradycję picia koniaku w barach. W bagażniku Klemet odkrył rogi renifera. Pod siedzeniem znalazł nawet znak drogowy z reniferem w czerwonym trójkącie. Niemcy uwielbiali takie pamiątki.

– Nina, mandat.

Kierowca próbował się tłumaczyć. Byli turystami i ktoś sprzedał im znak, to nie oni go zabrali. Rogi też kupili od Lapończyka na parkingu. Poza tym nie wiedzieli, że tu nie wolno parkować.

Nina ograniczyła się do tłumaczenia, czując, że gdyby wyraziła swoje zdanie, Klemet nie dałby jej spokoju do końca tygodnia. Wypisał mandat, dał im kopię.

Kierowca nie protestował. Robił wrażenie, że zależy mu na szybkim zakończeniu sprawy. A może myślał, że w Niemczech ten mandat go nie dosięgnie.

Upewniwszy się, że Niemcy przestawili samochód, Klemet odjechał. Teraz czekało ich najgorsze. Być może to właśnie wprawiało Klemeta w zły humor. Musieli powiadomić młodą żonę Erika. Obozowała gdzieś w okolicy, w pobliżu reszty stada, na szlaku jego wędrówki. Policjanci musieli najpierw wziąć skutery z chaty w Skaidi, która o tej porze roku

służyła im za bazę. Jechali jeszcze wzdłuż Repparfjord, gdy Klemet znów się zatrzymał. Nieopodal, tym razem na parkingu, stała mała ciężarówka w opłakanym stanie.

– A tu o co chodzi? – westchnęła Nina.

– Stary samochód. Sprawdź, czy przeszedł kontrolę techniczną. Te stare graty są niebezpieczne.

Jak zwykle bardzo rozmowny, pomyślała.

Z przodu w kabinie nie było nikogo. Klemet i Nina pochyłili się, by obejrzeć wewnątrz pojazdu. Na desce rozdzielczej po stronie pasażera pełno było poprzyklejanych post-itów we wszelkich możliwych kolorach. Na lusterku wstecznym wisiała mała drewniana kuropatwa i proporczyk Alta IF.

Klemet zapukał w boczne drzwi ciężarówki. W końcu uchylił je mężczyzna o zaspanych oczach. Jego tors wyłaniał się ze śpiwora. Obok niego poruszyła się jeszcze jedna postać, podobnie jak on owinięta w śpiwór.

Dwaj mężczyźni przedstawili się jako technicy pracujący w Hammerfest. Nie mieszkali w blokach za fabryką na wyspie, lecz w pływających hotelach, wynajmowanych robotnikom pracującym przy budowie nowej rafinerii. Najwyraźniej jeden z nich był Norwegiem, a drugi Polakiem. Ten ostatni powiedział coś po polsku, drugi przetłumaczył. Polak nie mówił po norwesku, a jego angielski był niewiele lepszy. Obaj mężczyźni tłumaczyli się, że nie mają przy sobie dokumentów, ale mogą stawić się w najbliższym czasie w komisariacie w Hammerfest. Za wszelką cenę chcieli uniknąć problemów. Polak leżał z tyłu kabiny. Ale ani on, ani Norweg nie byli pijani. Klemet słuchał, zaglądając do wnętrza pojazdu. Nie zauważył niczego podejrzanego.

– Skoro nie macie dokumentów, wystawię mandat – wysyczał Klemet. Wypełnił formularz, dał im kopię, kazał przyjść do komisariatu w Hammerfest i zamknął drzwi.

– Trzeba ich sprawdzać. To ważne. Tyle tych włamań do domków, squatersów i innych takich.

Nina miała wrażenie, że próbuje przekonać samego siebie. Gdy już wsiedli do samochodu, odwróciła się do niego.

– Chcesz dzisiaj wszystkich sprawdzać? Dlatego, że zwymyślał cię jakiś stary, pijany Lapończyk? Nie zapomniałeś, że musimy powiadomić żonę Erika?

Klemet spojrzał na nią ze złością. Wziął oba mandaty i wściekłym ruchem podarł je na strzępy, rzucając resztki formularzy na tył samochodu.

– I co, już dobrze? – Nie czekając na odpowiedź, uruchomił silnik. W milczeniu dojechali aż do chaty, w której mieścił się posterunek straży reniferów w Skaidi.

Tej wiosny wszystko tonęło w roztopach. Ale na dalekiej północy wiosną zawsze jest mokro. W kwietniu i w maju, w zależności od nasłonecznienia, leżał tu jeszcze śnieg, ale roztopy utrudniały jazdę skuterom śnieżnym. Na rzekach i jeziorach tajał lód. Topniejący śnieg, nagromadzony w ciągu sześciu miesięcy, zamieniał całą okolicę w jedno wielkie trzęsawisko. Na zieleń i pierwsze oznaki lata trzeba było czekać do czerwca. Wiosna była jedynie przedłużeniem zimy, pozbawionym jej uroków. Było też nieco cieplej. Tego wieczoru temperatura dochodziła do minus pięciu stopni.

Wydobyszy skutery z chaty w Skaidi, Klemet i Nina odjechali w kierunku obozowiska klanu Steggo. Nina trzymała się Klemeta, omijając pułapki na kruchym lodzie. Po godzinie dotarli na spłacheć odtajającego wrzosowiska, na którym rozstawiono namioty. Przejechali ostatnie sto metrów po ziemi, na której śnieg mieszał się z roślinami, i wyłączyli silniki. Klemet odwlekał moment powiadomienia rodziny. Przyglądał im się z daleka. Wieść prawdopodobnie już do nich dotarła, pomimo tego, że tu, na zboczu góry, były problemy z zasięgiem. Na ich widok zebrała się grupa ludzi. Zwłaszcza kobiety i dzieci. Mężczyźni byli daleko, przy reniferach. Od jakiegoś czasu trwała już ich wędrówka na północ. Jak wyjaśnił Klemet, stado, którego doglądali, wysforowało się naprzód. Po porannym dramacie część stada, która próbowała sforsować cieśninę, była teraz podzielona – jedne zwierzęta zostały po jednej stronie, inne po drugiej. Ze względu na to, że w pobliżu były drogi – zwłaszcza bardzo uczęszczana droga do Hammerfest – trzeba było bardzo uważać. W jednym z namiotów siedziała grupa starych Lapończyków. Nina nie mogła dostrzec, co robią.

Nastąpiło trudne powitanie. Śmierć pasterza zawsze była tragedią. Tym większą, gdy był to młody człowiek. Coraz mniej było mężczyzn chętnych i zdolnych do podjęcia tej trudnej pracy. Klemet przeżywał męki. Jego rodzina musiała porzucić hodowlę reniferów za życia dziadka, więc relacje Klemeta z tym środowiskiem były dość trudne. Nina spostrzegła to

kilka miesięcy wcześniej, w czasie śledztwa w sprawie śmierci Mattisa. Wielu drobnych hodowców doświadczało prawa silniejszego.

Podeszła do nich kobieta w średnim wieku. Na głowie miała lapoński czepek, ubrana była w granatową, nieco zbyt obcisłą parkę i w spodnie od kombinezonu. Na jej twarzy malowało się zdecydowanie.

– Czemu was tam nie było? – rzuciła ostrym tonem.

To samo oskarżenie, które słyszeli od pijanego Lapończyka.

– Naprawdę myślisz, że to by coś zmieniło? – odpowiedział Klemet znużonym głosem.

– Jak to nie? Masz obowiązek wiedzieć, że wśród hodowców znów narastają konflikty. Nie wiesz, że walczą o lepsze pastwiska na szlaku wędrówki stada?

– Oczywiście, że wiem – odparł Klemet. – Ale to nic nowego. Nie widzę związku ze śmiercią Erika.

Po reakcji niektórych kobiet Nina poznała, że nie wszyscy wiedzą o utonięciu młodego człowieka. Jedna z nich, starsza, ubrana w tradycyjny strój, chwyciła Susann za ramię i pytała o coś niespokojnie po lapońsku. Susann odpowiedziała jej płomiennym spojrzeniem. Erik był jej kuzynem.

– Znałeś Erika? – spytała Susann.

– Niezbyt dobrze – odparł Klemet. – W każdym razie od niedawna. Właściwie nie był z mojego rejonu.

– Erik był nadzieją naszego klanu. Starał się; studiował na uniwersytecie rolniczym w Umeå i w akademii lapońskiej w Kautokeino. Nie znam wielu takich jak on.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiem, Klemet, nie wiem – ciągnęła z płaczem. Jakaś stara kobieta trzymała się jej ramienia.

Klemet potrząsnął głową.

– Anneli wie?

Susann pokręciła przecząco głową.

– Pilnuje stada, które zostało w głębi doliny. Idź grzbietem wzniesienia. Idź pieszo, żeby nie spłoszyć zwierząt. Pół godziny drogi stąd, na górze, znajdziesz namiot, z którego dogląda renifery.

Kilka samic miało właśnie rodzić. Przedwczesne porody. Normalnie cielaki przychodziły na świat dopiero na wyspie, po przemarszu, gdzieś

od połowy maja. Trwało to przez miesiąc albo i dłużej, nieraz aż do połowy lipca.

– Te cielaki nie będą w stanie przejść po śniegu – zaniepokoiła się Susann. – Potem się zobaczy. Może trzeba będzie poprosić o transport w Biurze do spraw Reniferów.

Klemet i Nina ruszyli wskazaną drogą. Przeszli obok lapońskiego namiotu, w którym pięciu starców siedziało wokół ognia. Mruczeli jakąś pieśń. Jeden z nich wyglądał dosyć dziko. Inni też nie wydawali się być w zbyt dobrej formie. Starzy ludzie przeżywający ostatnie chwile tej odwiecznej wędrówki, praktykowanej dziś jedynie podczas wędrówki reniferów. Od lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku mechanizacja kładła kres ich dawnemu stylowi życia.

Słuchając ich zawodzeń, Nina poczuła dreszcz. Nie był to joik, tradycyjny śpiew Lapończyków; ich głosy miały ostre, niepokojące brzmienie, przypominały kościelne chóry. Lapończyk o dzikim wyglądzie odgarnął kosmyk kręconych włosów. Nie śpiewał. Nina przeszła obok niego, nie zatrzymując się i nie odrywając od niego wzroku, dopóki nie weszli na grzbiet doliny.

Łatwo znaleźli Anneli, choć marsz przez mokry śnieg nie należał do łatwych. Młoda kobieta sama pilnowała stada. Jej włosy są nieomal jaśniejsze niż moje, zauważyła Nina ze zdziwieniem. Anneli miała długie, proste włosy spadające na ramiona, mięsiste usta i ładne kości policzkowe. Wiatr smagał jej twarz. Stała na skale zamykającej małą dolinę, usianą karłowatymi brzożami. Zauważywszy nadchodzących policjantów, okazała pewne zdziwienie, zarazem jednak wiedziała, że straż reniferów zawsze rozpytywała, gdy stada się spóźniały albo gdy zbyt wcześnie zaczynały wędrować. W ten sposób strażnicy zapobiegali sporom pomiędzy hodowcami o dostęp do pastwisk. Anneli zamachała do nich przyjaźnie. Gdy się zbliżyli, zagwizdała z podnieceniem, dając znaki, by podeszli bliżej do skały.

– Patrzcie, samica będzie rodzić.

Było jeszcze widno. Nina chwyciła lornetkę, celebrując tę niezwykłą chwilę. Klemet pozostał z tyłu. Zadanie powiadomienia młodej kobiety przypadło Ninie.

– Tchnienie viddy wzywa młode renifery do życia – mruzczała Anneli, stojąc obok Niny.

Policjantka zobaczyła, jak młode ciele prychnęło i niepewnie stanęło na wątle nogi. Poczwała na uchu oddech kobiety.

– Słyszają już zew przodków. Widzisz, jak instynktownie szukają matki i jak ona instynktownie już się niepokoi? Wiesz, że przestraszona matka zostawia małe? Cisza jest ich pierwszą czułą osłoną. W tym momencie dzieje się cała magia życia.

Słodkie i czyste, pomyślała Nina, poruszona słowami Anneli. Ta chwila stawała się nie do zniesienia. Odwróciła się do Klemeta, skrytego w cieniu. Dał jej znak głową. Nina wzięła Anneli delikatnie za rękę i powiedziała jej.

Rozdział 4

Piątek, 23 kwietnia

Wschód słońca: 3.26. Zachód słońca: 21.20

Długość dnia: 17 godzin i 54 minuty

Morze Barentsa, 10.55

Przez bulaj mostka kapitańskiego Leif Moe patrzył na grzbiety fal. Miały najwyżej pięć, sześć metrów.

Nie wyglądało to na burzę. W każdym razie ich statek nurkowy Arctic Diving trzymał się mocno. Na dole dwóch nurków raczej nie czuło ruchu na powierzchni.

– Głębokość czterdzieści metrów.

Z dzwonu pogrążającego się w Morzu Barentsa, połączonego ze statkiem wielofunkcyjnym kablem, dyżurujący w dzwonie Tom Paulsen meldował co dziesięć metrów głębokość zanurzenia. Jak zwykle najpierw, idąc według checklisty, przez dobre dwadzieścia minut sprawdzali maski, rękawy, zawory butli, przewody – wszystko było w porządku. Przepisy na norweskich platformach kontynentalnych stały się prawdziwym utrapieniem.

Na szczęście tym razem nurkowali zbyt płytko, by używać mieszanki gazów, inaczej musieliby sprawdzać jeszcze dłużej. Ale w porządku – jeśli klient płaci również za to, niech mu będzie, myślał Leif Moe. Tylko że klientowi, wszystkim klientom, coraz bardziej się spieszyło. Musieli pracować coraz szybciej.

W zeszłym miesiącu Arctic Diving stracił ważny kontrakt i nie mógł sobie pozwolić na utratę kolejnego, gdy firma inwestowała w nowy zestaw do dekompresji.

Dzwon osiągał głębokość roboczą. Stosowanie dzwonu na pięćdziesięciu metrach to był poniekąd luksus, ale w porządku, mieli okazję przetestować nowy sprzęt. Trzeba było oczyścić szyb wydobywczy.

Normalnie pracę tę powinien wykonać zdalnie sterowany pojazd podwodny, lecz spodziewano się komplikacji. Takie wyjaśnienie podano klientowi, żeby nie zdradzić, że oba pojazdy podwodne się zepsuły.

Nils Sormi znów miał okazję się popisać.

Kończył przygotowania w dzwonie pod czujnym okiem swojego partnera, Paulsen. Chociaż Leif Moe nie lubił Sormiego, musiał przyznać, że razem z Paulsenem stanowią znakomitą parę nurków. Pod wodą byli jak bracia bliźniacy. Na ziemi zresztą też.

– Głębokość pięćdziesiąt metrów.

Doszli.

Ciśnienie. Obaj nurkowie czekali na sygnał.

Ale trzeba było się spieszyć. Liczyła się każda minuta użycia sprzętu niezbędnego do zanurzenia.

Leif Moe patrzył na ekrany kontrolne. Śluza dzwonu powinna się otworzyć pod wpływem zwiększonego ciśnienia.

– We got the door.

Śluza otwarta.

Śmigaj, mały, śmigaj, myślał Leif Moe.

Woda nie jest taka zimna. Raptem trzy stopnie, tylko trochę zimniejsza od wody w Morzu Północnym. Dobra, w porządku, trochę zimna. Ale dawaj, dawaj, bo klient znów się przypieprzy.

Tymczasem klient, Future Oil, na innej częstotliwości właśnie dopytywał się, jak im idzie. Z zacisza ciepłego pokoju w Hammerfest.

– Arctic Diving, na jakim etapie jesteście? – indagował głos Henninga Birge’a, przedstawiciela Future Oil.

– Nurek jest w wodzie.

– Prawie wyczerpaliście czas. Zaraz przekroczycie limit.

– Już wszystko w porządku. Bez odbioru.

Tom Paulsen dalej meldował z dzwonu.

– Diver leaving the bell.

No dobra, dalej, Nils, pokaż facetom z Future Oil, co potrafisz, dowiedz, że jesteś godny tych wszystkich historii, które potem wszędzie o tobie opowiadają.

Nils Sormi powinien teraz pociągnąć za swoją pępowinę, pełną przewodów, od których zależało jego życie – z ciepłą wodą, z kablem łącznościowym umożliwiającym komunikację z dzwonem, a zwłaszcza z powietrzem, dzięki któremu mógł oddychać.

Zanurzenie nie było zbyt duże. Nils musiał jeszcze zejść kilka metrów, ale dno było czarne. Powinien był oczyścić je z resztek, które pozostawiła tam głowica wiertnicza, by nie niszczyły sieci rybackich. Do tego trzeba kilku nurków – dwie zepsute maszyny jednocześnie, cholera, przecież to niemożliwie – ale większość pracy musiał teraz wykonać Nils. Był odpowiednim człowiekiem do tej sytuacji. Facetem, który lubił ryzyko, który nie sztywniał z przerażenia, zawsze gotowym na małe niespodzianki, które gotował mu los. Oczywiście, w jego zawodzie te niespodzianki mogły oznaczać śmierć. Ale Nils nie był idiotą. I był pewien swojego partnera. Dla Toma Paulsena bezpieczeństwo było najważniejsze, niezależnie od kosztów i od wymagań klienta. Szanowali go za to nawet klienci, przynajmniej większość z nich. Jeśli Nils Sormi był gotowy na niespodzianki, to Tom Paulsen starał się ich unikać; miał coś, co inni nazywali zmysłem ostrożności. Połączenie tych cech sprawiało, że razem byli bezkonkurencyjni.

– Give the diver more slack.

Dajcie nurkowi więcej luzu. Powinien już być u celu.

– Arctic Diving, znaleźliście?

Cholera, facet z Future Oil znów się obudził.

– Nurek dochodzi do strefy.

– Kto nurkuje?

– Nils Sormi na zewnątrz, Tom Paulsen w środku.

– A, nasz Sormi, bardzo dobrze. Ale zwijajcie się.

– Bez odbioru.

To dupek, pomyślał Leif Moe. I jeszcze to „nasz Sormi tu”, „nasz Sormi tam”. Nic, tylko on. To proste: Nils Sormi był gwiazdą. Nafciarzom podobało się też, że król nurków z Arctic Diving był Lapończykiem, wprawdzie jedynym, ale za to sławnym. Stanowił alibi, był „dobrym Saamim”, dowodem, że koncerty naftowe są otwarte na tubylców i dają im udział w lokalnym rozwoju. Wielki Teksasńczyk mówił tylko o nim, można by sądzić, że go adoptował. I nie tylko on. Mowa! Między sobą nazywali go Nils Sormi PC, politically correct. Zasłaniaли się nim, gdy trzeba było uspokoić miejscowych polityków albo zrobić wrażenie na dziennikarzach. A ten nadęty kretyn nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Z dzwonu Leif Moe usłyszał głos Paulsena, który mówił do Sormiego:

– Nils, odpuść, nie masz czasu, za duże ryzyko, to niezgodne z procedurami.

– Co się dzieje? – spytał Leif Moe.

– Element, który mamy wciągnąć, rozleciał się i nie możemy go przymocować tak, jak planowaliśmy. Żeby przeciągnąć liny, trzeba się podkopać. To może zająć co najmniej dwa dni.

– Dwa dni! Kurwa!

– Nils nie chce czekać. Mówi, że może zrobić spaw i przymocować do tej części linę. Osobiście jestem przeciw. Nie ma odpowiedniego sprzętu.

– Dobra, przekażę.

Kierujący operacją wyjaśnił sytuację klientowi z Future Oil. Odpowiedź była taka, jakiej się spodziewał.

– Kpiny sobie robicie czy co? Dobrze wiecie, ile mnie kosztują wasze dodatkowe godziny dekompresji i inne bzdety. Niech pan powie Sormiemu, że ma ruszyć tyłek.

– Pośpiech jest bardzo ryzykowny, no i słyszał pan: on nie ma sprzętu.

– Myślicie, że płacimy wam za turystykę? Bez odbioru.

Mijały minuty pełne napięcia. Leif Moe śledził z daleka rozwój wydarzeń; mógł tylko sprawdzać wskazania instrumentów w małej kajucie, w której siedział, na statku nurkowym. W dzwonie niewymieniane powietrze zaczęło dawać się we znaki Tomowi Paulsenowi. Ale Nils Sormi, mimo kombinezonu, musiał już zacząć czuć, jak paraliżuje go zimno. Słyszał, jak Paulsen próbuje przemówić swojemu partnerowi do rozumu, i widział, że on nic sobie z tego nie robi. W każdym razie czas przeznaczony na tę akcję już minął.

Leif Moe zakładał, że Sormi próbuje doczepić improwizowany spaw do części, którą mieli podnieść, wbrew opinii wszystkich. Prowizorka i kozactwo, w najczystszej tradycji pionierskich początków nurkowania dla przemysłu naftowego na Morzu Północnym w latach siedemdziesiątych. Moe musiał przyznać, że Sormiemu nie brak zdolności i odwagi. Ten Lapończyk był niezły. Arogancki bufon, ale cholernie dobry. Krzyk Paulsena sprawił, że podskoczył na krześle.

– Wracaj natychmiast, Nils, grozi ci niebezpieczeństwo!

– Paulsen, do cholery, co się dzieje?

– Problem z pępowiną. Dopływ ciepłej wody i powietrza spadły do... trzech czwartych.

– Na ile?

- Na trzy minuty.
- Jak daleko jest od dzwonu?
- Mniej. Ale mówi, że prawie skończył spaw.
- Na litość boską, masz go stamtąd natychmiast zabrać!
- Zrozumiałem. Bez odbioru.

Paulsen był w zasadzie przygotowany na konieczność błyskawicznego reagowania. Należało to do zadań nurka, który czeka na partnera w dzwonie nurkowym. Wystarczyło tylko założyć maskę. Już powinien to zrobić. Paulsen był gotowy ratować kumpla nawet bez maski. Moe wpatrywał się we wskazania ekranów i w stoper, który odruchowo włączył.

- Arctic Diving, długo się tam jeszcze będziecie grzebać?!

Leif Moe przerwał połączenie z Hammerfest. Nie musiał się z nimi wyklócać. Minęły trzy minuty. Panowała absolutna cisza, którą przerywały jedynie słabe trzaski dochodzące z radia. Na zewnątrz fale uderzały w kadłub statku, bez szczególnego efektu. Przez drugi bulaj widział ruchomą platformę, również nieczułą na złą pogodę.

- Divers back in the bell.

Odetchnął z ulgą. Chwycił za mikrofon.

- Melduj!

Minęły dwie długie minuty.

– Nils ucierpiał, wyciągnąłem go nieprzytomnego. Oddycha, ale się wychłodził. Możesz zapewnić Future Oil, że skończył spaw. Gotowi do wynurzenia. Bez odbioru.

Leif potrząsnął głową.

- Zacząć wynurzenie i dekompresję. Bez odbioru.

Rozdział 5

Wzgórza nad Cieśniną Wilka, 13.45

Klemet Nango i Nina Nansen spędzili noc w chacie w Skaidi. Na stronach internetowych miejscowych gazet zaczęły się pojawiać komentarze na temat wypadku, który kosztował życie Erika Steggo. Było wiele wyrazów współczucia. Nie brakowało też ludzi, którzy korzystali z okazji, by wyrazić swoje zgorzknienie i niezadowolenie. „Gdyby zamknięto wyspę Kvaløya dla reniferów, nigdy by do tego nie doszło”. „Mieszkańcy Hammerfest mają już dość tych zwierząt”.

Nic nowego, pomyślał Klemet. Problemy z reniferami w mieście w czasie lata od dawna zatruwały relacje między lokalnymi społecznościami.

Do fali niezadowolenia dodał swoje trzy grosze burmistrz Hammerfest, publikując na swoim profilu facebookowym fotografie napotkanych w mieście reniferów.

Wiosną wiele stad, które zimowały w głębi Laponii, między Kautokeino i Karasjok, powracało na letnie pastwiska na północnym wybrzeżu, wchodząc czasem na wyspy. Niektóre renifery dostawały się tam wpław, inne promami wynajmowanymi przez Biuro do spraw Reniferów. Jesienią wędrowały z powrotem. Tak było zawsze. Ale nigdy jeszcze Klemet nie słyszał o podobnym przypadku śmierci pasterza. Słowa Susann go zraniły, nawet jeśli nie miała racji. Ich obecność niczego by nie zmieniła.

Oślepiło go słońce odbijające się od śniegu. Włożył okulary przeciwsłoneczne. Wyłowiono wszystkie potopione renifery. Razem ze trzydzieści. Reszta stada przeszła bez problemów kilka godzin wcześniej. Jeszcze inne, które zostały z Anneli, dołączyły później na kolejnym pastwisku.

Nina wyrwała go z zamyślenia. Była na swój sposób bezpośrednia.

– Masz jakiś problem z Nilsem?

Klemet spojrzał na nią bez słowa. Często to wystarczało. Nie tym razem. Nie z nią.

– Nie myśl, że mam problemy ze wszystkimi hodowcami z okolicy. – Klemet pograżył się w obserwacji cieśniny. – Widziałaś, jak się zachowuje?

Teraz Nina przez chwilę nic nie odpowiadała. Ją także zdawała się pochłaniać kontemplacja cieśniny. Przed nią rozpościerały się zbocza, na których iskrzył się jeszcze śnieg. Renifery musiały już podążyć w głąb wyspy: jedne szły w stronę miasta, inne ku niezamieszkannej wyżynie.

– Tak – powiedziała po chwili. – Tak, wiem, jest nieznośny. I nie można mu się oprzeć.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Tym razem Nina zbyła pytanie milczeniem.

Gdy patrol P9 zjeżdżał w dolinę, zadzwonił telefon Klemeta.

– Ślady? Jakie ślady?

Zgłoszenie kradzieży reniferów.

– Będziemy mogli zająć się czymś innym – rzuciła Nina, gdy skończył rozmawiać.

O umówionej godzinie spotkali się z hodowcą, który właśnie zgłosił kradzież, na parkingu wzdłuż drogi biegnącej w głąb fiordu Reppar. Punktualność nie była rzeczą łatwą w tej bezkresnej i bezludnej krainie, gdzie nikt nie umawiał się na określoną porę.

Złodziej nie zadał sobie wiele trudu. Miejsce przestępstwa leżało zaledwie piętnaście metrów od drogi, raczej na widoku, na zboczu góry. Zadziwiające ryzyko, zważywszy na to, że teren był oświetlony nawet w środku nocy. Hodowca wkrótce odjechał. Podczas wędrówki stad nie można było długo zwlekać.

Zwierzę zostało poćwiartowane na miejscu. Jeszcze jedna oznaka niezwyklej śmiałości złodzieja. Większości kradzieży reniferów dokonywano na jesieni. Zwierzęta były wówczas zdrowsze, skubały więcej trawy ze zboczy, mięso było o wiele lepsze. Ale mrok pozwalał kłusownikom polować bez większego ryzyka. Klemet i Nina założyli niebieskie plastikowe rękawiczki i zaczęli oglądać skórę i łeb renifera, którego rogi zniknęły. Złodzieje nie zabrali jednak uszu.

– Jeśli są uszy, to złodziej nie jest stąd, inaczej przecież by wiedział, że najlepszym sposobem zamknięcia śledztwa w sprawie kradzieży jest ich usunięcie. Prawda?

Klemet nie uznał za stosowne odpowiedzieć. Nina nie była w straży reniferów zupełną nowicjuską, zdążyła już przyswoić sobie podstawy. Jeśli nie ma uszu, to nie ma oznakowania, jeśli nie ma oznakowania, to nie ma właściciela. Nie może złożyć skargi. Jeśli nie może złożyć skargi, to sprawa zamknięta. Żelazna logika dochodzeń policyjnych w Laponii.

Tyle tylko, że trzeba to wiedzieć. Każdy renifer ma na obojgu uszach znaki identyfikacyjne, jednoznacznie wskazujące na hodowcę. Policja ma katalog zawierający setki takich znaków, używanych w całym regionie. Klemet i Nina popatrzyli na siebie i jednocześnie wpadli na ten sam pomysł. Wrócili do pikapa i zaczęli zbierać kawałki mandatu porozrzucane po tylnym siedzeniu.

Rozdział 6

Port Hammerfest. Piątek, 23 kwietnia, 18.50

Nikt już dokładnie nie pamięta ani dlaczego, ani kiedy najmniejszej kei portu w Hammerfest nadano nazwę kei pariasów. Nils uważał, że ta nazwa do niej pasuje.

Mimo swojego położenia w centrum zupełnie nie pasowała do reszty miasta i do jego dziesięciu tysięcy mieszkańców. Dwieście metrów na lewo od kei, nad morzem, znajdował się rynek z ratuszem, hotel Tuńczyk, kiosk, w którym sprzedawano gazety i cukierki Narvesen, budka z kebabami i kilka sklepów. Budynek, w którym mieściło się przedstawicielstwo firmy naftowej, wznosił się tuż obok, nad galerią handlową.

Kilka metrów w prawo znajdowało się bardzo nowoczesne Arktyczne Centrum Kultury, którego zarys rozświetlał się w nocy na niebiesko. Była to potężna budowla, wzniesiona nad brzegiem zatoki dzięki pieniądзом z eksploatacji gazu na Morzu Barentsa. Można by rzec, że była w tym pewna konsekwencja: ta stara osada jako pierwsza na północy Europy otrzymała oświetlenie uliczne.

Ale spacerowicze nie zapuszczali się do tej części portu. Dla nich te sto metrów było jak sto kilometrów.

Keja pariasów stanowiła osobny świat. Z jednej strony cumowały przy niej małe kutry rybackie. Nie było ich nigdy zbyt wiele, co najwyżej cztery lub pięć. Należały zazwyczaj do Lapończyków; nawet jeśli ich właściciele nie byli Lapończykami, byli równie ubodzy.

Drugi kraniec kei z reguły zarezerwowany był dla statków nurkowych. Tego wieczoru zacumował tam Arctic Diving.

Szczególnośc nadawały jednak temu miejscu dwa bary, nieomal niewidoczne, schowane z tyłu za keją. Położone były obok siebie; choć rozdzielał je rodzaj fosy, wypełnionej wielkimi pojemnikami z paliwem, ciągnęły się jak linia demarkacyjna. Pierwszy z nich znany

był jako miejsce, w którym schodzili się nurkowie i marynarze wracający z rejsów, zupełnie różne od pubu Black Aurora, rezerwowanego na wieczory, podczas których chwalili się swymi przygodami.

W tym barze przy kei pariasów, Riviera Next, nurkowie byli wśród swoich; nie musieli szukać towarzystwa innych, popisywać się, zasługiwać na opinię podrywaczy, imprezowiczów, zawadiaków i zuchwalców, zakłócających spokój mieszkańcom. Tylko nieliczni spośród tych, którzy nie należeli do ich świata, mogli wejść do tej jaskini lwa bez poczucia, że są tu zdecydowanie nie u siebie.

Sąsiedni bar, Bures – po lapońsku „dzień dobry” – wyglądał jeszcze gorzej. Jego bywalcy stanowili jeszcze inny świat: rybaków, Lapończyków i innych. Byli to miejscowi, drobni rybacy z trudem utrzymujący się z tradycyjnych połowów w fiordach, ludzie z samego dołu lapońskiej hierarchii, której szczyt zajmowali wielcy hodowcy reniferów. Ale ci, których stada błąkały się po wyspie Kvaløya, nie byli wielkimi hodowcami. Nie mieli na to szans. Dlatego niektórzy z nich przychodzili czasem do Bures. Czasem. Rzadko. Czuli, że tutaj, w mieście Hammerfest, w którym niepodzielnie panowały ropa naftowa i gaz z Morza Barentsa, nie są mile widziani. W okolicach kei pariasów mogli uniknąć konfrontacji z resztą mieszkańców miasta.

Drogę do obu barów zamykała zwykła brama garażowa. Po jej otwarciu pusta przestrzeń, która się za nią znajdowała, służyła za palarnię; były tam dwa stoły, ławki i porozstawiane wszędzie popielniczki. Nieosłonięte żarówki świeciły ostrym światłem. Bary znajdowały się w głębi; wiodły do nich proste drzwi nieopatrzone żadnymi napisami. Jeśli się o nich nie wiedziało, można było przejść obok i nawet ich nie zauważyć.

Po spędzeniu części dnia w kabinie dekompresyjnej z Tomem Paulsenem Nils Sormi szedł odreagować do baru. Na Black Aurora był jeszcze czas. Po zejściu ze statku dołączył do niego Henning Birge, miejscowy przedstawiciel Future Oil. Birge, wielki mężczyzna o szczerzej twarzy, jasnych włosach zaczesanych z przedziałkiem na bok i w okularach księgowego, zdążył już zmyć mu głowę.

Tych typów nic nie obchodzi, co się dzieje na dole, myślał Nils. Ale się nie wychylał. Brał forszę. Kwestia podejścia. Wiedział, że jest najlepszy; ten typ z całą swoją megalomanią nie może się bez niego obyć. Nils słuchał jego wymyślań, ale po nim spływały. Jego narzekania na

opóźnienie, na dodatkowe koszty, na podatki – wszystko to niewiele go obchodziło. Ten facet miał pilnować, by nie przekraczali pewnych granic. Subtelna różnica tkwi w tym, w jaki sposób inni, ci na tarasie, oceniają sytuację, myślał Nils. Złe przygotowanie akcji to nie jego sprawa; on był nurkiem. Birge nie wiedział nawet, że to on, Nils Sormi, w gruncie rzeczy wybawił go z kłopotów.

W końcu do naftowca podszedł Paulsen i wyjaśnił mu – w sposób, który zawsze budził szacunek – jak Sormi ocalił akcję, narażając własną skórę: „wszystko po to, by wyciągnąć ten cholerny, pechowy kawałek żelastwa”.

Inni nurkowie w milczeniu przyglądali się tej scenie. Sormi zachowywał kamienną twarz. Przedstawiciel firmy ośmieszał się w oczach innych, którzy rozumieli, że nurek spisał się wzorowo. Nils Sormi nie był zdziwiony, widząc, że Henning Birge nagle zmienia ton. Poczł zmianę atmosfery.

Birge objął go ramieniem, by go uściskać.

– W porządku, wszystko się dobrze skończyło. Nils, nawet nie wiesz, jak jesteśmy dumni, że z tobą pracujemy.

Mówił to jednocześnie do nurka i do jego kumpli z obu barów.

Nils skorzystał z okazji, że jego rozmówca zbliżył się do niego w uścisku.

– Zrobiłeś błąd, wymyślając mi przy wszystkich – szepnął, ściskając palcami jego ramię. – Niech to będzie ostatni raz.

Rozdzielili się. Mimo bólu Birge wciąż się uśmiechał. Wziął innych na świadków.

– Sormi to przyszłość Finlandii, odwaga i honor, przykład dla wszystkich Lapończyków, człowiek, który bierze swój los w swoje ręce i nie wyciąga ręki po pieniądze, które zarabiają inni. Brawo, Nils. – Odszedł, nie żądając reszty.

Nils poszedł usiąść na tarasie nurków. Z drugiej strony rowu z pojemnikami na olej napędowy kilku rybaków piło piwo. Na pewno Lapończycy, którzy łowią w fiordach, choć są pewnie wśród nich i nie-Lapończycy – nie da się odróżnić, kto jest kim. Różne ludy miesza się tu od pokoleń. Nils wiedział o swoim lapońskim pochodzeniu, ale nigdy się nim nie chwalił. Nie miał powodu. Jeśli firma chciała o tym mówić, czemu nie. On nie widział w tym dla siebie żadnej korzyści. Mieszkańców Hammerfest przeważnie nie obchodziło to, co działo się kilkadziesiąt

kilometrów stąd, w tundrze. Wypił łyk piwa, zamykając oczy. Nagle usłyszał szmer oklasków, jakby echo dobiegające z najciemniejszego zakamarka Bures.

– Piękna akcja, możesz być z siebie dumny.

Oklaski rozbrzmiewały w grobowej ciszy, panującej po drugiej stronie linii z beczkami. Nils dostrzegł Olafa, który wychodził z cienia z piwem w ręku. No proszę, Hiszpan jest w mieście. Co on tu robi? Olaf Renson zasiadał w parlamencie lapońskim w Szwecji, jednocześnie pracując jako hodowca reniferów. Swoją wojowniczością denerwował wielu ludzi. Często zachowywał się prowokująco i jego dumna postawa przyczyniła się do nadania mu przydomka „Hiszpan”.

– Zdecydowanie jesteś zupełnie inny niż Erik – mówił dalej Olaf Renson. – On nigdy nie dałby się tak poniżyć. Umiał trzymać się prosto.

Nils nie odpowiedział od razu. Za Lapończykiem dostrzegł żonę Erika Steggo. Prawie jej nie znał.

– Po co wsadzacie nos w nie swoje sprawy? – odpowiedział ze złością. – Teraz jesteście razem? Jak ci nie wstyd pokazywać się tu z nim, kiedy twój mąż właśnie zginął!?

– Olaf pomaga mi przy stadzie. Jestem teraz sama; dobrze o tym wiesz, bo wyciągnąłeś Erika z wody, i dziękuję ci za to. Dla ciebie to też musiało być trudne. Nie musisz dogryzać mojemu przyjacielowi Olafowi za to, że jest wierny swojej tradycji. To niczego nie ujmuje twoim wyborom.

– Swojej tradycji! Proszę, możemy o tym porozmawiać. Fakt, że renifery to nie moja kultura. Mówicie mi o odwadze? Słyszycie samych siebie? Można się uśmieć. Popatrzcie na tych dumnych Saami¹, jak pięknie gadają o obronie swojej kultury, a nie mają jaj, żeby pójść na całość i zażądać niepodległości, chociaż mają ziemię, parlament, flagę i cały ten majdan.

Wokół Nilsa nurkowie zwietrzyli spektakl. Kilku zaczęło stukać szklankami o stół. Nils zdawał się nie zwracać na nich uwagi; patrzył zimno na Lapończyków.

– Ciekawe, co byście zrobili, gdybyście ją dostali, hę? Wiecie, dlaczego tego tu nazywają Hiszpanem? Bo wypina dumnie tyłek jak toreadorzy, do których jest podobny. Dobrze wychodzi mu zwłaszcza robienie uników, kiedy trzeba wziąć na siebie odpowiedzialność. Ja biorę odpowiedzialność za to, co robię, kiedy schodzę na dno.

Nurkowie zaczęli gwizdać, zagrzewając Nilsa do boju, podczas gdy inni ze śmiechem bili mu brawo. Miny tych z drugiej strony były coraz bardziej zacięte. Niektórzy, uznając, że kłótnia ich nie dotyczy, weszli do baru.

– Zapominasz, że coś się zmieniło.

Olaf podszedł do beczek, wskazując palcem na Nilsa.

– Teraz będziemy mieli autonomię. I wszystko będzie inaczej!

– Aha, i z czego będziecie finansować tę waszą autonomię? Sprzedając skóry reniferów? Forsa to ropa, która jest tam, w morzu.

– Ta autonomia będzie też twoja. A kim ty jesteś, biedaku? Te pieniądze, ta ropa, to wszystko nasze. Należy do Saami. Ziemia, ropa, woda – to wszystko nasze!

Teraz z kolei Lapończycy zaczęli krzyżeć i bić brawo. Nurkowie podnieśli się. W tym momencie wszedł Klemet.

– Myślę, że powinniście się uspokoić – powiedział policjant.

Nils usiadł. W końcu przecież był zmęczony. Olaf z hukiem postawił piwo.

– Proszę, sprzedawczyki! – wycedził przez zęby. – Chodźmy, nic tu po mnie.

– Zmień płytę – odpowiedział policjant zmęczonym głosem. – Anneli, przyszedłem z tobą porozmawiać. Musimy pomówić o twoim stadzie.

Po obu stronach linii z beczkami wszyscy wrócili do swoich szklanek. Emocje szybko opadły, pochłonięte szarością dnia. Nils podniósł szklankę. Patrzył, jak odchodzą.

– Wasze zdrowie, pariasi.

Rozdział 7

Hammerfest. Klub Białego Niedźwiedzia, 22.00

Siedziba Królewskiego Towarzystwa Białego Niedźwiedzia, instytucji z wielkimi tradycjami, mieściła się razem z biurem turystycznym Hammerfest w jednym z tych niskich, smutnych budynków, które szpeciły centrum miasta.

Wejście znajdowało się na parterze, naprzeciw kei nad kanałem głębokowodnym, do której pod koniec dnia codziennie przybijały wielkie promy Hurtigruten, obsługujące przybrzeżne połączenie ekspresowe, łączące Bergen z Kirkenes. Pięćset metrów dzieliło ją od kei pariasów. Klub od kilku godzin był zamknięty dla gości, ale w sali w głębi, służącej do zebrań, wciąż paliło się światło.

Markko Tikkanen znów się spisał. Jak zwykle.

Zawsze robię, co trzeba, pomyślał.

Uwijał się szybko, mimo swego ogromnego cielska, poprawiając niesforny kosmyk ciemnych włosów wystający ze źle wypomadowanej czupryny, upewniając się po raz ostatni, czy wszystko jest na właściwym miejscu.

Mały, ośmioboczny stolik na środku sali, przyozdobiony figurką białego niedźwiedzia z kości słoniowej, z drewnianymi nogami wzmocnionymi sznurem, był jeszcze nienakryty. Jego goście cieszyli się, gdy widzieli tego niedźwiedzia na stole, zanim jeszcze przykryto go obrusem. Mówili, że czerpią z niego siłę.

Jeśli im to sprawia przyjemność...

Równie wielką wagę przywiązywano do dwóch krzeseł i dwóch dwuosobowych ławek, które ustawiano wokół stołu. Były przykryte skórami fok; zdobiły je podobizny skalnych form występujących w okolicy. Kolejne skóry fok, zdjęcia z norweskich wypraw arktycznych i szkielety zwierząt ozdabiały ściany pomieszczenia.

Gości intrygowała zazwyczaj mniej więcej czterdziestocentymetrowa kość spoczywająca w kącie za szybą, która chroniła ją przed wścibskimi turystami. Służyła ona do wprowadzania nowych członków klubu, nieświadomych, że są pasowani ogromną kością penisa morsa.

Do ciemnej sali nie docierał łagodny, pomarańczowo-fioletowy blask zachodzącego słońca. Nastrój tworzyły jednak przyćmione światła.

Wkrótce przyszli goście. Markko Tikkanen, znany z uprzejmości, kłaniał się lekko każdemu z nich, witając ich twardym akcentem, który zachował po finlandzkich przodkach. Ludzie, którzy się teraz schodzili, należeli do najbardziej wpływowych obywateli tego miasteczka, stającego się właśnie Singapurem Dalekiej Północy. Albo, jeśli kto woli, Dubajem Arktyki. W każdym razie Markko Tikkanen chciał w to wierzyć. Czasem było mu przykro, gdy patrzył na tę miejscinę wciśniętą w kąt wyspy, u stóp góry smaganej przez wiatry, zwróconą ku Morzu Barentsa. Ale Tikkanen był Tikkanenem. Moja matka urodziła mnie optymistą, myślał. Gdyby nie to, widząc, w jakiej dziurze przyszedłem na świat, powinienem był natychmiast umrzeć z rozpaczy. Tak to widział. W swoiście poetycki sposób. W każdym razie uważał, że to właśnie jest poezja. Albo zdrowy rozsądek.

W porządku, wszystko gotowe. O proszę, jest i Teksańczyk. Proszę bardzo, piękny uśmiech. Bill Steel był autentycznym Teksańczykiem, do tego miał cygaro. Tak czy inaczej, Tikkanen postanowił nazywać go Teksańczykiem, choćby nawet pochodził z Michigan. Oczywiście, cygaro. Billa Steela uważano za oryginała, gdyż był to prawdopodobnie jedyny Teksańczyk na świecie, który nosił czapkę Chicago Bulls. Nikt nie wiedział dlaczego. Tak bardzo imponował im swoją wspaniałą byczą szyją, na której nabrzmiwały żyły, że nikt nie miał odwagi go spytać, gdyż podejrzewano, że powód jest nieomal niewyjawialny. Tym większe robił wrażenie. Jeśli Tikkanen, gruby, niezgrabny mężczyzna, zabawiał towarzystwo nade wszystko sprośnymi żartami, to ogromny Teksańczyk wzbudzał podziw masą mięśni, co tłumaczy, dlaczego Fin pozwolił mu do siebie mówić „Tikka”, choć nie podobał mu się ton, z jakim wymawiał to zdrobnienie.

Uważając się za gospodarza całego zgromadzenia, Tikkanen studiował profile swoich gości. Niektórzy mogliby poczuć się urażeni, ale prawda jest taka, że Tikkanen wkurzał ludzi swoją dociekliwością. Uwielbiał wiedzieć wszystko o tym, co kto robi, skąd pochodzi, jakie ma

przyzwyczajenia. Tikkanen tłumaczył sobie, że funkcja, którą pełni, uzasadnia tę manię. Nie widział w tym nic zdrożnego.

Tikkanen robił powtórkę przed każdym spotkaniem. Teksańczyk Steel, weteran norweskiej odysei naftowej, przyjechał na Morze Północne w połowie lat sześćdziesiątych, w czasie gdy Norwegowie zaczęli już czuć zapach ropy, ale umieli tylko wydłubywać ości ze swoich dorszy. Byli wieśniakami i rybakami, którzy nie wiedzieli jeszcze niczego o węglowodorach i zewsząd ściągali ludzi. W tamtych czasach Steel swoim sposobem bycia wyrobił sobie reputację gburą obrażającego wszystkich, którzy znaleźli się bliżej niż pięć metrów od niego. Z biegiem lat zaczął się trochę hamować. Stąd nominacja na przedstawiciela amerykańskiego koncernu South Petroleum w północnej Norwegii, jednego z najważniejszych miejscowych graczy.

Kolejny ukłon – tym razem w stronę Henninga Birge'a. Tikkanen nie ufał temu wielkiemu blondynowi o szczerzej twarzy, zwieńczonej nienagannym przedziałkiem. Spojrzenie kuny. Zdecydowanie zbyt pewny siebie. Jego firma Future Oil, szwedzka, co z miejsca czyniło ją podejrzaną, nie należała do największych, ale specjalizowała się w eksploatacji ryzykownych miejsc. Była obecna we wszystkich miejscach, które nie były godne polecenia. Ropa w Arktyce? Zasiarczona? Nie ma sprawy. Future Oil był w swoim żywiole. Tikkanen nie lekceważył ryzykownych przedsięwzięć. Kto nie ryzykował, ten niczego nie osiągał – on wiedział o tym najlepiej. Ale on, Tikkanen, znał siebie, Tikkanena. Wiedział, że może sobie zaufać. Przeważnie. Chyba że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Pech. Biurokracja. Wszystko, co tylko na świecie może sprzysiąc się przeciw takim jak on. Kołyszącym się krokiem Tikkanen podszedł do stolika na kółkach. Rozległ się brzęk butelek. Dał znak w stronę stołu z niedźwiedziem.

Potężny blondyn z Future Oil, który szeptał coś teraz na ucho Teksańczykowi, pochodził na dodatek z południa Norwegii. Norweg, który pracuje dla Szwedów... Tu wszyscy wiedzą, że ludzie z południa nie nadają się do pracy na północy. Przyjeżdżali tu ze swoimi ideami, ze swoim akcentem, myśląc, że mogą pouczać innych. Ale przywozili też dużo pieniędzy i mnóstwo projektów inwestycyjnych. Do których potrzebowali ziemi. A ziemia to już sprawa jego, Tikkanena. Tikkanen nie zadowalał się bowiem katalogowaniem życiorysów; był też w stanie wymienić właścicieli nieomal wszystkich gruntów na całej wyspie,

a nawet przewidzieć, gdzie od wiosny po jesień będą się pasły renifery. Krótko mówiąc, wiedział, gdzie mogą wystąpić ewentualne konflikty z hodowcami. A to była wiedza na wagę złota, Tikkanen to wiedział. Międzynarodowym korporacjom nie sprawiało problemu zamykanie fabryk; można by powiedzieć, że taką mieli robotę. Ale konflikt z miejscową ludnością – to od razu tworzyło cholernie zły wizerunek. Wielkie firmy starały się więc unikać takich sytuacji. Tikkanen rozumiał to doskonale. Wciąż kombinował, jak rozwiązywać tego rodzaju problemy.

Tikkanen uśmiechnął się powitalnie do Birge'a, wskazując mu miejsce. W końcu przyszedł też Gunnar Dahl i usiadł koło Larsa Fjordsena. Dwóch miejscowych, bez dwóch zdań. Szczerzy faceci, bez ceregieli. Wedle informacji posiadanych przez Tikkanena Lars Fjordsen był przynajmniej w jednej czwartej Lapończykiem. On sam pewnie dokładnie nie wiedział. I prawdopodobnie gwizdał na to, gdyż tu, na wybrzeżu, prawie wszyscy mieli jakichś lapońskich przodków. Fjordsen był mały, prawie łysy, z małymi, niebieskimi, roześmianymi oczami, którymi przeszywał niespodziewanie swoich rozmówców.

Nim przeszedł do polityki, Fjordsen pracował jako inżynier geolog dla Norgoilu, publicznej norweskiej firmy naftowo-gazowej. Miał swoją godzinę chwały, dzięki badaniom sejsmologicznym, które przyczyniły się do odkrycia pola gazowego „Troll” na Morzu Północnym, zawierającego największe wówczas złoża gazu na świecie. Dzięki swojemu zaangażowaniu politycznemu – był ambitnym działaczem socjaldemokratycznym – szybko robił karierę. Był prawdziwym zwierzęciem politycznym; wszystkich znał, nie musiał robić notatek, co budziło zazdrość Tikkanena.

O wiele trudniej przyszło Tikkanenowi otaksować ostatniego z czterech ludzi, którzy budzili w nim pewne obawy. Chociaż kuty na cztery nogi Tikkanen nie bał się niczego ani nikogo. Zazwyczaj.

Gunnar Dahl wyróżniał się wysokim wzrostem, ciemnym zarostem i szczupłą sylwetką; Tikkanen uważał, że jest chudy, aż do śmieszności. Broda okalała mu całą twarz; nie miał wąsów. Wyglądał trochę jak Lincoln. Najbardziej przypominał protestanckich pastorów, którzy dali się we znaki Tikkanenowi w latach młodości. Jak na faceta z branży naftowej Dahl był dość osobliwy. Nie bez powodu obnosił się ze swoim wyglądem pastora; często przesiadywał w kościele. Dahl był też

najstarszy. Należał do pierwszej fali pionierów Norgoilu, którzy wyruszyli na podbój świata, gdy tylko norweskie przedsiębiorstwo uzyskało prawa do eksploatacji złóż w granicach swojego kraju. Kiedy Norgoil zaczął eksplorować nowe tereny, spółka zwróciła się do sieci norweskich misjonarzy rozsianych po całym świecie, by lepiej zrozumieć inne społeczeństwa i skorzystać z ich logistyki. Misjonarze należeli do kościoła państwowego, a Norgoil również pracował dla państwa, więc i jedni, i drudzy byli funkcjonariuszami państwowymi, a zatem doskonale się rozumieli. Tikkanen zawsze uważał, że była to skrajna hipokryzja. Większość pracowników Norgoilu miała gdzieś Kościół. Ale Gunnar Dahl był inny. Nie palił, nie pił, nie używał sobie z dziewczynami. Postawa ta zyskała mu przydomek Wielebnego, który brzmiał dość osobliwie w tym brutalnym, pozbawionym skrupułów środowisku.

Wszyscy już przyszli. Tikkanen organizował tego rodzaju zebrania co najmniej raz na miesiąc, zawsze w piątki. Były to nieformalne spotkania, bez ustalonego porządku dnia, ale zaproszeniom Tikkanena nie sposób było odmówić – doskonałe jedzenie, napoje, a czasem też i dobre towarzystwo. Chociaż nie tym razem. Tikkanen miał jednak nadzieję zebrać parę interesujących informacji.

Nakrywszy stół obrusem, Tikkanen zaczął usługiwać gościom. Ci ostatni nie zadawali sobie trudu, by i on mógł wziąć udział w spotkaniu. Birge wyciągał szklankę, nie patrząc na niego; Fjordsen ponaglał, by zaczął podawać jedzenie.

– Tikka, a panienek dzisiaj nie będzie? – zawołał Teksańczyk, opróżniając połowę szklanki z piwem.

Tikkanen rzucił skrępowane spojrzenie Wielebnemu, który nigdy nie mieszał się do ich frywolnych zabaw. Ale naftowiec o wyglądzie pastora nigdy nie protestował przeciwko tym praktykom. Wierzył zapewne w siłę przykładu i, świadomy swojej reputacji, nie chciał jeszcze dorzucać do niej prawienia morałów. On też przyszedł podzielić się paroma problemami zawodowymi i ewentualnie rozwiązaniami.

Nie czekając na odpowiedź, Teksańczyk wybuchnął gromkim śmiechem, po czym rzucił się na tartinki z łososiem. Tikkanen skinął zachęcająco głową. Znow przyglądał się ich niewybrednym zabawom. Przy nim zawsze tak było. Trzymali go na dystans. Wysyłali go po wino, żeby nie był za blisko. Stało się to czymś w rodzaju rytuału, na który się godził, gdyż kiedyś raz na zawsze dano mu do zrozumienia, że we

właściwym czasie dowie się tego, czego chce się dowiedzieć. Tikkanen znalazł swoje miejsce. I nie był przegrany. Nic nie tracił. Z wyjątkiem może miłości własnej. Był pionkiem i wiedział o tym. Dostarczał im najlepszych koktajlów z krewetek, plasterków wielorybiego mięsa, które uwielbiał Teksańczyk, wędzonych kawałków foki, które zdawały się być jedyną słabością Wielebnego, podczas gdy Fjordsen rzucał się bez umiarkowania na roladę z reniferów, co zawsze bawiło innych, gdyż znany był z tego, że przepędzał wałęsające się po mieście zwierzęta. Tylko Henning Birge był wciąż bardzo wybredny, zdając się dziwić, że te delicje mogą mieć jakiś smak, co bardzo rozczarowywało Tikkanena.

– Ale to wcale nie jest niegrzeczne, rozumiesz, Tikkanen – powiedział Birge z doskonałą hipokryzją.

– Birge, jesteś cholernym dupkiem – wybuchnął Teksańczyk. – Na niczym się nie znasz, i powinieneś się więcej pieprzyć. O, Wielebny, przepraszam! Tikka, piwa! – Po czym nachylił się do Tikkanena, by szepnąć mu coś na ucho. – I co, obiecałeś dziewczyny?

Tikkanenowi trudno było się pochylać ze względu na ogromny brzuch; zasapał się z wysiłku, otarł czoło z potu i zamiast odpowiedzi zaprosił Steela do sąsiedniego pokoju, gdzie trzymał swoje zapasy.

– Trzy dziewczyny za tydzień przyjadą autobusem z Murmańska. Myślę, że to będzie niezapomniany wieczór.

– Cholerny Tikka, you are the best, mother fucker!

– A... co do projektu South Petroleum, już pan zdecydował?

– A, a, sprytny Tikka, cwaniak z ciebie.

– Do usług – odpowiedział, ocierając pot z czoła.

– Już ci mówiłem, mój mały Tikka: jak mi znajdziesz piękne miejsce, gdzie hodowcy nie będą nam zawracać dupy, to będziesz mój facet, Tikka Tikka.

– Wie pan, że bardzo trudno znaleźć tu takie grunty.

– Nie wkurzaj mnie, Tikka, tymi swoimi cholernymi szczegółami, rozumiesz?

Teksańczyk nie był w miłym nastroju. Żyły na jego szyi zwiększyły objętość co najmniej dwa razy. Tikkanen wsadził mu w każdą rękę piwo; zrobił skruszoną minę.

– Mam pewien pomysł, ale to musi potrwać, jeśli nie chcemy zwracać na siebie uwagi.

– Nic mnie to nie obchodzi, Tikka, nie wydaje się dwustu milionów dolarów z dnia na dzień. Ale muszę mieć plan, żeby przekonać moich szefów w Dallas, Tikka, rozumiesz?

Teksańczyk usiadł znów ze swoimi dwoma piwami, podczas gdy Tikkanen wrócił obładowany jakimiś smakołykami. Bill Steel wychwalał pod niebiosa swojego ukochanego Sormiego, nurka, którego uważał za syna.

– On jest dla mnie jak syn – bełkotał do Henninga Birge’a. – Zostaw go w spokoju, ty wężu.

Wybuchnął śmiechem, a potem nagle spowaźniał i podszedł do reszty towarzystwa. Czterech mężczyzn pochylało się do siebie, szepcząc coś, czego Tikkanen nie mógł wyraźnie zrozumieć. Fin rozumiał: nie należy do ich towarzystwa. Dawali mu to odczuć zupełnie jawnie, nie oszczędzając jego miłości własnej. W głębi serca jednak wiedział, że on tu zostanie. Oni... oni będą tu tylko jakiś czas. Kiedyś wiatr od Oceanu Arktycznego wywieje ich daleko na południe. Nawet Wielebnego i Fjordsena. Nalewał im do kieliszków trzygwiazdkowy koniak ze skromnym, słodkim uśmiechem.

Midday,

długie lata bez żadnych wieści. Skontaktował się ze mną jeden z naszych dawnych kompanów, pionier, ma pretensje do całego świata. Pojawił się w moim życiu, kiedy najmniej się tego spodziewałem, kiedy byłem na samym dnie. On też jest na samym dnie. Myśli, że razem będziemy mogli coś zrobić. Mówi o sprawiedliwości. Nie wiem. W każdym razie jestem tu. Nie cieszy mnie to. Jego też nie. Nie wiem jak, ale musimy zrobić, co do nas należy. Musimy spotkać się z ludźmi.

Rozdział 8

Sobota, 24 kwietnia

Wschód słońca: 3.20. Zachód słońca: 21.26

Długość dnia: 18 godzin i 6 minut

Dzielnica Praerien (Łąki) na wyżynie Hammerfest, 7.30

Patrol P9 został dziś postawiony na nogi z samego rana. Policjantów obudził telefon od Larsa Fjordsena, burmistrza Hammerfest. Był bardzo zdenerwowany. Fjordsen nie był człowiekiem, który miał zwyczaj owijać w bawełnę. Idąc piechotą do ratusza, jak co dzień z samego rana, zobaczył w mieście renifery. „To trochę za wcześnie, prawda?”, skarżył się.

Już ich inwazja w maju była plagą, ale jeśli zaczną pojawiać się od kwietnia, zapanuje zupełny chaos. I niech mu nie mówią, że chodzi o pojedyncze zwierzęta. Hodowcy zawsze mówili to samo i Fjordsen nie miał zamiaru słuchać, jak policja to po nich powtarza. Lepiej niech zrobią porządek, zanim jakiś autobus szkolny będzie miał wypadek.

Telefon odebrał Klemet. Całe szczęście, że nie była to Nina, gdyż nie była dziś w nastroju do wysłuchiwanie protestów burmistrza. Źle spała. Za dużo światła, za wcześnie wzeszło słońce. U niej, na południu, dwa tysiące kilometrów stąd, noce były ciemniejsze, nawet o tej porze roku. Zawsze miała zwyczaj spać bez zasłon, żeby czuć rytm pór roku, żeby cieszyć się tym, co daje jej przyroda, nie wyłączając światła. Tak wychowała ją matka. Dary Boże należy przyjmować z wdzięcznością. Tutaj jednak było to nie do wytrzymania. W chacie w Skaidi, gdzie Klemet i ona spędzili kolejną noc, jej poślanie skierowane było na wschód. A dziś rano słońce zaczęło świecić z całą siłą w najbardziej niespokojnej fazie snu. Renifery w mieście. Dzień zapowiadał się dość wesoło. Klemet także wydawał się markotny, choć z pewnością z innego powodu.

Nina od samego rana czuła się zmęczona. Okropne uczucie. Szybko i w milczeniu zjedli śniadanie. W kącie stołu wały się resztki mandatów. Ich rekonstrukcja okazała się trudniejsza, niż się spodziewali. Klemet musiał być naprawdę zdenerwowany, kiedy darł je na strzępy. Dali za wygraną. Zostawili to na później. Po półgodzinie patrol dotarł do górnej części miasta, do dzielnicy Praerien, za małym lądowiskiem. Naprzeciw nich szeregi domów wiły się równoległymi zakosami, schodzącymi z gór ku morzu. Dzielnica, jak pojedynczy pas stanowiący przedłużenie miasta, opierała się o zbocze, górując nad zatoką. Tworzące ją domy były przestronne, ale bez kłującego w oczy luksusu, cechującego niektóre nowsze wille. Ogrody były jeszcze w połowie pokryte śniegiem, jednak wyczuwało się już tchnienie wiosny, szykującej się do ofensywy kolorów i zapachów. Na wybuch wiosny trzeba było czekać jeszcze długie dwa miesiące, ale Nina czuła w powietrzu nieznaną jej dotąd niecierpliwość. Wkrótce dostrzegła stado reniferów, które zepsuły poranek burmistrzowi. Niecała dziesiątka. Skubały trawę wzdłuż Måneveien, drogi księżyca.

– Przejdź się najpierw po dzielnicy – poradził jej Klemet.

Nina uruchomiła toyotę. Dzielnica składała się z sześciu czy siedmiu kwartałów, z których każdy liczył około trzydziestu domów. Stado buszujące w pobliżu było najwyraźniej samo. Na horyzoncie nie widać było żadnego innego zwierzęcia. Nina zawróciła i zaparkowała pikapa około pięćdziesięciu metrów od reniferów. Niektóre interesowały się zasadzonymi ostatnio w klombach kwiatami. Po sześciu miesiącach diety złożonej z porostów taki widok był nieodparcie pociągający. Dom zdawał się pusty, jego mieszkańcy zapewne pojechali już do pracy.

– Jak zareagują ludzie, kiedy zobaczą te renifery?

– No, nie będą zbyt szczęśliwi. Widzisz, że zżerają im kwiaty. Możesz sobie wyobrazić. O, popatrz na tego staruszka, który wychodzi.

Starszy człowiek, sąsiad, właśnie zauważył zwierzęta. Chodził z trudem, podpierając się laską, ale w jego ruchach wyczuwało się zdenerwowanie. Podszedł do drewnianego płotu swojego ogrodu i uderzył weń mocno laską, żeby odstraszyć Renifery. Te podniosły łby, ale postanowiły go zignorować.

– Normalnie takie historie z reniferami w mieście się zdarzają, zwłaszcza latem. Trzeba było widzieć zeszłego lata, jakiego tu narobiły bałaganu. Najpierw pasły się nad brzegiem morza, a potem schroniły się

w cieniu budynków. I tam też wyjadły, co tylko mogły. Trzeba było wtedy widzieć Fjordsena. Był naprawdę wkurzony.

W oddali staruszek zrobił jeszcze kilka kroków, wszedł na chodnik i stuknął w swoją metalową skrzynkę pocztową. Tym razem renifery natychmiast się spłoszyły. Samochód, który właśnie wyjechał z zakrętu, o mało nie wpadł na jedną z samic, i stado się rozbiegło. Staruszek patrzył na nie jeszcze jakiś czas, po czym wrócił do domu. Po drodze odwrócił się jednak, jakby coś mu przyszło do głowy. Spojrzał w stronę toyoty i potrząsnął laską.

– Łatwo zgadnąć, co miał na myśli – powiedział Klemet. – Dobra, lepiej stąd chodźmy.

Nina, obszedłszy dzielnicę, stwierdziła, że renifery weszły między samochód i ogrodzenie, które biegło u zbrocza góry i otaczało właściwie całe miasto, mając za zadanie nie wpuścić do niego zwierząt.

– Jak widać, zaporą wzniesioną przez burmistrza nie jest zbyt skuteczna.

Klemet nie odpowiedział od razu. Obejrzał ogrodzenie przez lornetkę.

– Są w nim bramki, a ludzie idący na spacer w góry nieraz zapominają je zamknąć. Są nawet tacy, którzy specjalnie je otwierają, bo nie chcą mieszkać w zamknięciu.

– Mają wrażenie, że są reniferami?

– Myślę, że coś w tym rodzaju.

Klemet odłożył lornetkę i wysiadł z samochodu. Wyglądził swoją parkę, rozejrzał się i podążył pieszo w kierunku reniferów. Nina rozsiadła się wygodnie w samochodzie i opierając ręce i brodę o kierownicę, śledziła wzrokiem poczynania kolegi. Klemet szedł bardzo powoli. Renifery obojętnie żerowały jakieś trzydzieści metrów od niego. Klemet zbliżał się do nich małymi krokami, nieco zabawnymi przez przyciężką, skrępowaną mundurem sylwetkę. Wyobrażając sobie scenę, która miała nastąpić, Nina nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Klemet stawiał stopy jak Armstrong chodzący po Księżycu, ciężko, kołysząc się jak niedźwiedź. Potem zaczął powoli podnosić ramiona, przesuwając je poziomo, niczym ptak szykujący się do lotu. Opuścił je równie powoli, po czym zaczął powtarzać ten niezwykły gest, nie przerywając swojego księżycowego spaceru. Nina uśmiechnęła się teraz szeroko. Wyciągnęła z kieszeni parki aparat fotograficzny i uwieczniła tę scenę. Jej poranne zmęczenie zupełnie minęło. Renifery podniosły łby i patrzyły na dziwnego stwora,

który się do nich zbliżał. Nina zrozumiała, że Klemet nie chce, by zwierzęta się przestraszyły i by znów się rozbiegły. Trzeba je było spokojnie odciągnąć w pożądanym kierunku, w stronę odległego o dwieście metrów ogrodzenia. Najbliższe renifery zaczynały już reagować. Podniosły łby i zrobiły kilka kroków. Jak na razie wszystko idzie dobrze, pomyślała Nina. Podjechała samochodem kilka metrów za Klemetem, by zagrozić drogę i zacieśnić obławę. Klemet zatrzymał się na chwilę, rozejrzał wkoło, jakby chciał się przekonać, że nikt nie przygląda się jego zabawnym wyczynom. Najwyraźniej upewniwszy się, zaczął znów swój delikatny marsz księżycowego ptaka, gdy wtem z przecznicy wyjechał samochód. Kierowca zatrąbił kilkakrotnie, widząc renifery i policjanta, którego pozdrowił wystawioną przez okno ręką. Spłoszone zwierzęta natychmiast rozbiegły się we wszystkich kierunkach, samochód zaś próbował odjechać, trąbiąc wniebogłosy. Cały wysiłek Klemeta spełził na niczym. Rzucił się w lewo, próbując zagrozić pojazdowi drogę. Biegł, machając rękami. Otworzyły się drzwi, wychylnęła z nich głowa. Klemet zatrzymał się i opuścił ręce, przybierając godną postawę. Gdy drzwi się zamknęły, znów zaczął biec ze skrzyżowanymi rękami. Nina szczerze się uśmieła. Klemet wciąż biegł; nagle rozłożył się jak długi i wpadł do rowu. Nina, nie mogąc się opanować, wybuchnęła śmiechem. Renifery uspokoiły się i zatrzymały kilkadziesiąt metrów dalej. Zaczęły wyjadać świeże sadzonki w grządkach z kolejnych ogródków. Jakaś kobieta wyszła na ganek i przyglądała się Klemetowi, który wyglądał niezbyt korzystnie, trąc parkę uwalaną błotem i śniegiem. Nina nie słyszała, co mówi stara kobieta, ale najwyraźniej nie uspokoiło to Klemeta. Nina nie wiedziała, czy ma mu przyjść z pomocą. Klemet starał się nie patrzeć w jej kierunku, próbował przybrać znów godną pozę. Powiedział coś do staruszki, która odwróciła się energicznie i wróciła do siebie, kręcąc z oburzeniem głową. Z tego, co widziała Nina, renifery podzieliły się teraz na co najmniej trzy małe grupy. Misja stawała się skomplikowana.

Klemet wrócił do samochodu. Trzasnął drzwiami.

– Napiszemy protokół. Wezwano nas, byśmy stwierdzili, że są renifery. I widzieliśmy renifery. To wszystko.

– Wszystko?

– Tak, wszystko. Koniec misji. Pięknej, uroczej misji wielkiej straży reniferów – cedził przez zęby Klemet, nie ochłonawszy jeszcze z wściekłości. – Wezwiemy Mortena Isaaca, on tu jest szefem dystryktu, to

są renifery jednego z jego hodowców... Ostatecznie to on powinien je stąd zabrać, jeśli nie chce, by je wystrzelali.

– Tak, nam byłoby trochę trudno – powiedziała Nina, zagryzając wargi, by powstrzymać uśmiech.

Klemet nie patrzył na nią; zajęty był wystukiwaniem numeru w swoim telefonie.

– Halo, Morten, tu Klemet. Tak, tak, ten ze straży reniferów. Twoje renifery są jeszcze w Praerien. Musisz szybko przysłać tu ludzi.

Klemet odsunął telefon od ucha. Po drugiej stronie szef dystryktu grzmiał wściekłym głosem.

– Nic mnie to nie obchodzi – dodał po chwili Klemet. – Jedziemy do ciebie. I musimy też porozmawiać o innych rzeczach, więc bądź na miejscu. Jedziemy. I wyślij swoich chłopców, na litość boską!

Klemet rozłączył się i rzucił telefon.

– Co za uparty człowiek.

Nina pojechała w kierunku centrum miasta.

– Gdzie znajdziemy Mortena Isaaca?

– W Kvalsund.

Klemet włączył radio. W NRK Finnmark była właśnie pora wiadomości lokalnych. Podawano dane o miejscowym bezrobociu w marcu, jak zwykle najniższym. Norgoil ogłaszał podpisanie nowego kontraktu na konserwację instalacji elektrycznych z miejscową firmą, na kwotę około stu pięćdziesięciu milionów koron. Dwa wypadki skuterów śnieżnych na rzece, na której puścił lód – ich kierowcy wyszli z nich cało. Spiker wzywał ponownie do wzmożonej ostrożności w czasie weekendu, gdy ludzie wyjadą skuterami w góry na rodzinne pikniki. O incydencie z nurkiem, który omal nie zakończył się tragicznie, zaledwie wspomniano. Był długi wywiad z Fjordsenem, który znów skarżył się na renifery w Hammerfest. W tym roku był to pierwszy taki przypadek i szczerze mówiąc – narzekał – sytuacja się nie poprawi, gdyż miasto musi się rozrastać, by przyjąć przedsiębiorstwa, które będą się rozwijać, wszyscy rozumieją, że to konieczne, jeśli mamy utrzymać zatrudnienie na wysokim poziomie. Festyn wielkanocny w Kautokeino trwał w najlepsze, jeszcze tego wieczoru oczekiwano licznych artystów. W meczu sparingowym Alta IF odniosła małe, lecz pożądane zwycięstwo, wygrywając 1:0 z TIL na boisku rywala w Tromsø.

Klemet przekręcił gałkę.

- Ani słowa o śmierci Steggo – zauważyła Nina.
- Mówili o tym wczoraj. Co mieliby jeszcze powiedzieć?
- Co ci przed chwilą powiedziała ta stara kobieta? Chyba odpowiedziałeś jej coś nieprzyjemnego.

Klemet zrobił obrażoną minę.

- Jak zwykle, te same oskarżenia. Że Lapończycy ze swoimi reniferami nie mają tu czego szukać, że wszystkim przeszkadzają, że to ofiermy.

– Zdążyła ci to wszystko powiedzieć? – spytała rozbawiona Nina.

– Zawsze mówią to samo.

– A ty co jej odpowiedziałeś?

Klemet wzruszył ramionami.

- Żeby obejrzała album rodzinny, a na pewno znajdzie w nim jakiegoś lapońskiego przodka. Najwidoczniej jej się to nie spodobało.

Nina wybuchnęła śmiechem.

- Ach tak! – śmiała się dalej. – Mimo wszystko nie było to miłe – dodała.

– A dlaczego? Czy sugerowanie, że w czyichś żyłach płynie lapońska krew, jest niegrzeczne? Tu, na wybrzeżu, wszyscy mają różnych przodków, ale nikt o tym nie mówi. To wszystko bzdury.

Nina zmitygowała się.

– Masz rację. Nie chciałam cię urazić. Przepraszam.

Przez resztę drogi milczeli. Jechali już od jakiegoś czasu. Wyjechali z tunelu na południu wyspy i wjechali na most wiszący. Jednocześnie spojrzeli na prawo, w stronę miejsca, gdzie utonął Steggo.

– Nie wiesz, co tam się właściwie stało?

– Masz na myśli tego hodowcę?

– Kobieta, z którą rozmawialiśmy w obozie...

– Susann.

– ...wspominała o problemach na szlaku wędrówki reniferów.

– Hodowcy wybierają na przemarsz utarte szlaki wzdłuż dolin, tam, gdzie renifery będą miały co jeść, bo wędrówka może trwać całe tygodnie, zanim stada dojdą do pastwisk letnich na wybrzeżu.

– I w czym jest problem?

– W tym, że po zimie renifery są bardzo osłabione, w niektórych przypadkach nawet wycieńczone. Przez całą zimę jedzą tylko porosty i dzięki temu utrzymują się przy życiu. Niektórych hodowców korci, by

jak najwcześniej dotrzeć do najlepszych pastwisk, gdzie ich renifery mogą się odpaść, nawet jeśli obyczaj nakazuje zachowanie pewnego porządku.

– I myślisz, że podobne spory skłóciły hodowców, którzy przedwczoraj tam byli?

– Spróbujemy się dowiedzieć.

Kilka minut później samochód zatrzymał się na stacji obsługi. Klemet podszedł do dużego drewnianego budynku i zapukał do drzwi. Ukazał się w nich około sześćdziesięcioletni, rozczochrany mężczyzna. Ubrany był w wielki wełniany sweter, kalesony i grube skarpety. W ręku trzymał spodnie, szykując się do wyjścia. Bez słowa odsunął się i wpuścił gości.

Szef 23. dystryktu poszedł zrobić kawę. Przez okna widać było skrawek morza i wiszący most; za nim w głębi majaczyła Kvaløya, Wyspa Wieloryba. Z domu nie widać było ani miejsca, w którym utopił się hodowca, ani świętego kamienia.

– Przedstawiam ci Ninę Nansen, tej zimy jeździ ze mną w patrolu P9.

– Nie znam. Ale słyszałem. Piękna blondyneczka, która przybyła do nas prosto z południa. Co takiego przeskrobałaś w szkole policyjnej, że cię tu przysłali, moja śliczna? – spytał Morten Isaac. – Popatrz, Klemet, to już nie mają facetów, żeby ich wysłać do Laponii?

– Masz z tym jakiś problem, Morten? – odpowiedziała Nina. – Sądziłam, że nawet wśród Saami są kobiety hodowcy.

– I myślisz, że hodowli reniferów wyjdzie to na dobre? A ile ich jest? Takie historie są dobre dla dziennikarzy i polityków z Oslo. Z ich pomysłami, żeby wszędzie wprowadzać parytety.

– No tak, przecież mężczyźni lepiej pilnują reniferów – odrzekła kpiąco Nina. – À propos, wiesz, dlaczego tu jesteśmy?

Klemet rozkładał mapę w kuchni, starając się nie mieszać do ich rozmowy. Śliski temat. Morten Isaac przyniósł kawę. Nie czekając na wyjaśnienia Klemeta, wskazał na linię ogrodzenia otaczającego Hammerfest.

– Przez całe lata wyklócaliśmy się o to z gminą. Teraz udało im się postawić dwudziestokilometrowy płot, uniemożliwiający reniferom wejście do miasta. Ale czy tego chcemy, czy nie, miasto leży na szlaku prowadzącym do strefy bardzo ważnych pastwisk, na których pasą się renifery, gdy są na wyspie.

Nina rozejrzała się wokół siebie. Z tego, co mogła się zorientować po obejrzeniu domu, kuchnia była umeblowana bardzo prosto. Domy

hodowców na wybrzeżu były prowizoryczne. Główne siedziby mieli w głębi Laponii, w okolicach Kautokeino, Masi albo Karasjok, w samym środku tundry. Zauważyła, że Morten Isaac podąża za jej wzrokiem.

– W tym dystrykcie nie znajdziesz bogatych hodowców. Jest nas około dwudziestu, jesteśmy jednym z najmniejszych dystryktów w Laponii. Razem dwa tysiące reniferów, to niewiele. Ale dla ludzi stąd i tego jest za wiele.

– Być może, ale są jakieś reguły – przerwał mu Klemet. – Macie obowiązek odganiać renifery od miasta. Nie trzeba zaogniać sytuacji.

– Ale tak będzie coraz częściej – ryknął Morten Isaac, waląc pięścią w stół. – Nie widzisz, co wszędzie robią? Z ich ropą, którą wyciągają w Arktyce i ciągną na ląd. Chcą jeszcze jednej rafinerii. A do tego trzeba coraz większych terenów. I myślisz, że komu je zabiorą? Teraz wyjdźcie, muszę zebrać ludzi. Jadę do tych reniferów, tym razem to załatwimy, i jeszcze nasłuchamy się wyzwisk.

Nina dostrzegła, że Klemet ma ochotę mu coś odpowiedzieć, ale dyskretnie pociągnęła go za rękę. Zrozumiał. To wystarczyło. Trzeba było to przełknąć.

Przypomniała sobie Susann. Szef dystryktu kończył się ubierać, nie zwracając już na nich uwagi.

– Morten, czy były jakieś problemy z hodowcami na szlaku wędrówki, w grupie, która spędza lato na Wyspie Wieloryba?

Morten Isaac zapiął spodnie od kombinezonu, wciągnął go na brzuch i popatrzył na Ninę, a potem na Klemeta.

– Nie słyszałeś, co mówię? Mamy coraz mniej ziemi. Myślisz, że jaki to ma wpływ na hodowców? Boże, wszystko trzeba ci tłumaczyć jak dziesięcioletniemu dziecku?

Ninie ten rodzaj desperacji wydał się znajomy. Na przykład Mattis, ten biedny pasterz, który kilka miesięcy temu powoli gasł, aż w końcu zginął. Przypomniał jej się Erik Steggo, młody hodowca, który utonął, i jego młoda żona, owdowiała Anneli. Nie mogła zapomnieć spojrzenia tej kobiety po tym, gdy się dowiedziała, co stało się z jej mężem. Nie powiedziała słowa; tylko jej oczy napełniły się łzami. Dalej milcząc, położyła rękę Niny na skale, po czym odwróciła się do niej plecami i zeszła w dolinę.

Rozdział 9

Hammerfest, 21.00

Markko Tikkanen lubił tę niepewną porę, w której słońce powoli nachylało się, by zniknąć za górami wyspy Sørøya, na zachód od Wyspy Wieloryba. Trochę jakby gwiazda kpiła sobie z ludzi, dając im nadzieję na wieczne pocieszenie. Ale słońce było nieporuszone, podobnie jak sam Tikkanen.

Pewnego dnia, przy szklance w Redrum, Tikkanen zaczął zastanawiać się nad zmianą nazwiska. Ale uwaga tego cholernego Norwega tak go zdenerwowała, że postanowił zrezygnować z tego pomysłu. Czy Tikkanen naprawdę sądzi, że może ukryć swoje pochodzenie, zmieniając tylko nazwisko – rzucił mu ten potwór. Tikkanen go spoliczkował, ale gdyby po tym upokorzeniu spróbował przybrać norweskie nazwisko, straciłby tylko twarz.

W oddali widać było światła samochodu. Człowiek, z którym umówił się na spotkanie, przybywał na czas.

Tikkanen rozejrzał się wokół siebie. Pejzaż, jak zwykle o tej porze, zapierał dech w piersiach. Tikkanen lubił umawiać się na pewne spotkania właśnie w tym miejscu. Gdy patrzył ze szczytu urwiska, miał wrażenie, że panuje nad miastem, nad Melkøya i nad instalacjami gazowymi. Zresztą była to poniekąd prawda. Tikkanen panował nad miastem. W każdym razie miał taką ambicję. Znał wiele jego sekretów. Sekrety te starannie zapisywał w swoich notatkach.

Tuż przy nim zaparkował samochód sportowy. Wsiadł z niego Nils Sormi i przesiadł się do jego wielkiej południowokoreańskiej terenówki.

Nurek lapońskiego pochodzenia jak zwykle próbował być arogancki. Tikkanen uważał, że w pewnym sensie jest jeszcze bardziej nieznośny od naftowców z ich nawykiem traktowania go jak piąte koło u wozu. Oni przynajmniej naprawdę mieli władzę, i Tikkanen to respektował. Ale ten Saami? Za kogo on się uważa?

Nurek nie zdobył się nawet na odrobinę uprzejmości. Podsunął Tikkanenowi pod nos kawałek papieru. Agent nieruchomości obejrzał go.

– Nie powinno być z tym kłopotów. Spróbuję to szybko załatwić. Twojemu koledze się spieszy?

– Jak zwykle. Na razie mieszka w hotelu, ale ma kontrakt na dwa lata, chce się tu osiedlić szybko, a nie za sześć miesięcy.

– Oczywiście, oczywiście.

Markko Tikkanen popatrzył na kartkę, jakby czytał z niej cały katalog domów i mieszkań, które miał w ofercie. Nils Sormi służył mu za pośrednika w środowisku nurków i pracowników firm naftowych, dla których pracował. Robotnicy mieszkali w blokach z prefabrykatów albo na wielkim promie-hotelu, zacumowanym przy wyspie Melkøya. W każdym razie, odkąd boom na węglowodory wstrząsnął życiem miasteczka, w Hammerfest brakowało porządnych lokali dla przybyszów. Teraz mieszkało w nim dziesięć tysięcy ludzi. Żeby pomóc tym młodym, którym się spieszyło, choć na szczęście bardzo dobrze płacili, trzeba było uciekać się nieraz do mało eleganckich forteli.

– A moja działka na półce skalnej? Kiedy ją będziesz miał?

– Kilka dni temu rozmawiałem z burmistrzem, wszystko jest na dobrej drodze.

Tikkanen nie rozmawiał z Fjordsenem podczas ostatniego spotkania w klubie, nie znalazł odpowiedniej okazji. Teksańczyk nie odstępował go tamtego wieczoru ani na krok, tak bardzo chciał się dowiedzieć czegoś na temat trzech dziewczyn z Murmańska. Amerykanin tak się rozochocił, że klepnął go z całej siły po tyłku, wybuchając przy tym obleśnym, okropnym śmiechem.

– Mówisz tak już jakiś czas...

– Ale trzeba przyznać, że jesteś bardzo wymagającym klientem. Chcesz działkę pod dużą, nowoczesną willę z widokiem na całe Hammerfest i na fiord, z prywatnym dojazdem, z polem...

Nils Sormi uderzył gwałtownie wierzchem dłoni w deskę rozdzielczą.

– Od jak dawna?

Ton nurka był zdecydowanie nieprzyjemny. Tikkanen go nie lubił. Nie bał się go. Tikkanen nie bał się nikogo. Wiedział, jak schylać kark, by parować ciosy. Ale Sormi cieszył się szczególnymi względami. Koncerny go kochały, był ich Saami. Piękna sprawa. Koncerny międzynarodowe, które tu działały, od dawna wiedziały, że trzeba zaskarbić sobie względy

Lapończyków. Nie było to łatwe. Miejscowa ludność była chroniona prawem międzynarodowym, nawet jeśli nie zawsze znajdowało ono odzwierciedlenie w systemie prawnym państw skandynawskich. Ale koncerny, by się rozwijać, potrzebowały nowych terenów.

– Uspokój się, Nils. Uspokój się. Niedługo dużo się zmieni.

– Naprawdę jesteś pewien, że w urzędzie miasta wszystko jest na dobrej drodze?

Tikkanen uśmiechnął się. W rzeczywistości ze sprawą tej działki w urzędzie był spory kłopot. Nie mówiąc dokładnie, o co chodzi, Tikkanen rozmawiał o tym z Fjordsenem już wiele miesięcy temu. Fin przysięgał, że nie chce tej wyjątkowej lokalizacji dla siebie. To jednak burmistrzowi nie wystarczyło. Chodziło o teren niezabudowany i objęty ochroną. Tikkanen oczywiście to wiedział. Ale projekt był wspaniały, chodziło o atrakcyjny budynek, zdobiący górę. Tikkanen nie mógł podać nazwiska klienta, ale wszystko miało być załatwione zgodnie z prawem.

– Absolutnie. Ale teraz jest tyle projektów, że urząd nie daje rady. Dla nich ten projekt nie jest na pierwszym miejscu.

Tikkanen zrozumiał, że musi dać Sormiemu coś więcej.

– Zastępca burmistrza to mój przyjaciel. On także doskonale rozumie, że sprawa leży w interesie publicznym. Rozumie to zresztą lepiej niż sam burmistrz. Cierpliwości, Nils, i powiedz swojemu koledze, że będzie miał swoje mieszkanie za dwa tygodnie. Słowo Tikkanena.

Rozdział 10

Niedziela, 25 kwietnia

Wschód słońca: 3.14. Zachód słońca: 21.31

Długość dnia: 18 godzin i 17 minut

Droga nr 93, 9.30

Pikap patrolu P9 był w drodze od samego rana. Ta Niedziela Wielkanocna miała być dniem odpoczynku, ale telefon, który Klemet odebrał dwie godziny temu, nie pozostawił mu wyboru. Wuj Nils-Ante nalegał. Klemet miał przyjechać jak najszybciej do Kautokeino, by się z nim spotkać. Miał mu pilnie coś pokazać. Wuj nie powiedział dokładnie, o co chodzi, ale zapewnił go, że będzie zakałą rodziny i całej policji, jeśli natychmiast nie przyjedzie. Nils-Ante lubił przesadzać; tak naprawdę miał gdzieś to, czy jego siostrzeniec jest dobrym policjantem, czy nie. Słońce było już wysoko i rozświetlało tundrę, oblawszy wcześniej ostrą linię brzegu.

Klemet traktował z nieufnością opowieści swojego wuja, chociaż ubarwiły one jego dzieciństwo bardziej niż wszystkie książki, których nie przeczytał. Po wyjeździe z chaty w Skaidi, gdzie mieli stacjonować w najbliższych tygodniach, Klemet na próżno szukał pojazdów, które sprawdzali tamtego dnia. Ta historia z kradzieżą reniferów irytowała go, wiedział, że niewiele może zrobić, ale nie chciał skompromitować się w oczach koleżanki.

Nina spała obok zwinięta w kłębek. Wieczorem miała jeszcze trudności z zasypianiem. Kwadrans temu minęli Altę i jechali teraz na południe, do Kautokeino. Zadzwoił telefon.

– Jestem w drodze – powiedział do wuja, nie siląc się nawet na pozdrowienie.

– Ja myślę, że jesteś w drodze, od kiedy to nie słuchasz swojego wuja. Pospiesz się, zanim zamkną drogę, żeby przepuścić renifery. Zamykają o dziesiątej trzydzieści.

– Wyścigi reniferów, jeszcze tego brakowało. Zaraz będę.

Rozłączył się. Nina się przeciągnęła.

– Wyścigi reniferów?

– W Wielkanoc w Kautokeino są wyścigi reniferów. I to nie wszystko.

Nina ziewnęła i sięgnęła po termos z kawą. Z szacunku nalała najpierw swojemu koledze, po czym napełniła swój tradycyjny lapoński brzozowy kubek i wypła dwa łyki, robiąc niezadowoloną minę.

– Co to znaczy: nie wszystko?

– Pewnie sama się przekonasz. Oczywiście będzie jakiś ślub, albo nawet kilka ślubów. Hodowcy chętnie wybierają ten dzień na ślub, tuż przed wymarszem reniferów na wędrówkę.

Nina piła kawę małymi łykami. Klemet czuł, że patrzy na niego kątem oka.

– A ty to lubisz?

– Co masz na myśli?

– No nie wiem, te wszystkie zwyczaje i tradycje chyba ci się za bardzo nie podobają.

– Tego nie powiedziałem. Ale to przecież trochę mój świat, prawda?

– Mnie nie pytaj, sam musisz wiedzieć. Ale czekaj, o ile pamiętam, to w swoim ogrodzie w Kautokeino postawiłeś namiot, więc chyba musisz trochę lubić folklor. Przy okazji, widziałeś się z Evą Nilsdotter?

Klemet oddał jej swój kubek. Znow dałem się podejść, pomyślał.

– Trzymaj, dla mnie za gorzka.

Klemet nie miał właściwie nic przeciwko tej małej wyprawie do Kautokeino. W tej dużej wiosce, liczącej dwa tysiące mieszkańców, w większości Lapończyków, kultywowano tradycję i w dzień wielkanocny to ona była dla nich niewątpliwie najważniejsza.

„Dla nich”. Nawet nie myślę: „Dla nas”. Nawet w myślach, przemknęło przez głowę Klemetowi.

Wkrótce minęli kawiarnię Reinlycka, na skrzyżowaniu z drogą wiodącą do Karasjok. Po obu stronach drogi widać było połacie tundry, wyłaniające się ze śniegu. By ta biel znikła, trzeba było poczekać jeszcze dobrych kilka tygodni.

Klemet jęknął.

– Nie do wiary, dlaczego on się tak niecierpliwi? Halo, czego jeszcze chcesz, przecież mówiłem, że jadę!

Telefon zamilkł. Klemet słuchał, kręcąc głową.

– Przecież to nie nasza sprawa – powiedział w końcu.

Po chwili się rozłączył.

– To była szefowa z Hammerfest. Nie do wiary... Wyobraź sobie, że burmistrza znaleziono martwego. Prawdopodobnie skądś spadł. Niedaleko Cieśniny Wilka. Cholera.

– A co my z tym mamy wspólnego? – spytała Nina.

– Zadałem to samo pytanie. Sądzę, że niewiele, ale wiesz, kiedy ginie burmistrz, to wszyscy stają na baczność, choćby nawet poślizgnął się na schodach. Zainteresują się tym różni ważniacy, był tu jednak cholernie ważną postacią, prawdziwym VIP-em. Wszyscy miejscowi policjanci zostaną ściągnięci na uroczystości i tym podobne bzdety. Ale to jednak dziwne, że spadł właśnie tam, gdzie kilka dni temu utonął Steggo.

Nina w milczeniu skinęła głową. Wyglądało, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Nie wiesz przypadkiem, czego chce twój wuj?

– Chyba go już trochę poznałaś. Jak nie chce czegoś powiedzieć, to nie powie.

– Czy to może mieć jakiś związek z tą kradzieżą reniferów?

Klemet nie odpowiedział od razu, wciąż jeszcze nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiła na nim wiadomość o śmierci burmistrza. Nie wyobrażał sobie, by jego wuj mógł chcieć na kogoś donieść.

– Do kradzieży doszło zbyt daleko stąd, by mógł wiedzieć coś o tym z pierwszej ręki. Nie sądzę też, by chciał mieszać się w takie sprawy. Tutaj ludzie odwracają głowy, gdy dzieje się coś takiego. Raz ty kradniesz, raz tobie ukradną. Nikt na tym nie zyskuje, nikt nie traci.

– Chyba że chodzi o poważną kradzież. Sam mówiłeś, że przez takie zabawy drobni hodowcy nieraz tracą wszystko w kilka sezonów.

– Ale tu ukradziono tylko jednego renifera.

Nina zagłębiła się w fotelu, pijąc powoli kawę.

– Lubię twojego wuja. Wciąż jest ze swoją Chinką?

– A jakże.

– Słuchaj, zabierzesz mnie pod swój namiot?

Klemet przypomniał sobie policzek, który Nina wymierzyła mu jakiś czas temu. Od tego przykrego incydentu starał się trzymać ją na dystans, ale często było to trudne, gdyż nieustannie przebywali blisko siebie. Spontaniczność i otwartość Niny nie ułatwiała sprawy.

– Taak, może, zobaczymy...

– Och, Klemet, proszę...

Bawiła się nim teraz, czuł to. Dojeżdżali właśnie do Kautokeino. Lapońska wioska tętniła życiem, wokół wszędzie trwał festyn. Droga nie była zamknięta; nie zamierzano jej zamykać. Klemet wątpił, by ją zamykali, ale nie powiedział nic wujowi. Wyścigi reniferów odbywały się na ściętej lodem rzece, która przepływała przez miasto. Klemet widział ją; na rzece było już mnóstwo ludzi, skuterów i długich pomarańczowych plastikowych płotków przeciągniętych między drewnianymi słupami, znaczących przebieg torów. Część rodzin rozbiła też na rzece namioty.

Klemet zatrzymał się na chwilę na małym placu, który wznosił się ku kościołowi. Ceremonia ślubna zdawała się dobiegać końca. Dziesiątki osób w tradycyjnych strojach lapońskich schodziły w dół, w stronę rzeki.

– Klemet, proszę.

Nina szperała już w swoim kombinezonie, wyciągając aparat fotograficzny. Zrobiła przez okno kilka zdjęć. Podjechali nad brzeg zatłoczonej rzeki, tak blisko, że widzieli zaprzęgi biorące udział w wyścigu. Zwierzęta w zaprzęgach biegły z wywieszonym ozorem, ciągnąc z trudem drewniane sanie, w których powożący nimi ludzie leżeli na brzuchu. Prędkość nie była zbyt wielka, ale publiczność zdawała się podziwiać ekwipaże.

Nina, nie odrywając oka od aparatu, pociągnęła nagle Klemeta za rękaw.

– Anneli się szykuje. Jest na starcie następnych biegów.

Następne zawody były innego rodzaju. Zawodnicy na nartach trzymali się tuż za reniferami; ten wyścig był o wiele szybszy i o wiele bardziej niebezpieczny. Rozległ się sygnał do startu i dwa renifery ruszyły przed siebie, brutalnie ciągnąc za sobą jeźdźców. Tylko Anneli była bez kasku. Ta nieostrożność mogła okazać się tragiczna w skutkach. Czy ta dziewczyna o tym nie wie? Nina, zafascynowana, śledziła wyścig przez obiektyw aparatu. Klemet zrozumiał, że młoda pasterka szalenie ryzykuje. Chwycił za lornetkę. Uroczą Anneli właśnie przewróciła jednego z konkurentów po swojej lewej stronie. Mogło się to wydawać przypadkiem, ale Klemet, ze swojego punktu widzenia, interpretował tę scenę inaczej. Młoda kobieta zbliżała się niebezpiecznie do innych zawodników, podjeżdżała pod słupy, zajeżdżała innym drogę, prowokując konkurentów do agresywnych reakcji. Jej renifer pędził przed siebie z wywieszonym ozorem. Klemet nie słyszał oddechu zwierzęcia, ale

dobiegały go reakcje tłumu. Ludzie czuli, że coś jest nie tak. Anneli pokonała zakręt łeb w łeb z innym zaprzęgiem. Narty jej się zaplątały, upadła. Ludzie krzyczeli. Jechała teraz na brzuchu, ciągnięta przez renifera, ale nie odpuszczała. Robiła wrażenie, jakby chciała dalej brać udział w wyścigu, nie robiła nic, by się zatrzymać lub odczepić się od zwierzęcia. Obijała się o drewniane słupy, wciąż trzymając się uprzęży. W końcu renifer zwolnił i, tuż przed linią mety, Anneli udało się stanąć na nartach, która jej została. Jako pierwsza przejechała przez metę wśród oklasków widowni, oszołomionej takim przebiegiem wyścigu.

Klemet nie mógł oderwać wzroku od twarzy dziewczyny. Na jej głowie widać było ranę; ktoś już pospieszył jej z pomocą. Utykała, z ręką na biodrze, ale przez szkła lornetki Klemet zobaczył jej ciężki, obłąkany wzrok. Jej oczy skierowały się w stronę samochodu policji i nie dostrzegając go, spoczęły na Klemecie, który przez chwilę poczuł na sobie to zagubione spojrzenie.

– Co za wyścig! – krzyknęła Nina. – Jak na Ben Hurze. Zawsze tak jest?

Przy samochodzie stała stara kobieta; z daleka przyglądała się zawodom.

– To ta mała Steggo – powiedziała stara Laponka, nim Klemet zdążył odpowiedzieć. – Zostawiła weselników i przyszła na zamarzną rzekę. Biedna, właśnie straciła męża.

– Pani ją zna? – spytała Nina.

– Dziś miała być świadkiem na ślubie, ale biedaczka nie dała rady. Rok temu ona tu brała ślub. Co za nieszczęście. I ta jej ryzykowna jazda. Szaleństwo. Biedna mała.

Staruszka odeszła w stronę rzeki. Ktoś prowadził Anneli, owiniętą w koc. Inni zawodnicy skarżyli się organizatorowi, gestykulując wyraziście. Klemet odłożył lornetkę i odjechał w stronę wyjazdu z wioski.

Kilka minut później zaparkował przed domem swojego wuja Nilsa-Antego, tuż przy wyjeździe z Kautokeino. Spod zwałów brudnego śniegu spływała brązowa woda, gromadząc się przed wejściem. Zaczynały się roztopy. Klemet i Nina brodzili po kostki w błocie. Na ganku zdjęli buty i weszli bez pukania. Klemet wspiął się na pierwsze piętro, gdzie jego wuj spędzał większość czasu. Chrząknął parę razy, ale bez rezultatu.

– Twój wuj słucha jeszcze muzyki.

Drzwi gabinetu otworzyły się i wyjrzała z nich uśmiechnięta kobieta. Uśmiech zrobił się jeszcze szerszy na widok Klemeta. Policjant skinął ręką

na powitanie, widząc młodą Chinę, przyjaciółkę swojego wuja. Ci dwoje byli nierozłączni. Dziewczyna otworzyła szeroko drzwi. Siedzący przy komputerze Nils-Ante, widząc swojego siostrzeńca z Niną, zdjął z uszu słuchawki.

– Ci młodzi nie mają wstydu. – Nils-Ante wydawał się bardzo zdenerwowany. – Myślą, że mogą sobie łączyć joik z byle czym. Rap-joik, w porządku, jazz-joik, oczywiście, ale joik black metal – tu mówię stop.

Jego przesadna reakcja zaskoczyła Klemeta, który sądził, że wuj jest najwdzięczniejszym adeptem transgresji. Ale widocznie i on musiał się zestarzeć.

– I co, w końcu przyjechałeś. Znów zapomniałeś drogi, nieznośny siostrzeńcze. Tak często przyjeżdżasz odwiedzić starego wuja. Na szczęście pojawiła się w moim życiu panna Chang. Moja ukochana Chincezka, moja perła tundry. Pokażemy zdjęcie mojemu siostrzeńcowi bez serca. Poszukaj w pokoju komórki i przynies ją na dół do kuchni.

Zszedłszy na dół, Nils-Ante zrobił wszystkim kawę. Klemet się niecierpliwił, ale znał dobrze swego wuja i wiedział, że specjalnie zwleka, by ukarać go za długą nieobecność.

– Nino, wiesz, że kiedy był dzieckiem, cały czas usypiałem tego biedaka, śpiewając mu moje joiki, ale pewnie już ci to mówił.

– Wujku, nie miałeś przypadkiem pokazać nam zdjęcia? – przerwał mu Klemet.

– A, znów jesteś niecierpliwy, mój niewdzięczny siostrzeńcze.

Stary człowiek o suchej, pomarszczonej twarzy wciąż miał w oczach złośliwe iskierki. Klemet nigdy nie wiedział, kiedy się z niego śmieje.

Panna Chang zeszła z laptopem i z wdziękiem postawiła go na stole. Miała na sobie koszulkę na tyle przezroczystą, że nieomal widać było jej małe piersi, i obcisłe spodnie, od których Klemet nie mógł oderwać wzroku. Młoda Chinka ze śmiechem rozpuściła swoje długie szare włosy i złożyła czuły pocałunek na głowie Nilsa-Antego, który chwycił ją w tali i objął jej piersi, po czym odgonił klapssem w pośladek.

– Straciłem głowę dla tej pięknej śnieżnej kuropatwy. A ty, mój siostrzeńcze, patrz w ekran i słuchaj uważnie. Byliśmy wtedy z panną Chang nad Cieśniną Wilka.

– Jak to: wtedy?

– Tak, tego dnia, gdy utonął ten biedny Erik.

– Spacerowałeś sobie po zakazanej strefie w czasie wędrówki reniferów?

– Słuchaj mnie i skończ to policyjne gadanie. Wiesz, że kilka lat temu moja Chincezka przyjechała w nasze okolice zbierać jagody. I, na moje szczęście, została. Wyobraź sobie, że uparła się, żeby sprowadzić tu swoją rodzinę. Chce rozkręcić jagodowy biznes, ta cudowna polarna jagódka, która została królową moich nocy. Chodziliśmy więc i robiliśmy zdjęcia okolicznym pejzazom, żeby namówić ich do przyjazdu z Chin. Kochanie, zdjęcia.

Młoda Chinka podeszła do nich, odwróciła ekran komórki w stronę policjantów i uruchomiła diaporamę. Przed ich oczami zaczęły się przesuwać zdjęcia krajobrazów. Były na nich szerokie ujęcia tundry, rozległe wrzosowiska, skały przeżarte w połowie przez żółte porosty, jagodowe pola i ciekły wodne. Klemet zaczynał się niecierpliwić, lecz nic nie mówił, nie chcąc obrazić wuja. Zatrzymał się dłużej przy polach jagód. Na części zdjęć widać było pannę Chang pokazującą na krzaki lub na niektóre miejsca. Miała na sobie buty do kolan, długą spódnicę i koszulę z krótkim rękawem. Klemet przypomniał sobie, że tego dnia była ładna pogoda. Wróciło wspomnienie pijanego Lapończyka, pogardy Nilsa Sormiego. Panorama zdjęć przesuwała się nadal, i teraz zainteresowanie Klemeta wzrosło, gdyż rozpoznał okolice Cieśniny Wilka. Wreszcie! Nils-Ante i panna Chang musieli znajdować się na wzgórzach nad zatoką. Na jednym ze zdjęć widać było całą zatokę i oba brzegi. Panował na niej jeszcze zupełny spokój. Z daleka, na południowym krańcu brzegu, widać było małe punkty; to musiały być renifery. Kadr zdobiła panna Chang, która z szerokim uśmiechem pokazywała palcem na zwierzęta. Opierała się o skałę; z dołu musiała być niewidoczna. Następne zdjęcie wywołało śmiech Niny, westchnienie panny Chang i okrzyk wuja Nilsa-Antego. Klemet milczał. Na zdjęciu młoda Chinka zalotnie potrząsa majteczkami przed obiektywem aparatu.

– Moja słodka, prosiłem cię, żebyś... przebrała zdjęcia.

– Ups, zapomniałam – zachichotała i ugryzła Nilsa-Antego w ucho.

Wuj zwrócił się do Klemeta, który wciąż nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Ach, ta młodzież... Mam nadzieję, że usunęłaś inne, moja niezwykła dziewczyno. Dobrze. Dziś wieczorem je przejrzymy. A ty, mój siostrzeńcze, zachowaj zimną krew, bo teraz dopiero zrobi się ciekawie.

Nils-Ante, przypadkowy świadek przeprawy reniferów przez cieśninę, sfotografował niechcący scenę wypadku, gdyż interesowała go jego chińska przyjaciółka i to, co pokazywała na pierwszym planie. Jego mały aparat nie pozwalał na robienie szerokich kadrów z tej odległości, ale na zdjęciach było dość dobrze widać to, co działo się za panną Chang. Aparat był na tyle nieskomplikowany, że drugi plan był niemal tak samo wyraźny jak pierwszy. Na brzegach można było dostrzec kilka kolorowych plam za skałami, które musiały być sylwetkami przyczajonych pasterzy, chowających się przed reniferami. Potem widać było na wodzie punkty układające się w kształt grotu strzały. Renifery zaczęły przeprawę. Zwierzęta nie były wprawdzie widoczne wyraźnie, ale można było się zorientować, że to one. Na następnym zdjęciu widać było łódź odbijającą od brzegu i zmierzającą ku środkowi cieśniny. Widać było wyraźnie tworzący się krąg. Klemet nie miał wątpliwości, że chodziło o renifery, które zaczęły płynąć w kółko, tworząc ów piekielny krąg, z którego Erik Steggo próbował wyrwać swoją łódź.

– Więc to mi chciałeś pokazać – przerwał Klemet. – Mogę to włączyć do akt, ale nie bardzo rozumiem, co to właściwie zmienia. Erik utonął w wypadku.

– Przyjrzyj się lepiej w powiększeniu niektórym z tych zdjęć – odpowiedział Nils-Ante.

Zaczął stukać w klawiaturę. Cofnął się o kilka ujęć; na jednej z fotografii widać było na pierwszym planie wypiętą pupę panny Chang, która pokazywała palcem jakąś roślinę. Na drugim planie rozpościerał się północny brzeg cieśniny.

– Nie wiem, dlaczego zainteresowałem się wspaniałą panoramą wokół mojej młodej przyjaciółki, ale ten marny aparat niestety nie pozwala na zbyt wiele. A teraz patrz. – Wuj wskazał palcem na prawą stronę ekranu. Widać na niej było czyjąś rozmazaną sylwetkę. Z tej odległości nie sposób było rozpoznać, kto to był.

Prawdopodobnie jeden z pasterzy, podobnie jak inne plamy. Ale w odróżnieniu od tamtych ten stał wyprostowany.

Wznosił do góry ręce, krzyżując ramiona.

Midday,

długo myślałem, że mam szczęście. I w końcu to gównu mnie dopadło. Czuję to. Czuję się silniejszy niż kiedyś. A Ty – z Tobą też tak jest? Pamiętasz, jacy byliśmy? Nie mam już odwagi oglądać tych starych zdjęć. Za dużo bólu. Jak można się tak zmienić?

Co dalej? Z tym starym kumplem, o którym Ci mówiłem, żyjemy w samotności. Ja już nie mogę. On już nie może. Zbyt długo byliśmy w drodze. Za długo byliśmy na dnie. Nim mnie znalazł, przez wiele lat błądziłem we mgle. Stan, w jakim mnie zastał, nie przestraszył go. Za to będę mu dogonnie wdzięczny. Nie odwrócił się do mnie plecami, chociaż odwrócili się ode mnie wszyscy, nie wyłączając mnie samego.

Musimy kogoś odnaleźć. Jesteśmy mu to winni. W imieniu pozostałych. Nie wolno nikogo zostawiać. Inaczej nie jesteśmy ludźmi. Ale czy my jeszcze jesteśmy ludźmi?

Rozdział 11

Poniedziałek, 26 kwietnia

Wschód słońca: 3.08. Zachód słońca: 21.37

Długość dnia: 18 godzin i 29 minut

Schronisko w Skaidi, 8.15

Przed zmrokiem Klemet i Nina wrócili do swojej bazy w Skaidi. Zanosiło się na to, że spędzą kolejny dzień na odpoczynku, nie posuwając się specjalnie naprzód. Nina była tego pewna, ale mało ją to obchodziło. Niewiele spała, gdyż okna jej pokoju wychodziły na wschód i słońce świeciło przez nie ostro od samego rana. Zmęczona przewracaniem się z boku na bok, wstała wcześnie, zirytowana tym, że Klemet śpi jeszcze w najlepsze.

Mimo kilku miesięcy służby w straży reniferów Nina wciąż z trudem znosiła nieomal białe noce Dalekiej Północy. Pracując razem, w ciągu długich, wielodniowych patroli, skazani na swoje towarzystwo, oboje wypracowali z Klemetem pewien modus vivendi. Czasem wzrok Klemeta zatrzymywał się na niej dłużej, a ona myślała o czymś innym. Samotny posterunek jej kolegi był już świadkiem niejednego podboju. Ale odkąd go spoliczkowała, zachowywał pełen szacunku dystans, a ją bawiła ta sytuacja.

Jej krzątanina wyrwała w końcu Klemeta ze snu. Nina chciała jak najszybciej jechać nad Cieśninę Wilka. Zaintrygowała ją fotografia Nilsa-Antego. A właściwie fotografie. Na następnym zdjęciu, na którym Chinka, wciąż w zalotnej pozie, powoli unosiła do góry spódnicę, widać było wyraźnie, jak pierwsze renifery zaczynają zawracać. Ręka sylwetki w dali, nadal wyprostowanej, zmieniła położenie, co oznaczało, że człowiek na zdjęciu poruszył ręką. Może dawał jakieś znaki; w każdym razie zrobił jakiś ruch. Nie wiedziała jeszcze, jak to rozumieć, ale wydawało jej się to bardziej interesujące niż ta historia z kradzieżą renifera, która na pewno nigdy nie zostanie wyjaśniona.

Godzinę później patrol P9 dotarł na północny kraniec wyspy. Klemet i Nina zatrzymali się niedaleko miejsca, gdzie Nils Sormi wyciągnął na brzeg ciało Erika. Wydrukowali zdjęcia Nilsa-Antego, próbując możliwie jak najbardziej je powiększyć, ale w chacie nie mieli odpowiedniego sprzętu. Rozejrzeli się wokół. Doszedłszy do skały ofiarnej, Nina zaczęła szukać właściwej perspektywy. Przykucnęła na chwilę, przyglądając się skale o tak osobliwym kształcie. Spozrzegła umieszczone w jej szczelinach małe przedmioty: kawałki skał, kości, kory brzozonej – ofiary, które mogły wyglądać na rzeźby wykonane z różnych materiałów. Podjechała terenówka. Wsiadł z niej Morten Isaac, szef 23. dystryktu.

– Zobaczyłem wasz samochód. Macie coś nowego od soboty?

Nina szykowała się już do odpowiedzi, gdy Klemet ją uprzedził, zabierając z jej rąk fotografie.

– Co według ciebie robił tam ten wyprostowany człowiek ze skrzyżowanymi rękami, akurat wtedy, gdy stado wchodziło do wody?

– O Boże, skąd mam wiedzieć? Pokaż to.

Szef okolicznych hodowców przyglądał się przez chwilę fotografiom.

– Twoje zdjęcia są gównem warte.

– Dobrze wiesz, Morten, co mam na myśli.

Spojrzał na niego, potem na jego koleżankę, po czym zaczął rekonstruować przebieg wydarzeń.

– Byłoby oczywiście łatwiej, gdybyśmy mieli wideo. Wasze zdjęcia nie są dość wyraźne, by rzeczywiście zrozumieć, co się tam działo. Ale tej stojącej sylwetki nie ma na poprzednim zdjęciu, to jedno można powiedzieć na pewno.

– Sądząc po detalach na zdjęciach, pomiędzy jednym a drugim ujęciem minęła jedna do dwóch minut – sprecyzowała Nina. – Widać też, że stojący człowiek poruszył ręką i że pomiędzy dwoma ujęciami, na których postać stoi wyprostowana, renifery zaczęły zawracać.

– Owszem, ale nie wiemy, kiedy ten typ czy ta kobieta – powiedział, patrząc uważnie na Ninę – wstał czy wstała. Może już wcześniej zauważył coś nienormalnego.

– Jak to: nie jest normalne? – dopytywała się Nina.

– Jest pani tutaj od niedawna, hmm... Widzi pani, renifery to zwierzęta raczej płochliwe. Jeden gest, jeden ruch i uciekają. Kiedy przepływają przez cieśninę, jak tamtego dnia, nie należy im przeszkadzać. Jeżeli płynąc, spostrzegą przed sobą jakiś ruch, mogą się przestraszyć

i zawrócić, a wtedy robi się bałagan. Albo, co gorsza, mogą zacząć pływać w kółko. Tamtego dnia widziała pani rezultaty.

– Skąd zatem ta sylwetka ze skrzyżowanymi rękami, stojąca przed reniferami?

Morten Isaac zamilkł; przez chwilę stał pogrążony w myślach. Zaciskał zęby, przez co napięta skóra i ściągnięte kącki oczu nadawały jego twarzy przenikliwy, dociekliwy wyraz.

– Nie wiem – powiedział w końcu.

– Może chciał ostrzec Erika lub kogoś innego na przeciwległym brzegu?
– zasugerował Klemet.

– Nie sądzi pan, że to on swoim gestem wystraszył renifery? – zapytała Nina. – Można podejrzewać, że machając rękami, wystraszył zwierzęta i skłonił je do zawrócenia.

– Nie sądzę. W tundrze lepiej nie mieć zbyt bogatej wyobraźni. To wprowadza nerwowy nastrój.

Przez moment nic nie mówił, spoglądając znów na cieśninę. Wskazał na ostro zakończoną skałę.

– Kiedyś hodowcy przychodzili tu składać ofiary. Przed przejściem reniferów przez cieśninę. Żeby zapewnić sobie szczęście przy tych zwierzętach.

– Szczęście przy reniferach?

– Tak, to...

Chciał coś dodać, ale się powstrzymał. Rzucił ostre spojrzenie Klemetowi.

– Przy hodowcach lepiej o tym nie mówić. Kiedy się o tym za dużo mówi, hodowcy myślą, że mogą je stracić.

– Stracić?

Popatrzyła na szefa dystryktu. Morten skrzywił się, jakby chciał sobie przygryźć wargę.

– Słuchajcie, wolałbym o tym nie mówić. Macie tu święty kamień i trzeba to uszanować.

– Chce pan powiedzieć, że jeszcze dziś ktoś składa tu ofiary?

– Dziś? Oczywiście, że nie. To stara historia. Co nie znaczy, że nie przetrwały pewne przesady.

– A pan? Zdarza się panu składać tam ofiary?

– Przecież mówię, że to stara historia!

– Owszem, ale wracając do naszej sprawy, Nina ma rację – wtrącił się Klemet. – Można postawić pytanie, dlaczego ktoś w tamtej chwili gestykulował. Jeśli robił to celowo, i jeśli był hodowcą, wiedział, co może się stać. A to zmieniałoby sytuację, nie sądzisz, Morten?

– Nie wiem.

– A co pan o tym sądzi? – spytała Nina.

– Nie mam pojęcia, nie było mnie tu wtedy. Teraz muszę już iść.

Morten odjechał swoją terenówką. Klemet popatrzył jeszcze raz na zdjęcia i oddał je Ninie.

– Hodowcy nie lubią, gdy ktoś wtrąca się do ich spraw – powiedział.

Nina powstrzymała się od uwagi, że z jeszcze większą niechęcią zdradzają swoje sekrety kobietom. Wskazała na świętą skałę.

– To tam burmistrz miał wypadek?

Ich koledzy już odjechali, ale miejsce zdarzenia odgrodzone było taśmami policyjnymi.

– Dwa trupy w tym samym miejscu w ciągu kilku dni to tutaj raczej rzadkość – zauważył Klemet.

Było jeszcze wcześniej, ale słońce stało już wysoko na niebie. Przedmioty rzucały ostre cienie. Klemet otworzył bagażnik pikapa. Wyjął prymus i rzeczy niezbędne do zrobienia kawy. Nina zauważyła, że stara się nie stąpać po jej cieniu. Jeszcze jedna zagadka. Co dziwne, uznała to za interesujące. Zachowanie Klemeta wskazywało, że miał jakieś trudne przeżycia w dzieciństwie, w wyniku których musiał wyrzec się języka lapońskiego. Nina nie mogła przestać zastanawiać się, co mu się przytrafiło, lecz nie miała odwagi spytać o to swego kolegi. Postanowiła poczekać. Ten ranny niedźwiedź mimo swoich niezagojonych ran nigdy jeszcze nie obszedł się z nią źle. Może i na to przyjdzie czas.

Klemet bez słowa podał jej kubek z kawą. Zbyt wiele ich dzieliło. Albo zbliżało.

W pierwszym miesiącu ich wspólnej pracy, po morderstwie Mattisa, w którym pewną rolę odegrał Aslak, hodowca reniferów i przyjaciel Klemeta z czasów dzieciństwa, ten ostatni unikał wracania do tej sprawy. Ciało Aslaka nigdy nie odnaleziono. Nina myślała nieraz o tym, gdy dotykała palcami ozdoby Aslaka, którą wciąż nosiła w kieszeni. Ale nie było dobrego momentu, by o tym porozmawiać.

Przełknęła łyk. Klemet znajdował się zaledwie trzydzieści centymetrów od niej. Wysunęła się o krok i dotknęła cienia swojego kolegi, ale cofnęła

stopę. Klemet niczego nie zauważył.

Praca w straży reniferów była jej pierwszym zajęciem po ukończeniu szkoły policyjnej, trochę wymuszonym, gdyż nikt nie kwapił się do służby w tak odległych stronach. Korzystając z państwowego stypendium, nie miała wyboru. Ale nie żałowała, nawet jeśli sprawy, którymi się tu zajmowała, nie przypominały wielkich dochodzeń kryminalnych, i chociaż wciąż nie mogła przyzwyczać się do tutejszego rytmu pracy, wolniejszego niż gdzie indziej za względu na odległości i klimat.

– Co myślisz o tej historii ze zdjęciami?

Klemet spojrzał znów na zdjęcia leżące z tyłu samochodu, obok termosu, do którego wlał za dużo kawy.

– Czy ta stojąca postać to rzeczywiście był hodowca? W końcu Nils-Ante i panna Chang też chodzili po okolicy. Może nie oni jedni tam spacerowali. Ktoś z zewnątrz mógł z pewnością nie wiedzieć o tym, jak niebezpieczne jest machanie do stada.

– Warto byłoby zatem sprawdzić, czy nie dawał znaków komuś na drugim brzegu.

– Czemu nie. Ale myślę, że to do niczego nie prowadzi. Poza tym nie możemy być pewni, czy to właśnie jego gestykulacja skłoniła renifery do zawrócenia.

– A łódź? Nie sądzisz, że powinniśmy się jej przyjrzeć?

– Po co?

Nina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, przyszło mi to do głowy. A burmistrz?

Klemet popatrzył na nią bez słowa. Czuła, że zaczyna go denerwować.

– Przecież znany był z tego, że przegania szwendające się renifery.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że burmistrz, machając rękami, straszył zwierzęta?

– Aż tak daleko moja wyobraźnia nie sięga.

– Więc nie mów takich rzeczy! Poza tym co ma jedno do drugiego? Erik utopił się cztery dni temu. Walka z reniferami, którą prowadził burmistrz, jeszcze nic nie znaczy. Wszystko mieszasz, Nina. To, że w ciągu kilku dni w tym samym miejscu zginęło dwóch ludzi, nie oznacza jeszcze, że między tymi dwoma zdarzeniami istnieje jakiś związek. Zwłaszcza jeśli obaj zginęli w wypadku. Mieli po prostu pecha, to wszystko. Trzymaj się sprawdzonych faktów, a domysły zostaw amatorom.

Nina nic nie odpowiedziała. Nagle poczuła, że jest bardzo zmęczona. Odstawiła kubek na znak, że przerwa na kawę dobiegła końca. W drodze do samochodu udało jej się jednak nadepnąć na cień Klemeta.

Rozdział 12

Poniedziałek, 26 kwietnia

Hammerfest, 22.45

Wieczór w pubie Black Aurora zaczął się już niecałą godzinę wcześniej, ale Nils zabrał najpierw Elenor do pizzerii w porcie. Miejsce nie było specjalnie wystawne, o czym świadczyła skrzywiona mina Elenor, ale z pewnością należała do modnych. Poza tym nie było wielkiego wyboru. Wieczór w pubie w tygodniu nie wyróżniał się niczym nadzwyczajnym. Nocny lokal dostosowywał się do potrzeb pracowników firm naftowych i gazowych; jeśli pracowali w weekendy, organizowano zabawy po ich powrocie lub przed ich wyjazdem, nie było to szczególnie skomplikowane. Jego właściciel wiedział, z czyich pieniędzy żyje.

Wjechawszy na skalną półkę górującą nad miastem, Nils opuścił parking należący do klubu i skręcił w boczną ścieżkę. Wrażenie, że góruje nad okolicą, wzmogło się jeszcze bardziej. Nils czuł w końcu, że pokonał to morze, które rozciągało się u jego stóp. Od młodości miał dwuznaczny stosunek do błękitnej głębi. Czuł się w niej dobrze, został przyjęty do grona speców, stała się jego miejscem pracy, przyjaznym środowiskiem, w którym mógł też w każdej chwili zginąć w razie najmniejszego błędu. Ale kiedy patrzył z góry, morze było tylko pastelową paletą, trochę roziskrzoną, kojącą, przytłoczoną wspaniałym sąsiedztwem wciąż jeszcze zaśnieżonych szczytów, łagodzących wrażenie nieskończoności. Widziany z góry, bezmiar wód zdawał się być na miarę człowieka. Nils Sormi dobrze wiedział, jak złudne jest to wrażenie. To morze, tak spokojne i leniwe, skrywało niebezpieczne tajemnice. Do tej pory uważał się za szczęśliwca. Był jeszcze młody. I zdolny. Jeszcze nad nim górował. I dalej będzie – tak długo, jak będzie trzeba. Nils był tego pewien. Znał swoje ciało i jego mechanizmy na tyle dobrze, by móc ocenić, jak daleko może się posunąć. W tym była jego siła. Górował nad morzem, górował nad innymi, i inni o tym wiedzieli.

– Zimno mi – mruknęła Elenor.

– Niedługo będę miał tu działkę. Wtedy zobaczysz...

Wrócili do samochodu. Nils stanął na parkingu należącym do lokalu. Wchodząc do pubu z wtuloną w niego Elenor, Nils spostrzegł od razu po lewej stronie Billa Steela, w przekreślonej do tyłu czapce Chicago Bulls na głowie, rozprawiającego o czymś z Henningiem Birge'em, przedstawicielem Future Oil, który miał czelność zrugać go trzy dni temu. Obaj mężczyźni rozsiedli się na srebrnych stołkach rozstawionych pod lewą ścianą pubu. W głębi sali znajdowało się jacuzzi, nad którym wisiał przezroczysty zbiornik na wodę. Wchodząc do niego, można było wychylić się na zewnątrz, wychodząc z barowego upału i zarazem pozostając w wodzie; wystarczyło jedynie zaciągnąć plastikowe zasłony, które zatrzymywały ciepło. Dwie młode kobiety i mężczyzna raczyli się tam koktajlem, patrząc na taras wznoszący się nad miastem.

Nils Sormi pojął od razu, że typ z Future Oil go ignoruje, gdyż zrobił nagle zachwyconą minę na gromkie słowa Teksańczyka. Bill Steel, jak zwykle najmniej ze wszystkich przejmował się tym, co powiedzą inni.

– Cholera, trzeba jeszcze wypić za zdrowie tego biednego Fjordsena, do diabła, Birge, ten kretyn Lars, co on tam robił o tej godzinie? Cholera, możesz mi to powiedzieć? Och, jak mi już brakuje tego skurwysyna. A ty nalej mi, szybciej, albo naprawdę będę wrzeszczeć, dawaj mi całą butelkę! –darł się, rzucając banknoty na blat baru.

Na sąsiednim stołku siedział Henning Birge, ciągle z niezadowoloną miną. Pił piwo małymi łykami. Patrząc na niego, Nils zastanawiał się, co jeszcze może knuć ta żmija. Elenor ciągnęła go na środek sali – ona zawsze musiała być w centrum uwagi, pewna, że wszyscy na nią patrzą – ale on się ociągał, chcąc sprawdzić, jak długo typek z Future Oil zdoła unikać jego wzroku.

W końcu to Teksańczyk wrzasnął, gdy spostrzegł lapońskiego nurka. Zaczął gestykulować i zataczając się lekko, przyciągnął stołek, odepchnąwszy klienta, który nie chciał już reszty, widząc niepokojący stan Amerykanina.

– Zostaw swoją panienkę, niech kręci tyłkiem, i chodź, usiądź tu, Nils, mój synu.

Teksańczyk w czapce Chicago Bulls klepnął stołek. Nils znosił ton Steela, bo to był Steel. Teksańczyk łąził za nim, odkąd przyjechał. Wciąż wychwalał jego odwagę i wszędzie przedstawiał go jako swojego syna.

Robił to oczywiście we własnym interesie, ale w zgodzie ze swoim wylewnym charakterem.

– Chodź, synku, uczcijmy pamięć naszego Fjordsena. No chodź, weź szklankę i pij, dziś wszyscy się smucimy, prawda, Birge, nawet ty się smucisz, ty żmijo, hę!?

Henning wykrzywił twarz w grymasie, który mógł ujść za wyraz współczucia. W końcu spojrzał Nilsowi Sormiemu w oczy i przez dwie sekundy wytrzymał jego spojrzenie. Posłał mu swój słodki uśmiech.

– No więc, co tam robił ten kretyn Lars? Mów szczerze, Nils, ty wiesz, znasz tu wszystko, co tego drania napadło?

Nils zaczął pić piwo, patrząc na Elenor, która rozkręcała się już na parkiecie, kołysząc biodrami, w towarzystwie dwóch typów, których nigdy wcześniej nie widział. Normalne, pomyślał, faceci stąd nigdy nie zbliżyliby się do Elenor. Odpuścił. W razie potrzeby inni przypilnują. Odwrócił się do Steela.

– Nie mam pojęcia, Bill. Ale teraz trzeba będzie go zastąpić. Może będzie teraz łatwiej to i owo załatwić, kto wie?

– O, mój mały Nilsie, już coś kombinujesz – zaśmiał się Amerykanin. Klepnął go w udo swoją wielką łapą i wziął Birge'a na świadka. – Widzisz, lisie, nasz Nils to spryciarz.

Steel objął czule jego głowę.

– Już myśli, co będzie po nim, nie mazgai się, jak my. Ale ja jestem sentymentalny, co, Birge, i ty też, hę?

Birge znacząco klepnął Teksańczyka w ramię. Nie obchodziło go to, Nils czuł to przez skórę. Ale jego też to nie obchodziło. W tym małym miasteczku pogoń za pieniędzmi przybrała takie rozmiary, że tradycyjne wartości ulatniały się jak kamfora. Nils nie czuł żadnych wyrzutów sumienia, nie rozwodził się na próżno nad cudzym nieszczęściem; tak go wychowano. Przeciwnie, zawsze mówiono mu, jak różny jest od innych, o ile jest od nich lepszy. W końcu przecież odniósł sukces?

– Hej, Nils, widziałeś te małe w jacuzzi, znasz je? Nie znasz ich. Mówię ci, Birge, coś mnie ściska, kiedy myślę o tym wieczorku, który nam szykuje ten drań Tikka, oho! Dziewczynki pewnie są już w drodze.

Nils nie wiedział o tej imprezie, ale wyczuł, że Birge wie, o co chodzi. Nafciarz udał, że nie słyszy uwagi Amerykanina.

Steel zaczął coś podśpiewywać, po czym nagle wstał, wywrócił stół i pognał na parkiet, do oszklonej sali, z której roztaczał się wspaniały

widok na całą zatokę i dalej na wyspę, na której przetwarzano gaz. Widać też było oświetlony rzesiście prom, który służył za pływający hotel, zacumowany pomiędzy wyspą a stałym lądem. Mieszkały w nim setki robotników i pracowników, dla których zabrakło miejsca w mieście. Ludzie przyjeżdżali ze wszystkich stron Europy realizować drugi etap programu Hammerfest: budować rafinerię ropy ze złoża Suolo.

Na parkiecie Steel zaczął się zataczać, potrącając innych tańczących. Nie panował nad sobą. Wokół niego zrobiło się pusto, a on śmiał się na całe gardło. W końcu znalazł się tuż za Elenor, która tańczyła dalej. Amerykanin chwycił ją w pasie i obrócił do siebie. Elenor skwapliwie przystała na jego zaloty.

Nils obserwował tę scenę i ludzi wokoło.

Teksańczyk robił się coraz bardziej natarczywy, a Elenor się nie opierała.

Nils Sormi odwrócił głowę i zobaczył, jak Henning Birge patrzy z szelmowskim uśmiechem na nurka. Powoli zmieniał wyraz twarzy. Bez pośpiechu. Nils rozejrzał się wokół siebie i po sali; niektórzy zaczęli patrzeć w jego stronę. Czekali na jego reakcję.

Steel kleił się teraz do Szwedki, obmacując ją swoimi ogromnymi łapskami. To, że nazywał Nilsa synem, nie przeszkadzało mu przywalać się przy wszystkich do jego dziewczyny.

Chwilę później Nils znalazł się na parkiecie. W tym samym momencie Paulsen pojawił się za Billem Steelem, jakby czekał tylko na znak swego podwodnego partnera. Nils pociągnął Elenor za rękę. Dość brutalnie, ale nie nerwowo. Odbierał po prostu to, co do niego należało; wszyscy tak właśnie to zrozumieli.

Bill Steel próbował ją przytrzymać, ale zaciśnięta pięść Paulsena spadła dyskretnie na przedramię Teksańczyka. Ten, zaskoczony, odwrócił się do nurka, próbując oddać cios.

Paulsen uchylił się bez trudu.

Nils zobaczył, że jego partner jak zwykle panuje nad sytuacją, trzymając w bezpiecznej odległości ciężkiego Teksańczyka, który zasapał się już po dwóch nietrafionych ciosach.

W końcu wstał Henning Birge i zaczął ciągnąć do wyjścia Teksańczyka, który ryczał i bił wokół siebie pięściami, ale ciosy trafiały w próżnię, a muzyka zagłuszała jego krzyki. Nils był na tyle blisko, by słyszeć, jak Steel wymyśla Elenor od dziwek i grozi nurkom, że zostawi ich, żeby

zdechli w swoim zasranym dzwonie. Przechodząc obok stolika, wywrócił szklanki i popchnął jednego z klientów. Steel chwycił go jak piórko i rzucił w kierunku Nilsa.

Teraz do akcji wkroczyli ochroniarze.

Żałosne, pomyślał Nils. Ale po raz drugi w ciągu kilku dni został poniżony publicznie. Dał znak głową Paulsenowi. Obaj mężczyźni rozumieli się bez słów; stary nawyk podwodniaków. Jutro czekała ich trzydniowa misja. Musieli wracać.

Nils wrócił do baru dopić szklankę. Elenor podążyła za nim. Przyczesła się, ukrywając zmieszanie. Nils spojrzał zuchwale na parkiet i na siedzących gości, szukając kpiących spojrzeń lub innych oznak braku szacunku. Nikt się nie ośmielił. Zapłacił i pociągnął za sobą Elenor, na której twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

– Odprowadź mnie na prom.

– Nie chcesz zostać ze mną przed misją? Przy mnie zapomnisz o wszystkim, nawet o tym obrzydliwym Amerykaninie, który pchał się do mnie z łapami. Widziałeś, co on wyprawiał?

– Wiesz, że w nocy przed misją zawsze jestem z chłopakami. Jedź już.

Wszelkie rozmowy z Elenor były w tym przypadku bezcelowe. Była zbyt nakręcona. Tego rodzaju sytuacje ją podniecały. Dobrze by jej zrobiło, gdyby ją przeleciał na tylnym siedzeniu samochodu, na parkingu przed promem.

Rozdział 13

Wtorek, 27 kwietnia

Wschód słońca: 3.02. Zachód słońca: 21.43

Długość dnia: 18 godzin i 41 minut

Schronisko w Skaidi, 7.30

Klemet wstał wcześniej, żeby przygotować skutery śnieżne, napełnić baki z benzyną i pojemniki z wodą na stacji obsługi na skrzyżowaniu. Skaidi stanowiło węzeł, z którego rozchodziły się drogi biegnące do Hammerfest, na północny zachód, na Przylądek Północny na północnym wschodzie i do Alty na południowym zachodzie. Drewniana chata policyjna służyła im wiosną za bazę wypadową, z której wyjeżdżali na misje.

Niebo się zachmurzyło, lecz wciąż jeszcze było dużo światła. Termometr koło drzwi wskazywał prawie dwa stopnie. Minie jeszcze wiele tygodni, nim rośliny będą miały dość sił, by podnieść się i zazielenić. Klemet wyczekiwał tej magicznej pory, w której natura upominała się o swoje. Żałował wówczas, że brak mu talentu wuja, Nilsa-Antego, by opiewać joikiem czy choćby prostymi słowami zwycięstwo natury nad surowym, ostrym klimatem.

Krzyżowały się tu koryta kilku rzeczek i strumieni. Mała osada była wprawdzie pozbawiona uroku, lecz ich wody przyciągały wędkarzy i na brzegach pojawiło się wiele kempingów. Ich chata znajdowała się na jednym z nich, w pobliżu jednej z rzek. Rzeka była jeszcze zamarznęta, zapewne już niedługo, gdyż zaczęły się roztopy. Jadąc po niej skuterem, trzeba było uważać. O tej porze roku wyprawy w tundrę były niezwykle niebezpieczne. Mieszkańcy Dalekiej Północy bardzo sobie ją jednak cenili, gdyż leżał jeszcze śnieg, a już świeciło słońce. Dla miejscowych weekendy w tym wielkanocnym okresie stanowiły świętość.

Klemet postanowił nie budzić dziś wcześniej Niny, chciał, by pospała trochę dłużej. Widział, że choć ona nie zdaje sobie z tego sprawy,

nadmiar światła zaczyna dawać się jej we znaki. Robiła się drażliwa. Dziewczyna z południa. Przyzwyczała się. Właściwie prawie już się przyzwyczała. On też się trzymał. Trzymał się całkiem nieźle. Nie zawiódł. To dobrze. Nina go czasem prowokowała. Nie wiedziała wszystkiego. Nie mogła wiedzieć. Wkrótce się dowie.

Klemet studiował listę hodowców z 23. dystryktu. Na szczęście był to jeden z najmniejszych dystryktów w zachodniej części okręgu Finnmark.

– Już pracujesz?

Nina właśnie wstała. Jej długie blond włosy były rozrzucone w nieładzie, i z czym, jak pomyślał Klemet, było jej do twarzy. Trochę zbuntowany wygląd po przebudzeniu, i tylko wtedy. Odwrócił wzrok od pizamy, która nazbyt przykuła jego uwagę. Kształty Niny znów wpadły mu w oko. Umieśniona, lekka, krągła sylwetka. Nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie robi; była na to zbyt skandynawska, zbyt przyzwyczajona do tego, że po kumpelsku śpi razem z chłopcami. Ile jeszcze będzie tego biwakowania we dwoje?

– Ubierz się, mamy robotę.

Klemet wyszedł, by mogła się ubrać. Natarł sobie twarz śniegiem. Nina podeszła do niego zniecka, podała mu dymiący kubek. Wszedł za nią do środka. Upięła włosy w kok. Prawie się nie malowała. Jej kształty zniknęły pod drelichem munduru. Dobrze, dobrze.

Klemet rozłożył listę hodowców i mapę dystryktu na stole w kuchni, starając się nie popsuć niedokończonych układanki z podartych mandatów. Izba była wyposażona w surowe, drewniane meble; zdobiły ją oprawione w ramki fotografie pejzaży. Żadnych osobistych akcentów. W schronisku nocowały coraz to nowe patrole; nikt nie chciał narażać kolejnych lokatorów na znoszenie swoich fantazji.

– Mamy tu około dwudziestu hodowców. Nie wszyscy, jak na przykład Morten Isaac, byli na miejscu. Ale przy takich okazjach jak przeprawa stada przez cieśninę, często woła się na pomoc rodzinę. Poprosiłem dziś rano Mortena, by zorientował się, kto z hodowców był na miejscu w dniu śmierci Erika.

Przejazd do Kvalsund zajął im niewiele czasu, akurat tyle, by włączyć radio. W wiadomościach podawano szczegóły śmierci Fjordsena. Zewsząd napływały wyrazy współczucia; w prasie pełno było opisów imponującej kariery burmistrza. Morten Isaac czekał już na nich. Wpuścił ich, poczęstował kawą i stanął z założonymi rękoma, czekając na pytania.

Klemet pokazał mu mapę, a potem listę hodowców. Nina wyjęła notes. Zaczęła strona po stronie zapełniać go informacjami, które Klemet wydobywał z szefa dystryktu. W akcji brało udział siedmiu hodowców z dystryktu. Policja ustalała, czy towarzyszyli im inni członkowie rodziny lub znajomi.

Morten nie zdobył się na nic więcej. Musiał czuć to samo co on. Nie bardzo wiadomo, z czym mieli do czynienia. Ciszę przerwała Nina.

– Siedmiu hodowców na dwudziestu z całego okręgu to chyba dosyć mało?

Morten opuścił ręce i podszedł do mapy.

– Hodowcy w zimie trzymali renifery w okolicach Kautokeino, mniej więcej tu i tu. Wędrówka zwierząt zaczyna się na wiosnę, to zależy od roku, od pogody, od pastwisk. Wędrówka na wiosenne pastwiska powinna się skończyć, zanim samice urodzą młode, czyli mniej więcej teraz.

– Dlaczego teraz?

– Renifery po zimie są zawsze osłabione. W zimie jedzą tylko porosty. Cielaki mogłyby być zbyt słabe, by przeprowiać się przez rzekę czy przez cieśninę. Łanie, które rodzą podczas wędrówki, często zostają z tyłu. Dołączają później same z małymi; czasem też zabierają je kolejni hodowcy.

– A stado, które przepłynęło cieśninę w zeszły czwartek?

– To nie było całe stado. Część przeszła wcześniej. To się czasem zdarza. Z wielu powodów. Rzadko, ale się zdarza. Niewiele wtedy można zrobić. Hodowcy muszą iść za zwierzętami. Nie mają wyjścia. Towarzyszą reniferom, nie kierują nimi. Takie jest prawo tundry, niezależnie od tego, co sądzą o tym władze, które wszędzie chcą nam narzucać reguły. Musisz wiedzieć jedno: hodowla reniferów jest opłacalna tylko wtedy, gdy zwierzęta same szukają pastwisk i same je znajdują. Jeśli trzeba będzie je pędzić lub, co gorsza, żywić, to będzie koniec.

Klemet i Nina zostawili swój samochód na parkingu nad rzeką. Zdjęli skutery załadowane na przyczepę i doczepili do nich małe drewniane sanie z metalowymi skrzyniami, po czym zjechali z drogi i wjechali w głąb tundry. Hodowcy nie byli zbyt rozproszeni, lecz na ich odnalezienie trzeba było dwóch dni. Klemet przewidział po drodze nocleg w jednym z małych gumpi², którymi dysponowała straż reniferów w całej Laponii.

Pierwszy hodowca, którego napotkali, odpoczywał w swoim gumpi. Znaleźli go zaledwie po półgodzinnym, uważnym przeszukiwaniu szlaku. Śnieg był jeszcze dość twardy, a Klemet unikał niebezpiecznych miejsc na wodzie, gdzie lód wydał mu się już kruchy. Gumpi znajdowało się w niewielkiej dolinie, na brzegu małego jeziora, wciąż jeszcze zamarzniętego. W lodzie zrobiony był otwór, a obok skóry renifera rozciągniętej na skraju otworu umocowana była mała, około dwudziestocentymetrowa wędka. Otaczające ich wzgórza, od północy pokryte jeszcze warstwą śniegu, zaczynały już ciemnieć na południowych zboczach. Karłowate brzozy tworzyły rodzaj naturalnej bariery u stóp wzgórza, obok którego stało gumpi. Ze środka wydobywała się cienka smużka dymu. Jego mieszkaniec nie był zaskoczony widokiem Klemeta i Niny. Zaprosił policjantów, by weszli do ciepłego wnętrza jego schronienia, bardzo prostego, jak wszystkie gumpi w tundrze. Był to zwykły barak budowlany na płozach, by można go było doczepić do skutera. Całe wyposażenie składało się z jednopiętrowego łóżka, pieca, stołu i ławki. Nina patrzyła na to wnętrze z taką samą ciekawością, z jaką oglądała po raz pierwszy gumpi Mattisa.

Klemet wyjaśnił szybko, co ich sprowadza.

Mieszkaniec gumpi, młody mężczyzna, skinął głową. Jego włosy mocno przylegały do głowy; zapewne długo przygniatała je czapka, w której chodził całe rano. Popatrzył na zdjęcia, które pokazał mu Klemet.

– Byłem tam – powiedział, wskazując ogromnym palcem na zdjęcie w miejscu, gdzie widniał jeden z kolorowych punkcików.

Był na południowym skraju brzegu, naprzeciw wyspy. Mógł więc widzieć stojącą postać, ale niczego nie widział. Wydawało się, że mówi prawdę.

– Domyślasz się, dlaczego ten człowiek mógł dawać znaki? – spytała Nina.

Mężczyzna potrząsnął głową, tym razem nie odpowiedział.

– Pamiętasz, kto był we wszystkich tych miejscach? – pytał dalej Klemet.

Młody hodowca znów wziął do ręki zdjęcia. Udało mu się zidentyfikować siedem innych osób, wszystkie z jego strony. Według niego w całej akcji wzięło udział około dwudziestu osób, po dziesięć z każdej strony cieśniny.

– Po twojej stronie nie widziałeś kogoś, kto dziwnie się zachowywał, dawał jakieś znaki postaci na zdjęciu?

– Nie, nie widziałem niczego niezwykłego. Od razu bym zauważył. Trzeba siedzieć zupełnie nieruchomo. Wtedy widać najmniejszy gest.

– Ale nie widziałeś tego z przodu.

– Byłem schowany za skałę, widać to na zdjęciu.

– Według ciebie ten, kto wstał, był kimś z waszej grupy, czy też mógł to być turysta albo ktoś z zewnątrz?

– Tu? To na pewno ktoś od nas. Jest za blisko innych hodowców. Inaczej od razu byśmy go przepędzili.

– A więc to mógł być... nie wiem... na przykład burmistrz?

– Fjordsen!?

Hodowca wybuchnął śmiechem.

– Pokój jego duszy, ale nigdy nie zdołałby podejść do naszej grupy bliżej niż na pięćset metrów – zapewnił ze śmiechem.

– A nie widziałeś przypadkiem w tej okolicy dwóch niemieckich turystów?

– Tu? Ani śladu. A co, szwendają się tu, nie wiedząc, że nie wolno?

– Nie, tylko w fiordzie mieliśmy zgłoszenie kradzieży.

– Tak go nie lubiłeś? – spytała Nina.

Hodowca spojrział na nią, odwracając się od Klemeta. Nie zrozumiał.

– Czy tak bardzo nie lubiłeś Fjordsena?

Hodowca wzniosł ręce do nieba.

– Przecież wiecie, kto to jest, wiecie chyba, co robi? Nie, nie, Fjordsen nigdy by tu nie przyszedł. Gdyby tu wtedy był, ktoś by go zauważył. Nieraz przesadzał, ale nie był idiotą. Gdyby to zrobił, nie miałby spokoju przez dziesięć lat. Jeśli kogoś możecie skreślić z waszej listy, to na pewno jego.

W ciągu następnych dwóch godzin patrol P9 odnalazł kolejnych dwóch hodowców. Jeden z nich, obozujący na północy, również odpoczywał w gumpi. Nieco więcej czasu zabrało Klemetowi i Ninie szukanie drugiego, który na południu podążał za swoim stadem jedną z dolin. Obaj mężczyźni, uprzedzeni telefonicznie przez Mortena Isaaca, bez problemów odpowiedzieli na pytania policjantów. Obraz na fotografii stawał się coraz bardziej zrozumiały. Udało im się zidentyfikować wszystkie postacie widoczne na południowym brzegu i część z przeciwległego krańca cieśniny. Pytani o stojącą sylwetkę, ich rozmówcy wymienili trzy możliwe

nazwiska. W przypadku każdego z nich chodziło o Lapończyka pracującego w dystrykcie. Nie wchodził więc w grę ani burmistrz, ani zabłąkany turysta.

Około siódmej wieczorem dotarli do policyjnego gumpi. Klemet został na zewnątrz; dzwonił do komisariatu w Hammerfest, podczas gdy Nina szykowała się do snu. Błądził myślami we wnętrzu szałas, gdy z zadumy wyrwał go rozlegający się z telefonu głos komisarz Ellen Hotti, o wiele mniej sympatyczny.

– Nie wiem, co robiliście przez weekend, ale dostaliśmy sporo skarg. Wiesz, jak zwykle w Wielkanoc... hodowcy na skuterach przepędzają spacerowiczów, którzy podchodzą za blisko rodzących łań.

– Byliśmy w Kautokeino.

– Wyobraź sobie, że wiem. Wysłałam patrol z Alty.

– Widocznie jeszcze nas lubią, skoro zarzucają nam, że nie czuwamy, by przeszkadzać Norwegom cieszyć się pięknem natury w czasie weekendu.

– Czyli specjalnie zeszliście z posterunku.

– Mieliśmy mieć wolne!

– W taki weekend to kiepski pomysł.

– To Kiruna układa grafik, nie ja.

– Kiruna! Oni są w Szwecji, dobrze wiesz, że nic ich nie obchodzi, co tutaj myślą niedzielni spacerowicze. A ludzie też mają prawo odpoczywać na łonie natury.

– Wytłumacz to hodowcom, którzy mogą stracić młode, jeśli matka je porzuci.

Klemet wiedział, że podobne dyskusje są całkowicie jałowe. Norwegowie mieszkający na wybrzeżu zawsze oskarżają straż reniferów, że ich prześladowe, biorąc zawsze stronę hodowców, rzekomo uprzywilejowanych. Mówią przy tym, że góry należą do wszystkich.

– A burmistrz? – ciągnął Klemet, zmieniając temat.

– Pracujemy nad autopsją. Ciało jest w szpitalu uniwersyteckim w Tromsø. Skała, z której spadł, jest stroma, wiesz o tym.

– Wiadomo już, co Fjordsen tam robił?

– Niezupełnie. Ktoś widział, jak z samego rana wyjeżdża z Hammerfest. Nie wiemy, czy może poszedł szukać reniferów na drodze albo koło tunelu. Szukamy świadków, sprawdzamy jego komórkę. Najbardziej zajmują nas przygotowania do pogrzebu. Będzie cała śmietanka. To był fajny facet, lubiłam go.

– Wiem, w Hammerfest wszyscy go lubili. A, jeszcze jedno: czy zgłosiło się do komisariatu dwóch robotników, żeby okazać prawo jazdy? Dwóch ludzi z budowy, którzy mieszkają na promie? Jeden z nich był Polakiem. Nie mieli dokumentów, kiedy sprawdzałem ich kilka dni temu.

W słuchawce zapanowała cisza, po czym rozległ się w niej ponownie głos komisarz Ellen Hotti.

– Ostatnio nikt się do nas nie zgłosił.

Nina wysunęła głowę z gumpi i skinęła na niego. Klemet rozłączył się. Słońce zniknęło właśnie za górą, która przesłaniała horyzont. Ochłodziło się. Temperatura tej nocy miała spaść do minus pięciu stopni. Jutro rano trzeba będzie wcześniej wyjechać, korzystając ze stwardniałego śniegu, po którym pewniej jeździ się skuterem. Zaczął wiać lekki wiatr. Klemet zadrżał nagle, przypomniawszy sobie stare dziecinne zmyślenia. Tego wieczoru nie miał ochoty zmagać się ze wspomnieniami. Natarł twarz śniegiem, osuszył ją bez przekonania na wietrze i wszedł do ciepłego gumpi, próbując nie myśleć o Ninie, skulonej już w swoim śpiworze.

Rozdział 14

Zajazd Skaidikroa, 22.30

Markko Tikkanen szedł chwiejnym krokiem przez parking za Skaidikroa, zajazdem przy stacji obsługi w Skaidi, na skrzyżowaniu dróg wiodących do Hammerfest, do Alty i na Przylądek Północny. W jednym ze skrzydeł budynku mieścił się motel. Tikkanen wynajmował w nim czasem pokój, kiedy załatwiał jakieś sprawy. Ale dziś zwalisty Fin czuł w ustach gorycz. Ocierał pot z czoła, chociaż było zimno po zejściu słońca.

Myślał gorączkowo, kartkując w wyobraźni swoje notatki. Po śmierci Fjordsena do władzy dojdzie jego zastępca. Bardzo dobrze. Jakie będą problemy? Co trzeba pilnie załatwić? Czy powinien podjąć jakieś nowe kroki? Do kogo ma iść? Bill Steel i jego poniżające traktowanie... Amerykanin dzierżył klucz do jego sukcesu. Jego decyzja o inwestowaniu w przyszłość Hammerfest miała decydujące znaczenie.

Ale Tikkanen nie byłby Tikkanenem, gdyby nie wiedział, że w Houston, w centrali South Petroleum, są inni Amerykanie, gotowi mu zaufać. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, w najbliższych dniach znalazłby się u szczytu swojej kariery. Wiedział dokładnie, kto przejmie schedę po Fjordsenie. Zawsze na to liczył.

Nic mu nie zrobią. Jego notatki są aktualne. Wiedział, jakie napięcia wstrząsają 23. dystryktem, co myślą poszczególni hodowcy, jakie są potrzeby każdego z nich. Dystrykt 23. – 19 hodowców, 5 rodzin, 27 kuzynów, 2300 reniferów, 657 cielaków z ostatniej wiosny, z czego 300 pożartych przez drapieżniki, zadłużenie całego dystryktu opiewające na łączną kwotę 29 milionów koron.

Tikkanen odzyskiwał pewność siebie, widział w myślach papiery, jakby miał je przed sobą. Podliczał roczne koszty operacyjne 23. dystryktu – wynajem ruchomej rzeźni, godziny pracy helikoptera, naprawy skuterów śnieżnych, quadów, nowe zakupy planowane na jesień, granulaty. Wiedział też, która rodzina zadłużyła się na bierzmowanie albo na ślub.

Zamknął oczy. Jedna rodzina potrafiła wydać 150 000 koron na zakup ubrań do bierzmowania. Nie mówiąc o weselach. Niektóre rodziny lapońskie organizowały wesela na tysiąc gości.

Tak, Tikkanen czuł się już teraz lepiej. Świadomość, że wie wszystko o wszystkich, była jego najlepszym pocieszeniem. Gdzieś w środku wydał tryumfalny okrzyk. Upokorzenia trochę go kosztowały. Niewiele. Tyle, ile trzeba. W razie potrzeby umiał robić zboląłą minę, żeby jego rozmówca miał satysfakcję, że go dotknął. Już dawno temu Tikkanen zrozumiał, że trzeba udawać znękaną ofiarę. Złośliwcy uwielbiali mu dopiekać. Było tak już w szkole. Już wtedy był gruby. Ale nie tylko o to chodziło.

Wiele godzin spędził, przeglądając się w lustrze, nie odnajdując tamtej postaci. Tikkanen był energiczny, krępy, co stanowiło objaw siły.

Nieraz słyszał o sobie straszne rzeczy. Ludzie mówili, że przypomina worek w kształcie gruszki, że ma obwisłą, ciężką, bezkształtną twarz, niebieskie, wyblakłe oczka tonące w zwałach tłuszczu, rzadkie, siwe włosy, które zaczesywał archaicznym grzebieniem, śmiesznie małe uszy i szyję, której fałdy spadały kaskadami na zawsze zbyt ciasny kołnierzyk koszuli. Niektórzy mówili to za jego plecami, niektórzy w oczy, zawsze z nutą pogardy.

Ale Tikkanen był Tikkanenem i na szczęście jego miłość własna była zahartowana jak lapońska stal. Był odporny na wszystko. Jego wygląd wyrażał jedynie siłę. Reszta to owoc zazdrości.

Obok jego samochodu zaparkowała mała skoda. Tikkanen popatrzył na zegarek. Dał znak Juvie Sikku, by został za kierownicą. Fin obszedł zajazd, obserwował przez pewien czas stację obsługi, po czym wrócił na parking. Udał się do pokoju motelowego, który wynajmował na tydzień w razie potrzeby, by nie musieć tłumaczyć się w takich jak ta sytuacjach. Nawet jeśli nie musiał się obawiać niczego ze strony właściciela motelu, którego teczka była dość pękata. Ponownie dał znak Juvie i pokazał mu pokój.

Hodowca otworzył drzwi i wskazał drogę trzem Rosjankom. Zaprowadził je do pokoju. Tikkanen zamknął drzwi. Dziewczyny go nie interesowały. Tikkanen był człowiekiem interesu. Sprawdził paszporty, taksując prostytutki jedna po drugiej. Były młode, trochę za chude jak na jego gust, nie dość wymalowane. Za bardzo przypominały studentki. Trzeba było to zmienić. To nie były profesjonalistki, z wyjątkiem jednej, która najśmielej patrzyła. Pokazał im paszporty, po czym schował je do

kieszeni, nie spuszczać dziewczyn z oczu. Obejrzał książeczki zdrowia. Tikkanen chciał dziewczyn zdrowych i szczepionych. Chodziło o jego reputację. Kątem oka obserwował Juve. Jego intencje nie budziły wątpliwości. Tikkanen nie pomylił się co do pasterza. Rzadko mylił się co do ludzi.

– Wszystko w porządku. Zabierz je do swoich gumpi i zajmij się nimi aż do wieczora. Ale ich nie tykaj. Będziesz miał do nich prawo dopiero po imprezie.

Juva Sikku patrzył na niego ponuro. Nie cieszyła go nawet perspektywa bezpłatnych numerów z dziewczynami. Nigdy jeszcze nie widział, by ten hodowca miał inną minę; zawsze, niezależnie od tego, z kim rozmawiał, przybierał taką obronną postawę. Brakowało mu pewności siebie. Tikkanenowi nie. Tikkanen wiedział, co robi.

– A co z tą farmą?

Tikkanen powinien się zdenerwować. Dlaczego zawsze wszyscy proszą go o przysługi?

– Myślę, że mam coś, czego szukasz. Działka pięćdziesiąt hektarów, koło Levajok.

– Ale to nad samą finlandzką granicą!

– Dla ciebie jeszcze lepiej! Oprócz zajmowania się farmą z reniferami będziesz mógł robić interesy po obu stronach granicy. Alkohol, papierosy, mazut. Tymczasem zadbaj o te dziewczyny tak, jak dbasz o swoje renifery. Jeśli będzie trzeba, weź je na laso.

Rozdział 15

Środa, 28 kwietnia

Wschód słońca: 2.56. Zachód słońca: 21.48

Długość dnia: 18 godzin i 52 minuty

Gumpi straży reniferów, 8.15

Klemet i Nina zaczęli dzień od serii telefonów do hodowców i do krewnych z ich klanów. Potwierdziły się zeznania trzech Lapończyków spotkanych poprzedniego dnia. Policjanci zlokalizowali każdego z nich na południowym brzegu. Identyfikacja postaci z drugiego brzegu, od strony Wyspy Wieloryba, powinna pójść jeszcze szybciej.

Opuścili gumpi wcześniej rano, pozostawiając tam resztę przywiezionych ze sobą bierwion. Patrol prowadził Klemet, ufając swojej znajomości terenu. Śnieg był jeszcze twardy i Klemet z łatwością znajdował zaśnieżone szlaki. Czasem zahaczał skuterem o pozbawione śniegu plamy, ale maszyna znosiła to bez problemu. Na pełnym gazie pokonał wąską rzekę, na której łód częściowo stajał, przez kilka sekund ślizgał się po wodzie, nim dojechał do przeciwległego brzegu. Odwrócił się w porę, by zobaczyć, że Nina z łatwością pokonuje przeszkodę. Przejeżdżanie przez rzekę skuterem śnieżnym było jednym z ulubionych zajęć młodych o tej porze roku. Teraz, przy obciążeniu saniami, to zadanie było trochę trudniejsze.

Jadąc wzdłuż rzeki, patrol P9 dotarł do końca małej doliny porośniętej karłowatymi brzoźami. Wielkie skały zaczynały wyłaniać się spod śniegu, odsłaniając pułapki zupełnie niewidoczne zimą. Dojechali do małego obozu złożonego z dwóch lapońskich namiotów. Z ich szczytów unosiły się smugi dymu. W pobliżu bawiły się małe, roześmiane dzieci. Klemet przypomniał sobie to poczucie zupełnej swobody. Gdy był dzieckiem, mieszkał podobnie na rodzinnej farmie, daleko od miasta. Ten szczęśliwy okres trwał tylko do początku szkoły. Tam zaczęły się wszystkie jego problemy.

Hodowca wyszedł z namiotu akurat w chwili, gdy policjanci gasili swoje motory. Miał na sobie czarny kombinezon z szerokimi, pionowymi, pomarańczowymi pasami. Szykował się do pójścia za swoim stadem.

– Bures – pozdrowił ich Jonas Simba.

– Bures – odpowiedzieli policjanci.

Jonas Simba podał im powyginany, poczerniały dzbanek z kawą. Policjanci wyciągnęli kubki z kombinezonów. Usiedli przy ogniu.

Klemet bez słowa rozłożył mapę.

Jonas Simba wskazał żdźbłem trawy miejsce, w którym się znajdował.

– Widziałem, jak Erik tonął.

Simba zamilkł. Oczy mu zwilgotniały. Siedział, nic nie mówiąc. Policjanci uszanowali jego milczenie. Nie próbował powstrzymać łez, które zaczęły spływać mu po policzkach.

– Byłem tam i nic nie dało się zdziałać. Byłem za daleko. Gdy zniknął pod wodą, zbiegłem z góry. Ale nie mogliśmy nic zrobić. Ani ja, ani ci w łodzi. Było stado, wszędzie ciała, renifery miały się we wszystkie strony. Nie wiem nawet, czy wszyscy od razu spostrzegli, że Erik tonie. Wszędzie panował chaos. Ale ja widziałem. Widziałem, jak jego łódź chwieje się, nabiera wody, widziałem, że coś się dzieje, i kiedy wpadł do wody, kiedy...

Klemet i Nina dali mu wypić kawę.

– W zeszłym roku świadkowałem mu na ślubie, w czasie festynu wielkanocnego.

– Kto tam stał?

– Ta stojąca postać? To Juva. Juva Sikku.

Jonas Simba splunął na ziemię.

– Jesteś pewien?

– To Sikku. Oczywiście. Był tuż nade mną. Poprosił mnie, żebyśmy zamienili się miejscami, i w ten sposób znalazłem się kilka metrów poniżej niego.

– Widziałeś, jak wstaje i daje znaki?

– Nie, patrzyłem w stronę cieśniny, jak chyba wszyscy.

– Wiesz, dlaczego wstał?

Jonas Simba podniósł głowę.

– Nic z tego nie rozumiem. Jego stary renifer prowadził stado podczas przeprawy. Może zobaczył, że jest jakiś problem z jego reniferem przewodnikiem?

– Nie wiesz, czy renifery zawróciły przed tym czy po tym, jak Sikku wstał?

– Nie, mówiłem wam, że nie widziałem, jak wstawał. Poza tym na zdjęciu nie widać, czy chciał dać komuś znak, czy też chodziło o coś innego...

Hodowca miał rację. Te pytania do niczego nie prowadziły. Doświadczenie podpowiadało Klemetowi, by nie lekceważyć tego rodzaju systematycznego przesłuchania. Jedyne problemy polegały na tym, że w tundrze przesłuchanie wszystkich, którzy znajdowali się w okolicy, stanowiło zadanie nieomal niewykonalne.

– A nie widziałeś tu gdzieś ostatnio dwóch niemieckich turystów? – spytał Klemet.

– Niemcy, tu? Nie. A jaki to ma związek?

Klemet potrząsnął głową. Podniósł się, by zakończyć spotkanie. Rzucił nalegające spojrzenie Ninie, która nie ruszyła się z miejsca. Jonas Simba także wstał. Nina wciąż wpatrywała się w żar ogniska.

– Nina.

Młoda kobieta zdawała się nie słyszeć. Podniosła oczy i spojrzała na Simbę.

– Dlaczego splunąłeś, wymawiając imię Sikku?

Hodowca spojrzał na Klemeta, potem na Ninę.

– Nie lubisz go?

Jonas Simba gryzł źdźbło trawy, patrząc na Ninę. Klemet ponownie usiadł, podkreślając wagę pytania swojej koleżanki. Hodowca zrozumiał, co chciał powiedzieć tym gestem.

– Od lat my, hodowcy z dystryktu, żyjemy pod presją z powodu rozwoju Hammerfest. Zabierają nam coraz więcej ziemi, tworząc nowe tereny przemysłowe. Teraz, z tymi nowymi złożami ropy w Suolo, będzie jeszcze gorzej.

– I?

– I dzieją się mało przyjemne rzeczy. W grę wchodzi duże pieniądze. A my się nie liczymy.

– Nie widzę związku z Juvą Sikku – powiedziała z naciskiem Nina.

– W dystrykcie powinniśmy być jednością. Ale tak nie jest. Są takie typy jak Sikku, które mówią nam, że nie mamy szans. Nie podoba mi się jego postawa. Powinniśmy być solidarni, mówić jednym głosem. Jak Erik. Jak Anneli. Oni zawsze wiedzieli, co powiedzieć. Ale Sikku wciąż

powtarza, że siedzimy na skarbie, że musimy wziąć za te grunty jak najwięcej i że mając pieniądze, będziemy mogli sobie poszukać tańszych pastwisk gdzie indziej.

Klemet zamyślił się. Postawa Juvy Sikku musiała budzić sprzeciw wielu hodowców. Ale stanowiła alternatywę dla trudnej walki o dostęp do terenów na Wyspie Wieloryba, na których chciało się rozbudować Hammerfest. Sikku miał może trochę racji.

– Inni hodowcy się z nim zgadzają? – podjął Klemet.

– Są w mniejszości.

– Ale Sikku nie jest sam – nalegał policjant.

Simba znów splunął.

– Nie jest sam. Zawsze zasłania się tym przeklętym Tikkanenem. Myślą, że są cwani. Ale widziano ich razem w pubie w Skaidi.

– Koło naszej chaty? – spytała Nina, zwracając się do Klemeta.

Nie było innego Skaidi. Obraz Sikku, jaki nakreślił Jonas Simba w dalszej części rozmowy, nie był zbyt korzystny dla tego pierwszego. Owszem, Sikku należał do związku hodowców. W wymiarze czysto technicznym Jonas uważał go nawet za dobrego pasterza, dobrze znającego swoje zwierzęta i zajmującego się nimi jak trzeba. Wystarczyło popatrzeć na jego renifera przewodnika. Jak wielu innych hodowców narzekał na pogarszające się warunki hodowli. W tym względzie Jonas podzielał jego opinię. Ale Sikku zdawał się nigdy nie być zadowolony z tego, co ma. I miał zwyczaj włączania się po mieście.

– Nie wiem, co go tam ciągnie, bo trzeba powiedzieć, że nas, pasterzy, uważa się tam raczej za pariasów. Ledwo się nas toleruje.

Jonas Simba wrzucił nagle swoje źdźbło do ognia i chwycił pomarańczowe, pokryte plastikiem lasso, które przewiesił sobie przez pierś. Rozmowa była skończona. Klemet dumiał chwilę przy ognisku, patrząc na spalające się w ogniu źdźbło. Markko Tikkanen, agent nieruchomości, i Juva Sikku. Co oni kombinują?

Midday,

tracimy zbyt wiele energii, żeby przetrwać. Tamten ma rację. Trzymać się obranej drogi, nie zbaczać z kursu. Nie zostawiać nikogo za sobą. Już prawie jesteśmy u celu. Ale znosi nas na bok. On za dużo myśli. Jak wtedy. Nie daje swojemu ciału czasu na odzyskanie sił. Ja tak samo. Tracimy kontrolę nad naszym ciałem. Bez niego byłbym skończony. On beze mnie także. Dwie ruiny. Jego stan mnie przeraża. Dotąd zawsze udawało się nam wypłynąć na powierzchnię, kiedy byliśmy razem, Ty i ja, i potem, kiedy on zajął Twoje miejsce. Ale teraz?

Rozdział 16

Środa, 28 kwietnia

Wzgórza nad doliną Cieśniny Wilka, 15.30

Po długich objazdach w poszukiwaniu nośnego śniegu patrol P9 dojechał do miejsca, gdzie obozowała Anneli. Czytała, rozłożona na dwóch brzoźowych gałęziach, ze zwiniętą skórą renifera pod głową. Wstała, by wyjść im naprzeciw. Miała na sobie spodnie od kombinezonu do jazdy na skuterze i granatową wełnianą bluzkę. Jedynym kolorowym akcentem jej stroju była czerwona wzorzysta chustka owinięta wokół szyi, nie licząc długich, prostych blond włosów.

Nina dostrzegła jej spokojne spojrzenie, zupełnie różne od błędnego wzroku, który miała w czasie swojego desperackiego wyścigu zeszłej niedzieli. Zastanawiała się, co też mogła czytać młoda pasterka. W tym świecie hodowców reniferów, zdominowanym przez mężczyzn, Anneli była postacią nietypową. Jej miejsce w nim wydawało się jednak naturalne, jasne i oczywiste. Nina przypomniała sobie łagodny, czysty wydźwięk jej słów. Ale nie tylko. Młoda kobieta promieniała.

Inne namioty wydawały się dziwnie spokojne, nie widać było w nich żadnego ruchu, z wyjątkiem grupy kobiet przygotowujących obiad pod kierownictwem Susann. Pasterze, w każdym razie ci, którzy nie odjechali zbyt daleko za zwierzętami, jedli obiad wcześnie. Starego człowieka, który wtedy zawodził, nie było widać. Może odpoczywał. Anneli zaprosiła policjantów do ognia, zdjęła dzbanek zawieszony w pewnej odległości od żaru i naląła im czarnej kawy.

– Jak głowa? – zaczęła rozmowę Nina.

Młoda kobieta dotknęła z uśmiechem głowy.

– Bywało gorzej.

– Oglądaliśmy w niedzielę twój bieg.

– Nie wszyscy byli zadowoleni.

– Bardzo ryzykowałaś.

Anneli posłała policjantce zamyślony uśmiech. Zastanawiała się nad odpowiedzią, patrząc jej prosto w twarz swoimi pięknymi, szaroniebieskimi oczami.

– Takie biegi nie są żadnym ryzykiem. Nie dla mnie. Dla innych tak, gdyż oni biegną dla siebie. Ja nie biegłam dla siebie. Nic mi się nie mogło stać. Nic, co by mi nie było pisane.

– Ale się zraniłaś. To mogło się bardzo źle skończyć.

Anneli odpowiedziała jej tajemniczym uśmiechem, zagłębiając ponownie wzrok w kubku z kawą.

– Przyszliśmy porozmawiać z tobą o Eriku – wtrącił Klemet. – Co możesz powiedzieć nam o waszej pracy? Jak wam ostatnio szło?

Anneli wstała.

– Są spory między hodowcami. Razem z Erikiem i kilkoma innymi próbowaliśmy zmienić nasze metody pracy. Pasterze za bardzo uzależnili się od rzeczy, których nie kontrolują, i drogo za to płacą. Niektórzy nie dają rady. Wielu pasterzy porzuca swoje zajęcie, a młodym, którzy chcieliby ich zastąpić, bardzo trudno jest znaleźć swoje miejsce, nawet jeśli należą do klanu. I nie mają pieniędzy, jeśli chcą pracować w tych samych warunkach co inni.

Anneli patrzyła na nich oboje z nieco smutnym uśmiechem.

– Czy tak musi być? Erik i ja uznaliśmy, że nie.

– Chcesz powiedzieć, że nie wszyscy się z wami zgadzali? – podchwyciła Nina.

Anneli wpatrywała się w żar. Wiał lekki, spokojny wiatr.

– Są ludzie, którzy starają się nas podzielić. Czasem im się to udaje. To są ludzie, którzy nie rozumieją tutejszej przyrody, to nie ich wina. Po prostu nie rozumieją.

Anneli wstała, ciągnąc Ninę za łokieć. Wskazała palcem na grzbiet pofałdowanego łańcucha wzgórz, wznoszącego się łagodnie aż po widnokrąg.

– Ptaki lecą za linią gór. Widzisz, jaka jest łagodna?

Ninie nie pozostawało nic innego, jak podążyć wzrokiem za drobną ręką Anneli, która bardzo delikatnym ruchem naśladowała miękkie fale. Pod wpływem jej pieśczoły góry stawały się jeszcze piękniejsze, zyskując nowy blask, a ptaki nigdy nie wyglądały wspanialej niż teraz, gdy zdawały się ulatywać jej spod palców.

Nina starała się ukryć zmieszanie. Czyste, łagodne słowa młodej kobiety wydawały się tak dziwne i obce w tym twardym świecie tundry.

Klemet przełamał milczenie, pokonując niezręczne uczucie, jakie wywoływała w nim ta rozmowa.

– Juva Sikku należał do której grupy hodowców?

Anneli usiadła. Nina poszła w jej ślady.

– Juva bardzo dużo chce. Erik i on znali się od dzieciństwa. Nie ukończył szkoły, jak Erik. Ale Juva to dobry hodowca. Dobrze zna ziemię, dobrze zna swoje stado, i stado zna jego. On pragnie rzeczy, których nie znajdzie w tundrze. Tak to wygląda. To nie znaczy, że jest złym pasterzem. Ale jak długo zdoła wytrzymać?

Nina chciała dowiedzieć się czegoś więcej, lecz Klemet pospieszył ją, chcąc jak najszybciej posunąć śledztwo naprzód.

– Kiedy renifery zawróciły tamtego dnia, Juva stał i machał rękami. Może te gesty wystraszyły zwierzęta. Znasz konsekwencje...

Młoda pasterka milczała przez chwilę. Bawiła się gałązką brzozy. W końcu uśmiechnęła się.

– Nie jestem pewna, Klemet, czy rozumiem twoje pytanie. Może to w ogóle nie jest pytanie. Jeśli tak, to powinienes jak najszybciej postawić je Juvie.

Wstała raptownie. Wyglądała, jakby miała stracić równowagę. Nina podtrzymała ją. Anneli chwyciła się na chwilę za głowę, kładąc drugą rękę na brzuchu.

– Nie podpowiadaj mi takich myśli, Klemet.

Wydawał się zmieszany. Anneli powoli usiadła.

– Wiem, że Erik kłócił się z nim o porządek przemarszu reniferów. Juva uważał, że to niesprawiedliwe, że jego stado idzie za naszym, a jego zwierzęta, dochodząc po naszych, nie miały dość pożywienia. Erik mówił mi, że Juva nie chciał przyznać, że ma za dużo reniferów, i dlatego trudno mu jest znaleźć dość pastwisk.

– Tak, wiem – powiedział Klemet. – To klasyczny problem hodowców. Trudno zmieniać stare reguły. I hodowcy nie godzą się, by ludzie z zewnątrz mówili im, że mają za dużo zwierząt, wiem, wiem.

Każdy upiera się przy swoim i jest coraz gorzej.

– Dlatego ja, Erik i kilkoro innych próbujemy zaproponować alternatywne rozwiązanie. Ja mam na przykład kilka koni. Podjeżdżam

na nich do reniferów, tak jak nie mogłabym podjechać skuterem śnieżnym.

Gdyby byli mniej zmechanizowani, mieliby niższe koszty i nie musieliby mieć tyle reniferów. Mogliby żyć z mniejszych stad i pastwisk starczyłoby dla wszystkich.

– Często rozmawialiśmy o tym z Erikiem, i z takimi ludźmi jak Olaf.

Klemet potrząsnął głową. Hiszpan i jego dumne gadki, pomyślała Nina, uśmiechając się.

– Przed chwilą spytałaś, jak długo Juva wytrzyma. Co miałaś na myśli?

– zapytała Nina.

– Juvę Sikku zawsze pociągało życie, jakie prowadzi Nils Sormi. Znali się od dzieciństwa. Zresztą od dzieciństwa znali się wszyscy trzej, razem z Erikiem.

Rozdział 17

Środa, 28 kwietnia, późne popołudnie

Dolina Klaggegga

Juva Sikku skrzywił się. Wziął porcję tytoniu do ssania i wsadził ją za górne dziąsło, w jamę wyciśniętą tam przez lata przez snus³. Mógł włożyć tam mały palec. Juva wiedział, że mimo młodego wieku jest już zniszczony. Ale vidda nie była dla delikatnych.

Skrzywił się powtórnie. Zbliżały się dwa skutery śnieżne straży reniferów. Przejechały już przez zamarznięty strumień i szykowały się do ominięcia stada pasącego się trzysta metrów niżej, w ocienionej dolinie.

Juva Sikku potarł kilkudniowy zarost. Raz na tydzień golił wszystkie włosy, łącznie z tymi na głowie. Zastanawiał się, czego mogą od niego chcieć gliny. Przyjechali bez uprzedzenia. Zły znak. Choć niektóre renifery wysforowały się o kilka dni naprzód, pokonując cieśninę, większa część jego stada była jeszcze tam, gdzie on sam powinien być na tym etapie wędrówki zwierząt.

Trzy dziwki były bezpiecznie schowane; ulokował je w rzadko używanych gumpi. Policja o nich nie wiedziała. Powinien był wysłać esemes do Tikkanena, ale gumpi znajdowały się na odludziu, z daleka od obozowisk. Nikt by ich tam nie znalazł.

Klemet Nango zatrzymał skuter o kilka metrów od niego. Jego koleżanka, Nansen, poszła w jego ślady. Przypominała jedną z tych dziwek, które ściągnął z rosyjskiej granicy; miała długie blond włosy, była jednak trochę ładniejsza. Przez kombinezon trudno było ocenić jej tyłek. Czy Nango ją posuwał? On by to robił, gdyby był na jego miejscu. Szybki numer w gumpi.

– Bures – powiedział, kiedy do niego podeszli. Tyle mógł zrobić. Teraz czekał.

Klemet Nango stanął przed nim, jego koleżanka, Nansen, stanęła obok.

– Bures. Przyjechaliśmy, żeby sprawdzić trzy sprawy. Wtedy, w Cieśninie Wilka, wstałeś, kiedy renifery przepływały przez cieśninę. Chcemy wiedzieć dlaczego.

– Wstałem?

Sikku myślał gorączkowo. O co im, do diabła, chodzi? Co im się stało?

– Tak, zacząłem wołać, kiedy zaczęły pływać w kółko. Trzeba było szybko coś zrobić. Mój Boże, tam był mój biały renifer.

– Tak, ale... mamy zdjęcia. Wstałeś, zanim zwierzęta zaczęły pływać w kółko. Mamy wszelkie powody, by sądzić, że twoje gesty wystraszyły stado.

– Ale co ty gadasz?! – uniósł się Sikku. – Opowiadasz bzdury! Nie wiesz, o czym mówisz! Byłeś tam?

Klemet wyjął papiery z kieszeni spodni kombinezonu. Policjant, nieporuszony, zaczął pokazywać mu zdjęcie po zdjęciu, rozprostowując pogniecione kartki. Na pierwszym zdjęciu na tle krajobrazu widać było z tyłu kobietę, która coś pokazywała.

– Przyjechałeś tu, żeby mi pokazać tę dupę?

– Lepiej się przyjrzyj. Renifery płyną jeszcze w kierunku wyspy. A tam jesteś ty, sprawdziliśmy. Stoisz, chociaż one jeszcze nie zawróciły.

Sikku wyrwał kartkę z rąk Klemeta. Przyjrzał jej się uważnie, choć wiedział, że policjant mówi prawdę. Wziął drugie zdjęcie, na którym także widać było damski tyłek, a w jego tle zawracające renifery. I jego białego renifera. Spędził z nim tyle lat. Ale zwierzę nie zginęło na marne. Zwlekał, zastanawiając się nad odpowiedzią. Czy powinien odpowiedzieć? Zawahał się. Może mieć przez to kłopoty. Pomyślał o dziwkach w swoim gumpi. Tikkanen nie wiedział, gdzie je schował. Grubas zawsze mu powtarzał, że im mniej się wie, tym lepiej. Co Tikkanen powiedziała by glinom?

– Zobaczyłem, że mój renifer nie płynie tak jak trzeba. Próbowałem dać znak Steggo, to wszystko. On zresztą zrozumiał, mój biały renifer płynął w złą stronę. Był prąd. Steggo zrozumiał, najlepszy dowód, że od razu zaczął się oddalać. Tak było. To prąd, to wszystko wina prądu.

Nango i jego rozmówca patrzyli na zdjęcie. Co właściwie tam widzą? Ta laska się na tym nie zna, a Nango wie niewiele więcej.

– Tego dnia prawie nie było prądów. Dzięki temu znaleziono wszystkie renifery, a ciało Steggo było nieomal w tym samym miejscu, w którym utonął.

– Może i tak, ale mój renifer przewodnik nie czytał prognoz pogody. Poza tym był uparty jak osioł.

– Wszyscy bardzo go chwalili.

– Mówię wam, był uparty jak osioł.

– Słyszeliśmy, że się zamieniłeś miejscami – ciągnął Klemet. – Wyszedłeś na górę, przed innych. W ten sposób nikt nie mógł dobrze widzieć, kiedy się podniosłeś.

– Bzdury. Kompletne bzdury. Byłem na górze i tyle, a zamieniłem się miejscami, żeby mieć lepszy zasięg, bo musiałem zadzwonić, to wszystko.

– Do kogo dzwoniłeś?

– Na litość boską, o co wam chodzi, jesteście z policji?

Spojrzeni po sobie. Odkąd to straż reniferów bawi się w prawdziwą policję? I na dodatek ta dziewczyna, która nie odpuszcza. Sikku stracił cierpliwość.

– Nie wiem. Ty wiesz, do kogo dzwoniłeś wczoraj o ósmej?

Zadali mu jeszcze kilka pytań o jego relacje z Erikiem Steggo, a nawet z nurkiem, Nilsem Sormim. Odpowiedział, że są doskonałe. Każdy robił swoje i wszystko szło dobrze. Przecież pracowali razem ze Steggo, no nie? To nie był dowód? Próbowali go wypytywać o dzieciństwo. O dzieciństwo!

Sikku poczuł, że uginają się pod nim nogi, kiedy spytali go, gdzie jest łódź, którą pływał Steggo. Odpowiedział, że została spalona. I tak była już do niczego. Była do niczego przed czy po wypadku? Była do niczego, została spalona, i tyle. Za wszelką cenę próbował zachować spokój. Tak, tak, tylko spokojnie.

Najbardziej nie spodobało mu się to, że Nango zniecka spytał go, czy zna dobrze Tikkanena. Co, kogo? Nango nalegał. I dziewczyna również. Wciąż pytała go o telefon. Czy to nie do Tikkanena dzwonił wtedy, zanim się podniósł? Ktoś, nie wiadomo kto, powiedział im, że widywano ich często razem, jego i Tikkanena, w zajeździe w Skaidi. Sikku znów zaczął gorączkowo myśleć. Czy ktoś mógł ich widzieć w zajeździe wczoraj wieczorem? Wchodząc tam, nikogo nie zauważył. A Tikkanen na pewno swoim zwyczajem zrobił wcześniej obchód. Odpowiedział policjantom, że widywanie się z Tikkanenem nie jest zabronione. Nabrał pewności siebie. Tikkanen był tu ważną figurą, nawet jeśli był Finem. Sikku wyczuł, że zamknie im tym usta. Odwrócili się na pięcie i poszli. Cholerna straż

reniferów, nie mają nic lepszego do roboty? Ale to wszystko niedługo się skończy. On też ma prawo do swojej doli. Tikkanen mu to przyrzekł.

Rozdział 18

Czwartek, 29 kwietnia

Wschód słońca: 2.50. Zachód słońca: 21.54

Długość dnia: 19 godzin i 4 minuty

Droga nr 93 między Altą i Kautokeino, 9.45

Klemet nalegał, żeby jechać do Kiruny. Musieli bezwzględnie zapoznać się z wynikami autopsji. Przeprowadził ją w Tromsø zaprzyjaźniony z Klemetem lekarz sądowy, który chciał przekazać im wnioski. Jak część lekarzy i pielęgniarzy szwedzkich, dorabiał w Norwegii, żeby podreperować budżet. Nina nie rozumiała pośpiechu Klemeta.

– Twój kolega może nam przekazać wyniki mailem. Poza tym śmierć burmistrza nieszczególnie nas obchodzi.

Klemet o mało się nie zdenerwował. Zaproponował, że pojedzie sam. Ostatecznie przecież mają wolne po wyjeździe, dzisiaj nie pracują. Nina w końcu się zgodziła. Coś ją gnębiło, sama nie wiedziała co. Nękało ją wspomnienie krótkiego spotkania z Nilsem Sormim w Cieśninie Wilka, ale nie wiedziała, co to było. Ani dlaczego. Kiruna oderwałaby ją od tej obsesji.

Klemet zatrzymał się po drodze w kawiarni Reinlycka. Stara Laponka jak zawsze czuwała przy kasie. Reinlycka, szczęście przy reniferach. Kupili kawę i usiedli w kącie.

– Szczęście przy reniferach... – zaczęła Nina. – Kiedyś mówił nam o tym Morten. Ludzie ciągle wierzą w takie rzeczy?

– Czy wierzą jeszcze w świętość? W to, co nas przerasta? Ludzie wierzą w to, w co potrzebują wierzyć, żeby przeżyć.

Nina z powątpiewaniem uniosła brwi. Niezbyt to pasowało do surowej ewangelickiej religijności, którą w dzieciństwie wpoila jej matka. Jedynymi tajemnicami, które były do przyjęcia, były tajemnice wiary, a te były niepodważalne. Nina nieraz zastanawiała się, jak taka kobieta mogła spotkać takiego mężczyznę jak jej ojciec. Ich rozstanie było

nieuniknione już od samego początku. Co prawda w chwili, gdy się poznali, jej ojciec nie był jeszcze nurkiem. Jego życie musiało być bardzo odmienne.

– Przypomnij sobie Mattisa. On wierzył w te swoje świętości, gdy doszło do kradzieży bębna w Kautokeino. I zobacz, do czego go to doprowadziło. To go zabiło.

– Mattis nie tylko wierzył w świętość. Był też zrozpaczony i czuł się osaczony. Świętość? Widziałaś tę dużą, ostrą skałę nad Cieśniną Wilka. Takie kamienie znajdziesz w całej Laponii. Czasem są to małe kamyki, które mają szczególne znaczenie dla tutejszych ludzi.

– Tutejsi ludzie? Masz na myśli Lapończyków czy wszystkich?

– Lapończyków. W każdym razie niektórych.

– A dla ciebie one mają znaczenie?

– Dla mnie? Ja jestem policjantem, a zatem jestem racjonalny, nie zapominaj.

Nina próbowała zgadnąć, czy jej kolega żartuje. Jego twarz była nieprzenikniona. Przypomniała sobie, jak sprawdzał, gdzie pada cień, nim poszedł dalej. Czasem ją to śmieszyło.

– Joiki twojego wuja mówią o takich rzeczach?

– Tak, wiele joików wiąże się z konkretnymi miejscami.

– Chciałabym dowiedzieć się o tym czegoś więcej.

– Daj spokój, to stare bajki.

– Trudno, sama pojedę do twojego wuja.

– Uważaj na niego, on lubi młode dziewczyny.

– A ty nie lubisz młodych dziewczyn?

Klemet popatrzył na nią; nagle zabłyśły mu oczy. Pojawił się w nich wyraz, którego jeszcze nie znała.

– Ze mną nie tak ławo, podobają mi się tylko te, które same potrafią utrzymać się na skuterze śnieżnym...

W Kautokeino skorzystali z helikoptera, który leciał prosto do Kiruny. Zachwycona Nina po raz pierwszy podziwiała tundrę z lotu ptaka. Klemet był wspaniałym przewodnikiem. Ramię przy ramieniu, w przytulnej kabinie helikoptera, czuła bezpieczne ciepło swojego partnera. Śnieg pokrywał jeszcze większość powierzchni, ale czuła, że natura wskazuje palcem na gruby biały pancerz, jeszcze przytłoczona, ale już sygnalizująca wątlymi brązowymi plamami swoje pragnienie powrotu do życia i światła. Vidda wydawała się usiana dolinami, które dzieliły tundrę

na tysięczne fragmenty, coraz bardziej niedostępne. Ten bezkres był jednak ich miejscem pracy, jakkolwiek niedorzeczne mogło się to teraz wydawać z góry. O tej porze roku w całym regionie nie było już reniferów. Wkrótce odejdą do Finlandii. Widać było coraz więcej lesistych terenów. Nina przypomniała sobie, co opowiadał jej Klemet, nigdy nie wchodząc w szczegóły. Jego dziadek musiał porzucić hodowlę reniferów z powodu granic, które wytyczono w Laponii, gdy państwa dość późno zdecydowały się objąć ten region swoim panowaniem. Wraz z pojawieniem się granic tradycyjne drogi wędrówki reniferów zostały przecięte. Hodowcy, którzy przechodzili na drugą stronę, byli karani grzywną. Tak było z dziadkiem Klemeta. Wielu hodowców zostało pozbawionych swych tradycyjnych pastwisk. Stopniowo tracili wszystko. W ten sposób dziadek Klemeta został wypchnięty ze środowiska hodowców. Był to straszny los w kraju, w którym dumę mierzyło się liczbą reniferów. Czy Klemet myślał w tej chwili o swoim dziadku, przelatując nad odcinkiem granicy fińskiej, który spowodował upadek jego rodziny? Twarz jej kolegi przybrała nieprzenikniony wyraz. Musiał poczuć na sobie spojrzenie Niny i zamknął oczy, jakby zasypiał.

Dotarli do Kirusy, przeleciawszy nad kopalnią LKAB. Wyjechał z niej właśnie pociąg z urobkiem. Miał prawie 800 metrów i wioził blisko 7 000 ton kopaliny, powiedział Klemet, krzycząc do mikrofonu. Klemet spędził część dzieciństwa w Kirunie ze swoją matką, która była Szwedką, nim przeprowadzili się do jednej z wiosek koło Kautokeino, po stronie norweskiej, a potem do samego Kautokeino, gdy zaczął chodzić do szkoły.

Po wylądowaniu samochód zabrał ich do miasta. Po drodze widzieli plakaty zapowiadające w miejscowym domu kultury recital lapońskiego artysty o nazwisku Anta Laula. Nina nie miała czasu odkryć miejscowych artystów. Klemet mówił jej często, że to dzięki nim kultura lapońska naprawdę przetrwa, bardziej niż dzięki hodowli reniferów. Czy mógł mieć rację? Na pewno przesadzał. Wszystko, co dotyczyło przyszłości hodowli tych zwierząt, widział w czarnych barwach. Na pewno wiązało się to z osobistymi przeżyciami.

Samochód dowiózł ich do komendy głównej straży reniferów, mieszczącej się w starej remizie strażackiej. Podczas swojego pierwszego stażu na miejscu Nina dowiedziała się, że straż reniferów utworzono w Norwegii w roku 1949, w czasie, gdy Norwegowie masowo kradli renifery, żeby przeżyć po zniszczeniu wybrzeża przez Niemców pod

koniec wojny. Komenda główna znajdowała się wówczas w Alcie. Potem rządy państw skandynawskich postanowiły rozszerzyć strefę działania tej straży na tereny Finlandii i Szwecji, łącznie na prawie 380 000 kilometrów kwadratowych terytorium Laponii. Postanowiono wówczas, że jej nowym centrum operacyjnym będzie Kiruna.

Budynek dawnej remizy strażackiej zdobiła piękna ośmiokątna drewniana wieża, pomalowana na kolor czerwieni faluńskiej. Jej szczyt wieńczyła mała biała kopuła, okolona wąskim balkonem.

Lekarz sądowy czekał na nich na schodach przy wejściu. Wracał właśnie ze szpitala uniwersyteckiego w Tromsø, po stronie norweskiej. Uściskał serdecznie Klemeta. Obaj mężczyźni wcześniej wiele lat pracowali razem w Sztokholmie. Lekarz bez słowa uchylił swój biały fartuch i puszczając oko, pokazał zielone polo z logo Hammarby, klubu piłkarskiego z Södermalm, w południowej części stolicy Szwecji.

– Włożyłem ją specjalnie dla ciebie, gdy dowiedziałem się, że przyjeżdżasz...

Weszli do sali konferencyjnej. Kawa, ciasteczka cynamonowe. Lekarz otworzył leżącą przed nim plastikową okładkę.

– Wiem, że to nie wasz dział, ale zważywszy na to, co się u was dzieje, pomyślałem, że to was zainteresuje. Lars Fjordsen rzeczywiście zginął, spadając z piargu. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale tuż przedtem z kimś się bił. Na szyi widać ślady duszenia, na ciele są siniaki. Badamy jeszcze różne rzeczy, na przykład ślady za paznokciami. Wszystko to działo się chwilę przed jego śmiercią. Pytanie, czy spadł sam, czy też został popchnięty. Potem uderzył z całej siły głową w skałę. A potem trach, ciao i koniec pieśni.

Klemet i Nina zostali sami w sali konferencyjnej. Po odejściu lekarza połączyli się z komisarz Ellen Hotti z Hammerfest. Jeśli doszło do bójki, to Hotti była zdania, że trzeba założyć konflikt hodowców z ratuszem. Według niej było to absolutnie logiczne. Klemet wyraził zdziwienie, ale nie oponował przeciw argumentom pani komisarz. Rozłączył się.

– Miałam wrażenie, że się z nią nie zgadzasz. Ale to się przecież trzyma kupy, prawda?

– Słyszałaś, żeby hodowca zabijał burmistrza?

– Nikt nie mówi o zabijaniu. Zginął, spadając ze skał.

– Ale są ślady duszenia. A więc może sprawca miał zamiar zabić. Zobaczymy. Łatwo sprawdzić, którzy hodowcy nie żyją w zgodzie

z ratuszem.

– A podejrzewasz coś innego?

Jej kolega nie lubił spekulacji. Wahał się.

– Fjordsen należał do Komitetu Nagrody Nobla, był ministrem. Na takich stanowiskach można sobie narobić wrogów. Weźmy choćby przypadek Olofa Palmego. W tamtym śledztwie było z tuzin wiarygodnych tropów prowadzących we wszystkie strony świata.

– A ty brałeś udział w śledztwie w sprawie zamordowania Palmego, wiem.

Nina potrząsnęła głową. Przeglądała egzemplarz najnowszego wydania NSD, regionalnego dziennika socjaldemokratów. Pisano tam o konflikcie związkowym w kopalni, o prezentacji projektu przyszłej siedziby nowego ratusza, ponieważ trzeba było wyprowadzić się z obecnej, grożącej zawaleniem, żeby nie hamować wydobywania w kopalni. Na stronach poświęconych kulturze NSD wspominał o wystawie tego artysty, którego twarz widzieli na plakatach na mieście i który wydał się Ninie dziwnie znajomy. Nie mogła sobie przypomnieć, skąd go zna. Jedna ze wzmianek informowała, że Lauli oczekiwano na wernisażu wystawy, który miał się odbyć następnego dnia. Jego obecność zapowiadano jako wydarzenie, gdyż jego stan zdrowia w ostatnich latach bardzo się pogorszył i jeśli wierzyć temu krótkiemu tekstowi, rzadko kiedy pokazywał się publicznie.

– Znasz tego Laulę? – spytała Nina.

– Nieciekawy przypadek...

– Jak to?

– Nie wiem dokładnie. Spytaj mojego wuja. Temu typowi odbija.

Klemet zabrał jej gazetę. Rzucił okiem na zawartość.

– Fakt, jest bardzo zdolny – dorzucił, zamykając gazetę obojętnym gestem.

– No dobra – przytaknęła Nina. – Przyjechaliśmy do Kiruny w wolny dzień, żeby się dowiedzieć, że Fjordsen się z kimś szarpał. Ta informacja była oczywiście zbyt poufna, by twój kolega z boiska przekazał nam ją przez telefon...

Klemet nie odpowiedział; stukał od niechcienia w klawiaturę telefonu. Robił niewinną minę. Zdawał się taksować Ninę, ale milczał. W końcu nagle wstał.

– Zaraz wrócę.

Zostawszy sama, Nina przysunęła się do komputera stojącego na stole i wpisała w wyszukiwarce nazwisko Larsa Fjordsena. Wskoczyły dziesiątki tysięcy linków. Najwyraźniej Fjordsen był znany w całym kraju, a nawet na całym świecie, czego Nina nie podejrzewała, mimo że słyszała przez radio fragmenty jego biografii.

Fjordsen objął kierownictwo Norweskiego Dyrektoriatu Naftowego na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Uwieńczeniem jego bogatej kariery w służbie kraju i partii socjaldemokratycznej było mianowanie na członka Komitetu Noblowskiego. Nominacji dokonywano w ten sposób, że główne partie mianowały co roku pięciu swoich członków, którzy mieli przyznawać Pokojowe Nagrody Nobla. Kilka lat temu opuścił to prestiżowe gremium, by całym sercem oddać się rozwojowi Hammerfest i całej Dalekiej Północy, związanemu z eksploatacją przybrzeżnych złóż ropy i gazu.

Nina zawęziła poszukiwania. Lars Fjordsen nie był nieznanym członkiem Komitetu Noblowskiego. Działalność Komitetu była wystawiona na najróżniejsze głosy krytyki. Laureaci rzadko wybierani byli jednogłośnie, a jeśli tak się działo, często byli to ludzie prawie nieznanymi, wybrani w drodze kompromisu, by uniknąć wyboru zbyt kontrowersyjnych kandydatów. W tej sytuacji krytyczne komentarze były nieuniknione. Fjordsen miał bardzo sprecyzowane sympatie polityczne. Jego zaangażowanie skupiało się na licznych ruchach wolnościowych z całego świata. Najwyraźniej należał do internacjonalistycznej frakcji Partii Pracy. To zaś, myślała Nina, sytuuje go dość daleko od problemów hodowców reniferów.

Fjordsen był postacią tym bardziej fascynującą, że był kiedyś ministrem spraw socjalnych, w epoce, gdy w Norwegii wdrażano wielkie reformy. Nina zastanawiała się, jakim cudem przeszedł ze stanowiska szefa Dyrektoriatu Naftowego, zapewniającego ogromną władzę w petromonarchii, jaką była Norwegia, na podrzędniejsze stanowisko ministra spraw socjalnych.

Jej rozmyślenia przerwał telefon komórkowy Klemeta wibrujący na stole. Po krótkiej rozmowie, uśmiechnięta, odłożyła telefon.

Powróciła do swoich poszukiwań, które zajęły ją aż do powrotu Klemeta.

– Wiedziałeś, że Fjordsen był orędownikiem ruchów wolnościowych? Spójrz tylko na to – powiedziała, podsuwając mu swoje notatki.

Klemet oglądał je w milczeniu.

– Mówię ci, że to powtórka ze śledztwa w sprawie zabójstwa Olofa Palmego. Tutaj także ślady prowadzą we wszystkich kierunkach, a na końcu nie będzie wiadomo, kto jest winien. Przynajmniej oficjalnie.

Klemet przejrzał znów, tym razem bardziej systematycznie, notatki Niny.

– Zadzwoń do ratusza w Hammerfest – powiedział. – Przygotowywano tam właśnie ogromny projekt, projekt drogi, którą należało poszerzyć ze względu na nową strefę przemysłową, mającą posłużyć za bazę przerobu surowców wydobywanych ze złóż Suolo. Na południe od obecnej bazy, na zachodnim brzegu wyspy, między bazą polarną a mostem prowadzącym do wyspy Kvalsund. Ogromne emocje wzbudzała ta święta skała, którą być może trzeba będzie przenieść na przeciwległy brzeg Cieśniny Wilka. Ta sprawa ma bardzo wiele aspektów.

Przez chwilę milczał.

– Zobaczymy jutro. Helikopter do Kautokeino wylatuje dopiero jutro rano. Ale już wszystko załatwiłem, mamy tu nocleg: ty w komendzie, ja u mojego kolegi.

– O, to doskonale! – wykrzyknęła Nina

Podziała Klemetowi swój telefon komórkowy.

– Przy okazji: Eva właśnie przyjechała z Malå. Będzie w restauracji punktualnie o osiemnastej trzydzieści, czyli dokładnie za kwadrans. Tak, jak się chyba umówiliście...

Rozdział 19

Morze Barentsa, na pokładzie Arctic Diving, 18.15

Nils Sormi leżał od ponad dwóch godzin ze słuchawkami na uszach. Od pewnego czasu nie było już w nich słycać żadnej muzyki, ale on dalej leżał w swojej puszcze. Puszka – to było odpowiednie słowo. Już od prawie czternastu godzin kulił się w maleńkiej kabine dekompresyjnej, zainstalowanej na statku nurkowym firmy. Zazwyczaj konieczność spędzania długich godzin w tym pomieszczeniu po powrocie z misji, gdy nurkował pod ciśnieniem, specjalnie mu nie przeszkadzała. Mimo ciasnoty słycał muzyki, czytał, rozmawiał z Tomem. Mówili o technikach nurkowania, o sprzęcie. Mogli tak rozmawiać godzinami, przeglądając czasopisma. Tym razem dzielił niestety kabinę z inną parą nurków. Nils nie znosił jednego z nich. I to zdecydowanie.

Sama misja powiodła się. Była rutynowa i mało interesująca; sprawdzali instalacje. Nie groziło im niebezpieczeństwo, nie musieli używać sprzętu. Zdalnie kierowany pojazd podwodny załatwiłby sprawę, ale brakowało dwóch operatorów ROV-ów, a nie można było czekać. Sprawdzali platformę, którą właśnie przywieziono do eksploatacji złóż Suolo. Głębokość nie była duża, ale wystarczająca, by wymagała nurkowania saturowanego, co wymagało dekompresji po wynurzeniu. Fakt, że dobrze płacili za ten wolny czas, także jemu. Wszystko byłoby wspaniale bez tego typu, którego nie lubił i z którym musiał siedzieć w kabine dekompresyjnej.

Facet podszedł, chciał pokazać coś Nilsowi w jednym z czasopism. Ten ostatni postukał w kask, dając mu znać, żeby przyszedł później. W ten sposób mógł udać, że są kolegami. Nils nauczył się tego. Zresztą w tej chwili nie było innego wyjścia. Nie mógł siedzieć dwadzieścia godzin z tym typem w jednej kabine, obrażając go, nienawidząc, mówiąc mu, że rzyga na jego widok i że jest największym kretyńcem, jakiego spotkał. Trzeba się było uśmiechać, dawać znak kciukiem, że nadajemy na tych

samych falach, że wszystko jest okej i że wszyscy tworzymy wspaniałą ekipę. Ale niech ten kretyn zejdzie mu z oczu! Niech zamknie swoją śmierzącą gębę!

Świat nurków z Morza Barentsa kisił się we własnym sosie. Nie miało to nic wspólnego z wielką epoką odkryć na Morzu Północnym, gdy setki nurków przetrząsały dno. Przygoda na Morzu Barentsa dopiero się wtedy zaczynała. By zawładnąć tymi nowymi polami naftowymi, potrzeba było lat, i Nils był jednym z pionierów tego przedsięwzięcia.

Po serii wypadków w latach siedemdziesiątych koncerny naftowe robiły wszystko, by uniknąć zatrudniania nurków. Ale znajdowano coraz to nowe złoża gazu i ropy. I czasem potrzeba było jednak takich facetów jak oni, nawet jeśli większość prac firmy starały się wykonywać za pomocą ROV-ów – zdalnie sterowanych pojazdów podwodnych.

W młodości Nils słyszał wiele najrozmaitszych opowieści o tych śmiałkach, którzy w strojach nurków podbijali Morze Północne. Lgnął do nich jeszcze jako dziecko. To byli prawdziwi bohaterowie. Pewnego dnia zobaczył, jak jeden z nich wychodzi z wody, w skafandrze, na skraju fiordu, gdzie jego rodzina miała letni domek, a ojciec pływał swoim kutrem rybackim. Wszedł z wody na jego oczach, a promienie słońca oświetlały złocisty skafander rzucający oślepiające blaski...

Jako młody chłopak, po szkole średniej, dołączył do pierwszych robotników naftowych, którzy pojawili się w jego okolicy na początku nowego stulecia. Hammerfest zyskiwało sobie sławę miasta, które się rozwija. Które dopiero miało się rozwinąć. Jego rodzice byli Lapończykami. Żyli skromnie, ale wciąż powtarzali mu, że to, co się tu dzieje, to prawdziwa szansa dla niego, małego Nilsa. Oni nie mieli żadnego wykształcenia, ale on, ze swoją bystrością i inteligencją, będzie umiał skorzystać z tej szansy. Miał szczęście: był wysportowany, nie bał się niczego. Może mu się powiedzie. Zawsze czuł wsparcie swoich rodziców, którzy pchnęli go w stronę tego nowego, rodzącego się świata ropy i gazu. Czekał go inny los niż jego kolegów z podstawówki, Erika czy Juve, którzy pozostali więźniami tradycji lapońskich klanów, trzymając się głębi lądu, gdzie jedyną przyszłością młodego człowieka była hodowla reniferów.

Rozmawiał o tym czasem ze swoim partnerem, Tomem Paulsenem, jednym z niewielu ludzi, do których czuł prawdziwy szacunek. Nils wołał jednak nie wspominać o tym, że pochodzi z rdzennie lapońskiego

środowiska. Były pewne granice. Już jako młody chłopak uciekł od tego świata i od Erika. Ten świat był mu obojętny. Nils znalazł sobie nowych przyjaciół, którzy nie byli prawdziwymi przyjaciółmi. Juva, którego spotykał przy okazji różnych młodzieńczych pijatyk, trzymał się na rozsądny dystans. Błąkał się po obrzeżach swojego kosmosu, nie opuszczając środowiska Lapończyków, ale Nils widział, jak bardzo pociąga go ten nowy świat.

Tom Paulsen wyrwał go z zamyślenia. Podsunął mu butelkę wody i pastylkę. Sormi szczególnie lubił takie kuracje, ale pomagały odzyskać siły. W tej dziwnej atmosferze ludzi nieustannie dopadało zmęczenie spowodowane dużymi zmianami ciśnienia, na które narażone były ich ciała i które musieli teraz próbować zrównoważyć, żeby wrócić do formy.

Nils Sormi znów pogrążył się w rozmyślaniach. Jeszcze jako młodego chłopca wciągnął go wir zabawy. Nurkowie z Hammerfest, pionierzy pierwszych lat eksploatacji złóż, ostro imprezowali. Udało mu się dostać do ich towarzystwa, starał się być niezbędny, napełniał szklanki, chodził po kolejne butelki, pomagał sprzątać, zdobywał telefon dziewczyny, której miejscowy chłopak nie podejrzewał niczego, widząc takiego dzieciaka jak on. Nurkowie mu się rewanzowali. Nils zasmakował w tym życiu, w luzackiej atmosferze. Tam była forsa. I tam chciał być.

Nils Sormi pamiętał swoje pierwsze zanurzenie. Nurkował wtedy razem z Francuzem, Jakiem, niemłodym już facetem, który pracował wówczas dla pewnej firmy z Marsylii, penetrując najpierw wybrzeża Afryki, a potem Morze Północne. Nils potrafił godzinami słuchać jego opowieści. Opowiadał mu, jak z jakiejś delty rzeki w Afryce wydobywał ciało innego nurka, które utknęło pod platformą. Oczywiście bohaterka zwilgotniała, gdy o tym mówił. Nils był poruszony. I trochę zawiedziony. Francuz twierdził, że jego kolega prawdopodobnie spanikował i zbyt szybko chciał wypłynąć na powierzchnię. Mówił o wybuchających bąblach powietrza, używając obrazu butelki szampana, której korek wystrzelał w powietrze, żeby opisać, co stało się z jego płucami, mózgiem i z całym jego ciałem pod wpływem ciśnienia. Tego wieczoru, żeby mu to pokazać, otworzył butelkę szampana, strzelając korkiem aż pod niebo. W ślad za korkiem z butelki wystrzeliła fontanna białej piany, która zalała Nilsowi uda, wywołując jego śmiech, po czym obaj wypili jej zawartość. Nils po raz pierwszy zobaczył wtedy, co to znaczy się upić.

Wspomnienia przerwał mu głos płynący z głośnika. Przez służę podano im posiłek. Nawet jeśli warunki życia w komorach poprawiły się od czasów pionierów, i tak były nie do pozazdroszczenia. Przez ciśnienie panujące w kabine dekompresyjnej jedzenie traciło smak, a jego konsystencja i gaz, którym oddychali, zmieniały ich głos w rodzaj nosowego bełkotu. Nils Sormi nie był głodny. Wiedział, że dekompresja wkrótce się skończy i że wtedy sobie odbije, ale zmusił się do jedzenia.

Znów wrócił myślami do czasów dzieciństwa. Rzadko mu się to zdarzało, ale śmierć Erika Steggo budziła wspomnienia. Nils nie rozumiał swojej reakcji wtedy, w cieśninie, gdy wyławiał ciało. Wydobywał już ciała z wody, widział trupy. Czemu przejmował się nim bardziej niż innymi? Byli kiedyś przyjaciółmi, ale to było tak dawno. Próbował sobie przypomnieć, co w tamtych czasach sprawiło, że obrali tak różne drogi. Najwyraźniej Erik nie czuł tego samego co on, patrząc na nurków. W latach chłopięcych chodzili jednak obaj na brzeg. Erik chodził tam w czasie wędrówki reniferów, gdy rodzice zabierali go na letnie pastwiska. Widywali się tam, gdy Nils mieszkał w rodzinnym domku nad brzegiem fiordu.

Pamiętał jeszcze tych nurków, którzy robili tam chyba coś dziwnego, o czym nie opowiadali. Nils był pewnie wtedy jeszcze noworodkiem albo był zbyt mały, by cokolwiek pamiętać.

Nils, na którego nurkowie nie zwracali za bardzo uwagi, wyłapywał słowa, których nie rozumiał. Wiedział, że nie były to słowa, jakich zwykle używali, opowiadając o swoich misjach.

Powtarzało się to każdego lata. Gdy zjawiali się pod koniec wiosny, miał wrażenie, że odżywa. Czar trwał aż do początku jesieni, gdy odjeżdżali do innych, cieplejszych mórz.

Nils nie rozumiał, dlaczego pewnego dnia zaczęli szkolić jakiegoś Lapończyka o wyglądzie pełnego dzikusa. Miał zniszczoną, pooraną zmarszczkami twarz, prawdziwy Lapończyk, myślał Nils z nutą pogardy. Tak, pogardy, gdyż przypominał mu o środowisku, które uważał za zacofane. Ale obcy traktowali tego dziwnego typu z pobłażliwą sympatią. Miał chyba zręczne ręce, choć trudno było cokolwiek z niego wyciągnąć. Poza tym otaczała go aura tajemniczości. Nils postanowił się tym nie interesować. Ostatecznie było mu wszystko jedno, byleby tylko mógł przebywać w pobliżu swoich bohaterów. On rósł, a oni traktowali go jak maskotkę. Czy mogło być większe szczęście dla takiego dzieciaka?

Pewnego dnia wszyscy ci ludzie zniknęli, pojechali pracować gdzie indziej. Tu już skończyli. Następnej wiosny nie powrócili. Przyszła kolejna wiosna, a ich nadal nie było. Poczł się samotny i opuszczony. Kto mu pozostał? Tacy jak Juva czy Erik?

Tak szybko, jak tylko mógł, Nils zaciągnął się do armii, odbył służbę wojskową w marynarce, gdzie oczywiście został nurkiem, po czym wrócił do Hammerfest. Wreszcie był nurkiem. Odtąd to jego mieli podziwiać.

– Sormi, wiadomość dla ciebie! – oznajmił głos Leifa Moe.

Nils Sormi uniósł się powoli na swojej koi. Spojrzał na ekran, na który przesyłano mu esemesy. Nie było numeru nadawcy. Tylko dwa proste słowa, które przeczytał, przecierając oczy: De Profundis.

Midday,

pomocy! Mój towarzysz już nie może. Pluje, mam wrażenie, że powoli umiera. We dwóch jeszcze idziemy do przodu. Udaje mi się go uspokoić. Ale nie wiem, jak długo jeszcze, mój druhu. Wybacz, że w tych listach jestem trochę tajemniczy, ale kto wie, w czyje ręce mogą wpaść.

Wracając do mojego towarzysza niedoli, coraz częściej się przewraca. Trudno mi na to patrzeć. Nocą, kiedy śpi z przodu, czasem słyszę, jak szlocha. Za każdym razem, kiedy to słyszę, zastanawiam się, co oni z nami zrobili. Przecież byliśmy tak dobrze wyszkoleni. Ale te dranie nie chciały słuchać. To go coraz bardziej wścieka. Chce rewanzu. Chce się odgryźć. Na swój sposób. Pokazać im. Władze nie miały prawa tego robić. Byliśmy po ich stronie. Poświęciliśmy się dla tego kraju. Czy nie oddaliśmy im najpiękniejszych lat życia? Co oni z nami zrobili?

Rozdział 20

Kiruna, restauracja Landström, 19.15

Klemet próbował wydusić z siebie jakieś przeprosiny, chcąc wytłumaczyć się przed Niną. Fakt, że został przyłapany na absurdalnym kłamstwie, wprowadził go w zakłopotanie. Została sama w Kirunie; udało jej się wykręcić od przyjęcia zaproszenia na obiad od Fredrika, potężnego, brzuchatego blondyna pracującego dla laboratorium policyjnego, który uważał się za casanovę. Lubił Ninę, ona zaś nie zamierzała odwzajemniać jego sympatii. Klemetowi udało się dotrzeć z pewnym opóźnieniem do restauracji przy ulicy Föreningsgatan. Eva czekała na niego na tarasie, z prawie pustym kieliszkiem białego wina w ręku i z papierosem w ustach. Najwyraźniej starała się uładzić swoje gęste, szare włosy. Przywitała go głośnym śmiechem.

– A więc, mój gliniarzu, dają ci koszmarną robotę!

Klemet lubił tę nietypową Szwedkę. Zresztą nie był pewien; a może właśnie była bardzo typowa, ze swoimi wspaniałymi niebieskimi oczyma i delikatną twarzą o cerze, która zawsze wydawała się opalona. Był to znak, że mimo swojego stanowiska dyrektorki Nordyckiego Instytutu Geologii z siedzibą w Malå, nieco dalej na południu, znajdowała czas na częste wypady w teren.

– W każdym razie twój telefon sprawił mi przyjemność. Oderwał mnie od moich kamyczków i stert papierów. Może białego wina? Mam tu na stole niezłą butelkę.

Klemet machnął ręką. Nie pił, a gdy zdarzało mu się robić wyjątek od tej reguły, raczej źle się to kończyło. Tym razem postanowił jednak poświęcić się dla sprawy.

– Odrobinę, nie więcej.

– A więc mój dziarski policjant zamierza dziś iść na całość – uśmiechnęła się Eva. – Może w końcu zrzuci ten sztywny mundur.

Policjant podniósł kieliszek i wypił łyk wina.

– Skoro nalegasz. Obiecałem, że zaproszę cię do mojego namiotu w Kautokeino, więc nie bądź taka szybka.

Eva Nilsdotter opróżniła kieliszek i nalała sobie ponownie. Zapaliła kolejnego papierosa.

– Straszny z ciebie drań, Klemet. – Zaśmiała się. – Naprawdę myślisz, że będziesz mnie zwodził tak jak napaloną sikse?

Klemet uniósł kieliszek i posłał jej całusa.

– Ależ czuć już wiosnę!

– Gdybym miał choć ćwierć talentu mojego wuja, opowiedziałbym ci o tej przyrodzie, która czeka już, by się obudzić.

– O tak... – Eva podniosła kieliszek. – Ona wciąż mnie zadziwia. Cała ta przyroda, przygniatana przez długie miesiące metrami śniegu, która jęczy, cierpi, która jeszcze parę miesięcy będzie nas nękać szarością, a potem nagle wybuchnie zielenią, stężeje, zakipi życiem i energią. Nasz odwieczny cud.

Klemet patrzył na Evę, jak gestykuje, opisując swoją fascynację wiosną. Pomyślał, że drobne zmarszczki w kącikach jej oczu przypominają promienie słońca.

– Nie chcę wszystkiego sprowadzać do geologii, ale patrząc na to wszystko, przechodzę do innego świata i myślę o tym, jak musiało tu być podczas wypiętrzenia, pod koniec ostatniego wielkiego zlodowacenia.

Wybuchnęła śmiechem, widząc wzrok Klemeta.

– O ho, ho, nie chciałam cię przestraszyć.

– Ależ nie, mów dalej.

– Mówię tylko, że klimat uległ ociepleniu, że stopniały ogromne lodowce, które pokrywały tę okolicę, i że ziemia, uwolniona od ich ciężaru, podniosła się. Temu właśnie zawdzięczamy rzeźbę terenu, całą tę różnorodność, no, po prostu całe to życie. Ten proces przypominał zmagania przyrody, która na wiosnę uwalnia się od ciężaru zimy, rozumiesz, mój drapieżco?

Klemet słuchał jej; podobał mu się sposób, w jaki bez skrepowania mówi o życiu, niezależnie od tego, czy chodzi o przyrodę, czy o ludzi. Przyglądał się promykom słońca w kącikach jej oczu i czuł, że promienieje. Przypomniała mu się Nina, która zwierzyła mu się z wrażenia, jakie wywarły na niej słowa Anneli. Próbował przegonić młodą pasterkę ze swoich myśli, by jej wspomnienie nie stało się jeszcze trudniejsze w toku śledztwa. Ale Eva zauważyła jego poruszenie.

– Dalej, opowiadaj, inaczej to wszystko i tak zepsuje nam wieczór.

Klemet potrząsnął głową. Nie miał nic do opowiedzenia. Nie tutaj, nie teraz. Jak tu opowiadać o pasterzu, który utonął w podejrzanym być może okolicznościach, o burmistrzu, który zabił się, spadając ze skały w sposób zdecydowanie podejrzanym, o rozgorączkowanym mieście, spychającym na margines resztki przeszłości. Klemet poczuł, że się rozkleja. Nie mógł nawet złożyć tego na karb łyku wypitego wina.

– Widzisz przecież, jak zmieniała się ta okolica.

– A co masz na myśli, mój uroczy Lapończyku? Że zmieniała się przez ostatnie dziesięć tysięcy czy przez ostatnie dwadzieścia lat? Jeśli o mnie chodzi, to im więcej zer, tym łatwiej mi coś dostrzec i powiedzieć coś inteligentnego. Ludzie najbardziej ciekawią mnie w postaci skamielin. Ależ, mój drogi, co za mina, przecież nie mówiłam tego do ciebie.

Klemet wybuchnął śmiechem.

– No dobrze, wygrałaś. Nie wiem, jak to powiedzieć: męczymy się z dziwną sprawą. Wiesz, zazwyczaj mamy do czynienia z kłótniami o pastwiska w tundrze, z kradzieżami reniferów, z przypadkami nielegalnego wjeżdżania skuterem do strefy chronionej, z tego rodzaju rzeczami. Ale to?! Sprawa śmierci burmistrza Hammerfest nas przerasta, tym bardziej że w grę wchodzi jeszcze konflikt ratusza z hodowcami.

– Jaki konflikt? – spytała Eva, nalewając sobie wina.

– W związku z eksploatacją złoża Suolo miasto musi się rozbudować, zajmując nowe tereny pod bazy logistyczne, pod budowę nowego lotniska, które będzie mogło przyjmować duże transportowce, i poszerzając drogę, która łączy Hammerfest z mostem nad Cieśniną Wilka.

– I z tym są problemy?

– Nie znasz Hammerfest; to miasto zbudowano na północno-zachodnim krańcu wyspy. Dojechać tam można jedynie drogą, która prowadzi najpierw przez Cieśninę Wilka. Droga ta wiedzie przez most nad cieśniną, potem, ciągle na zachód, przez tunel, i wynurza się na zachodnim krańcu wyspy, by bieć dalej tuż nad morzem, aż do Hammerfest. Szkopuł w tym, że renifery, które latem żerują na wyspie, szły zawsze tym samym szlakiem, by skręcić potem ku letnim pastwiskom w głębi wyspy. Przez to renifery wchodzą do miasta, denerwując wszystkich jego mieszkańców.

– A, mój kochany, ropa... Jeśli tak, to twoi pasterze już przegrali, zdajesz sobie sprawę?

– To nie mój problem, Eva, ja nie zajmuję się polityką.

– A, prawda, prawda, ty jesteś tylko gliną, który robi, co do niego należy, już to mówiłeś. Pozwól więc, że naszkicuję ci obraz sytuacji. Moi amerykańscy koledzy doszli parę lat temu do wniosku, że jedna trzecia nieznanymi dotąd zasobów ropy i gazu na naszej planecie znajduje się w Arktyce. Nie wiem, czy rozumiesz, co to oznacza – jedna trzecia! Nie wiadomo dokładnie, co mówią ich wyliczenia. Ale to nieważne. Wyobraź sobie, jakie wrażenie zrobiła ta wiadomość na inwestorach. A nawet na politykach. Nie znam Hammerfest. Ale wiem, że cały obszar Morza Barentsa stał się specjalną strefą ekonomiczną, do której rząd norweski przykładą wielką wagę. Nie znam się specjalnie na cieczech i gazach. Jak już mówiłam, fascynują mnie raczej skamieliny i wszelkiego rodzaju kamyki. Ale mogę ci powiedzieć, że substancje te mają zwyczaj kryć się w jakimś kącie, by potem nagle przebić się przez skały gdzieś pod osłoną nocy. Trochę jak ty i ja dziś wieczorem, prawda?

Rozdział 21

Piątek, 30 kwietnia

Wschód słońca: 2.43. Zachód słońca: 22.01

Długość dnia: 19 godzin i 18 minut

Laponia, w głębi kraju, 14.15

Tom Paulsen wrzeszczał, a Nils Sormi starał się krzyczeć jeszcze głośniej. Obaj nurkowie jechali terenówką Sormiego drogą, która biegła przy granicy parku Stabbursdalen, między Skaidi i Altą. Po dwudziestu minutach jazdy na południe od Skaidi gnali swoim 4x4 na oponach inkrustowanych metalowymi bolcami dłużącą się niemiłosiernie, nieomal pozbawioną zakrętów drogą, mijając po prawej stronie równinę z małym lapońskim kościołem. Po równinie hulał wiatr, padał śnieg. Przed ich oczami, przesłoniętymi okularami lodowcowymi ze względu na bardzo silne światło słoneczne odbite od śniegu, przesuwiał się bezkres nagiej viddy. Nagle Nils zjechał z drogi, skręcając w ścieżkę, której kraniec niknął za jednym ze wzgórz.

Z tyłu jechała druga para nurków, podobnie jak oni wrzeszcząc i wymachując butelkami z piwem. Z samochodów słychać było muzykę. Mimo pięciu stopni Nils i Tom, którzy dopiero co rano wyszli z kabiny dekompresyjnej, rozkoszowali się promieniami słońca, stojącego już wysoko na nieskazitelnie czystym niebie. Ich dwaj koledzy należeli do poprzedniej ekipy i starannie przygotowali ich mały wypad. Nils Sormi uwielbiał te ożywcze wyjazdy w plener po wyjściu z kabiny dekompresyjnej. Tom podał mu piwo i sam wziął sobie kolejną butelkę. Wszyscy czterej mężczyźni jechali wciśnięci w puchowe kurtki, z czapkami nasuniętymi na oczy. Nie bali się zimna.

Po mniej więcej piętnastu minutach, pewni, że nikt ich nie obserwuje, wyciągnęli strzelby myśliwskie, przeszli pieszo kilkaset metrów i zaczęli się w milczeniu, rozciągnięci na skórach reniferów. Muzyka ucichła. Pogryzali kurze skrzydełka, popijali piwem. Rozkoszowali się słońcem. To

Paulsen znalazł to miejsce. Nagle zobaczyli kuropatwę i strzelili niemal jednocześnie, co wywołało salwę śmiechu. Rzucili się w śnieg, przewracając się, śmiejąc w najlepsze i ścigając się, kto pierwszy dopadnie zdobyczy. Rzucili kuropatwę na tył jeepa, pod plandekę, i odjechali jakby nigdy nic, drąc się wniebogłosy przy akompaniamencie rockowej muzyki.

Późnym popołudniem dotarli do drogi wiodącej do Hammerfest. Nils podjechał od razu na keję Arctic Diving i zatrzymał się tuż przed Riviera Next. Na platformie niektórzy nurkowie dysponowali osobistymi kontenerami. Zaparkował swoje 4x4 przy końcu kei, żeby schować pojazd przed wzrokiem ciekawskich. Stało tam pięć kontenerów o solidnych zamknięciach. Teoretycznie tolerowano kontenery, by nurkowie mogli tam trzymać sprzęt, w praktyce jednak służyły one do przechowywania różnych zdobyczy. Gdy po raz pierwszy przywiózł Elenor do Hammerfest, wziął ją w tym kontenerze. Był to dla niego rodzaj tradycji. Tu było jego życie. Miał świadomość, że cała reszta była dekoracją służącą imponowaniu innym. Jego życie skupiało się w tym kontenerze. Lubił odszukiwać w nim zapachy zdobytych kobiet. Ale zapachy te nigdy nie brały góry nad wonią jego kombinezonów, trofeów; wonie te, tłumiąc inne, za każdym razem przypominały mu, że zapach kobiet nie mógłby stać się w jego życiu dominujący. Nigdy. Dlatego bez większych trudności znosił kobiety w rodzaju Elenor.

Nils Sormi, podobnie zresztą jak inni, zadbał o wyposażenie swojego kontenera w lodówkę z zamrażarką, by móc przechowywać w niej upolowane zwierzęta, choćby takie jak te kuropatwy, na które nie wolno było polować o tej porze roku. Czasem odsprzedawał swoje łupy okolicznym restauracjom. W jednym z kątów przechowywał stary kask od skafandra, prezent od Jacques'a, tego francuskiego nurka, którego niedaleko stąd zobaczył kiedyś, gdy wychodził z wody, i który na zawsze zmienił jego życie. Nils odsunął walające się po ziemi rogi reniferów. Była to jedyna rzecz, która mogła go jeszcze łączyć ze światem Lapończyków, ale rogi interesowały go jedynie ze względów komercyjnych. Schował strzelby do zamykanej na klucz szafki, przebrał się i wyszedł, by dołączyć do reszty swoich kolegów, którzy bawili się już we frontowej sali Riviera Next.

Ten wypad dobrze mu zrobił. Dziś wieczorem miał się spotkać z Elenor, obiecał jej całą noc, wszystko było w porządku. Nawet jeśli odpychał od

siebie wszelkie możliwe niepokoje, zniknięcie burmistrza przypominało mu o ostatnich obietnicach Tikkanena. Czy Fin może mieć teraz kłopoty? A jeśli tak, to czy i na niego przyjdzie kolej? Co oznaczała ta wiadomość, którą otrzymał w kabinie? Chciał zadać te pytania temu grubasowi Tikkanenowi, ale w tej chwili nikt nie powinien widzieć ich razem.

Postawił przed Paulsenem piwo i odsunął je od siebie.

– Wiesz, sprawdzałem ten esemes, o którym ci mówiłem: oznacza „z głębości”. To tytuł jakiegoś klasycznego kawałka. Słuchałem go dziś rano, ale z niczym mi się nie kojarzył.

– Ja też o tym myślałem. Przychodzi mi do głowy tylko to, że ta wiadomość jest jakoś związana z dnem morza. Ale jak?

Nils potrząsnął głową.

– Z dnem morza, a może z czymś, co wychodzi z głębin. To nie wszystko. Godzinę później dostałem innego esemesa. Równie dziwnego. Ahkanjarstabba. Próbowałem dowiedzieć się, co to znaczy. Bez rezultatu. W każdym razie nikomu ani słowa.

Nils zaczął się zastanawiać, czy autorem wiadomości nie jest przypadkiem Tikkanen. Mogły być czymś w rodzaju ostrzeżenia. Jak na Fina było to trochę zbyt subtelne, ale zważywszy na jego przebiegłość, można się było po nim wszystkiego spodziewać. Może go nie doceniał. Z głębin?

A ten lis, Henning Birge? Nie wyczuwał go. Birge czasem go zatrudniał; był mu potrzebny. Po co miałyby szukać zwady? Ale może autor wiadomości wcale nie szuka zwady.

Elenor? Niemożliwe, nic mu się nie kojarzyło. Poznali się w knajpie Spy Bar w Sztokholmie, na jednej z tych suto zakrapianych imprez, na których zbierała się złota młodzież z całego Stureplan4. Kompletnie zbikowała na punkcie jego rolexa, ale dopiero wtedy, gdy powiedział, ile za niego zapłacił. Marka nie zrobiła na niej wrażenia, był o tym przekonany. Wystarczyło jej, że był drogi. Od tej strony nie była skomplikowana. No i była cholernie seksowna.

Tamten nurek, z którym miał kiedyś spięcie? Ten typ, któremu cuchnęło z gęby? Nie po raz pierwszy pracowali razem, ale Nils uważał, że zachowuje się jak zawodowiec, nie dając poznać po sobie swoich uczuć, chociaż miał ochotę go rozgnieść. Ale tamten mógł nie być aż takim profesjonalistą. Może miał do niego pretensje; z pewnością czuł, że

Nils go unika. Czy bawiłby się jednak w wysyłanie takich wiadomości? Po co? Tylko po to, żeby go wkurzyć? Żeby go wkurzyć...

A może to Olaf? Hiszpan... On na pewno mógłby chcieć go wkurzyć, ale takie teksty? To do niego niepodobne. Nie, to musiał być ktoś inny. Myślnami wrócił znów do Tikkanena. Ten człowiek mógł się stać problemem. Prawdziwym problemem... Wyobraził sobie tego grubasa, o tak, dobrze go sobie wyobraził, tego sflaczałego typu, którego nagle zapragnął strząsnąć z nogi jak gówno. Miał tylko nadzieję, że po zniknięciu burmistrza jego sprawa z działką nabierze tempa. Powinna być załatwiona.

De Profundis... Z głębi morza, jego życia, jego młodości? Po co ta druga wiadomość, brzmiąca z lapońska? Nie wiedział nawet, czy obie wiadomości wysłał ten sam człowiek. Numery były ukryte. Co za pokręcony typ... Z kim się ostatnio spotykał?

Anneli? Połączenie łacińskiej frazy z lapońskim słowem pasowałoby do niej. Na pewno nie żywiła do niego sympatii, pokazała to wtedy w Riviera Next, kiedy była z Olafem. Ale co chciała przez to powiedzieć? Zbyt mało się znali, to nie miało sensu. A z Erikiem od dawna nie miał przecież nic wspólnego. Od kiedy? Kiedy rozeszły się ich drogi? Jako chłopcy byli nierozłączni, ale rozdzielili się, gdy zaczął chodzić do szkoły. Biegali po tundrze, chwyтали renifery na łąso. Nils przypominał sobie niewyraźnie, że jego rodzina mieszkała z dala od innych, niedaleko rodziny Erika. Aż do szkoły. Coś się tam musiało stać. Dla niego zaczęły się piękne lata. Jego rodzice dość wcześnie zabrali go ze szkoły w Kautokeino. Przenieśli go do miasta, do Alty, a potem nawet posłali do liceum w Tromsø, w wielkim mieście uniwersyteckim norweskiej Arktyki. Jego rodzice, choć niezamożni, postąpili słusznie. Wylądował o wiele lepiej niż ci włóczędzy błakający się po tundrze, którym dziś coraz trudniej było żyć z reniferów i którzy nie mieli przed sobą żadnej przyszłości.

Tom Paulsen potrzęsnał go za ramię. Sormi chyba go dostrzegł. Pił ze swoim partnerem. Rozglądał się wokół. Z drugiej strony klienci Bures siedzieli nad szklanką piwa. Rozpoznał wśród nich Juve. On też w latach młodości biegał po tundrze z Nilsem. Ten był jeszcze dalej niż Erik. Pochylony, z kalkulatorem, zawistny, zawsze robił wszystko, żeby być z Erikiem i z nim, zebrał prawie o to, by zwrócić na niego uwagę.

Żałosny. Ten facet był żałosny. Jako dziecko znosił go tylko dlatego, że Erik wstawiał się za nim w swojej dobroci.

– Wyglądasz, jakbyś był myślami gdzie indziej. Kłopoty?

– Kłopoty? Nie, wszystko w porządku.

Podniósł głos.

– Ale z drugiej strony wygląda na to, że niektórzy mają kłopoty!

Kilku mężczyzn podniosło głowy. Juva posłał mu coś w rodzaju uśmiechu. Biedny facet, za kogo on się uważa? Nils patrzył na niego przeciągle przynajmniej przez dwie sekundy, nie okazując mu cienia sympatii. Nie widział go od tamtego spotkania nad brzegiem cieśniny, gdy wyłowiono ciało Erika. Wiedział przez Tikkanena, że Juva miał jakieś plany. Jakie, nie wiedział. Chociaż go nie lubił, musiał przyznać, że Tikkanen był mistrzem tajemniczych gier; zawsze robił wrażenie, jakby wszystko o wszystkich wiedział. Może dowiedział się już zbyt dużo. Może nie zrozumiał. Może trzeba mu to było dać do zrozumienia. Czy mógł posłużyć się w tym celu Juvą? Przecież za wszelką cenę chciał wrócić do kręgu jego przyjaciół. Każdy chciał być jego kolegą.

– Tom, widzisz tego typa tam, w tej żółtej chustce na szyi? Powiedz mu, żeby się ze mną spotkał na kei za kontenerami, za pięć minut.

Tom odczekał chwilę, po czym poszedł przekazać wiadomość. Nils obserwował scenę kątem oka. Widział, jak Juva podniósł się z dumą, wypił jednym haustem zawartość szklanki, posłał mu przenikliwe spojrzenie, po czym zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku kei.

Nils zamówił kolejne piwo i wypił je powoli, małymi łykami. Kwadrans później wstał i poszedł do Juvy, który czekał na niego za kontenerami. Tak, pomyślał Nils Sormi, Juva się do tego nadaje.

Rozdział 22

Hammerfest, 18.50

Terenowy samochód patrolu P9 zaparkował przed kioskiem, na placu, na którym znajdował się ratusz Hammerfest. Klemet zagrał w totka. Uznał, że piątek trzydziestego to jego szczęśliwy dzień, gdyż w piątek trzynastego nigdy mu się nie szczęściło. Trzydziestego w piątek też nigdy nie wygrał, ale przynajmniej unikał kolejek do kolektury. Nina zastanawiała się, czy te osobliwości jego charakteru dodają mu uroku, czy też tylko robią z niego dziwaka. Na małym parkingu zauważyła Juvę Sikku. Wsiadł do skody i zaraz potem zniknął za rogiem. Odruchowo sprawdziła, czy w okolicy nie widać Markko Tikkanena. Nikogo.

Statek nurkowy Arctic Diving stał przy kei obok kilku kutrów rybackich. W Riviera Next i w Bures kłębiły się tłumy klientów. Nina nie знаła tych barów. Policjanci nie byli w takich miejscach mile widziani, nawet w takich małych miejscowościach jak Hammerfest, gdzie wszyscy się znali.

– Chodź – powiedział do niej Klemet – postawię ci piwo w Verk.

Klemet i Nina zrobili sobie tego wieczoru wolne. Klemet po wieczorze w Kirunie promieniał radością. Rano odlecieli helikopterem do Kautokeino. Wuj Nils-Ante był nieosiągalny, podobnie jak jego nieodłączna przyjaciółka, panna Chang. Nina była zawiedziona. W wolnym czasie w domu kultury w Kirunie obejrzała wystawę prac tego lapońskiego artysty, Anta Lauli. Cisnęło jej się na usta wiele pytań, bo sądziła, że rozpoznała w nim jednego ze starych Lapończyków, których widziała w obozie Anneli tamtego wieczoru, gdy powiedziała jej o śmierci Erika. Czy byli spokrewnieni? W takim razie Anneli musiała odziedziczyć po nim swój talent artystyczny. Na miejscu Nina dowiedziała się, że Anta Laula dość późno wziął się za sztukę. Jego mistrz, Lars Levi Sunna, znany artysta lapoński, wykonał dekorację bramy wejściowej i ścian głównej sali domu kultury w Kirunie; był też, co ważniejsze, autorem wykończenia

organów w Jukkasjärvi, małej osadzie koło Kiruny. Organy te stanowiły jego chlubę; było to arcydzieło, którego klawiatura i gałki wykonane były z rzeźbionych rogów reniferów. Laula, podobnie jak jego mistrz, specjalizował się w rzeźbieniu w rogach reniferów, w których cyzelował małe obrazy przedstawiające sceny z mitologii lapońskiej. Zwiedzając wystawę, otwartą tego samego rana, Nina słyszała pogłoski, jakie krążyły o Anta Lauli. Podobno od dawna był chory. Kuratorka wystawy niepokoiła się, gdyż już dawno nie miała od niego znaku życia, choć spodziewano się go po południu na wernisazu.

Powróciwszy do Skaidi, Nina weszła na stronę internetową NSD. Artysta nie przyszedł na inaugurację. Fotografia, którą dołączono do artykułu, nie była tą samą, którą widziała na plakacie w Kirunie, i Nina nie była już taka pewna. Trzeba było uczciwie to przyznać.

Szli pieszo nabrzeżem w kierunku Verk, małej galerii, która organizowała aperitify i przyjmowała często lokalne grupy. Z lewej strony Nina dostrzegła kraniec wyspy Melkøya, sztucznej wyspy, na której wytwarzano ciekły gaz. Nad wyspą górowała pomalowana w czerwono-białe pasy wieża, na której szczycie widać było płomień pochodni gazowej. Nina czytała, że od czasu, gdy w roku 2007 w Hammerfest zaczęto eksploatować złoża gazu, to arktyczne miasteczko stało się jednym z miast o największym stopniu zanieczyszczenia powietrza w kraju, wytwarzającym rekordową ilość spalin przyczyniających się do powstawania efektu cieplarnianego. Jeśli tak, myślała Nina, to wrażenie czystości krajobrazu bywa nieraz bardzo zwodnicze. Przechodzili obok jednego z dwóch małych barów, gdy z kontenera na kei wyszedł Nils Sormi. Policjanci zatrzymali się. Nina miała wrażenie, że nurek zawahał się przez chwilę, ale szedł dalej, bo gdyby zawrócił, musiałoby się to wydać dziwne. Przelotne wrażenie. Może się myliła. Nina widziała nurka po raz pierwszy od tamtego dnia, gdy wyłowił ciało męża Anneli. Klemeta jego obecność wydawała się krępować. I, jak się zdaje, wzajemnie.

Na Ninie Sormi robił wrażenie młodego, bardzo pewnego siebie człowieka, patrzącego na innych z góry. Nie był to rodzaj ludzi, którzy budzili jej sympatię, choć nieuprzedzanie się do nikogo postawiła sobie za punkt honoru.

Miał niebieskie, lekko migdałowe oczy i lekko wystające kości policzkowe, które wyostrzały jego regularną skądinąd twarz. Czarne

włosy były bardzo krótko przystryżone. Wzrok przyciągały jednak przede wszystkim mięsiste, wydatne wargi. Sprawiały wrażenie, jakby na jego twarzy gościł zawsze zdziwiony, niewinny grymas; miał osobliwy sposób zaciskania ust, potęgowany spojrzeniem, które Nina uznawała za zuchwałę. Nie wyjaśniało to napięcia, które mógł odczuwać Klemet, ale młoda kobieta знаła już dość dobrze swojego partnera. Wiedziała, że nie boczy się na ludzi bez powodu. W przeciwnym razie po prostu nie zwracał na nich uwagi.

– Popatrz, Sormi, co za przypadek – zagadnął Klemet.

Sormi zatrzymał się tuż przed Klemetem. Był trochę niższy od niego i patrzył na niego z dołu, najwyraźniej zafascynowany zawartością jego nosa. Klemet natychmiast odpowiedział na spojrzenie Sormiego. Reakcja naskórkowa. Zły znak.

– Jeśli masz parę minut, chcielibyśmy zadać ci kilka pytań – zaczął Klemet.

Nurek czekał z rozstawionymi nogami, z rękoma za plecami i wypiętą do przodu pierśią, z okularami przeciwsłonecznymi zsuniętymi na prawie łysą czaszkę. Klienci Riviera Next i Bures nie mogli ich słyszeć. Słońce rzucało wokół łagodne światło. Nim zaczął pytać, Klemet rzucił okiem na swój cień, przesunął się lekko i z niewinną miną stanął w miejscu, gdzie słońce świeciło mu prosto w twarz.

– O ile wiemy, znasz Juvę Sikku.

– Sikku? Tak, dawno temu go poznałem... A co?

– Spotykasz się z nim jeszcze?

– Przecież wiesz, Klemet, że wybrałem inne życie niż ci obcinacze uszu reniferów.

– Ale czy się z nim jeszcze spotykasz?

– Nie.

– Przed chwilą widzieliśmy go na parkingu – zauważyła Nina.

Sormi uniósł rękę i zatoczył nią szerokie koło.

– Miasto jest dla wszystkich. Sikku przychodzi czasem do Bures, i bywa, że jest tam w tym samym czasie, gdy ja jestem w Riviera Next, ale to jeszcze nie znaczy chyba, że jesteśmy przyjaciółmi – powiedział, mierząc podbródkiem w Klemeta. – Widzisz, to dwa zupełnie różne światy. Świat hodowców kończy się tam, a nasz zaczyna się tu, gdzie przylatujemy helikopterem, by szastać pieniędzmi w Rivierze...

– Przyjaźniłeś się też z Erikiem Steggo? – podjął policjant z zaciśniętymi zębami.

– O ho, ho, straż reniferów prowadzi prawdziwe śledztwo, jak detektywi... A mogę wiedzieć dlaczego?

– Nie musisz wiedzieć – wtrąciła Nina, czując napięcie narastające między oboma mężczyznami.

– Dawno temu byliśmy ze Steggo przyjaciółmi.

– Czy wiesz, co łączyło Erika Steggo i Juvę Sikku? Jak się między nimi układało? – ciągnął Klemet.

– A dlaczego uważasz, że właśnie ja miałbym coś wiedzieć o tym, jak się teraz między nimi układało? Myślisz, że każdej jesieni wracam do osady w czasie selekcji reniferów? Może myślisz, że robię to z nostalgii, Klemet? Wyobraź sobie, że mnie to nie kręci. A może ty masz takie ciągoty? Ale przecież, z tego co dawno temu słyszałem, twoja rodzina została wykluczona ze środowiska hodowców. Może ty masz jakiś sentyment do przeszłości, ale zapewniam cię, że ja nie. To nigdy nie był mój świat. Ci wszyscy Sikku i Steggo już dawno dla mnie nie istnieją. Od dziecka, Klemet, widzisz, od dziecka. Ja się nie wychowywałem w jakiejś nędznej farmie z gnojem reniferów za paznokciami.

Nina nie tyle zobaczyła wymierzany policzek, co usłyszała głośne klaśnięcie. Wzrok nurka, jego ostre spojrzenie i zwięzłe źrenice zdradzały wyrachowanie. Wciąż mocno stał na obu nogach, trzymając ręce za plecami. Doskonale nad sobą panując, Sormi cieszył się już przebiegle ze wszystkich korzyści, jakie niósł ze sobą ten policzek.

– Nie wiem, co mnie powstrzymuje! – krzyknął Klemet. – Jesteś żalonym sukinsynem!

Nina nigdy jeszcze nie widziała Klemeta w takim stanie. Chwyciła go za ramię.

Stojący przed nim Sormi wyprężył się jak struna. Być może udałoby mu się jednym ciosem powalić Klemeta, choć był z niego kawał chłopca. Wypiął pierś. W barze nurków mężczyźni wstali. Czekali, gotowi włączyć się do bójki. Policjant nie policjant, wystarczyłby jeden gest. Nina była tego pewna. Zbyt dobrze знаła ten typ mężczyzn. Sormi zwrócił się do niej.

– Chcę złożyć skargę na tego policjanta. Pani jest świadkiem, i tamci też.

Klemet wysunął się do przodu, Nina go powstrzymała.

– Klemet, wystarczy – powiedziała nagle rozkazującym tonem. – Idziemy stąd. A ty, jeśli chcesz, złóż skargę w komisariacie, ja złożę zeznanie później.

Odciągnęła Klemeta i poprowadziła do samochodu. Obojętnym ruchem odepchnął rękę Niny, która wciąż trzymała go za ramię.

– Będiesz zeznawać w sprawie tego zasrańca?!

– A nie sądzisz, tak szczerze, że on ma pełne prawo złożyć na ciebie skargę!?

Nina zamilkła. Klemet znalazł się właśnie w beznadziejnej sytuacji. Sormi mu nie odpuści.

– I co, ty pewnie też myślisz, że mam gówno reniferów za paznokciami!?

– Dosyć! Gadasz bzdury.

– Panienska pochodzi z południa, z Norwegii zacnych rodzin, rodzin kupców, którzy pomiatają zacofanymi pastuchami z północy, tak?

– Nie wiesz, o czym mówisz, nie wiesz nic o mnie. A teraz naprawdę lepiej będzie, jeśli się zamkniesz aż do Skaidi. Porozmawiamy o tym jutro.

Klemet jechał całą drogę ze wściekłą miną. Nie powiedział więcej ani słowa. Nina uznała, że się pogubił. Zrobił coś, co w przypadku tak doświadczonego policjanta jak on było niewytłumaczalne. Chcąc nie chcąc, musiałaby świadczyć przeciwko niemu, jeśli by było trzeba. Owszem, Sormi był nieznośny. Jego arogancja stanowiła przeciwieństwo temperamentu Klemeta. Ale Nina wyczuwała tu coś jeszcze. Ta postawa Sormiego... Wszyscy ją znali. Ten prowokujący styl bycia, ta poza bufona, który rzuca plik banknotów na kontuar. Pamięta, jak jej matka opowiadała... Nina poczuła, że coś ją trafiło. Gdy samochód przejeżdżał przez most na Cieśninie Wilka, zmierzając w stronę Skaidi, przyłapała się na tym, że myśli o swoim ojcu. Gdzie on teraz może być? I w jakim jest stanie?

Midday,

mam do siebie pretensje, że to wszystko piszę. Może jesteś w takim samym stanie jak my. Nie odpowiadasz na moje listy, ale nie mam Ci tego za złe. Wiesz, czasem wracam myślą do tego, czego mnie tam nauczono, zanim wpadłem w to bagno. The only easy day was yesterday. Jakie to prawdziwe, jakie to piękne. Czy byliśmy naiwni?

Na szkoleniu nauczono mnie, żeby nikogo nie zostawiać w tyle. Kiedy widzę, co się stało z wieloma naszymi dawnymi druhami, jest mi wstyd.

Towarzysz mojej wędrówki robi się nieznośny. Ma napady niepohamowanej wściekłości. Nie mam już odwagi go poskramiać. Ciągnie mnie za sobą, prowokuje do przekroczenia granicy. I nic na to nie poradzę. Jego gniew staje się moim gniewem, i dochodzę do siebie dopiero wieczorem, w nocy, gdy słyszę, jak szlocha.

Nawiasem mówiąc, myślę, że znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Jest nas teraz trzech, smutna kompania. Nie znałeś go. Może Ci o nim mówiłem. Wszedł w ten eksperyment, nie rozumiejąc do końca, co robi. Jak to możliwe, skoro ja sam tak niewiele rozumiałem. Myśleliśmy, że mu oddajemy przysługę, a jedynie przyspieszyliśmy jego zgubę. Nie mogę na niego patrzeć. Mamy wobec niego dług – wobec niego i wobec naszych. Zabierzemy go. Tak, jak nas nauczono. Nikogo nie zostawiać w tyle. Ale czy to jeszcze ma sens?

Rozdział 23

Sobota, 1 maja

Wschód słońca: 2.36. Zachód słońca: 22.07

Długość dnia: 19 godzin i 31 minut

Hammerfest, 22.30

Nad Hammerfest zaszło właśnie słońce. Zachód przeszedł prawie niezauważony. Henning Birge miał wszelkie powody do radości. Wieczór, który tak starannie przygotowywał Tikkanen, zapowiadał się znakomicie. Agent nieruchomości nie przyszedł, by nie krępować ich swoją obecnością. Oczywiście był zapewne gdzieś w pobliżu, by czuwać nad przebiegiem spotkania, które jak się spodziewał, przyniesie jak zwykle sympatyczne konsekwencje. Gunnar Dahl znów wzgardził ich łajdactwem, mimo nalegań Teksańczyka z South Petroleum. Bill Steel już od dwóch godzin zabawiał się z dwiema Rosjankami. Po jednej wielkiej łapie na każdą. Birge nie był aż tak zachłanny; zadowolił się jedną dziewczyną. Wybrał tę najdelikatniejszą, o dziwnym spojrzeniu ciemnoniebieskich oczu, tonących w nadmiernie grubej warstwie czarnego tuszu, nadającego im smutny, zgaszony wygląd. Birge gustował w tym uległym spojrzeniu zbitej suki. Przypominała mu młodą kobietę poznaną w jednej z sudańskich wiosek, niedaleko bazy Future Oil. Nie miała oczywiście niebieskich oczu, ale pamiętał tę grubą warstwę kholu, spod której widać było tylko białka oczu, i ten sam wyraz oczekiwania pełnego rezygnacji.

Tikkanen zdobył gdzieś starą kabinę dekompresyjną i zmienił ją w miniaturowy lupanar, który zyskał sobie piękną reputację w tym zamkniętym, małym środowisku. Stalowa kabina kształtem przypominała szminkę. Stała na rufie statku, w miejscu, do którego lokatorzy pływającego hotelu nie mieli dostępu.

Kabina służyła nurkom pracującym dla przemysłu naftowego na Morzu Barentsa w pionierskiej epoce, gdy coraz częściej zaczęto stosować

zanurzenia satutowane, a także w epoce pierwszych prób, które prowadzono na Morzu Barentsa na początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku. To było inne życie, pomyślał Birge.

W pomieszczeniu było bardzo ciasno. Tikkanen odmalował wnętrze na ciepłe kolory. Dawne koje zastąpiono stosami miękkich poduszek. W głębi kabiny znajdował się dobrze wyposażony minibar, pozwalający zapomnieć o niepokojącej atmosferze wywoływanej przez rozmaite rury i tarcze przyrządów, których nie udało się wymontować. Pozostawiono nawet wielki czerwony guzik z napisem: „Alarm”. Dzięki niemu tym łatwiej udawało się szybko doprowadzić drżącą panienkę do stanu, w którym nie mogła już niczego odmówić.

Birge umiał potęgować atmosferę grozy, opowiadając po drodze do zakazanej kabiny o dramatach dziejących się w takich miejscach, w których nurkowie przeżywali straszne rzeczy, często spędzając tam ostatnie godziny ze świadomością, że za chwilę zabraknie im powietrza.

Tikkanen, który znał osobliwe nieraz gusta części swoich klientów, utrzymywał kabinę w stanie używalności. Fin sam wyjaśniał to Birge'owi i Steelowi kilka tygodni wcześniej. Jeden z nurków opowiedział mu kiedyś, że przed numerkiem zamykali się na chwilę w kabinie, wdychając tlen, dzięki czemu bardziej ochoczo poczynali sobie z dziewczynami znalezionymi w porcie. Wcześniej Birge i Steel mieli okazję z powodzeniem wypróbować tę metodę. To właśnie skłoniło Steela do zamówienia dwóch dziwek dla Tikkanena; był pewien, że tego wieczoru stanie na wysokości zadania. Teksańczyk, z twarzą nabiegłą krwią, podniósł głowę znad ud dziewczyny rozłożonej na poduszkach. Wybuchnął śmiechem, widząc głowę Norwega.

– Birge, lepiej strzeliłbyś jakąś minetkę, mother fucker! – Odwrócił się lekko, chwycił butelkę burbona i zanurkował w innej dziewczynie, która krzyknęła głośno. Włożył szyjkę butelki do ust Rosjanki, przygniecionej jego ciężarem, podczas gdy druga pieściła go od tyłu. Teksańczyk zwinął się z przyjemności i jeszcze bardziej przygniótł swym cielskiem dziewczynę, która pod nim dusiła się jego burbonem. Bill Steel ponownie wybuchnął śmiechem, wydał dziarski okrzyk kowboja i pogłośnił na cały regulator muzykę, jeden z tych dobrych starych kawałków country, które Tikkanen wybrał specjalnie dla niego. Birge miał to gdzieś.

– Henning, kurwa, zrobimy sobie teraz małą kurację tlenową, co ty na to? One chcą, żebyśmy je dymali, nie zawieziemy ich, hę? Mother

fucker, zrobimy, co trzeba, prawda, moja ty szwedzka mordko? Pamiętaj, musimy wytrzymać całą noc.

Birge wysłał dziewczyny, żeby wzięły prysznic i przygotowały się na dalszy ciąg. Dał im nawet czas, by skorzystały z sauny. Przez jakiś czas byli sami; słuchali muzyki. Steel miał rację. Odprężenie dobrze mu robi. Drzwi kabiny zamknęły się. Już? Jakiś typ na zewnątrz dawał im znaki ręką. Potężny koleś. Steel napełnił kieliszki. Birge wypił łyk. Usłyszał, jakabinę wypełnia głośny świst. Obu mężczyzn na chwilę ogłuszyło. Na zewnątrz ten sam facet znowu dał jakiś znak. Co to było? Kim był ten typ? Nie był to człowiek od Tikkanena, który ich wcześniej przyjmował.

– I co, dobry zastrzyk tlenu? Tikka wszystko przewidział.

Może, pomyślał Birge. Ułożył się wygodnie na poduszkach. Steel zrobił to samo.

Po pewnym czasie Birge poczuł, jak ogarnia go rodzaj euforii. Myślał o tym, co robił z tą małą Rosjanką o smutnych oczach. Nie czuł upływu czasu. Nagle do rzeczywistości przywołało go potężne uderzenie w drzwi kabiny. Otrząsnął się z letargu. Coś wstrząsnęło kabiną. Obok niego Steel uśmiechał się z zamkniętymi oczami. Ten hałas nie był normalny. Birge rzucił się do małego wzmacnianego bulaja. Uderzył szklanką w szybę. Drugi mężczyzna dał mu znak ręką, zapewniając, że wszystko jest w porządku. Był to człowiek, który ich tu przyprowadził, przedstawiony im przez Tikkanena, nie ten potężny koleś, który zamknął kabinę. Birge poczuł, że ogarnia go panika, gdy zobaczył, że ten drugi podnosi do góry coś masywnego i ponownie daje znak ręką. Birge natychmiast zrozumiał, o co chodzi. Potrząsał Steelem, krzyczał; przed oczami stanęły mu wszystkie te opowiadane kurewkom historie o nurkach, którzy zdrapywali farbę ze ścian, rozpaczliwie próbując wydostać się ze śmiertelnej pułapki. Odwrócił się gwałtownie, doskoczył do Steela, którego szeroko otwarte oczy wyrażały jedynie pustkę, i rzucił się na czerwony przycisk z napisem „Alarm”, widząc, że na zewnątrz ktoś wali czymś ciężkim w mechanizm zamykający kabinę. W ostatnim, bezwiednym odruchu, dobytym gdzieś z wnętrzości, Birge chwycił się obiema rękami za głowę, jakby próbował ją osłonić, wyjąc w obliczu okrutnej śmierci, która za chwilę miała go zmiążdżyć.

Rozdział 24

Niedziela, 2 maja

Wschód słońca: 2.30. Zachód słońca: 22.14

Długość dnia: 19 godzin i 44 minuty

Hammerfest, 10.10

Anneli Steggo nie miała już odwagi chodzić na mszę do tego pięknego, drewnianego kościoła w Kautokeino. Każdy zakątek tego cudownego miejsca wypełniała obecność Erika, dlatego wiedziała, że często będzie tam wracać. W zeszłym roku świętowali tu swoją rocznicę. Ale w tej chwili Anneli brakowało sił na szukanie towarzystwa innych ludzi. Zbyt wielu przyjaciół, za dużo spojrzeń, za dużo słów pocieszenia, zbyt wiele łez. Nie była jeszcze gotowa. Pogrzeb Erika, który miał się wkrótce odbyć, napętniał ją lękiem. Mogła wprawdzie chodzić na mszę do Alty, ale tamtejszy laestadiański pastor miał dość radykalne poglądy. Uchodził za dobrego człowieka, jednak wygłaszał ogniste kazania w stylu owego protestanckiego nurtu, który podbijał serca Lapończyków, głosząc ideę odnowy duchowej. Prowadził nieraz swoje owce na pastwiska, które Anneli wydawały się zbyt zielone. Bała się, że gdy pastor ją zobaczy, zacznie mówić o Eriku. A Anneli nie była gotowa na słuchanie słów, które w jego ustach mogły być zbyt chaotyczne, słów, którymi bezwiednie mógł ją zranić. Ostatecznie zdecydowała się na kościół w Hammersfest, gdzie prawie nikt jej nie znał. W tym nowoczesnym kościele, zupełnie różnym od kościoła w Kautokeino, podobała jej się futurystyczna dzwonnica w formie mocno zaostrego trójkąta, wyróżniająca się na tle ośnieżonych gór, których zbocza, wciąż jeszcze miejscami białe, wpadały do niebieskawego morza.

W ubiegłym roku, zaraz po ślubie, zaczęli spełniać swoje marzenia. Erik i Anneli stworzyli ten projekt razem. Ona ze swoimi koźmi, on ze swoimi metodami, których nauczył się na uniwersytecie. Niektórzy się z nich śmiali. Nazywali ich Lapończykami z miasta, mówili, że są nawiedzeni.

Wypominali Erikowi, że pracował z Finami nad pomysłem malowania reniferom rogów fluorescencyjną farbą w celu zmniejszenia liczby wypadków w nocy. Dogadywali, że wciąż ma jakieś dziwne pomysły. A oni trzymali się dzielnie. Zgodnie z tradycją od razu po ślubie poszli na wędrowną wycieczkę reniferów. Nie chcieli ogromnego wesela na kilkaset osób. Woleli małe przyjęcie dla przyjaciół i krewnych, zachowując w ten sposób siły i pieniądze na swoje projekty. Wędrując ze zwierzętami, spędzili wspaniały miesiąc miodowy, rozbijając namiot na szczycie pewnego małego wzgórza, wznoszącego się nad dolinami uszpiętymi jeszcze pod warstwą śniegu. Kochali się namiętnie na posłaniu z brzoźowych witek, wybranych starannie przez Erika i posplatanych cierpliwie przez Anneli. Erik wyścielił to brzoźowe łóżko miękkimi skórami młodych reniferów. Przed rozpoczęciem miłosnych uścisków Erik kładł na nie miękkie bawełniane prześcieradło i zapalał świece. Tamtej nocy wiedziała, że ich życie będzie iskrą, która wskaże drogę innym. Tamtej nocy zespoliła się z Erikiem. Nigdy nie czuła się tak pewna drogi, jaką obrali. Nigdy nie popadali w rezygnację, ogarniającą tak wielu innych. Tamtej nocy, kochając się na łóżu z brzoźowych witek, zbawili świat.

W zeszłym tygodniu Anneli prześladowała myśl o samobójstwie. Jej życie nagle straciło sens. Została zupełnie sama.

Dziś w jej życiu znów rozbłysła jasna, ciepła iskra nadziei. Zawdzięczała ją Erikowi.

Gdy wychodziła z kościoła, wokół kilku osób nieoczekiwanie zebrał się spory tłum. Anneli wolała trzymać się od nich z daleka. Mieszkańcy miasta często gromadzili się ukradkiem, szepcząc w nieznanym jej języku jakieś sekrety. Anneli zobaczyła młodą blondynkę, policjantkę, która przyszła zawiadomić ją o śmierci Erika. Zrobiła to bardzo delikatnie. Była bez swego starszego kolegi i rozmawiała z jakimś potężnym mężczyzną z brodą okalającą mu twarz, podobnym do tych ponurych luterańskich pastorów, których Anneli widywała w dzieciństwie. Anneli chciała powiedzieć tej młodej policjantce, jak bardzo jest jej wdzięczna za delikatność. Stała obok grupy, ale wkrótce się zachmurzyła. Wydarzyło się kolejne nieszczęście. Wczoraj wieczorem. Do Anneli docierały strzępy informacji, których nie rozumiała. Zginęli ludzie. Co najmniej jeden człowiek został ranny. Straszny widok. I te słowa – dekompresja, kabina, ciśnienie, eksplozja, implozja. Dwóch naftowców. Anneli potarła czoło. Erik mówił jej czasem o naftowcach. Pochmurniał wówczas, tłumiąc

w sobie złość; wiedziała, że nie chce przy niej okazywać gniewu. Druga kobieta w mundurze, stojąca obok młodej policjantki, nakazywała brodaczowi, by stawił się w komisariacie. Widocznie znał dobrze obie ofiary. To byli jego koledzy. Brodacz pracował dla Norgoilu. Anneli przypomniała sobie. Norgoil to norweski publiczny koncern naftowy. Ich przyjaciel i mentor Olaf mawiał czasem, że koncern zawłaszcza miasto, oskarżał bez wyjątku wszystkich jego przedstawicieli o to, że poświęcają ludzi dla zbiorowego interesu. Czy to oni zginęli? Anneli popatrzyła na olbrzymiego, ponurego brodacza i zauważyła, że wygląda inaczej niż wszyscy. A może był tylko gorszy? Olaf przestrzegał ją czasem przed skutkami zaufania, które zbyt łatwo okazywała ludziom. Zasłyszane słowa i wieści o nowych ofiarach kłębiły się w głowie Anneli. Nagle zauważyła ją młoda policjantka i podeszła bliżej. Odwróciła się do niej; na jej twarzy malował się niespokojny wyraz. Anneli usłyszała swój głos, nie zdając sobie sprawy z wypowiedzianych słów.

– Dziękuję, myślę, że dam sobie radę.

Policjantka odciągnęła ją na bok i posadziła na schodach. Anneli uśmiechnęła się. Potem potrząsnęła głową. Minęło kilka chwil. Młoda policjantka usiadła koło niej.

– Anneli, chciałam z tobą porozmawiać jutro, ale skoro tu jesteś...

Anneli skinęła głową. Miała zawroty, nie chciała teraz być sama.

– Erik kłócił się z ratuszem. O historie z reniferami i o sporne tereny.

Anneli znów skinęła głową.

– Chcielibyśmy wiedzieć, czy miał zatarg z kimś innym.

Anneli się uśmiechnęła. Nagle poczuła się trochę zmęczona. Już nie kręciło jej się w głowie. Chciała jak najszybciej wrócić do tundry, by czuć tam nad spokojem swoich jelonków, które zostawiła pod opieką Susann.

– Ja nikogo nie oskarżam. Od czasu, gdy w okolicach Hammerfest znaleziono duże złoża gazu i ropy, w grę zaczęły wchodzić nowe interesy, które nas przerastają. Żałuję tylko, że ludzie, którzy realizują te nowe przedsięwzięcia, nie chcą z nami rozmawiać. Nie przeszkadzają mi ludzie, którzy dzielą się z innymi swoimi marzeniami. Spotkałam takich wielu, i były to piękne spotkania. Ale ci sprowadzają innych, którzy nie podzielają ich wizji, ludzi, dla których liczą się jedynie zyski. Ci ludzie nigdy nie będą myśleć tak jak my. Popatrz na naszą skałę nad cieśniną. Czy w naszym świecie nie można by zostawić odrobiny świętości?

Postawiłaś mi konkretne pytanie, więc dam ci konkretną odpowiedź. Próbowano zabrać nam jeden z terenów na wzgórzach wokół Hammerfest, na których Erik i jego rodzina od niepamiętnych czasów wypasali renifery. Ktoś chciał tam rozpocząć budowę. Trzeba było odciąć kawałek gruntu. I doprowadzić drogę. Teraz, kiedy Erik zginął, nie wiem, co się z tym wszystkim stanie. Być może mnie tam nie wpuszczą. Renifery były znaczone przez niego, ale byliśmy małżeństwem, może będę mogła nadal je tam wypasać, lecz nic nie jest pewne. I musisz wiedzieć, że ten teren do nas nie należy. Zostawialiśmy tam tylko ślady, lekkie i ulotne. Robiliśmy tak od tysiący lat, by ta ziemia nadal nas żywiła.

Młoda policjantka jakby zamyśliła się na chwilę. Bazgrała coś w swoim notesie. Podniosła głowę i poparzyła na bramę kościoła i na stojących przy niej ludzi, którzy już zaczęli się rozchodzić.

– Ale z kim konkretnie miał zatarg?

Anneli znów się uśmiechnęła. Jak to wyjaśnić? Widziała, że młoda kobieta chce tylko zrozumieć, co tu się stało.

– Czy dla ciebie zatarg to to samo co dla nas? Gdzie stawiasz granicę? Chcesz przeciwstawić prawo naturze? Czy to nie jest nierówna walka? Co wy możecie ze swoimi regułami wobec wiatru, który gna renifery na letnie pastwiska?

Młoda policjantka nie słuchała. Nie notowała. Nie była zadowolona, ale starała się nie uprzedzać.

– Kiedy przyjechałam z kolegą powiadomić cię o śmierci Erika, wokół jednego z namiotów siedziało kilku starych ludzi. Śpiewali albo robili coś, czego nie rozumiałam. Zapamiętałam szczególnie jednego z mężczyzn, jakoś inaczej patrzyło mu z oczu.

Anneli znów potrząsnęła głową. Jej wzrok ginał gdzieś przez chwilę w oddali. Wiedziała, o kim mówi policjantka.

– Anta.

– Anta?

Anneli zobaczyła, że młoda kobieta przegląda pilnie swój notes.

– Anta Laula!?

– A więc go znasz?

– Nie. Widziałam tylko wystawę jego prac w Kirunie w piątek rano. Powinien był przyjechać tam po południu na otwarcie wystawy, ale się nie pokazał. Nie byłam pewna, czy to jego widziałam wtedy w obozie. Co on tam robi? Jest chory?

– Anta to człowiek, który żyje w innym wymiarze. Już od dawna. Ale nie ma go z nami od kilku dni. Nie wiemy, gdzie jest. Nie wiem, czy trzeba się niepokoić, czy nie. Od lat dołącza do nas na czas wiosennej wędrówki reniferów. Dla takich starych ludzi jak on to okazja do wspomnienia dawnych, dobrych czasów. Nie mogą już pomóc fizycznie, ale są z nami wieczorem, snują opowieści, podtrzymują tradycję. Przekazują ducha naszego ludu. Kochamy takie chwile, gdy spotykają się ze sobą różne pokolenia. Jest ich coraz mniej, gdyż przez mechanizację hodowcy żyją pod presją. Nie mają czasu, są zmęczeni, czasem wynajmują sprzęt na krótki okres i muszą się spieszyć, by uniknąć dodatkowych kosztów. Coraz mniej żyjemy razem. Coraz mniej żyjemy.

– Tak tylko spytałam – stwierdziła policjantka, wstając. – A więc, zanim został artystą, zajmował się hodowlą reniferów?

– Tak, jak wielu innych. I jak wielu innych, zmienił zajęcie. Jak inni tęskni za dawnym życiem.

Midday,

nie wiem, czy dostajesz moje listy. Pewnie myślisz, że zdziwaczałem. Pamiętam pierwszy raz, kiedy Cię zobaczyłem. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Właśnie przeciwko nam. Pamiętasz, powiedz? Pamiętasz Midnight, którego znałeś? Boję się, że mnie nie poznajesz. Ale teraz przynajmniej mam odwagę Ci o tym mówić. W naszym fachu nie mieliśmy zwyczaju zwierzać się z naszych drobnych kłopotów. Teraz wiem, że tak nas uczyli.

W poprzednim liście napisałem Ci, że przyłączył się do nas ten trzeci, człowiek bardzo daleki od naszego świata cienia i głębin. Otworzył przed nami nowe perspektywy. Ale on też był w kiepskim stanie. W jego przypadku było jeszcze gorzej, bo nie był przygotowywany ani szkolony tak jak my.

Bardziej boję się o pierwszego z moich towarzyszy podróży. Gdy mnie znalazł, nie potrafiłem mu odmówić. Był skonany, ja jeszcze bardziej. Miał pierwsze kontakty. Mówił. Ja pisałem. Dwóch facetów, razem, jak jeden mąż.

Ale on z taką wściekłą zajadłością próbuje dowieść reszcie społeczeństwa, że jesteśmy kimś, że ci, którzy się nami bawili, nie mieli racji. Teraz jest już za późno. Nie mogę Ci nic powiedzieć, ale stało się coś strasznego. Wysadził zamek. Idę z nim. Dwóch facetów, razem, jak jeden mąż.

Rozdział 25

Hammerfest, 11.00

Klemet, jak wszyscy okoliczni policjanci, odpowiedział na wezwanie pani komisarz Hammerfest, jadąc do miejsca położonego niedaleko pubu Redrum. Nie rozmawiali ze sobą od momentu, gdy w czwartek wieczorem spoliczkował Sormiego. Klemet ani przez chwilę nie żałował swojego gestu. Ten zasraniec Sormi posunął się za daleko. Żałował tylko, że spoliczkował go w mundurze. Zamiast czekać w chacie w Skaidi, wrócił do Kautokeino, gdzie mógł ukryć się w swoim zaimprovizowanym namiocie. Tej niedzieli obudził się wcześniej rano z lekkim bólem głowy, przez co wydawało mu się, że widocznie musiał za dużo wypić, choć przecież nigdy nie pił. Przez chwilę błędził gdzieś myślami rozciągnięty na skórach, patrząc na rogi reniferów rozwieszane w górnej części lapońskiego namiotu. Dym torował sobie drogę przez płataninę rogów, unosząc się ku niebu prześwitującemu przez otwór w sklepieniu namiotu.

O wypadku w kabinie dowiedział się dopiero dziś rano, gdy przyjechał do Hammerfest. Miał do siebie pretensje, gdyż najwyraźniej w radiu od świtu nie mówiono o niczym innym i reporterzy NRK6 przepytывali robotników przeciskających się przez wąskie wyjście z pływającego hotelu. Taki dramat w tak małym miasteczku jak Hammerfest nabierał wyjątkowych rozmiarów, zwłaszcza że zdarzył się zaraz po śmierci burmistrza. Na stronach internetowych miejscowych gazet mnożyły się komentarze; najgorsze można było, jak zwykle w takich przypadkach, znaleźć w nieustannie aktualizowanych uwagach do artykułów. Oto do czego dochodzi, gdy tylu robotników z zagranicy mieszka długo w jednym miejscu, tak daleko od własnego kraju. W Hammerfest nie ma warunków, by przyjmować naraz tylu obcych. Prostytutki stają się prawdziwą plagą. Populistyczna partia antyimigrancka nie posiada się z radości, a partia ludowo-chrześcijańska załamuje ręce nad upadkiem obyczajów. Komisarz Ellen Hotti udzieliła mnóstwa wywiadów, odpowiadając reporterom

dopytującym o zalew narkotyków, regularnie znajdowanych w mieście od czasu rozpoczęcia budowy. Próbowła uspokajać nastroje. Policja na razie prowadziła dochodzenie, zakładając, że chodzi o wypadek i o ludzki błąd. Nie było jednak wątpliwości, że w małym porcie na Dalekiej Północy dzieje się coś niezwykłego.

Wchodząc do sali konferencyjnej, Klemet wyczuł panujące w niej napięcie. Według wstępnych ustaleń dwóch mężczyzn, Norweg i Amerykanin, padło ofiarą gwałtownej dekompresji. Ich ciała eksplodowały. Znajdowali się wewnątrz komory hiperbarycznej, w której panowało wysokie ciśnienie. Jednego z pracowników pływającego hotelu zawiadomiono telefonicznie, że dwaj mężczyźni pilnie potrzebują pomocy i że trzeba natychmiast otworzyć kabinę, w której są zamknięci. Wziął jakiś ciężki przedmiot i rozbił zamek. Gwałtowna różnica ciśnień spowodowała katastrofę.

– Wyślę wam zdjęcia – powiedziała Ellen Hotti, bębniąc palcami w akta. – O ile nie jedliście jeszcze śniadania.

Człowiek, który otworzył drzwi komory, sam został ranny. Po brutalnym otwarciu kabiny ciśnienie gwałtownie odrzuciło go w bok. Był w szpitalu, ale jego życiu nic nie zagrażało. Natomiast pozostałych dwóch – pani komisarz zawiesiła głos – rozniosło na strzępy. Przez chwilę szukała odpowiedniego słowa.

Pływający hotel natychmiast zamknięto. Trzeba było szybko zebrać nazwiska lokatorów, gdyż niektórzy ze stu siedemdziesięciu gości spieszyli się na budowę i nie można było przetrzymać ich w nieskończoność. Przesłuchano trzy młode Rosjanki. Wyglądały na śmiertelnie przerażone. Ranny mężczyzna nie kontaktował się z nimi w chwili otwarcia kabiny. Gdy znalazła je policja, były jeszcze w saunie. Wyglądało na to, że nie mają z całą sprawą nic wspólnego.

Analiza połączeń telefonicznych wykazała, że pracownik hotelu na chwilę przed wypadkiem odebrał krótki telefon. Potwierdził to inny pracownik tej instytucji. Komisarz Hotti wzięła kolejną kartkę i czytała na głos.

– „Idę na górę otworzyć szefom. Napaleni są jak psy. Pewnie fiuty im stoją, a oczy mają jak pussy pump. Kubeł zimnej wody i po sprawie, zobaczysz”. Koniec cytatu.

Ellen Hotti patrzyła na stojących wokół niej policjantów, dając im czas, by sami ocenili literackie walory tej pogrzebowej oracji. Rozmowa

telefoniczna, której fragment zacytowała, odbyła się po norwesku. O ile pamiętała, rozmawiający mówili bez żadnego szczególnego akcentu.

– Ale ranny musiał być jeszcze w szoku. Nie przypominał sobie zresztą, by użył wyrażenia – spojrzęła w transkrypt – pussy pump, za to jego kolega nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Myślę, że to jeszcze jedna sprawa do wyjaśnienia – powiedziała, wywołując śmiech, który rozluźnił nieco atmosferę.

Niektórzy skorzystali z okazji i nalali sobie kawy. Odczekała kilka sekund, po czym podjęła wątek.

– Musimy ustalić, czy rzeczywiście tym dwóm nieszczęśnikom groziło w kabynie jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Pierwsze wyniki śledztwa dowodzą, że żadna z ofiar nie posłużyła się swoją komórką z tej prostej przyczyny, że zostawili telefony na zewnątrz. Znalezione je w nienaruszonym stanie. Nikt nie dzwonił z kabiny. Wiadomość, którą otrzymał pracownik hotelu, pochodziła więc skądinąd. Czy chodzi o kogoś, kto znajdował się na statku, czy też o kogoś z zewnątrz? Czy to był wypadek? Czy też coś innego, co musielibyśmy ustalić?

Pani komisarz zamilkła. Na chwilę zaległa cisza. Policjanci przesłuchiwali niejakiego Markko Tikkanena, miejscowego agenta nieruchomości i właściciela kabiny, którego działalność najwidoczniej obejmowała też organizację płatnych rozkoszy.

– Myślę, że wszyscy go tu znają, ale ten człowiek o wielu, hmm... talentach, oddaje liczne cenne przysługi.

W sali nadal panowało milczenie. Niektórzy policjanci wpatrywali się pilnie w czubki swoich butów.

Ellen Hotti dodała, że wedle wstępnych ustaleń Tikkanen znajdował się w chwili wypadku na pokładzie pływającego hotelu, ale w przedniej części statku. Prawdopodobnie był tam zresztą nadal. Oprócz robotników, techników i inżynierów kierujących budową w niektórych pokojach mieszkała też grupa nurków, którzy mieli tego dnia rano wypłynąć na misję, lecz zostali zatrzymani.

– Powiedziano nam, że ich zatrzymanie bardzo drogo kosztuje, i dobrze by było, gdybyśmy przyspieszyli procedury. Aha, jeszcze te trzy młode Rosjanki. Opowiadały, że oprócz Tikkanena miały do czynienia z jeszcze jednym mężczyzną – spojrzęła w akta – nie wiedzą, jak się nazywa. Mężczyzna ten odebrał je w Kirkenes z autobusu, którym przyjechały z Murmańska. Potem przywiózł je tutaj. O ile nam wiadomo, nie do

Hammerfest. Do jakiegoś motelu ze stacją obsługi. Tikkanen przyszedł do nich do pokoju motelowego i zabrał im paszporty. Nie zaprzeczył. Chodzi o motel w Skaidi, niedaleko chaty służącej obecnie za bazę patrolu P9 straży reniferów.

Tikkanen bez większych oporów wyznał, że kierowca nazywał się Sikku i był hodowcą, ale nie wiedział, kim były te trzy dziewczyny. Tikkanen miał przedstawić mu je jako znajome, które zeszłej zimy poznał na targu Bossekop w Alcie.

Pani komisarz zaczęła wertować akta. Policjanci dolali sobie kawy.

Klemet spoglądał z ukosa na Ninę, lecz nie odważył się jeszcze do niej odezwać. Miał wrażenie, że każde spojrzenie szefowej to reprimenda; nie wiedział, czy Nils Sormi złożył już skargę, czy nie. Jego myśli krążyły jednak wokół tego nieprawdopodobnego wypadku. Być może Tikkanen maczał w tym wszystkim palce. I Sikku, Sikku, którego spotykali zdecydowanie zbyt często od czasu utonięcia Erika Steggo. Pani komisarz przeglądała akta. Policjanci zaczęli rozmawiać pomiędzy sobą. Klemet myślał. W ich śledztwie Sikku pojawiał się jako postać, która stanęła przed reniferami w Cieśninie Wilka. Był powiązany z Tikkanenem. Ten ostatni był bardziej tajemniczy, ale chodziło o biznesmena, który załatwiał różne interesy. Pani komisarz znów podniosła głowę znad swoich papierów.

– Tikkanen, który jest bardzo rozmowny, kiedy mu to odpowiada, powiedział nam, że jedna z ofiar, Henning Birge, przedstawiciel szwedzkiego koncernu Future Oil, miała zatarg z nurkiem imieniem Nils Sormi. Nie zdradził nam, jak się o tym dowiedział, ale wstępne wyniki śledztwa, które prowadzimy od wczoraj, potwierdzają jego słowa, gdyż za każdym razem było wielu świadków. Najpierw jakiś problem podczas nurkowania, potem sprzeczka przed Riviera Next, kolejna sprzeczka w Black Aurora. Jego konflikt z naftowcami podkreśla niejaki Leif Moe, kontroler pracujący dla Arctic Diving.

Ponownie spojrzęła w notatki.

– A, nie, pomyliłam się. W Black Aurora doszło do sprzeczki z Billem Steelem, drugą ofiarą, amerykańskim przedstawicielem South Petroleum. Sormi sprzeczał się ze Steelem. Dodam, że Sormi był jednym z nurków, którzy byli obecni w pływającym hotelu w chwili wybuchu.

Zdecydowanie ten zasraniec Sormi umiał robić sobie wrogów. Klemet popatrzył w kierunku Niny, która skinęła głową w jego kierunku.

O co chodziło z Nilsem Sormim? Jaką rolę odegrał w tej sprawie? Sormi był nurkiem. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, jaki będzie skutek gwałtownego otwarcia kabiny bez niezbędnej fazy stopniowej dekompresji. Czy to on mógł zadzwonić do pracownika hotelu?

– A technik, który zamknąłabinę? – spytał policjant.

Komisarz Hotti wzięła akta.

– Wygląda na to, że jeszcze go nie przesłuchaliśmy. Nie widzę też śladu jego tożsamości.

– Czy jesteśmy pewni, że mężczyzna, który otworzyłabinę, rzeczywiście odebrał ten telefon? – zapytał inny.

– Wynika to z rejestru rozmów. Można sobie wprawdzie wyobrazić, że telefon nie miał nic wspólnego ze zdarzeniem i że sprawca odegrał komedię, opowiadając tę historię swojemu koledze przed otwarciem kabiny. Przypominam jednak, że został ranny podczas całej operacji i że mógł tam wyzionąć ducha. Ale w porządku, warto go jeszcze przycisnąć.

– Monitoring?

– Nie ma – powiedziała pani komisarz.– Ale muszę przyznać, że z mojego punktu widzenia ten Sormi wydaje się bardzo podejrzany. A tandem Tikkanen–Sikku także zasługuje na to, by mu się bacznie przyjrzeć. Dziękuję wszystkim. Klemet Nango i Nina Nansen, wy zostajecie.

Klemet i Nina szli do biura pani komisarz. Tym razem Ellen Hotti wstała, sama podała im kawę i poczęstowała cynamonowym ciasteczkami. Wzięła jakiś papier ze swojego biurka.

– Fakt, że jesteś oskarżony przez tego Sormiego o złe traktowanie, w kontekście całej tej sprawy jest naprawdę bardzo kłopotliwy...

Nina odwróciła się do Klemeta, na którego twarzy malował się grymas ponurej wściekłości. Usta miał pełne ciasteczka cynamonowego i nie robił nic, żeby przyspieszyć jego konsumpcję.

Komisarz Hotti znała Klemeta od dawna. Pochodziła stąd i znaczną część swojej kariery zawodowej spędziła na północy. Nie była mu niezyczliwa. Ale dziś była nieprzejednana.

– Nie będę owijała w bawełnę – powiedziała szefowa. – Klemet, dałeś ciała. Będzie dochodzenie wewnętrzne ze wszystkimi atrakcjami. Nie da się inaczej, zwłaszcza teraz, gdy Sormi na razie jest jednym z naszych głównych podejrzanych. Jego adwokat, jeśli dojdzie do procesu, z pewnością będzie krzyczał o nierówności wobec prawa, jeśli nie

wyciągniemy wszystkich konsekwencji z twojego, jak by to powiedzieć, z twojej chwili zapomnienia. Nina, masz coś do dodania?

Nina poczuła ściskanie w żołądku. Poddano próbie jej lojalność, zdawała sobie z tego sprawę. Lojalność wobec poczucia sprawiedliwości, wobec instytucji, wreszcie wobec swojego partnera. Szefowa mogła równie dobrze i ją poddawać próbie. Potrząsnęła głową.

– Przykro mi, Klemet – powiedziała tylko.

Miała wrażenie, że zdradza swojego partnera. On sam pozostał nieporuszony. Musi chyba wiedzieć, że nie miała innego wyjścia, myślała, tłumacząc sobie, że dobrze zrobiła.

– Klemet, jesteś zawieszony, aż do nowych rozkazów. Co macie? Oczywiście nie licząc kradzieży reniferów...

– Przyglądamy się tej historii z zatonięciem w Cieśninie Wilka, tam, gdzie Juva Sikku, kolega Tikkanena, spowodował tragedię, zawracając stado.

– Nina, możesz dalej sama prowadzić to dochodzenie, prawda? Co jeszcze?

Nina zamierzała mówić dalej, gdy ktoś zapukał do drzwi. W drzwiach ukazała się głowa jednego z policjantów, którzy brali udział w zebraniu.

– Ellen, chciałem tylko powiedzieć, że jakiś polski robotnik właśnie złożył zeznanie. W piątek zginęła mu przepustka na wyspę, uprawniająca także do wejścia do pływającego hotelu. Sądzi, że mógł ją zgubić albo że ktoś ukradł mu ją w Redrum w piątek wieczorem. Pomyślałem, że może cię to zainteresować.

Komisarz Hotti milczała przez chwilę. Myślała.

– Ciekawe – powiedziała tylko.

– I jeszcze coś. Technik, który zamknął kabinę.

– Co z nim?

– Najwyraźniej ktoś popełnił błąd, meldując, że go jeszcze nie przesłuchano. W rzeczywistości nie wiemy, kto to był.

Zamknął drzwi. Pani komisarz znów zamilkła, pogrążona w myślach. Nagle dostrzegła obecność Klemeta i Niny.

– Klemet, jeszcze coś?

Klemet wstał. Po nim wstała Nina.

– Myślę, że dam sobie też spokój z piątkami trzydziestego.

Mrugnął porozumiewawczo do Niny i wyszedł, odprowadzany zdumionym spojrzaniem komisarz Hotti.

Rozdział 26

Hammerfest, 11.45

Klemet i Nina wyjeżdżali z Hammerfest w strugach ulewnego deszczu. Właściwie był to topniejący śnieg, bębniący wielkimi kroplami w karoserię ich pikapa. Woda mieszała się ze śniegiem, który leżał jeszcze w stertach na części chodników. Wychodząc z komisariatu, Nina i Klemet wpadli w lodowatą kąpiel. Od Morza Barentsa wiał gwałtowny wiatr. Nina na próżno próbowała zasłaniać twarz. Szary tuman wypełniał całe miasto, ludzie skuleni przemykali ulicami. Wycieraczki poruszały się z maksymalną szybkością, co jednak nie polepszało znacznie widoczności. Nina pierwsza przerwała milczenie.

– Co teraz zrobisz?

Klemet puścił jedną ręką kierownicę i chwycił dłoń swojej partnerki. Ścisnął ją mocno.

– Nie zdradziłaś mnie. To była moja wina, i tylko moja. Wszystko będzie dobrze.

– Ale co teraz zrobisz?

Klemet zatrzymał na chwilę samochód. Dojechali właśnie do wjazdu do Rypefjord, miasteczka sąsiadującego od południa z Hammerfest. Z tej strony fiordu deszcz wydawał się słabszy. Ze wzniesienia, przez które biegła droga, widać było niewyraźnie kontury położonej naprzeciw bazy polarnej, dawnej strefy przemysłowej, która od roku 1980 służyła za bazę logistyczną firmom współpracującym z koncernami eksploatującymi złoża ropy i gazu na Morzu Barentsa. Przez gęstą zamieć nie widać było nawet, czy na redzie stoją jakieś statki. Topniejący śnieg kleił się do przedniej szyby. Silnik wciąż był włączony. Klemet myślał. Nie wiedział, ile czasu potrwa jego zawieszenie.

– Najpierw pobędę trochę w Kautokeino.

Nina musiała improwizować w środowisku, które słabo jeszcze знаła.

– Klemet, szczerze, co może łączyć takiego hodowcę jak Juva Sikku z takim biznesmenem jak Tikkanen? Czy tylko historie z prostytutkami?

– O, wiesz, wielu hodowców oprócz doglądania reniferów musi mieć jeszcze jedną lub dwie prace. Być może Sikku uznał, że opłaci mu się to bardziej niż wożenie turystów saniami.

– Trudno mi w to uwierzyć. Więc co, jeśli nie historie z gruntami, z pastwiskami? Czy Sikku potrzebował gruntów? Skarzył się na Erika Steggo. Może chciał przejąć jego pastwiska?

– Te sprawy z pastwiskami są bardzo pilnowane przez Biuro do spraw Reniferów; rozstrzyga je urząd i okręgowe związki hodowców. Nie jest tak, żeby któryś z hodowców mógł nagle sam zmienić ustalony porządek. Oczywiście to nie wyklucza konfliktów, ale nikt nie może robić, co mu się podoba.

– Powiedz mi... Myślę o Sikku. Nie uważasz, że to dziwne, że tak szybko przyznał się, że podłożył ogień na łodzi?

– Być może. Ale to jeszcze nic nie znaczy.

Silnik wciąż mruczał. Topniejący śnieg bębnił porywiście w przednią szybę.

– A Tikkanen? Przecież to on w końcu zorganizował tę orgietkę.

– I wysadził własnych klientów?

– Kto wie? Trudno zgadnąć. Myślę, że pójde porozmawiać z tym menadżerem z Norgoilu, którego spotkałam w niedzielę na mszy. Sprawiał wrażenie, że dobrze zna ofiary wypadku w kabinie.

– Zdajesz sobie sprawę, że to wykracza poza kompetencje straży reniferów.

Młoda kobieta uśmiechnęła się.

– Jeżeli Tikkanena łączą z Sikku jakieś historie z gruntami, to interesuje mnie wszystko, co dotyczy Tikkanena – ucięła.

Nina zostawiła Klemeta w schronisku w Skaidi. Uścisnęła ją serdecznie.

– Na pewno nie masz do mnie pretensji?

– Mam pretensje wyłącznie do siebie. I do tego zasańca Sormiego. A teraz chcę się trochę zabawić w puzzle, zanim pojedę do Kautokeino.

Nina odjechała w kierunku Hammerfest. Pogoda wciąż była wietrzna. Chciała spotkać się z tym Gunnarem Dahlem z Norgoilu. Przedtem jednak zatrzymała się w Kvalsund, przed mostem, żeby złożyć wizytę Mortenowi Isaacowi. Musiała wyjaśnić pewne rzeczy związane ze sporami o pastwiska wokół Hammerfest.

– Nie odpuszczasz – powiedział szef 23. dystryktu, wpuszczając ją do środka. Zaproponował, żeby się wysuszyła, i wydawał się zdziwiony, że przyjechała sama.

– Klemet Nango sam pracuje nad ułożeniem układanki – powiedziała tylko.– Czy Steggo i Sikku wypasali swoje stada na tych samych pastwiskach na szlaku wędrówki reniferów?

– Oczywiście. Ale tak jest wszędzie. Nic nowego pod słońcem. Trawa jest zawsze bardziej zielona u sąsiada. To stare lapońskie przysłowie.

– Tikkanen, ten agent nieruchomości, robi jakieś interesy z hodowcami?

– Musisz zrozumieć jedną rzecz: my, hodowcy, przeszkadzamy tutaj. Słyszałaś pewnie te piękne słówka o szanowaniu miejscowej ludności, o mniejszości lapońskiej i jej niezbywalnych prawach. W przypadku konfliktu z rozwojem przemysłu wszystko to idzie w ką.

– Ale ratusz musi was przecież słuchać.

– Ratusz? Dostają sto pięćdziesiąt milionów koron podatku gruntowego rocznie od Norgoilu za nic, tylko dlatego, że przetwórnia gazu znajduje się na ich terenie. To kogo mają słuchać? Pod rafinerię Suolo muszą podwoić tereny przemysłowe przy wyjeździe z miasta. Przy okazji zbiorą słone sumy z podatków. Słyszałaś o burmistrzu, który pogardziłby taką okazją? Ja też miałem zatargi z ratuszem. Spławiali mnie za każdym razem, gdy procesowałem się z inwestorami, którzy chcieli mi zajmować pastwiska. Proces za procesem, jedno pastwisko za drugim. Nie zapominaj, że my, hodowcy, tylko użytkujemy te ziemie, nie jesteśmy ich właścicielami.

Morten Isaac wstał i wyciągnął pudełko po butach stojące w jednym z mebli w salonie, pod kredensem pełnym szklanek i karafek. Wyciągnął jakieś papiery i stare zdjęcia i rozłożył je przed Niną. Włożył okulary i wziął do ręki oprawiony dokument.

– W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym sześć rodzin hodowców wypasało latem na wyspie Kvaløya sześć tysięcy reniferów. Sześć tysięcy! Dziś jest ich razem niewiele ponad dwa tysiące. I ludzie tu jeszcze narzekają, że to za dużo. To czego oni właściwie chcą!?

Nina znalazła Gunnara Dahla w holu hotelu Tuńczyk, do którego poszedł po mszy. Najpierw zdawał się zaskoczony, że funkcjonariuszka straży reniferów może czegoś od niego chcieć. Nie krył swojego zaangażowania w rozwój Hammerfest. Według niego chodziło tu

o wspólne dobro. Nie było więc nic złego w tym, że wykorzystał nadarzącą się sposobność. Nina zdawała sobie sprawę z tego, że niektóre z jej pytań wychodziły poza ramy obowiązujących procedur. Ale musiała zrozumieć, o co tu chodzi. Mimo ostrzeżeń Klemeta, który który często przypominał jej, że w sprawach policyjnych należy uważać się za szczęściarza, jeśli uda się znaleźć dowody przestępstwa lub powiązać przestępcę z zarzucanym mu czynem. Mawiał zawsze, że odkrycie motywów to wisienka na torcie, i że przeważnie nie udaje się ich odkryć, o ile sprawca sam ich nie wyzna.

– Mówi mi pani, że hodowcy się skarżą. Skarżą się, że pozbawia się ich ziem i że z tego powodu mogliby chociaż otrzymywać jakiś procent dochodów z wydobycia ropy i gazu na tych terenach, które uważają za swoją własność. Widzi pani, problem polega na tym, że te dobra należą do całego narodu. Nie może być inaczej. Mówię pani, nie ma żadnego dowodu na to, że ludzie tacy jak ja bądź Lapończycy przybyli tu pierwsi. Nie sposób stwierdzić, do kogo to wszystko należy. Myślę więc, że lepiej będzie, jeśli będziemy pracować razem. Szczerze mówiąc, proszę pani, w Finnmarku jest dość miejsca na różne rodzaje działalności, nie uważa pani? W niektórych porach roku hodowcy zajmują aż osiemdziesiąt procent całego regionu.

Nina i przedstawiciel Norgoilu siedzieli na wysokich stołkach w holu hotelu. Jego wielka, oszklona witryna wychodziła na mały rynek z ratuszem i z parkingiem, na którym Klemet pamiętnego trzydziestego kwietnia w piątek zagrał na loterii. To było zaledwie dwa dni temu. Nina z trudem mogła dostrzec stąd wejście do kiosku. Nie spieszyło jej się do wyjścia na zewnątrz, gdzie szalała burza. Na arktyczne miasteczko spadała wciąż lawina topniejącego śniegu. Nina nigdy w życiu nie widziała jeszcze takiej wiosny.

– Znał pan dobrze Birge'a i Steela?

– Byliśmy kolegami. Reprezentujemy tu trzy największe koncerny naftowe.

– Byliście zaprzyjaźnieni? Mam na myśli to, że Steel i Birge zabawiali się z prostytutkami.

– Nie poszedłem z nimi, to prawda. Ceniłem ich jako kolegów. Ale oni nie są stąd. Ja tak. Jesteśmy szanowani, jeżeli i my szanujemy innych.

Gunnar Dahl wskazał na szalejącą za oknem burzę.

– Ludzie, którzy tu mieszkają, są twardzi. Przyjechałaby tu pani, gdyby nie praca? Na pewno nie. Wie pani, czego chcą ci ludzie? Chcą pracy, chcą zatrudnienia. Rozwijamy ten region, żeby jego mieszkańcy mogli dalej żyć tu, gdzie zawsze żyli.

– Nawet jeśli ktoś na tym ucierpi?

– Od jak dawna pani tu jest? Wie pani, co to większość? Żyjemy w demokracji, prawda? Większość decyduje, to normalne. Praw garstki Lapończyków nie można stawiać ponad to, to byłoby niesprawiedliwe dla większości.

– Musiał pan rywalizować ze Steelem i Birge'em? O złoża, o dostęp do stref przemysłowych?

– Oczywiście, że jesteśmy rywalami. Ale to wszystko jest bardzo uporządkowane. Licencje są przyznawane przez rząd, przygotowywane przez Dyrektoriat Naftowy...

– Którym kierował Lars Fjordsen...

– Zgadza się. Którym kierował ten niezastąpiony człowiek.

– Który pracował też dla Norgoilu.

– I to się zgadza. Tam się poznaliśmy. To wielki człowiek.

– Który sam przepędzał renifery.

– Bez niego Hammerfest nie byłoby tym, czym jest. Niech pani nie próbuje go oczernić.

– Miał pan zwyczaj spotykać się z innymi?

– Czasem, zresztą także z Larsem. Czasem w piątki spotykaliśmy się w Klubie Białego Niedźwiedzia.

– Spotkaliście się tam w ten piątek?

– Nie, w ten piątek nie. W zeszły piątek.

Nina była trochę zawiedziona.

– Nie wiedziałam, że w klubie jest kawiarnia.

– Nie ma. Markko Tikkanen wszystko przygotowywał.

– Znów on...

– Tak, Tikkanen to bardzo skrupulatny człowiek, który lubi wiedzieć wszystko o wszystkich, i dlatego sam stara się urządzać wszystko tak, żeby być jak najbliżej źródeł informacji. Nie uczestniczę w tych imprezkach moich kolegów, ale...

– ...ale nie ma pan nic przeciwko nim?

– Nie obchodzi mnie to. Jestem stąd, znam tu ludzi i oni mnie znają, i po prostu nie mogę.

– Lepiej jest robić to samo gdzie indziej, bardziej dyskretnie?
– Za dużo sobie pani pozwala!
– O czym rozmawialiście?
– O interesach. Uważamy, że okazji starczy tu dla wszystkich.
– Śmierć Steela i Birge’a pewnie szczególnie was nie zmartwiła...
– Niesłusznie insynuuje pani Bóg wie co. Steel i Birge, mimo pewnych ekscesów, których nie pochwalałem, byli dobrymi fachowcami. Nie wiem, z kim teraz będę miał do czynienia, gdy przyjadą ich następcy.

Nina znów spojrzała przez okno. Po szybach ściekały smugi roztopionego śniegu.

– Od dawna pan ich znał?

Gunnar Dahl zmierzył ją wzrokiem, jakby próbował odgadnąć jej intencje. Naftowiec z brodą wydawał się dotąd raczej szczerzy. Czy to tylko pozory?

– Tak. Można by wręcz powiedzieć, że znam ich od niepamiętnych czasów, tak szybko wszystko dzieje się w tej branży. Pracowaliśmy na Morzu Północnym, kiedy pani pewnie jeszcze nie było na świecie. To była zupełnie inna epoka.

Dahl mówił jak weteran wspominający swój szlak bojowy.

– Co pan robił wczoraj wieczorem?

– Byłem z rodziną. Moja żona i sześcioro dzieci mogą to pani z pewnością potwierdzić.

Nina podziękowała Dahlowi. Było jeszcze dość wcześnie, a temperatura gwałtownie spadła. Niebo zaczęło się przejaśniać z szybkością, która zaskoczyła Ninę. Wciąż wiał silny wiatr, tyle że teraz rozpedzał chmury. Nina odjechała w kierunku Skaidi. Dojeżdżając do południowego krańca wyspy, zamiast wjechać na most prowadzący do Kvalsund, przed tunelem w Stallogargo skrzyła nagle w prawo, wjeżdżając w wąską, wijącą się serpentynami drogę. Droga biegła równoległe do tunelu, pomiędzy tunelem a brzegiem. Była to stara droga do Hammerfest, wykuta w zboczu góry, nim zbudowano tunel. Zastanawiano się, czy nie poszerzyć tej starej drogi. Przechodziły tędy renifery zmierzające na pastwiska na północy wyspy. Groziło to jednak uszkodzeniem świętej skały. Niektórzy chcieli ją przenieść.

Nina wysiadła z samochodu. Rozejrzała się po okolicy. Od kiedy używano cieśniny do przeprawy reniferów? Przypomniały jej się zdjęcia Nilsa-Antego i jego Chinki. Z łatwością odtworzyła w myśli scenę

utonięcia Erika, starając się wyobrazić sobie każdą z osób, które były przy tym obecne. Odszukała wzrokiem pewien punkt i ruszyła w jego kierunku, idąc, ślizgając się, tonąc w gdzieśgdzie topniejącym śniegu, wspinając się i obijając o skały. Wchodziła tak parę minut, po czym zatrzymała się zziębnięta. Stała i patrzyła na rozciągającą się u jej stóp cieżninę. Wybrała numer telefonu.

– Słyszysz mnie? – krzyknęła do aparatu.

– Tak, słyszę cię – odpowiedział Klemet. – Słuchaj, chciałem ci powiedzieć, że byłem...

– Nie ma teraz czasu na rozmowy. Ty mnie słyszysz, ja cię słyszę, chciałam tylko coś sprawdzić. Jestem w tej samej sieci telefonicznej co Sikku, sprawdzałam. I dzwonię z pierwszego miejsca, w którym wtedy się znajdował i z którego zszedł, zamieniając się z Jonasem, rzekomo dlatego, że stąd nie mógł zadzwonić. Kłamie. Połączenie jest doskonałe. Stał na najwyższym położonym miejscu, z którego był niewidoczny, gdy machał rękoma, żeby wystraszyć renifery, i tyle. Na razie.

Rozłączyła się, nie dając Klemetowi czasu na odpowiedź. Zadowolona, zeszła w kierunku skały, żeby ją obejrzeć. Oglądała ją już pobieżnie wcześniej, wtedy, gdy wyłowiono ciało Erika. Teraz musiała przyznać, że skała jest niezwykła. Próbowwała określić, jaki ma kształt. Odwrócony rożek z lodami? Trochę nieforemny, z czubkiem śmiesznie pochylonym na bok. Jej forma nie była zbyt romantyczna. Musiała mieć pięć albo sześć metrów wysokości. Patrząc pod innym kątem, Nina dostrzegła w niej postać kobiety w szerokiej, staroświeckiej sukni, przypominającej trochę Cyganek na targu. Widziała teraz wyraźnie tę postać. Kobieta stała wyprostowana, nawet majestatyczna; na głowie miała coś w rodzaju kapelusza. W każdym razie nie był to kok. Czemu nie, to już lepsze niż rozmiękły rożek z lodami. Od strony brzegu skałę otaczało osypisko, z którego kamienie nieomal wpadały do wody. Nina musiała trzymać się skały, żeby się nie poślizgnąć. U jej stóp miejscami leżał jeszcze śnieg. Dzięki słońcu, które wyszło teraz zza chmur, spostrzegła mały błyszczący przedmiot. Była to jednokoronówka. Nie odważyła się jej dotknąć. Monetę umieszczono w małym, trudno dostępnym zagłębieniu. Gdyby nie odbity od niej promień słońca, pewnie by jej nie zauważyła. Jedną z tych ofiar, które wtedy dostrzegła, mijając je w pośpiechu, pomyślała Nina. Rozejrzała się wokół. U stóp skały i w innych szczelinach zobaczyła kilka innych monet. Znalazła także kilka fragmentów rogów reniferów.

Dostrzegła też parę przedmiotów, których tu wtedy nie było. Najwyraźniej skała wciąż służyła za miejsce kultu.

– Nazywają ją Ahkanjarstabba.

Nina odwróciła się. Nikogo nie było widać.

– To lapońska nazwa – mówił dalej tajemniczy głos.

Z powodu wiatru, który świszczwał jej w uszach, Nina nie mogła rozpoznać, do kogo należy. Obeszła skałę. W końcu w górze, na asfaltowej drodze, spostrzegła Anneli Steggo. Młoda kobieta siedziała na małym, krępym koniku.

– To kuc islandzki. Są wytrzymałe i można nimi jeździć nawet po śniegu.

– Myślałam, że musisz wracać do swojego stada. Chyba jest dość daleko.

– Musiałam tu wrócić. Nie byłam tu od śmierci Erika.

Rozejrzała się wokół siebie.

– Tak tu cicho.

Po drugiej stronie cieśniny widać było małą osadę, złożoną z drewnianych domów rozrzuconych u stóp góry. Dalej, na lewo, rozpościerał się wiszący most, łączący wyspę z miasteczkiem Kvalsund. Zmoczone przez burzę zbocze góry lśniło w słońcu. Anneli zeszła z konia i zbliżyła się do skały.

– Chociaż Erik skończył studia, zawsze składał ofiarę na tej skale przed przejściem reniferów. Tradycja rodzinna. Zastanawiam się, czy wtedy mógł o tym zapomnieć...

Nina milczała. Nie rozumiała tego wszystkiego. Matka nauczyła ją raczej dostrzegać w tych przesądach pozostałości czarów.

– Podchodząc do brzegu od strony lądu, renifery zawsze przechodzą na zachód od tej skały. W całej Laponii kamienie mówią do nas w ten sposób.

– Nic dziwnego, że takie kształty budzą różne skojarzenia – powiedziała Nina, starając się być uprzejma.

– Kształt nie zawsze jest ważny. Ważniejsza jest tradycja. To, do czego ktoś kiedyś, dawno temu, używał takiego kamienia. Właściwie tylko mężczyźni mogą zbliżać się do kamieni ofiarnych.

Anneli podeszła bliżej, by pogłodzić kamień.

– Niektóre, tak jak ten, służą wszystkim. Wszyscy Lapończycy, którzy przeprawiają się z reniferami przez tę cieśninę, mieli zwyczaj składać tu

ofiary. Przychodzono tu w czasie polowań. Kamieniowi oddawali cześć także Lapończycy łowiący ryby. Pod śniegiem znalazłabyś na pewno resztki ryb, obok monet i kawałków rogów reniferów. Ale poszczególne rodziny mają także swoje własne święte miejsca, o których nikt poza nimi nie wie.

– Chyba bardzo się tym wszystkim interesujesz?

– To nasza historia. Wy macie wasze kościoły, pomniki, muzea, a my te kamienie. Jesteśmy ludem natury. Te kamienie zachowują ducha naszej historii. Jeśli się do nich zbliżysz, usłyszysz, jak historia wypływa z ich szczelin, usłyszysz modlitwy, które wieki temu mruczał tu pasterz niespokojny o swoje renifery, szykujące się do przeprawy. Jeśli przyłożysz ucho do skały Sieidejavri, usłyszysz modlitwę kobiety, która błaga o spokój dla swojego chorego syna.

Anneli puściła kamień i wsiadła na konia.

– Wszyscy to wiedzą. Ale nikt o tym nie mówi. Bo o takich rzeczach się nie mówi. To się wie, i tyle.

Zawróciła konia.

– Jutro pochowam Erika.

Dała sygnał do odjazdu swojemu islandzkiemu kucowi, zostawiając Ninę u stóp świętej skały. Policjantka odprowadziła ją wzrokiem. Wcale nie była zaskoczona, gdy przejechawszy kilkadziesiąt metrów, Anneli zawróciła, zatrzymała się i stanęła przed Niną.

– Musimy nauczyć się żyć razem, to jedyna nauka tundry. Samotny człowiek jest jak wilk. Budzi w ludziach lęk, i ludzie mszczą się na nim – powiedziała, po czym pogalopowała drogą.

Midday,

wciąż nie dajesz znaku życia. Ja już nie mogę. Boję się go. Jest porywczy, nie układa się między nami. Przedtem miałem własny kąt, w którym mogłem się schować. Te czasy już minęły. Jestem u kresu sił, on też. Może to jest jakieś wyjście – załamać się.

Rozdział 27

Schronisko straży reniferów, Skaidi, 15.00

Klemet miał całe popołudnie na otrząśnięcie się z wściekłości. W czasie tych kilku godzin udało mu się w końcu ułożyć łamigłówkę ze strzępków dwóch mandatów, które podarł w zeszłym tygodniu. Był wprawdzie zawieszony, ale miał pełny dostęp do sieci policyjnej. Już miał przystąpić do identyfikacji nazwisk na mandatach, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Pozostawienie śladów w sieci policyjnej mogło obrócić się przeciwko niemu. Przez chwilę wahał się, po czym zamknął komputer. Czekał na powrót Niny. Nie podobało mu się, że musi działać sama. Nie uważał jej już za nowicjuszkę, ale nie znała jeszcze wielu niepisanych reguł obowiązujących w tym regionie, tak dalekim od jej świata. Świeżość spojrzenia mogła jej się przydać w tym małym świecie, utkanym z ciasno splecionych ze sobą legend i opowieści. Zanotował nazwiska dwóch niemieckich turystów i dwóch robotników budowlanych. Potem zszedł na kemping znajdujący się tuż pod schroniskiem policyjnym i pożyczył samochód od strażnika.

Wczesnym wieczorem dojechał do Kautokeino, do tej wioski, która była świadkiem jego poniżenia w dzieciństwie, tej przymusowej norwegizacji, przez którą musiał z miejsca porzucić język lapoński, ponieważ w szkole trzeba było mówić po norwesku.

Myślał o tym, co w czasach jego młodości stało się tu z Aslakiem. O dręczących go odtąd wyrzutach sumienia. O tym, że nigdy nie mówił o tym Ninie. Może powinien był. Czy byłaby gotowa zrozumieć? Tworzyli dobry zespół, przynajmniej z jego punktu widzenia. Czy powinien mówić jej więcej dla dobra ich wspólnej pracy? A może jednak nie? Co by rozumiała? Że znali się z Aslakiem w dzieciństwie, że mieszkali razem w internacie w Kautokeino w czasach, gdy zabraniano im mówić po lapońsku? Że w wieku siedmiu lat postanowili uciec z internatu, by uwolnić się od języka norweskiego, który chciano im narzucić brutalną

siłą... I że w ostatniej chwili Klemetowi zabrakło odwagi, a Aslak sam musiał zmierzyć się z burzą, z nieznanym, z napiętnowaniem. W tamtej chwili rozstrzygnęły się ich losy. Owca

Klemet myślał, że jako człowiek dorosły, który został policjantem, nie chował za to wszystko urazy. Gdyby go o to spytać, przysięgłby na wszystkie świętości. Ale nie zawsze był tego taki pewien.

Gdy wszedł do domu wuja, okazało się, że ten razem z panną Chang je w kuchni obiad. Oboje przywitali go z radością i dostawili dla niego nakrycie.

Klemet najpierw w milczeniu zjadł rosół. Nils-Ante obserwował siostrzeńca kątem oka.

– Kłopoty?

Klemet potrząsnął głową, wzruszył ramionami i skończył jeść rosół.

– Nie lubię być zawieszany.

Nils-Ante gwizdnął przeciągle.

– Moja ty satynowa piękności, czy możesz przynieść nam tę butelkę trzygwiazdkowego koniaku? Jedyne godny uwagi obyczaj, który zachowałem po laestadianach – powiedział, puszczając oko do Klemeta. – A więc to tak, w końcu, mój drogi siostrzeńcze, w tak podeszłym wieku zaczynasz sobie trochę folgować. Musimy to oblać!

– A dajże mi spokój. Martwię się o Ninę, musi pracować sama.

– Ta twoja blondyneczka, śliczna, aż chce się ją schrupać. To bardzo szlachetne, że o niej myślisz. Gdybym miał parę lat mniej i gdyby nie zajmowała się mną już moja piękność, z pewnością bym do niej uderzył.

– Znałeś rodzinę Sormich?

Nils-Ante nalał koniaku, objął młodą Chinkę i wypił łyk trunku, którego spożycie ortodoksyjni laestadianie dopuszczali jedynie w celach leczniczych.

– Trochę. Ale na wsi wszyscy się trochę znają. A kiedy się kogoś nie zna, zmyśla się jego historię podczas długich, zimowych wieczorów.

– Dobrze, ale w każdym razie młody Sormi jest dziś nurkiem, pracuje dla facetów od gazu, dla nafciarzy, a może dla jednych i drugich, nie wiem dokładnie, czy jest między nimi jakaś różnica i... trochę się z nim... ściałem. Spoliczkowałem go.

Nils-Ante gwizdnął znowu i napełnił kieliszek siostrzeńca. Klemet przypomniał sobie, że nie pije alkoholu; umoczył tylko wargi.

– No cóż, wiesz, że tego nie pochwalam.

Klemet zamilkł. Dawno już minęły czasy, gdy dostawał burę, ale nie zapomniał jeszcze, że wuj był zawsze przeciwny stosowaniu przemocy; krytykował nawet panujące w rodzinie metody wychowawcze. Odetchnął głęboko. Po raz pierwszy od tamtego incydentu pomyślał spokojnie o słowach Nilsa Sormiego. Możliwie jak najwierniej opowiedział przebieg zdarzenia. Panna Chang słuchała obok z poważną miną, od czasu do czasu dodając Klemetowi otuchy uśmiechem. Policjant był bardziej wzruszony, niż chciał to po sobie okazać. Być może był to skutek koniaku, choć za każdym razem, gdy podnosił do góry kieliszek, moczył w nim tylko usta. Zastanawiał się zresztą, dlaczego Nils-Ante tak często go napęnia.

– Wiesz, wuju, że mojej rodzinie nie było łatwo, kiedy dziadek musiał opuścić środowisko hodowców. Cierpiał z tego powodu, a mój ojciec razem z nim. Nigdy nie odchodzi się stamtąd z podniesioną głową i z lekkim sercem.

– Masz rację, po podjęciu tej decyzji twój dziadek był załamany, nawet jeśli nigdy tego po sobie nie pokazywał. Ale nie sposób ukryć wzroku. Mężczyźni tego nie potrafią. A twój dziadek był mężczyzną, prostym, wielkim chłopem, nie czerwien się. Wiesz, że nie jestem hodowcą i że nigdy nim nie byłem. I że nigdy nie chciałem nim być. Zawsze byłem artystą, choć na początku się ze mnie wyśmiewano. W rodzinie zaczęto mnie szanować dopiero wtedy, gdy zacząłem publicznie dawać koncerty, śpiewając joiki. Rodzina myślała, że dorośleję, chociaż wtedy śpiewanie joików było dla mnie aktem politycznym, wiesz o tym. Wtedy, w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, Norwegowie industrializowali północ, jakby nikt tam nie mieszkał.

– Pamiętam, że prawie się ukrywałeś, żeby mi śpiewać joiki.

– A, to było jeszcze wcześniej. Nie chciałem zwłaszcza, żeby rodzina myślała, że im ustępuję. I wierz mi, nigdy nie ustąpiłem. Ta rodzina, coś strasznego! To kłębowisko bigotów, z ich archaicznymi zwyczajami, z ich waśniami klanowymi. Przerażali mnie. Nie sposób wyobrazić sobie ludzi bardziej zasklepionych w swojej tradycji. Byliby szczęśliwi, gdyby wiedzieli, że śpiewam joiki, więc musiałem się z tym kryć, ale tobie je śpiewałem.

– Tak, i ta duma...

– Klemet, ta duma bardzo drogo kosztowała nasz lud. Ale jest parę rzeczy, których warto bronić. Wracając do Sormiego: zbyt długo nie

mieszkaś wśród nas, nie znasz naszych sprawek, naszych drobnych sekretów. Myślę, że jak na młodego Lapończyka, mały Nils wychował się kompletnie poza naszą tradycją. W jakimś sensie jest prawdziwym Lapończykiem z miasta, choć mieszkał tu jeszcze, kiedy był dzieckiem. Jego rodzice byli bardzo ubodzy. Żyli trochę na uboczu. Przeważnie unikali spotkań z innymi. O ile pamiętam, nie robili nic, by mały Nils brał udział w życiu wioski. Dość szybko wysłali go na wybrzeże. A wiesz, jak ludzie z wnętrza łądu rywalizują z ludźmi z wybrzeża. Chodzi nie tylko o Norwegów. Są też Lapończycy, którzy nie są hodowcami reniferów, jest ich więcej, ale mają mniejsze prawa. To są dwa światy, które nie za bardzo się lubią. Decyzję o tym, by wysłać go na wybrzeże, podjęła, jak sądzę, przede wszystkim jego matka. Władcza kobieta. Dumna, tak jak on. Jego ojciec niewiele się tam liczył. Nadrabiał miną, pijąc. Nie bywałem u nich. On cię naprawdę interesuje?

– Nie wiem.

– Jeśli chcesz, znajdę kogoś, kto go znał. Mam pomysł, ale muszę najpierw zadzwonić.

Ściszył głos, rzucając okiem na swoją młodą towarzyszkę, pracującą przy komputerze po drugiej stronie stołu.

– Później. Nie chciałbym niepokoić mojej boskiej łani...

Rozdział 28

Poniedziałek, 3 maja

Wschód słońca: 2.23. Zachód słońca: 22.21

Długość dnia: 19 godzin i 58 minut

Chata straży reniferów, Skaidi, 3.30

Coraz gorzej, pomyślała Nina. Obudziwszy się o świcie, czuła się zagubiona; nie wiedziała, czy minęła już pora pierwszego brzasku. Przebudziła się wbrew sobie, i już była zmęczona. Jej ciało pulsowało energią. Zmęczona – niezmęczona. Sama siebie już nie rozumiała. Powinna jeszcze spać. Mówił jej to zegarek, ale oczy nie chciały się zamykać. Brakowało jej jednak trzech lub czterech godzin snu, wiedziała to. Zawahała się, wstała, wyjrzała przez okno. Zobaczyła płynącą rzekę. Przejść się. Ten pomysł spaceru w środku nocy, chociaż nocy przecież nie było, przypomniał jej ojca. Ostatnie chwile, które z nim spędziła. Jego niespokojne spacery w ciemnościach. W gęstym lesie. Kiedy wychodził, żeby – jak mówił – zaczerpnąć świeżego powietrza. Często wracała myślą do tamtych chwil. Znów poczuła, że zmęczenie bierze górę. Zamknęła oczy.

Obudziła się jakiś czas później. Tym razem godzina była rozsądna. Nina zastanawiała się przez chwilę, czy jechać na pogrzeb Erika Steggo do Kautokeino. Stwierdziła, że nie pojedzie. Gdyby był z nią Klemet, pewnie by pojechał. Pozdrowiłby od niej Anneli.

Pojechała do komisariatu. Ellen Hotti przyjęła ją szorstko. Pani komisarz nie kryła złego humoru. Miała urwanie głowy z pogrzebem burmistrza, Larsa Fjordsena. Ponieważ był postacią znaną w całym kraju, miasto chciało mu oddać stosowny hołd. Policjanci stawali na głowie. I jeszcze ta historia z eksplozją kabiny dekompresyjnej... Nie miała środków do prowadzenia takiego śledztwa, a nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. I na dodatek taki policjant jak Klemet akurat teraz musiał

spoliczkować tego nurka. Nie miała innego wyjścia, musiała go zawiesić. Czy cały świat sprzysiągł się przeciwko niej?

Nina przeczekwała spokojnie burzę. Komisarz Hotti otwierała akta.

– Mamy coś nowego w sprawie Fjordsena. Analiza DNA pod paznokciami niczego nie wykazała. Sormi, nurek, któremu udało się wyprowadzić z równowagi twojego kolegę, ma alibi na czas wypadku. Był ze swoim partnerem Tomem Paulsenem w kinie na drugim końcu pływającego hotelu i wielu świadków potwierdza, że nie wychodził z sali.

Zajrzała do akt.

– Oglądali film... Bezsensowność. Dość osobliwy pomysł o tej porze roku. Prawie skończyliśmy przesłuchiwać lokatorów statku. Trzy Rosjanki nie rozpoznały nikogo z pokładu, co jest dość zaskakujące. Oczywiście z wyjątkiem Tikkanena i pracownika, który je wpuścił i który został ciężko ranny w chwili otwarcia kabiny. Pokazywaliśmy im wszystkich, podsuwaliśmy zdjęcia paszportowe, nic. Na dodatek lokatorzy nie mają dostępu do tej części statku. Niepojęte. Oprócz rannego, który je wpuścił, widziały tylko jednego mężczyznę, w chwili gdy dwie z nich wyszły do toalety. Był to starszy człowiek, w wieku około sześćdziesięciu lat, potężnej postury. Nie ma go wśród pracowników. To jego szukamy.

– A ten robotnik, który zgubił dokumenty? Jest coś nowego?

Ellen Hotti zrobiła zdziwioną minę. Też nic. Zadzwoił telefon Niny. Odebrała, rzucając przeproszające spojrzenie, po czym się rozłączyła.

– Dwa renifery żerują w ogródku kościoła ewangelickiego. Znow się zaczyna...

Hammerfest, 13.00

Przed wyjazdem do Hammerfest Klemet pojechał na pogrzeb Erika Steggo, jak obiecał Ninie. Starał się być dyskretny, nie lubił wielkich zgromadzeń. Byli prawie wszyscy hodowcy. Klemet jeszcze silniej poczuł dystans dzielący go od jego własnej rodziny i historii. Anneli dostrzegła go i skinęła mu głową. Była piękna i smutna. Przeczytała wiersz. Krótkie, poruszające słowa, które wywołały łzy w oczach zebranych. Klemet przypomniał sobie słowa swojego wuja, lekkie, a zarazem przywołujące ciężkie, trudne myśli.

Część hodowców nie mogła przyjechać na pogrzeb. Ktoś musiał zostać w viddzie. Nie było też Juvy Sikku. Byłoby dziwne, gdyby był obecny. Olaf Renson przyjechał aż z Kiruny, żeby towarzyszyć Anneli. Znali się dobrze. I on także dostrzegł Klemeta.

Policjant poznał po spojrzeniach części zgromadzonych, że wieść o jego zawieszeniu już się rozniosła. Klemet wolał nie zwlekać. Gdy już miał odjeżdżać, dogonił go na parkingu Olaf Renson. Hiszpan go nie lubił, Klemet nie miał co do tego wątpliwości. Kogoś, kogo się lubi, nie nazywa się kolaborantem...

– Jeśli chodzi o Sikku, powinieneś przyjrzeć się jego sprawkom z nieruchomościami – rzucił mu sucho Renson. – Interesował się bardzo pewną hodowlą reniferów na farmie daleko stąd. To chyba dziwne?

Wyjeżdżając z Kautokeino, Klemet postanowił przyjrzeć się tej sprawie. Nic nie stało na przeszkodzie. Ninę powiadomi później. Pojechał do ratusza w Hammerfest i poprosił, by zaprowadzono go do archiwum. Znano go tam, i wkrótce znalazł się w cichej, bezosobowej sali w otoczeniu starych pudeł na dokumenty, spiętych pasami z materiału. Juva Sikku, Erik Steggo, Morten Isaac i inni. Chciał się dowiedzieć wszystkiego, co dotyczyło obecności hodowców na tej małej Wyspie Wieloryba, na której powstało miasto Hammerfest.

Wrócił do archiwistki i spytał o dokumenty dotyczące obecności Lapończyków na wyspie w dawnych latach. Potarła czoło i podeszła do sterty teczek. Klemet ostrożnie przewracał poźółkłe kartki. Przeglądał dokumenty szkolne, korespondencję administracyjną. Mijały godziny. Wyglądało na to, że liczba Lapończyków na wyspie zmalała dramatycznie w ciągu kilku dziesięcioleci. Znalazł list, który pewien pastor z Hammerfest napisał do króla Danii. List pochodził z roku 1727, z czasów, gdy ta prowincja norweska należała do korony duńskiej. Pastor pisał, że Wyspę Wieloryba zawsze zamieszkiwali Finowie. Klemet wiedział, że tak wówczas nazywano Lapończyków. Pastor precyzował dalej w swoich wywodach, że Norwegowie mieszkali na zachodnim wybrzeżu dużej wyspy Sørøya, leżącej w odległości około dziesięciu kilometrów dalej na zachód. Potem wioski norweskie zostały obrócone w ruinę wskutek napaści Rosjan, którzy wypuszczali się na długie zbrojne wycieczki, atakując ze wschodu. Norwegowie schronili się więc w Hammerfest.

Klemet wertował dalej dokumenty. Podobnie było z Rypefjord, małą wioską tuż pod Hammerfest, w której znajdowała się baza polarna. Rypefjord też było dawną osadą lapońską. Na początku dwudziestego wieku Lapończycy coraz rzadziej przyznawali się do swego pochodzenia,

przynajmniej w Hammerfest. Ten stan rzeczy pogorszył się jeszcze bardziej w następnych dziesięcioleciach.

Podniósł się, by oddać stos teczek.

– Wiesz, ilu Lapończyków mieszka w Hammerfest? – spytał archiwistkę. Kobieta westchnęła.

– Mogę tylko powiedzieć, że na początku roku w szkole, do której chodzi mój syn, tylko jedna rodzina zażądała, by jej dziecko uczyło się lapońskiego. Wiem, że wywołało to całą dyskusję i że sprawdzano w innych szkołach, jak to zorganizować, i że był to jeden z nielicznych przypadków w mieście. Razem było chyba mniej niż tuzin takich dzieci. Więc widzisz... A przecież wszyscy wiedzą, że tu, na wybrzeżu, prawie każdy miał jakichś lapońskich przodków.

Archiwistka zostawiła go z nowymi teczkami. Klemet zainteresował się rejestrem nieruchomości. Dobiegł go dźwięk syreny Hurtigruten, promu turystycznego, który wpływał do portu codziennie około 11.30. Spojrzał na zegarek. Ze statku zejść wkrótce turyści z całego świata, zostaną tu dobrą godzinę, po czym odpłyną. Wyszedł do kiosku kupić sobie dwie kiełbaski polane keczupem i musztardą, po czym wrócił, by znów pograć się w studiowaniu zapisów notarialnych.

Przy dokumentach czekał na niego jakiś człowiek. Archiwistka poinformowała go o poszukiwaniach Klemeta. Przedstawił się. Był to zastępca Fjordsena do spraw urbanistyki. Klemet myślał szybko. Nie miał prawa prowadzić dochodzenia. Radny chyba niczego nie podejrzewał. Klemet postanowił powiedzieć, co go interesuje, bez zbytniego wchodzenia w szczegóły.

– W Hammerfest osiedla się wiele koncernów naftowych i ich podwykonawców – zaczął radny. – Chcą być pierwsi w biegu do Arktyki, o którym wszyscy mówią od dobrych dziesięciu lat.

Według aktualnej wiedzy Klemeta baza polarna, która znajdowała się w dawnej wiosce lapońskiej Rypefjord, była jedyną bazą logistyczną na całe Morze Barentsa.

– Wkrótce będziemy tu mieli eksploatację złoża ropy naftowej Suolo, nie mówiąc o innych badaniach, których coraz więcej prowadzi się na pełnym morzu, pomiędzy naszą wyspą a Spitsbergenem. Logistyka wymaga nowych gruntów, a nawet nowego lotniska.

Zniknął na chwilę, by wrócić z zeszytem zawierającym mapę wyspy. Miała ona w przybliżeniu kształt czaszki ze zgrubieniem z jednej strony

czoła, po lewej stronie mapy. Hammerfest leżało u podstawy tego zgrubienia i zajmowało jedynie maleńką część wyspy. Ale poszarpana rzeźba wyspy ograniczała dostęp do miasta.

– Budować na wyżynie nad Hammerfest? Na dwustu metrach wysokości klimat jest surowszy i bardziej wietrzny. Nie sposób umiejscowić tam nowego lotniska. Potrzebujemy płaskiego terenu. Mówię panu, to kwadratura koła. Powie pan: renifery. Wprawdzie tereny wzdłuż wybrzeża, o które nam chodzi, nie należą do hodowców, jednak mają prawo je użytkować, od maja do września. Ale wie pan, odkąd parlament norweski uznał Hammerfest za bazę dla inwestycji wydobywczych i dla produkcji ropy i gazu na Morzu Barentsa, nie ma wyjścia. Trzeba iść naprzód. I jeśli potrzeba nowych terenów, weźmiemy to, co jest.

Radny mówił, wciąż pokazując coś na mapie. Według niego mapa mówiła sama za siebie, tak bardzo możliwości były ograniczone z powodu rzeźby terenu.

– Ale uwaga, konsultujemy się ze wszystkimi. O tak, konsultujemy się. Moim zdaniem to za długo trwa. Burmistrz Fjordsen za bardzo chciał być miły dla wszystkich. Wyżywał się na reniferach, zżymał się w gazetach, ale za bardzo ustępował hodowcom. Moim zdaniem trzeba działać szybciej. Trzeba mieć odwagę. Zobacz pan! Nasza przyszłość to teraz, tutaj, mamy ją, na litość boską, przed nosem!

Zastępca burmistrza najwyraźniej polubił Klemeta. Zaciągnął go na kawę do holu przy recepcji.

– To miasto za dwadzieścia lat będzie Singapurem Arktyki. Nasz region dostarczy miejsc pracy całemu krajowi, zobaczy pan. To będzie wspaniały rozwój. Przez ocieplenie klimatu koncerny będą na wyścigi eksploatować zasoby na Dalekiej Północy. Już im tu spieszo. Zobacz pan. Północ będzie żywić południe królestwa, będą nam jeść z ręki!

Mówił dalej w podobnie entuzjastycznym tonie, kreśląc świetlaną przyszłość czekającą miasto. Godny dziedzic burmistrza Larsa Fjordsena, pomyślał policjant. Może nawet jego następcą. Klemet słuchał go uprzejmie, oglądając foldery wystawione w recepcji. Przedstawiły pejzaże Wyspy Wieloryba w różnych porach roku. Klemet zauważył tylko, że na żadnym folderze nie było ani jednego renifera. W idealnej wizji ratusza Hammerfest to gmina, w której jedynym elementem tolerowanym w pobliżu morskich instalacji przemysłowych jest spokojna,

majestatyczna przyroda, gdzie jedynymi zwierzętami są niewadzące nikomu ptaki.

– No dobrze – powiedział Klemet – jak tak dalej pójdzie, to nie trzeba będzie ganiać po mieście reniferów, będzie można zająć się czymś innym.

Radny, tłumiąc wybuch śmiechu, mocno klepnął Klemeta po ramieniu.

Nieco dalej, prawie schowany za szafą, wisiał plakat z rysunkiem charakterystycznym dla lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Radny podążył za wzrokiem Klemeta.

– Hammerfest tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt osiem – powiedział. – Plakat Arvida Sveena.

Był to rodzaj alegorii Hammerfest. Rysunek zawierał wszystkie możliwe symbole miasta, nie wykluczając tym razem również reniferów. Na pierwszym planie widać było ogromnego białego niedźwiedzia, nadającego okolicy arktyczny charakter. Wielki trawler zbliżał się do przetwórci ryb Nestlé Findus, tej samej, którą zburzono kilka lat temu, by zrobić miejsce na wspaniałe nowe Arktyczne Centrum Kultury, sfinansowane przez koncerny naftowe. Trudno o lepszy symbol przemian, jakie zaszły w Hammerfest, pomyślał Klemet. Na prawo, tam gdzie dziś wznosi się budynek Black Aurora, pod małą kopułą stał renifer o wspaniałym, bujnym porożu. Renifer marzył o kwiatkach, którymi wkrótce będzie się mógł napaść w mieście. Obok niego, górując nad miastem, przed charakterystycznym namiotem stał Lapończyk w stroju ludowym. Był to jedyny Lapończyk na tym plakacie. Czy to zwykły przypadek? Stał na tym samym miejscu, na które przychodziły nieraz renifery Erika Steggo i gdzie niektórzy wyznaczali sobie spotkania. Jednym z najbardziej rzucających się w oczy elementów plakatu była widoczna w lewym górnym rogu platforma, wyglądająca tak, jakby unosiła się na chmurze. Szczyt platformy mierzył w słońce, okolone wieńcem promieni. Klemet podszedł bliżej.

– Platforma? – zdziwił się. – Już w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku?

– Ano tak – odparł zastępca burmistrza do spraw urbanistyki. – Mnie tu jeszcze wtedy nie było. Ale już tyle o tym mówiono, zaczęły się pierwsze badania. A potem nic się nie działo przez następne dwadzieścia lat, póki nie zaczęto na poważnie eksploatować złoża gazu Snø-Hvit.

– A tam, ten Saami ze swoim namiotem...

– To taka fantazja artysty. W każdym razie to dawne czasy.

Policjant podziękował za kawę i wrócił do archiwum.

Dopiero po spędzeniu tam całego popołudnia Klemet zaczął się jako tako orientować w gąszczu praw do użytkowania terenów na Wyspie Wieloryba. Przybysze ze stałego lądu nieustannie naruszali to prawo do użytkowania ziem przez hodowców. Wysyłano obszerną dokumentację do ministerstwa środowiska. Procedura odwoławcza trwała nieraz dwa lata, po czym, w większości przypadków, hodowcy i tak przegrywali.

Jeden z dokumentów zawierał historię użytkowania gruntów na tych jakże pożądanym ziemiach, ciągnących się wzdłuż zachodniego wybrzeża Wyspy Wieloryba. Klemet wywnioskował z niej, że liczni Lapończycy mieszkający wokół Hammerfest powoli utracili to prawo. Niektórzy hodowcy musieli przenieść się gdzie indziej.

Na szczęście Klemet znał nazwiska hodowców z dystryktu. Nina nigdy nie połąpałaby się w tych informacjach. Zajęłoby jej to tygodnie, a może nawet miesiące, przed Klemetem natomiast zaczął wyłaniać się wyraźny obraz. Niektóre nazwiska zniknęły z biegiem lat. Morten Isaac, szef 23. dystryktu, należał do grupy pasterzy, którzy tracili coraz więcej terenów. Rodziny Sikku i Steggo także przegrywały. Wiedząc już, jak szukać, Klemet mógł teraz szybciej przeglądać dokumenty dostępne w archiwum. Nagle jego uwagę zwróciło znajome nazwisko. Anta Laula. Artysta lapoński, którego wystawę odwiedziła Nina. Ten, który zniknął z obozu Anneli Steggo i Susann. Kiedyś był hodowcą. Dawniej latem Anta Laula wypasał swoje renifery na tym pasie ziemi. I został z niego usunięty, gdy prawa do tych terenów nabyła firma elektryczna pracująca dla koncernów naftowych. Anta Laule poproszono, by poszedł paść swoje renifery gdzie indziej.

Midday,

godzę się z Twoim milczeniem, ale jest mi ciężko. Byłeś ostatnią osobą, do której mogłem się zwrócić.

Mówiłem Ci o tym towarzyszku niedoli, którego przygarnęliśmy. Czasem jest przytomny, a czasem bredzi.

Poza tym został moim pupilem. Powinien kontynuować nasze dzieło, jeśli będzie gotowy, inaczej wszystko na próżno. Pamiętasz tego dzieciaka? Urósł teraz, wiedziałem, że pójdzie w nasze ślady. Pomogliśmy mu. Myślę, że zwłaszcza ja. Ale upłynęło wiele czasu. Nie powinienem był się z nim kontaktować. Powinienem był zostać w cieniu, tak jak chciałem. Widziałem strach w jego oczach. Schować się w mysią dziurę. Odnaleźć ten spokój, który czasem odnajdowałem w głębinach.

Rozdział 29

Wtorek, 4 maja

Wschód słońca: 2.15. Zachód słońca: 22.28

Długość dnia: 20 godzin i 13 minut

Chata straży reniferów, Skaidi, 8.30

Klemet i Nina spotkali się na śniadaniu. Poprzedniego dnia wieczorem Klemet wrócił późno, a jego młoda partnerka spała głębokim snem. Nie miał siły wracać do Kautokeino.

Podczas śniadania Klemet opowiedział jej o tym, co odkrył, przedzierając się przez gąszcz dokumentów związanych z prawami do użytkowania ziemi. Gdy wspomniał o Anta Lauli i o tym, że kiedyś hodował w okolicy renifery, Nina zupełnie się obudziła. To oczywiście wyjaśniało jego obecność w obozach Anneli i Susann. Szedł z nimi tą samą drogą, którą kiedyś wędrował. Nina znów zaniepokoiła się o los byłego hodowcy. Czy należało wszcząć poszukiwania? Czy mógł się zgubić? A może kiedyś miał zatarg z rodzicami Sikku? Nina zauważyła, że konflikty pomiędzy hodowcami mogą przechodzić z pokolenia na pokolenie.

– Trzeba sprawdzić, masz rację – przyznał Klemet, choć wątpił, by zadawniony konflikt mógł tu mieć jakieś znaczenie, skoro Anta Laula i jego rodzina dawno się wycofali. Nie było już o co się spierać.

Mówiono, że Laula jest chory. Podobno nie potrafi już trzeźwo myśleć. Na co właściwie choruje? Klemet milczał. Nina nie wiedziała nigdy, jakie myśli kłębią się w jego głowie, i często w takich sytuacjach zadawała sobie pytanie, czy Klemet nie wraca myślą do losów własnej rodziny. Być może rodziny Klemeta i Anta Lauli znały się kiedyś i pały wspólnie renifery. Nina zachowała to pytanie dla siebie. Trudno jej było wyobrazić sobie Anta Laulę w roli złoczyńcy. Z drugiej strony, myślała, nigdy nie przypuszczała, że Klemet może spoliczkować podejrzanego. Klemet spojrzał na nią, a ona uśmiechnęła się do niego z niewinną miną i wstała.

Zapewniła Klemeta, że z łatwością odnajdzie obozowisko Anneli. Zamruczał coś, po czym zaszył się w kącie chaty.

Pozwolił jej zalogować się do sieci policyjnej, po czym zaczął szukać nazwisk, które spisał z podartych mandatów. Może przyjedzie później do Kautokeino. Albo nie. Właściwie i tak jest nieprzydatny.

– Przede wszystkim nie masz prawa niczego robić – rzuciła Nina już na zewnątrz, wkładając kask.

Wsiadła na skuter śnieżny i odjechała w kierunku obozu Anneli. Przedzierając się z trudem przez szlak, na którym widać było pierwsze ślady wiosny, Nina myślała o słowach Anneli. Pokonując kolejne zakręty drogi wijącej się wśród wzgórz, przypominała sobie ruchy rąk Anneli, podążające za linią gór. Młoda pasterka umiała wplatać poezję we wszystko, na co spojrzała.

Dotarłszy do obozu, nie zobaczyła Anneli. Dostrzegła za to Susann, która przejęła inicjatywę pod nieobecność mężczyzn.

– Mężczyźni? – zaśmiała się, słysząc uwagę Niny. – Przecież to kobiety trzymają obóz w garści i wszystkim się zajmują. Kiedyś, kiedy jeszcze nie było supermarketów, kobiety jeździły nawet czasem na polowanie, podczas gdy mężczyźni pilnowali stada.

Susann podała Ninie kubek kawy i usiadła koło niej na siedzisku z gałęzi brzozy. Niebo zaszło chmurami, nieprzesłaniającymi jednak ostrego światła słońca, wzmacnianego jeszcze przez porozrzucane wokół obu kobiet plamy śniegu.

– A więc interesuje cię Anta Laula – zaczęła Susann. – Całkiem sensownie. Chociaż trochę za późno...

– Co się z nim stało, kiedy stracił dostęp do ziem na Wyspie Wieloryba?

– Na wyspie sytuacja stała się dla niego nie do zniesienia. Musiał się po prostu wycofać.

– Gdzie znalazł nowe pastwiska? Na innej wyspie?

– Na innej wyspie? Nie można tak sobie wchodzić z reniferami, gdzie się chce. W miejscach, w których nigdy ich nie było, możesz być pewna, że zaraz zjawią się ludzie, którzy przypomną ci, że pasterze nie mają tu prawa do użytkowania gruntów. Wynocha!

– A więc gdzie?

– Nigdzie nie znalazł. Na tym polega problem. Kiedy mówię, że musiał się wycofać, chcę przez to powiedzieć, że musiał porzucić zawód pasterza. Koniec, do widzenia.

Nina skinęła powoli głową, pochylona nad kubkiem kawy.

– Jak to zniósł?

– No cóż, jak wielu innych, niezbyt dobrze. Ale mówimy o innej epoce. Wtedy Saami byli o wiele bardziej waleczni niż dzisiaj. On może niekoniecznie, ale inni tak. Wiesz, koniec lat siedemdziesiątych to także czas zmagania o budowę tamy w Alcie, niedaleko stąd. Ludzie się mobilizowali. Ale opowiem ci pewną historię. Gdy byłam małą, chodziłam do szkoły w Rypefjord, na południe od Hammerfest. Nigdy nie uczono nas tam niczego, z czego moglibyśmy być dumni, o tym, co robili Lapończycy lub w jaki sposób zasłużyli się dla tego regionu. Nigdy nie słyszeliśmy dobrego słowa. Całą naszą znajomość przyrody, wszystko, co składało się na miejscową kulturę, uważano za bezwartościowe i systematycznie deprecjonowano.

– Co więc zrobił Laula?

– Wyjechał stąd i wrócił tu już jako artysta. Zresztą bardzo zdolny. Ale po pewnym czasie zaczął mieć kłopoty ze zdrowiem. Och, powiesz, że nie on jeden. Ale cierpiał na dziwną, rzadką chorobę, której miejscowi lekarze nie potrafili zdiagnozować. Co nie przeszkadzało mu czuć się wśród nas dobrze; widziałam, jaki był szczęśliwy, gdy towarzyszył nam podczas wędrówki reniferów.

– Mówisz w czasie przeszłym?

– Nie, nie, ale przez ostatnie lata w ogóle nie okazywał żadnej radości. Myślę, że coraz bardziej tracił rozum. Wszystko zapominał, miał też inne problemy, które najwyraźniej mu doskwierały. Ale wiesz, tacy ludzie rzadko się skarżą.

– I nie niepokoi cię jego zniknięcie?

– Myślę, że powinno – powiedziała Susann. – Ale co robić? Tundra czuje, kiedy ludzkie życie dobiega końca. Umie powiedzieć nam, kiedy przychodzi ten moment, i umie wskazać nam drogę.

Niny nie zadowalał fatalizm Susann. Gdy wróciła do schroniska w Skaidi, Klemet już odjechał. Zostawił tylko wiadomość. Mogła go znaleźć w Kautokeino. Sama zabrała się do jedzenia. Słuchając wiadomości radia NRK, o mało nie udławiła się kanapką z szynką. Znaleziono samochód. W Cieśninie Wilka! Policja właśnie wyciągała pojazd z wody. Najwidoczniej wypadł z drogi na zakręcie. Nina połknęła resztę kanapki i natychmiast pojechała nad cieśninę.

Furgonetkę otaczali policjanci. W pewnej odległości od niej stali dziennikarze i grupa mieszkańców Kvalsund. Ellen Hotti wydawała polecenia. Nina podeszła do niej. Samochód wydał się jej znajomy. Dostrzegła w środku ciało. Podeszła bliżej. Wokół uwijali się policjanci. Na miejscu kierowcy siedział krępy mężczyzna, przypięty pasami bezpieczeństwa. Jego głowa była przechylona na bok. Nina obeszła samochód. Jeden z policjantów otworzył przesuwane drzwi furgonetki. Wraz ze strugami wody z wnętrza wypadło ciało. W pierwszym odruchu Nina i jej kolega cofnęli się o krok. Popatrzyli na siebie, po czym odwrócili ciało. Potężnie zbudowany mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat. Nina wsadziła głowę do środka furgonetki. Wszystko było powywracane. Inspektor odsunął ją bezceremonialnie.

– To chyba nie jest sprawa dla straży reniferów?

– To się okaże. Ostatnio w tej cieśninie bardzo wiele się dzieje.

Policjant bez słowa wszedł do furgonetki.

– Na litość boską, tu jest jeszcze jeden! – krzyknął, odsunawszy plecaki i śpiwory.

Zawołał fotografa, po czym z pomocą innych wyciągnął ciało, które położył obok pozostałych zwłok. Gdy je obrócił, Nina natychmiast je poznała. Anta Laula nie odszedł w tundrze, tak jak jego przodkowie. Zakończył żywot na dnie cieśniny, w zdezelowanej ciężarówce, wraz z dwoma nieznanymi.

Nina odeszła na chwilę, żeby zatelefonować. Chciała sama zawiadomić Susann i Anneli. Wiadomość była ciosem dla obu kobiet. Zwłaszcza dla Anneli, która niedawno straciła męża i jeszcze nie doszła do siebie. Gdy Nina wróciła do furgonetki, policjanci właśnie opróżniali ją, spisując zawartość. Jeden z techników, próbując odtworzyć tor samochodu, szukał śladów opon. Najwyraźniej nie było żadnych śladów hamowania. Dziwne. Chyba że coś na zakręcie odwróciło uwagę kierowcy. Dwóch jego pasażerów znajdowało się z tyłu pojazdu. Mogli go wołać. Mógł też próbować odebrać telefon. Czy palił papierosa i upuścił go w czasie jazdy? Zdarzały się takie głupie wypadki. Czy był pijany? Za szybko jechał? Nie wiadomo, czy sekcja zwłok i badania techniczne udzielą zadowalającej odpowiedzi. Ale okoliczności zdarzenia wydawały się dość oczywiste. Furgonetka wioząca trzech mężczyzn wypadła przypadkowo z drogi na zakręcie i wpadła do cieśniny. Trzej pasażerowie utonęli. W lodowatej wodzie nie mieli żadnych szans.

Nina podeszła do ciał. Dopiero teraz przyjrzała się dwóm pozostałym ofiarom. Po chwili wahania podbiegła do Ellen Hotti.

– Tych dwóch już widzieliśmy. Razem z Klemetem. Kontrolowaliśmy ich tego dnia, kiedy utonął Erik Steggo. To są ci dwaj robotnicy z budowy. Ci, którzy mieli przyjść do komisariatu okazać dokumenty i nigdy nie przyszli. To oni, jestem tego pewna!

Rozdział 30

Hammerfest, 14.00

Markko Tikkanenowi nie podobało się to wszystko. A kiedy Tikkanenowi coś się nie podoba, to widać. Tak przynajmniej mówiono. Tikkanen, pocisz się jak tłusty wieprz, mówili przyjaciele. Jego przyjaciele. No, może trochę za dużo powiedziane. Znajomi. Może ludzie, z którymi utrzymywał stosunki. Tikkanen uważał, że słowo „stosunki” brzmi tu lepiej. Utrzymywał stosunki z różnymi ludźmi, pielęgnował je, darząc ich wszystkich dyskretną, lecz silną pogardą. Matka mawiała, że tak czy inaczej, Tikkanenowie nigdy nie mieli przyjaciół. Jak zwykle przesadzała, ale jej słowa zapadały mu głęboko w serce. Z jego matką nie było dyskusji. Tak to było: gdy był młody, u Tikkanenów nie przyjmowało się gości. Zresztą kto by miał do nich przychodzić? Jego ojciec spotykał się z przyjaciółmi w barze. On widocznie miał jakichś przyjaciół. Matka nazywała ich moczymordami. Przyjaciele ci objawiali się zwłaszcza pod koniec miesiąca, kiedy brał pensję. Potem nie widział ich przez następne kilka tygodni.

Matka Tikkanena nie była zbyt rozmowna. Jego ojciec też nie. Właściwie w jego domu w ogóle się nie rozmawiało. Tikkanen myślał, że to dlatego, że jego rodzice pochodzili z Finlandii, a przecież wszyscy wiedzą, że Finowie nie należą do gadułów. Finowie byli sumienni i zdyscyplinowani, ale małomówni. Nie tacy, jak ci faceci z Teksasu. Cholera jasna, ależ to była gaduła z tego Steela. Gęba mu się nie zamykała. No i proszę, jak skończył. Tikkanen nigdy by się tego nie spodziewał.

Znów wstał. Po raz trzeci w ciągu kilku minut. Te historie wyciskały z niego siódme poty. Nie chciał się do tego przyznać, ale zrobił się trochę nerwowy. Że Steel dał się wysadzić w kabinie, to jeszcze, niech tam... Bogu dzięki, że chociaż dziwki wyszły z tego całe i zdrowe. Tikkanen znał dobrze reputację alfonsa z Murmańska i brakowało mu tylko tego, żeby

miał teraz tego wariata na karku. Dziewczętami zaopiekowała się policja. A on znalazł się w opałach. Nie przez śmierć Steela i Birge'a. No, może trochę, bo gliny zameczyły go pytaniami. Matka słusznie mówiła, że nie jest na tyle głupi, żeby nie wiedzieć, że gliny muszą węszyć. Ale zobaczyli, że on, Tikkanen, ma w tym wszystkim wiele do stracenia. Nie wiedzieli o gruntach. Ale co do reszty to prawda, mógł wszystko stracić: dziewczyny, burdel w kabinie, a nawet reputację. A o reputację dbał. Być może był w tym względzie wyjątkiem, ale nie była mu obojętna. Brakowało mu tylko tego, żeby ci pajace ze straży reniferów zaczęli mieszać się do jego spraw akurat wtedy, kiedy mogło mu to zaszkodzić. Słyszał, że nie odpuszczają. Jeden z jego przyjaciół, nie, jeden z ludzi, z którymi utrzymywał stosunki w ratuszu, zadzwonił do niego, żeby mu powiedzieć, że Nango, ten typ ze straży reniferów, grzebał w rejestrach nieruchomości i zadawał pytania.

Dobrze, Tikkanen to Tikkanen, znajdzie jakieś rozwiązanie. Zawsze znajduję wyjście z sytuacji. Dlatego do mnie przychodzą. Uwielbiam pomagać ludziom. Jestem człowiekiem, który kocha wyświadczać przysługi. Jestem miły. Znają mnie z tego. Policja to zrozumie. To pewne. Nie ma się co pocić, mój Tikkanenie. Chodził w kółko po gabinecie. To wszystko wcale nie ucichło. Bynajmniej. Wyrzął przez okno. Hurtigruten jakiś czas temu wypłynął w morze, unosząc ze sobą turystów. Westchnął, jęknął i w końcu podszedł do sejfu. Nie było to zbyt oryginalne, ale umieścił go pod jednym z obrazów. Tikkanen uważał zarazem, że jest to kwestia pewnego stylu. W jego ulubionych filmach bogaci ludzie zawsze ukrywali swoje sejfy pod obrazami. Odsunął obraz. Był to pejzaż przedstawiający fiord skąpany w blasku zimowego słońca. Muszę powiesić też na ścianie inne obrazy, pomyślał, mój sejf zbyt łatwo znaleźć. Później o tym pomyślę. Zapisał to jednak na kartce. Obrazy. W końcu wyjął swoje cenne pudło. Od razu poczuł się lepiej. Oto dzieło jego życia. Tikkanen kolekcjonował życiorysy, i wszystkie poniżenia, jakich doznał, kompensowała zawartość tego pudełka po butach. Bardziej na miejscu byłaby tu mahoniowa kasetka. Czemu o tym wcześniej nie pomyślałem? Zapisał tę myśl na kartce. Następnie zamknął drzwi do gabinetu na klucz i usiadł ponownie, wyjmując pierwsze fiszki. Ciężar gniotący mu piersi jakby zelżał. Wziął do ręki notatki o Billu Steelu i o Henningu Birge'u. Tikkanen niczego nie wyrzucał. Jak notariusz zachowywał pamięć o ludziach, miejscach, zdradach

i sprzeniewierzeniach, zawsze z tym samym dobrotliwym uśmiechem pasującym do takich ludzi jak on, odrażających, ale niezbędnych. Odziedziczył to po matce. Prowadziła sklep spożywczy i notowała wszystko – co ludzie kupują, za ile, i oczywiście, kto ile bierze na kredyt. Przecież kto daje na kredyt, ten ma prawo wiedzieć, jakie są szanse, że wierzyciel zwróci mu pieniądze. Usprawiedliwiało to większą dociekliwość w stosunku do klientów, to normalne. Matka wysyłała go więc czasem na przespługi. I tak Tikkanen złapał bakcyła. Wywiad środowiskowy. Tikkanen posunął się tylko nieco dalej, doskonaląc metody matki.

Nie ufał informatyce od czasu, gdy pierwsze notatki wprowadzone do komputera znikły w nim wskutek awarii, z której nic nie zrozumiał. Wciąż wzdragał się na myśl o tym zdarzeniu. Fiszki należało wypełniać ręcznie.

Nieliczni, grube ryby, dosłużyli się kilku fiszek. Na przykład burmistrz Fjordsen. Tikkanen policzył. Cztery fiszki. To był rekord; a przecież Tikkanen, wypełniając je swoim drobnym pismem, starał się nie zmarnować żadnego wolnego miejsca na swoich cennych karteczkach. Kilku bogatych hodowców zyskało prawo do obszerniejszego opisu. Ale cztery...

Steel i Birge. Wyciągnął wielkie pióro i zrobił nim gruby czarny krzyżyk w lewym górnym rogu ich kart. Zadowolony, przechylił się w fotelu, popatrzył na swoje dzieło i zaczesał wypomadowaną grzywkę. Czarny krzyżyk oznaczał ważny moment w życiu każdej fiszki. A teraz? Steel. Przyjechał trzy lata wcześniej. I tak niedługo ktoś by go zastąpił. Na szczęście Tikkanen wiedział, jak to wszystko działa. Był już w kontakcie z jego następcą. Porządny chłop ten następcą. Wkrótce przyjedzie z Houston. Typ jeszcze agresywniejszy od Steela, młody i drapieżny, niebojący się ryzykować dla firmy, jeśli mu się to opłacało. Spotkał się z nim tutaj raz i bardzo dobrze się rozumieli. Miał już fiszkę o tym młodym człowieku i szykował nawet dla niego wspaniałą apartament. Taki młody człowiek, nieżonaty, nie będzie chciał zawracać sobie głowy domem. Wrócił do fiszki Steela. Zanotował sumę, jaką był mu winien Teksańczyk. Będzie musiał teraz z własnej kieszeni zapłacić za tę przygodę z prostytutkami. Nie mówiąc o kabynie. Tego nie przewidział. Sprawą zajęła się policja, a sanepid, wspierany przez związek hotelarzy, rozpoczął już nawet dochodzenie mające ustalić, czy kabina na pokładzie

pluwającego hotelu zainstalowana była legalnie i z zachowaniem obowiązujących norm bezpieczeństwa. Legalnie... Gliny nic na niego nie miały, jeśli chodzi o śmierć nacierzy, ale ta historia będzie go prawdopodobnie kosztować karę. Zresztą dobrze, w końcu zarobił na Steelu, musiał to przyznać. Przyniósł mu więcej zysków niż Birge. Teraz trzeba było przede wszystkim uspokoić Juvę Sikku. I Nilsa Sormiego. Jedynym sposobem na to były te historie z gruntami. Byli pazerni; nie były to artystyczne dusze. Od pewnego czasu załatwiał pewną działkę dla Juvy Sikku, niedaleko fińskiej granicy, gdzie będzie mógł spokojnie hodować renifery na dużej farmie, nie zwracając sobie głowy wędrówkami stad i tymi wszystkimi zatargami z rolnikami, z koncernami górniczymi czy naftowymi i z całą resztą. Będzie mógł wieść spokojne, beztroskie życie, będzie mógł hodować renifery i uprawiać ziemię, jeśli tak mu na tym zależy, będzie mógł przyjmować turystów. Gdyby wszyscy hodowcy byli tak wyrozumiali jak Sikku, nie byłoby konfliktów ani w tundrze, ani na Wyspie Wieloryba. A koncerny naftowe bez problemu mogłyby rozwijać swoją naziemną działalność.

Dlaczego nikt nie rozumie, że Tikkanen, tak, właśnie Tikkanen, oferuje swoje usługi, by wszystkim ułatwić życie. Gdyby mnie słuchali, wszyscy żylibyśmy w spokoju.

Działka dla Nilsa Sormiego stanowiła większe wyzwanie. Mały nurek, który nie lubił, żeby ktoś przypominał mu o jego lapońskim pochodzeniu – czy Tikkanen się złościł, gdy ktoś go nazywał Finem? – był bardzo przywiązany do placu nad zatoką przylegającą do Hammerfest. Już się tam widział. Problem polegał na tym, że Tikkanen nie widział go tam wcale, nie mówiąc już o ratuszu. Jednak, szczerze mówiąc, i dla reniferów nie było tam miejsca; i tak nie miałyby co jeść na tej łysej polanie na szczycie góry. Trzeba przyznać, że śmierć Steggo uporządkowała wiele spraw. Mimo wszystko mógł być dumny, że wszystko tak dobrze się układało. Szkoda małego Steggo – sprawdził, czy jego fiszka jest uzupełniona czarnym krzyżykiem; była – ale ci ludzie byli strasznie uparci. No i, oczywiście, została jeszcze jego żona. Zobaczmy, Anneli Steggo. Jej fiszka nie była zbyt obszerna. Młodzi, którzy potrzebowali niewiele – to było denerwujące. Trudno im było przemówić do rozumu. Juva Sikku był na przykład mniej więcej w tym samym wieku co oni, a szybko pojął, gdy Tikkanen mu to wytłumaczył, co leży w jego interesie. Sikku był zadłużony po uszy. No dobrze, Anneli Steggo. Może

będę musiał złożyć jej wizytę. Mogę powiedzieć, że rozmawiałem z jej mężem. Przecież nie mówił jej wszystkiego, mężczyźni wolą załatwiać takie rzeczy sami, nie opowiadają o wszystkim w domu. Dobrze, spróbuję spotkać się z małą Steggo i wytłumaczyć jej, że lepiej, by znalazła sobie inne letnie pastwiska i nie wracała na Wyspę Wieloryba. Jeśli Sikku i Steggo odejdą z wyspy, inni hodowcy w końcu pójną w ich ślady, poszukają pastwisk gdzie indziej i wszyscy będą zadowoleni. Zatem ta mała Steggo, gdzie można ją ulokować na lato... Trzeba będzie zobaczyć w Biurze do spraw Reniferów, w ratuszu, w rejestrach notarialnych, w wydziale wód i lasów, przyjrzeć się dystryktom hodowców... Tikkanen wyciągał fiszkę za fiszką. A więc, moje fiszki, co mówią mi moje ukochane fiszki? Położył je na podłodze gabinetu, rozciągnął się przy nich, mimo wielkiego brzucha, i zaczął układać swoje puzzle. Czuł się teraz doskonale, otoczony swoimi skarbami.

Rozdział 31

Cieśnina Wilka, 14.45

Komisarz Ellen Hotti zgodziła się, by Nina zbadała trop dwóch robotników. Przeglądała teraz zawartość furgonetki i rzeczy osobiste trzech mężczyzn. Zaczęła od kabiny. Rozpoznała proporczyk klubu piłkarskiego Alta, przyczepiony do lusterka wstecznego. Furgonetkę wynajęto w małej strefie przemysłowej w Alcie, niedaleko lotniska, w firmie, która wynajmowała tanio stare samochody. Nina postanowiła, że pojedzie tam później. Nazwisko wpisane do umowy, Knut Hansen, nic jej nie mówiło.

Nina kontynuowała poszukiwania. Śpiwory, sprzęt kempingowy. Na pierwszy rzut oka nic szczególnego. Sterty mokrych papierów, zeszyty, resztki jedzenia, kanistry z benzyną, ubrania. Amatorzy kempingu? Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale Nina nie mogła zrozumieć, co w tym towarzystwie mógł robić Anta Laula. Dwaj nieznajomi byli Lapończykami, tak jak on. Artyści? Przedstawili się jako robotnicy pracujący na budowie rafinerii ropy naftowej ze złoża Suolo. Czy rzeczywiście nimi byli? To akurat łatwo było sprawdzić. Nina zauważyła niebiesko-pomarańczowy kombinezon roboczy, taki, jaki nosili robotnicy na budowie. Może jeden z nich tam pracował. Nina szukała przedmiotów bardziej osobistych, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że ich nie widać. Znalezione jedynie to, co mieli przy sobie – u jednego złoty łańcuszek, u drugiego bransoletkę. Spojrzała na żółte post-ity porozrzucone po furgonetce. Przypomniała sobie, że widziała je wtedy, podczas kontroli drogowej. W kabinie było ich pełno. Nina spróbowała odczytać kilka z nich. Wiele było już nieczytelnych. Listy zakupów. Nazwy artykułów spożywczych. Czasem jakieś terminy techniczne. Imiona, nazwiska. Godziny. Słowa, które dla Niny były pozbawione sensu, ze znakami zapytania. Czasem z wykrzyknikami. Nina odłożyła post-ity na bok

i pochyliła się nad papierami. Były wśród nich stare gazety, zbite teraz w jedną bezkształtną masę pomieszanych ze sobą strzępów.

– À propos – kpiącym tonem zagadnął policjant, podchodząc do niej – może cię to zainteresuje. Może zechcesz rzucić na to okiem – dodał, podając jej rozmiękłe paszporty.

– Bardzo śmieszne – odpowiedziała chłodno, biorąc dokumenty. – Gdzie były?

– Mieli je w kieszeniach kurtek.

Nina usiadła. Jeden z mężczyzn, który w chwili wypadku kierował pojazdem, nazywał się Zbigniew Kowalski. Był Polakiem, urodzonym w Łodzi. Miał 63 lata. Drugi nazywał się Knut Hansen. Norweg, urodzony w Bergen. 59 lat. I Anta Laula.

Co ci trzej robili razem w chwili śmierci? I dlaczego zdarzył się ten wypadek, tutaj, w Cieśninie Wilka? Od kiedy Laula był z nimi? Czy zabrali go z kempingu? A może znaleźli go na drodze, błądzącego bez celu? Może wcale się nie znali. Równie dobrze mogli zabrać Laulę z pobocza drogi. Może chcieli podwieźć go do obozu. Możliwe. Nina pomyślała nagle, że warto by sprawdzić, gdzie ci mężczyźni tutaj mieszkali, skoro wtedy nie mieli przy sobie dokumentów. Na pewno w Hammerfest, skoro pracowali na budowie. A może nie mieli żadnego lokum. Może w chwili kontroli mieli przy sobie paszporty, ale nie chcieli ich pokazać. Możliwe. Ale dlaczego? Czego się bali?

Zwróciła się do policjanta, który dał jej paszporty.

– Czy nie znalazłeś też może przepustki na budowę Suolo i do pływającego hotelu?

– Jak dotąd nie.

Czy Laula znalazł się w samochodzie wbrew swojej woli? Może szarpiąc się, spowodował wypadek? Wszystko było możliwe. Dziewczyno, nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, bo cię Klemet objedzie. Nina wróciła do furgonetki i przetrząsnęła jeszcze raz każdy kąt. Nic. Fałszywy trop. A papiery? Trudno było z nich cokolwiek wywnioskować. Jakieś broszury z ministerstwa, formularze wniosków o zwrot podatku, recepty lekarskie. Beznadziejny bałagan. Ci ludzie przedstawili się jako robotnicy z budowy. Dlaczego?

Nina myślała przez chwilę. Wybrała numer do Klemeta. Był wciąż w Kautokeino. Poprosiła go, by spotkał się z wujem.

– Mówiłeś, że może dostarczyć nam informacje o Lauli. Myślę, że będziemy ich potrzebować.

Gdy Klemet przyjechał, wuj sprzątał właśnie wejście do swojego wielkiego domu. Poranne opady śniegu pokryły ogród warstwą bieli. Cienką, ale wystarczającą, by sobie zmoczyć stopy. Nils-Ante oddał łopatę Klemetowi.

– Trzymaj, ja zrobię kawę. Moja Chinka wyszła na pocztę. Wiesz, bardzo się przejęła tym pomysłem ze zbieraniem jagód. I uda jej się, jestem tego pewien. Nie tak, jak tym cwaniakom, którzy sprowadzają Tajów i Bułgarów, by ich wykorzystywać. Udało jej się nawet zarazić mnie zapałem do gimnastyki, więc widzisz...

– À propos gimnastyki, mówiłeś mi o kimś, kto mógłby powiedzieć mi coś więcej o Sormim.

– A tak, urocza młoda kobieta, mniej więcej w twoim wieku. Po to przyszedłeś?

– Anta Lauła. Dziś rano znaleziono go martwego. Utonął w Cieśninie Wilka. W furgonetce z jakimiś dwoma mężczyznami. Najprawdopodobniej wypadli z drogi. Wszyscy trzej utonęli.

Nils-Ante znieruchomiał, stając w wejściu.

– Biedak – powiedział w końcu.

Wuj Klemeta pogrążył się nagle w myślach.

– Gdybym się odważył, zaśpiewałbym mu joik. Ale nie. Biedny człowiek. Co za dziwny los. On, który nie wiem ile razy pędził tamtędy renifery.

– Dawno temu.

Wuj jakby szukał czegoś we wspomnieniach.

– Więc nurkowanie go nie ocaliło.

Klemet upuścił łopatę.

– Nurkowanie?

– Tak, nurkowanie, pływanie pod wodą i puszczanie bąbelków. Może niezupełnie nurkowanie. Nie znam się na tym. Ale po tym, jak musiał porzucić hodowlę, sądzę, że brał udział w pracach nurkowych związanych z badaniem złóż. Taka fucha, w oczekiwaniu na coś lepszego. Wciągnęli go w to jacyś jego koledzy, których nie znałem. Dzięki temu mógł potem wyuczyć się swojego artystycznego rzemiosła. Ale nie wiem nic więcej o tej historii z nurkowaniem. Nie trwało to długo. Wszystko odbywało się

w jakiejś tajemnicy. Najwyraźniej jednak nie dość się nauczył, skoro mu to teraz nie pomogło.

Nina wróciła do komisariatu w Hammerfest. Zapoznała się z wynikami pracy techników policyjnych. Przeprowadzono różne analizy. Zaczekała na wyraźne zdjęcia ofiar wypadku w cieśninie i zadzwoniła do Klemeta. Jej partner pierwszy zaczął mówić. Wydawał się wzburzony.

– Porozmawiaj jeszcze raz z tym facetem z Norgoilu, z tym twoim brodatym pastorem. Zażądaj, żeby ci powiedział, co tu się działo pod koniec lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych.

Nina znalazła przedstawiciela Norgoilu przed hotelem Tuńczyk. Poszli na spacer wzdłuż kei.

– Przede wszystkim na północ od sześćdziesiątego drugiego równoleżnika badania były zabronione aż do końca lat siedemdziesiątych. Gdy dano zielone światło, zaczęliśmy szukać na Morzu Barentsa. W ten sposób na początku lat osiemdziesiątych odkryto złoża gazu w Snø-Hvit. Wszyscy uwierzyli wtedy, że wkrótce ruszy produkcja, my też. Na przykład bazę polarną w sąsiedniej wiosce zbudowano właśnie w tym czasie. W rzeczywistości jednak przez dwadzieścia lat nic się nie działo.

– Dlaczego? Z powodu problemów z Lapończykami?

Gunnar Dahl uśmiechnął się.

– Niech pani nie będzie naiwna. Nie. Stało się tak trochę z powodów politycznych – projekt był ogromny, ceny węglowodorów spadały – a trochę dlatego, że nie wiedziano, z której strony to ugryźć. Dla takiego koncernu jak nasz dwadzieścia lat to niewiele. My podejmujemy decyzje inwestycyjne idące nieraz w dziesiątki miliardów koron, ale dla ludzi było to bardzo długo. Budowa Snø-Hvit ruszyła w końcu w roku dwa tysiące drugim. Resztę pani zna – powiedział Gunnar Dahl, wskazując na płonące w dali pochodnie wiertnicze wyspy Melkøya. – I zobaczy pani, że za trzydzieści lat Morze Barentsa będzie równie ważne jak Morze Północne i Morze Norweskie razem wzięte! Zrobiliśmy zaledwie parę odwiertów próbnych na Morzu Barentsa, w strefie, która obejmuje około siedemdziesięciu procent płyty norweskiej... Sto odwiertów, czyli piętnaście razy mniej niż na innych wodach norweskich. Proszę pomyśleć, na Morzu Północnym i na Morzu Norweskim wydrążono już tysiąc pięćset szybów. Żeby to wszystko ogarnąć, potrzeba jeszcze wielu lat.

Nina słuchała opowieści Dahla o wydobyciu ropy i gazu. Entuzjazm, jakiemu on i wielu innych dawało wyraz, budził w niej pewne wspomnienia. Jej ojciec też zaraził się tym bakcylem. Odszedł, gdy Nina była nastolatką. I on także, jako były nurek, był jednym z bohaterów tej epopei. Na swoją miarę. Na miarę, która powoli kurczyła się w opowieściach matki. W przypadku Niny, a właściwie w przypadku jej matki, cała ta historia z biegiem lat sprowadzona została do niedomówień. Nina wzrastała ze wspomnieniem o ojcu i z wszechwiedzą matki; jedno coraz bardziej spychało w kącie drugie. Jak rycearz, który walczy ze smokiem. W pewnym sensie jej matka wypowiedziała wojnę widmu. I zwyciężyła. Smok wyparował.

– Słyszeliśmy o eksperymentach nurkowych związanych ze złożami.

– Oczywiście – ciągnął Gunnar Dahl. – Złoże to wydrążona warstwa nośna na dnie morza, połączona rurą z platformą, gdzie wydobywa się gaz lub ropę, by zależnie od okoliczności transportować je dalej statkami lub rurociągami. W przypadku awarii trzeba naprawiać instalacje. Ponieważ budowaliśmy je wokół złóż, z daleka od brzegu, na różnych głębokościach, trzeba było zapewnić sobie możliwość naprawy szybów i rurociągu. Dziś operuje się prawie wyłącznie małymi pojazdami podwodnymi wyposażonymi w wysięgniki, ale wtedy wysyłało się ludzi. Nurków. Co to były za czasy... I jacy ludzie. Chcąc położyć dwustumetrowy rurociąg, trzeba było udowodnić przyszłemu klientowi, że kontrolujemy instalację niezależnie od głębokości.

– Dlaczego klientowi?

– To on miał podpisać kontrakt na dwadzieścia albo trzydzieści lat. Zapewniam panią, że to było bardzo dużo pieniędzy. Wie pani, o jakich sumach mówimy? Weźmy samo tylko Snø-Hvit. Ponad sześć miliardów euro. Pięćdziesiąt miliardów koron. Zatem klient chciał się upewnić. Robiliśmy więc testy nurkowe, które miały dowieść, że z technicznego i z ludzkiego punktu widzenia istnieje możliwość nurkowania tak głęboko. Często jednak wykonywano je na ziemi, w kabinach, w komorach hiperbarycznych, gdzie symulowano warunki panujące na dużych głębokościach.

Gunnar Dahl sposepniał nagle. Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech.

– Gdybym nie był taki świątobliwy, pewnie poszedłbym tam z nimi i rozerwałoby mnie na strzępy.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Wyjaśniliście, w jakich okolicznościach zginęli Birge i Steel?

– Śledztwo... niestety nie mogę nic panu powiedzieć.

– Oczywiście... Chciałbym tylko zrozumieć.

– A testy nurkowe? Zawsze się udawały?

– Trzeba było oczywiście trochę kombinować. Całe to nurkowanie na głębokościach było eksperymentalne i nowe. Ale udało nam się zatwierdzić wszystkie testy. Wie pani, mieliśmy wspaniałych ludzi. I doskonałe ekipy lekarzy i inżynierów.

– Testy robiono tutaj?

– W Bergen, w wyspecjalizowanym instytucie.

– Ktoś, kto nas interesuje ze względu na śledztwo, podobno brał udział w takich testach. Lapończyk.

– Lapończyk? Nie wiedziałem, że młody Sormi brał udział w testach. O ile wiem, nie robi się ich już od wielu lat. Sormi jest zdecydowanie za młody.

– Nie mówię o Sormim. Interesuje nas niejaki Anta Laula.

Gunnar Dahl przystanął.

– Laula? Nie przypominam sobie. Nie. Dla jakiego koncernu pracuje?

– Nie, jeśli dobrze pamiętam, to było właśnie w latach osiemdziesiątych.

– Aha, rozumiem.

Potaął czoło, podrapał się w brodę.

– Nie, przykro mi. Szczerze mówiąc, Lapończyk w tamtych czasach, robiący testy... Osobliwe... Ale dużo wtedy podróżowałem, mogłem o czymś nie wiedzieć.

Nina spędziła resztę dnia, pokazując zdjęcia dwóch nieznanymi mężczyzn, którzy zginęli razem z Anta Laulą. Kierownik budowy ich nie znał. Gdy weszła do Redrum, gdzie zniknęła przepustka na budowę, sala była wypełniona po brzegi, a klienci z zapałem oddawali się zabawie w teleturniej. Na ekranach pokazywały się pytania i didżej odczytywał je między dwoma utworami, a przy każdym stole dwie ekipy naradzały się szeptem przed wypełnieniem kartki z odpowiedzią. Nina obesła kelnerów. Każdy mówił to samo. Przewijały się tu setki robotników, przyjeżdżali ze wszystkich stron świata na rozrastającą się budowę i mieszkali w miasteczku kempingowym na budowie albo w pływającym hotelu. Kelnerzy nie byli w stanie zapamiętać żadnej twarzy.

Wróciwszy do komisariatu, Nina spotkała się z Ellen Hotti. Wreszcie miała coś nowego. Obie rosyjskie prostytutki jednoznacznie zidentyfikowały jednego z mężczyzn na zdjęciach: był to człowiek, który w chwili, gdy wychodziły do sauny, pojawił się w okolicach kabiny, w której znajdowali się Steel i Birge. Dramat rozegrał się niecałe pół godziny później. Człowiekiem tym był najwyraźniej Norweg, najroślejsza z ofiar, mężczyzna ważący ponad sto kilo. Trudno byłoby go z kimś pomylić.

Nina nic nie rozumiała. Co taki ktoś jak Laula robił z tymi dwoma ludźmi? Czy ten Knut Hansen, którego rozpoznały Rosjanki, znał mężczyzn w kabinie? Czy zadzwonił do pracownika pływającego hotelu, wiedząc, jakie mogą być konsekwencje jego telefonu? Już samo postawienie tego pytania oznaczało możliwość usiłowania zabójstwa. Nina odsunęła od siebie tę myśl.

– Czy da się wydobyć coś z ich telefonów? – spytała panią komisarz.

– Nie ma śladu telefonów.

– Dziwne, prawda? A sprawdzono hamulce w furgonetce?

Stawiając te pytania, Nina zaczęła już właściwie tworzyć pewną hipotezę. Czy mężczyźni z furgonetki sami mogli paść ofiarą zabójstwa? Faceci od brudnej roboty, których trzeba się pozbyć. A może pracowali dla jednego z tych dwóch nacierzy? Ich pomocnicy, którzy nie byli tu znani, ale dysponowali przepustkami na budowę i wykonywali dla nich jakieś zlecenia. Ale jakie? I co robił z nimi Laula? Czy prowadził podwójne życie? To sprawa dla brygady kryminalnej, pomyślała Nina, a nie dla straży reniferów. Wyśmieją mnie, jeśli wychylę się z moimi spekulacjami. Ale nie mogła powstrzymać się od myślenia.

Czy to możliwe, że ci, którzy spowodowali być może śmierć Steela i Birge'a, stoją też za śmiercią trzech mężczyzn z furgonetki i za napadem na burmistrza Hammerfest?

Nina poczuła, że zanadto puściła wodze wyobraźni. Poniosło ją. W takiej chwili Klemet z pewnością ściągnąłby ją na ziemię. Prawie słyszała, jak mówi: gdzie są związki, gdzie dowody, jak konkretnie łączysz jedno z drugim. Brzmiały jej w uszach jego słowa: zapomnij o motywie, skup się na konkretnych elementach dowodów, którymi dysponujesz, i idź po nitce do kłębka. Tak, powinna trzymać się tego, co konkretne i namacalne. Nie spekulować. Posuwać się krok po kroku.

Ale... Czy trzech topielców mogło łączyć coś z Gunnarem Dahlem? Mimo wrażenia, jakie sprawiał, obiektywnie rzecz biorąc, Dahl był jedną z osób, które mogły skorzystać na śmierci Birge'a i Steela. Znał też Tikkanena i Sormiego. Czy ci trzej mogli zmówić się, wciągając w intrygę Juvę Sikku, by usunąć dwóch bonzów naftowych? Nina nie mogła wierzyć dobremu wrażeniu, jakie sprawiał Dahl, jego wyglądowni poważnego pastora. Za bardzo chciał wzbudzić zaufanie. Nina wiedziała, jak fałszywi i przebiegli mogą okazać się ludzie udający bardzo religijnych. Dahl brał udział w wieczorkach organizowanych przez Tikkanena, wiedział o wszystkich ciemnych sprawach, a mimo to stawiał siebie ponad resztą świata. Hipokryta. Trzeba też było sprawdzić jego opowieść. Rodzinne alibi na pewno się potwierdzi. Ale człowiek z jego pozycją może pociągać za sznurki, pozostając w cieniu.

Czy Dahl mógł mieć związek z wypadkiem, w którym zginął burmistrz Lars Fjordsen? Tikkanen, pomyślała. Tikkanen był w centrum tego wszystkiego. Tikkanen, człowiek od rozwiązywania problemów, i jego pomocnik, Juva Sikku.

– Trzeba przesłuchać Tikkanena – rzuciła Nina, zwracając się do komisarz Hotti. – Poza tym chciałabym otrzymać pozwolenie na skonsultowanie się z kimś w sprawie tych historii z nurkowaniem w latach osiemdziesiątych.

– Ale po co?

– Laula dawno temu był zamieszany w testy nurkowe. Dziwne, że byli tu tacy ludzie. Nie wiem. Intuicja.

Pani komisarz zastanowiła się przez chwilę.

– Mogę porozmawiać z twoim szefem w Kirunie. Ale biorąc pod uwagę zawieszenie Klemeta, sądzę, że masz teraz dużo pracy z pilnowaniem reniferów.

– Nie szkodzi, naprawdę dobrze daję sobie radę – powiedziała radosnym tonem. – Na razie nic się nie dzieje. Niektóre stada się wysforowały, inne się ociągają, a hodowcy próbują przegrupować swoje zwierzęta i zaprowadzić trochę porządku, zmagając się ze skutkami zaburzenia cyklu wędrówki reniferów. To niewdzięczna robota.

Hotti słuchała ze wzrokiem zatopionym w papierach.

– Szybko się uczysz. Podoba ci się to?

– Co będzie z Klemetem?

– Nic nadzwyczajnego mu nie grozi. Będzie musiał przeprosić Sormiego, a prokurator dla zasady zażąda kary w zawieszeniu. Klemet ma znakomity przebieg służby. Ale nie uniknie nagany. Wkrótce wróci do pracy.

– A Sormi?

– Sormi i inni zostali przesłuchani i wrócili do swoich zajęć.

– Tikkanen też?

– Tak jak inni. A co ze skargami ratusza na renifery w mieście?

– Obawiam się, że będę musiała do tego wrócić. Sytuacja poprawiła się nieco po założeniu ogrodzenia wokół miasta, ale zwierzęta i tak przez nie przechodzą. Tyle że jest dopiero maj i upał jeszcze nie doskwiera. Gorzej będzie w lecie, gdy renifery, szukając schronienia przed gorącem, będą wchodzić do miasta, by schować się w cieniu budynków albo w tunelu.

– Wiem to wszystko. Nina, naprawdę wołałabym, żeby do pogrzebu Larsa Fjordsena nie było żadnych problemów z reniferami w mieście. Zwłaszcza podczas uroczystości pogrzebowych. Wyobrażasz sobie, jakie byłyby konsekwencje? Miejscowi uznaliby to za prowokację.

– Masz na myśli mieszkańców miasta – sprecyzowała Nina.

– Doskonale wiesz, co mam na myśli.

– Ale przecież Saami są tu u siebie! A może czegoś nie rozumiem?

– Nie mówimy o Saami, tylko o reniferach pasących się przed kościołem albo koło przyszłego grobu Fjordsena. To byłoby niedopuszczalne! Rozpytaj więc o śmierć Steggo, o Sikku, który spłoszył renifery, przyjrzyj się tym historiom z Tikkanenem, ale na litość boską, nie popsuj mi pogrzebu kilkoma reniferami, które pojawią się akurat w chwili, gdy będą chować burmistrza. Proszę cię!

Nina nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, słysząc błagania Ellen Hotti, lecz szybko przywołała się do porządku, widząc, że przełożonej wcale nie jest do śmiechu.

– Na pewno będzie mi potrzebna pomoc Klemeta i kilka dodatkowych patroli straży reniferów, żeby utrzymać porządek podczas...

Nina mimo woli wybuchnęła śmiechem, ale natychmiast spoważniała i przeprosiła Ellen Hotti, która ze smutkiem pokiwała głową.

Rozdział 32

Hammerfest, keja pariasów, 23.45

Anneli postanowiła udać się do portu w Hammerfest, żeby spotkać się z Nilsem Sormim. Nie było to dla niej łatwe. Dopiero co wróciła do obozu, pochowawszy Erika. Wiadomość o znalezieniu dziś rano ciała Anta Lauuli pograżyła ją w nowym koszmarze.

Po stracie Erika ogarnął ją niewyobrażalny smutek. Pograżyła się w mroku. W wyścigu reniferów o mało nie straciła dziecka, które w sobie nosiła. Komu będzie mogła kiedyś wyznać, że tamtego dnia chciała ze sobą skończyć? Wczoraj lekarz zapewnił ją, że wszystko jest w porządku. Dziecko Erika rozwijało się prawidłowo. Śmierć Anta Lauuli nie była dla niej niespodzianką. Okoliczności, w jakich się znalazła, i otaczająca ją przemoc przywoływały w niej mroczne myśli. Muszę być bardzo pyszna, skoro wyobrażałam sobie, że tak szybko się z tego podniosę, pomyślała. Próbowwała skupić się na konkretnych sprawach. Czy powinna zająć się cielakami? Wiatr hulał w gałęziach karłowatych brzoź, z których opadły już ciężkie pokrywy śniegu, przez długie miesiące skazujące je na milczenie. Wraz ze zniknięciem śniegu tundra zaczynała mówić. Dopiero za miesiąc zabarwi się zielenią. Teraz przyroda domaga się swoich praw, skąpana w promieniach słońca, ale nie ma jeszcze siły się dźwignąć. Tygodnie, które właśnie mijały, były najdłuższe; należały też do najbardziej tajemniczych. Przyroda w tajemnicy przed ludźmi przygotowywała swój powrót, by potem nagle odsłonić swoje oblicze, niewzruszone i nieodparcie piękne. Anta Lauula już tego nie zobaczy.

Ostatnio Anneli spędzała wiele czasu z tym starym, chorym człowiekiem. Niektórzy twierdzili, że chyba postradał rozum. Nieraz opowiadał Anneli o swoich marzeniach, o swoich wizjach. Snuł długie, pełne melancholii opowieści i w takich chwilach jego twarz wydawała się Anneli wspaniała. Słuchała, jak mówił. Syciła się jego słowami. Ostatnio, gdy rozmawiali, Anta Lauula mówił jej o świętych kamieniach, które

pamiętał z dzieciństwa. O tych magicznych, nieśmiertelnych miejscach, dźwigających mądrość Saami i niosących ludziom nadzieję. Anneli zamknęła oczy.

Składam ofiarę mojemu świętemu bogu. Czy ją spożyjesz, czy nie, zawsze będziesz moim bogiem.

Anneli znów otworzyła oczy. Otaczało ją miękkie, łagodne światło. Po pogrzebie wróciła do domu, do którego sprowadzili się z Erikiem kilka miesięcy temu. Dowiedziawszy się o śmierci starego artysty, wyciągnęła albumy ze zdjęciami. Były w nich zdjęcia Erika z dzieciństwa. Obrazy, które przypominały jej własne dzieciństwo. Kolory i słodczy wspomnień, zgromadzenia wokół reniferów, na które całe rodziny schodziły się na ziemi położone w najdalszych zakątkach viddy, by odnowić zapomniane więzi. Erik w szkole, poważny młody człowiek z niesforną czupryną opadającą na oczy, stojący przed nauczycielką, Erik na nartach, z czapką nasuniętą na czoło. Napis na zdjęciu głosił, że chłopiec obok niego to Nils Sormi. Byli do siebie podobni. Może to przez czapki. A może przez te nieustraszone pozy: dwóch dzielnych młodych ludzi z iskrą w oku, gotowych na podbój świata. Zdjęcia w zagrodzie reniferów. Erik jest tu jeszcze młody, ale ten mały chłopak obok niego to Juva, trochę wycofany. Juva zawsze taki był, trochę w cieniu Nilsa i Erika. Nils i Erik. Nils i Erik. Co mogła teraz zrobić? Położyła rękę na brzuchu. Potem obie ręce. Odetchnęła. Składam ofiarę mojemu świętemu bogu.

Anta... Jaką świętą skałę wybrałeś, żeby przyjąć śmierć? Dlaczego poszedłeś umrzeć tak blisko Erika? Co mu przynosisz? Obdarzysz go spokojem, prawda? Kochany Anta...

Kto teraz będzie ożywiać dawne ślady?

Było już późno. Anneli nie była zmęczona. Przeglądała album. Żałowała pewnych myśli. Chciała zapłakać nad Antą, ale uśmiechnęła się. Zdjęcie Erika, złożone na świętej skale nad Cieśniną Wilka. Wzięła album i pojechała w stronę cieśniny. Dopiero po drodze zdecydowała, że pojedzie do samego Hammerfest. Prowadzenie samochodu dobrze jej robiło. Na drodze wiatr zwiewał śnieg z poboczy, wzbijając przed nią falujący tuman.

Dotarwszy do Hammerfest, poszła na keję. Małe trawlerzy znajdowały się jeszcze na morzu; nie było też Arctic Diving. Ale obie kawiarnie w głębi kei, pomimo późnej pory, pozostały otwarte. Frontowa sala kawiarni Lapończyków świeciła pustką. Przed Riviera Next widać było wciąż te

same nagie żarówki i puste krzesła. Anneli wahała się przez kilka sekund, po czym pchnęła drzwi Bures i weszła do wyłożonej jasnym drewnem sali ze stolikami przy ścianach i z metalowymi stołkami. Przywitał ją kelner. W kącie w głębi, siedząc sam przy piwie, mamrotał coś jakiś stary mężczyzna. Gdyby nie ruchy warg, można by pomyśleć, że też jest z drewna. Anneli wyszła, zamknęła za sobą drzwi i weszła do Riviera Next. Uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy tu nie była. Przy kilku stolikach siedziało paru mężczyzn i jedna młoda kobieta. Niebieskie pastelowe ściany łagodziły chłód polerowanej stali stołków i stolików, nie dość jednak, by stonować wiszącą w powietrzu agresję. Anneli ją wyczuła. Przed nią jeden z klientów dał znak mężczyźnie odwróconemu do niej plecami. Odwrócił się. Tak jak się spodziewała, był to Nils Sormi. Siedząca obok niego młoda kobieta wydawała się niezadowolona; z tym samym wyrazem twarzy zmierzyła wzrokiem przybyłą.

Anneli wygładziła fałdy granatowej sukni z długimi rękawami, sięgającej jej aż do kostek, i weszła do środka.

– Erik nigdy cię nie osądzał. Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

Nils spojrzał na nią bez słowa. Był podпиты. Młoda kobieta również. Spojrzała mężczyźnie w oczy. Zdawała się czuwać nad Sormim. Anneli powoli położyła na stole album. Nie otworzyła go; obserwowała reakcję Sormiego. Czekala, aż pomyśli. Mimo zamroczenia Sormi powinien domyślić się, że ten album ma mu coś do powiedzenia. Nie reagował. Anneli otworzyła pierwszą stronę. Czego ja szukam? Przecież obu chłopców już od dawna nic nie łączyło.

– Wiem, że chciałeś zająć grunty na wzgórzach nad Hammerfest – zaczęła. – Na tych ziemiach pasły się renifery Erika. A przed nim jego ojca i dziadka.

– I co z tego – wtrąciła kobieta; mówiła ze szwedzkim akcentem.

– Elenor, zamknij się! – rzucił Nils.

– Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

– No to teraz wiem. I co, myślisz, że to coś zmieni? Na tej wyspie nie macie już czego szukać. Erik powinien był to zrozumieć.

– Zastanawiałam się, co zrobić z tymi zdjęciami.

– A co mnie to obchodzi? Chcesz, żebym miał wyrzuty sumienia?

– Przegoń ją – powiedziała stanowczo Szwedka.

– Nie wtrącaj się!

Anneli dalej, jak gdyby nigdy nic, przerzucała strony, nie wiedząc sama, o co jej chodzi. Czego właściwie spodziewała się po Sormim?

– Jesteście razem na wielu zdjęciach z dzieciństwa. Pomyślałam, że może byliście sobie bliscy. Ale to pewnie już nieważne.

– Tak, to już nieważne, jak sama mówisz.

– Mimo wszystko chcę ci zostawić to zdjęcie. Erik napisał, że to pierwsze zdjęcie, które sam zrobił. Jesteś tu jeszcze dzieckiem, Nils, ale tak dumnie wyglądasz z tą ogromną, za dużą dla ciebie maską do nurkowania. Weź je.

Nils Sormi chwycił gwałtownym ruchem to małe, nieszczęsne zdjęcie, podsunęte mu przez Anneli. Widząc je, Szwedka parsknęła śmiechem.

– Strasznie głupio tu wyglądasz, mój ty biedaku. – Zaśmiała się. – Ale jesteś milutki.

Zobaczył je też przyjaciel Sormiego, który przy nim siedział, i skinął głową, ale jego spojrzenie wyrażało coś zupełnie innego niż spojrzenie Szwedki. Uśmiechnął się do niej przelotnie na znak aprobaty. Sormi milczał. Podniósł się z trudem. Musiał przytrzymać się stołu. Być może Anneli nie powinna mu była pokazywać tych zdjęć.

– Erik i ja wybraliśmy różne drogi. Nie jestem przez to kimś mniej wartościowym. Ale wy, hodowcy reniferów, jesteście tacy dumni. Czujecie się tacy lepsi. O to chodzi? Jestem śmieszny, bo jestem nurkiem? Dzisiaj też, tak samo jak wtedy?

Anneli potrząsnęła głową. Było jej przykro. Nils Sormi się mylił. Ale czy mógł inaczej zareagować? Zamknęła album i cofnęła się o krok.

– Nie wiem, dlaczego chciałam pokazać ci te zdjęcia, nie wiem, dlaczego właśnie tobie, Nils. Nie chciałam cię urazić. Wiem tylko, czuję, że muszę zrozumieć świat Erika, i że ty, czy tego chcesz, czy nie, należysz do tego świata.

Położyła lewą rękę na brzuchu, drugą ręką trzymała album.

– Będę miała dziecko Erika. Nie wiedział, że zostanie ojcem. Teraz tak bardzo żałuję, że mu tego nie powiedziałam.

Rozdział 33

Środa, 5 maja

Wschód słońca: 2.08. Zachód słońca: 22.35

Długość dnia: 20 godzin i 27 minut

Szlak wędrówki reniferów, 7.30

Po przywróceniu pełnego składu patrolu P9 Klemet i Nina zostali natychmiast wezwani w głąb tundry. Poszukiwanie informacji o dwóch mężczyznach, którzy utonęli razem z Anta Laulą, musiało poczekać. Susann czekać nie mogła. Wobec nieobecności Anneli i wielu pasterzy, którzy odeszli już na Wyspę Wieloryba, brakowało ludzi do doglądania reniferów, które zostały w głębi łądu. Tymczasem, korzystając z długich słonecznych dni, wędrowcy na skuterach śnieżnych często łamali zakazy i zbliżali się niebezpiecznie do samic, tak jak się to działo podczas świąt Wielkiejnocy. Susann usłyszała rano warkot skuterów dochodzący z sąsiedniej doliny.

– Straciliśmy pasterza i nie możemy teraz stracić jego cieląt – powiedziała Susann z naganą w głosie.

Tym razem Nina i Klemet robili jeszcze dłuższe objazdy, by uniknąć dużych połaci ziemi, na których już stopniał śnieg. Dojechali na miejsce wczesnym popołudniem. Susann zostawiła trzy wiadomości w poczcie głosowej Klemeta, ale ten, widząc numer, nie zadał sobie trudu, by na nie odpowiedzieć.

– Straż reniferów przyjeżdża na czas, ani wcześniej, ani później – rzucił niezadowolony.

Podjeżdżali ostrożnie, obserwując przez lornetkę łagodne zbocza pagórków porośniętych tundrą. Krajobraz tworzyła przeplatanka białych i brunatnych plam. Klemet wskazał Ninie wznoszący się przed nimi płaski wierzchołek wzgórza pokryty połaciami śniegu. Gołym okiem Nina z trudem dostrzegała punkciki, które wydawały się równomiernie rozsiane po wzgórzu, jak ziarna rzucone na glebę przez starannego

siewcę. Dzięki grze światła punkciki na śniegu wydawały się ciemne, te zaś, które znajdowały się na tle brunatnej tundry, wyglądały na bardzo jasne. Nina wyostrzyła obraz w lornetce i zobaczyła stado złożone z kilkuset, może z trzystu reniferów. Odpoczywały beztrosko, z dala od zgiełku cywilizacji. Klemet zatoczył ręką szerokie koło, pokazując, że muszą znowu zrobić objazd, żeby nie zakłócać spokoju stada.

Objazd zajął im dodatkowy kwadrans. Jechali przeważnie skrajem doliny, wystawiając twarze na uderzenia brzoźowych witek i kierując się w stronę jeziora. Klemet znów machnął ręką, wskazując palcem na lód. Tym razem nie chodziło o renifery, tylko o kilku wędkarzy rozproszonych nad brzegiem jeziora. Nina zauważyła, że Klemet mamrocze coś pod nosem. Wiedziała, że straż reniferów często oskarża się o to, że ustawicznie nęka wszystkich, którzy nie są hodowcami, a zwłaszcza spacerowiczów, którzy przychodzą w góry spędzić piękny weekend z rodziną w chatce i z wędką w ręku. Wielu mieszkańcom tego regionu, zwłaszcza z wybrzeża, nie podobało się, że większość okolicznych terenów użytkują o tej porze roku hodowcy reniferów.

Widząc wędkarzy, znajdujących się jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi, Nina postanowiła przejąć inicjatywę. Przyspieszyła i wyprzedziła Klemeta, po czym zatrzymała się w odległości pięciu metrów. Zdjęła kask. Dwóch wędkarzy patrzyło na nią; nawet nie drgnęli. Nie zamierzali odchodzić.

Nils Sormi i Tom Paulsen mieli na sobie kombinezony, czapki i okulary lodowcowe, chroniące oczy przed silnym światłem słonecznym odbijającym się od lodu. Świdrem, który spoczywał teraz na jednym ze skuterów, wywiercili w lodzie mniej więcej dwudziestocentymetrowy otwór. Tom Paulsen, leżąc na skórze renifera, uniósł swoją wędkę o trzydzieści centymetrów, podczas gdy Nils Sormi mierzył wzrokiem oboje policjantów. Nurek chciał już coś powiedzieć, gdy podeszła Nina.

– Nie macie prawa wędkować tu o tej porze. Jesteście w strefie, w której łanie rodzą młode.

Obaj mężczyźni wstali. Nils Sormi zamierzał odpowiedzieć, wbijając wzrok w Klemeta, kiedy Tom Paulsen, zdejmując okulary przeciwsłoneczne, wysunął się naprzód.

– Nie wiedzieliśmy. Źle nas poinformowano.

Nils Sormi zamknął usta; milczał. Sormi i Klemet mierzyli się wzrokiem. Policjant dał znak Nilsowi i obaj odeszli w kierunku skuterów. Zaczęli

dyskutować.

– Tych dwóch ma sobie coś do powiedzenia – zaczął Paulsen.

– Czasem mają zbyt wybujałe ego – powiedziała.

– Nie miej mu tego za złe. W środowisku nurków często spotyka się takie charaktery. Wykonujemy niebezpieczny zawód, nie lubimy, kiedy ktoś nas poucza, i tyle.

– Znam wasze środowisko – powiedziała Nina, doceniając rozwagę Paulsena.

– Tak? – Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Mój ojciec był nurkiem, pracował w przemyśle naftowym. Dawno temu.

Tom Paulsen pokiwał wolno głową, z początku nic nie mówiąc. Obok skuterów Sormi z Klemetem spierali się i wyrównywali rachunki. Komisarz Hotti nakazała Klemetowi, by przeprosił Sormiego. Znając swojego kolegę, Nina nie sądziła, by słowa przeprosin przeszły mu łatwo przez gardło.

– Mieszka tu?

– Nie.

Nina przyjrzała się Tomowi Paulsenowi. Miał ciemnobrązowe oczy i wydatne wargi. Wyglądał na autentycznie zaniepokojonego. Wędkarze w dali ucichli, wiatr wzniecał słabymi podmuchami tumany śniegu, wzgórza skrzyły się ostrym, słonecznym światłem. Wydawały się upstrzone karłowatymi brzoźkami, jeszcze kilka tygodni temu niewidocznymi pod warstwą śniegu. Ciszę zakłócił jedynie warkot skutera śnieżnego, który zjeżdżał ze wzgórza, kierując się ku wschodowi.

– Właściwie nie wiem, gdzie mieszka. Nie widziałam go od wielu lat.

– A dlaczego, jeśli to nie jest niedyskretne pytanie?

Nina spojrzała na niego i, ku swemu zdumieniu, nie dostrzegła niczego dziwnego w tym, że mu się zwierza.

– Robił się coraz gorszy i myślę, że moja matka robiła wszystko, by trzymać mnie od niego z daleka. Byłam młoda i nie rozumiałam, co się dzieje, a potem było już za późno. Pewnego dnia po prostu odszedł.

– Rozumiem. Przykro mi.

– Niestety, nie poznałam nurków od najlepszej strony.

– Nie próbowałaś go odnaleźć?

Nina poczuła, że nie powinna posuwać się za daleko. Jej serce biło jak szalone.

– To było... to nie jest takie proste. Nie wiem. Ostatnio wiele o nim myślę. I... nie wiem. Zobaczę.

Łzy napłynęły jej do oczu. Odwróciła się w stronę Klemeta i Sormiego. Właśnie kończyli rozmowę. Obaj wydawali się z uporem obstawać przy swoim. Tłumiąc łzy, spojrzała na Toma Paulsena i uśmiechnęła się do niego. On też się uśmiechnął.

– Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać.

Uścisnęła dłoń, którą jej podał.

Skuter podjechał i zatrzymał się przy nich. Zszedł z niego Juva Sikku; wyglądał na zdenerwowanego. Uspokoił się, rozpoznając Sormiego. Przywitał się ze wszystkimi. Niedaleko znajdowała się większa część jego stada. Wskazał na wędkarzy gestem, który miał oznaczać, że nie mają tu czego szukać, ale Nina czuła, że mityguje się w obecności Sormiego.

– Susann już nas wezwała. Poprosimy tych ludzi, żeby stąd poszli – powiedziała Nina. – Właśnie tłumaczyłam... Tomowi, którędy mają odjechać, kiedy przyjechałeś. Musicie jechać tamtędy – powtórzyła, patrząc Paulsenowi prosto w oczy.

Nina rozwinęła mapę, pokazując, którędy przyjechali, i kreśląc na niej meandry, którymi objeżdżali stada.

– Mogę ich poprowadzić właściwą drogą – powiedział Sikku. – Nils, nie ma problemu, pokażę ci miejsce, gdzie będziesz mógł wkrótce przychodzić na ryby, kiedy już przejdą renifery. Wystarczy, że powiesz słowo. Gdybyś mnie spytał, powiedziałbym ci, gdzie iść. Wiesz, że zrobiłbym to z przyjemnością.

Nina, z pewnością tak samo jak Klemet, pamiętała pogardę, z jaką Nils Sormi potraktował Sikku, gdy się spotkali. Ten ostatni nie zdawał sobie z tego sprawy. Podczas gdy Sormi i Paulsen pakowali rzeczy, Klemet wziął Juvę Sikku na bok. Nina podeszła do nich.

– Powiedz mi – spytał Klemet hodowcę – co tu się dzieje?

Sikku spojrzał na niego nieufnie.

– Ano dzieje się. Jest trudno, jak zwykle.

– Chyba masz problemy z pastwiskami?

– Jakie problemy? Jakie problemy? Ja nie mam problemów. Inni mają problemy i inni mi je robią. Ja nie mam problemów. W każdym razie nie mam takich, które wymagałyby wzywania policji.

– No dobrze, nie masz problemów, wspaniale. Ale chciałbyś wejść tam w górę, na hale.

– Tam już nic nie ma. Hammerfest wszystko zabiera. Trzeba się z tym pogodzić. Ja chciałem pędzić renifery w górę, ale Erik i inni nie chcieli. Poza tym straciłem mojego renifera przewodnika. Tu jest gorzej niż na festynie wielkanocnym, nie sposób przejść. Za dużo ludzi naraz chce tu być. Skończy się tym, że trzeba będzie pozamykać renifery w farmach.

– Może to i dobry pomysł – powiedział Klemet. – Chciałbyś spróbować?

– Ja? Czemu nie!

– A o czym rozmawialiście z Tikkanenem? I nie opowiadaj mi tu byle czego, wiesz, że sędzia ma cię na oku. Przyprowadziłeś rosyjskie prostytutki.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Tikkanen nie powiedział mi, że to dziwki.

– A ty niczego nie podejrzewałeś?

– A czemu miałbym coś podejrzewać? Tikkanen ma prawo mieć koleżanki. Ja też jestem jego kolegą. Nils też jest moim kolegą – powiedział, wskazując brodą nurka, który ładował właśnie swoje rzeczy na skuter. – Każdy może mieć takich znajomych, jakich chce. Nawet jeśli to kurwy, i tyle.

– Więc co, rozmawialiście może o gruntach? – spytała Nina.

– Ktoś chciał przejąć działkę na wzgórzach koło Hammerfest, którą Erik i jego rodzina użytkowali od niepamiętnych czasów, pasąc na niej renifery – dodał Klemet. – Ktoś chciał się tam budować.

– Działki, działki, tylko to wam w głowie. Mówiliśmy o szlakach reniferów. Tikkanen jest wart więcej niż całe Biuro do spraw Reniferów. Może ma koleżanki, które wyglądają jak dziwki, ale wie, do kogo należą grunty. Wie o wszystkim, co się tu będzie działo. Lepiej pozwólcie, żeby robił swoją robotę. Pokazał mi farmy w Finlandii i mówię wam, farmy reniferów to dobra rzecz. Koniec z bieganiem za stadem. Tak czy inaczej, przez to całe ocieplenie klimatu i tak nie ma innego wyjścia.

Rozdział 34

Południowy zachód Norwegii, 18.30

Wylądowawszy wczesnym wieczorem, Nina wynajęła mały samochód, by pojechać do miejscowości, w której mieszkała jej matka, w okolicach Stavanger. Podróż samochodem dłużyła się, jak zwykle w tym pełnym fiordów regionie, gdzie kręte drogi zmuszały do długich objazdów, wijących się wokół ostrych jak brzytwa gór wpadających do morza. Jeden z odcinków pokonała promem, przejechała przez tuzin tuneli i teraz była już blisko celu. Podczas lotu i jazdy samochodem całe popołudnie przygotowywała się na to spotkanie.

Samotne miasteczko rozciągało się na skraju fiordu. Nina zatrzymała się przy wjeździe do ostatniego z tuneli, wychodzącego na zamkniętą dolinę okoloną wąwozami. Śnieg stopniał tu już częściowo na szczytach gór. Na południowym zboczu góry rozrzuconych było około dwudziestu domów. Droga schodziła trochę stromo aż do morza. Z miejsca, w którym się znajdowała, Nina dostrzegła kilka małych kutrów rybackich zacumowanych przy nabrzeżu. Inne były pewnie na morzu. Dawniej do osady można się było dostać tylko od strony morza. Tunel istniał już, gdy Nina była dzieckiem, ale zbudowano go stosunkowo niedawno. Gdy go budowano, matka Niny była jeszcze młoda. Wiosną rybacy zamieniali się w rolników. Kończył się sezon połowu dorszy. Wypatroszone ryby wisiały na drewnianych rusztowaniach, susząc się na wietrze. Było tu mniej światła niż w Laponii, położonej dwa tysiące kilometrów dalej na północ.

Męczyła ją sama myśl o spotkaniu z matką, ale miała niewiele czasu. Musiała przez to przejść, chcąc odnaleźć ojca. Może on wyjaśni jej te historie z nurkami. Gdy rozmawiała o tym z Klemetem, szybko pojął, że był to jedynie pretekst. Powiedział to grzecznie. Nie zaprzeczyła. Miała zaległy urlop.

W jej rodzinnej osadzie słońce schowało się już za chmury, lecz było jeszcze jasno. Zobaczyła trawler wpływający do małego portu. Popatrzyła

na zegarek – wskazywał kilka minut po dwudziestej pierwszej. Statek nie wyglądał na nowy. Nie różnił się zapewne od tych, które zawijały tu czterdzieści lat temu. Mały trawler zawijający do portu, żeby schronić się przed nadciągającą burzą. A może wrócił na popas? Matka mówiła jej, że takie statki to nic dobrego, gdyż marynarze schodzą na ląd, by popić przed wypłynięciem w morze. Nina przypomniała sobie, jak matka ostrzegała ją, gdy przyływały trawlerzy, zwłaszcza gdy była już większa. Ojciec pochodził z miasteczka na wyspie Skrova na Lofotach. Była to mała wyspa, zamieszkała przez łowców wielorybów. Nazywano ich białymi wilkami; ich statki na szczycie komina miały wymalowany czarny pas, znak wielorybników. Gdy nie polowali na wieloryby, łowili dorsze lub to, co ofiarowało im morze.

Statek zacumował, a na moście pojawiła się gromadą rozochoconych mężczyzn. Nina tymczasem podjechała pod dom matki. Drewniany budynek nie był szczególnie zniszczony upływem lat. Żółta farba wyglądała dość świeżo. W osadzie wszyscy mobilizowali się, kiedy trzeba było odmalować jakiś dom, co zdarzało się dość często, gdyż wszystko szybko ulegało zniszczeniu wskutek deszczów i wiatru wiejącego od morza. Nina nie uprzedziła o swojej wizycie, ale sąsiadka matki, Margareta, zapewniła ją, że matka jest w domu i że ma się dobrze.

– Marit Eliansen? Zdrowie to ona ma, ta twoja matka – powiedziała Margareta, gdy do niej zadzwoniła. – Wciąż sieje postrach w miasteczku, pilnując, by wszyscy chodzili w niedzielę do kościoła, a w środę na hafty.

Dom był kwadratowy, prosty, z małym gankiem przy wejściu, oświetlonym nagą żarówką. Wszystkie okna zdobiły małe haftowane firanki. Matka siedziała w kuchni, w okularach na nosie. Wysoki kok wydłużał jej chudą twarz.

Nina zapukała i pchnęła drzwi.

– To ja.

Matka podniosła nos znad tkaniny, którą haftowała, i spojrzała na córkę spod okularów.

– Właśnie miałam się położyć.

Nina podeszła i uścisnęła ją.

– Pójdę pościelić sobie łóżko. Też jestem zmęczona. Jechałam prawie cały dzień.

– Skąd jedziesz?

– Przyleciałam samolotem z Alty, z przesiadką w Tromsø.

– No to się wykosztowałaś.

Nina wyjęła z torby prezent, który przywiozła z Laponii – okrągły kawałek skóry renifera, na którym można było przysiąc na spacerze, korzystając z suchego, ciepłego miejsca.

– Jesteś jak twój ojciec, wydajesz pieniądze na głupoty.

– Przecież jest zima.

Matka potrząsnęła powątpiewająco głową i położyła skórę na stole.

– Jesteś głodna?

– Nie.

Nina umierała z głodu. Pomyślała, że później wybląga coś u Margarety.

– Czego chcesz?

– Porozmawiać z tobą.

– Zatem porozmawiamy jutro. Teraz pościel łóżko.

Nina zagryzła wargi. Miała wrażenie, że znów jest małą dziewczynką, strofowaną przez zimną matkę, która trzymała ją na dystans, zarazem nieustannie przy tym kontrolując.

– Jeśli chcesz się pomodlić, twoja Biblia wciąż leży na nocnym stoliku.

Rozdział 35

Zostawiwszy Ninę wczesnym popołudniem na lotnisku w Alcie, Klemet wrócił do schroniska w Skaidi. Uwielbiał ten płaski odcinek drogi, gdzie tundra rozciągała się po horyzont, a on niespiesznie mógł napawać się jej widokiem. Z wiadomości, które podano o godzinie siedemnastej, nie dowiedział się niczego nowego; mówiono jedynie o tym, czym zajmował się już w zeszłym roku, po szczególnie gorącym lecie. Samce reniferów – samice były bardziej bojaźliwe – wchodziły do Hammerfest, by schronić się w cieniu ratusza lub niewielkiego centrum handlowego. W niektóre dni – było to jeszcze przed wzniesieniem ogrodzenia – ich liczba dochodziła nawet do stu. Renifery wszędzie się wypróżniały i oddawały mocz. W upale odór stawał się nie do zniesienia. Służby mogły całymi godzinami czyścić miasto, a smród i tak wdzierał się nawet do środka budynków. Klemeta wezwano wówczas z partnerką, by ocenili straty. Pasterze próbowali przepędzać zwierzęta, ale renifery wracały. Cała historia ciągnęła się przez dwa miesiące. Burmistrz Lars Fjordsen wychodził z siebie, wzywał dziennikarzy, publikował nieprzebierające w słowach komentarze na Facebooku i zbierał opinie świadków.

Ale sprawa była złożona. Z jednej strony, zgodnie z paragrafem jedenastym ustawy o hodowli reniferów, zwierzęta mogły wypróżniać się na nieużytkach, do których zaliczano tereny wokół ratusza i centrum handlowego. Z drugiej jednak istniało jeszcze prawo o powszechnej dostępności przyrody – przyroda miała być dostępna dla ludzi. Według jednego z dziennikarzy NRK przewodniczący sądu był w rozterce. Rozumiał, że renifery, szukając chłodu, zaspokajają swoją naturalną potrzebę, ale musiał być stanowczy. Hodowcy mieli obowiązek trzymać renifery z daleka od miasta, interweniując jedynie „sporadycznie”. Wyrok zapadł z samego rana: 3 000 koron kary dla każdego z pięciu hodowców. Sąd uznał, że jest to „wyjątkowa sytuacja”. Klemet wyłączył radio. Erik Steggo, jeden ze skazanych, nie musiał już płacić kary.

Po godzinie dotarł do schroniska w Skaidi. Mieszkańcy Hammerfest zjechali się tam po południu, by spędzić weekend pod chatą patrolu P9. Na przyczepach pełno było motorów śnieżnych. Klemet wszedł do drewnianej chaty. Wysłuchał wiadomości o osiemnastej. Znow mówiono o wyroku w sprawie zdarzeń w Hammerfest. Potem nadano towarzyski program weekendowy o piłce nożnej i o zawodach na skuterach śnieżnych. W Rypefjord zatrzymano nietrzeźwego kierowcę, co spowodowało powrót dyskusji o konieczności budowy kolei w okolicy. Przy okazji wspomniano o możliwości czerpania z zasobów ropy naftowej, „szacowanych dziś na 5 279 miliardów koron”, jak sprecyzował komentator. Według informacji podanej przez jednego ze słuchaczy zapaliła się jakaś letnia altana nad brzegiem fiordu, między Skaidi i Kvalsund. Klemet wyłączył radio. Ta historia z reniferami wypróżniającymi się przed ratuszem i przed centrum handlowym zepsuła mu całe minione lato. Nina nie należała jeszcze wtedy do straży reniferów i myślał wówczas, że będzie to dla niej znakomite wprowadzenie w nowe obowiązki.

Klemet wyjął laptop. Miał wiele zaległej pracy. Na stole obok niego piętrzyły się pliki mandatów. Pierwsze informacje o losach dwóch niemieckich turystów nie wniosły niczego nowego. Klemet prześledził ich drogę powrotną aż do samych Niemiec. Zapłacili już mandat. Nieco bardziej niepokojąco przedstawiała się sprawa dwóch pozostałych, Norwega i Polaka. Pod adresem, pod którym zameldowany był Knut Hansen, Klemet nie znalazł niczego. Mieszkał tam wprawdzie jakiś Knut Hansen, ale Klemet był teraz pewien, że nie ma on nic wspólnego ze sprawą, którą badali. Podobnie było z Polakiem.

Klemet patrzył w ekran, ale myślami był gdzie indziej. Po wypadku z kabiną wszyscy stawali na głowie. Juva Sikku najwyraźniej w ogóle nie był związany z tym środowiskiem nafciarzy, z wyjątkiem znajomości biznesowej z Tikkanenem i osobistych relacji z Nilsem Sormim. W przypadku tego ostatniego owe relacje trudno byłoby nazwać bliskimi.

Sprawa Sikku i Steggo, formalnie należąca do kompetencji straży reniferów, zahaczała o obszary wykraczające poza zwykły zakres jej obowiązków.

Przypadkową śmierć Fjordsena należało potraktować jak sprawę kryminalną. Ten wniosek sam się narzucał. Zważywszy na okropną

śmierć Steela i Birge'a oraz utonięcie Lauli razem z tymi dwoma nieznanymi robotnikami.

Wszyscy w mieście mówili tylko o tym. Panował coraz większy niepokój. Kilku pracowników z zagranicy obrzucono obelgami. Domagano się przywrócenia spokoju, to jest powrotu do czasów, nim zaczęli tu napływać obcy robotnicy. Nie można było dopuścić do dalszego pogarszania się sytuacji.

Klemet bazgrał coś po papierze. Im bardziej się nad tym zastanawiał, tym mniej prawdopodobny wydawał mu się związek utonięcia Lauli i dwóch innych mężczyzn z pozostałymi przypadkami zgonów. Tikkanen natomiast dobrze znał burmistrza i obu nafciarzy. Podobnie jak Gunnar Dahl. Podobnie jak Nils Sormi. Wydawało mu się, że słyszy głos Niny mówiącej, że Sormi z pewnością nie znał tych dwóch nafciarzy tak dobrze, jak Tikkanen i Dahl, ale Klemet nie chciał bawić się w takie spekulacje. Sormi też był podejrzany. Jego kłótnie, jego interesy – wszystko to czyniło go interesującym w oczach Klemeta.

Policjant notował, rysując strzałki łączące nazwiska Markko Tikkanena, Gunnara Dahla i Nilsa Sormiego. Dodawał łączące ich interesy. I osoby, które znalazły się na ich drodze, a potem zostały wyeliminowane.

Ale dlaczego właściwie należało doszukiwać się jakiegoś powiązania pomiędzy tymi śmiertelnymi wypadkami? A Sikku? Postać, która wystraszyła renifery. Przecież musiał wiedzieć, że zwierzęta zawrócą. Nina wyraźnie nie lubiła tego hodowcy. Może dlatego, że chyba łączyła ją jakaś przyjaźń z Anneli? Nie tylko. Nina miała dobry instynkt policyjny. Coś mogło być na rzeczy.

Chociaż sprawa ta nie wchodziła w zakres jego kompetencji, postać człowieka, którego obie Rosjanki widziały tuż przed wypadkiem, intrygowała go. Najprawdopodobniej to on właśnie zamknął kabinę i zwiększył w niej ciśnienie. A zatem umiał się nią posługiwać. Nurek? Pracownik nadzorujący ich pracę? Kto inny mógł posiadać takie umiejętności? Klemet nie umiałby tego zrobić, podobnie zresztą jak większość ludzi. Czy Tikkanen znał tego tajemniczego nieznanego? Czy był to jeden z jego pomagierów, podobnie jak Sikku? Ten Tikkanen łączył w sobie wiele wątków. Klemet uświadomił sobie, że właściwie nie wie jeszcze o nim wielu rzeczy. Spojrzał na zegarek. Najwyższy czas pojechać do Hammerfest.

Jechał wzdłuż fiordu. Po prawej stronie zobaczył dymiącą jeszcze chatę, o której mówiono w wiadomościach. Na miejscu byli już policjanci z Hammerfest. Klemet zatrzymał się i przywitał z nimi. Chaty nie należały do hodowców reniferów. Kiedyś Klemet znał właścicieli wszystkich chat w okolicy. Niekiedy byli to hodowcy, często pochodzący z Hammerfest. Z czasem było z tym coraz trudniej; domki wyrastały jak grzyby po deszczu przy każdej najmniejszej drodze. Hodowcy nieustannie skarżyli się na wzmożony ruch, coraz bardziej niepokojący renifery. Klemet nie wiedział, do kogo należała chata, która spłonęła. Nic z niej nie zostało. Jeden z policjantów był zdziwiony jego obecnością.

– Chciałem się upewnić, że nie chodzi tu o porachunki z jakimś hodowcą – powiedział Klemet. – Wiesz, zaczyna się pora reniferów w mieście...

– Taak, znów się zacznie korrida.

Obaj policjanci milczeli przez chwilę, przyglądając się pracy strażaków.

– Jeszcze nie mogliśmy wejść. Za dużo dymu. Ale mówię ci, to nie jest chata biedaka.

– A ten samochód? – spytał Klemet, wskazując na czerwonego volkswagena kombi.

– Wynajęty. Na jakieś zagraniczne nazwisko nieznanome. Sprawdzamy to.

– Niemieckie?

– Raczej francuskie.

– Popatrz, to teraz Francuzi tutaj kupują? Myślisz, że ten typ ma coś wspólnego z naszą sprawą?

Policjant z Hammerfest zrobił zdziwioną minę.

Klemet odjechał.

Na placu miejskim w Hammerfest, na który przyływały promy linii Hurtigruten, spostrzegł Tikkanena. Fin siedział w swoim biurze, za szybą pokrytą ogłoszeniami o sprzedaży nieruchomości. Nie zdziwił się na jego widok. Zamknął teczkę z papierami, wygładził garnitur, strzepnął z ramion jakiś pyłek i posłał Klemetowi handlowy uśmiech, otwierając szeroko ramiona.

– Inspektorze, zapewne ma pan już dosyć swojej chaty w Skaidi, z pewnością mógłbym znaleźć coś bardziej godnego pańskiej misji.

Klemet, nie kwapiąc się z odpowiedzią, usiadł w kącie salonu, wyposażonego w wygodne fotele stojące wokół niskiego stołu pokrytego

prospektami.

– Ależ, inspektorze, niech pan siada. Może filiżankę kawy? A może coś innego, coś bardziej... męskiego?

– Siadaj, Tikkanen, i oszczędź sobie tych uprzejmości. Nic mi nie sprzedasz. Moi koledzy byli dla ciebie mili. Dziwię ci się, że tak spokojnie tu siedzisz.

Markko Tikkanen usiadł naprzeciw Klemeta. Rozłożył znów ramiona i z szerokim uśmiechem przyglądał czuprynę.

– Do usług, inspektorze.

– Od kiedy bawisz się w alfonsa, Tikkanen?

– Skoro już pan o tym wspomina, zaprosiłem na wieczór dwie koleżanki z Rosji i gościa z Ameryki, nic więcej. My, Finowie, zawsze popieraliśmy dialog między Wschodem a Zachodem. Do tego, co pan sugeruje, trzeba transakcji pieniężnej. Znaleźliście może ślady czegoś takiego?

Klemet musiał się z nim zgodzić. Nie miał żadnych dowodów. Tikkanen zapłacił pewnie bezpośrednio sutenerowi. Znał się na rzeczy. Nie ma pieniędzy, nie ma kłopotów.

– Wiesz, że sprawa tej twojej kabiny, która wybuchła, marnie wygląda.

– Mnie tam nie było, pana koledzy wszystko sprawdzili – powiedział Tikkanen, wierząc się w fotelu.

– Kim był ten człowiek, którego widziano przy kabinie?

– To pewnie jeden z pracowników pływającego hotelu, prowadzący moich klientów do kabiny.

– Nie mówię o nim, tylko o tym drugim, którego rozpoznały twoje rosyjskie dziwki, o wielkim, barczystym mężczyźnie.

– Ależ, inspektorze, ja go nie znam, przysięgam na głowę mojej matki. Dobija mnie ta cała historia.

– Po co pokazywałaś Juvie Sikku farmy przy granicy fińskiej? To jest poza jego strefą, i poza twoją.

Fin znów poprawił czuprynę, usiadł obok Klemeta.

– Przyszłość, inspektorze, przyszłość. Ja tylko wyprzedzam przyszłość. Tradycyjna hodowla reniferów jest skazana na wymarcie, to kwestia kilku dziesięcioleci. Mamy siedzieć z założonymi rękami? Proponuję hodowcom rozwiązanie. Oczywiście, to nie będzie to samo, nie będzie już tego całego folkloru związanego z wędrówką reniferów, ale w farmach

będą mogli dalej żyć z hodowli. A nawet przyjmować turystów. Jestem pewien, że w ten sposób więcej zarobią.

– Wędrówka reniferów to folklor, tak? Tak to widzisz? Zauważ, że to nie moja sprawa. Od kiedy rozmawiacie z Juvą Sikku o farmie?

– Od kilku miesięcy. Może od sześciu. Jeśli to ważne, mogę sprawdzić.

– On ci to zaproponował czy ty to wymyśliłeś?

– Niech pan sobie wyobrazi, inspektorze, że propozycja wyszła ode mnie. Widzę przecież, jak ci biedacy się zabijają.

– Prowadzisz podobne interesy z innymi hodowcami?

– Ech, nie, nie, to nic poważnego. Ale w moim zawodzie trzeba mieć cały czas oczy otwarte.

– Znasz wielu ludzi, Tikkanen...

– Do usług, inspektorze.

– I proponowałeś też coś Erikowi Steggo?

– Biedak, nie zdążyłem, ale gdybym miał okazję, zrobiłbym to z największą przyjemnością. Widzi pan, inspektorze, śmiem nawet twierdzić, że teraz jeszcze by żył, tak, właśnie, żyłby. Bo wie pan, na farmie nie sposób utonąć.

Rozdział 36

Czwartek, 6 maja

Hammerfest

Wschód słońca: 1.59. Zachód słońca: 22.43

Długość dnia: 20 godzin i 44 minuty

Okolice Stavanger

Wschód słońca: 5.27. Zachód słońca: 21.41

Długość dnia: 16 godzin i 14 minut

Północny zachód Norwegii, 8.30

Ninę obudziła matka, dobijająca się do drzwi. Policjantka spojrzała na zegarek. Była 8.30. Tak dobrze ani tak długo nie spała już od tygodni. Światło. Otworzyła z trudem oczy. Wystrój pokoju był dokładnie taki, jakim go zostawiła. Niewiele tego było.

Matka nie była sentymentalna. W odróżnieniu od swych przyjaciół Nina nigdy nie odważyła się wieszać na ścianach plakatów z Carolą, Gaute Ormåsenem czy Larsem Fredriksenem. Czy zdjęcia, które wycinała z czasopism, były jeszcze schowane w szufladzie biurka? Ale po co ich szukać? Pokój był surowy i ponury. Wczoraj wieczorem na dębowym nocnym stoliku Nina znalazła swoją Biblię. Nie otworzyła jej. Zmęczona, nie miała odwagi wyjść do Margarety, by wybłagać kanapkę. Sąsiadka z chęcią by ją poczęstowała, korzystając z okazji do rozmowy. W osadzie było mało atrakcji. Głodna, z oczami spuchniętymi od snu, ruszyła w kierunku prysznic. Instynktownie wzięła zimny prysznic, wzmacniając się przed konfrontacją. Dlaczego tak musiało być? Nina właściwie nie miała kontaktu ze swoimi trzema starszymi braćmi. Każdy żył swoim życiem. Jeden z nich mieszkał w miasteczku, został pobożnym rybakiem. Był na morzu, wypłynął w długi rejs w okolice Grenlandii. Drugi powinien być jeszcze w okolicach Stavanger. Pracował w małej stoczni naprawiającej platformy. Ostatni zboczył nieco z właściwej drogi i w domu nigdy się o nim nie mówiło. Słyszała, że włóczy się po jakimś

małym mieście na północy. Matka Niny zawsze mniej lub bardziej dawała do zrozumienia, że gdyby miał innego ojca, może by się tak nie pogubił.

– Przygotowałam ci śniadanie.

W rozmowie obywały się bez zbędnych formuł. Matka zachowywała je na mszę. Mimo podeszłego wieku była wciąż energiczna, wścibska, gotowa moralizować przy najmniejszej okazji. Nina nie przyjechała, żeby wysłuchiwać jej morałów. Usiadła przed talerzem owsianki i szklanką mleka. Matka usiadła naprzeciw, z wyszczerbioną szklanką wypełnioną w jednej trzeciej wodą, położyła okulary skleione z jednej strony skoczem i czekała ze skrzyżowanymi rękami, w sukience zapiętej pod szyję, z zaciśniętymi ustami, ze sztywno upiętymi włosami i z zapadniętymi policzkami. Gdyby Nina nie znała jej dobrze, mogłaby pomyśleć, że ta surowa kobieta zaraz ją pogryzie, dając upust hamowanemu z trudem gniewowi. Ale przeciwnie, matka oddychała spokojnie. Mimo iż cały jej wygląd przywodził na myśl spiętego do skoku drapieznika, gotowego rzucić się na ofiarę, jej oddech mówił też o spokojnym sumieniu, wewnętrznym pokoju, pewności bycia po właściwej stronie i braku wątpliwości. Połączenie władczości ze spokojem, które wisiało jak cień nad młodością Niny.

Nina nie przyszła pogodzić się z matką. Patrząc na nią, wiedziała, że nigdy nie będzie to możliwe. Chciała tylko odnaleźć ojca. A do tego potrzebna jej była matka. Jej matka, która zawsze wtrącała się między nich. Nina odstawiła szklankę mleka. Nie tknęła jeszcze owsianki, tej samej, którą matka podawała jej zawsze na śniadanie. Kuchnia była taka, jaką ją zapamiętała. Żółte linoleum na podłodze, białe ściany, żadnych ozdób z wyjątkiem prostego krzyża wiszącego na drzwiach. Żadnych gazet – w tym domu nigdy ich nie było. Z prasy była jedynie gazetka parafialna i broszura misji ewangelizacyjnej. Matka zawsze trzymała córkę z dala od zgiełku świata. Telewizor, przyniesiony kiedyś przez ojca, zniknął razem z nim. Nina nie widziała go już jakieś dwanaście, trzynaście lat. Nie wiedziała, co się z nim dzieje. Nie wiedziała też, jak ma się zachować wobec matki. Czy powinna wyciągnąć do niej rękę przez stół na znak pojednania? Jej skrzyżowane i ściśnięte ręce zniechęcały do tego gestu.

– Muszę się spotkać z tatą. Z powodów zawodowych.

Matka w pierwszej chwili nic nie powiedziała. Patrzyła tylko na nią jeszcze bardziej przenikliwym wzrokiem. Nina znała ją zbyt dobrze, by

nie wiedzieć, że to milczenie ją osądza. Była też zbyt dobrze wychowana, by nie pojąć, że mówiąc to, Nina powinna sama ukorzyć się i poczuć, jaką część odpowiedzialności ponosi za to długie milczenie ojca. Zadowolenie, spokój i czyste sumienie emanujące z matki mówiło to, o co Nina nie potrzebowała pytać. To nie była wina jej, Marit Eliansen. Przytłaczająca cisza panująca w tej małej, ciemnej kuchni dusiła Ninę. Matka wciąż nic nie mówiła. Nina podniosła się z wolna, podpierając pięściami o stół. Próbowwała odrzucić od siebie złość, która ogarnęła ją nagle na widok tej niepozornej kobiety zawsze próbującej stawać pomiędzy nią i ojcem. Zbyt wiele wspomnień, zbyt wiele frustracji, zbyt wiele klęsk. Chwyła szklankę z mlekiem. Zbyt wiele łez, które wypłakała sama, z westchnieniem za jedyne go towarzysza, z pogładzeniem po twarzy za jedyne pocieszenie. Krzyknęła nagle, rzucając szklankę do zlewu. Szklanka rozbiła się na kawałki, rozbryzgując wokół kawałki szkła i krople mleka. Matka, zaskoczona, poderwała się z miejsca. Odruchowo chwyciła własną szklankę wody i przycisnęła ją do siebie ochraniającym gestem, natychmiast przybierając na powrót swoją sędziowską pozę.

– Takie same fochy jak u niego.

– To przez ciebie odszedł, przez ciebie i tylko przez ciebie!

Oddech matki tylko nieznacznie przyspieszył. Całkowicie panowała nad sytuacją.

– Moja biedna córeczko, nie rozumiesz, że ja cię tylko przed nim chroniałam.

– Chroniłaś?!

Nina otarła łzy, które zaczęły płynąć jej po twarzy. Potrząsnęła głową.

– Moja biedna mamó, ty mnie chroniłaś? Mój Boże, jesteś do tego stopnia zaślepiona?

Przez chwilę mogło się zdawać, że matka Niny przejęła się tą uwagą. Ale natychmiast się opanowała.

– Może myślisz, że znasz swojego ojca?

To z kolei zatkało Ninę. Matka oczywiście to spostrzegła.

– Jeśli tak myślisz, to widocznie nie znasz sama siebie. Jesteś taka sama jak on. Jego krew, ta sama chęć ucieczki, ten sam wybuchowy temperament, to samo zamiłowanie do wszystkiego, co podłe i łatwe.

Nina poczuła, że przebrała się miarka. Matka śmie tak mówić?! Widzi we mnie skłonność do podłości? Tylko dlatego, że wybrałam życie daleko stąd? A może rzeczywiście do tego stopnia przypominam jej ojca? Trawiła

ją wściekłość. Patrzyła na tę zgorzkniałą, zapiekłą kobietę, tak pewną siebie, zzeraną od środka, potępioną przez swoje niewzruszone prawdy. Matka odstawiła szklanę z wodą, zrobiła krok w stronę Niny i stanęła przed nią, z rękami wzdłuż ciała, jak monolit, patrząc na nią przenikliwym spojrzeniem.

– Gdyby twój ojciec nie odszedł, Bóg jeden wie, co by się z tobą stało. Zaślepiły go pieniądze, i powoli zabiły.

– Po prostu powiedz, gdzie mogę go znaleźć – powiedziała zduszonym głosem Nina, próbując zachować spokój.

Matka podeszła jeszcze bliżej do córki. Patrzyła jej prosto w oczy, nie zwracając uwagi na jej prośbę.

– Gdy go poznałam, twój ojciec był rybakiem. Jego statek zatrzymywał się w naszym porcie. Był człowiekiem prostym i pracowitym, lekko traktującym wiarę i życie, ale ciężko pracującym i szanującym Boga. Był jagnięciem, posłusznym słowom zdrowego rozsądku. Ale nie oparł się pokusie, porwał go obcy demon, opętała go żądza przygody i łatwych pieniędzy, i został nurkiem. Nasze życie wywróciło się do góry nogami. Coraz bardziej się zmieniał. Odtąd musiałam nieustannie chronić was przed nim, wyrwać z was te geny, które jego niszczyły, a wam zagrażały.

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jakie straszne rzeczy opowiadasz? Mówisz jak egzorcysta! Mówisz o moim ojcu!

Nina nie widziała już niczego poza płonącym spojrzeniem swojej matki. Wyszła, trzaskając drzwiami. Na zewnątrz odetchnęła słoną, upajającą bryzą. Powoli odzyskiwała spokój. Rozejrzała się wokół siebie; popatrzyła na tajemnicze morze, które przyniosło i zabrało jej ojca, na góry, które nie chciały odpowiadać echem na jej wołania, na domy, które skrywały tajemnice i niszczyły życie mieszkających w nich ludzi. Jej smutny wzrok zatrzymał się przy jednym z małych domów w sąsiedztwie i spoczął na odsłoniętym oknie. Stojąca w nim stara Margareta obserwowała ją z niepokojem, jakby spodziewała się, że odjedzie. Ona także wyglądała na zasmuconą, pomyślała Nina. Margareta skinęła na nią.

Nina weszła. Margareta była kobietą starszą i silniejszą od jej matki. Ma w sobie więcej życia, pomyślała Nina. Głowę miała owiniętą chustką, spod której wystawały niesforne kosmyki szarych, cienkich włosów. Miała wysokie, szerokie czoło i niebieskoszare oczy, zachowujące jeszcze ślady dawnej piękności. Jedno z nich było duże i patrzyło na nią głęboko,

drugie, lewe, wydawało się bardziej zgaszone, jakby zmęczone zmaganiem z powieką, która nieustannie opadała. Węzeł chustki podtrzymywał podwójny podbródek starej kobiety, która zarzuciła na siebie dwa płaszcze, jeden na drugi. Dostrzegłszy znękaną minę Niny, zaprosiła ją, by usiadła.

– Jesteś głodna, dziecko?

Nie czekając na odpowiedź, podsunęła Ninie kanapki z chleba ziemniaczanego z kiełbasą. Przygotowała jej talerz sałatki z kapusty, podała filiżankę kawy i patrzyła z troską, jak je, gładząc jej blond włosy. Nina podziękowała Margarecie spojrzeniem. Była zbyt wzruszona, żeby mówić, i powoli delektowała się jedzeniem.

– A zatem twoja matka się nie zmieniła...

Nina zaśmiała się, potrząsnęła głową, po czym chwyciła Margaretę za rękę.

– Ty, Margareto, ty, która znasz ją lepiej niż ktokolwiek inny na świecie, naprawdę myślisz, że moja matka mogłaby się zmienić?

Teraz z kolei Margareta zachichotała. Był to dobry śmiech, który dodał Ninie otuchy. Poczowała, że jej gniew opada.

– Och, gdyby ktoś nas usłyszał – zaśmiała się Margareta.

Nina podniosła się i przez dłuższą chwilę przytulała do siebie starą sąsiadkę. Ona widziała, jak dziewczynka dorasta, często zapraszała ją na podwieczorek, który Nina jadła chętniej niż u siebie w domu. Chyba że przyjeżdżał ojciec. Gdy przyjeżdżał ojciec – niestety robił to o wiele za rzadko – w życiu Niny nastawało święto.

– Margareto, muszę odnaleźć ojca. A moja matka jest przekonana, że musi mnie przed nim chronić.

Stara sąsiadka uśmiechnęła się i ponownie pogładziła włosy Niny.

– Usiądź, muszę ci coś opowiedzieć – powiedziała Margareta, siadając obok niej.

Opowiadała przez kilka godzin. O tym, jak Todd, ojciec Niny, młody, pełen życia i energii rybak wraz z kolegami zawiązał do ich małego portu, gdy jej matka, także młoda, miała może siedemnaście lat. On, Todd, miał już dobre dwadzieścia pięć, był już mężczyzną, który od blisko dziesięciu lat pływał po oceanie. Pomógł jej wnieść do domu kosz pełen ryb, zamiast pić z kolegami na pomoście, i to spodobało się Marit. Jego śmiech był głośny i szczery; śmiał się ze wszystkiego, był pełen humoru. Wchodząc do jej domu, zauważył fragment dachu uszkodzonego przez

jesienną burzę. Nie pytając o zdanie swoich kolegów, całe popołudnie spędził na piłowaniu i przybijaniu nowych desek. W podziękowaniu, dała mu jeden z haftowanych drobiazgów, które robiła, i nalegała, by poszedł z nią do kaplicy. Chciała pokazać mu miejsce, gdzie rozmawia z Bogiem. Uznała, że jest inny. Margareta przypuszczała, że to właśnie tam, za tym bielonym kawałkiem muru, dającym schronienie przed wiatrem, jej ojciec po raz pierwszy objął jej matkę.

Potem jego statek odpłynął, gdyż zaczynał się nowy sezon polowań na wieloryby. Ale wrócił. Mógł zostać na wyspie Skrova, na Lofotach, ale według Margarety jej ojciec miał już dość protestów obrońców wielorybów, piętnujących polowania na te zwierzęta. Wystarczało mu łowienie dorszy. Mógł, jak wielu innych, kupić mały stateczek i łowić ryby koło fiordu. Ale wokół było jeszcze całe Morze Północne. Odkryto ropę naftową. A Toddowi brakowało przygody. Kiedy usłyszał o wszystkim, co się tam działo, nie mógł się oprzeć. Dopiero później Margareta dowiedziała się, że jej ojciec usłyszał pewnego dnia, jak w radiu mówili o utworzeniu ekipy nurków. To zadecydowało o jego losie. Nigdy wcześniej nie nurkował, zapewniała Margareta, nie wiedział nawet, jak wygląda nurek. Ale poszedł na całość. Zmieniać zaczął się w momencie, gdy jako nurek zaczął zarabiać dużo pieniędzy. Marit nie była na to przygotowana. Wyszła za rybaka. Kiedy został nurkiem, przestała go poznawać. Jej problemy ze zdrowiem pojawiły się kilka lat później, Niny nie było jeszcze wtedy na świecie.

– Czekaaj, niech sobie przypomnę – powiedziała Margareta – to był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewięć!

Nina uśmiechnęła się. Tak, przecież urodziła się w 1989 roku. Jej ojciec miał wtedy około czterdziestu lat.

– Jej problemy... – ciągnęła dalej Margareta.

Todd przeżył kilka wypadków podczas nurkowania. I potem nic już nie było takie jak przedtem. Gdy Nina przyszła na świat, ojciec oszalał na jej punkcie. Chłopcy byli już duzi, nieco dalej od ojca, całkowicie pod kontrolą Marit. Pomiędzy ojcem i córką powstała bardzo silna więź.

Nina zamyśliła się. Doskonale pamiętała lata tuż przed odejściem ojca. Nie wiedziała wtedy, że był chory. Matka nieustannie powtarzała sucho, że ojciec powinien odpocząć. Często dodawała przy tym, że tylko do tego się już nadaje, albo że nie może zostać. Czasem Nina budziła się w środku nocy i widziała, jak ojciec wychodzi na spacer w głąb fiordu. Wracał po

długim czasie i zwał się do łóżka, ledwie żywy. Gdy Nina chciała do niego podejść, widziała cień matki, która zamykała drzwi do pokoju. Nieświadoma niczego naiwna dziewczynka nie zauważyła, kiedy więc z ojcem uległa rozluźnieniu. Wspomnienie ojca było coraz dalsze, jego brak coraz dotkliwszy. Nina pamiętała jego dobre, czasem bardzo smutne spojrzenie, które jednak zawsze ożywiało się na jej widok. Zdarzało się to rzadko, kiedy matka nie mogła zapobiec ich spotkaniu. Aż do chwili, gdy wyjechał na zawsze.

– Byłaś jedyną radością swojego ojca, Nino. Jedyną. Byłaś też jego ostatnią deską ratunku. Nie zdawałaś sobie z tego sprawy, ale on chwycił się ciebie, gdyż pomiędzy nim a twoją matką wszystko się skończyło. Twój ojciec, nurek, utrzymywał się na powierzchni jedynie dzięki tobie. Miał tylko ciebie. I nawet gdy wyjechał, nigdy nie przestał pisać.

Tym razem Nina nie mogła wydobyć z siebie słowa. A więc były jakieś listy. Nie miała o tym pojęcia. Czuła, że jej twarz nagle zmienia się w maskę. Jak u tych kobiet, które przebijają się, by przez resztę życia nosić strój wdowy. W maskę rozpacz.

– Musisz wiedzieć, Nino – powiedziała Margareta, podnosząc się i obejmując młodą kobietę – że wtedy twój ojciec wiele razy próbował popełnić samobójstwo. Cierpiał.

Nina odepchnęła łagodnie Margarete, wstała i wyszła. Zaschło jej w gardle. Kręciło jej się w głowie. Przechodząc koło okna, zobaczyła w nim matkę siedzącą nad jakąś robótką. Obok niej leżała torba z przyborami do szycia. Matka wydawała się zamyślona. Gdy Nina weszła, wstała od stołu.

– Chcę zobaczyć listy.

Z jednej strony ta cisza, ten przenikliwy wzrok. Z drugiej zawroty głowy i suchość w gardle.

– Listy od taty. Te, których nigdy nie przestał pisać i które zawsze przede mną ukrywałaś.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, gdy Nina była jeszcze małą, Marit Eliansen, kobieta wierząca i obowiązkowa, zaczęła się śmiać. Był to jednak śmiech, który ranił, wynaturzony przez lata zgorzknienia, których doświadczyła kobieta.

– Ależ byłam głupia i pyszna, kiedy myślałam, że mogę to wszystko zmienić. Że mogę zmienić was.

Śmiała się, i przez ten śmiech uzalała się nad własną pychą. Chroniła się we własnym, bezpiecznym świecie, w świecie grzechu i żalu za grzechy. Nina pojęła dwie rzeczy. Po pierwsze, ostatni raz widzi się z matką. Po drugie, matka musiała teraz ustąpić. Jeśli były jakieś listy, musiała je jej dać. Nie było ratunku. Marit Eliansen wybierze teraz drogę bez powrotu, na którą mąż i córka nie będą już mieli prawa wstępu, w przeciwnym bowiem wypadku zniszczyłoby to jej równowagę życiową. Domagając się wydania listów, Nina wybrała, po czyjej jest stronie.

Ostatnie spazmy śmiechu wykrzywiły twarz matki w ohydny grymas. W końcu uspokoiła się, odzyskała kontrolę nad oddechem, zapanowała nad twarzą. Wracała z bardzo daleka.

– Więc pójdziesz z nim do piekła...

Wstała i wyszła. Nina czekała. Patrzyła na tę robótkę z haftami, jedną z tych, nad którymi zawsze widywała swoją matkę. Były to starannie haftowane serwetki, robione dla dzieła misji ewangelizacyjnych, które zyskały sławę w całym hrabstwie. Mówiono o nich: „Ręka Pańska”. Nina, odkąd pamiętała, dostawała takie serwetki na każde urodziny. Zawsze fascynowało ją to, że kobieta tak bezlitosna i nieprzejednana była zdolna do takiej finezji i wrażliwości, wyrażanej suchymi, nerwowymi rękami. Matka wróciła po dwóch minutach. Położyła przed Niną kilka listów.

– Musisz wiedzieć... że większość listów odesłałam.

Nina wahała się przez chwilę. Czy powinna je od razu przeczytać? Nie chciała okazywać uczuć przy tej bezdusznej kobiecie. Zadowolili się obejrzeniem kopert. Był na nich numer skrytki pocztowej. Bez adresu nadawcy.

– Gdzie on jest?

Na chudej, pociągłej twarzy Marit nie było widać śladu ostatnich przeżyć.

– Nie wiem. I nie interesuje mnie to.

– Nie jestem już małą dziewczynką. I muszę go znaleźć, ze względu na śledztwo, które prowadzę. Jeśli chociaż raz w życiu jesteś w stanie zapomnieć o dawnych urazach, zrób to teraz.

– A czemu miałabym wiedzieć, gdzie on jest?

– Czemu? Po prostu dlatego, że chcesz wszystko kontrolować.

Marit Eliansen nie wydawała się nawet urażona uwagą córki. Obie kobiety toczyły ze sobą bitwę, przybierając obojętne maski.

Tak mało listów, mimo tylu lat.

– Ile listów odesłałaś?

Marit potrząsała głową, jakby chwyciła ją drzączka, ale ten ruch wyrażał jedynie odrazę i odrzucenie. Pancierz się odnawiał. Nina nagle nabrała pewności, że Marit Eliansen nie widzi już przed sobą córki. Inkwizytorka widziała przed sobą jedynie potępioną duszę. Nina dostrzegła w tym drzeniu głowy nagły odruch litości. Uważa mnie za córę zatracenia, za obcą osobę, która potrzebuje pomocy. Tylko tym mogła sobie wyjaśnić ten nagły błysk ludzkich uczuć w jej oczach. Obcy człowiek, którego trzeba ocalić. Dobro, Zło, to wszystko, o czym Nina słyszała tu od dzieciństwa. Gwałtownym ruchem chwyciła listy i podeszła do drzwi.

Zatrzymała się na progu. Spojrzała na koperty. Odwróciła się, wskazując na listy.

– Dlaczego zachowałam właśnie te?

Marit Eliansen posłała córce długie spojrzenie. Ona także zrozumiała w końcu, że stało się coś nieodwracalnego.

– Zawsze byliście tacy sami. Mam tylko nadzieję, że nie skończysz tak jak on. Będę się za ciebie modlić.

Rozdział 37

Hammerfest, 8.35

Nilsa Sormiego obudził wcześniej rano niepokojący telefon. Noc spędził na Bella Ludwiga, pływającym hotelu, który zarzucił kotwicę niedaleko fabryki na wyspie Melkøya. Nie chciał zostawać z Elenor. W ten czwartkowy poranek był na statku nieomal sam. Na takich budowach nieustannie trwały prace i wielu robotników, którzy przepracowali dwa tygodnie z rzędu, wyjeżdżało teraz do siebie, korzystając z długiego tygodnia odpoczynku. Ostatniego dnia przed weekendem dwoili się i troili, żeby tylko wyjechać jak najwcześniej następnego dnia. Nils jadł śniadanie w ponurej stołówce pływającego hotelu. Nocował tu po raz pierwszy od śmierci obu nafciarzy. Nastrój był jeszcze podlejszy niż zazwyczaj. Wciąż nie było Paulsena. Nils jadł sam przy stole z jasnego drewna, oświetlonym słabym światłem.

Telefonowano z biura adwokackiego w Stavanger. Nils Sormi pomyślał nieufnie, że to chyba za wczesna pora. Jego rozmówca rozpoczął od stwierdzenia, że jego biuro działa szybko, skutecznie, a zwłaszcza dyskretnie. Nim wdał się w dalszą rozmowę, nurek postawił mu cały szereg pytań, sprawdzając tożsamość prawnika. Ale mężczyzna zachował spokój i spytał Sormiego, czy chce wreszcie wysłuchać, co ma mu do powiedzenia. Jego kancelaria adwokacka reprezentowała różnych klientów, podejmując w ich imieniu różne działania. Niekiedy, oczywiście nie zawsze, wymagało to dyskrecji, ale Nils nie zaprzętał sobie głowy tego rodzaju pytaniami. Miał wiedzieć to, co powinien wiedzieć. Przedłużający się wstęp adwokata zaczynał Sormiego denerwować.

– Musi pan jedynie wiedzieć, panie Sormi, że jest pan beneficjentem polisy ubezpieczeniowej na życie, i że mój klient nalegał, by zachować jego anonimowość. W ciągu tygodnia otrzyma pan oficjalne dokumenty oraz pieniądze, po przeprowadzeniu rutynowych czynności kontrolnych.

Nils Sormi odsunął talerz i przez chwilę wpatrywał się w swoją filiżankę kawy. Wokół niego życie biegło swoim zwykłym torem. Nieliczni robotnicy w niebiesko-pomarańczowych kombinezonach jeden po drugim wychodzili z sali, opróżniając przy wyjściu tace. Sormi miał dostać ogromną sumę. Szalał z radości, ale nie dawał tego po sobie poznać. Dwa i pół miliona euro. Prawie dwadzieścia milionów koron norweskich. Nawet dla tak doskonale zarabiającego człowieka jak on była to ogromna kwota. Równowartość dziesięciu lat pracy. Naszły go wątpliwości i zaczął szukać w Internecie informacji o tej kancelarii adwokackiej. Upewniło go nazwisko adwokata, które znalazł na stronie kancelarii. Wybrał numer, pod pretekstem dodatkowych pytań upewniając się, czy połączenie nie zostało sfingowane. Prawnik był bardzo grzeczny i układny.

– Zapomniałem pana poinformować, że do oficjalnych dokumentów zostanie dołączony zapieczętowany list. Pochodzi on od mojego klienta.

– Ale kto, kurwa mać, chce mi dać dwadzieścia milionów!?

Sormi od razu pożałował swojego wybuchu. Ostatni robotnicy obecni na sali przystanęli. Patrzyli na niego.

– Dwadzieścia milionów dinarów irackich – zagrział Sormi tak, żeby wszyscy słyszeli – tak, od nie wiadomo kogo. Przestańcie mnie wkurzać!

Nie czekając na odpowiedź, ruszył ku kabynie swojego partnera.

Południowy zachód Norwegii, 8.40

Ninę obudził zapach kawy, którą nalewała właśnie Margareta. Uświadomiła sobie, że jest głodna. Młoda policjantka przenocowała u sąsiadki. Poprzedniego dnia zabrała kilka rzeczy, do których jeszcze była przywiązana. Potem poszła na długi spacer po fiordzie. W jej życiu skończył się pewien etap; zdawała sobie z tego sprawę i chciała uczcić tę szczególną chwilę. Oddychała głęboko, wchłaniając na nowo ten idylliczny krajobraz, który tak dobrze znała z dzieciństwa. Te wysokie, strome góry, ten na wpół jeszcze rozwinięty kobierzec zieleni, po którym biegała za baranami, drewniane rusztowania, na których suszyły się dorsze, wystawione na podmuchy wiatru wiejącego od Atlantyku. Przypomniała sobie, jak jako małe dziecko, podobnie jak inne dzieci w jej wieku, zarabiała na kieszonkowe, obcinając dorszom języki i sprzedając je jako wyjątkowy przysmak. Podeszła na brzeg fiordu i spojrzała na piętrzące się naprzeciw niej skały, na których rozegrał się pierwszy w jej życiu dramat: zobaczyła jagnię przygniecione przez spadające kamienie. Jagnię, któremu razem z ojcem pomogli przyjść na świat. Była

niepocieszona przez prawie tydzień. Od tamtego dnia ojciec wieczorem gładził ją po włosach, pomagając jej zasnąć. Nina zamknęła oczy i znów poczuła jego dotyk. Wiatr wiejący od morza szeptał jej słowa, które tak często słyszała. Kiedy ojciec odszedł, wchodziła dopiero w wiek dojrzewania.

Wróciwszy późnym popołudniem ze spaceru, zapukała do drzwi Margarety. Stara sąsiadka poczęstowała ją talerzem zupy, po czym Nina udała się do małego pokoju, który przygotowała dla niej Margareta. Nie miała siły na dalsze zmagania ze zmęczeniem i z emocjami. Musiała skrócić rozmowę telefoniczną z Klemetem, który poinformował ją, że chce jeszcze dokładniej sprawdzić Gunnara Dahla i Markko Tikkanena. Chciał też bliżej przyjrzeć się Nilsowi Sormiemu, i Nina miała jeszcze tyle energii, by odradzić mu ten ostatni pomysł ze względu na policzek, który mu wymierzył.

Obudziwszy się, już bardziej przytomna, położyła koperty obok filiżanki z kawą. Były stare i wymięte. Matka nie chciała jej powiedzieć, dlaczego zachowała właśnie te ani ile ich wyrzuciła. Listy były adresowane do Niny. Ile wtedy miała lat? Piętnaście? Siedemnaście? Otworzyła najstarszy list, wysłany, gdy miała piętnaście lat. W środku była kartka pocztowa z okolic Stavanger. Ojciec zaczął od złożenia jej życzeń z okazji urodzin. A przecież myślała, że zupełnie o niej zapomniał. Zawsze wymyślał jej jakieś imiona; tym razem pisał do niej „moja Nineczko”. List był prosty. „Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, moja urocza Nineczko. Masz już piętnaście lat, jesteś już prawdziwą dziewczyną. Chciałbym uściskać Cię bardzo mocno, ale muszę jeszcze zostać tu, gdzie jestem, ze względu na pracę. Mam nadzieję, że kiedyś to zrozumiesz. Ale musisz wiedzieć, że nie ma dnia, żebym o Tobie nie myślał. Trzymaj się i bądź dzielną, stanowczą dziewczyną, jaką zawsze byłaś”.

Nina zastanawiała się, dlaczego matka oszczędziła właśnie tę kartkę. Może była po prostu jedną z wielu, może dużo ich pisał. Spojrzała znów na kartkę, potem na stempel na kopercie. Adres pocztowy się zgadzał. Ale to było tak dawno temu.

Następny list był podobny. Czułe słowa, wspomnienie wspólnego dwudniowego spaceru po wyżynie nad fiordem, na którym po raz pierwszy biwakowali pod namiotem. Nina doskonale pamiętała tę wyprawę. Miała kilkanaście lat i była ogromnie dumna, że przez wiele godzin maszeruje z plecakiem. Pamiętała też to, o czym ojciec w liście nie

wspominał. Tę noc z nim pod namiotem, kiedy dręczyły go koszmary. Nina była przerażona. Nazajutrz rano powiedziała mu z pretensją w głosie, że w nocy przeszkadzał jej spać, i zobaczyła spojrzenie swojego ojca, spojrzenie, którego nigdy nie zapomniała. Nie odpowiedział na jej pytania, był tylko zaskoczony, przeprosił i śmiejąc się, podszedł do rzeki, żeby się umyć. Wkrótce dołączyła do niego Nina, śmiejąc się i wrzeszcząc z zimna w lodowatej wodzie. Jeszcze jedna skrytka pocztowa, tym razem fińska. Co jej ojciec robił w Finlandii? W liście nie było o tym mowy.

W żadnym z listów niczego o sobie nie pisał. „Tu wszystko w porządku”. Ta sama formuła. Jeszcze następny list. „Szczęśliwych urodzin, moja duża Ninuśko, szesnaście lat, proszę, jaka z Ciebie duża panna”, „gotowa stawiać czoło światu”. „Tu wszystko w porządku”. List znów został wysłany z Finlandii, z Utsjoki. Nina sprawdziła w swoim telefonie. Utsjoki było małym miasteczkiem w fińskiej części Laponii, tuż nad granicą norweską. Inne listy – nie było ich zbyt wiele – wysłano również stamtąd. Łącznie z ostatnim. „Moja droga Nino, masz już dwadzieścia lat. Musi być z Ciebie wspaniała dziewczyna”. Zamiast adresu obok nazwy miasteczka widniało coś w rodzaju nazwy skrytki pocztowej. Czy wciąż jest w Laponii? Ale cóż by tam jeszcze robił? A może jest właśnie tam, tak blisko.

Hammerfest, 9.00

Tom Paulsen kończył się golić. Nils próbował zachować spokój. Był podekscytowany, ale zachował ostrożność. Opowiedział o telefonie, nie wymieniając sumy.

– Kupa forsy, ale nie to jest ważne.

– I nie masz pojęcia, kto to?

Sormi potrzęsnał głową.

– W ciągu tygodnia adwokat ma mi przysłać papiery. Ten typ nie chciał mi nic powiedzieć. Szczerze mówiąc, nic z tego nie rozumiem. W każdym razie może szybciej kupię tę działkę nad miastem.

– Chyba że jest w tym jakiś haczyk. Myślałeś o tym?

– Ale czemuż by? Adwokat o niczym takim nie mówił. Polisa na życie, mój Boże, jakiś facet, który cię lubi, zapisuje ci w razie swojej śmierci mnóstwo forsy. Koniec, kropka. Nie ma w tym żadnego haczyka. Takie rzeczy bez przerwy się zdarzają.

Jego partner wydawał się sceptyczny. Dlaczego miałby go o coś podejrzewać?

– Czy masz choćby najmniejsze pojęcie, kto po śmierci mógł zrobić ci taki prezent?

– O ile wiem, nikt z mojej rodziny ostatnio nie umarł.

Tom znów spojrzał na niego wzrokiem, który wzbudził w nim podejrzenia.

– Powiedz, co ci leży na sercu.

– Nie wiem, myślę o tym wypadku w kabinie, o tych esemesach, które dostałeś, i...

– Po dwóch dniach znów dostałem wiadomość, dokładnie te same słowa, powtórzone po godzinie. Dwa dni później to samo.

– A więc najpierw te wiadomości, a teraz ta kupa forsy. Mówię ci tylko, żebyś uważał.

– Co masz na myśli? Mógłbyś mówić wyraźniej?

– Mówię tylko, żebyś miał się na baczności. Wszyscy tu wiedzą, że Teksańczyk darzył cię sympatią.

Rozdział 38

Skaidi, 10.30

Pogrzeb Larsa Fjordsena wyznaczono na środę dwunastego maja. Komisarz Ellen Hotti dała do zrozumienia tak wyraźnie, jak tylko było to możliwe, że jeszcze przed uroczystością należy wyjaśnić okoliczności śmierci burmistrza. Zbyt wielu polityków i ludzi wpływowych miało wziąć udział w pogrzebie. Ellen Hotti nie mogła uniknąć gradu pytań i zamierzała na nie odpowiedzieć. Klemet próbował oponować. To nie należało do kompetencji straży reniferów. Ale pani komisarz nie zważała na jego sprzeciw. Należało zmobilizować wszystkie siły. Niech Klemet nie zawraca jej głowy szczegółami. Zadzwoił do wuja. Nils-Ante odnalazł kontakt, o którym mówił. Ciotka Nilsa Sormiego mieszkała w Alcie, mniej więcej godzinę drogi od schroniska policyjnego. Klemet miał jeszcze czas, by przesłuchać ją przed powrotem Niny. Nina przylatywała o 17.18 na lotnisko w Alcie i postanowił ją odebrać. Pomyślał, że sprawi mu to przyjemność. Może.

Ciotka Nilsa Sormiego zgodziła się z nim spotkać, choć przez telefon nie powiedział dokładnie, o co chodzi. Miała przyjemny, szorstki głos. Najwyraźniej paliła papierosy. Jak Eva. Dopytując się o Nilsa, ryzykował. Ktoś mógł go oskarżyć o nękanie, o chęć załatwiania własnych porachunków, zwłaszcza po tym, jak go spoliczkował. Mógł chcieć pogrążyć Sormiego, by po fakcie uzasadnić swoją wcześniejszą dociekliwość. „A widzicie, miałem rację, jednak ma coś na sumieniu”. Klemet nie przyznawał się do tego przed samym sobą, ale niepokoił go pewien szczegół: ta plama z wymiocin na rękawie kombinezonu Sormiego. Po zdarzeniu nigdy już z nim o tym nie rozmawiał. Nawet tam, nad jeziorem, gdy wyjaśniali sobie różne rzeczy. Ten szczegół nie pasował do powszechnie znanego obrazu ulubieńca koncernów naftowych. Do obrazu aroganckiego młodzieńca, który kombinował Bóg wie co z Tikkanenem. Dlaczego Klemet nie mógł uwolnić się od tego wrażenia?

Jemu, racjonalnemu do bólu policjantowi, przeszkadzała zwykła plama z wymiocin.

Po godzinie drogi zapukał do drzwi małego, uroczego drewnianego domku, świeżo odmalowanego na żółto. W oknach okolonych białymi ramami wisiały firanki. Przynajmniej nie była laestadianką. W Alcie było wielu adeptów tego luterańskiego ruchu. Otworzyła mu kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat. Spojrzała na Klemeta z rozbawieniem. Przez chwilę stał bez ruchu, próbując uzmysłwić sobie, jak wygląda w połączeniu ciemnoszarego garnituru z traperskimi butami. Zdjął czapkę, wytarł nogi i zdjął buty. Wuj Nils-Ante mówił prawdę. Miał przed sobą ładną kobietę o ciemnych, najwyraźniej farbowanych włosach. Pewną siebie. Była w tym podobna do Nilsa Sormiego, choć nie miała w sobie jego arogancji. Według informacji, które uzyskał od wuja, Sonia Sormi nigdy nie wyszła za mąż, co zresztą nie przeszkadzało jej prowadzić bogatego życia osobistego, odznaczającego się z jak największą przyzwoitością i dyskrecją. Klemet nie próbował dociekać, czy jego wuj był jednym z amantów tej pięknej pięćdziesięciolatki. Sonia Sormi uczyła gastronomii w szkole zawodowej w Alcie, specjalizującej się w mechanice. Uczniowie traktowali jej nieobowiązkowe zajęcia jako niezobowiązujący dodatek, co zupełnie jej nie przeszkadzało. Wprowadziła go do kuchni. Z kawiarki dobywały się kłęby pary. Nalała kawy do dwóch filiżanek, usiadła i uśmiechnęła się wyczekująco do Klemeta.

– Chciałbym, aby ta rozmowa pozostała między nami.

Sonia Sormi spojrzała na niego tylko pytającym, wciąż jeszcze rozbawionym wzrokiem. Klemet żałował, że nie był przygotowany. Co właściwie wiedział o Sormim?

Nurek wydobył z wody ciało Erika Steggo.

Był w bliskich kontaktach z Tikkanenem.

Znajdował się na pływającym hotelu w chwili wybuchu kabiny, który kosztował życie dwóch mężczyzn, z którymi niedługo wcześniej się kłócił. Lepiej niż inni wiedział, jak obsługiwać takąabinę i jak spowodować wypadek. Czy był w zмовie z człowiekiem, którego rozpoznały rosyjskie prostytutki i którego znaleziono martwego w Cieśninie Wilka? Czemu wcześniej nie pomyślałem o tej hipotezie? Siedząca naprzeciw niego Sonia Sormi, szanując jego milczenie, popijała kawę małymi łykami.

Nils, Erik, Juva. Trzej przyjaciele z dzieciństwa.

– Chcę lepiej zrozumieć charakter Nilsa.

– Dlaczego? Podejrzewasz go o coś?

– Nie, nie, dlatego właśnie chcę, żeby treść tej rozmowy została między nami. Nie ma potrzeby robić szumu. Jeśli cię to krępuje, nie będę cię dłużej niepokoić.

– Nie, zostań. – Położyła rękę na filizance Klemeta.

Odebrał ten gest nieomal tak, jakby dotknęła jego ręki. Prawie poczuł jej ciepło.

– Czy Nils jest pamiętliwy?

– Co za śmieszne pytanie! Pamiętliwy? – Potrząsnęła głową. – Nie wiem, myślę, że tak jak wszyscy. Nils spędził ze mną wiele czasu, gdy jego rodzice odesłali go tu, wyrывая z lapońskiego środowiska.

– Wyrывая?

– Tak, wyrывая. To jest właściwe słowo. Mój brat mieszkał z żoną w Kautokeino. Nils spędził tam dzieciństwo, ale oni dość szybko zdecydowali, że trzeba posłać go na wybrzeże, czyli do mnie. Była to zwłaszcza decyzja mojej szwagierki. Nie było to dla mnie żadnym problemem. Nie miałam męża ani dzieci. Mieszkając u mnie, po raz pierwszy w życiu zobaczył nurka. To go zafascynowało.

– Nie wiedziałem, że w Alcie też byli nurkowie.

– Wtedy jeszcze mieszkałam w Hammerfest. Pracowałam w przetwórni ryb. Nim gaz wszystkiego nie wymiół. Dla Nilsa to była w jakimś sensie szansa. Jego rodzice popchnęli go w to środowisko. Byli szczęśliwi, że...

– Że się wyrwał?

– Tak.

– Niezupełnie rozumiem.

– Jesteś Lapończykiem?

– A nie widać?

– Nie całkiem.

– Myślę, że powinienem odpowiedzieć „tak” na twoje pytanie.

Zaśmiała się.

– Nie jesteś pewien?

– Wszystko rozumiesz.

Przyglądała się mu przez chwilę, mierząc go poważnym, życzliwym spojrzeniem.

– To wszystko nie jest zbyt zabawne, ale wiesz, jak to jest, jeśli jesteś Lapończykiem i mieszkałeś w pobliżu miasta. Mój brat to dobry człowiek,

tylko dość wrażliwy. Nasi rodzice wzrosli w pewnym nieporozumieniu. W naszej rodzinie długo byliśmy dumni z jednego z naszych przodków.

Przez chwilę zastanawiała się, jakby coś liczyła.

– Mówię o moim pradziadku, a może prapradziadku. Objechał całą Europę. Wtedy to była rzadkość, zapewniam cię. Moi dziadkowie przechowywali fotografie z jego podróży, wspominali. A potem, w latach siedemdziesiątych, a raczej osiemdziesiątych, wszystko wróciło. Ja byłam młoda, mój brat jest trochę starszy ode mnie.

– Wszystko wróciło?

– O ile wiem, pewnego dnia mój brat przyłączył się do manifestantów protestujących przeciwko projektowi wzniesienia tamy w Alat. Wtedy, jak wiesz, Lapończycy byli bardzo rozpolitykowani.

Klemet słuchał bez słowa. Wiedział to aż za dobrze.

– Protestowali przeciwko dawnej polityce kolonialnej, ze wszystkimi jej konsekwencjami. I jeden z tych młodych przypomniał sobie, że ów sławny pradziadek czy prapradziadek był...

– Tak?

– ...że był pokazywany na wystawach. Jako dobry dzikus. Wiesz, wtedy...

Klemet pokręcił głową.

– To były inne czasy. I w naszej rodzinie zawsze powtarzano tę historię z dumą. Historię o prapradziadku, który postanowił objechać całą Europę. Oglądaliśmy zdjęcia, na których pozował z dumą, z paroma reniferami i z całą rodziną. I ci manifestanci wszystko zepsuli. Nasz przodek stał się wstydliwą, dobrowolną ofiarą dawnej polityki rasowej. Z tego nie sposób było być dumnym. Padło wtedy wiele mocnych słów. Mój brat nie był na to przygotowany. Zamknął się w sobie. Bałam się o niego. Bał się wychodzić z domu.

Podniosła się, żeby dolać kawy. Klemet zobaczył, że się wzruszyła.

– Pradziadek stał się w naszej rodzinie tematem tabu. Mój brat miał pretensje do rodziców, że wpoili mu błędne wyobrażenia na jego temat.

– Przecież nie byli niczemu winni. Tak wtedy było.

– Wy tłumacz to nastolatkowi. Przeżył to o wiele ciężiej ode mnie. Nie wiem, co ci ludzie mu wtedy nagadali, ale był zupełnie zdruzgotany. Odrzucił to wszystko, cały ten folklor związany z hodowlą reniferów.

– A jaki to ma dziś związek z Nilsem?

– Nie wiem. Ale Nils nie zna tej historii. Jedno jest pewne: wiem, dlaczego jego rodzice postanowili trzymać go od tego wszystkiego z daleka. Nie chcieli, by miał cokolwiek wspólnego z naszą historią.

Klemetowi trudno było rozstać się z Sonią Sormi. Pomyślał, że może jeszcze kiedyś ją odwiedzi. Pokazała mu kilka zdjęć. Poczł się nieswojo. Wahał się, czy opowiedzieć jej własną historię, historię o dziadku, którego wykluczono ze środowiska hodowców. Z innych powodów. Chociaż równie bolesnych. I historię swojego ojca, który, jak potem zrozumiał, żył z czymś w rodzaju wstydu. Klemet pojął ironię tej sytuacji. Ten dupek Sormi i on mieli ze sobą, jak widać, więcej wspólnego, niż kiedykolwiek przypuszczał.

Po wyjściu od Soni udał się do agencji wynajmu samochodów, znajdującej się przy drodze E6, prowadzącej do lotniska, na terenie małej strefy przemysłowej nad brzegiem fiordu. Topnienie śniegu było tu widoczne bardziej niż w głębi lądu. Zatrzymał się przed szyldem wiszącym nad wejściem do hali. Koło małych drzwi stał stół i dwa fotele kempingowe, tworząc rodzaj improwizowanej poczekalni, znajdującej się obok wielkiego wjazdu do hali. Jakiś mężczyzna, paląc papierosa, przyglądał się, jak wychodzi z pikapa. Miał na głowie czapkę, która zachodziła mu na oczy. Klemet pozdrowił go i wyjaśnił, co go sprowadza. Mężczyzna podniósł się powoli i wrócił ze skoroszytem, który położył na chybotzącym się stole. Zaprosił Klemeta, żeby usiadł, i nalał mu kawy. Klemet milczał. Otworzył skoroszyt na pożądaną stronę. Umowa wynajmu furgonetki, którą znaleziono na dnie cieśniny, wystawiona była na nazwisko Norwega. Klemet pokazał zdjęcia trzem pracownikom wypożyczalni. Popiół, którego nie strzepnął z papierosa, spadł na zdjęcia. Nie zrobił nic, żeby go z nich zmieść. Wskazał palcem na jedną z twarzy. Klemet spojrzał na kserokopię prawa jazdy. To samo zdjęcie co w paszporcie. Oba dokumenty musiały być wystawione w tym samym czasie. Należały niewątpliwie do Knuta Hansena. Kim był ten człowiek? Czy paszport drugiej z ofiar też był fałszywy? I co robił z nimi Anta Laula? Jego przynajmniej zidentyfikowano. Komisarz Hotti poleciła mu, by się zanadto nie rozpędzał. Śledztwo straży reniferów miało dotyczyć sprawy Sikku i środowiska hodowców oraz ich ewentualnych związków z historią Fjordsena. Nalegała, by całą resztę zostawił w spokoju. Nie jesteś jedynym gliną w okolicy. Wiedział, że jego koledzy dzwonili już do właściciela wypożyczalni, żeby sprawdzić nazwisko kierowcy. Wiedział.

Nie musiał tu przyjeżdżać. To nie należało do niego. Ale wypożyczalnia znajdowała się tuż obok lotniska, a on czekał na Ninę. Wpadł tu mimochodem.

Klemet przeglądał pozostałe umowy. Patrzył na właściciela wypożyczalni, który obserwował go z petem w ustach. Miał nadzieję, że znajdzie inne interesujące nazwiska. Pomyślał znów o Fjordsenie. Burmistrz Hammerfest mógł ściągnąć tu swoich starych wrogów. Ale żadne z nazwisk z niczym mu się nie kojarzyło. Nic mu nie mówiły. Jeśli ten typ z furgonetki miał fałszywe dokumenty, to inni też mogli je mieć. Zanotował nazwiska i poprosił o kserokopię prawa jazdy. Nie wiedział jeszcze, czy jest prawdziwe, czy fałszywe. W furgonetce nie znaleziono żadnego prawa jazdy. Musiało jednak gdzieś być, na przykład w razie kontroli dokumentów. Prawo jazdy powinno zgadzać się z umową wynajmu. Żeby nie było głupiego prawa jazdy!

– Nic nie rzuciło ci się w oczy, kiedy ten człowiek przyszedł wynająć u ciebie furgonetkę?

Klemet zastanawiał się, czy właściciel wypożyczalni jest w stanie otworzyć usta na tyle, by wydobyć z nich jakieś zrozumiałe dźwięki. Czekał z zaciekawieniem.

Pokręcił głową. Nie, niczego nie zauważył.

– Jak zapłacił?

– Nie zapłacił.

Klemet nieomal zdziwił się, słysząc jego głos. Powolny, głęboki głos. Nie zapłacił.

– Miał zapłacić po zwróceniu pojazdu? Wzięłeś od niego imprint karty płatniczej?

– Nie miał karty. Pokazał mi wizytówkę jakiejś firmy z jego nazwiskiem i podał dane innego faceta, który miał za niego ręczyć. O ile dobrze zrozumiałem, chodziło o jego szefa.

– I nie wydało ci się to podejrzane?

– Tak się tu robi. Tyle jest tych firm, które zatrudniają podwykonawców.

– I sprawdziłeś?

– W tym kraju ufamy ludziom.

– Można zobaczyć tę wizytówkę? – spytał Klemet.

Była podpisana do umowy wynajmu. Zrobił zdjęcie wizytówki i oddał ją właścicielowi. Znalazł nazwisko poręczyciela. Patrzył na nie zdumiony,

ciesząc się jak dziecko. Jak jego koledzy mogli przeoczyć coś takiego?

- Powiedziałeś o tym policjantom, którzy cię przesłuchiwali?
- Prosił tylko, żebym sprawdził, czy zgadza się nazwisko w umowie.
- Nie widzieli tego? – spytał Klemet, wskazując na wizytówkę.
- Przez telefon byłoby trudno.
- A ty im nie powiedziałeś?
- Nie pytali.

Klemet poczuł, że nie ma sensu nalegać. Podniósł oczy znad dokumentów, popatrzył na fiord i spojrział na zegarek. Niedługo powinna wylądować Nina.

Wzgórza wokół Kvalsund, po południu

Od rana Anneli przemierzała całą dolinę wzdłuż Ravdojavri, mijając wzgórza pomiędzy Unna Jeahkiras i Skoletoppen. Zmęczenie tą długą jazdą na nartach uspokajało ją. Zatrzymała się na brzegu zamrożonego jeziora Handdljavri i stała, obserwując jego powierzchnię. Topniejący w ostrych promieniach słońca śnieg, pokrywający część jeziora, był ciężki od wilgoci. Miejscami stopniał zupełnie. Warstwa lodu była jeszcze na tyle gruba, by unieść jej ciężar. To nie był zwykły śnieg. To była siebla, topniejący śnieg, który zamarzał dziś rano, zmieniając się w tjarva, i znów stopniał. Kiedy na nocnym mrozie śnieg zmieniał się w tjarva, powtórnie twardniejąc, należało jeszcze bardziej uważać na renifery, które mogły odejść gdzieś daleko, korzystając z twardego śniegu. Wraz z innymi hodowcami Anneli spędziła część nocy, pilnując, by nie rozpiechły się przed bliskim już kresem wędrówki, która powinna doprowadzić je nad cieśninę i dalej, aż do Wyspy Wieloryba. Zaczekała, aż śnieg rano stopnieje i będzie mogła zejść ze swego posterunku. W małej dolinie, przez którą przechodziły jej renifery, warstwa śniegu była jeszcze dość solidna. Sięgał im co najmniej po brzuchy i hamował przemarsz. Ale jego zniknięcie było kwestią dni. Mogła teraz udać się na spoczynek, lecz zbyt wiele myśli kłębiło się jej w głowie. Po śniadaniu, które zjadła razem z Susann i innymi hodowcami pod jej namiotem, założyła narty. Powiedziała, że wróci po południu.

Anneli ślizgała się po lodzie, nie zważając na przeszkody. W ten słoneczny czwartkowy dzień spotkała po drodze kilka norweskich rodzin, które wyjechały pojeździć na nartach. Oni przynajmniej nie jeździli na skuterach i nie płoszyli reniferów. Anneli zamachała z daleka, dając znak, że zwierzęta są w pobliżu, a Norwegowie podziękowali jej i skręcili

w inną dolinę. Gdyby wszyscy byli tak spolegliwi, pomyślała Anneli, to w Laponii starczyłoby miejsca dla wszystkich ludzi dobrej woli.

Wjechała na jezioro. Miejscami jego powierzchnię pokrywał jedynie nieomal przezroczysty lód i Anneli zdumiewała się bogactwem jaskrawych odcieni, którym lśnił w promieniach słońca. Zjechała na chwilę z jeziora, wracając na zbocze wzgórza. W dali widać było jej świętą skałę. Ich skałę. Była zdziwiona, gdy Erik przyprowadził ją tu po raz pierwszy dwa lata temu. Było to również wiosną, ale wiosna była wtedy łagodniejsza, wspanialsza, cieplejsza. Była to wiosna ich marzeń. Przyjechali na nartach i Erik, nie wyjaśniając, o co chodzi, powiedział, by zostawiła narty obok jego nart nad brzegiem jeziora i żeby poszła za nim. Weszli na wzgórze. Wspinaczka na szczyt niewielkiego wzniesienia nie trwała długo. Na południowym wschodzie widać było rozpościerające się u ich stóp jezioro, a w dali majaczyły zarysy rzeki Kvalsund, skutej jeszcze lodem. Na północnym zachodzie, za cieśniną, widać było wyraźnie Wyspę Wieloryba.

Z tajemniczą miną Erik wyciągnął ze swojego ogromnego plecaka skórę renifera i rozłożył ją na śniegu tuż pod skałą. Szczyt wzgórza znajdował się kilka metrów od nich, za wielkimi szarymi skałami, pokrytymi brązowymi i żółtymi płatami porostów. Erik wyjął z plecaka termos i brzoszowe kubki. Wszystko przewidział, a ją ogarnęło uczucie szczęścia. Założył znów plecak i bez słowa wziął ją za rękę. Obeszli szczyt od południa. Doprowadził ją do sterczącej ostro, wznoszącej się ku niebu skały, która wydawała się odrywać od szczytu i lekko przechylać w przepaść. Była wielkości Erika. Jej krańce tonęły w śniegu. Erik przyklęknął i wyciągnął z plecaka róg renifera. „Pamiętasz?” Tak, pamiętała. Kilka dni wcześniej, podczas festynu wielkanocnego, chodzili po targu w Kautokeino. Jeden z braci jego dziadka sprzedawał tam rogi reniferów o niezwykłych kształtach. Erik wziął Anneli za rękę i zaczęli bawić się w wymyślanie, co przedstawiają. Erik skarżył się, że przy jej zdolnościach poetyckich nie ma szans, a Anneli tylko się uśmiechnęła, wzruszona jego pokorą. Poetą jest ten, kto czuje w rzeczach piękno, odpowiedziała łagodnie. Żeby widzieć piękno, nie trzeba słów. Wyraźnie przejęty, ścisnął ją za rękę. Wskazała na rogi, których odgałęzienia zdawały się owijać wokół siebie. Erik spierał się ze swoim wujem o cenę, zarzucając, że chce mu sprzedać rogi wykastrowanego renifera za cenę rogów niewykastrowanego. Pertraktacje trwały jakiś czas, i wtedy Anneli

dostrzegła rogi, których kształt przywodził na myśl drzewo genealogiczne, niezwykle kształtne, o wyraźnej, regularnej formie. Nie były duże, ale stanowiły istne dzieło sztuki. Wuj spojrzął na nich przekornie, zmierzył Erika wzrokiem, puścił oko do Anneli i stwierdził, że te rogi nie są do sprzedania. Erik już miał mu skoczyć do gardła, gdy wuj, śmiejąc się, oświadczył uroczyście, że rogi te należały do niewykastrowanego samca i że daje mu je w prezencie. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Erik przechylił się w stronę wuja, próbując dać mu kuksańca. Była to niezwykła chwila, pełna prostej, prawdziwej radości. Potem wuj, odzyskując powagę, podszedł bliżej do Erika i Anneli. Nie mógłbym sprzedać tych rogów, powiedział, a to dlatego, że dał mi je kiedyś, dawno temu, pewien fiński handlarz. Handlarz ten miał wyrzuty sumienia, gdyż kiedyś zabrał te rogi ze świętej skały, którą wskazał mu pewien stary hodowca, nie wiedząc wówczas, co robi. Krótko mówiąc, kupiec spił starego Lapończyka. Erik popatrzył poważnie na wuja i zapewnił go, że jeśli mu je da, znajdą się w dobrych rękach. Teraz wyciągał je z plecaka. Te rogi zostały stworzone dla nas, powiedział jej. Chciałem kupić rogi niewykastrowanego samca, dodał z poważną miną dziecka, gdyż takie rogi są twardsze i trwalsze od rogów wykastrowanych jeleni. Chciałem, by były równie trwałe, jak moja miłość do ciebie.

Tego dnia Erik odważył się i poprosił ją o rękę. Złożył rogi za świętą skałą, ich świętą skałą, wyrastającą strzeliście ku północy.

Anneli nie była tu od czasu odejścia Erika. Wyciągnęła rękę i namacała poroże. Poczowała, jak zalewa ją fala gorąca. Na chwilę zamknęła oczy. Modliła się, jak czynili Saami, w skrytości serca, gdy wracali do wiary przodków, z dala od świata.

Rozdział 39

Lotnisko w Alcie, 17.30

Klemet od razu spostrzegł kątem oka, że podróż Niny się nie udała. Ta młoda blondynka miała napięty wyraz twarzy. Gdy była przygnębiona, jej niebieskie oczy przybierały niemal szary kolor. Uśmiechnęła się do niego, ale nie udawała, że jest w dobrym nastroju. Nina rzadko skrywała emocje. Nie chciała udawać ani grać komedii.

Zatrzymała się przy wyjściu z lotniska i odetchnęła głęboko. Podeszła do drewnianego stolika, usiadła. Postawiła walizkę na ławce.

- Gdybym paliła, chętnie poczęstowałabym się papierosem.
- Przyniosę ci kawy.

Klemet wrócił z dwiema dymiącymi filiżankami.

- Masz jeszcze rodziców? – spytała go.

Klemet próbował sobie przypomnieć, czy już o tym mówili. Na pewno nie. Nie czekała na jego odpowiedź.

- Właśnie straciłam matkę. Nie umarła, ale ją straciłam.

Mówiła szybko. Klemet słuchał, nie przerywając.

– Jak mogłam znosić to wszystko przez tyle lat? Klemet, powiedz szczerze, czy czasem jestem dziwna?

- Dziwna? Co masz na myśli?
- Nie wiem, czy dziwnie... reaguję.

Klemet popatrzył na swoją koleżankę. Dziwna. Oczywiście, że wydała mu się dziwna. Taka laska z południa, która tu przyjeżdża, to już było dziwne samo w sobie. I to jej wyciąganie przy każdej okazji aparatu fotograficznego, te jej uwagi, gdy była mowa o kobietach, to wszystko było trochę dziwne, ale nic więcej.

- Nie wiem, nie sędzę. Jesteś raczej... normalna.
- Aha, normalna...

Przez długą chwilę siedziała z zamkniętymi oczami. Potem otworzyła je i spojrzała na Klemeta.

– Mam pewien pomysł, gdzie szukać ojca. Myślę, że poznał środowisko nurków lepiej niż ktokolwiek inny. Być może mógłby nam powiedzieć, co robił tam Anta Laula. Poza tym tam coś jest, czuję to...

– Nina, wiesz, że twoje przeczucia...

– Och, litości, tylko nie zaczynaj.

– Czy przypadkiem nie idziesz tym tropem tylko po to, żeby nawiązać kontakt z ojcem?

– Ależ nie, co ty opowiadasz. Stoimy w miejscu i musimy coś zrobić, żeby popchnąć śledztwo naprzód.

– A więc to tylko twój instynkt?

– Dajże już spokój z tym instynktem, ja przynajmniej nie policzkuję podejrzanych.

Klemet nie odpowiedział od razu. Pili kawę. Każdy obraża się na swój własny sposób. Nina rzeczywiście miała teraz trochę obrażoną minę i było jej z tym do twarzy. Powinien jej to powiedzieć, ale pomyślał, że mogłaby mu chlusnąć w twarz tą gorącą kawą.

– Furgonetkę wynajął Gunnar Dahl.

– Co?

– Za furgonetkę, w której utonęli ci trzej mężczyźni, Anta Laula i dwóch pozostałych, poręczył w wypożyczalni w Alcie Gunnar Dahl. Sprawdziłem to, zanim wylądowałaś.

– Dahl? Ależ to nie ma sensu. Co powiedział?

– Jeszcze go o to nie pytałem.

Spojrzała na zegarek.

– Powiedział mi, że nie znał Lauli. Okłamał mnie. Niezły drań z tego rzekomego pastora.

– Może tak, może nie, jeśli znał któregoś z dwóch pozostałych mężczyzn z furgonetki.

– Dahl miał wszelkie powody po temu, żeby zlikwidować Steela i Henninga. A potem zlikwidował ludzi, którzy wykonali mokrą robotę. Obecność Lauli w furgonetce to może być czysty przypadek. Teoretycznie to się trzyma kupy.

– Teoretycznie Norweg nie pozbywa się konkurentów w Norwegii, żeby mieć więcej koncesji, skoro koncesje rozdaje się w tej chwili na prawo i lewo, tak bardzo rząd chce natychmiast zwiększyć wydobycie gazu i ropy na Morzu Barentsa.

– No proszę, zostałeś teraz specjalistą?

- Eva mi powiedziała.
- Aha, twoja kochana Eva, oczywiście.
- Odeła ze złością usta.
- Dobrze, jedziemy?

Nie czekając na Klemeta, Nina zaniosiła walizkę do pikapa i usiadła na miejscu dla pasażera. Klemet niespiesznie wsiadł do samochodu.

- Gdzie mam cię zawieźć?

Było jeszcze wcześniej. Pomyślała o tym, czego dowiedziała się pod jego nieobecność na południu.

- Możesz mnie zawieźć do Hammerfest?

Jechali niecałe dwie godziny i zdążyła jeszcze przebrać się szybko w schronisku w Skaidi. Tego wieczoru musiała poprawić sobie nastrój.

Gdy Anneli wyruszała w powrotną drogę, wciąż jeszcze było dość wcześniej. Dotarła do mostu w Kvalsund, przeszła przez niego na piechotę i poszła w stronę skały, która stała nad cieśniną. Też, przy której hodowcy składali czasem ofiary przed przeprawą reniferów. Obeszła ją, podobnie jak poprzednio. Gładziła ją ręką, próbując zrozumieć, co się tu stało. U stóp skały białeły luźne płaty śniegu. Po jej słonecznej stronie spływały wolno krople wody. Wiosna dawała o sobie znać. W małych zagłębieniach na powierzchni skały Anneli wyczuła kilka przedmiotów. Nie mogła wślizgnąć się tam na tyle, by zobaczyć, co kryje w sobie ten kamień, obiekt tajemnych modłów. Ukucnęła na chwilę, próbując schować się w otworze pomiędzy dwoma jego krańcami przypominającymi nogi. Przez chwilę poczuła, że jest jej dobrze. Zamknęła oczy, pozwalając myślom błądzić swobodnie. Potem wstała, jeszcze raz obeszła skałę, znów ją pogładziła, nie zwracając uwagi na nierówności, które raniły jej dłoń, i spostrzegła małą skórzaną bransoletkę. Poznała ją od razu. Wzięła ją do ręki, na której perliły się krople krwi, przez chwilę delektowała się jej miękkością, i odebrała telefon.

Rozdział 40

Black Aurora, Hammerfest, 20.50

Nils Sormi i Tom Paulsen pili piwo na tarasie na zewnątrz baru. Opierając się o bufet, Nils podziwiał zatokę Hammerfest. W nocy do wyspy Melkøya przybił supertankowiec. Arctic Princess, metanowiec, skonstruowany specjalnie do transportu gazu ze złoża Snø-Hvit, skrzył się w oddali. Dwie ogromne pomarańczowe kopuły na pokładzie, lśniące podobnie jak kadłub, wyrażały cały rozmach tego ogromnego projektu. Projektu, którego realizacja dopiero się zaczynała. Wkrótce całe Morze Barentsa zarozi się od podobnych instalacji, podobnie jak w latach siedemdziesiątych stało się z Morzem Północnym. Już uwijały się po nim statki badawcze, sprawdzające warunki sejsmiczne. Nadeszła ich kolej. Niecierpliwość była tak wielka, że gdy w lipcu 2011 roku Rosjanie i Norwegowie podpisali w końcu traktat wyznaczający granicę morską na Morzu Barentsa, po trzydziestu latach negocjacji, Harrier Explorer, norweski statek sejsmologiczny, pojawił się w strefie przygranicznej, którą uważano za bogatą w złoża ropy i gazu, w kilka minut po wejściu w życie porozumienia. Nie było wątpliwości – ich kolej naprawdę nadeszła.

Obok Arctic Princess majaczył pływający hotel Bella Ludwiga, przeraźliwie kanciasta konstrukcja. Przypominał pływające pudełko po butach. Nils Sormi pomyślał o wypadku w tylnej części statku-hotelu, który kosztował życie Steela i Henninga. Pociągnął łyk złocistego napoju. Tych dwóch z pewnością nie zdążyło nawet nic poczuć. W każdym razie nie życzyliby im tego. Wyobrażał sobie doskonale, z dokładnością do dziesiątych części sekundy, co działo się po otwarciu wjazdu. Henning musiał wiedzieć, co się stanie. Być może zdążył się przestraszyć. A Steel? Steel nigdy nie był nurkiem. Henning w młodości nurkował, więc być może zdążył pomyśleć, że jego komórki pod wpływem gwałtownej dekompresji za chwilę rozsądzi ciśnienie. Nils widział zdjęcia. Wydęta

skóra, odklejona od kości twarzy, straszliwa, absurdalna maska, przypominająca wykrzywione maski niektórych ludów pierwotnych.

– Myślisz o tym ubezpieczeniu? – spytał go partner.

– Tak, to cholerna niespodzianka, naprawdę nic z tego nie kapuję. Ale dobrze, wezmę tę forszę, możesz być tego pewien.

– Myślisz, że to może być sprawka tego Amerykanina?

Nils wyobraził sobie, jak musiała wyglądać reszta twarzy Steela. Nie znaleziono górnej części czaszki ani mózgu Teksańczyka. Jego lewą rękę, wyrwaną z barku, znaleziono w odległości dziesięciu metrów od kabiny.

– Billa? Fakt, że mnie lubił. Dziwne.

– Zrobił z ciebie gwiazdora, najślynniejszego nurka South Petroleum w całym Hammerfest. Naprawdę cenił twoją pracę.

– Ten teksański wieprz, który dowalał się do mojej dziewczyny?

– Był pijany.

– Ten wieprz mnie poniżył.

– Nils, uważaj, co mówisz przy ludziach.

Przyjaciel powiedział to spokojnym głosem. Szczere ostrzeżenie, wiedział to. Niepokoił się o niego. Nils zamyślił się.

– Jediną nietkniętą rzeczą, jaka po nim została, była jego czapka Chicago Bulls. Co za cholerna kpina.

– A podejrzewasz może, co mogła znaczyć ta wiadomość?

– Z głębokości? Chcesz powiedzieć, że to miało jakiś związek z tym... z tym wypadkiem? Ale jaki? Chcesz powiedzieć, że mam coś wspólnego z ich śmiercią?

– Musisz wziąć wszystko pod uwagę, zanim inni zrobią to za ciebie. Kiedy dostaniesz te pieniądze, ludzie zaczną stawiać pytania. Policja zacznie węszyć. Może powinieneś ich uprzedzić i opowiedzieć o wszystkim.

Nils popatrzył na przyjaciela, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Rzadki przypadek. Paulsen był jedynym człowiekiem na świecie, do którego miał pełne zaufanie. Kimś, kto rozumiał go najlepiej ze wszystkich. Ale czy rzeczywiście potrafił wszystko zrozumieć, naprawdę wszystko?

– Mam na myśli to – ciągnął Paulsen – że wzbudzi to pewne podejrzenia.

Nils milczał przez długą chwilę. Obaj mężczyźni popijali piwo małymi łykami, nie przejmując się resztą gości tłoczących się w pubie, którzy spoglądali na taras i dawali im znaki. Nils nie zwracał uwagi na muzykę.

Ani na pozdrowienia. Nie musiał myśleć o Elenor, która wyjechała na kilka dni do Sztokholmu. Była daleko i nie obchodziło go, co tam robi. W Sztokholmie nikt go nie znał. Jego wizerunek na tym nie ucierpi.

– Ostatnio coś mi się przydarzyło – zaczął Nils. Wpatrywał się w Arctic Princess. Przyjaciół spojrzał na niego z zainteresowaniem. – Kilka dni temu...

Opowiedzieć czy nie? Nils zawahał się. Tom mógł usłyszeć, co powiedział. Ale Nilsa znów naszły wątpliwości. Czy rzeczywiście potrafił wyrazić słowami to, co mu się przytrafiło, wyjaśnić, co pchnęło go do zrobienia tego, co zrobił? Nie chciał zawieść przyjaciela. Tom był jedynym człowiekiem, któremu zawsze, niezależnie od okoliczności, mógł spojrzeć prosto w oczy. Kiedyś, pod wodą, zależeć będzie od tego jego życie.

W tej chwili na taras wszedł Juva Sikku. Hodowca musiał tu być pierwszy raz w życiu, widać to było po jego niepewnej minie. Nie bywał dotąd w Black Aurora. Nils zatrzymał go spojrzeniem. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby zobaczono go z tym traperem z tundry. Sikku zatrzymał się w pewnej odległości od niego, czekając na znak Sormiego.

– Spotkajmy się za godzinę w Riviera Next – powiedział tylko Nils swojemu partnerowi.

Ruchem brody wskazał Sikku wyjście.

Wchodząc do pubu Black Aurora, Nina nieomal wpadła na Toma Paulsena. Zdążyła przebrać się w schronisku w Skaidi i Klemet podrzucił ją tu, nim zaparkował pikapa.

Na widok uśmiechu nurka odżyły w niej wspomnienia z nad jeziora. Serdeczność, zaufanie. Oczy w kształcie migdałów, wydatne usta.

Kiedy to było? Wczoraj. Wczoraj? Czy to możliwe, że w tak krótkim czasie zdążyła odwiedzić matkę? Niepojęte. Zły sen. Ale widziała tę zapadniętą twarz z dociekliwymi, oskarżającymi oczami. Były realne. Tak znakomicie umiała budzić wyrzuty sumienia, nie wypowiadając nawet słowa. Twarz Niny spochmurniała. Uśmiech Toma zniknął, gdy uświadomił sobie zmianę w swoim zachowaniu.

– Chyba muszę się przewietrzyć. Coś nowego w sprawie ojca?

Nie zadając pytań, Nina odprowadziła Toma do baru na tarasie. Nie znano jej tu na tyle, by mogło to wywołać komentarze. Dzisiaj i tak jej to nie obchodziło. Tom przyniósł gin z tonikiem. Nie był to jej ulubiony drink, ale wypła. Przez szybę spostrzegła Klemeta, który właśnie

wchodził, szukając jej wzrokiem. Zobaczył, że siedzi z kimś, i sam usiadł przy barze wewnątrz pubu. Była mu za to wdzięczna. Uśmiechnęła się do Toma.

– Nie myślałam, że jeszcze kiedyś zobaczę ojca, a on być może jest niedaleko stąd. Na myśl, że już za parę dni mogę się z nim spotkać, dostaję zawrotu głowy.

– Mówiłaś, że był nurkiem.

– Najpierw rybakiem, a potem nurkiem. Zaczął nurkować w połowie lat siedemdziesiątych.

Tom Paulsen zagwizdał. Zrobił zdumioną minę. Jego urocza mina była bardzo znacząca.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wtedy było. Ale kiedy widzę, jak nas dzisiaj cisną, myślę, że trzeba było cholernej odwagi, żeby w tamtych czasach zostać nurkiem.

– Może nie zdawali sobie sprawy z tego, co ich czeka?

– O tamtej epoce krąży wiele historii. Niewiarygodnych historii. Na pewno jest w nich wiele przesady. Ale było też dużo wypadków. I dużo trupów. Na Morzu Północnym ginęły dziesiątki ludzi. Wielu ludziom ta przygoda zniszczyła życie. Ale już ich nie widać. Środowisko się od nich odsunęło.

– Odsunęło?

– Nie wpływają dobrze na morale naszych ekip.

– Mówisz to z wyrzutem?

– Wybrałem ten zawód, bo dobrze płacą. Nie wstydzę się tego. Potem odkryłem w nim coś szczególnego. Ducha pracy w zespole. Weźmy na przykład parę, jaką tworzymy z Nilsem. Można myśleć o nim, co się chce, ale dla mnie jest gotów zaryzykować życie, nie wątpię w to ani przez chwilę. Wielu ludzi, którzy nadstawiali karku dla ropy, zostało porzuconych. Dziś nie jesteśmy już zupełnie sami. Ale środowisko nie jest w porządku.

Nina milczała, gapiąc się w pustą szklanę.

– Ciekawe, czy mój ojciec miał takiego partnera.

– Na pewno miał. I jeśli był taki, jakim go sobie wyobrażam, patrząc na ciebie, musiał ryzykować dla niego życie.

Nina spojrzała na Toma, potarła czoło.

– Przecież mnie nie znasz.

Tom Paulsen odpowiedział jej uśmiechem i łagodnym gestem zaprosił ją do wyjścia na zewnątrz.

Klemet zastanawiał się, czy powinien zostać w barze, czy też raczej wrócić do Skaidi. Zobaczył, że Nina wychodzi z partnerem Nilsa Sormiego. Nie czuł do niego szczególnej sympatii. Ci nadziani forsą nurkowie, którym wystarczy pstryknąć palcem, i już... Nagle przypomniał sobie swoją smutną młodość, gdy czekał przy wyjściu z imprezy, aż koleżanki skończą obściskiwac się z kolegami, żeby je odwieźć do domu. Miły ten Klemet, porządny, wierny kolega, mówiły. Za podziękowanie wystarcza mu cmoknięcie w policzek, nie tak jak tym narwańcom, którzy nie zostawią cię w spokoju, dopóki cię nie obmacają.

Dziś wieczorem musi mu wystarczyć kawa, i tylko kawa, myślał Klemet. Przypomniał sobie pewien siarczysty policzek, który Nina wymierzyła mu tego wieczoru, gdy objął ją przez... pomyłkę? Zgoda, wtedy wypilem, normalnie nigdy nie piję. Czy objęcie Niny było pomyłką? O tak, stary, to była pomyłka. W każdym razie pomyłką było to, że byłem wtedy pijany. Co za idiota. Niepewny grunt. Koleżanka. I tylko koleżanka. Koniec, kropka. Nie to co Eva. Myśląc o Evie, widział Sonię. Sonia Sormi, ta ładna ciotka. Miał wtedy ochotę z nią zostać. Był pewien, że jeszcze kiedyś ją zobaczy. Ale na litość boską, dlaczego mieszkała w Alcie, a on czekał nie wiadomo na co, podczas gdy Nina ucieka mu sprzed nosa z jakimś facetem o uśmiechu amanta? Kawa, kawa, nic więcej. Sonia Sormi. Historia, którą mu opowiedziała, poruszyła go. Ten ich przodek, którego pokazywano jak zwierzę w zoo. Co mu to mówiło o Sormim? Ostatecznie nic, bo przecież nie znał tej historii. Ale Klemet nie był tego taki pewny. Jego rodzice zrobili wszystko, by wszedł do społeczności nurków. Wyglądało na to, że ten mały bezczelny Sormi czuje się tam jak ryba w wodzie. Mały Sormi, duma koncernów naftowych. Klemet pomyślał, z jaką przyjemnością wyjawiłby mu prawdę o jego korzeniach, opowiadając, jak jego przodka obwożono po arenach cyrkowych Europy, i jak teraz nim posługują się w ten sam sposób.

– Wyglądasz na zamyślonego.

Nina przysiadła się do niego. Wyglądała na rozzłoszczoną. Spojrzał na nią, nieco zdziwiony.

– Co, nie widziałeś blondynki?

Odchylił lekko głowę w bok, jakby podkreślając swoje zdziwienie, czekając, czy jeszcze coś powie. Ale ona milczała, zadowolając się nic nie

mówiącym uśmiechem. Zobaczył, jak jej twarz przybiera chmurny, zatroskany wyraz. Zawsze uderzało go to, do jakiego stopnia jej twarz wyraża najmniejszą nawet zmianę nastroju. I jak szybko się zmienia.

– Klemet, mój ojciec...

– A, znów ten twój instynkt...

Ciągnęła dalej, jakby nigdy nic.

– Utsjoki, trzysta kilometrów stąd, możemy tam być jeszcze przed południem. Znajdziemy go, to nie będzie trudne. Zobaczymy się z nim, pogadamy i wrócimy jutro wieczorem. Na taki marny piątek, jaki się nam zapowiada, to chyba atrakcyjna propozycja? Chyba że masz jakieś plany w Kirunie? Ale pamiętaj, tam jest dwa razy dalej.

– Dlaczego sądzisz, że po pierwsze, tak łatwo go znajdziesz, i po drugie, że może nam pomóc? Inni mogliby zrobić to równie dobrze, a nawet lepiej. Ludzie, którzy się na tym znają. Powinniśmy zażądać informacji z Dyrektoriatu Naftowego albo od firm zatrudniających nurków. Twój ojciec opuścił to środowisko wieki temu.

– Za długo, nie mamy czasu. Oczywiście, możemy to zrobić, ale szczerze mówiąc, to nie należy do naszych kompetencji. A poza tym on żył w tamtych czasach, kiedy Anta Laula wyrabiał tam Bóg wie co. Mnie może coś powie. Nie jestem pewna, czy koncerny będą takie rozmowne, gdy zaczniemy stawiać pytania. Widziałam już, w jaki sposób mówi o tych sprawach Gunnar Dahl.

– Trzeba przynajmniej poprosić Hotti, żeby zajęła się tym od swojej strony. Może tam kogoś posłać, to ułatwiłoby nam zadanie.

– Oczywiście, oczywiście. Poprosimy naszą drogą panią komisarz. Więc jak, Utsjoki?

Klemet wydał z siebie długie westchnienie. Nina posłała mu szeroki uśmiech, nie mogąc ukryć radości. Miała zmęczoną twarz i podkrążone oczy. Ta historia ją dobijała.

– W takim razie wyjeżdżamy skoro świt. Nie zamierzam wracać po nocy.

Nina objęła jego głowę i pocałowała go w czoło. Wzięła klucze do samochodu, które położył obok siebie, i podetknęła mu je pod nos.

– No to już, idziemy spać.

Rozdział 41

W czwartek na kei pariasów nie było zbyt wielkiego ruchu. Oba bary były otwarte jak zwykle, ale ich bywalcy albo zostali u siebie, albo co bardziej przedsiębiorczy poszli do Redrum lub do Black Aurora. Nils Sormi czekał w barze Riviera Next. Podczas krótkiego spotkania z Juwą Sikku na parkingu pubu Black Aurora zdążył wyrzucić presję na hodowcę. Tikkanena trzeba było przywołać do porządku i Nils liczył w tym względzie na pośrednictwo Sikku. Nils starał się wyrażać tak mgliście, jak tylko mógł, jednocześnie upewniając się, że Sikku rozumie, co mówi. Musiał wyrażać się dyskretnie, ale jasno. „Rozumiesz, Juva?” Hodowca kręcił głową, najwyraźniej błagając, by dał mu spokój. Biedny facet. Nils widział, jak bardzo Sikku chce mu się przypodobać. Gdyby Tikkanen tu był, zabiłby go na miejscu. A potem popatrzyłby na mnie swoim nieobecny wzrokiem. Tikkanen zawiódł w wielu sprawach – dziwki, burdel w kabinie, rzucanie słów na wiatr. Ale przede wszystkim za dużo mówił. Zwłaszcza policji. Za bardzo chciał ukryć przed wszystkimi swoje machloje. Nils dał Sikku do zrozumienia, że w interesie ich obu leży, żeby Markko Tikkanen dostał lekcję. „Lekcję, rozumiesz, Sikku?” Sikku popatrzył na niego, jakby niczego nie pojmował, ale Nils przypomniał mu, jak Tikkanen poinformował policję, że Juva Sikku woził kurwy. „Pamiętasz, Juva?” Oczywiście, że pamiętał. „Tobie też ten grubas Markko coś obiecywał, prawda?” Juva zmieszał się. Zrozumiał, że do wiadomości publicznej przeciekło zbyt wiele informacji i że Bóg jeden wie, jak się to wszystko skończy. Na jego twarzy malowała się udręka. Nils powołał się na ich starą przyjaźń. Nie oczekiwał, że Juva padnie mu w ramiona, a hodowca nie był aż taki głupi, żeby nie wiedzieć, że Nils nim pogardza. Ale nurek liczył na to, że Juva chce zdobyć jego uznanie. Wiedział o jego projekcie farmy pod fińską granicą. Mógłbym coś zainwestować, wtrącił mimochodem, wierzę w twój projekt. Oczy Juvy rozblęsnęły.

Sikku nie był uparty, we wszystkich sprawach był gotowy na kompromis, można to było wyczytać z jego twarzy. Był taki od dziecka. Przecież znał go od dawna. Czemu miałby się zmienić? Żegnając go, Nils wsunął mu od niechcienia do ręki kartę członkowską klubu Black Aurora. Przemówisz mu do rozumu, co? Liczę na ciebie. Sikku uśmiechnął się. Idiota, jaki on był dumny. Nils położył mu rękę na ramieniu, uściśnął gestem, który miał wyrażać zaufanie i wspólnotę interesów – a w każdym razie można go było tak zrozumieć – i popchnął go w stronę samochodu.

Odprawivszy Juvę Sikku, w ciągu dziesięciu minut dojechał do Riviera Next i zaparkował przed barem. Z Sikku poszło mu łatwo. Widok Toma Paulsena, który czekał przy jednym ze stolików, siedząc na lśniącym metalowym stołku, przywołał wspomnienia i obrazy. Nie były one przyjemne. Wspomnienie Billa Steela było jeszcze znośne. Inne nie. Wziął piwo, które podał mu kelner, i usiadł naprzeciw Toma.

– Co ty kombinujesz? – spytał Paulsen.

Nils przymknął na chwilę oczy. Partner go nie osądzał. Niepokoił się o niego. Czuł, że coś się dzieje.

– Niedawno złożył mi wizytę pewien człowiek. Znam go z czasów dzieciństwa.

Obrazy. Te akurat nie były nieprzyjemne. Zwłaszcza odczucia, które im towarzyszyły. Radość z własnej siły, podniecenie, fascynacja, ciarki chodzące po plecach, podziw – wszystko to, co mogło poruszyć chłopca żądnego wrażeń i przygód. I inne obrazy, te z ostatnich dni. Uświadomił sobie, że wpatruje się w szklanekę. Złociste bąbelki piwa Mack przywołały go do rzeczywistości. Przypominały mu inne bąbelki, które mogą załatwić nurka na amen.

– Mogę powiedzieć, że to właśnie ten facet wciągnął mnie w podwodny świat.

– Już mi o tym mówiłeś.

– Tak. To on właśnie do mnie przyszedł. I... prawie go nie poznałem, Tom. To był strzep człowieka. Nie wierzyłem własnym oczom.

– Jak to, strzep człowieka?

– Nie wiem... jego spojrzenie... widać to po oczach, widzisz, kiedy ktoś spada na dno, takie rzeczy widać, prawda? Po sposobie, w jaki się porusza... Czujesz, że cierpi, słyhać to w jego głosie, w słowach, widać w jego oczach. Ten człowiek był gdzieś na innej planecie.

– Czego chciał?

– Nie wiem. Chciał ze mną porozmawiać, chciał powiedzieć mi coś ważnego, ale...

– Tak?

– Nalegał. Powiedział mi, że mnie potrzebował, że się pomylił, że...

– Co?

Spojrzeć teraz Tomowi w oczy, myśląc o wszystkich tych wartościach, które ich łączyły, na śmierć i życie, przysiąc sobie nawzajem, że nie opuści się kolegi w potrzebie...

– Ale go odesłałem. Powiedziałem mu, żeby sobie poszedł, nie chciałem go słuchać.

Tom milczał.

– Prosił o pomoc, Tom, a ja go odrzuciłem. Cholera, już od kilku dni nie mogę o tym zapomnieć.

– I naprawdę nie wiesz, czego chciał?

Tym razem Nils tylko pokręcił przecząco głową.

– Wiesz, jak go znaleźć?

Znow przeczący ruch głową, spojrzenie wbite w bąbelki.

– Chcesz go odszukać?

Nils uniósł głowę i spojrzał Tomowi w oczy.

– Nie wiem.

Podniósł się i mruczając coś, stanął nad szklanką.

– Przestraszył mnie, Tom. Nagle zobaczyłem siebie za jakieś dziesięć, dwadzieścia lat. Nie wiem dlaczego, nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale przestraszył mnie, chciałem, żeby mi zszedł z oczu. Ten człowiek, Boże drogi, w młodości był moim idolem. A teraz? Miałem przed sobą wrak, faceta, który chodzi i żebrze nie wiadomo o co. I nie mogłem, Tom, nie mogłem. Odwróciłem się do niego plecami.

Paulsen pokręcił głową. Teraz z kolei on zaczął wpatrywać się w swoje piwo.

– Wiesz co, znajdziemy go. I spróbujemy dowiedzieć się, czego chce.

Nils powoli podniósł oczy. Zmieszany, podziękował mu wymuszonym uśmiechem. Przez chwilę pili razem w milczeniu.

– Te wiadomości, te esemesy, myślisz, że były od niego?

– Z głębokości? I ta druga, trudna do wymówienia? Myślałem o tym. Być może. Ale co miał na myśli?

– Zobaczymy, nie wiem jak, ale go znajdziemy.

Rozdział 42

Piątek, 7 maja

Wschód słońca: 1.51. Zachód słońca: 22.52

Długość dnia: 21 godzin i 1 minuta

Hammerfest, 6.30

Tikkanen potrzebował niecałych dwóch dni, by znaleźć rozwiązanie, które wydało mu się właściwe. W sprawie tej małej Steggo. Z samego rana wsiadł w samochód i pojechał do niej. Wiedział, że wcześniej wstaje; zasięgnął języka u Sikku. Sikku robił się nerwowo. Najwyższy czas zakończyć to wszystko. Trzeba przyznać, że wszyscy zrobili się nerwowi. Pogrzeb burmistrza Fjordsena mobilizował wiele energii. Poza tym o tej porze roku słońce świeciło bez przerwy niemal całą dobę. Ludzie byli jak przeładowane baterie elektryczne, wszystkim puszczały nerwy. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, ale to światło atakowało cały organizm. Na szczęście Tikkanen miał nerwy jak postronki. Tikkanen nie pękał, o nie. Nie był mięczakiem. Ale to cholerne słońce...

Według Sikku mała Steggo przygotowywała resztę stada do przeprawy na wyspę. Zwierzęta miały przeprowić się promem Biura do spraw Reniferów. Małe przyszły na świat przedwcześnie i były zbyt słabe, żeby przepłynąć cieśninę. Ostatecznie było to Tikkanenowi na rękę, gdyż pomagało mu w realizacji planów. Jeśli dziewczyna przyjmie jego propozycję, nie będzie już musiała mordować się z przeprawą reniferów na wyspę. I w ten sposób wszyscy będą zadowoleni. Zdecydowanie, super ze mnie facet. No tak, Fjordsenowi by się to spodobało. To naprawdę idiotyczne, że tak się poślizgnął. Nieprzydatne. No cóż, jego następcą na pewno pójdzie mu na rękę.

Tikkanen wjechał w tunel, w którym renifery szukały cienia w czasie letnich upałów, po czym przejechał przez most przerzucony nad cieśniną. Poprawił czuprynę, przyklepując ją chaotycznie, jakby ubijał ciasto. Uśmiechnął się. Fjordsen byłby zadowolony, widząc, że Tikkanen

rozwiązuje problem małej Steggo. Jeden hodowca mniej na Wyspie Wieloryba – to byłby piękny pośmiertny prezent dla burmistrza, zgodziliby się z tym wszyscy mieszkańcy Hammerfest. Mogłoby to nawet uciszyć różne złośliwe głosy, oskarżające go, że zanadto wszystkim manipuluje. I co, może robię to dla własnej przyjemności? Potrząsnął głową, ponownie wicherząc czuprynę. Teraz sam muszę o wszystko dbać. Ja tylko oddaję ludziom przysługi. Wyświadczam im przysługi. Spozstrzegł w oddali namioty obozowiska. Widać było unoszący się z nich dym, mężczyźni i kobiety krążyli między namiotami. Dzieci chyba jeszcze spały. Jeden z hodowców na skuterze, wyprostowany, z kolanem na siedzeniu, zajechał mu drogę, zmuszając go do gwałtownego hamowania. Hodowca nie zaszczycił go nawet dłuższym spojrzeniem. Na piersi miał pomarańczowe lasso, z kącika ust zwisał mu papieros. Tikkanen popatrzył na topniejący miejscami śnieg, potem na swoje czarne mokasyny. Faktycznie, nie bardzo tu pasowały. To prawda, że niezbyt często opuszczał biuro. Widząc Anneli Steggo, wychodzącą z menażką z namiotu, postanowił do niej podejść.

Słońce świeciło już od kilku godzin, ale śnieg nie zmiękł jeszcze na tyle, by nie stawiać oporu. Ugrzązł w nim już po kilku krokach. No cóż, ważył o parę kilo za dużo. Mała Steggo zniknęła właśnie w jednym z namiotów. Wkrótce znów z niego wyszła, ale Tikkanen pochłonięty był przeskakiwaniem pomiędzy płatami ziemi, na których rosły wrzosi. Dał jej znak, zmęczony tymi akrobacjami. W końcu będzie mógł przedstawić swoją propozycję, na pewno jej się spodoba. Był z siebie dumny. Przyniósł nawet ze sobą mapę, by pokazać swój plan. Oczywiście, chciał tylko z nią porozmawiać, decyzja nie należała do niego, ale w grę wchodziły grunty jednego z rolników, który się zestarzał. Leżały tam na wzgórzach, niedaleko Naivuotna, a jeśli chodzi o umowę, to oczywiście on, Tikkanen, brał na siebie załatwienie wszystkich formalności, w końcu był to jego obowiązek, podkreślił z naciskiem, tak, obowiązek ze względu na pamięć o tym biednym Hendriku, a, tak, przepraszam, Eriku, co za nieszczęście, taki młody, taki zdolny. Gdy mówił, ta zabawna dziewczyna prawie na niego nie patrzyła, błędziła wzrokiem gdzieś po górach, a gdy na niego spojrzała, spojrzała na niego wzrokiem, który... jak by to powiedzieć, którym nikt jeszcze na niego nie patrzył. Zazwyczaj we wzroku jego klientów kryła się jakaś nuta pogardy, upewniająca go, że obaj są na właściwym miejscu, ale nie w tym przypadku. Była myślami

gdzie indziej. Nie pogardzała nim, właściwie nie była nawet nieprzyjemna, nie wywyższała się i trzeba przyznać, że Tikkanena wyprowadzało to nieco z równowagi. Deprymowało go to, że ktoś nie traktuje go z góry, że nie patrzy na niego z półuśmiechem. Obiecał sobie, że wymusi na niej wstępną zgodę, ale teraz czuł się dosyć dziwnie. Wrócił do samochodu, nie do końca wiedząc, co się z nim dzieje. A ona prawie się nie odezwała.

Anneli patrzyła na odjeżdżającego agenta nieruchomości. Wysłuchiwała go, nie chcąc mu odpowiadać. Z pewnością poczułby się urażony. Doskonale wiedziała, o co mu chodziło. Jej przyjaciel, Olaf Renson, ostrzegał ją przed takimi ludźmi jak Markko Tikkanen. Nie przepuszczali żadnej okazji. Poczula ból. Ten człowiek nie znał się na reniferach. Gdyby nie to, nie przyjeżdżałby tu i nie składałby jej takich propozycji. Zdawało im się, że ot, tak sobie można zmienić nawyki stada. Nie mieli pojęcia, że stado wraca zawsze na to samo wiosenne pastwisko, gdyż tylko tam samice mogą powić młode, jak łososie wracające na tarło do rzeki, w której przyszły na świat. Potrzeba wielu lat, może czterech, żeby stado przyzwyczało się do nowych ziem.

Ten człowiek jej nie znał. Inaczej pewnie by tu nie przyjechał. Nie mógł zrozumieć, że dla niej, podobnie jak dla Erika, wszystko to nie miało w gruncie rzeczy nic wspólnego z tradycją. Wbrew pozorom Anneli nie była młodą entuzjastką, przejętą lokalnymi zwyczajami. Widziała w swoim życiu zbyt wielu ludzi, którzy w imię tradycji odrzucali nowe, dobre rozwiązania. Jak choćby to, które proponowali razem z Erikiem. Odkąd woda zabrała Erika w Cieśninie Wilka, Anneli wierzyła, że jego dusza została tu, by wskazywać jej drogę. Jeśli ktoś myślał, że można ją zniechęcić, to się mylił. Wiedziała, że toczą się dyskusje o tym, co zrobić ze świętą skałą nad cieśniną. Olaf opowiadał jej z poruszającym oburzeniem o projekcie władz, które chciały przenieść skałę na przeciwległy brzeg, co umożliwiłoby poszerzenie drogi. To nie miało żadnego sensu, denerwował się Olaf. Uspokajała go wtedy.

Wzięła swój skuter od Susann, by pojechać do Kvalsund i pożyczyć tam samochód od Mortena Isaaca, który marudził nieco, wręczając jej klucze. Godzinę później dojechała do Skaidi, akurat w chwili, gdy Nina Nansen miała już opuszczać chatę straży reniferów. Nina czekała na nią, tak jak obiecała.

Policjantka tarła czoło, nie dotykając bransoletki.

– Zrobił ją Anta Laula, jestem tego pewna. To jego wzór. Znalazłam ją na świętej skale.

Klemet Nango wziął plastikową torebkę i włożył do niej bransoletkę.

– Tak, przypominam sobie, że takie same widziałam na wystawie w Kirusie – powiedziała Nina. – Gdzie dokładnie ją znalazłaś?

– Na skale, w małym zawiniątku.

Nina wzięła bransoletkę i zaczęła obracać ją w palcach. Była ze skóry renifera, czarna, ze srebrnymi cynowymi nitkami. Te bransoletki stawały się coraz bardziej popularne. Ale ta była wyjątkowa. Splot cynowych nitek układał się w pewien szczególny wzór.

– Myślę, że jest to stylizacja symbolu, którym kiedyś znaczył renifery – powiedziała Anneli.

– Jestem prawie pewna, że nie było go tam wtedy, kiedy...

Nina zamilkła. Anneli uśmiechnęła się do niej.

– Chcesz powiedzieć: wtedy, kiedy Erik utonął?

Nina skinęła głową. Anneli wstała.

– W sobotę będę na pewno potrzebować waszej pomocy. Muszę przeprowadzić resztę stada. Trzeba zablokować drogę na czas, gdy renifery będą wchodzić na prom.

Policjanci odprowadzili ją do drzwi. Gdy odjeżdżali, Anneli zobaczyła, że Nina potrząsa bransoletką, rozprawiając o czymś żywo z partnerem. Czyżby Anta Laula zdołał przekazać ostatnią wiadomość?

Pikap patrolu P9 był już w drodze od dobrej godziny. Jechali na południe wzdłuż fiordu Porsanger. Od Utsjoki, gminy położonej tuż przy granicy fińskiej, dzieliło ich trzysta kilometrów. Na Dalekiej Północy było niewiele dróg. Często biegły one w linii prostej i trzeba było pokonywać długie dystanse, żeby dojechać do miejsc nieodległych, jeśli spojrzano się na nie z lotu ptaka. Dla Klemeta nie stanowiło to żadnego problemu; zawsze lubił jeździć samochodem. Należał do ludzi, którym nie przeszkadzało to, że muszą jechać na zakupy z Kautokeino do Ikei. Najbliższy sklep znajdował się czterysta kilometrów dalej na południe, w Haparandzie. Tutaj, jeśli trzeba, jeździł nieraz pięćdziesiąt kilometrów po papierosy. Odległość w tej perspektywie była pojęciem względnym. Nina trzymała w ręku bransoletkę. Wyglądała przez okno, a Klemet zauważył, że gładzi lekko miękką skórę renifera, bezwiednie podążając palcem za cynową nitką.

Nina podskoczyła nagle tak gwałtownie, że Klemet o mało nie wylądował w rowie. Bransoletka, Anta Laula... Zobaczyła w wyobraźni jego ciało. Furgonetka z topielcami. Anta Laula w chwili wypadku miał na sobie bransoletkę. Czy była to taka sama bransoletka? Tak, dokładnie taka sama, z motywem wybranym przez artystę. Jeśli tak, to Anta Laula chciał im przekazać coś w rodzaju wiadomości. Wyjaśniało to zresztą, dlaczego Anta Laula przyszedł pod świętą skałę po śmierci Erika Steggo.

– Zawróć, trzeba sprawdzić bransoletkę, którą miał na sobie Anta Laula w dniu śmierci – rzuciła.

– Ależ na litość boską – wybuchnął Klemet. – Sprawdzimy to, jeśli chcesz, ale po powrocie. Możemy to sprawdzić nawet dziś wieczorem. Teraz jedziemy, tak jak chciałaś. Uspokój się. Rozumiem, że denerwujesz się na myśl o spotkaniu z ojcem, ale na litość boską, uspokój się.

– No dobrze, sprawdzimy dziś wieczorem.

– Czekaj, czekaj...

Zamyśliła się, ale Klemet jechał dalej, nie zważając na jej okrzyki.

– Wiem tylko, że nie było jej tam w chwili śmierci Erika. Pamiętam, że sprawdzałam to wtedy, z ciekawości. Kiedy to było, zaraz...

– Dwudziestego drugiego kwietnia.

– Tak, i wtedy zobaczyłam to coś, zobaczyłam... kiedy to było? Pojechaliśmy tam, wracając z Kautokeino w związku z tą historią ze zdjęciami, byliśmy tam w niedzielę, prawie dwa tygodnie temu, i wróciliśmy następnego dnia, żeby przyjrzeć się miejscom widocznym na zdjęciu, i jestem niemal pewna, że to właśnie tam po raz pierwszy widziałam tę bransoletkę. I że nie było jej tam wcześniej.

Klemet dopiero teraz zaczynał rozumieć, o co jej chodzi.

– Zatem bransoletkę umieszczono tam pomiędzy dwudziestym drugim a... którego to było w poniedziałek?

– A dwudziestym szóstym.

– Między dwudziestym drugim a dwudziestym szóstym. I przypomnij sobie, o śmierci Fjordsena dowiedzieliśmy się w niedzielę dwudziestego piątego. Jechaliśmy wtedy do Kautokeino.

Zatrzymali się na krótki postój na kawę w Lakselv. Klemet studził zapal Niny. Fakt, że Anta Laula wykonał bransoletkę, nie oznaczał jeszcze, że położył ją u stóp skały. Takie bransoletki były w sprzedaży, każdy mógł ją kupić. I każdy mógł ją tam położyć. Nie miało to jakiegoś szczególnego znaczenia.

– Powiedz mi – spytała, uświadamiając sobie coś – nie mamy jeszcze wyników analizy DNA materiału wydobytego spod paznokci Fjordsena?

– Nie, i przypominam ci, że to nie my prowadzimy śledztwo w sprawie jego śmierci. Nas interesuje śmierć Erika.

– Mówisz o śledztwie! Śmierć Erika. Opowiedz mi trochę o tym, co już wiemy.

– Na razie nie ma sensu o tym mówić.

– Ale mógłbyś może zadzwonić do Kiruny, do swojego kolegi z boiska. On powinien coś wiedzieć.

Klemet postanowił, że nie będzie się z nią spierał. Chwycił za telefon. Lekarz sądowy właśnie dochodził do siebie po nocnej imprezie. Jęknął, słysząc głos Klemeta, ale zarazem ucieszył się, że może mu powiedzieć, iż wczoraj wieczorem Hammarby pokonał Djurgården w końcówce rozgrywek o puchar Szwecji. Raptem jednym golem, i to jeszcze z rzutu karnego, ale zwycięstwo w derbach rekompensowało wiele poniżeń w tym sezonie. Co do reszty, lekarz nie miał najmniejszych wątpliwości. Ślady DNA znalezione pod paznokciami Fjordsena należały z całą pewnością do jednego z mężczyzn, którzy utonęli w furgonetce, i nie chodziło tu o Laulę.

– Czy wiemy, kiedy Anta Laula dołączył do tych dwóch typów z furgonetki? – spytał Klemet po przekazaniu Ninie, co powiedział lekarz.

– Kiedy? Pomyślmy. Kiedy byliśmy w Kirunie, ja na jego wystawie, a ty z Evą, był dwudziesty dziewiąty kwietnia. Laula miał przyjść na wernisaż, ale nie przyszedł. Dwudziesty dziewiąty, czyli cztery dni po śmierci Fjordsena, który zginął dwudziestego piątego. Anneli zawiadomiliśmy o śmierci Erika dwudziestego drugiego, i wtedy w obozie zobaczyłam Anta Laulę.

– Dobrze, zatem dwudziestego drugiego nie ma jeszcze bransoletki przy skale, a Laula wciąż jest w obozie, w którym znaleźliśmy Susann i Anneli. Zwłoki Fjordsena znaleziono dwudziestego piątego, a następnego dnia, dwudziestego szóstego kwietnia, widzisz bransoletkę na skale. Kiedy Susann widziała po raz ostatni Anta Laulę w obozie?

– Anneli powiedziała mi zeszłej niedzieli, drugiego maja, po mszy, że Lauli nie ma już od kilku dni. Ale kiedy dokładnie zniknął...? W każdym razie przed dwudziestym dziewiątym. Chyba pamiętam, nie wiem już, czy przeczytałam tę informację w gazecie, czy też ktoś mi o tym powiedział, może Susann, że wtedy już niepokojono się jego nieobecnością. Kiedy

Anneli mi o tym powiedziała, Fjordsen nie żył już od tygodnia. Czy Laula mógł zniknąć jeszcze wcześniej? W końcu przecież miał taki zwyczaj. Mógł zniknąć, a potem wrócić. Pojawiał się tu i tam, wiedząc, że w obozie Susann zawsze będzie mile widziany.

– Jak się przemieszczał? Skuterem, samochodem?

– Mógł jeździć okazjami. W okresie wędrówki reniferów zawsze jest tu duży ruch. Ludzie jeżdżą we wszystkich kierunkach.

– Mógł w każdym razie pojawić się w dniu, w którym umarł Fjordsen. Oczywiście po wyjęciu ciała z wody zbadanie ziemi na jego butach jest niemożliwe.

– A ślady butów?

– Od znalezienia ciała minęły już trzy dni. Wyniki badania DNA otrzymaliśmy dopiero wczoraj. Jeszcze nic nie zdążono zrobić. Ale zadzwonię do Ellen, żeby zwrócić jej na to uwagę, jeśli jeszcze nie zrobił tego ktoś inny.

Nina usiadła za kierownicą, dzięki czemu Klemet mógł zadzwonić do komisarz Ellen Hotti.

– Szczerze mówiąc – powiedziała Nina po dłuższej chwili – czy rzeczywiście jesteś sobie w stanie wyobrazić to, jak Laula próbuje udusić Fjordsena?

– Słuchaj, Nino, naucz się zadowalać dowodami. Już ci mówiłem, że jeśli uda się znaleźć motyw, to jest to wisienka na torcie. Nie zapominaj też, że Laulę usunięto kiedyś z Wyspy Wieloryba, gdy był hodowcą. Dopiero wtedy wziął się za nurkowanie; sięgnął dna, dosłownie i w przenośni. W każdym razie zaczęł mieć kłopoty.

– Ale kiedy Laula został zmuszony do opuszczenia wyspy, Fjordsen nie był jeszcze burmistrzem Hammerfest. To nie jego wina.

Klemet zamilkł. Dziwne uczucie. To słowo: wina. Czyja wina? Jej pytanie wykraczało poza kompetencje policjanta. Czy to ślepy los sprawił, że Lapończycy zostali wypchnięci ze swoich ziem i zmuszeni do przyjęcia tego samego stylu życia co ich sąsiedzi? Czy ja też jestem nieszczęśliwy? Dla mojego dziadka, którego zmuszono do porzucenia grona hodowców, musiało to być bardzo trudne. Ale dla mnie? Szczerze mówiąc, nie chowałem się razem z reniferami. I tak jest w przypadku większości Lapończyków. Więc jak tu mówić o winie?

W końcu Klemet usnął.

Obudził się, czując, że Nina nim potrząsa. Samochód zatrzymał się na parkingu przed stacją obsługi, która była zarazem sklepem spożywczym i kawiarnią. Było to jedno z tych miejsc, które na Dalekiej Północy pojawiały się wszędzie tam, skąd wycofywało się państwo ze swoją wszechobecną opieką. Stacja obsługi służyła zarazem za pocztę, za sklep z pamiątkami, za kiosk z gazetami i za wypożyczalnię filmów. Utsjoki to mała gmina, licząca nieco ponad tysiąc mieszkańców, ale podobnie jak Kautokeino, rozciągała się na ogromnych obszarach. Klemet zawahał się, przekraczając granicę fińską, którą wyznaczała rzeka. Straż reniferów miała prawo interweniować, ale jakiś miejscowy policjant mógł uznać to za nieuzasadnioną inwazję.

Miasteczko znajdowało się zaraz po drugiej stronie rzeki. Klemet pomyślał, że w razie czego znajdzie jakąś wymówkę. W każdym razie trzeba było zatankować benzynę. Podszedł do pompy, podczas gdy Nina, oddawszy mu klucze, zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku sklepiku. Na szczęście byli ubrani po cywilnemu, dzięki czemu mogli poruszać się bardziej dyskretnie. Klemet zastanawiał się, czy Nina ma aktualne zdjęcie swojego ojca. Nie zadał jej tego pytania i teraz miał o to do siebie pretensje. Był zły na siebie, że nie omówili podobnych spraw podczas jazdy. Co prawda to jedynie zwiększyłoby stres, jaki przeżywała jego koleżanka. Wszedł do środka, żeby zapłacić, i zobaczył Ninę pogrążoną w ożywionej rozmowie. Denerwowała się, uśmiechała, unosiła ręce ku niebu, błagała; jeszcze nigdy jej takiej nie widział. Zobaczywszy Klemeta, uspokoiła się, zakończyła rozmowę, wyciągnęła kawałek papieru, na którym coś napisała, ucisnęła rękę swojemu rozmówcy i, cała spięta, przeszła, nie zatrzymując się obok Klemeta, i za chwilę wsiadła do samochodu. Mężczyzna, z którym rozmawiała, wrócił za kasę. Miał na sobie buty z cholewami, granatowe spodnie od kombinezonu, pomarańczową kurtkę polarną i niebiesko-zieloną czapkę Neste Oil, spod której wystawały proste jak drut włosy. Wyglądał, jakby nie uśmiechał się od dobrych piętnastu lat. Klemet chciał go o coś zapytać, ale machnął ręką. Zapłacił i dołączył do Niny. Milczała. Z ostrożności przejechał z powrotem przez wiszący most nad rzeką Tana i wrócił na drugą stronę granicy. Otaczały ich nagie wzgórza, pokryte jeszcze śniegiem, ale już naznaczone brązowymi plamami na szczytach porośniętych karłowatymi brzożami, wyłaniającymi się ze skał. Przy drodze kolor tych plam przechodził w żółtawą zieleń wszędzie tam, gdzie rośliny, przygniatane

od miesięcy śniegiem, nie były jeszcze w stanie podnieść się ku słońcu. Wiosna nadchodziła bardzo powoli, ale tu przyroda nie spieszyła się z odzyskaniem sił. Przejechawszy przez most, Klemet zatrzymał się na poboczu.

– Mój ojciec tu przychodził, ale mam tylko adres skrytki pocztowej, a ten człowiek nie chciał o niczym słyszeć. Nie mówiąc już o powiedzeniu mi, gdzie on jest. Mój ojciec nie przychodzi sam po listy. Nie widział go od lat. Przychodzi po nie jakiś mężczyzna, który robi też dla ojca zakupy. Mieszka gdzieś na odludziu, po norweskiej stronie. Do tego miasteczka ma najbliżej. O Boże, Klemet...

– Wiesz, jak skontaktować się z tym jego kurierem?

– Nie, facet ze sklepu obiecał, że skontaktuje się ze mną za dwie godziny. Dlaczego za dwie godziny? Mój ojciec mieszka o dwie godziny drogi stąd? Nie ma telefonu?

Spojrzała na zegarek. Klemet widział, że się denerwuje, była wyraźnie spięta. Niezbyt dobrze znosiła te białe noce, które stawały się coraz dłuższe.

– Ciesz się, że tak szybko udało ci się czegoś dowiedzieć. Teraz pozostaje jedynie czekać. Jeśli chcesz zająć czymś myśli, zrób nam kawy.

Nina odwróciła się do niego, uśmiechnęła się, pokazała mu środkowy palec, po czym zwinęła się w kłębek i usnęła.

Rozdział 43

Hammerfest, 11.30

Juva Sikku mimo woli wzdrygnął się, słysząc syreny promu Hurtigruten. Prom miał wkrótce wyrzucić z siebie ładunek turystów i zostawić ich w miasteczku na ponad godzinę. Zaparkowawszy na placu czekał cierpliwie, za kierownicą swojej skody i próbował zebrać myśli. Nie spał tej nocy. Kiedy zasnął, sen nie przyniósł mu wytchnienia. Nie martwiło go to specjalnie. Był przyzwyczajony do długich pobytów w tundrze, gdzie całymi dniami i nocami musiał pilnować reniferów. Był odporny na ból, odporny na wiele rzeczy. Wsunął sobie pod wargę porcję tytoniu i po chwili poczuł działanie nikotyny. Znał kiedyś pewnego hodowcę, który żył po staremu. Nigdy z nim nie rozmawiał. Ale obserwował go z daleka. Ten facet doglądał jeszcze reniferów, jeżdżąc na nartach. Nawiedzony, podobny trochę do Erika Steggo, człowiek, który odrzucał postęp, trzymał się swoich zwyczajów, a przede wszystkim ktoś, kto żyje zamknięty w swoim własnym świecie i nie chce dostrzec, że świat się zmienił. Pilnowanie reniferów na nartach albo na koniu – co to niby miało dać, skoro ocieplenie klimatu, przemysł wydobywczy i międzynarodowe koncerny naftowe i tak wszystko niszczą. Markko Tikkanen miał rację. Hodowla reniferów na farmie, na swoim terenie, może niewielkim, ale do którego nikt nie mógł się wtrącać – to jest przyszłość. W każdym razie rozwiązanie na kilka następnych lat. Cały ten romantyzm związany z wędrówką reniferów kompletnie go nie ruszał. Tam, na górze, panowało prawo dżungli. Obserwował z daleka człowieka na nartach. Jego umiejętności były niewiarygodne. Juva, który umiał przyłożyć się do pracy, doceniał jego oczywistą odwagę fizyczną. Ten facet mu imponował. Wiedział, że inni hodowcy, podobnie jak on, przychodzą czasem, by popatrzeć na niego z ukrycia. Pamiętał nawet, jak z daleka obserwował go w ten sposób Erik Steggo. Ten typ, Aslak, stał się legendą viddy. Erikowi chyba trochę namieszał w głowie, bo zaczął

potem gadać dziwne rzeczy, głosząc poglądy, które wprowadzały zamęt i podburzały ludzi. Teraz już nie rozrabiał. Ten drugi zniknął w viddzie, na modłę swoich przodków.

Rzucił okiem na kartę baru Black Aurora.

Co ma myśleć o Nilsie? Mój Boże, a co tu było do myślenia? Nils to Nils.

Teraz miał pretensje głównie do Tikkanena. Obiecał mu farmę koło Levajok. Ale przede wszystkim Sikku spodziewał się, że będzie mógł zabawić się z tymi dwiema rosyjskimi dziwkami, a przez ten wypadek z kabiną przeszło mu to koło nosa. „Trzeba było zażądać zapłaty z góry”. Teraz dziewczynki się ulotniły. Były wprawdzie gdzieś w pobliżu, ale zajęli się nimi pracownicy socjalni. Wkrótce wyjadą, a on zostanie wystawiony do wiatru. Musiał pogodzić się z tym, że przepadła mu taka gratka. Przesunął językiem po dziąśle, wpychając na miejsce tytoń do ssania. A teraz ten Nils z tą swoją cholerną prośbą. W imię przyjaźni. Ich przyjaźni. Mógłby nie przesadzać. Juva chciał się kolegować z Nilsem, kiedy byli dziećmi. I trzeba przyznać, że czasem, razem ze Steggo i kilkoma innymi chłopakami, tworzyli niezłą paczkę. Niektórzy gdzieś się podzieli. Juva oczywiście często spotykał Erika, hodowcy z tego samego dystryktu spotykali się przy różnych okazjach, było ich wiele: jesienna selekcja, czasem nawet wędrowka reniferów, dogłądanie stada w zimie. Sposobności nie brakowało. Ale nie można powiedzieć, żeby było tak jak w opowieściach z dawnych czasów – solidarność i tak dalej. Za duży pośpiech. Ludzie nie mieli już czasu, żeby porozmawiać jak dawniej. Im dłużej Sikku o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że to on podjął właściwą decyzję, postanawiając porzucić wędrowną hodowlę i ograniczyć się do farmy. Sikku robił to już od pięciu lat, pracując bez chwili wytchnienia, i czuł się jak stary hodowca. Miał te same odruchy co starsi, no i myślał jak oni. Był zadłużony po uszy; skodę wziął w leasing. Podrapał się w brodę. Jutro golenie. Raz na tydzień, nie częściej.

Levajok leżało na końcu świata, ale tam przynajmniej mógł zacząć od zera.

Był wkurzony. Jak uwolnić się od obietnicy danej Nilsowi, nie robiąc sobie wroga z Tikkanena? Nils chciał dać grubemu Finowi lekcję. Za dużo gadał. Za bardzo ich narażał. I Nils miał rację. Tikkanen za dużo mówił. Wystarczyło trochę nim potrząsnąć, wystarczył widok gliniarza, i już zaczynał mówić, zanadto drżąc o swoją opinię, bojąc się, że ktoś zburzy mu to, co tak cierpliwie budował. Żeby nie narażać swoich interesów,

gotów był denuncjować innych. To on powiedział, że przyjąłem dziwki. Niezły gagatek z tego Tikkanena. Chciał wszystko o wszystkich wiedzieć, chwalił się, że notuje skrzątnie różne drobne sekrety wszystkich znajomych na swoich słynnych fiskach, był taki pewny siebie. Trzeba mu przyznać, że był sprytny. Gdy Juva spotkał się z nim pierwszy raz, wydawało mu się, że Tikkanen właśnie wyszedł z jego banku. Wiedział niemal wszystko o jego sytuacji finansowej. Juvie Sikku bynajmniej się to nie spodobało. Miał wrażenie, że rozmawia z facetem ze skarbówki. Ale Fin rozmawiał tak ze wszystkimi. Zdawał się wszystko o wszystkich wiedzieć.

Jeśli miał obić gębę Tikkanenowi, nie powinien dać się rozpoznać. Albo zegnaj, farmo w Levajok. Ale jak go zaskoczyć? Fin był nieufny. Wiedział, że zbieranie informacji o wszystkich oznacza też robienie sobie wrogów. Począkać do nocy? Ale o tej porze roku nocy już nie było. Nawet gdy zachodziło słońce, nigdy nie robiło się ciemno. Nie można było zatem liczyć na efekt zaskoczenia. Założyć kominiarkę? Niemożliwe. Tikkanen i tak by go rozpoznał, Sikku był tego pewien. Jak się do tego zabrać? Nigdy tego nie robiłem, pomyślał.

Patrzył z niepokojem na biuro Tikkanena wychodzące na plac niedaleko Klubu Białego Niedźwiedzia. Klub otwarto właśnie dla turystów. Zostanie zamknięty natychmiast po odpłynięciu promu. W biurze paliło się światło. Znajdowało się na parterze budynku, na końcu bulwaru biegnącego brzegiem morza, tuż przed postojem taksówek. Ze swojego biura Tikkanen mógł obserwować, jak pasażerowie schodzą z promu Hurtigruten. Sikku zaparkował pomiędzy Klubem Białego Niedźwiedzia i biurem Tikkanena. Myśl, że nie potrafi znaleźć żadnego wyjścia z tej sytuacji, przyprawiała go o ból głowy. Wyszedł z samochodu, nasunął czapkę na oczy, podniósł kołnierz swojej parki i włożył okulary przeciwsłoneczne. Marynarskim krokiem, z rękami w kieszeniach, podszedł do rogu z postojem taksówek. Polarlys przycumował właśnie do kei. Pasażerowie szykowali się już do wyjścia. Niektórzy stali na pokładzie, podziwiając Hammerfest, pokazując coś rękami, robiąc zdjęcia lub wyszukując detale przez lornetkę. Zdjęcia. Jeszcze tego brakowało, żeby ci idioci mnie uwiecznili, jak czekam na Tikkanena, żeby spuścić mu lanie, pomyślał. Podniósł wyżej kołnierz. Tikkanen był wielki i gruby, ale nie był odważny. W końcu może i nie byłoby najgorzej, gdyby Tikkanen go rozpoznał. Zrozumiałby, z kim ma

do czynienia. I że jak się będzie guzdrał, to będzie jeszcze gorzej. Ponieważ Tikkanen nie był odważny, to mogło zadziałać. Właśnie, trzeba było napędzić mu porządnego stracha. Czy miał powiedzieć, że to od Nilsa, czy też może od niego? A może od obu? Jeśli powie, że to od Nilsa, to w pewnym sensie zepchnie odpowiedzialność na nurka. Ale jeśli powie, że to od nich obu, to Tikkanen zobaczy, że Sikku i Nils są przyjaciółmi, że są partnerami, że rozmawiali. Może to zrobi na nim wrażenie.

Zbliżył się jeszcze trochę do budynku, zatrzymał się na rogu i przygotował do ataku, który miał nastąpić, gdy Tikkanen minie go szybko, nie zauważając jego obecności. Poszedł w stronę Klubu Białego Niedźwiedzia. Na litość boską, wyglądam teraz jak oprych. Nie mogę iść obić mu mordy w klubie, pomyślał. Zawrócił, ogarnęły go wątpliwości. Wrócił tą samą drogą i spojrzał przez szybę. Światło w biurze Tikkanena zgasło. A więc nikogo tam już nie było. Wyjął z kieszeni drugi klucz, który Tikkanen zostawił mu, by skorzystać z jego komputera, kiedy wypełniał jakiś formularz, kolejne oświadczenie dla Biura do spraw Reniferów. Co za ironia. Zostawił mi klucz na znak zaufania, na pewno po to, żeby mnie przekonać, że z farmą wszystko jest na dobrej drodze. Rozgość się, czuj się jak u siebie, powiedział. Tu masz formularz, tu jest hasło do komputera, włączę ci drukarkę, zamknij na klucz, jak będziesz wychodził.

Sikku otworzył biuro i wszedł do środka. Mógł poczekać na grubasa tutaj i obić go jak należy. Nils byłby zadowolony. Obszedł dwupokojowe pomieszczenie, szukając najlepszego miejsca. Ile czasu zostało mu jeszcze do przyścia Tikkanena? Przez okno zobaczył jakichś ludzi wyglądających na turystów, przechodzących koło biura. Polarlys zaczął już wyrzucać na brzeg pasażerów. Jeżeli grubas wciąż siedział w klubie, pomagając sprzedawać pamiątki dla turystów, to Sikku miał przed sobą jeszcze dobrą godzinę oczekiwania. Rozejrzał się wokół. Może posłużyć się jakimś przedmiotem? Zaczął przyglądać się różnym sprzętom, oceniając ich siłę rażenia. Od czasu do czasu kręcił głową, mówiąc do siebie. Nie, tym nie, mógłbym go zabić. I z farmy byłyby nici. Dotykał, macał, krążył, szukał, sam nie wiedząc czego, i w końcu znalazł sejf. To dziwne, że tak trudno oprzeć się pokusie zajrzenia pod obraz, zwłaszcza kiedy na ścianie wisi tylko jeden. Co za idiota z tego Tikkanena. I co teraz? Sikku sprawdził w szafach, w szufladach. Niczego nie znalazł. A tam?

Sikku przyjrzał się zamkowi. Jeśli ktoś umieszcza sejf za jedynym obrazem, jaki wisi w jego pokoju, byłoby logiczne, gdyby hasło do komputera pasowało do sejfu. Każdy uznałby to za logiczne, a Juva Sikku nie uważał się za wyjątkowego spryciarza. To mówi więcej o Tikkanenie niż o mnie, pomyślał. Tikkanen był tak zadufany w sobie, że był pewien, że nikt na to nie wpadnie. Sikku oparł się pokusie wzięcia pieniędzy. Podniósł przykrywkę pudełka po butach.

Nagle poczuł, że dreszcz przeszedł mu po plecach. A więc to są te tajemnicze fiszki, którymi chwalił się wciąż Tikkanen... Zamknął przykrywkę i wyjął pudełko. Poczuł, że się poci. Która była godzina? Popatrzył przez okno. Zdawało się, że na ulicy panuje spokój, ale nie widział stąd, co się dzieje w okolicach klubu. A może Tikkanen nie będzie siedział w klubie aż do odpłynięcia statku? Może pomoże obsłużyć tylko pierwszą falę turystów? Chwycił pudełko, wyszedł z biura i niespokojnie spojrzął na lewo, w stronę wejścia do klubu. Zobaczył ogromne, wypomadowane cielsko Tikkanena, podążające szybko w jego stronę.

Nina podskoczyła, gdy zadzwonił telefon. Dopiero co usnęła. Dzwonek telefonu wyrwał ją z głębokiego snu. Z trudem otworzyła oczy, przypominając sobie, że przecież czeka na wiadomość. Przetarła oczy, oślepiona światłem słonecznym. Klemeta nie było. Gdzie jesteśmy?

– Tak?

– Musimy się spotkać.

Nina potarła czoło. To nie był Fin w czapce Neste Oil. Tom. Teraz sobie przypomniała. Wczoraj wieczorem, Black Aurora. Parking.

– Teraz nie mogę.

– Kiedy będziesz mogła.

Chciała się z nim spotkać. Rozejrzała się wokół. Klemet stał z tyłu pikapa. Bagażnik był otwarty. Nie widziała, co robi, ale mógł ją słyszeć. Poczula zimno.

– Zadzwoń do ciebie.

Drzwi się otworzyły. Klemet podał jej kubek z kawą.

– Jeśli chcesz, z tyłu są kanapki.

Spojrzała na zegarek. Człowiek w czapce Neste Oil powinien był już zadzwonić. Klemet czytał w jej myślach.

– Możemy do niego wrócić, jeśli boisz się, że zapomniał. – I dodał: – Wolałbym nie wracać zbyt późno. Mamy przed sobą jeszcze trzy godziny drogi.

Niny nie obchodziło szczególnie to, czy będzie musiała jechać nocą. Chciała wiedzieć. Nie mogła się już doczekać, wiedząc, że jej ojciec może być tak blisko. Czy powinna czuć jego obecność? Czy córki czują takie rzeczy? Wibracje, wizje? Pomyślała o Anneli, o jej świętej skale szepczącej ponadczasowe historie. Zastanawiała się, czy Anneli udaje się w ten sposób porozumieć z ojcem, poprzez taką świętą skałę. Musiała ją o to spytać. Znów spojrzała na zegarek. Fin już powinien dzwonić. Wstała, w sekundę połknęła kanapkę z serem, dopiła kawę i zamknęła bagażnik. Klemet, nie czekając, siadł za kierownicę. Pięć minut później Nina wróciła na stację obsługi. Żeby nie zwracać na siebie uwagi – należało przejechać obok posterunku policji w Utsjoki – Klemet czekał na nią po drugiej stronie granicy. Nina podeszła do człowieka w czapce Neste Oil. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Nina zastanawiała się, czy jest Lapończykiem. Klemet wyjaśnił jej, że Utsjoki to najbardziej lapońska gmina w całej Finlandii. Nie sposób było jednak odgadnąć, czy ten ponury typ jest Lapończykiem, czy nie.

– Poznajesz mnie?

Człowiek za ladą mruknął coś niezrozumiale.

– Miałeś do mnie zadzwonić.

Żadnej reakcji.

– Skontaktowałeś się z nim?

Jej rozmówca skinął głową. Serce Niny забиło mocniej. Trzeba było wszystko z niego wyciągać. Ale ojciec już wiedział.

– Mogę się z nim zobaczyć?

Znów mruknięcie. Fin sięgnął do swojej pomarańczowej kurtki polarnej i wyciągnął jakąś kartkę. Nina rozłożyła ją nerwowo. Spotkanie. Jutro wieczorem w kawiarni Reinlycka, na skrzyżowaniu dróg do Kautokeino i Karasjok. Nina potarła czoło. Dlaczego jutro wieczorem? I dlaczego nie napisał do niej nawet słowa? Tylko to spotkanie. Czy to on wysłał tę wiadomość? Podniosła oczy, mierząc wzrokiem niedźwiedzia w czapce. Może ten facet robi sobie z niej żarty? Nie miała wielkiego wyboru. Zadzwoniła do Klemeta.

Tom Paulsen długo wahał się, nim zadzwonił do Niny. Teraz, gdy już to zrobił, zastanawiał się, czy powinien spotkać się z nią wbrew zakazowi Nilsa. Jego partner był nieprzejednany: nie ma mowy o kontaktowaniu się z policją w sprawie znalezienia tego Francuza, który kiedyś był nurkiem. Tom dobrze znał Nilsa Sormiego. Przebyli tę samą drogę, chcieli

tego samego i, mimo młodego wieku, mieli już dużo wspólnych wspomnień. Wrócił do swojej kabiny w pływającym hotelu, na statku Bella Ludwiga. Chciał być sam. Wyjrzał przez okno. Słońce odbijało się w instalacjach fabryki ciekłego gazu na wyspie Melkøya i placu budowy przyszłego terminalu, skąd miano wysyłać ropę ze złoża Suolo. W ciągu jednego pokolenia ta część wód norweskich stanie się nowym eldorado królestwa. Morze Północne powoli przechodziło do historii epepei przemysłowej kraju.

Dzisiejszy wypad do tundry musiał odbyć się bez niego. Dlaczego Nils tak się upierał? Jak miał odnaleźć Francuza, nie zdradzając przyjaciela? Jeśli zwróci się do Niny, prosząc o jak największą dyskrecję, to właściwie nie będzie zdrada. Ale czy mógł zaufać Ninie? Czy była przede wszystkim policjantką, czy też potrafiła dochować tajemnicy, nie zdradzając swoich własnych reguł?

Czy zwracając się do niej z taką prośbą, nie postawi jej w niezręcznej sytuacji? Nina wydała mu się równą dziewczyną. Przypomniawszy sobie znaczące chwile na parkingu. Mógł się jeszcze wycofać, mimo że do niej zadzwonił. Ale powinien spróbować pomóc Nilsowi. Nie ma mowy, żeby w niedzielę udało mu się znaleźć kogoś z administracji czy kogokolwiek, kto mógłby udzielić odpowiedzi na jego pytanie. W Hammerfest, w niedzielę? Może Gunnar Dahl. Naftowiec z Norgoilu pamiętał tamte czasy. Ale Tom nie sądził, by wolno mu było w niedzielę zawracać głowę temu biznesmenowi o wyglądzie pastora. Mógł spróbować złapać go przy wyjściu z kościoła, jednak godzina mszy już minęła. Moe. Ich kontroler z Arctic Diving, Leif Moe, był człowiekiem w średnim wieku, po czterdziestce. Powinien znać to środowisko dawnych nurków, w każdym razie lepiej niż Nils i on sam. Nilsowi ambicja nie pozwalała się do niego zwrócić, ale mógł to zrobić Tom, nie wtajemniczając go zanadto w szczegóły sprawy.

Tom Paulsen wsiadł do motorówki, która kursowała między hotelem a nabrzeżem, i popłynął na keję pariasów. Przy brzegu stał Arctic Diving. Nazajutrz zapewne wypłynie na misję. Moe regularnie bywał w Riviera Next. Paulsen znalazł go w barze. Moe jak zwykle siedział samotnie przy piwie, podobnie jak setki innych, których los rzucił w ten zapadły kąt Arktyki w czasie budowy. Paulsen zamówił piwo i usiadł obok niego. Pili, nie odzywając się z początku ani słowem – dwóch samotnych ludzi spragnionych towarzystwa. Leif Moe jako nurek miał bogatą i chlubną

przeszłość. Był weteranem wielu projektów: na Morzu Północnym, w Zatoce Meksykańskiej, w Zatoce Gwinejskiej, na misji współpracy w Wietnamie. U wybrzeży Brazylii naprawdę najadł się strachu. Nurkowano tam jak dotąd najgłębiej na świecie, w warunkach, których bezpieczeństwo przyprawiało nieraz o dreszcze. Tom wiedział o tej przeszłości i szanował ją. Podobnie jak szanował jego decyzję o zdjęciu kasku i przejściu do nadzoru. Jego doświadczenie ocaliło niejedno życie. Tom wiedział też, że Leif Moe uważał Nilsa za rozpieszczonego dzieciaka. Nie on jeden. Był świadom sławy ulubieńca koncernów naftowych, ciągnącej się za jego partnerem. I ta ksywa PC, politically correct, opinia Lapończyka, którego pokazuje się tu i tam. Tom uważał, że Nils sam się do tego przyczynia, ale nie była to jego sprawa. W każdym razie lepiej będzie, jeśli Leif Moe nie dowie się, że przychodzi tu w imieniu swojego przyjaciela.

– Gotów na jutro?

Tom w milczeniu podniósł szklanke. Obaj z Nilsem byli zawsze gotowi, i Leif Moe o tym wiedział. Powiedział to ot tak, dla zagajenia rozmowy. Równie dobrze mógłby powiedzieć coś o pogodzie. Tworzyli bez wątpienia najlepszą ekipę nurków pracującą na Morzu Barentsa. Byli rozchwytywani, gdyż dzięki nim firmy mogły zaoszczędzić dużo pieniędzy, unikając kosztów, na jakie narażali je inni, mniej nawykli do niebezpieczeństw. Albo oszczędzić sobie kłopotów, jak wtedy, gdy Nils działał na granicy ryzyka, naciągając do maksimum zasady bezpieczeństwa – tym razem trochę za bardzo. Ale Tom wykonał robotę. Zrobił to, czego od niego oczekiwano. To, czego Nils od niego oczekiwał.

– Dziwne to wszystko, co się tu wyprawia.

Tom nie zareagował. Wiedział, że Moe lubi mówić i że lubi facetów, którzy go słuchają.

– No dobra, w każdym razie... I tak jest tu mniejszy bajzel niż w latach siedemdziesiątych. I trzeba przyznać, że na Dalekiej Północy nie nadużywa się nurków. Nie tak jak wtedy, na Morzu Północnym. Teraz wszędzie wysyłają pojazdy podwodne. Zauważ, że mnie to nie przeszkadza. Wkurzają nas zasadami bezpieczeństwa, ale z tego, co ludzie mówią o latach siedemdziesiątych, był tam wtedy cholerny burdel. Kowbojenie, bez żadnych reguł, rób albo giń. Dobrze, powiesz może, że i teraz tak trochę jest, że to wciąż zawód dla wariatów, ale przynajmniej

są jakieś reguły. Musimy się do nich stosować i szczerze mówiąc, ja się nie skarzę.

Leif Moe zaczął się powtarzać.

– Mam wrażenie, że w naszym fachu nie ma już wielu Francuzów. W tamtych czasach chyba byli pionierami?

– Rzeczywiście, chociaż sam tych czasów nie pamiętam. Byli ludzie z pewnej firmy w Marsylii, byli też z marynarki wojennej, Amerykańcy, przeważnie dawni nurkowie bojowi. Faceci, którzy zasady bezpieczeństwa mieli we krwi, prawdziwi zawodowcy. A potem, kiedy namnożyło się wypraw badawczych na Morzu Północnym, zrobił się boom, wszędzie ropa, i trudno, musieli ściągać ludzi, skąd się dało, nie nadążali z rekrutacją, zaczęli werbować także, którzy nie umieli nawet pływać, przysięgam, widziałem to na własne oczy. Sam zacząłem nieco później, ale pamiętam jeszcze wielu zniszczonych ludzi. Wielu zrezygnowało. Wielu zginęło.

Leif Moe uniósł szklanę.

– Za zmarłych i za żywych.

Tom Paulsen zrobił to samo. Nawet jeśli Moe się powtarzał, jego opowieści były poruszające.

– A Francuzi? Widzisz tu jeszcze tamtych, z dawnych czasów?

– Czasami. To środowisko jest dość dziwne i pełne indywidualistów. Niektórzy zarobili kupę forsy i znikli. Niektórych poturbowało i też ślad po nich zaginął. Nie chciałbyś mieć na karku kaleki, który wciąż przypomina ci, że tobie może przydarzyć się to samo. Poza tym Francuzi zostali wypchnięci z rynku, bo środowisko stawało się coraz bardziej międzynarodowe, wszystko było po angielsku, a Francuzi, mimo najlepszych kompetencji, o angielskim nie mieli pojęcia. I tak zostali wyślizgani. To głupie, ale tak właśnie było. Czasem jeszcze jakiś się trafi, ale rzadko.

– A ostatnio widziałeś jakiegoś?

Tom zastanawiał się, czy nie za bardzo naciska, ale Moe zdawał się niczego nie podejrzewać. Zamyślił się.

– Francuzów nie. Większość dawnych nurków wylądowała raczej na południu. Ci, którzy mieli trochę forsy, uciekli do słońca. Inni cóż, są tam, gdzie są, ale wielu pochodziło z okolic Stavanger. Ostatnio spotkałem takiego faceta, właśnie jednego z tych dawnych weteranów. Norwega. Był nieźle poharatany. Pił, palił szlugi i widać było po nim, co robił,

łatwo poznać, kiedy ktoś ma zniszczone stawy, i te blizny... coś straszego.

– Czego chciał?

– O, chciał pogadać trochę o dawnych czasach, dowiedzieć się, co teraz robimy, czy młodzi dają radę, pytał o kilku starych kumpli... takie tam.

– Jest tu gdzieś jeszcze?

– Nie, już go nie widzę. Chyba na wszelki wypadek zostawił mi swój numer telefonu. Czeka, jeśli cię to interesuje, to gdzieś go tu mam.

Poszperał w kieszeniach płaszcza, wydobył z nich rachunek z jakimiś gryzmołami na odwrocie. Przedał rachunek na pół, przepisał numer i podał papier Tomowi.

– Jest tu jeszcze w okolicy ktoś ze starej gwardii?

– Ktoś mi mówił, że jest taki jeden, który mieszka samotnie w tundrze, w jakiejś chacie.

– Francuz?

– Coś się tak przyczepił do tych Francuzów? Nie, chyba Norweg. Ale z tego, co wiem, nie jest w zbyt dobrym stanie. Wielu dawnych nurków ma ten sam problem. Na wierzchu niby wszystko jest w porządku, ale w środku wszystko zniszczone.

Moe podniósł rękę i zamówił jeszcze dwa piwa.

– Dobry chłop z ciebie, Tom. Dam ci tylko jedną radę: nie pracuj tu za długo. Nie szarżuj z nurkowaniem. Musisz wiedzieć, że jeśli zostaniesz za długo w tej robocie, nie będziesz mógł liczyć na nikogo: ani na państwo, ani na koncerny naftowe.

Nadszedł kelner z butelkami piwa. Moe podniósł szklanę.

– Dalej, za zmarłych i za żywych.

Rozdział 44

Skaidi, późne popołudnie

Klemet podwiózł Ninę do schroniska w Skaidi. Młoda kobieta była u kresu sił. Klemet podjechał potem pod świętą skałę, żeby obejrzeć miejsce, w którym znaleziono bransoletkę. Chciał wyobrazić sobie jeszcze raz tę scenę, spróbować odnaleźć jakiś istotny szczegół, rzucający nowe światło na śmiertelny upadek Fjordsena. Minął szczątki spalonej chaty. Na pogorzeliisku znaleziono ciało. Badano je w laboratorium w Hammerfest.

Z chaty nic nie zostało, ale umowa najmu volkswagena combo wystawiona była na nazwisko pewnego Francuza, co już zostało potwierdzone. Był to emerytowany lekarz, który z niewiadomych powodów zaszył się w tej okolicy. Pewnie lubił wędkować, pomyślał Klemet. Za bardzo się spieszył. Rodzinę już powiadomiono.

Według wstępnych ustaleń, które Klemet znalazł w sieci policyjnej, powodem wypadku był wybuch gazu. Wypadki zdarzały się nierzadko po ciężkich miejscowych zimach, które uszkadzały instalacje, ujęcia wody i inne elementy wyposażenia tych domków, przeważnie niezamieszkałych. Najprawdopodobniej wybuchła butla z gazem. Klasyka – chcemy szybko zapalić gaz, z jakichś przyczyn nam się to nie udaje, i nie zdajemy sobie sprawy z tego, że gaz gromadzi się właśnie w naszym małym pomieszczeniu. Potem nagle jedna iskra, i bum.

Z tonu raportu Klemet wywnioskował, że sprawa jest już prawie zamknięta. Pogorzeliisko otaczały taśmy policyjne. Nie było nikogo. Klemet zaparkował obok. Była jeszcze ładna pogoda, świeciło słońce, nie było wiatru. Od jakiegoś czasu sam myślał o kupnie małego domku letniego nad brzegiem rzeki, ale wahał się. Zbyt często stykał się z hodowcami, którzy narzekali na te domki, wyrastające jak grzyby po deszczu. Taki zakup postawiłby go w dwuznacznej sytuacji. Eksperci z towarzystwa ubezpieczeniowego mieli przyjść dopiero jutro. Klemet

podszedł ostrożnie do rumowiska; przyglądał się mieszaninie desek, belek, żelastwa, potłuczonego szkła, popiołu i na wpół zwęglonych przedmiotów. Część szczątków rozrzucona była w dość dużym promieniu. Pożar musiał zostać poprzedzony potężnym podmuchem eksplozji. Zastanawiał się, czy mógłby się tu osiedlić, gdyby jednak uległ pokusie dostatniej wygody. Wprawdzie lapoński namiot w ogrodzie dostarczał mu różnych atrakcji, ale bliskość rzeki była ważnym atutem. Popatrzał na zamarzną rzece, płynącą pod taflą lodu, na brzozy, które czerniały w oddali, pozbywszy się warstwy śniegu. Ostre promienie słońca topiły śnieg, zmieniający się w strużki płynące wzdłuż skał i kamieni. Przedmioty rozrzucone przez wybuch zapadły się w śniegu. Klemet nie pytał, w jakim stanie znaleziono lokatora. Wpis w sieci policyjnej tego nie precyzował. Klemet nie dotykał niczego. Kawałek zielonego plastiku, który musiał być kiedyś sześcianem, wylądował pod jedną ze skał.

Gdy pracował w zespole Palmego, badał sprawę zabójstwa dawnego premiera Szwecji; interesował się wówczas grupami terrorystycznymi wszelkiego autoramentu i ich arsenałem. Jego wiedza na ten temat była nieco nieaktualna, ale ten szczegół go zafrapował. Wydawało mu się, że rozpoznaje w tym kawałku plastiku część zapalnika. Ten rodzaj zapalników umożliwiał odpalenie detonatora impulsem elektrycznym. Było to bardzo proste, jeśli ktoś się na tym znał. Taki przedmiot nie mógł znaleźć się tu przypadkowo.

Klemet wrócił na rumowisko. Szukał kuchni. Gdzie znajdowała się butla z gazem? Jak się w tym połapać w takim bałaganie? Nie potrafił jeszcze przedstawić spójnej hipotezy, ale dostrzegł jeden ważny element układanki.

Zadzwoił do Ellen Hotti i poinformował ją o swoim odkryciu.

Szefowa uprzejmie go wyśmiała. Nie wiedziała, że straż reniferów dysponuje ekspertami od sabotażu.

– Niezbyt pilnie czytasz moje raporty. Powinieneś wiedzieć, że budynki czasem wybuchają w tundrze.

– Z zapalnikami i z detonatorami?

Obiecała, że zaraz kogoś tam wyśle.

– Przy okazji, mogę spytać, co tam właściwie robisz?

– Chciałem się tylko upewnić, czy nie wałęsają się tu niesforne renifery, które mogłyby zakłócić środowowe uroczystości.

– To świetnie, naprawdę znakomicie. Lepiej powiedz mi coś o sprawach, które powinny cię obchodzić. À propos, słyszałam, że widziałeś się z Sormim i że rozmawialiście.

– Przecież o to mnie właśnie prosiłaś.

– I przeprosiłaś go, albo coś w tym rodzaju?

– Tak jak mówiłaś.

– Wiesz o tym, że wciąż nie wycofał skargi.

– Akurat to mnie nie dziwi u tego...

Pani komisarz wybuchnęła śmiechem i rozłączyła się.

Co za drań! Sormi obiecał mu, że wycofa skargę. Celowo z tym zwlekał, żeby dokuczyć Klemetowi. To jasne jak słońce. Żeby się uspokoić, Klemet znów wyobraził sobie scenę, w której wyjawia Sormiemu tajemnicę niezbyt chwalebnej przeszłości jego przodka, obwożonego jak zwierzę po wystawach. Z pewnością byłoby to warte wszystkich policzków, które Klemet jeszcze chętnie by mu wymierzył. Spojrzał na zegarek. Pod świętą skałę pójdzie jutro. I tak musieli udać się tam z Niną, żeby pomóc Anneli w przeprawie stada. Ostatni raz rzucił okiem na resztki domku. Przez chwilę miał ochotę znaleźć się w swoim namiocie w Kautokeino i pomyślał, że gdyby udało mu się spędzić tam wieczór z ciotką Sormiego, byłby to również znakomity rewanż, który przecież mu się należał. Wyjął telefon i wyświetlił numer Soni Sormi, po czym schował go z powrotem. Później, pomyślał, i wrócił do Skaidi.

Nina leżała od jakiegoś czasu na łóżku, gdy z letargu wyrwał ją esemes. Zwykły znak zapytania. Był od Toma. Niemal zupełnie o nim zapomniała. I od razu zezłościła się na siebie, ale była naprawdę wykończona. Odpowiedziała mu krótkim esemesem. On jednak nie dawał za wygraną. Zaproponował, żeby przyjechała do pubu przy stacji obsługi w Skaidi, skoro nie może przyjechać do Hammerfest. Robiło się późno, ale było jeszcze dość widno. Nie wiedziała, czy jest zmęczona fizycznie czy psychicznie, czy też jedno i drugie. Może się czymś struła. Czuła się podle i ociężale, mózg płatał jej figle. Odświeżyła się i ruszyła do pubu. Świeże powietrze dobrze jej robi. Zamówiła hamburgera. Uśmiechnęła się na myśl o nieustępliwości Toma. Energiczny nurek o pięknym, męskim uśmiechu.

Przyszedł pół godziny później i usiadł przed nią. Gadali najpierw o jakichś bzdetach, o różnych miłych rzeczach, jakby chcieli uspić czujność innych klientów, i tak o tej porze nielicznych.

– Jutro spotkam się z ojcem – rzuciła w końcu.

Tom Paulsen pokręcił głową. Tak pięknie to robi, pomyślała. Miał taki poważny wyraz twarzy. Kiedy marszczył lekko czoło, ruszając czubkiem nosa, na jego twarzy tworzyły się drobne zmarszczki, którym nie sposób było się oprzeć.

Zaczęli mówić jednocześnie, zaśmiali się i przeprosili.

– Mówiłaś o swoim ojcu. Od dawna go nie widziałaś, ale może miał jakichś kolegów, przyjaciół, z którymi mogłaś zachować kontakt. W tym środowisku ludzie nie zrywają znajomości.

– Byłam taka młoda, mieszkałam daleko, nie sądzę, żeby ojciec zapraszał kolegów do domu. Mówiąc ogólnie, moja matka nie bardzo ich lubiła. Poza tym w mojej osadzie nie było baru, więc...

Tom myślał przez chwilę.

– I nie wiesz, czy twój ojciec nie miał przypadkiem jakiegoś kolegi, który był Francuzem?

Ninę zdziwiło to pytanie.

– Pamiętasz, jak mówiliśmy o partnerach. Wiesz, kto był jego partnerem?

Wyglądało na to, że Tomowi zależy na odpowiedzi na to pytanie. Spróbowała sobie przypomnieć. Wspomnienia o ojcu z tamtych czasów... Wszystko było takie odległe. Ile lat miała, kiedy odszedł?

Może dwanaście. Niecałe. Kto do nich przychodził, oprócz Margarety i kobiet, które przy kawie przygotowywały się do nabożeństwa? Mężczyźni, których pamiętała, byli bardzo starzy, w każdym razie o wiele starsi niż jej ojciec. Ale on był wtedy taki młody. Wiedziała, że w rzeczywistości nie był już taki młody, ale zawsze był gotów żartować, kiedy córka była w pobliżu. Aż do dnia, gdy... To nie był dzień, za pierwszym razem to była noc. Obudziła się, bo drzwi były otwarte i do mieszkania wpadało zimno. Zbiegła z piętra na parter, potem wróciła na górę. Matka spała, ale ojca nigdzie nie było widać. Tylko jego poduszka leżała w drzwiach. Znów zeszła na dół. Była noc, nic nie było widać. Zwinęła się w fotelu, stojącym przy wejściu, i czekała. Nie wiedziała, ile to trwało, nie miała zegarka, ale małej, przestraszonej dziewczynce czas niemiłosiernie się dłużył. Nie śmiała zamknąć drzwi, bojąc się, że ojciec mógłby sobie pomyśleć Bóg wie co. Zapaliła światło przed domem. I czekała. W końcu przyszedł. Nim zobaczył, jak siedzi skulona w kącie, Nina zdążyła jeszcze dostrzec jego błędny wzrok, zapadniętą twarz, ciężki

krok i chrapliwy, nieregularny oddech. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie. Nie spytała o nic, tylko podbiegła i objęła go z całej siły. Bała się, było jej zimno. Wzięła ojca za rękę. Poddał się jej bezwiednie. Pogładziła go po włosach. To uspokoiło ich oboje.

Kto był partnerem jej ojca? Uświadomiła sobie, że nie zwróciła dotąd uwagi na tę kwestię, która dla niego mogła być bardzo istotna. Nie знаła nazwiska człowieka, który być może wiele razy ocalił ojcu życie. I który być może wiedział, dlaczego ojciec stał się tym, kim się stał. Potrząsnęła głową. Tom zdawał się zawiedziony. Ja o wiele bardziej, pomyślała.

– A ty? Przecież musisz znać ludzi, którzy kiedyś nurkowali.

– Oczywiście.

– I wiesz coś o eksperymentach, które robili?

– Tak, kiedyś rzeczywiście je robiono. Teraz robi się je o wiele rzadziej. Myślę, że było zbyt wielu rannych. Zwłaszcza wtedy, gdy szukano ropy na Morzu Północnym. Szefowie twierdzą, że w naszych czasach jest to już niemożliwe z przyczyn politycznych. Wolą polegać na pojazdach podwodnych. My tylko pomagamy w razie czego, ale wielka epoka heroicznych wyczynów należy już do przeszłości. Zbyt wiele było ofiar.

– Jak to, zbyt wiele ofiar?

– Kiedy długo przebywasz pod ciśnieniem na dużych głębokościach, nurkowanie robi się niebezpieczne, zwłaszcza podczas dekompresji. Kiedyś konkurujące ze sobą koncerny starały się maksymalnie skrócić czas dekompresji, żeby nie płacić nurkom za nic, w każdym razie tak wtedy myślano. Przyspieszały coraz bardziej, a nurkowie płacili za to ogromną cenę. Po ich ciałach krążyły bąble powietrza, cierpieli na chorobę kesonową, ich cierpienia trwały nieraz całymi dniami. Widziałas tę kabinę dekompresyjną, w której zginęli ci dwaj faceci?

– Tylko na zdjęciu.

– To właśnie tam dokonywano dekompresji. Jeśli ktoś zbyt szybko się wynurzył, trzeba go było zamknąć w takiej kabinie. Jeśli chcesz, pokażę ci naszą kabinę na Arctic Diving. Mam całkiem uczciwe zamiary.

Ninie nie w głowie były figle, nawet w kabinie dekompresyjnej.

– Chcesz powiedzieć, że niektórzy nurkowie do dziś ponoszą konsekwencje swojej pracy, chociaż od dawna już nie wychodzą w morze?

– Tak, według niektórych lekarzy. I według niektórych nurków. Problem często polega na tym, że tego nie widać. Mają problemy ze

stawami, z płucami, z tym, co w środku – powiedział, chwytając się za głowę. – Zmiany charakteru, utrata pamięci krótkotrwałej, problemy z koncentracją i tak dalej, nie mówiąc o próbach...

Tom, zmieszany, zawiesił głos, po czym mówił dalej.

– Ale nikt o tym nie mówi. Jeśli znasz trochę środowisko ojca, powinnaś wiedzieć, że kłopoty to dla nich temat tabu. Cały czas trzeba być na topie.

Nina zamyśliła się. Tak mało pamiętała... Nie mogła się z tym pogodzić.

– Przepraszam, jestem wykończona.

Wstała. Tom wciąż siedział. Rozglądał się wokół, prawy profil, lewy profil, czasem oba naraz. Szkoda, że jestem zmęczona, pomyślała Nina. Tom zdawał się wahać, co było do niego niepodobne.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedział w końcu. – Czy słyszałaś może przypadkiem o byłym francuskim nurku, który pojawia się w okolicy?

– O francuskim nurku? Nie, jedyny były nurek, o którym ostatnio słyszałam, to były hodowca, który dawno temu brał udział w eksperymentach. Ale on był Norwegiem.

– A gdyby ktoś chciał odszukać taką osobę, jak można by to zrobić?

Ninie wydał się podejrzany nacisk, z jakim o to pytał.

– Pomyślę i dam ci odpowiedź, ale teraz jestem naprawdę skonana.

Gdy wyszli na zewnątrz, czule pogładził ją po policzku. Zostawiła go i wróciła na piechotę skąpana w ostatnich promieniach słońca. Była jedenasta w nocy, a dzień jeszcze nie minął. Miała spotkać się z ojcem i zupełnie nie wiedziała, czego się spodziewać.

Rozdział 45

Sobota, 8 maja

Wschód słońca: 1.41. Zachód słońca: 23.01

Długość dnia: 21 godzin i 20 minut

Cieśnina Wilka, 5.00

Klemet i Nina od dobrej godziny stali przy drodze biegnącej wzdłuż cieśniny. Znaleźli Anneli, która wyjaśniła im, w którym miejscu stado powinno przejść przez szosę. Naprzeciw nich widać było ogrodzenie ustawiane na kamienistej plaży – to tutaj miały zatrzymać się renifery przed wejściem na barcę Biura do spraw Reniferów. Prom już nadpływał i Klemet nawiązał łączność z pilotem. Znali się od dawna. Był to Lapończyk z wybrzeża, dawny rybak, zatrudniany teraz przez koncerny naftowe jako pomoc logistyczna niezbędna w okresie, gdy zaczynały się inwestycje na Morzu Barentsa. Wciąż miał jeszcze swój trawler, ale imał się różnych zajęć, pracując to dla siebie, to dla nafcjarzy, to znów dla hodowców reniferów.

Stado błądziło jeszcze po równinie, otaczane licznie przez hodowców, którzy od wielu godzin starali się do niego zbliżyć, żeby przegrupować setki zwierząt, zebrać je i skierować w stronę brzegu. Inni hodowcy przygotowywali ogrodzenie. Cała operacja dzieliła się na kilka etapów. Renifery powinny najpierw dojść określoną trasą do drogi, prowadzone przez renifera przewodnika. Ogrodzenie było na tyle duże, że mogło pomieścić je wszystkie.

Klemet i Nina stanęli na przeciwległych krańcach drogi, gotowi zatrzymać ruch. Czekali na sygnał Anneli. Akcja mogła jeszcze potrwać. Dziesięć minut albo dwie godziny. Na brzegu nic się na razie nie działo. Klemet wysłał do Niny wiadomość. „Nie jesteś za bardzo zmęczona? Rano nie mogłaś otworzyć oczu”. Nina odpowiedziała błyskawicznie: „Błagam, chcę zanurzyć głowę w wannie z kawą”.

Wczoraj wieczorem Klemet nie chciał zasypywać Niny pytaniami. Jej romans z tym nurkiem nie bardzo mu się podobał. Nie odważył się jeszcze wyznać komisarz Hotti, że przeprowadzają renifery na Wyspę Wieloryba na dwa dni przed pogrzebem Fjordsena. Niektórzy mogli to uznać za czystą prowokację, istniało bowiem bardzo duże ryzyko, że na pogrzebie pojawią się jakieś zbłąkane renifery. W mieście byłoby to z pewnością bardzo niemile widziane, ale jako przedstawiciel straży reniferów Klemet musiał uszanować wolę hodowców. Nie chodziło tylko o Anneli. Nie tylko jej zwierzęta przeprowadzały się przez cieśninę. Do takiej operacji potrzeba było wielu hodowców i nie sposób było odkładać jej w nieskończoność tylko po to, by zaczekać na pogrzeb burmistrza, który na dodatek za życia zrobił wiele, by uniemożliwić reniferom wchodzenie do miasta.

Dzwoniła Anneli. Zwierzęta nadchodziły.

Klemet uprzedził Ninę przez telefon, gdy były w odległości kilometra. Zamknęli drogę. O tej godzinie prawie nikomu to nie przeszkadzało.

Czekali jeszcze około dwudziestu minut, nim pojawiły się pierwsze renifery. Klemet był zbyt daleko, by je dojrzeć, ale słyszał motory. Wkrótce zobaczył, jak zza skarpy od strony równiny wyjeżdża skuter śnieżny. Człowiek na skuterze, w czapce na głowie, zdjął okulary przeciwsłoneczne. Klemet rozpoznał Jonasa Simbę i przywitał się z nim. Simba wyłączył silnik, zapalił papierosa. Pozdrowił policjanta. Klemet nie widział go od śledztwa w sprawie śmierci Erika, a zatem prawie od dwóch tygodni. Teraz znów znaleźli się w tym samym miejscu, ciągle przez renifery, uparcie ciągnące na swoje odwieczne pastwiska. Simba robił wrażenie zdenerwowanego.

– I co, udało się?

Klemet nie zrozumiał, o co mu chodzi. Hodowca spojrzał na niego nieżyczliwie.

– Tutaj jesteście grzeczni, ale szykujecie się już do przeniesienia skały. A wy, gliny, będziecie tu, w tym miejscu, robić to samo: będziecie pilnować, żeby maszyny budowlane mogły spokojnie wykonać swoją robotę. Przeniesiecie skałę. Okazuje się, że Juva Sikku dobrze rozegrał sprawę. Miał rację, że nie oglądał się na innych. Wiedział, co robi.

– Nie wiem, o co chodzi – bronił się Klemet, i mówił prawdę. Słyszał wprawdzie jakieś plotki, ale nie wiedział, że już podjęto decyzję. Chciał dodać, że jeśli ją podjęto, to trzeba będzie ją uszanować, ale Simba rzucił

już peta, założył okulary i ruszył naprzód, z impetem wjeżdżając na drogę.

Klemet potrząsnął głową i zaczął szukać okularów.

Po kilku minutach zobaczył pierwsze renifery przechodzące przez drogę. Kierowano je tak, by weszły w przestrzeń okoloną ogrodzeniem. Przejście trwało kilka minut, należało poczekać, aż maruderzy dołączą do grupy. Przez lornetkę Klemet widział cielęta idące obok matek. Wyglądały na słabe; bardzo możliwe, że wiele z nich zatonełoby podczas przeprawy, gdyby stado pokonywało cieśninę wpław. Po zamknięciu ogrodzenia dał znać Ninie, że może odblokować drogę. Dołączył do niej i wrócili na swoje miejsca, by czuwać nad przeprawą zwierząt. Nie byli już potrzebni. Nina poprosiła, by zrobił jej zdjęcie na tle promu. Zastanawiał się, czy z tej strony zdjęcie wyjdzie, było za bardzo pod światło. Wiedział, że poprosiłaby go, żeby zrobił zdjęcie pod innym kątem. Ustawił kadr tak, by prom znalazł się w połowie za jej głową, nieco z boku. Skrzywiła się, ale wydawała się zadowolona. Renifery, wycieńczone wielomiesięcznym postem, odpoczywały teraz, liżąc skały lub wyskubując spod brzoź resztki mchu. Na dole pasterze rozwijali plandeki, zabezpieczając przejście pomiędzy ogrodzeniem i barką, która właśnie dobiła do brzegu i spuściła trap. Klemet dostrzegł Jona Miennę, pilota promu przewożącego stado. Pasterze otwarli ogrodzenie. Niektórzy z nich weszli do środka i rozdzielili zwierzęta, które na widok ludzi zaczęły kręcić się w kółko. Hodowcom udało się za pomocą rozłożonych plandek wydzielić grupę złożoną z około czterdziestu reniferów, którą skierowali w stronę korytarza. Zwierzęta, którym ślina ciekła z otwartych pysków, w nagłym pośpiechu rzuciły się w stronę rampy. Tłocząc się, zaczęły wchodzić na prom. Pasterze, schowani za rozłożonymi plandekami, ścieśniali coraz bardziej ogrodzenie, w miarę jak stado wchodziło coraz głębiej na pokład promu. Operację tę powtórzono kilka razy, dopóki ogrodzenie zupełnie się nie opróżniło. Policjanci zeszli na brzeg. Klemet dał znak ręką Miennie, który uniósł kciuk. Przeprawa miała się ku końcowi.

– Wiedziałaś, że podjęto już decyzję w sprawie przeniesienia skały?

Nina nie odpowiedziała.

– Nie podoba mi się to – powiedział Klemet. Patrzyli na statek oddalający się w stronę ośnieżonych, skąpanych w słońcu gór Wyspy

Wieloryba i Klemet pomyślał, że może ostatni raz bierze tu udział w takiej akcji.

– Moje fiszki, ukradli mi fiszki!

Markko Tikkanen krzyczał w swoim biurze. Był zrozpaczony. Nic nie rozumiał. Kto mógł wyrządzić mu taką krzywdę? Tikkanen dostrzegł ich zniknięcie dopiero rano, gdy jak zwykle wcześniej przyszedł do pracy. Myślał, że szlag go trafi na miejscu. Wolałby, żeby ktoś mu kazał, by sam sobie odrąbał ramię. Setki fiszek, jego największy skarb, miały odtąd stać się publiczną tajemnicą. Nie mógł nic na to poradzić. Tikkanen szalał ze złości i z niedowierzania, nie wiedząc, któremu z tych uczuć ma się bardziej poddać, ocierał pot z czoła, wstrząśnięty tak wielką niegodziwością. Kto mógł to zrobić? Kto? Katastrofa. Nie ma co, katastrofa. Oby tylko złodziej nie potrafił czytać, modlił się Tikkanen. Poprawił czuprynę, przyznając, że jest mało prawdopodobne, by złodziej, który zabrał mu jego skarb, nie potrafił czytać. Dzisiaj wszyscy umieli czytać, umiejętność czytania była istną plagą. Analfabeta zabrałby raczej obraz. Obraz. Jak to możliwe? Jak to zrobił? Jak wszedł do środka? Czy schował się, czekając, aż Tikkanen wyjdzie? Jego sekretarka, pani Isotalo... Co widziała? Miała paru nieciekawych znajomych. Kiedy ostatni raz zaglądał do swoich notatek? W piątek? Czy przyszła po nim? Miała klucze. Ale nie znała szyfru. Nikt go nie znał. Zawył z bólu. Spojrzał przez witrynę swojego gabinetu, wychodzącą na ulicę, cofnął się w głąb pokoju, trzasnął drzwiami i otrząsnął się. Musi zachować zimną krew. Tikkanen był znany ze swojej zimnej krwi. Tikkanen nigdy nie okazywał słabości, wszyscy o tym wiedzieli. Teraz też się nie załamie. Kto miałby interes w tym, by zabrać mu fiszki? Musiał przyznać, że wszyscy. Ale kto wiedział o ich istnieniu? Wielu ludzi, to także musiał przyznać. Mówił o nich jak o swoim ukochanym dziecku, zawsze z dumą pokazując klientom, że wie o nich wszystko. Jęknął. Wziął zeszyt, w którym zapisywał spotkania, i sprawdził nazwiska wszystkich, z którymi widział się w ostatnich tygodniach, próbując przypomnieć sobie przebieg tych spotkań. Wszyscy byli sympatyczni, przejęci i serdeczni. Dokonując uczciwej oceny swoich relacji, musiał przyznać, że właściwie nikt go nie lubi. I natychmiast zbeształ siebie za takie postawienie sprawy. Przecież wszyscy okazują mi sympatię. Co najwyżej są pod wrażeniem mojej siły, i tyle. Moja matka powtarzała zawsze, że z moją posturą będę budzić posłuch u wszystkich. Właśnie, robię na nich wrażenie, ale w głębi duszy uważają mnie za

dobrego człowieka. Widzą przecież, że chcę tylko oddać im przysługę, i nic poza tym. Po dodatkowych zabiegach, mających na celu wybranie podejrzanych, ułożył listę złożoną z piętnastu nazwisk. Wypadł z biura jak burza i wyruszył na polowanie.

Rozdział 46

Dzięki pomocy Leifa Moe, Tom Paulsen odnalazł nazwisko i numer telefonu tego zniszczonego Norwega, którego spotkali ostatnio w barze. Jego imię i nazwisko, Knut Hansen, nic mu nie mówiło. Czekał w jadalni Arctic Diving. Statek nie wypływał tym razem zbyt daleko, zaledwie kilka kilometrów, w okolice budowy terminalu Suolo. Była to zwykła inspekcja, podczas której mieli też zebrać próbki. Misja nie była ani specjalnie interesująca, ani niebezpieczna. Korzystając z resztek zasięgu, wybrał numer telefonu. Odezwała się automatyczna sekretarka. Tom odsłuchał wiadomość nagraną przez operatora, po czym zostawił swoje nazwisko i numer telefonu i rozłączył się. Wstał i podszedł do Nilsa.

– I co, masz jakieś nowiny od adwokata?

– Czekam na list od niego. Myślisz, że ta historia z ubezpieczeniem to sprawa Steela?

Nils wydawał się zatroskany. Było to do niego niepodobne.

– Już ci mówiłem, on naprawdę cię cenił, a w Teksasie nie ma rodziny. Myślę, że źle go zrozumiałeś.

– W ogóle nic nie rozumiem. Ale mam nadzieję, że dowiem się czegoś z listu. Wiesz, czego bym naprawdę chciał? Chciałbym odnaleźć Jacques'a.

– Twojego byłego francuskiego nurka?

– Może pytał o mnie i trafił na jakiś ślad.

– Leif mówił mi, że ostatnio widział tu jakiegoś byłego nurka, ale to był Norweg, facet wyraźnie bardzo zniszczony. Próbowałem do niego dzwonić, bez skutku.

– I nic mi nie mówiłeś?

– Na razie nie ma o czym mówić. To Norweg.

– Więc po co mi o nim wspominasz?

– Nie wiem. Może spróbujmy się jakoś przygotować. Twój list może nadejdzie dziś wieczorem, odbierzesz go po powrocie. A tego twojego

Francuza też w końcu znajdziemy.

Klemet i Nina przejechali przez most, żeby asystować przy wyładunku barki. Po drugiej stronie zastali Anneli i innych hodowców. Prom opróżnił się szybko i renifery błyskawicznie znikły w głębi wyspy.

Gdy wszyscy rozeszli się już do swoich zajęć, Anneli dołączyła do policjantów niedaleko świętej skały. Nina prosiła ją, by tam przyjechała, żeby pokazać miejsce, w którym znalazła bransoletkę.

– To było tam – powiedziała Nina do Klemeta. Spojrzała na miejsce u podnóża skały, sprawdzając, czy coś innego nie zwróci jej uwagi. Nic. Podniosła się, zmrużyła oczy w słońcu i pomyślała, że ostatniej nocy bardzo mało spała. – Nie wiem, jak udało wam się przywyknąć do tego słońca, które świeci dzień i noc.

Anneli uśmiechnęła się.

– Kiedy całą zimę czekasz na promyk słońca, zasypianie, kiedy świeci, wydaje ci się zdradą.

– W takim razie w tej chwili czuję się zdrajczynią. – Nina ziewnęła.

– Co teraz zrobisz? – spytał Klemet.

Anneli odwróciła się w stronę wyspy.

– Sugerowano mi, bym zabrała renifery w okolice Naivuotna na letnie pastwiska.

– Kto?

– Nieważne. Nie wiem, co miałabym tam robić. Musiałabym wejść na pastwiska użytkowane już przez kogoś innego, co być może prowadziłoby do sporu, a obawiam się, że o to właśnie chodzi. Im bardziej jesteśmy podzieleni, tym trudniej jest nam się bronić.

Klemet milczał, a Nina zrozumiała, że to nie jest ich sprawa. Podjechała furgonetka. Wysiedli z niej pracownicy Krajowej Dyrekcji Dróg. Przywitali się ze wszystkimi, po czym wyjęli i ustawili tachimetr. Zaczęli robić pomiary, nie zwracając uwagi ani na policjantów, ani na Anneli. Pasterka podeszła do nich. Jej łagodność gdzieś wyparowała.

– Można wiedzieć, co tu robicie?

– Mierzymy, bo będą tu poszerzać drogę. I o ile wiemy, za kilka dni chyba przeniosą też ten kamień.

– Naprawdę zamierzacie to zrobić? – spytała Anneli słodkim głosem.

– No, no, nie my, my tylko mierzymy. Potem ktoś przyjedzie i zrobi resztę.

– Wiecie, co to za skała?

– Chyba taka, która wkurza ratusz.

Anneli jednym ruchem wywróciła tachimetr.

Drogowcy zaczęli krzyczeć.

– Proszę uważać, wie pani, ile kosztuje taki aparat?

– A wiecie, jak ważna jest ta skała dla mojego ludu?

Klemet i Nina podeszli bliżej. Nina chwyciła Anneli za ramiona i odciągnęła ją.

– Anneli, nie wolno tak – rzucił Klemet. – Ci ludzie wykonują swoją pracę, i nic więcej. Jeśli masz coś przeciwko temu, idź do ich szefa albo do ratusza.

– Bardzo dobrze wiecie, co oni tu kombinują, i pozwalacie na to. Olaf Renson ma jednak rację.

– Odprowadzimy cię.

Nina zaciągnęła ją do samochodu. Zabrali ją do Mortena Isaaca, na drugą stronę mostu. Całą drogę jechali w milczeniu.

– Okazuje się, że ma niezły charakterek – powiedziała Nina, gdy odjechali. – Co teraz?

– Mamy jeszcze czas do twojego spotkania z ojcem. Jedź do Hammerfest, mamy wiele pytań do Gunnara Dahla.

Rozdział 47

Hammerfest

Naftowiec nie mógł przyjąć ich przed śniadaniem, Klemet i Nina udali się więc do komisariatu. Ellen Hotti wyszła do nich do kafeterii z teczką pełną dokumentów.

– Macie tu listę wszystkich pasażerów, którzy od połowy kwietnia lądowali na lotniskach w Alcie i w Hammerfest lub przyплыли promem Hurtigruten. Moi ludzie już to sprawdzali, porównaliśmy nasze dane z danymi kolegów ze służb wywiadowczych. Nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby znać Fjordsena z czasów, gdy pracował w Komitecie Noblowskim. Co nie oznacza, że sprawa nie jest związana z tamtym okresem jego życia, ale trzeba szukać gdzie indziej.

Klemet wziął teczkę.

– Mówiąc szczerze, to, że ludzie ze służb są w stanie tak szybko wykluczyć wszelkie powiązania z jego noblowską przeszłością, wydaje mi się wątpliwe. Czyżby przyjeżdżało do nas tak mało cudzoziemców?

– Sprawdzili, Klemet. Nie możemy zamykać turystów z Bliskiego Wschodu czy jeszcze Bóg wie skąd tylko dlatego, że Fjordsen przyznał kiedyś Nobla komuś, kto ma wrogów. Wróćmy lepiej do konkretów.

– Ellen, wiesz, że niewiele wskóramy – powiedział Klemet, podnosząc teczkę. – Jest nas dwoje, i mamy dużo innej roboty. Natomiast bardzo by nam pomogło, gdybyś powiedziała nam coś o tych odciskach butów zdjętych z miejsca, w którym znaleziono Fjordsena, albo o połączeniach wykonanych z jego telefonu.

– A tak, tak, oczywiście... – przerwała mu pani komisarz. – Mam coś lepszego, choć to może was nie dotyczy. Dzwonili do mnie eksperci ze spalonego domku. Wiesz, chodzi o ten twój zapalnik. Znaleźli płytę dociskową służącą do odpalania ładunków. Wystarczyło, że facet wszedł na nią, i bum... Domek był zatem zaminowany. Powiadomiłam już policję

kryminalną. Nie zapomniałam też wspomnieć o tym, kto dokonał tego odkrycia.

– A ten Francuz? Wiemy coś o nim? – spytała Nina. – Ktoś koniecznie chciał się dowiedzieć ode mnie czegoś o byłym francuskim nurku, który ostatnio gdzieś tu się kręcił.

– Kto o niego pytał?

Nina udała, że jest tak zaabsorbowana słuchaniem Ellen Hotti, że nie odpowiedziała Klemetowi.

– Jest na przykład nazwisko. Raymond Depierre, lekarz z południa Francji, z miasteczka koło Marsylii. Przyglądamy mu się. Uprzedziliśmy żonę. Kupił domek już siedem lat temu, przyjeżdżał tu na ryby, czasem spotykał się z kolegami. Jego żona jest w szoku, ale szuka dla nas nazwisk jego kolegów. Pracował w Norwegii, pełnił tu jakieś misje. Na miejscu pomaga nam policja francuska.

– Francuski lekarz padł tu ofiarą zamachu?

– Czy jesteśmy pewni, że to rzeczywiście był lekarz? – spytała z naciskiem Nina. – Czy ten lekarz i ten słynny francuski nurek to może być ta sama osoba?

– Jeśli tak was to interesuje, dam wam znać, jak tylko będziemy coś wiedzieli. Pewnie nietrudno będzie sprawdzić, czy nasz pan doktor był też nurkiem. Tymczasem, zamiast denerwować Klemeta, zwróć uwagę na listę połączeń telefonicznych z komórki Fjordsena, którą położyłam na spodzie. I informuję cię, że wczoraj wieczorem doszło do jeszcze jednej kradzieży renifera. Mieliście wolne, więc nie chciałam wam przeszkadzać, ale to się stało na południe od Skaidi. Podjedźcie tam później.

Klemet i Nina wychodzili już z kafeterii, gdy usłyszeli głos pani komisarz.

– Klemet, pytałeś mnie o tę bransoletkę, którą miał na sobie jeden z topielców z Cieśniny Wilka. Masz, łap! – Rzuciła mu małą plastikową torebkę. – I mam nadzieję, że nie zapomnicie o moim pogrzebie?

Gunnar Dahl czekał na policjantów w barze w holu hotelu Rica. Hotel leżał nad brzegiem morza, zwrócony frontem do zatoki. Z daleka widać było wieżę z pochodnią i sztuczną wyspę, na której znajdowały się biura Norgoilu. Dahl chciał się z nimi spotkać w hotelu Tuńczyk, żeby – jak mówił – oszczędzić im formalności związanych z przeprawą na wyspę. Usiedli przy stoliku stojącym nieco z boku, na podwyższeniu. Nina chciała wezwać go do komisariatu, by nadać przesłuchaniu bardziej formalny

charakter, ale Klemet był zdania, że trzeba unikać niepotrzebnych zadrażnień. Wybrał więc hotel Rica, aby mógł w ten sposób przynajmniej sam dokonać wyboru miejsca.

Ninę dręczyło wiele pytań.

Jak Gunnar wyjaśni, że jego nazwisko figuruje jako nazwisko gwaranta na umowie najmu furgonetki, w której Knut Hansen utonął w Cieśninie Wilka?

Może to przez ten jego wygląd pastora, myślała Nina, ale miała wciąż wrażenie, że Gunnar przypomina jej matkę. To samo pozornie życzliwe, ale w rzeczywistości bezlitosne spojrzenie, przeszywające człowieka na wylot. Co robił tutaj, w tym środowisku naftowców? To nie miejsce dla grzecznych dzieci. Tę samą śpiewkę słyszała, gdy była mowa o życiu hodowców reniferów. Tundra to nie miejsce dla grzecznych dzieci. Ale to, że Dahl pracował dla publicznego koncernu norweskiego, jeszcze nie czyniło z niego aniołka. Czy ta posada go deprawowała? Nina odziedziczyła po swojej matce swoiste poczucie dobra i zła. Jej matka nigdy nie wahała się wytyczać wyraźnej granicy pomiędzy tymi dwiema przeciwnościami. Nie zwracała uwagi na subtelności. Dzisiaj Nina wątpiła w poczucie dobra i zła swojej matki, zobaczywszy, jak postąpiła z jej ojcem. Ale ten Dahl...

Ich uwagę przykuł gwar dochodzący z holu. Grupa osób pogrążonych w ożywionej dyskusji kierowała się ku wyjściu. Nina rozpoznała w kilku z nich ludzi, których spotkała dziś rano przy barce, w czasie przeprawy reniferów. Dostrzegła też szefa dystryktu, Mortena Isaaca, a nawet Hiszpana, Olafa Rensona. Co ten lapoński parlamentarzysta ze Szwecji robił w Hammerfest? Renson spostrzegł ich i podszedł energicznym krokiem w towarzystwie Mortena Isaaca i paru innych, podczas gdy reszta grupy nadal zmierzała ku wyjściu.

– Proszę, Gunnar Dahl! Będziesz musiał się nam wytłumaczyć. Od tygodni próbujemy spotkać się z kimś z Norgoilu, bez żadnej odpowiedzi. A tu proszę, co za szczęśliwy zbieg okoliczności.

W głosie Olafa Rensona słychać było złość.

– My się znamy? – spytał nafciarz.

Nina zauważyła, że Renson przybiera swoją dumną pozę. Uniósł brodę, wsparł rękę na biodrze. Prawdziwy matador stojący przed bykiem, świadom spojrzeń publiczności. Hiszpan.

– Jestem posłem parlamentu lapońskiego w Szwecji i członkiem grupy koordynacyjnej parlamentów lapońskich w Szwecji, w Finlandii i w Norwegii. Wkrótce poznamy się znacznie lepiej, gdyż to, co robicie, jest nie do przyjęcia. Przenosić świętą skałę! Jak mogliście pomyśleć, że pozwolimy wam zrobić coś takiego?! Nie wystarczy wam, że już niszczyte ten kraj i tę planetę. Naprawdę myślicie, że wszystko wam wolno?

– Niszczymy ten kraj? – Gunnar Dahl wstał spokojnie. – Dostarczamy energii i pracy, tworzymy jego bogactwo.

– Czerpiąc ze złóż, w których wiercicie na Morzu Barentsa? Pozwól, że coś ci powiem. Przez was Norwegia jest krajem, który zanieczyszcza środowisko, wbrew wszystkim pięknym słowom waszego rządu. I jeszcze jedno. Jeśli chcemy nie dopuścić do tego, by klimat na Ziemi ocieplił się więcej niż o dwa stopnie – a powyżej tej granicy jest już ściana – trzeba zostawić w spokoju dwie trzecie znanych zasobów ropy, gazu i węgla na całym globie. Dwie trzecie. Ale wy – skądże! Wiercicie dalej jak gdyby nigdy nic. Norgoil zamierza nawet potroić nakłady na poszukiwania zasobów w Arktyce.

– Produkujemy czystiej od innych, i produkujemy dla kraju, który ma prawo się rozwijać.

– Czystiej? Co to za bzdury? – Renson wziął Mortena Isaaca i innych na świadków. – Nie słyszałeś, co mówię? Trzeba zostawić w ziemi dwie trzecie znanych zasobów, tych, które już znamy. A wy szukacie dalej! Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Renson odwrócił się znów do pozostałych zgromadzonych, rozkładając szeroko ręce.

– On naprawdę nic nie rozumie. I co, myślisz, że konsumpcja twojej ropy nie zanieczyszcza środowiska? Zanieczyszcza czy nie, wszystko, co wydobywacie z ziemi, przyspiesza ocieplenie klimatu.

Zwrócił się do hodowców.

– A jeżeli przy drodze, której poszerzenie ma przyspieszyć rozwój Hammerfest, stoi jakaś święta skałka, to trzeba ją stamtąd wyrzucić. Jak widać, postęp ani dobrobyt nie znają granic.

Dahl wstał. Machnął pojednawczo ręką. Ale Olaf Renson dał znak do odejścia i cała grupa skierowała się do wyjścia. Dahl usiadł i wziął policjantów na świadków.

– A wy też myślicie, że nasze zasoby ropy, warte sześćset miliardów euro, to tylko czcza gadanina?

Policjanci nie zareagowali. Klemet uniósł wzrok znad notatnika.

– Gunnarze Dahl, czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego twoje nazwisko figuruje jako nazwisko poręczyciela na umowie wynajmu samochodu, który wypożyczył w Alcie niejaki Knut Hansen?

Dahl popatrzył na niego, jakby nie rozumiał.

– Co to jest? Rozmowa czy przesłuchanie?

– Odpowiadaj na pytania, Dahl. Wszystko wskazuje na to, że Knut Hansen spotkał się z Larsem Fjordsenem tuż przed jego śmiercią.

Nina przyglądała się Dahlowi. Broda okalająca twarz. Ostre spojrzenie. Dahl wiedział różne rzeczy. Ellen Hotti sprawdziła informacje na jego temat. Przeważnie z ogólnodostępnych źródeł. Długa kariera urzędnicza, wierny sługa norweskiego przemysłu naftowego. Poszukiwanie informacji na temat Knuta Hansena nie dało żadnych rezultatów. Stwierdzono jedynie, że w całym kraju jest kilkaset osób o tym imieniu i nazwisku.

– Knut Hansen? Mam wiedzieć, kto to jest? Nie znam go.

– Ale on najwyraźniej znał ciebie.

– Moje nazwisko można wyczytać w gazetach.

– Dlaczego miałyby podać akurat twoje?

– Sądzicie, że jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie?

Był nieco zdenerwowany, ale bez przesady. Panował nad sobą. Zwalić winę na kogoś innego. Jej matka. Jej matka z brodą. Nina spojrzała na zegarek. Kiedy powinni wyjść, żeby zdążyć na spotkanie? Czy go pozna?

– Pytam cię o to, Dahl, nieoficjalnie ostatni raz. Następnym razem zada ci to pytanie w komisariacie policja kryminalna.

Klemet powinien był wiedzieć, że działając w ten sposób, nie przestrzega procedur, ale Nina czuła, że ma swoje powody. Ściągnięta twarz, gniewne spojrzenie. Dahl jeszcze bardziej zadrzał.

– Pozwól, Dahl, że jeszcze lepiej ci to wyjaśnię. Twój Knut Hansen bił się nad cieśniną z Larsem Fjordsenem, i tak się składa, że w wyniku tej bójki Fjordsen poniósł śmierć, uderzając głową o skałę.

Dahl opanował się. Już nie drżał. W dobrym zawodowym odruchu, który kazał mu oszacować ryzyko, zaczął oceniać straty. Jedna pozycja więcej, jedna mniej, jaki jest bilans?

– Jeszcze raz wam powtarzam, że to nazwisko nic mi nie mówi.

– Dobrze, jak chcesz – powiedział Klemet. Wstał, wziął swoje rzeczy, zrobił w tył zwrot i ruszył do wyjścia. Nina poszła za nim.

– Macie zdjęcie?

Przeszli już kilkadziesiąt metrów, Klemet kładł właśnie rękę na klamce. Gunnar Dahl stał z rękami opartymi o stół, przez co sprawiał wrażenie pochylonego. Osaczony. Pokonany? A może tylko chytrze markował ten gest, starając się przekonać policjantów o swej dobrej woli?

– Jeśli macie zdjęcie, pokażcie. Może go rozpoznam.

Klemet obrócił się energicznie, wyciągając zdjęcie Knuta Hansena. Przedstawiciel Norgoilu patrzył na nie przez dłuższą chwilę. Rachunek korzyści i strat. W końcu pokręcił głową.

– Nie wiem na pewno. Może go znam, może nie. Wierzcie mi. Jestem nieomal pewien, że ostatnio go nie widziałem.

Klemet podsunął mu zdjęcia Polaka i Anta Lauuli.

– Ten człowiek pracował chyba na budowie terminalu w Suolo. Polak. Zbigniew Kowalski.

– Tylu ludzi tam pracuje.

– Ale ani na statku-hotelu, ani na budowie terminalu nikt go nie rozpoznał.

– To nie znaczy, że tam nie pracował – powiedział Gunnar Dahl. – Pracują tam setki osób, zatrudnianych przez podwykonawców, i nie muszą się nawet u nas meldować, żeby wejść na teren budowy przyszłego terminalu. Mogą być równie dobrze zatrudniane przez jakąś firmę w mieście, która także załatwia im nocleg. Bardzo wielu ludzi wynajmuje mieszkania, żeby dorobić sobie do domowego budżetu.

Wynajem mieszkań, pomyślała Nina. Oczywiście, a nie spytaliśmy nawet o to Tikkanena.

– A ten – dodała – to człowiek, o którym ci mówiłam, Anta Lauula, który podobno brał udział w eksperymentach nurkowych.

– Jeszcze jeden Lapończyk – wymamrotał pod nosem Dahl. – Nic nie poradzę, nie znam go ani z nazwiska, ani z twarzy.

– Pytam z czystej ciekawości – ciągnęła Nina. – Czy braliście pod uwagę jakieś inne rozwiązanie, żeby nie trzeba było przenosić świętej skały?

– Świętej, świętej... Po prostu kiedyś ją czczono. Myślę, że ratusz zamierza przenieść ją w jeszcze lepsze miejsce, na którym będzie jeszcze bardziej widoczna. Zrobią wokół chodnik, będzie można ją oglądać, postawią ławki, rodziny będą mogły przychodzić tam na piknik.

– Jesteście pewni, że tego właśnie chcą tutejsi ludzie? Ci, którym zależy na tej skale?

– To co mamy robić? Wkrótce otworzymy nowy terminal, powstanie dodatkowy pas lotniska, przystosowany do przyjmowania dużych samolotów. Trzeba będzie zbudować nowy sztuczny półwysep. Do Hammerfest, które liczy dziś dziesięć tysięcy mieszkańców, w ciągu dziesięciu lat sprowadzą się kolejne tysiące ludzi. Arktyka się ociepla, wkrótce wszyscy będą tu szukać ropy.

– Jeśli hodowcy reniferów odejdą z wyspy, święta skała straci z pewnością swoje znaczenie – powiedziała Nina.

– Oczywiście. Ale uwaga: my bardzo szanujemy kulturę lapońską, finansujemy zresztą wspaniałe projekty artystyczne i kulturalne.

Nina chciała odpowiedzieć, ale Klemet chwycił ją za ramię.

– Czas na spotkanie – szepnął jej do ucha.

Spotkanie. Na samą myśl o nim ścisnęło ją w dołku. Pierwsze spotkanie z ojcem od kilkunastu lat.

– Jakie spotkanie – podchwycił Gunnar Dahl. – O czym mówicie?

– Nie mówiłem do ciebie, Dahl. Ale myślę, że my też się wkrótce spotkamy. Tym razem na serio. W komisariacie.

Rozdział 48

Morze Barentsa

Leif Moe ziewnął przeciągle, pogrążony w głębokim, aż nazbyt wygodnym fotelu. Powinien był usiąść na stołku, wtedy przynajmniej by nie przysypiał. Wczoraj po odejściu Toma Paulsen'a siedział jeszcze długo w Riviera Next. Zdecydowanie za długo. Potarł czoło, ale ból głowy nie przechodził. Nie rozumiał dlaczego. Przecież nie wypił więcej niż zwykle. Pił to samo co zawsze. Dobra, przejdzie. Roztarł policzki. Dzisiaj procedura tylko go wkurzała.

– Tom, Nils, wszystko w porządku, chłopcy?

Paulsen i Sormi byli pod wodą już dobrą godzinę. Dzisiaj to była bułka z masłem. Nurkowanie zaledwie na kilkadziesiąt metrów, ze sprężonym powietrzem. Bez mieszanki gazów, bez skomplikowanej i uciążliwej dekompresji. Uciążliwej i kosztownej. Leif Moe nigdy by się do tego nie przyznał, ale nie miał nic przeciwko temu, że Henning Birge nie siedzi mu już na karku. Nie żeby przedstawiciel Future Oil był bardziej wkurzający od innych, ale miał pewien styl, którego Leif nie znosił. Wolał już Billa Steela, który walił prosto z mostu. Birge miał w sobie coś z zimnej zmi. Cholerny hipokryta. Nacisnął przycisk włącznika. Pod wodą Sormi i Paulsen wykonywali manewry.

Dzięki podwodnej kamerze Leif Moe mógł obserwować poczynania nurków. Ich kombinezony, wykonane z siedmiomilimetrowej warstwy neoprenu, pokrytej podwójną warstwą nylonu, pozwalały im bez problemu pracować w zimnej wodzie.

Prace na nowej sztucznej wyspie przebiegały sprawnie. Gdyby wszystko szło zgodnie z planem, terminal naftowy Suolo miał być gotowy za mniej więcej dwadzieścia miesięcy, ale pozostawało jeszcze wiele do zrobienia. Ta budowa to istny chaos: jedne dźwigi na statkach, inne na łodzi, na ustabilizowanych już częściach wyspy. Robota szła szybko, bardzo szybko, chociaż czas dłużył się niemiłosiernie. Ale dobrze,

przynajmniej mieli długoterminowe kontrakty. Moe widział, jak Sormi napełnia swoje próbówki. Razem z Paulsenem mieli sprawdzić jakość wody wokół budowy, na której stosowano różne paskudztwa. Nie można było dopuścić, by substancje te przedostawały się do morza. Jeżeli już, to w możliwie najmniejszym stopniu. Nie wybaczyłyby im tego organizacje rybaków; argumentowano, że wody na Morzu Barentsa są w tym rejonie silnie zarybione. Leif Moe nie zamierzał kwestionować tego argumentu. Jego nurkowie wciąż widzieli tu całe ławice ryb. Moe rozumiał rybaków.

Owszem, była to rutynowa misja, ale w niełatwych warunkach. Leif Moe nie był do końca spokojny. Zbyt wiele tu statków, i te dźwigi przyprawiały go o zawrót głowy. Leif Moe nie lubił, gdy te kolosy wisiały mu nad głową. Jediną rzeczą, która powinna znajdować się nad głową nurka, jest woda. Zmienił ustawienie ekranu na obraz z kamery umocowanej na kasku Sormiego. Moe widział z niej czasem Paulsena, znajdującego się nieco dalej. Badał dno morza, przeciskając się przez metalowe bloki i metalowe siatki, cały ten chłam, przez który budowa pod wodą przypominała płataninę materiałów i maszyn na powierzchni. Część dźwigów spuszczała zresztą w tym czasie na dno różne materiały, niezbędne nurkom do pracy za kilka dni. O cholera, zapomniałem im o tym powiedzieć. Spojrzał w papiery. Ci kretyni też zapomnieli dostarczyć mu szczegółowego grafiku prac. To zdarzało się bez przerwy. Cholerne dźwigi, przeklęty ból głowy. Ten ból go spowalniał, wolniej pracował, dłużył mu się czas, coraz bardziej dokuczało mu przenikliwe zimno. Leif Moe pracował głównie na Morzu Północnym, gdzie na dnie panowała stała temperatura 4°C. Tu, choć byli dalej na północ, wzdłuż wybrzeża woda miała temperaturę 3°C, dzięki prądowi północnoatlantyckiemu stanowiącemu przedłużenie Golsztromu, który sprawiał, że w tym regionie nawet w zimie nie było kry.

Leif Moe wstał, żeby nalać sobie piątą filiżankę kawy od chwili, gdy rozpoczęli nurkowanie. Zrobił kilka ćwiczeń gimnastycznych, patrząc cały czas w ekrany kontrolne. Dzisiejsza misja wkrótce dobiegnie końca.

- Powiedz, Tom, znalazłeś w końcu tego francuskiego nurka?
- Nic nowego. Próbowałem dzwonić do tego drugiego, do Norwega, mam nadzieję, że do mnie oddzwoni.
- Czy można tu pracować w spokoju?
- Spokojnie, Sormi. Skończyłeś już pobierać swoje próbki?
- Jeszcze dwie.

– Tom, a jak u ciebie?

– Skończyłem w strefie, którą miałem...

Nagły krzyk poderwał na równe nogi Leifa Moe; wylał na siebie kawę.

– Co się stało? Tom, Nils, co jest, do cholery?

Krzyk rozdzierał mu uszy. Rzucił się do kontrolek, przeskakiwał z jednej kamery na drugą. Jedna z nich ukazywała tylko zwartą, bezkształtną masę. Z kamery Toma niczego nie było widać.

– Nils, Tom, do cholery, odpowiedzcie.

– Idę, idę.

Był to zasapany głos Nilsa.

– Nils, co się stało? Kurwa, odpowiedz w końcu.

– Idę, idę, już prawie jestem.

W głośniku odezwał się urywany głos Sormiego. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby tak mówił. Krzyki ustały.

– Tom, Tom, słyszysz mnie? Odpowiedz, Tom.

– O Boże. Wszędzie krew.

Do Leifa Moe zaczął docierać niewyraźny obraz z kamery na kasku Nilsa Sormiego. Leżącą na ziemi postać spowijała ciemna chmura.

Widział teraz ciało Toma Paulsena. A raczej się go domyślał, gdyż obraz tańczył wraz z nerwowymi podrygami kasku Sormiego. Za dużo wstrząsów. Co to jest, do cholery? Powoli ruchy Sormiego stawały się coraz spokojniejsze. Leif Moe, widząc, co się stało, wcisnął guzik alarmu. Jakiś ostry przedmiot przygwoździł Toma Paulsena do dna. Kontroler nie wierzył własnym oczom.

– Żyje? Nils, żyje?

– Nie wiem.

Moe rzucił się do okna sali manewrowej. Odnalazł wzrokiem miejsce, gdzie znajdowali się nurkowie. Wisiało nad nim ramię dźwigu. Z liny zwisała wiązka prętów. Z daleka dostrzegł małą postać człowieka kierującego dźwigiem, przechyloną ku szybie swojej kabiny. Operator próbował dostrzec znajdujący się pod nim obszar, na który spadł ładunek.

– O Boże! Cholerni kretyni!

Z dźwigu musiał spaść jeden z prętów.

– Muszę to z niego wyciągnąć.

– Nie, Nils, nie rób tego, zabijesz go.

– Muszę to wyciągnąć.

Leif Moe nie był pewien, czy dobrze widzi, obraz był fragmentaryczny, kamera była teraz zbyt blisko.

– Poczekaj, poczekaj, zawołam lekarza, Nils, zachowaj zimną krew, czekaj, na litość boską, uratujemy go, przysięgam ci!

Leif Moe rzucił się do telefonu, żeby zadzwonić do lekarza dyżurnego. Jednocześnie rzucił do mikrofonu apel na mostek:

– Natychmiast przysłać ekipę ratunkową! Lekarz, kurwa mać, odpowiedz wreszcie!

– Żyje, żyje.

Po drugiej stronie wciąż nikt nie odbierał telefonu. Członkowie załogi tłoczyli się w sali manewrowej, oferując pomoc.

– Muszę wyjąć z niego ten pręt! On tu zdechnie!

Sormi krzyczał, ciemna chmura trochę się rozproszyła. Moe nie widział twarzy Paulsena, ruchy kamery z kasku Sormiego były zbyt gwałtowne. Jakby nurek rozglądał się zrozpaczony wokół siebie, szukając pomocy, która nie nadchodziła. Albo która miała nadejść zbyt późno.

– Ekipa ratunkowa!?

Moe krzyczał ochryple. Odpowiedział mu jakiś głos z zewnątrz.

– Są już w wodzie, właśnie się zanurzyli.

Nigdy nie było ich na czas.

Bezsilny Leif Moe zobaczył nagle, jak Nils Sormi gwałtownym ruchem wyrywa pręt.

Zrobiło się zupełnie cicho. Moe siedział jak ogłuszony. Mdlilo go. Wokół niego zebrali się członkowie załogi. Bez słowa. Napięte spojrzenia. Z nadzieją nasłuchiwali każdego szmeru.

Z odrętwienia obudziły go trzaski i szумы. Jakiś gardłowy głos, dochodzący z telefonu. Do otępiałego mózgu Leifa Moe wolno docierały informacje. Lekarz.

Podczas trzech godzin jazdy na drodze między Hammerfest i kawiarnią Reinlycka, na skrzyżowaniu dróg do Kautokeino i Karasjok, Nina prawie się nie odzywała, pozwalając Klemetowi prowadzić. Towarzyszył im tylko głos dochodzący z radia. Nina wahała się między pragnieniem przypomnienia sobie scen z dzieciństwa z udziałem ojca a koniecznością skupienia się na śledztwie. Klemet przynajmniej od początku nie miał złudzeń. Kogo spotka? A co, jeśli jej matka miała rację? Co, jeśli dobrze robiła, chroniąc ją przed nim? Przypomniła sobie, co Klemet powiedział

jej kiedyś żartem. Nina, jesteście racjonalni, skoro jesteście policjantami. Być policjantem, to znaczy być racjonalnym.

Rozłożyła na kolanach dwie torebki ze skórzanymi bransoletkami. Były identyczne. Obie zrobił Anta Laula. Czy poszedł pod skałę, by złożyć jedną z nich w ofierze? Powinna skupić się na śledztwie. Gunnar Dahl, Markko Tikkanen, Juva Sikku. I Nils Sormi. I ten Knut Hansen. Co właściwie wiedziała? Konflikty o ziemię na wyspie wokół Hammerfest. Tu nikt nie chciał ustąpić. A przegranymi okazywali się niezmiennie lapońscy hodowcy. Choć nie każdy z nich właściwie przegrywał. Na przykład Juva Sikku umiał ciągnąć korzyści z tej sytuacji. Być może dzięki rezygnacji, gdyż pogodził się z tym, że nie da się stawiać oporu potędze, jaką jest przemysł naftowy. A Gunnar Dahl? Podobnie jak Steel i Birge, potrzebował gruntów, niezbędnych do rozwinięcia inwestycji. Wyjąwszy spekulacje, policjanci nie mieli mu jednak nic do zarzucenia. Z wyjątkiem motywu. Nina wyobraziała sobie minę Klemeta. Motyw? Tylko to masz, moja biedna dziewczynko? I nadal chcesz pracować w tym zawodzie? Zamknęła oczy. Dlaczego ojciec nie chciał się z nią zobaczyć wczoraj, od razu? Otworzyła oczy. Klemet był pochłonięty patrzeniem na drogę. Niebo zasnuło się chmurami. Nina zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

– Denerwujesz się?

– Myślałam o naszym śledztwie. Śmierć Erika Steggo. Naprawdę myślisz, że do czegoś dojdziemy? W końcu oprócz Juvy Sikku, który wzrusza ramionami, co właściwie mamy? I co możemy udowodnić?

Klemet ściszył radio.

– Sama mówiłaś, że skłamał w sprawie swojego telefonu nad cieśniną. Mamy początek tropu. Tikkanena przesłuchiwali nasi koledzy; pytali go o jego związki z Sikku, z nafciarzami. Nic nie znaleźli, a ponieważ nie jest formalnie podejrzany, nie mogli zarządzić przeszukania. Ellen Hotti powiedziała mi, że szukają na niego innego sposobu.

– Innego sposobu? Jak z Alem Capone. Skoro nie można skazać go za morderstwo, przyciśnijmy go za oszustwa podatkowe. Naprawdę w to wierzysz?

– Nie wiem, co miała na myśli, ale zaufaj jej.

Przejeżdżali obok lapońskiej osady Masi; byli już niedaleko kawiarni Reinlycka. Nina spojrzała na zegarek. Przyjechali za wcześnie. Przez pozostałą część drogi milczeli.

Kilka minut później Klemet pchnął drzwi kawiarni. Właścicielka siedziała nieruchomo za kasą. Miała na sobie haftowany czerwony fartuch ozdobiony naszytymi nań niebieskimi, zielonymi i żółtymi wstążkami oraz niebieski lapoński czepiec z haftowanymi brzegami. Przy stołach siedziało kilkanaście osób. Kierowcy, hodowcy reniferów, młoda para z dwojgiem dzieci. Z tyłu, w kącie, dostrzegła jakiś kształt. Nina pomyślała o kształcie, gdyż ten mężczyzna wydał jej się do niczego niepodobny. Byli inni samotni goście, ale Nina zrozumiała, że ten kształt to jej ojciec. Myślała, że przyjechała za wcześnie; była zaskoczona. Spojrzała na Klemeta. Więc jednak. Co teraz? Zamówiła kawę przy kasie.

– Ten człowiek tam, w kącie – od dawna tam jest?

Laponka, żona miejscowego hodowcy, spojrzała na zegar ścienny.

– Siedzi tam od dwóch godzin i kwadransa. Nie ruszył się stamtąd. Kiedy przyszedł, zamówił kanapkę i karafkę z wodą. I cały czas tam siedzi.

Nina odwróciła się znów do Klemeta. Nie wiedziała, co właściwie oznacza wyraz jego oczu. Wziął swoją filiżankę kawy i usiadł przy jednym z pustych stolików. Dał jej znak skinieniem głowy. Dalej, idź do niego.

Nina podeszła. Stała za pustym krzesłem obok niewyraźnego kształtu. Dostrzegła jego lewy profil. Jej ojciec. Udało jej się powstrzymać gwałtowny atak płaczu. To zagubione spojrzenie niebieskich oczu. Takie niebieskie, takie zagubione. Jego twarz była porwana głębokimi bruzdami, ale Nina nie mogła oderwać wzroku od tego spojrzenia, sięgającego przez szybę gdzieś hen, w głąb tundry. Czego szukało? Co widziało, czego ona nie mogła dostrzec?

Twarz zwróciła się ku niej. Ten powolny ruch był dla Niny torturą. Co on w niej zobaczy? Co wyczyta w niej tym swoim wzrokiem? Nagle zapomniała, że ostatni raz widziała go dziesięć, może piętnaście lat temu. Wciąż nosił krótkie włosy, jeszcze krótsze, był nawet ostrzyżony na jeża. Jego włosy były szare, cieńsze, bardziej przerzedzone, w odróżnieniu od białej, gęstej brody. Starzec.

Nina uśmiechnęła się do niego. Uświadomiła sobie, że ten uśmiech musiał przypominać grymas. On się nie uśmiechnął. Włożył okulary, które leżały przed nim obok talerza z kanapką, wciąż jeszcze nietkniętą. Popatrzył na nią przeciągle.

– Od dawna tu jesteś?

Po co zadawać tak idiotyczne pytania, pożałowała od razu Nina.

– Nie wiem – odpowiedział.

Nina potrząsnęła głową i odsunęła krzesło, żeby usiąść.

– Już nie wiem.

Ten głos. Z czym się jej kojarzył? Czy wszystko już zapomniała?

– Chciałaś się pilnie ze mną widzieć. Twoja matka umarła?

Moja matka? Jak daleko teraz od niej była. Tak, umarła, ale nie, żyje.

Co mu odpowiedzieć? Jego błędzący w oddali wzrok zdawał się tworzyć między nimi barierę nie do przebycia. Nina rzuciła okiem na Klemeta. Patrzył na nią nieporuszony. Nagle poczuła, że ma ochotę znaleźć się teraz przy swoim partnerze albo poczuć rękę Toma na swoim policzku, chciała czegoś żywego, nie tego spojrzenia, nie tej bezdennej przepaści.

W końcu przemówiła. Opowiedziała o listach, o których dowiedziała się dopiero teraz, o matce, która, jak mówiła, ukrywała je, żeby ją chronić, o tym, jak go znalazła, jak próbowała przywołać przeszłość. Jej ojciec zastygł w swojej pozie, błędząc wzrokiem gdzieś po tundrze, ośnieżonej i niedostępnej przez pogarszającą się pogodę. Zaczął padać mokry, topniejący śnieg. Nina zadrżała. Czy ojciec słyszał, co do niego mówiła? Przypominał zombi. Opowiedziała mu o swojej pracy, o swoich wyborach, o swoim koledze, który siedzi tam, za nimi – nie odwrócił nawet głowy – i wreszcie o swoim śledztwie, o tym człowieku, Lauli, który uczestniczył w eksperymentach. Ani mrugnięcia okiem. Siedząc przy nim, Nina straciła poczucie czasu. Jak długo mówiła? Nic nie odpowiadał, ani razu na nią nie spojrzał. Czy miał do niej pretensje, że nie odzywała się przez te wszystkie lata? Ale przecież tłumaczyła mu, że matka schowała listy. To prawda, mogłam zacząć szukać wcześniej, dlaczego tego nie zrobiłam? Wróciła do swojego śledztwa, do Lauli, do tych eksperymentów...

– Potrzebna mi twoja pomoc. Znałeś tamte czasy. Znałeś ludzi, którzy to przeżyli.

Przez chwilę milczała, czekając na odpowiedź. Nic.

To, co stało się potem, kompletnie ją zaskoczyło. Po policzkach ojca zaczęły spływać ciężkie, ogromne łzy, które tonęły gdzieś w jego bujnej brodzie. Zagryzł wargi. Potem wstał, odwrócił się i bez słowa, wyraźnie z trudem, skierował się do wyjścia.

Nina osłupiała. Wstała, stanęła przed Klemetem, rozłożyła ręce na znak bezsilności, po czym ruszyła w kierunku drzwi. Nagle poczuła na ramieniu

czyjąś rękę. Nie była to ręka jej kolegi, lecz kogoś nieznanego. Wcześniej nie zwróciła na niego uwagi.

– Niech go pani zostawi. Nie jest w stanie z panią rozmawiać. Niech mi pani wierzy.

Nina nic nie rozumiała. Kim był ten człowiek? Klemet podszedł, gotów interweniować. Gdzie się podział jej ojciec? Na parkingu widziała jedynie samochody i ciężarówki. Nina otworzyła drzwi i poczuła, jak ręka nieznanego zaciska się na jej ramieniu. Chciała się uwolnić, ale uchwyt stał się jeszcze mocniejszy.

– Odkąd przyjechała pani wczoraj do Utsjoki, jest bardzo wzburzony.

Głos mężczyzny brzmiał spokojnie. Nie groził jej. Mówił dalej, zwalniając uścisk.

– Chciał przygotować się jakoś na spotkanie z panią, doprowadzić się do porządku. Zmuszał się do spania, łykał tabletki, żeby nie myśleć. Żeby nie mieć koszmarów. Zmuszał się też do jedzenia, żeby nie mieć zawrotów głowy. Niech mi pani wierzy, dokonał nadludzkiego wysiłku, normalnie przygotowuje się do spotkania co najmniej przez trzy dni.

– Kim pan jest?

– Jego więzią ze światem zewnętrznym.

– Co to znaczy? Jest pan trollem, elfem, hobbitem?

Patrzyła to na nieznanego, to znów na pusty parking.

– Kiedyś mi pomógł.

Nina spojrzała na niego. Był niewysoki, ubrany był w kombinezon od skutera, nosił baki, miał włosy związane w niewielki węzeł i pooraną bruzdami twarz. Przypominał kłęb nerwów i mięśni, ale jego oczy wyrażały głęboki spokój. I życzliwość.

– Muszę z nim porozmawiać.

Wciąż trzymał rękę na jej ramieniu.

– Niech mu pani da trochę czasu. Nie wyobraża sobie pani, skąd on wraca ani gdzie jest.

Nina dostrzegła w końcu swojego ojca. Zdawał się błądzić bez celu po parkingu. Utykał, ledwo utrzymując się na nogach, które z trudem wyrzucał przed siebie, trąc oczy i drapiąc się w brodę. Płakał. A może to był tylko topniejący śnieg?

– Mam pani numer telefonu. Jutro do pani zadzwonię. Zaklinam panią, niech mi pani pozwoli działać.

Mężczyzna otworzył drzwi i zamknął je delikatnie za sobą. Podeszedł do ojca Niny, wziął go za ramię i wsadził do samochodu. Jego czerwone światła zniknęły wkrótce za ścianą mokrego śniegu. Nina została przy drzwiach. Klemet stał koło niej, milcząc wyczekująco.

Patrzyła w stronę, w którą odjechał samochód. Droga do Karasjok, na wschód, w kierunku Finlandii.

Kanapka wciąż leżała na stole. Po raz pierwszy od wielu dni niebo całkowicie przesłoniły chmury. Nina poczuła się nagle bardzo zmęczona.

Rozdział 49

Niedziela, 9 maja

Wschód słońca: 1.31. Zachód słońca: 23.11

Długość dnia: 21 godzin i 40 minut

Hammerfest, 6.30

Nils Sormi nie mógł zapomnieć tego obrazu. Ogromna rana, otwarta i krwawiąca z obu stron. Dwie ogromne dziury. Pręt przebił klatkę piersiową Toma i wyszedł plecami. Przyjaciel spał obok niego. W małym szpitalu w Hammerfest zmobilizowano wszystkie siły, starając się ocalić nurka. Cud. Miał przebite płuco, ale żaden ważny organ wewnętrzny nie został uszkodzony. To cud, powtarzali lekarze. „I to pan go ocalił”, powiedział mu chirurg. Nils popatrzył na niego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Owszem, Nils wiedział, że pomagał mu oddychać, gdy w wodzie dusił się od nadmiaru powietrza i tracił przytomność. Nie było w tym niczego nadzwyczajnego. „Uratował go pan, wyciągając pręt”, dodał z naciskiem lekarz. Gdyby Paulsena przewożono razem z prętem, to podczas przemieszczania się z pewnością powstałyby jeszcze większe szkody. A bardzo ściśle przylegający do ciała kombinezon zatamował z obu stron krwotok. „To naprawdę cud”, powtórzył jeszcze raz lekarz, po czym zostawił ich samych w białej sali.

Poczuł jakiś ruch. Tom dotykał jego palca. Odurzony środkami znieczulającymi, próbował się uśmiechnąć, wykrzywiając twarz w grymasie na wpół podziękowania, na wpół bólu. Odzyskiwał przytomność po raz pierwszy od wczorajszej operacji, przespawszy bez przerwy czternaście godzin. Nils chwycił go za rękę i ścisnął ją.

– No proszę, cudem z tego wyszedłeś.

Nils wskazał na bukiety kwiatów wypełniające pokój.

– Szybko dojdiesz do siebie, lekarze obiecali.

Tom przesłał mu kolejny grymas. Oddychał wolno i z trudem. Jego oddech był głęboki i nierówny.

– Nie mów nic, nie mów, chłopie, odpoczywaj.

Tom wydusił z siebie kilka sylab, bardzo powoli:

– Co się stało?

Nils opowiedział mu o dźwigu, o wypadku, o pręcie, o krzykach Leifa Moe i o tym, jak wyrwał mu to żelastwo z piersi.

– Myślałem, stary, że cię zabiję. Ale leżałeś przyszpilony do dna, jak motyl. Musiałem cię stamtąd zabrać. Potem przyszli inni. Na szczęście nie byliśmy zbyt głęboko. Najadłem się przez ciebie strachu.

Tom ścisnął mu rękę. Był słaby i bardzo blady, wciąż jeszcze w szoku.

– Nie wiem, dlaczego mimo twojej paskudnej gęby wciąż kręcą się tu pielęgniarce.

Tom próbował się uśmiechnąć. Na jego twarzy pojawił się nowy grymas. Próbował się nieco unieść i znów się skrzywił. Odetchnął głęboko.

– Gliny. Zadzwoń.

Nils otworzył oczy ze zdumienia.

– Stary, co ty opowiadasz, bredzisz czy co? Chyba nie myślisz, że ktoś specjalnie zrzucił na ciebie ten pręt. Lepiej odpocznij.

Tom ścisnął go za rękę i pokręcił głową. Zaczął mówić, z trudem, powoli wyrzucając z siebie pojedyncze słowa.

– Nie pręt. Nina i jej kolega. Znajdź tego nurka. Francuza. Nie zostawiaj go w tym nieszczęściu. Może on też miał wypadek.

Zrobił ostatni wysiłek.

– Pomogłeś mi. Pomóż i jemu.

Tom opadł z sił. Zamknął oczy. Nils przykrył przyjaciela kołdrą. Potem myślał przez dłuższą chwilę wpatrzony w okno.

Klemet i Nina bez trudu odnaleźli resztki skradzionego renifera, leżące na drodze pomiędzy ich chatą w Skaidi i miastem Kvalsund. Na poboczu drogi, która biegła wzdłuż fiordu, czekał już na nich Morten Isaac, który zabrał ich do miejsca odległego o mniej więcej dziesięć metrów. Szef 23. dystryktu nie krył złego humoru. Część nocy spędził z innymi hodowcami, szukając innych zbłąkanych reniferów, by dołączyć je do reszty stada. Klemet musiał nalegać, żeby szef dystryktu spotkał się z nim tak wcześnie. Mógł sam odnaleźć miejsce zdarzenia, ale wolał porozmawiać z Mortenem.

Nina uniosła skórę.

– Mamy skórę, w złym stanie, mamy też głowę z uszami – zauważyła.

– Zabrał rogi i mięso – powiedział Morten Isaac. – Cholerny drań.

– No dobra, skoro mamy uszy, to spisujemy protokół dla ubezpieczyciela.

Klemet, idąc w ślady Niny, założył niebieskie plastikowe rękawiczki i dotknął uszu, próbując odnaleźć na nich znaki identyfikujące właściciela zwierzęcia.

– Nie wysilaj się – powiedział szef dystryktu. – To łania małego Steggo. Popatrz, jakie to smutne.

– Aha, więc ubezpieczenie zostanie chyba wypłacone Anneli.

– Mam nadzieję.

– Od jak dawna to może tu leżeć?

Morten Isaac obejrzał skórę.

– Od kilku tygodni.

Klemet zwrócił się do Niny.

– To mogli być równie dobrze ci Niemcy, albo jeden z tych dwóch, Hansen albo ten Polak. Kręcili się tu chyba od dłuższego czasu.

– Wiesz przecież, że Niemcy wyjechali.

– Aha, przy okazji – Klemet zwrócił się do Mortena Isaaca – wiesz, że w środę w Hammerfest będzie pogrzeb Fjordsena. Będzie wielu ludzi i... byłoby raczej źle widziane, gdyby renifery łążyły po okolicy. Rozumiesz, co mam na myśli.

– Oczywiście, że rozumiem.

– Trzeba wzmóc czujność. Żeby wam pomóc, rozstawimy też kilka patroli straży reniferów.

– Właśnie, pomóżcie nam ukryć przed tymi ważniakami, że tutaj jest nasze miejsce, że góra należy do reniferów, że to wybrzeże jest nasze i że jego zasoby należą do nas.

– Morten, to jest pogrzeb, i ludzie chcą przeżyć go w spokoju i z godnością. Będziemy pilnować, żeby nie plątały się tam renifery. I tyle. Jeśli chodzi o całą resztę, zwróć się do ratusza albo do władz okręgu.

– Nie mów mi o ratuszu. Następca Fjordsena jest jeszcze gorszy. Kiedy zacznie rządzić, hodowcy nie będą mieli tu czego szukać.

– Ilu was będzie w środę? – przerwał mu Klemet.

– Och, będziemy, o to się nie martw.

– Morten, to nie jest właściwy moment na demonstrację.

– Więc może przekaż tym facetom z Dyrekcji Dróg, że to nie jest właściwy moment, żeby kręcić się przy świętej skale.

Morten Isaac obrócił się na pięcie i odszedł w stronę drogi.

Policjanci zostali z resztkami renifera. Nina zerkała nerwowo na telefon.

– Dlaczego on nie dzwoni? Myślisz, że zapomniał?

– Musisz odespać.

– Mam teraz spać?

Wybuchnęła śmiechem, wskazując na słońce, którego ostre światło przebijało przez chmury.

Zadzwoił telefon. Klemet, patrząc przepraszająco na koleżankę, wziął do ręki swój aparat.

– Cześć, Ellen, nie świętujesz w niedzielę?

Klemet podczas rozmowy przeważnie milczał, pomrukując coś od czasu do czasu, po czym się rozłączył.

– Analizy. Najpierw odciski butów znalezione nad cieśniną. Należą do tego Knuta Hansena. Ale są tam też odciski Kowalskiego. Najwyraźniej nie ma odcisków Lauuli, chyba że w pobliżu skały. I jeszcze analizy krwi. Kowalski, który kierował furgonetką, nie miał alkoholu we krwi. W jego żyłach znaleziono natomiast niezły koktajl środków farmakologicznych. Przesyła mi listę. Ten typ był niezłe naćpany, kiedy prowadził.

– Czy mógł przez to spowodować wypadek?

– Lekarz sądowy jeszcze to sprawdza, ale jeśli to była normalna dawka, facet musiał mieć poważne problemy ze zdrowiem.

– A pozostałych dwóch? Leki czy coś innego?

– Ellen nic mi o nich nie mówiła, analizy i sekcje jeszcze trwają.

– Jeśli to był wypadek, można by przyjąć, że Kowalski przysnął i stracił kontrolę nad pojazdem...

– Tak, Ellen mówiła też, że furgonetka nie była wprawdzie w dobrym stanie, ale nic nie wskazuje na to, by ktoś ją celowo uszkodził.

– Pozostaje nam ten związek z Dahlem, nawet jeżeli Dahl się go wypiera.

Nina zwróciła twarz do słońca, jakby próbowała mu grozić.

– Nawet zza chmur nie przestaje mnie prześladować.

Zadzwoił jej telefon.

Skrzywiła się znacząco, dając znak Klemetowi.

Słuchała rozmówcy w takim samym milczeniu, jak przed chwilą Klemet.

– Rozumiem – powiedziała i rozłączyła się. Pokręciła głową. – Ten typ, który był wtedy z moim ojcem, chyba sporo o nas wie. Wie, że jesteśmy w Skaidi, i wyznaczył mi spotkanie z ojcem dziś wieczorem w pubie.

– Jesteś pewna, że to nie ty mu o tym powiedziałaś? Mówiłaś mi, że wczoraj opowiedziałaś mu cały swój życiorys.

Westchnęła.

– Nie wiem już, Klemet, nie wiem.

Rozdział 50

Juva Sikku odnosił wrażenie, że od dwóch dni bawi się w chowanego. Gdziekolwiek poszedł, wszędzie widział Markko Tikkanena. Nerwy pasterza były napięte do granic wytrzymałości. Fiński agent nieruchomości biegał wszędzie, wałęsając się po ulicach, zagadując przechodniów, po czym wsiadał nagle do samochodu, by jechać wszystko jedno gdzie. Oczywiście szukał swoich fiszek. Nie znajdziesz ich, grubasie. Gruby draniu, dodał, mówiąc do siebie. Sikku myślał, że fiszki zrobią Nilsowi taką samą przyjemność jak wycisk, który by dał Tikkanenowi. Widząc, jak Fin kręci się jak mucha w ukropie, Juva Sikku mówił sobie, że dokonał dobrego wyboru. Cios, który zadał Tikkanenowi, był mocniejszy niż policzek. Sikku ukrył fiszki w pewnym miejscu i nie odmówił sobie przyjemności ich przeglądania, chociaż nie przepadał specjalnie za papierami. Ale po przeczytaniu kilku fiszek na dobre nabrał ochoty do dzielenia Fina w gębę. Co za łajdak! Sikku wyczytał z nich wystarczająco wiele, chociaż nie orientował się do końca w skomplikowanym układzie notatek Tikkanena.

Podrapał się w brodę. Mijał tydzień. Jutro jest dzień golenia. Chwycił swoje pudełko ze snusem i włożył sobie porcję tytoniu do ssania pod górną wargę. Tytoń wpadł bez przeszkód w zagłębienie dziąsła.

Lektura jego fiszki była porażająca. Nie tylko dlatego, że Tikkanen wiedział wszystko o jego sytuacji finansowej, o pożyczkach, które zaciągnął w banku, o jego dwóch skuterach na kredyt, o jego quadzie. Sikku zrozumiał, że Tikkanen musi być w osobliwie bliskich relacjach z facetami z banku. Na litość boską, jeśli tak, to oni mogli dymać te Rosjanki, nie ja. Co za wredny grubas z tego Tikkanena. Najbardziej wzburzyły Sikku różne szczegóły z historii jego rodziny. O tym, jak przez dziesięciolecia jego krewni powoli tracili dostęp do Wyspy Wieloryba. Najgorsze było to, że Juva Sikku nigdy do końca nie zdawał sobie sprawy z tamtych wydarzeń. Zszokowała go lektura fiszki, w której wszystko

spisano czarno na białym. Natomiast załatwiana przez Tikkanena sprawa jego działki nabierała tempa. W tej kwestii, z tego, co Sikku mógł wyczytać w jego notatkach, agent nieruchomości wywiązywał się z umowy. Sikku nie wiedział wprawdzie, co znaczą małe znaczki na marginesie, ale znalazł nazwisko i dane jakiegoś człowieka, być może potencjalnego sprzedawcy. Sikku chciał najpierw wyjąć swoją fiszkę, lecz nie wiedział jeszcze, jak się to wszystko skończy. Jeśli Tikkanen odzyska swoje notatki i będzie w nich brakować tylko jego fiszki, podejrzenie o kradzież padnie od razu na niego. Skopiował więc jej zawartość i odłożył fiszkę na miejsce.

W końcu postanowił jednak zadzwonić do Nilsa, chociaż ten wyraźnie przykazał mu, by do niego nie dzwonił.

Sormi przywitał go chłodno, ale kiedy Sikku, nie wchodząc w szczegóły, powiedział mu o swoim odkryciu, nurek zaczął słuchać uważniej. Pasterz nabrał nieco pewności siebie i poradził Nilsowi, by się ciepło ubrał, gdyż zabiera go na równinę skuterem śnieżnym. Mimo zaskoczenia Sormi od razu wyraził zgodę, by nie przedłużać rozmowy.

Godzinę później, zostawiwszy swoją skodę przed chatą, w której składował różne materiały, Juva Sikku paradował już na swoim skuterze, dumny, że będzie wiozł tak ważnego pasażera. Zrobił nieomal rundę honorową po mieście. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że nurek będzie zadowolony.

Nina usłyszała wiadomość przez radio. Poprosiła Klemeta, by podwiózł ją do szpitala. Rzucił jej niezbyt przyjazne spojrzenie, ale miała to gdzieś. Zostawił ją przed wejściem i odjechał do komisariatu. Nina szybko znalazła pokój Toma Paulsena. U nurka był lekarz, ale zostawił ich samych.

Tom uśmiechnął się z trudem. Był bardzo blady, miał zapadnięte policzki i ciemne plamy pod oczyma. Jasne światło w pomieszczeniu nie polepszało sprawy.

– Już mi lepiej, nie jestem już taki otępiały. Dzisiaj rano prawie nie mogłem mówić.

– Boli cię?

– Faszcerują mnie prochami, na razie nic nie czuję, ale rana nie jest poszarpana. Refleks Nilsa ocalił mi życie. Kontaktowałeś się z tobą?

– A powinien?

Tom zrobił ruch, jakby chciał chwycić za telefon, ale tylko się skrzywił. Nina podała mu aparat.

– Spójrz na ten numer. Dał mi go mój kontroler, Leif Moe. To numer tego dawnego nurka, Norwega, który kręci się w okolicy. Interesowało cię to, więc pomyślałem, że może potrafisz go odnaleźć. Mnie się nie udało.

– Myślałam, że interesują cię Francuzi.

– To inna historia. Nils Sormi ci o niej opowie, jeśli się z tobą skontaktuje, na co mam nadzieję. Francuz to odrębna sprawa, nie mogę o tym mówić.

Rozdział 51

Nina zadzwoniła do Klemeta, który tym razem bez skrupowania wypalił, że nie jest taksówkarzem.

– Mam numer telefonu, który może nas interesować – przerwała mu Nina. Podała mu go.

– Powinniśmy pójść na Arctic Diving i pokazać nasze zdjęcia kontrolerowi Paulsena i Sormiego. Może on coś wie. Tom powiedział mi, że powinien być u siebie.

– Ależ skąd, jest w komisariacie, składa właśnie wyjaśnienia w sprawie wypadku twojego Paulsena. Przyjadę po ciebie i porozmawiamy z nim tutaj.

Dwadzieścia minut później siedzieli z Leifem Moe. Dawny nurek oglądał zdjęcia, które pokazywali mu policjanci.

– Ten. Rozmawiał ze mną. Na tym zdjęciu ma jeszcze wredniejszą gębę.

– Może dlatego, że nie żyje – odparła Nina.

Leif Moe wyglądał na zaskoczonego. Nina wyjaśniła mu okoliczności tej śmierci.

– Leki. Tak, wielu byłych nurków się nimi faszkuje. Czasem z biedy.

Inne zdjęcia nic mu nie mówiły. Ani zdjęcie Polaka, ani Anta Lauuli. Po odejściu Leifa Moe Klemet i Nina wykonali kilka telefonów. Kryminalni badali już połączenia z numeru komórki Knuta Hansena.

Anneli odebrała telefon od Mortena Isaaca. Trzeba było sprowadzić kilka zabłąkanych reniferów, które nie zdążyły na czas. Szef dystryktu nalegał, by zrobiła to możliwie jak najprędzej, jeśli trzeba, z pomocą innych. Żeby ją pospieszyć, Isaac zaproponował jej jeden ze swoich skuterów. Anneli zgodziła się, nie chcąc przeciwstawić się Isaacowi. Plan był dość jasny. W ciągu kilku godzin Jonas Simba i inni hodowcy znaleźli już większość reniferów i kilka cieląt. Młode mógł czekać ciężki los, gdyż odłączyły się od matek. Jonas Simba dzwonił do niej chwilę wcześniej, informując o ostatnim cielaku, którego wypatrzył przez lornetkę. Anneli

wiedziała, w jakiej części doliny zwierzę się znajduje. Był to obszar leżący zupełnie z boku, poza szlakiem wędrowni. Mogli tam zbłądzić turyści na skuterach, płosząc grupkę reniferów. Ludzie byli niepoprawni. Anneli i Erik wiele razy zapraszali swoich norweskich przyjaciół, niemających pojęcia o życiu reniferów, na spędy, znakowanie lub selekcję. Lepiej rozumieli potem reguły, jakimi rządzi się hodowla tych zwierząt. Ale nie wszyscy pasterze pochwalali taką otwartość. Wielu z nich uważało, że im mniej Skandynawowie będą mieszać się w ich sprawy, tym lepiej będą się zachowywać.

Anneli wciąż jednak ufała. Dzięki hodowcom ta góra żyła. To oni rozmawiali z duchami vidy. Idąc pomedytować przy jednym ze świętych kamieni, rozsianych po całej Laponii, Anneli zawsze dzieliła się swoimi nadziejami z duchem miejsca. Erik uśmiechał się nieraz, widząc, jak oddaje się czemuś, co nazywał jej małymi sekretami tundry. Mówił, że nie za bardzo w to wszystko wierzy, „ale wierzę w ciebie”. Anneli uśmiechnęła się na wspomnienie miny, jaką Erik robił w takich sytuacjach. Ta jego wąpiąca mina. Jednak ten sam Erik nigdy nie zapominał o złożeniu małej ofiary u stóp tych kamieni. Tłumaczył, że robi to przez wzgląd na szacunek dla przodków. Dla żywych i umarłych, którzy tędy przechodzili. Mówił jej o honorze pasterzy, którzy wiedzieli, co są winni naturze. Każdy z nich miał swoje małe sekrety tundry i Anneli kochała ich za to. Ale teraz zabierano im tę naturę, odbierano im honor hodowców. Jeśli pozbawi się ich prawa do życia na swojej ziemi, jakież honor zostanie ludziom vidy?

Upewniwszy się, że ma w torbie laso, pojechała szukać ostatniego cielaka.

Nils Sormi zdziwił się, rozpoznając zarysy doliny, przez którą wiózł go Juva Sikku. Dla obcego oka był to nieprzebyty labirynt. Ale choć się do tego nie przyznawał, Nils Sormi znał tę okolicę. Przyjeżdżał tu z przyjaciółmi na wypady po pracy. W tych nieprzebytych ostępach bawił się też, kiedy był dzieckiem. Zanim odkrył świat nurków, zanim spotkał tego Francuza. O Boże, jęknął w myśli Nils. Kilka dni temu zobaczył znów swojego bohatera z dzieciństwa. Ogarnęła go wtedy panika, uczucie, które – jak sądził – było mu całkowicie obce.

Obiecał Paulsenowi, że wróci jeszcze do niego wczesnym wieczorem. Tom chciał za wszelką cenę wyciągnąć z niego, czy już coś znalazł, czy Nils dotrzyma swojej obietnicy i odnajdzie starego nurka. Sormi niepokoił

się o swojego przyjaciela. Lekarze zapewniali go, że wszystko jest w porządku. Ale jego niepokój miał inne źródło. Czy Tom będzie mógł jeszcze nurkować? Czy jego życie nie stanie w miejscu? Nils odpychał od siebie tę myśl. Pozwolił, by jego wyobraźnią zawładnął znów widok otaczających wzgórz, pokrytych białą warstwą śniegu. Juva Sikku omijał pewne partie rzek i strumieni, najwyraźniej uznając, że skuwający je lód jest już zbyt kruchy. Przez ostatnie kilka dni zrobiło się cieplej. Sormi musiał przyznać, że Sikku jest świetnym pilotem. Szkoda, że był tym, kim był. Wjechali w dolinę, której Nils nie znał. Juva wjechał swoim potężnym skuterem na strome zbocze, skręcił, omijając piargi skalne, wyglądające jakby je ktoś usypał, wszedł jeszcze wyżej, przeciął jeszcze jedno, łagodniejsze zbocze, porośnięte karłowatymi brzoźkami, i wyjechał na polanę przylegającą do fiordu. Wyglądało to tak, jakby chciał wjechać skuterem prosto w morze. Zwykłe złudzenie wzrokowe. Zjechał tylko kilka metrów w dół po lekkiej stromiźnie w zakątek osłonięty przed podmuchami wiatru. Nils Sormi zobaczył dwa gumpi. Przy jednym z nich spostrzegł przyczepę, którą można było przewieźć kilka osób lub bagaże i zapasy.

– To nie jest zwyczajne gumpi – zwierzył mu się Juva Sikku, wyłączwszy silnik. – Zabieram tu czasem dziewczyny. Podoba im się tu, możesz być pewien. Taki widok...

– Nikt nie wie, że je tu masz?

– Może dziewczyny, ale im byłoby raczej trudno odnaleźć to miejsce. Krążę po tundrze dla zmylenia śladów. Nie tak dawno temu miałem tu te Rosjanki. Gliny pytały mnie, gdzie je trzymałem; odpowiedziałem, że w innym gumpi, z którego korzystam, kiedy pilnuję stada. Nie sądzę, żeby mogły powiedzieć im coś innego.

Juva Sikku wydawał się zadowolony z siebie. Wprowadził Sormiego do jednego z gumpi. Było urządzone jak tandetny burdel. Sikku nie miał za grosz gustu. Nils pomyślał, że wewnątrz zupełnie tu nie pasuje. Widać było, że Sikku bardzo się starał, by urządzić je jak najbardziej komfortowo. W miejsce piętrowych łóżek, znajdujących się zazwyczaj w takich pomieszczeniach, Sikku wstawił jedno zwykłe łóżko, zajmujące całą powierzchnię baraku. Było wyłożone fioletowymi i złotymi poduszkami. Pasterz wyłożył też ściany złocistą tapetą. Obrzydliwość, pomyślał Nils.

– Chciałem ci to tylko pokazać – powiedział Sikku, puszczając do niego oko. – Przy okazji, kiedyś ci je wynajmę.

Wprowadził go do drugiego gumpi. To z kolei służyło za skład rupieci. Na piętrowych łózkach pełno było śpiworów, kombinezonów i ubrań. Sikku zaprosił Nilsa Sormiego, żeby usiadł na ławie stojącej naprzeciw wąskiego stołu i łózek. Sikku pospiesznie zapalił palnik kuchenki, postawił na nim garnek do topienia śniegu. Odsunął na bok różne kartony i postawił na stole wielkie pudło po butach.

Nils Sormi przyglądał mu się. Nie miał najmniejszego zamiaru bawić się z Sikku w zgadywanki.

– Miałem mu porządnie przyłożyć, tak jak chciałeś. A potem pomyślałem. I doszedłem do wniosku, że zabranie fiszek będzie dla Tikkanena gorsze niż lanie. Wierz mi, Nils, dużo gorsze. Widziałem go dzisiaj, biegał jak wariat po całym Hammerfest, szukając wszędzie tych swoich parszywych notatek.

Nils otworzył pudełko. Były tam setki fiszek, starannie ułożonych w porządku alfabetycznym.

– Widziałeś fiszkę z moim nazwiskiem? – spytał Sormi.

– Nie zaglądałem do niej, przysięgam. Przeczytałem oczywiście swoją, ale niczego o tobie. Słuchaj, zostawię cię i...

– Dobry pomysł. Nie zapomnij najpierw wypić kawy.

Podczas gdy Sikku wrócił do swoich zajęć, Nils zaczął kartkować zawartość pudełka. To, co w nim znalazł, wprawiło go w osłupienie.

Rozdział 52

– Myślałem, że człowiek, który zadał sobie trud zdobycia fałszywych dokumentów, dostarczy nam więcej tropów.

Pani komisarz wezwała patrol P9, gdy Klemet i Nina byli jeszcze w schronisku policyjnym. Ellen Hotti nie kryła zdziwienia.

– Coś już o nim wiemy. Naprawdę nazywał się Per Pedersen.

– Jak to ustaliliście?

– Jest wiele sposobów. Właściwie poszło dość łatwo. Sprawdziliśmy jego połączenia telefoniczne. Najpierw zaskoczyło nas to, że nie korzystał z telefonu na kartę, tylko z abonamentu. Oczywiście pod fałszywym nazwiskiem, ale podał adres mejlowy, niezbędny do uruchomienia abonamentu. Poprzez ten adres, sprawdzając inne strony, na których go użyto, doszliśmy do adresu IP komputera, dzięki czemu uzyskaliśmy na jego temat sporo informacji. O niektórych już wspomniałam: ślady płatności, numer karty bankowej... resztę możecie dopowiedzieć sobie sami. Odkryliśmy, że po wynajęciu furgonetki w Alcie pojechali do Szwecji, do Kiruny i do Jukkasjärvi, gdzie spędzili dziesięć dni, po czym wrócili tutaj. Jechali drogą do Karesuando, biegnącą przez całą Finlandię. Mówię ci, dziwne. Ludzie, którzy go sprawdzali, odnieśli wrażenie, że facet jest, jak by to powiedzieć, nie z tego świata. Stracił kontakt z rzeczywistością. Jakby zatrzymał się w epoce zimnej wojny. Albo mamy do czynienia z jakimś szpiegiem lub gangsterem starej daty, który nie zdaje sobie sprawy z istnienia nowych technologii, dzięki czemu udało się go namierzyć mimo tego, że wszystkie gazety trąbią dziś o podsłuchach i ingerencji w życie osobiste. Umie wyrobić sobie fałszywe dokumenty doskonałej jakości, a więc zna ludzi, którzy potrafią je podrabiać, ale nie wpadł na to, że jest doskonale widoczny, jakby miał na głowie czerwoną czapkę. I tyle o twoim Perze Pedersenie. Na zdjęciach widać tego samego człowieka. I jeszcze jedno: przeszedł szkolenie dla nurków wojskowych w latach siedemdziesiątych, co pokrywa się z pierwszymi

przypuszczeniami kryminalnych. Pasowałyby to na przykład do wysadzenia domku, w którym zginął Depierre. Ma staroświeckie metody. To niemal wzruszające.

– Ile czasu służył w wojsku jako nurek? Co robił potem?

– Odsłużył trzy lata w norweskiej marynarce wojennej. Potem zaczął nurkować w cywilu, dla pieniędzy. Posłano go prosto na Morze Północne. Właśnie to sprawdzamy.

– Wciąż nie rozumiem, co taki człowiek mógł robić w towarzystwie Anta Lauli. Mówiłaś, że Laula też kiedyś nurkował. Tak się poznali?

– Mogło tak być.

– A ten Polak, Kowalski? Spójrzcie na to zdjęcie. Z czym się wam kojarzy?

Nina jeszcze raz przyjrzała się fotografii.

– Kowalski i Pedersen. Olbrzym, a obok niego liliput. Zdziwiająca para. Pedersen musiał ważyć jakieś sto dwadzieścia kilo, ale wciąż jeszcze był bardzo umięśniony. Zniszczony typ. Nic dziwnego, że brał tyle prochów.

– Sekcja wykazała, że Kowalski również miał zniszczony organizm. Do tego pił i palił. Przyjmował niesamowitą mieszankę leków. Suchy jak tyka. Myślicie, że też był nurkiem?

– Jeśli Kowalski to były nurek, to ten drugi był nurek, Francuz, staje się jeszcze bardziej interesujący. Czy mamy do czynienia z ekipą? Czy ten francuski nurek mógł być zamieszany w zabicie tego lekarza, Depierre'a, skoro Pedersen już nie żył, gdy Depierre'a znaleziono martwego?

– Dla kogo pracowali? Dla któregoś koncernu?

– Nasi ludzie podsłuchują już od pewnego czasu Dahla.

– Mogłaś nam powiedzieć – wybuchnął Klemet.

– Uspokój się, nie zapominaj, że pracujesz w straży reniferów.

– Ale przecież jesteśmy policjantami. Wiesz przecież, że mamy związek z tą sprawą, i to od samego początku.

– Jeśli chcesz wszystko wiedzieć, Klemet, mam tu nawet specjalną ekipę, która przyjechała z Oslo. Śmierć burmistrza, ten wypadek w kabinie. Tutejsi ludzie są zbulwersowani. Żądają wyjaśnień.

– A zatem mieliśmy głównego podejrzanego, tego Pedersena, który nie żyje.

– Ale nie był sam. Poza tym macie tego tajemniczego francuskiego nurka, który pojawiał się w okolicy. Jest tu gdzieś jeszcze? Jaka jest jego

rola, jeżeli jakąś pełnił?

Klemet z uporem patrzył na panią komisarz. Nina pociągnęła go za rękaw.

– Mam pomysł, chodź.

Z ponurą miną Klemet podążył za Niną. W korytarzu dogonił ich głos Ellen Hotti.

– Otóż to, i nie zapominajcie, że w środę jest pogrzeb, i że macie na nim być.

Nina знаła Klemeta na tyle dobrze, by widzieć, że tłumi w sobie gniew. Zatrzymała go, ciągnąc za rękaw.

– Pedersen błąkał się jak włóczęga w swojej furgonetce. Nie znaleziono przy nim komórki. Nie znaczy to, że jej nie miał, ale my jej nie mamy. Nie ma też ani śladu po laptopie. Oczywiście mógł go wyrzucić. Ale wiemy, że używał adresu mejlowego, a zatem musiał łączyć się z Internetem.

– Myślisz o kafejce internetowej?

– Jesteśmy w Hammerfest, a nie w Sztokholmie czy w Oslo. Kafejki internetowe, tutaj? Stawiałbym raczej na bibliotekę.

Gdy pokazali zdjęcie Pera Pedersena siedzącej w sali bibliotekarce, od razu rozpoznała mężczyznę na zdjęciu.

– Taki olbrzym, i do tego przystojny... Trudno nie zapamiętać.

Kobieta miała około sześćdziesiątki. Jej oczy rozbłysły.

– Przychodził tu wiele razy i za każdym razem siadał tam, w tamtym kącie. Niestety, nie był zbyt rozmowny. Czytał gazety, korzystał też z Internetu.

– Pamięta pani, w które dni tu był?

– Tak, to proste. – Wystukała coś na klawiaturze komputera i zanotowała daty na post-icie.

– Można pożyczyć komputer, którego używał?

– A co on zrobił?

– To tylko rutynowa kontrola w ramach śledztwa, które prowadzimy, nic poza tym.

Nina zagłębiła się w historię stron wyświetlanych w przeglądarce w dniach, które podała im bibliotekarka. Znalazła setki odwiedzanych stron, ale komputerem posługiwali się niewątpliwie także inni użytkownicy.

– Kiedy przychodził?

– Zawsze tuż po otwarciu, rano, i siedział dobrą godzinę. Robiłam mu małą kawę – dodała ze śmiechem. – Ale muszę powiedzieć, że nie był skory do pogawędki.

Nina wydrukowała kilka stron i zwróciła się do bibliotekarki.

– Może nam pani wskazać gazety, które przeglądał?

Kobieta westchnęła

– Wyobrażacie sobie nie wiadomo co. Popatrzcie, to proste. Czytał miejscową gazetę z ostatnich miesięcy.

– Biorę je – oznajmiła Nina.

Uznała, że wnioski narzucają się same.

– Widzisz? – powiedziała do Klemeta, który zerkał jej przez ramię.

– Jest tu wiele informacji na temat bieżących projektów.

Nils Sormi nie wychodził z gumpi przez wiele godzin. Była ładna pogoda. Juva Sikku wsuwał od czasu do czasu głowę przez drzwi i pytał, czy czegoś nie potrzebuje, a zapewne i po to, by dowiedzieć się, czy znalazł coś, co zasługiwałoby na pochwałę. Widząc jego spuchnięte oczy, Sikku poszedł się przespać do sąsiedniego gumpi. Nurek trzymał go w niepewności.

Nils musiał przyznać, że Tikkanen opracował niezwykle sprawny system. Agent nieruchomości odnotowywał skrupulatnie każde spotkanie, każdą prośbę, każdą wzmiankę o postępach swoich poszukiwań. Regularnie dopracowywał swoje fiszki, uzupełniając je czasem wycinkami z prasy i drobnymi ogłoszeniami. Widać było, że świadomie rozbudowywał sieć koneksji i źródeł informacji; Tikkanen był w tym względnie drobiazgowy do tego stopnia, że z reguły zapisywał też, kto udzielił mu danej informacji. Nils nie miał ani odwagi, ani potrzeby zapoznawać się ze wszystkimi zapiskami, ale zdumiała go zawartość notatek o nim i o jego znajomych. Informacje o nim samym spisane były na kilku odrębnych fiszkach. W każdym razie teraz już wiedział, że ten stary drań nigdy nie uzyskał dostępu do działki na górze, która go interesowała. Co więcej, nawet nie próbował. Przeglądając fiszki burmistrza, jego zastępcy i innych miejscowych notabli, Nils nabrał pewności, że Tikkanen wodził go za nos. Grubas był tak pewien, że nikt nigdy nie zajrzy do jego notatek, że nawet nie starał się być ostrożny. Obok wpisu informującego o tym, że Sormi chce kupić działkę, widniała na marginesie adnotacja „niemożliwe”. Nie ma sensu spotykać się z burmistrzem, dodawał Tikkanen w swojej notce na marginesie, gdyż

teren nie jest przeznaczony pod budowę. Sormi mógł jedynie domyślać się, o co chodziło Tikkanenowi, ale grubas sądził zapewne, że takie spotkanie popsułoby mu kontakty w ratuszu. Tikkanen zwodził Sormiego tylko po to, by móc wykorzystywać jego kontakty.

Nurek zamyślił się. Tikkanen powinien mu za to zapłacić. Już on będzie wiedział jak. Pograżył się znów w lekturze, odganiając ruchem ręki Sikku, który znów przyszedł, żeby się czegoś dowiedzieć.

Nadchodziło popołudnie i Klemet widział, że Nina robi się nerwowa. Zbliżała się godzina jej kolejnego spotkania z ojcem. Klemet nie był optymistą. Ten człowiek to ruina. Nie sądził, by cokolwiek dało się z niego wyciągnąć. Zasadniczo Nina miała niewątpliwie rację, chcąc nawiązać z nim kontakt. Teraz, gdy wyłaniał się przed nimi profil Pera Pedersena, był o tym przekonany nawet jeszcze bardziej. Ale Ellen Hotti coraz bardziej na nich naciskała; widać to było zwłaszcza przed środowym pogrzebem. Domagała się rezultatów, chcąc uniknąć kompromitacji w oczach różnych osobistości z regionu i z Oslo, które dopytywały się, jakąż to tajemniczą siłą wywraca do góry nogami to spokojne arktyczne miasteczko, w którym dotąd nie było poważniejszych problemów niż zanieczyszczająca niebo pochodnia na szczycie szybu.

Dla Niny Klemet był gotów przystać na tę grę. Nawet mu się to podobało. Tom Paulsen był w szpitalu, na czym ucierpiał nieco ich mały flirt, zwłaszcza że ta Szwedka od Sormiego zdawała się spędzać coraz więcej czasu z rannym nurkiem. Klemet nie wiedział, czy coś naprawdę między nimi było. Dziwiło go na przykład, że jego partnerka spędza cały czas na lekturze kopii artykułów.

Klemet z kolei skupił się na analizie połączeń przychodzących i wychodzących z aparatu Fjordsena. Burmistrz Hammerfest często korzystał ze swojej komórki. Dwudziestego piątego kwietnia, w dzień swojej śmierci, nie łączył się prawie z nikim, co było dość oczywiste, gdyż zginął tego dnia wcześniej rano. Na dodatek była to niedziela. Klemet natychmiast spostrzegł, że tamtego ranka do burmistrza zadzwonił Pedersen, ten były nurek wojskowy. Nie dzwonił wcześniej, w ciągu kilku dni poprzedzających zgon. Rozmowa była krótka. Mieli czas akurat na to, by się przedstawić i umówić na spotkanie. Czy Pedersen znał wcześniej Fjordsena? Po tej historii z komorą dekompresyjną, w której zginęło dwóch nafciarzy, a chwilę wcześniej rosyjskie prostytutki rozpoznały tegoż Pedersena, Klemet miał wszelkie powody, by sądzić, że ich

znajomość nie była dziełem przypadku. Ale nie dawała mu spokoju uwaga Ellen Hotti. Jak człowiek o formacji nurka bojowego, należący do elitarnej jednostki, mógł zostawić za sobą tyle śladów? Oczywiście mógł to być przypadek. Pech. Zbyt często dopatrujemy się w bandytach genialnych strategów, przewidujących wszystkie ewentualności. Widocznie oglądamy za dużo filmów w telewizji. Klemet wiedział z doświadczenia, że często wielu przestępców nie wykazuje się szczególnym sprytem. Idiotyczne błędy były na porządku dziennym. Ale tu chodziło o coś innego. I Klemet nie wiedział, o co. Przypomniał sobie mieszankę leków. Zadzwoił do swojego kolegi z Kiruny, lekarza sądowego, który wciąż miło wspominał straż reniferów. Lekarz sięgnął po listę leków. Mruczał coś pod nosem, czasem mówiąc wyraźniej, kiedy chciał coś podkreślić.

– ...psychostymulant na pobudzenie czynności mózgu, fluoksetyna na problemy z pamięcią związane z depresją... rysperydon, lek przeciwpsychotyczny, uśmierzający lęk i przeciwdziałający zaburzeniom percepcji, diazepam, środek przeciwlękowy łagodzący napięcie nerwowe, o, proszę, nawet zolpidem na bezsenność. Wiele z tych leków to narkotyki wywołujące uzależnienie. I powodują poważne skutki uboczne. Bardzo poważne. Oszczędzę ci szczegółów. I tak byś nic z tego nie zrozumiał.

– Zawsze miło się z tobą rozmawia.

– Ale ten twój delikwent był ciężko chory. Depresja, problemy z zachowaniem, z pamięcią, myślę, że także z koncentracją, to przypomina syndrom stresu pourazowego z różnymi ciekawymi dodatkami. Trafiłeś na niezły przypadek.

Klemet wrócił do lektury listy połączeń. Fjordsen miał mnóstwo kontaktów. Wiele połączeń pochodziło z Rosji. Zadzwoił do Ellen Hotti i poprosił o ich analizę. Dodał do nich jeszcze jeden zagraniczny numer.

Poszukiwania nie trwały długo. Rosyjskie numery należały do różnych instytucji w Murmańsku. Ellen Hotti wyjaśniła mu, że Hammerfest zamierzało współpracować ze stolicą Półwyspu Kolskiego. Inny numer, z którym przed śmiercią łączył się Fjordsen, był numerem telefonu komórkowego francuskiego lekarza Raymonda Depierre'a. Zatem obaj panowie się znali.

Nina dała mu znak. Klemet odłożył słuchawkę.

– Nie rozumiem – zaczęła Nina. – Pedersen interesował się pracami, które prowadzi się obecnie w Hammerfest, w związku z rozbudową terminalu Suolo. Ale przez wiele dni pasjonowały go mity lapońskie związane z rolą, jaką w tej kulturze odgrywa pewien rodzaj kamieni.

– Laula?

– Możliwe, ale co? I dlaczego?

– Interesował się skałą na Wyspie Wieloryba?

– Nieszczerze, przynajmniej o ile wiem. Szczerze mówiąc, sądzisz, że te kamienie mają jeszcze dziś jakieś znaczenie dla Lapończyków? Wielu ludzi, z którymi się tu stykam, wydaje się zupełnie pogodzonych z nowoczesnością, nawet jeśli pracują z reniferami.

– Nie wątpię. Ale widzisz, jaka jest Anneli, a ona nie jest sama. Erik był taki sam. I inni też. Wielu Saami nie przyznałoby się do tego publicznie, ale są przywiązani do takich rzeczy. Skandynawowie próbowali przez wieki wykorzenić z nich wszystkie te świętości. Tych wszystkich szamanów, bębny, święte kamienie, joiki, wszystko, co luterkańscy pastory uznali za herezję i dzieło diabła. Bębny spalono, ale świętych kamieni nie da się spalić.

– Być może, tyle że dla niektórych przeniesienie świętej skały jest tym samym co spalenie bębna.

Rozdział 53

Anneli nie wiedziała już, co ma robić. Mimo dość wyraźnych wskazówek nie zdołała odnaleźć cielaka. Zazwyczaj znajdowanie młodych porzuconych przez matki nie było najważniejszym zadaniem hodowców. Nie miały wielkich szans na przeżycie w starciu z drapieżnikami. Jednak Anneli nadmiernie przejęła się losem tego młodego. Ryzykowała. A w jej stanie to ryzyko graniczyło z nieroztropnością. Ale życie, które w sobie nosiła, zdwajało jej siły. Zaprzestała poszukiwań dopiero po kilku godzinach. W obozie już na nią czekali. Ale jeszcze tam wróci. Przyrzekła to sobie. W powrotną drogę ruszyła ścieżką, która biegła wzdłuż jeziora do skały. Do ich skały. Dotarwszy na skraj zbocza, spostrzegła ich kamień, ostry i wzniesiony ku niebu. Podeszła bliżej i ukucnęła. Chciała poczuć rogi renifera, sięgnęła ręką za skałę. Ten dotyk dobrze jej zrobił. Uspokoila się, słuchając bicia własnego serca, które uderzało już w rozsądnym rytmie. Dlaczego to ciele doprowadza ją do takiego stanu? Poczwała mdłości; oparła się o skałę, żeby złapać oddech.

Po chwili podniosła się. Patrzyła na góry. Była sama. Względnie ciepła pogoda ostatnich dni wycisnęła na przyrodzie swoje wyraźne piętno. Śnieg topił się coraz szybciej. Wróciła na ścieżkę wiodącą do obozu. Ma jeszcze wiele do zrobienia. Ale jeszcze tu wróci.

Łącznik ojca Niny ze światem zewnętrznym, jak sam siebie określił, wyznaczył jej spotkanie w pubie w Skaidi. Klemet nalegał, że tak jak poprzednio chce być obecny przy spotkaniu. Obiecał, że będzie trzymał się z boku. Przyszli nieco wcześniej, ale i tym razem Nina rozpoznała zarys sylwetki swojego ojca. To samo wrażenie. Bezkształtna, zgnębiona postać, niemająca siły dźwigać zbyt zmęczonego ciała. Czy faszerował się lekami, tak jak ten Per Pedersen, którego profil coraz wyraźniej rysował się w jej umyśle? Żołnierz poległy na polu walki przemysłu naftowego. Miał na sobie parkę, wytartą, ale czystą. Siedział tyłem do sali,

pochylony, z rękami w kieszeniach, przed filiżanką kawy. Jego przyjaciel czekał przy stoliku niedaleko wejścia. Zobaczywszy Ninę, skinął na nią głową. Podeszła do niego.

– Nazywasz się jakoś?

– Mam numer telefonu, to wystarczy. Jeśli chcesz wiedzieć, jak się nazywam, to się tego dowiesz, ale nic ci to nie da. Nie zrobię niczego, co byłoby sprzeczne z wolą Todda.

– O nic takiego nie proszę.

Nina nie poznawała tego człowieka. Zawahała się.

– Nie widziałam go od jakichś dwunastu lat. Teraz widzę zniszczonego człowieka, z którym nie mogę się porozumieć. Czy on bierze lekarstwa? Cierpi?

– Wolałbym, żeby to on z tobą rozmawiał.

– Ale widziałeś, co było ostatnim razem...

– Ostatnim razem był pierwszy raz. Wchodzisz nagle w jego życie. Czego się spodziewałaś?

Nina nie miała zamiaru pozwolić, by nieznajomy prawił jej morały. Ojciec siedział bez ruchu, nie wiedząc, że taka rozmowa toczy się za jego plecami. Chciała mu zadać tyle pytań. A czas naglił.

Wzięła krzesło i usiadła obok mężczyzny.

– Jak on się trzyma od wczoraj?

– A gdybym ci powiedział, że nie spał całą noc, że zasnął nad ranem, znużony czuwaniem, że jak każdej nocy obudził go koszmar i że wyszedł, żeby zaczerpnąć powietrza, na kamienistą polanę otaczającą miejsce, w którym od dawna wegetuje?

Obraz ojca błędzącego po nocy po martwej, nieprzyjaznej ziemi przytłoczył młodą kobietę. Próbowała odegnąć go od siebie.

– Byłeś tam?

– Powiedzmy, że byłem niedaleko. Ale wiem. Znam jego życie.

– Dlaczego taki jest? Jest chory?

– A więc nic o nim nie wiesz?

– Kiedy odszedł, miałam dziesięć lat. Kiedy miałam się dowiedzieć? Matka później nic mi nie opowiadała. Mówiła, że po to, żeby mnie chronić.

– Nie osądzaj jej zbyt surowo. Choroba, na którą cierpi twój ojciec, jest niewidoczna. On sam zrozumiał to dopiero później. Za późno.

Jak mogła się z tym zmierzyć? To było niesprawiedliwe. Czy kiedykolwiek zdoła nadrobić stracony czas? Widziała już wczoraj, w jakim jest stanie, i mówiła sobie, że to niemożliwe. Był zbyt wyniszczony. Mężczyzna czekał.

– Nie powiedziałaś mi, co mu jest.

– Sam ci powie. Może...

– Jak spędził dzień aż do waszego przyjazdu tutaj? Co robił?

– Szukał czegoś w swoich rzeczach. Przede wszystkim jednak cały dzień przygotowywał się do kolejnego spotkania z tobą. Zmuszał się do snu, do jedzenia, cały czas z myślą o godzinie spotkania, żeby być w jak najlepszej formie, kiedy znów przed nim usiądziesz. Wczoraj nie dał rady, ale dziś mimo wszystko chciał tu przyjść. Cały dzień bał się, że nie będziesz chciała wrócić po tym, jak zobaczyłaś go wczoraj w tym stanie.

Nina znów poczuła, jak gula rośnie jej w gardle.

– Zmaga się ze sobą, dzień po dniu, godzina po godzinie, sam sobie jest najgorszym wrogiem.

– Ale co zwykle robi?

– Cały czas próbuje przeżyć. Próbuje pozbyć się nadziei, a środowisku, które go zniszczyło, nadać jakąś rację bytu.

Nina czuła, że mężczyzna nie chce jej o czymś powiedzieć.

– Dlaczego zamieszkał właśnie w Laponii? Przecież krąży między tym miejscem a Utsjoki, prawda?

– Nie wiem. Spokój, brak ludzi, odosobnienie, koniec świata. Powinnaś już do niego podejść. Próbował nastawić się na to spotkanie, ale masz mało czasu. I nie miej do niego pretensji.

– O co?

– Nie miej do niego pretensji.

Nina wzruszyła ramionami; wstała. Dała znak Klemetowi, po czym usiadła koło ojca. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Dzień dobry, tato.

Uniósł głowę, zdając się odkrywać jej obecność.

Usiadła przed nim.

Nieogolony, podkrążone oczy.

– Zdjęcia.

– Tak, pytałam, czy je masz. Ale najpierw, jak się czujesz? Czy zdołałeś odpocząć? Ja nie, ja nie mogłam.

Próbowała się uśmiechnąć.

– Wszystko spaliłem.
– O czym ty mówisz?
– Zdjęcia z tamtych czasów, zanim zacząłem nurkować. Wszystko spaliłem.

Nina miała nadzieję, że jeśli obejrzy fotografie, powrócą wspomnienia o ojcu. I że zdoła kogoś na nich rozpoznać. Ale nadzieja ta okazała się płonna. Nie spodziewała się takiej sytuacji. Ojciec był spięty. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć.

– Nie szkodzi.
– Nie szkodzi? Komu?
– Wiesz, mama nigdy...
– Nie mów mi o niej.
– Nie, oczywiście.

Przytrzymał rękoma jakieś dokumenty czy papiery w ciemnoniebieskiej lub ciemnozielonej okładce, do których dołączona była niewielka koperta. Podsunął jej ten plik.

– To wszystko, co mi zostało z tamtych czasów.

Nina otworzyła pierwszy dokument. Na okładce wytłoczone były złote litery. Był to profesjonalny logbook nurka, rejestr nurkowań. Na drugim wytłoczone było logo z napisem Association of offshore diving contractors.

– Nie siedź tak, otwórz.

Nie zwracając uwagi na ten ton, który ją ranił, Nina zaczęła kartkować książeczkę nurkowań swojego ojca. Zawierała wpisy przypominające raporty z kolejnych misji, z wieloma bardzo szczegółowymi informacjami, specyficznymi dla każdego miejsca. Przejrzała szybko zawartość koperty. Pozótkłe formularze, urzędowe streszczenie wielu lat pracy pod wodą. Czy mogła już zacząć zadawać pytania, czy należało jeszcze poczekać? Wydawało jej się, że lepiej będzie, jeśli najpierw spróbuje odtworzyć zerwaną więź z ojcem. Próbowwała skupić się na dokumentach, ale nie była w stanie ich czytać. Musiała przyznać, że w rzeczywistości starała się na niego nie patrzeć. Nie mogła znieść tego, że widzi go w tak opłakanym stanie. Spojrzała ukradkiem na Klemeta, który rzucił jej pytające spojrzenie. Śledztwo. Nie mogli czekać.

– Cieszę się, że jesteś obok. Chciałabym cię odwiedzić, spędzić z tobą trochę czasu.

– Ach tak?

Powiedział to zdecydowanym tonem. Nina przypomniała sobie o ostrzeżeniach mężczyzny siedzącego przy drzwiach.

– Oczywiście wtedy, kiedy zechcesz. Teraz wiemy już, że jesteśmy sąsiadami.

– Naprawdę nie jestem pewien, czy moje towarzystwo ci się spodoba.

Zdenerwowanie ojca przeszło w rozdygotanie. Bębnił ręką w stół, drżała mu powieka, wbijał spojrzenie w blat. Nina nie miała już wiele czasu.

– Czy znasz byłego nurka, niejakiego Pera Pedersena?

Odwrócił się do niej, poruszony do żywego. Zły znak. Jego oczy zaszczyły łzami.

– Nie mogę sobie przypomnieć byłych nurków. Nie mogę. Nie mogę.

– Ale dlaczego? A gdybym ci pokazała zdjęcie?

Wstał nagle, wywracając krzesło. Wszyscy się odwrócili. Jego głos z agresywnego stał się niemal błagalny.

– Nie rozumiesz. Kiedy myślę o nurkach, widzę umarłych, kolegów, których nie mogłem ocalić.

Teraz Nina wstała. Chciała podejść i przytulić go, ale odszedł.

Znów jej się wymknął. Podszedł łącznik.

– W porządku, Todd, idziemy. Nina, wkrótce się z panią skontaktuję.

Rozdział 54

Nils Sormi nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu. Obiecał Tomowi, że wpadnie wieczorem, ale teraz było już za późno. Po wyjściu z gumpi oślepił go blask słońca, które świeciło z intensywnością zadziwiającą o tak późnej porze. Miał już pewne wyobrażenie o sytuacji. Przejrzał grę Tikkanena. Agent nieruchomości wykazał się przebiegłością i tupetem. I całkowitym brakiem skrupułów. Odkrycia z ostatnich godzin podsuwały mu obraz twarzy Erika Steggo. Odkąd wydobył jego ciało z wody, Nils zadawał sobie pytanie, dlaczego identyfikacja zwłok wywołała u niego mdłości. Resztki niewinności. Nilsowi Sormiemu wydawało się, że teraz to zrozumiał. Odkrył swoją młodość, z daleka od świata Lapończyków i ich tradycji. Czy mu coś skradziono? Nie sądził. Uwielbiał świat nieustraszonych nurków. Wciąż go uwielbiał. Ale wstrząsnął nim wypadek Toma.

Lektura fiszek Tikkanena uświadomiła mu, jak agent nieruchomości napuszczał ludzi na siebie. Fakt, że tereny na wyżynie nad Hammerfest, na których chciał się budować Nils, były użytkowane przez renifery Erika Steggo i innych hodowców z 23. dystryktu, był jedynie pretekstem. Tikkanen sugerował, że był to problem, podczas gdy w rzeczywistości nigdy nie było to problemem. Zresztą akurat ten obszar od dawna nie był używany jako pastwisko. Półka była wyłączona z planów zabudowy dla takich nabywców jak on i Fin dobrze o tym wiedział. Cel Tikkanena był zupełnie inny, Nils był teraz tego pewien. Interesowały go tereny leżące między Hammerfest a mostem w Kvalsund, na których planowano inwestycje przemysłowe. Chciał się włączyć w ich realizację, opróżniając wyspę ze wszystkich hodowców, aby móc w spokoju robić interesy czy to z nafcjarzami, czy z ratuszem. Wykonywał za nich brudną robotę, chociaż nikt go o to nie prosił. Steggo padł ofiarą tej brudnej gry. Nic o tym nie wiedziałem, myślał Nils, nie wiedziałem, że to tak wygląda. Dał się zrobić Tikkanenowi, i to najbardziej go denerwowało.

Juva Sikku, który wychynął z drugiego gumpi, wydawał się zdziwiony, że Sormi wyszedł na zewnątrz. Pozdrowił go skinieniem głowy, jakby dopiero co go zobaczył. A Sikku? Co on będzie miał z tej historii? Widział fiszkę hodowcy. Sikku, robiąc niewinną minę, być może najlepiej na tym wszystkim wyjdzie, zyskując farmę przy granicy fińskiej. Tikkanen składał takie propozycje innym hodowcom, ale większość odmówiła.

– I co, będziesz hodował renifery w farmie?

Sikku potrząsnął głową, jakby przyłapano go na gorącym uczynku.

– To przyszłość. Przemysł się rozwija, ociepla się klimat, nie ma innego wyjścia.

– Najwyraźniej wielu hodowców jest innego zdania.

Sikku machnął ręką.

– Inni... I co im zostanie? Mówią, że hodowla reniferów to nie zawód, tylko sposób życia. Robią z tego sprawę honoru. Tacy są dumni. Honoru się nie najedzą.

Sormi popatrzył na zbocza gór, zamyślił się.

– Fakt, honorem się nie najedzą...

– A, cieszę się, że się ze mną zgadzasz.

– ...ale są mocni w gębie.

Klemet i Nina wrócili do domku straży reniferów. Mimo późnej godziny Nina nie wiedziała, czy jest bardziej zmęczona, czy podekscytowana. Była tak spięta, że nie wiedziała, czy padnie z nóg, czy przez najbliższe dwadzieścia godzin nie będzie mogła zasnąć.

Analizowała przebieg spotkania z ojcem. Jej pytanie, które wydawało się niewinne, wywrócone krzesło, zaszklone oczy. Nie było już nocy, słońce prawie nie zachodziło. Jakby cały czas czuwało. Natura budziła się do życia, czuć to było w powietrzu. Klemet był wspaniały: zgadywał, czego chciała, zrobił jej kawy, a nawet sam przygotował posiłek. Zadzwoiła do Toma. Nurek się nie skarżył. Tego wieczoru był sam. Nils Sormi uprzedził go, że nie będzie mógł przyjść, ale poprosił Elenor, która właśnie przyjechała ze Sztokholmu, żeby dotrzymała mu wieczorem towarzystwa. Nina nie miała powodów do obaw. Tom wspomniał coś o tropie. Dyszał ciężko. Opowiedziała mu, czego dowiedziała się o ojcu. Życzył jej powodzenia.

Policjanci zabrali się do analizowania dokumentów pozostawionych przez Todda Nansena.

Nina zaczęła od raportu z nurkowania tuż po wypadku. W dołączonym do niego dokumencie, który podsuwał jej teraz Klemet, podano, zgodnie z obowiązującą procedurą, nazwisko osoby, która w razie czego miała udzielić pierwszej pomocy, namiary do służb ratunkowych i sposób, w jaki należy się z nimi kontaktować, nazwisko i dane lekarza i inspektora pracy, którzy nadzorowali roboty. W sumie zwykły żargon urzędowy. Ale Klemet wskazywał palcem na jedno z nazwisk. Lekarz nazywał się Raymond Depierre.

Nina przeglądała dalej dokumenty. Na innym formularzu podane były daty i czas nieobecności w pracy ze względów zdrowotnych, zaświadczenia poświadczające niezdolność do pracy i nazwisko lekarza, który je wystawił. Zaświadczenia wystawiał lekarz nadzorujący. Zwykła procedura administracyjna, jak w każdym zakładzie pracy. Znów pojawiało się nazwisko Raymonda Depierre'a.

Usiadłszy obok Niny, Klemet wpisywał coś do laptopa. Szukał informacji o Raymondzie Depierre. Nina dalej wertowała papiery. Jej ojciec spalił wszystkie zdjęcia, ale koperta, do której nie zaglądał zapewne tak często, zawierała stare wycinki artykułów ze „Stavanger Aftenblad”, gazety codziennej wychodzącej w Stavanger, norweskiej stolicy ropy, i z fińskiej gazety „Dagblad”, dziennika ukazującego się w Hammerfest. Artykuły mówiły o nurkowaniu, o kontraktach, o rekordach. Na zdjęciach widać było uśmiechniętych mężczyzn przed kabiną dekompresyjną albo nurka z kaskiem pod pachą przed kesonem gotowym do zanurzenia. Nina próbowała rozpoznać ojca. Musiała jednak najpierw pozbyć się obrazu, który wżarł jej się w pamięć, obrazu zgnębionego, zgarbionego starca, niemającego wiele wspólnego z tryumfalnymi uśmiechami tych młodych mężczyzn, pewnych siebie i tryskających zdrowiem. Oni przypominali bardziej Toma Paulsena niż Todda Nansena. Pamiętała jeszcze dość dobrze wygląd ojca z czasów, gdy widziała go po raz ostatni około piętnastu lat temu, ale nie była pewna, czy go rozpoznaje. W końcu znalazła artykuł, w którym wymieniano jego nazwisko. Pisano w nim, że pewien koncern brytyjski zabezpieczył właśnie bardzo obiecujący szyb. Ojciec Niny – artykuł wymieniał go z nazwiska – pozował do zdjęcia obok trzech innych nurków i pracowników koncernu naftowego. Todd Nansen miał gęste wąsy, wesołe spojrzenie i włosy zmierzwiłone po nurkowaniu. Przystojny

mężczyzna w pełni sił. Westchnęła z ulgą. Ten obraz przez chwilę pojednał ją z ojcem. Jak mógł się tak postarzeć?

Jeden z artykułów ze „Stavanger Aftenblad” szczególnie entuzjastycznie opisywał pewien eksperyment nurkowy. Pochodził z 1980 roku. Nina nie miała pojęcia o warunkach pracy w tym zawodzie, ale w raporcie była mowa o wyzysku. Doświadczenia przeprowadzano w centrum badawczym NUI w Bergen; próbę zanurzenia na głębokość 300 metrów nazwano Deepex I. Nie wysyłano jeszcze fizycznie ludzi na tę głębokość, ale poddano ich działaniu panującego na niej ciśnienia w komorze hiperbarycznej na ziemi. Przypomniała sobie, co mówił jej Gunnar Dahl. „Trzeba było trochę kombinować”, lecz przedstawiciel Norgoilu zapewniał ją, że wszystkie testy zostały zatwierdzone. Nie miała powodów, by mu nie wierzyć, przecież doszło do eksploatacji złóż. Autor artykułu twierdził, że ten test nie był pierwszy. Rok wcześniej przeprowadzono dwa testy z ciśnieniem panującym na głębokości 150 metrów. Sądziła, że jej ojciec nie należał do eksperymentalnej ekipy nurkowej. Ale musiał się interesować tymi sprawami. W artykule pisano, że w trakcie tych testów sprawdzano materiały i procedury techniczne, na przykład procedury spawania pod wodą, nowe tabele dekompresyjne, a także badano takie zasadnicze kwestie, jak fizjologiczne i psychologiczne reakcje ludzi na wysokie ciśnienia. Cytowano wypowiedź jednego z nurków, który twierdził, że zejście 300 metrów pod wodę i wynurzenie z niego nie jest trudniejsze niż lot tam i z powrotem na Księżyc. Inny artykuł, wspominający o Deepex I, tym razem pochodzący z czasopisma technicznego, zawierał zdjęcie, na którym widać było całą ekipę w komplecie, personel techniczny i medyczny, z obowiązkowymi uśmiechami na twarzach. Nina szturchnęła Klemeta. Znow Raymond Depierre, tym razem jako jeden z lekarzy Norgoilu, publicznego koncernu norweskiego współfinansującego badania. W tekście wymieniono go jako jednego z trzech lekarzy, którzy zatwierdzili Deepex I.

Po chwili Klemet odwzajemnił się Ninie kolejnym kuksańcem. W jednym z wywiadów opublikowanych w dzienniku ekonomicznym DN przedstawiciel Dyrektoriatu Naftowego wyjaśniał, że Deepex I umożliwi rozpoczęcie badań na głębokich wodach w poszukiwaniu gazu i ropy na szelfie norweskim. Przyszłość Norwegii jako petromonarchii wydawała się zapewniona. Wszyscy mieli wielkie powody do zadowolenia. Przedstawiciel Dyrektoriatu nazywał się Lars Fjordsen. Jego związki

z Dyrektoriatem zaczęły się o wiele wcześniej, nim jeszcze został szefem tej instytucji w latach dziewięćdziesiątych.

Po raz pierwszy od czasów dzieciństwa Nils Sormi miał spędzić noc w samym środku tundry. Juva Sikku dał mu do wyboru: odwiezie go do miasta albo przenocuje na miejscu. Elenor dotrzymywała towarzystwa jego partnerowi. Nils postanowił zostać. Chmurna twarz Sikku wypogodziła się, jakby otrzymał właśnie najpiękniejszy prezent na świecie. Z niedowierzającą miną biegał od jednego gumpi do drugiego, przygotowując coś do jedzenia i ścieląc łóżko.

– Będzie ci tu wygodnie, Nils, zobaczysz.

Podał gościowi zimne piwo i zaczął pić je z Nilsem, który tym razem nie mógł się wykręcić. Teraz naprawdę uwierzy, że jesteśmy najlepszymi kumplami. Jak w dzieciństwie, kiedy Erik prosił mnie, bym o niego dbał. Nils pociągnął łyk piwa i odwrócił się w stronę horyzontu, pozostawiając Sikku jego zajęciom. Mimo światła widać było, że zapada zmrok. Dopiero teraz czuł, jakie wrażenie wywarł na nim wypadek Toma i wszystko, co się potem stało. Odetchnął głęboko czystym, orzeźwiającym powietrzem. Na jednej z kamienistych polan, na której stopniał już śnieg, Sikku zebrał trochę brzoźowych gałęzi i drew na podpałkę, przygotowując ognisko. Pasterz zgrillował na nim kilka kiełbasek i kilka kromek chleba. Gdy skończyli, Nils nagle wstał.

– Pokaż mi swoje stado.

Sikku wydawał się zaskoczony, ale nic nie powiedział. Ubrali się cieplej i Sikku zabrał go skuterem na drugą stronę góry, na skraj doliny, gdzie śnieg stopniał już prawie zupełnie.

Resztę drogi przeszli pieszo. Sikku mówił ściszone głosem.

– Większość stada jest już na wyspie. Ale widzisz tam, w dole, nad rzeką...

Nils Sormi widział. Jako dziecko musiał bywać w takich miejscach w czasie selekcji stada. Jednak rodzice nigdy go do tego nie zachęcali. Dziś nie zazdrościł życia hodowcom. Nigdy im nie zazdrościł. Przypominając sobie fiszki Tikkanena, pomyślał, że nic dobrego z tego nie będzie. Musi być mniej reniferów, i tyle. A hodowcy, którzy tracą pracę, zawsze będą mogli znaleźć jakieś zajęcie w przemyśle naftowym. Potrzeba było rąk do pracy. Nie tracą na tym. Sikku wyjął z kombinezonu lornetkę. Nilsowi stanęły przed oczami fiszki, twarz Erika, jego wypady na kuropatwy i pręt wbity w pierś Toma.

– Dobrze znałeś Erika? Pracowaliście razem.

– Taak... a co właściwie masz na myśli?

Sikku znów przybrał swoją obronną pozę, z której był znany.

– Myślałem o Tikkanenie. Obiecał ci ten grunt na farmę, o ile dobrze rozumiem.

– Owszem, obiecał, i ma w tym interes, żeby dotrzymać obietnicy...

– W zamian za co?

Sikku nie spodziewał się tego pytania. Spojrzał na niego nerwowo, ale był w rozterce. Zabiegał przecież o względy nurka. Nie chciał stracić karty członka klubu Black Aurora.

– Za nic. Chciał tylko, żebym nie przychodził już z reniferami na wyspę, i...

Sikku odwrócił wzrok. Nils nie spuszczał go z oczu.

– I chciał też, żebym spróbował przekonać tego upartego osła, Erika.

– Przekonać?

– Wybić mu z głowy jego głupie pomysły.

– I co, udało ci się?

– Z jego uporem? Chyba żartujesz...

– Więc jak go przekonałeś?

Nils podniósł głos, nieomal krzycząc i zbliżając twarz do twarzy Sikku. Pasterz był barczysty. Nie bał się bójki. Ale Sikku nie był chojrakiem. Nie z Nilsem. Cofając się, upadł na śnieg.

– Ciiicho, przestraszysz renifery, to płochliwe stworzenia, czasem wystarczy jeden ruch i...

Sikku zamilkł.

– A więc tak to załatwiłeś?

– Co?

– Tam, nad cieśniną, tak to załatwiłeś? Więc to prawda, co mówią? Specjalnie spłoszyłeś renifery, żeby je zawrócić? Więc to tak? Miałeś go przekonać? I źle się to skończyło?

Sikku podniósł się, otrzepując się ze śniegu i unikając wzroku Sormiego.

– Nie wiem, o czym mówisz. Przecież to był wypadek. I straciłem tam mojego białego renifera. To się nie liczy?

Rozdział 55

Poniedziałek, 10 maja

Wschód słońca: 1.19. Zachód słońca: 23.23

Długość dnia: 22 godziny i 4 minuty

Skaidi, 8.00

Nina i Klemet zmienili chatę straży reniferów w sztab operacyjny. Zwłaszcza Nina. Potrafiła zająć całą ścianę, oblepiając ją kartkami, zdjęciami i post-itami. Klemet widział ją już kiedyś w akcji.

– Nie zapominaj, że nie mamy takich dużych ścian jak w serialach amerykańskich – śmiał się z niej Klemet.

– Lepiej zeskanuj artykuły, żeby można było z nich zrobić portrety tych ludzi.

Skanowanie, drukowanie. Klemet zmieniał się w sekretarkę.

– Przypominam, że niezależnie od śledztwa mamy to spotkanie z Mortenem Isaakiem i hodowcami. Mamy przygotować pogrzeb Fjordsena i nadzór nad reniferami.

– Jeszcze tego brakowało. Zeskanuj w formacie zdjęciowym, nie tekstowym, inaczej skan będzie nieczytelny.

Klemet westchnął i beznamiętnym ruchem wziął artykuł.

– Gunnar Dahl zostanie dziś wezwany na komisariat?

– Zasadniczo sprawą zajmuje się sędzia i myślę, że go formalnie przesłucha.

Pracowali dalej. Klemet skanował, Nina drukowała. Chatę wypełniał mocny aromat kawy.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że nic o tobie nie wiem, pamiętasz?

– Nie, ale mogłam tak powiedzieć.

– To prawda, nic o tobie nie wiem.

Nina wzniosła oczy ku niebu.

– Nie sądzę, żeby to był taki ciekawy temat.

– Mam na myśli twojego ojca...

– O Boże.

– Co?

Nina wgrywała na komputer zdjęcia zeskanowane przez Klemeta. Funkcja rozpoznawania twarzy wydobywała z nich nawet te małe twarze, na które ze względu na rozmiar wcześniej nie zwrócili uwagi. Program pokazywał je w powiększeniu.

– Poznajesz?

– Tak, młody Anta Laula. Skąd wzięłaś to zdjęcie?

Nina kliknęła na obraz. Ukazało się całe zdjęcie, pochodzące z artykułu ze „Stavanger Aftenblad”. Zdjęcie z udanego doświadczenia Deepex I na 300 metrach, zrealizowanego i zatwierdzonego w roku 1980. Anta Laula stał z tyłu, prawie niewidoczny, między pionierami, którzy umożliwili zatwierdzenie eksploatacji złóż gazu i ropy na wodach norweskich.

Gdy Nils Sormi napatrzył się już na fiszki, Juva Sikku odwiózł go do Hammerfest. Z ostrożności Sormi zostawił pudło z fiszkami w gumpi pasterza. Zważywszy na jego niebezpieczną zawartość, lepiej było w razie czego zwalić wszystko na Sikku. Ten ostatni podwiózł go do mieszkania. Nurek udał się na pokład Arctic Diving. Statek nurkowy szykował się do wypłynięcia w nową misję; chodziło o prace konserwacyjne przy jednym z szybów. Leif Moe przyjął go w świetlicy. Kontroler miał niewyraźną gębę. Poprzedniego dnia musiał nieźle zatankować. Leif Moe skrzywił się.

– Obawiam się, że z Tomem koniec.

– Jak to – koniec? Wczoraj mówiłem z nim przez telefon.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z lekarzem. Nie będzie już mógł nurkować. Jego kariera zawodowego nurka dobiegła końca. Jest skończony.

– Skończony? Tom ma dwadzieścia siedem lat, nie może być skończony. Bzdury gadasz.

– Nils, on nie będzie mógł nurkować. Dla nas jest skończony.

Sormi wstał i podszedł do okna. Wpatrywał się w keję pariasów, przy której zacumowały dwa małe kutry rybackie. Rybacy szykowali sieci. W dali widać było uśpione Arktyczne Centrum Kultury, ufundowane przez koncerny naftowe. Znów się chmurzyło, ale niestrudzone słońce skrzyło się srebrzyście na powierzchni morza.

– To z kim mam nurkować?

Leif Moe wydawał się zadowolony, że wrócili do rozmowy o pracy.

– Mam w tej chwili do dyspozycji jednego człowieka, bo Einarsen wyjechał na budowę do Brazylii.

– Nie mów mi, że...

– Henrik Karlsen, bardzo dobry nurek.

– Ten kretyn, któremu jedzie z gęby? Chcesz, żebym go zabił przy pierwszym zanurzeniu? Nie ma mowy, słyszysz, nie ma mowy.

– Nils, poczekaj, odpocznij, weź kilka dni wolnego, jeszcze porozmawiamy.

Nils Sormi już trzasnął drzwiami.

Wróciwszy do samochodu, pojechał do biur Norgoilu, na sztuczną wyspę Melkøya. Jazda zajęła mu dwadzieścia minut.

– Nils, mój mały Nils! Co za straszny wypadek! Tak nam przykro z powodu tego biednego Toma. Na szczęście wyszedł z tego. Co za ulga.

Gunnar Dahl wstał, by powitać Nilsa Sormiego w swoim ogromnym biurze, którego okna wychodziły z jednej strony na instalacje na wyspie Melkøya. Z drugiej strony można było podziwiać z oddali budowę przyszłego terminalu na złożach Suolo, gdzie Norgoil był głównym akcjonariuszem i wykonawcą.

– Co zamierzacie dla niego zrobić?

– Norgoil, dla Paulsena? Nie rozumiem?

– To wasza przeklęta budowa, to wasza przeklęta zasrana budowa. To wasza wina, że był tam ten dźwig, nie powinno go tam być, gdy nurkowaliśmy, ale wy się przecież tak spieszycie, żeby zarobić jeszcze więcej forsy, że bezpieczeństwo macie gdzieś. Więc spytam jeszcze raz: co zamierzacie zrobić dla Toma? Jako nurek jest skończony, ma dwadzieścia siedem lat, a nurkowanie to całe jego życie.

– Zaraz, zaraz, on z tego wyjdzie. Jestem pewien, że zadziałają wasze ubezpieczenia. Widzisz, chodzi o wypadek przy pracy, trzeba przestrzegać procedur, to ważne. Jestem pewien, że wszystko się ułoży i że wasza firma załatwi sprawę jak należy.

– To Norgoil dał dupy, i dobrze o tym wiesz, Dahl. Jak wynagrodzicie Tomowi wypadek?

– Myślę, że jesteś pod wpływem emocji, i doskonale to rozumiem. Ale wszystko się ułoży, a życie toczy się dalej. Popatrz, jaka wspaniała przyszłość czeka ciebie i nas wszystkich. Podejź tu, popatrz, właśnie odkryliśmy nowe złoża ropy i gazu, ogłosimy to dziś po południu, w strefie Johan Castberg, popatrz tam, w obwodzie Skavl w PL532, coś

wspaniałego, tylko popatrz, te szyby obsługiwane przez platformę West Hercules, od dwudziestu do pięćdziesięciu milionów baryłek, a my mamy pięćdziesiąt procent tych szybów, i...

– Więc nic nie zrobicie dla Toma?

– Taki inteligentny chłopak jak on z pewnością coś znajdzie, o to się nie martwię. No, Nils, idź odpocząć, przekaz ode mnie Tomowi najlepsze życzenia, i nie zapomnij wrócić do nas w pełnej formie, wiesz przecież, jaki jesteś dla nas cenny, nurek o twoich kwalifikacjach, do tego Lapończyk, to dla koncernu prawdziwy skarb. Musimy dbać o nasz wizerunek, a ty musisz dbać o swój, rozumiesz?

Nils prawie nie usłyszał już ostatnich słów Gunnara Dahla. Wyszedłszy na zewnątrz, odetchnął głęboko. Przed oczami jednocześnie przesuwały mu się obrazy pręta wbitego w klatkę piersiową Toma, jego błędnego wzroku i zdjęć szczątków Billa Steela i Henninga Birge'a. Próbował wyobrazić sobie, jak wyglądałby Gunnar Dahl, gdyby znajdował się w kabinie w chwili gwałtownej dekompresji. Ta myśl nieco go uspokoiła. Wsiadając do samochodu, wiedział już, co ma zrobić.

Kvalsund, 11.15

Patrol P9 miał spotkać się z hodowcami z 23. dystryktu u Mortena Isaaca. Klemet nie chciał nadawać temu spotkaniu zbyt formalnego charakteru, żeby nie drażnić lapońskich hodowców. Ich wzburzenie rosło. Rozniosła się wieść o tym, że będą przenosić świętą skałę. Wielu nie dowierzało. Ale ci, którzy widzieli pracowników Dyrekcji Dróg, szaleli z wściekłości. Jeden z nich zrobił zdjęcie smartfonem i pokazywał wszystkim wokoło, ale niektórzy mieli jeszcze nadzieję, że ratusz nie odważy się na coś takiego. To jeszcze jedna próba postraszenia nas, żebyśmy ustąpili gdzie indziej, mówił jeden ze starszych. Wieść o reakcji Anneli, która przewróciła tachimetr na ziemię, obiegła całą okolicę, znajdując licznych zwolenników. Niektórzy mówili, że trzeba przykuć się do skały, i echa tych wszystkich emocji pobrzmiwały głośnym gwarem witającym policjantów. Widząc, jak na widok mundurów milkną rozmowy, Klemet uświadomił sobie, jakie nastroje panują wśród zgromadzonych. Napięcie wisiało w powietrzu. Poza Mortenem Isaakiem, który kończył właśnie robić kawę, w pomieszczeniu znajdowali się Jonas Simba, Juva Sikku, Anneli Steggo i pięciu innych hodowców. Niektórzy podchodzili, żeby uścisnąć serdecznie rękę Anneli. Klemet zauważył, że Sikku trzyma się z boku i że Simba zerka na niego wściekłym wzrokiem.

Morten Isaac robił wrażenie zmęczonego, powłóczył nogami bardziej niż zwykle. Od dobrych czterdziestu lat zmagał się ze wszystkimi: z władzami, z kłusownikami, z przemysłowcami, z turystami, a nawet z samymi pasterzami lapońskimi. Poprosił o ciszę i przedstawił sytuację, informując, jaka część stad jest już na wyspie i na stałym lądzie, ile reniferów jeszcze wędruje, jakie jest niebezpieczeństwo, że zwierzęta przejdą przez ogrodzenie wokół Hammerfest, i wskazując miejsca, których trzeba szczególnie pilnować. Potem oddał głos Klemetowi. Policjant także starał się mówić możliwie jak najzwięźlej i jak najdokładniej. Jutro, to jest w środę, nadejdą posiłki w postaci dodatkowych patroli, które zostaną rozmieszczone w terenie, aby działać wspólnie z hodowcami. Klemet wyjął mapę sztabową, na której zaznaczył zagrożone miejsca. Ustalił z ratuszem, że do urzędu miasta należy sprawdzenie stanu dwudziestu kilometrów ogrodzenia i o ile wie, na miejscu zajmuje się tym już odpowiednia ekipa. Sprawa nie wydawała się skomplikowana.

Znów podniosła się wrzawa. Pasterze uważali, że konflikt to sprawa ratusza i nacierzy, a oni nie mają z tym nic wspólnego. Sala huczała od komentarzy.

- Hodowaliśmy tu renifery, zanim jeszcze wynaleziono samochody.
- I będziemy tu, kiedy nigdzie nie będzie już ani kropli ropy.
- To akurat nie jest takie pewne, jeśli sprawy tak pójdą dalej.

Morten poprosił o ciszę.

– Mamy jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Urzędnicy złożyli skargę na obecną tu Anneli, oskarżając ją o niszczenie mienia państwowego. Twierdzą też, że zostali zaatakowani i że czują się zagrożeni. Później podam szczegóły. Administracja będzie chciała przykładowie ją ukarać.

Wszyscy hodowcy wyrazili głośnie oburzenie, z wyjątkiem Sikku, który siedział cicho w kącie, robiąc wrażenie nieobecnego.

Morten ponownie uciszył zgromadzonych.

– Sprawa Anneli jest niefortunna, trudno temu zaprzeczyć. Zrobimy, co się da, żeby jej pomóc. W każdym razie myślałem nad tym wszystkim. Od dawna walczę i myślę, że mój czas minął.

Zapanowała zupełna cisza. Klemet i Nina usunęli się na bok, starając się być możliwie jak najbardziej niewidoczni.

– Dlatego, w związku z sytuacją, w jakiej się znaleźliśmy, cała nasza grupa i Anneli, proponuję, by od następnego zebrania to ona była

przewodniczącą naszego dystryktu. Jeśli ją zaatakują, muszą wiedzieć, że atakują nas wszystkich.

Klemet popatrzył na pasterzy. Zaskoczenie było całkowite. Policjant wiedział, że w środowisku hodowców nie brakowało napięcia i zawiści. Rodziny posiadające wiele reniferów często narzucały innym swoje prawa; istniało wiele niepisanych reguł, obowiązywały różne hierarchie. Pierwszy wysunął się naprzód jeden ze starszych, wuj Jonasa Simby, i wygłosił mowę pochwalną na cześć Anneli. Młoda kobieta była w szoku. Oczy jej się zaszklily. Mowa członka starszyny podziałała jak sygnał. Wszyscy zaczęli gratulować Anneli, zapewniając ją o swoim poparciu. Dziękowano też Mortenowi. Wychwalano jego mądrość.

– Dobrze – rzekł wuj Jonasa Simby – musimy na początek trochę przywyknąć do tego, że mamy szefową kobietę. Co do reszty, Morten, masz rację. Ale jeżeli chcą Hammerfest, to powinni wiedzieć, że nie dostaną skały.

Rozdział 56

Hammerfest, 11.30

Nils Sormi jeździł w kółko, szalejąc z wściekłości. Przybity. Wzburzony. Nie znał dotąd tych uczuć. Coś mu umknęło. Jego najlepszego przyjaciela wyrzucono na śmietnik jak starą szmatę, skazując na łaskę i niełaskę biurokratów, a jego samego koncern pchał w łapy najgorszego nurka na Morzu Barentsa. Na dodatek prześladował go ten były francuski nurek, Jacques Divalgo. Dlaczego wtedy odwrócił się do niego plecami?

Nils próbował myśleć, jak zwykle w trudnych sytuacjach. Zimna krew, dystans, analiza, rozwiązanie, działanie. Bez emocji. Wracając myślą do nurka, któremu cuchnęło z gęby, przypomniał sobie esemesy, które odebrał w kabinie dekompresyjnej. O tym słynnym De profundis. Nie natrafił dotąd na żaden ślad nadawcy. Ale czy to ważne? Może nie. I te niewiarygodne miliony, które spadały mu z nieba. Gdyby miał te pieniądze, mógłby, powinien pomóc Jacques'owi. Jacques'owi, który zaraził go swoją pasją, który przyjął go do swojego świata, gdy był zwykłym chłopakiem, z którym nikt się nie liczył. Wielki Jacques, chociaż jego wzrost mówił co innego. Lubił pisać jego imię: Jack. Brzmiało cholernie dobrze, mawiał ze swoim francuskim akcentem, którym czarował młode Norweżki. Przedstawiał się imieniem i nazwiskiem. Jack Divalgo. Brzmiało to jak nazwisko aktora grywającego gangsterów. A przecież był najsympatyczniejszym człowiekiem pod słońcem. Gęba gangstera, poorana bruzdami. Jak mógł zmienić się do tego stopnia? Gdzie teraz jest? Nils wiedział, że Tom próbował rozmawiać z tą Niną, i że nic z tego nie wyszło. Musiał odnaleźć wielkiego Jacka. Musiał mu pomóc. Ponieważ na przykładzie Toma widział, że od czasów Jacka nic się nie zmieniło. Dalej porzucano jak zużyte szmaty ludzi, którzy dali z siebie wszystko.

Nils dojechał do mieszkania, które wynajmował u stóp wzniesienia górującego nad miastem. Z ostatniego piętra widział część miasta;

z daleka widać było fiord. Ten widok mobilizował go, by sięgnąć jeszcze wyżej, po samą półkę skalną. Ale wiedział teraz, że ten przeklęty Tikkanen z niego zakpił. Wyjął ze skrzynki pocztę i usiadł na wprost widoku na morze i góry. Nie było dziś widać pochodni. Przyszło oczekiwane awizo. Zszedł na pocztę, żeby odebrać list polecony od adwokata. Nie chciał się pokazywać w Riviera Next. Usiadł w galerii Verk, wyłożonej czarno-białymi zdjęciami Kivijärviego⁷, przedstawiającymi rybaków z północy. Nie mógł opanować zdenerwowania. W wielkiej kopercie z bąbelkami znalazł list od adwokata, który potwierdzał, że został beneficjentem ubezpieczenia po anonimowym dawcy, i dołączał listę kroków, które należało jak najszybciej podjąć, by Nils Sormi mógł wejść w posiadanie należnej mu sumy. Musiał jednak spełnić pewien warunek. W kopercie znajdowała się kolejna koperta, także z bąbelkami. W liście adwokat wyjaśniał, że ta brązowa koperta, której zawartości nie znał, została mu przekazana wraz z instrukcjami. Należało wykonać instrukcje zawarte w kopercie. Przekazanie adwokatowi określonego dowodu na ich wykonanie miało odblokować przekaz należnej sumy.

Nilsa nie bawiła ta osobliwa szarada. Otworzył kopertę. Zawierała mały magnetofon z minikasetą. Nils nacisnął przycisk „Play”. Z magnetofonu zaczęły dochodzić dźwięki muzyki. Nic więcej. Muzyka klasyczna. Nie była to specjalność Nilsa. Co miał przez to rozumieć? Odsłuchał kasetę do końca z jednej, potem z drugiej strony. Nie było na niej nic oprócz tego nieznanego mu utworu. Wyglądało na to, że te dwadzieścia milionów okaże się mirażem.

Przez ostatnie dni Markko Tikkanen snuł się po całym Hammerfest jak pokutująca dusza. Groził większości tych, których podejrzewał o zrabowanie jego skarbu. Początkowo oskarżeni nie rozumieli, o co mu chodzi.

Tikkanen zakładał, że następna osoba na liście okaże się winna, i działał zgodnie z tym założeniem. Na niektórych wrażenie robiła jego ogromna, muskularna (jak sądził) sylwetka. Innych niepokoiła jego reputacja. Ale Tikkanen musiał przede wszystkim pokonać pogardliwą niechęć większości swoich rozmówców. Ludzie niestety zaczęli traktować go poważnie dopiero wtedy, gdy groził im ujawnieniem kłopotliwych informacji. Fin miał jeszcze na tyle dobrą pamięć, by wyciągać najbardziej wstydlive szczegóły z życia swoich klientów.

Spotkał się z dwoma przedstawicielami miejscowego samorządu, z dziennikarzem, z dwoma pracownikami budowy Suolo, i zostało mu jeszcze kilku hodowców reniferów oraz dwóch nurków, w tym Sormi, nie licząc oczywiście Gunnara Dahla. Wszystkie te osoby figurowały na jego liście najbardziej podejrzanych. Oto jak odpłacali mu się za przysługi.

Matka zawsze mówiła mu, że jest za dobry i że kiedyś zgubi go naiwność. Tikkanen uważał jednak, że utracił swoją niewinność bardzo wcześnie, inwigilując klientów rodzinnego sklepu. Naoglądał się różnych rzeczy, podglądając bliźnich zza węgła. Ale w dniu, w którym matka spostrzegła, że nie donosi wszystkiego, co wie o jednej z sąsiadek, gdyż zakochał się w jej córce, dostał lekcję na całe życie. „Chcesz nas zrujnować? – krzyczała. – Wystarczy zrobić do ciebie zalotną minkę, żebyś stracił rozum?” Tikkanen już nigdy nie wpadł w podobne sidła.

Tego dnia zaczął robić fiszki, ponieważ fiszki były pozbawione emocji. Wzburzenie, towarzyszące nieraz podglądaniu bliźnich w najbardziej delikatnych sytuacjach, przekładał na słowa, które spisywał na fiszkach, i to go uspokajało. Fiszki nie kłamały, nie robiły słodkich miniek, nie epatowały zalotną buzią, która mogła prowadzić do zguby, nie wywoływały burzy zmysłów. Fiszki wymagały też, by się nimi zajmować, by je regularnie przeglądać, aktualizować, dbać, by czuły się ważne, inaczej wędły, Tikkanen nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Gdy ktoś próbował go zmiękczyć, natychmiast chował się za nieprzebytym murem fiszek, wymagających aktualizacji.

Mógł z łatwością przejść po matce sklep albo zostać drobnym, gorliwym urzędnikiem, gotowym fanatycznie przestrzegać regulaminu, ale ludzie w jego miejscowości zaczęli już mieć dość jego inwigilacji, więc postanowił wyjechać z Finlandii. Wyemigrował na wybrzeże norweskie. Jak pokolenia Finów z Dalekiej Północy przed nim, urządził się nad brzegiem Morza Barentsa, gdy już nie było dla niego miejsca w głębi lądu.

Człowiek, który ukradł jego fiszki, nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji swojego czynu. Jego fiszki przepadną, jeśli nikt nie będzie się nimi właściwie zajmował. Fiszka, która nie była regularnie aktualizowana, była skazana na uwiąd. Tikkanen pogrzebał już w ten sposób część swoich notatek i myśl o tym raniła mu serce.

Rzucił okiem na listę. Większość nazwisk była już przekreślona. Zostali mu Dahl, Sormi, Sikku. Ludzie, którym oddawał przysługi. Jakiś głos

podpowiadał mu, że nie powinien podejrzewać ludzi, którym oddawał przysługi, ale Tikkanen nauczył się akceptować życie z jego paradoksami. Z Dahlem musiał bardzo uważać. Nafciarz mógł go zniszczyć. Należało wystrzegać się tego świętoszka, a poza tym matka zawsze uczyła go szanować ludzi Kościoła, choć Tikkanen wiedział przecież dobrze, że Dahl, choć wyglądał jak pastor, nie był pastorem. Było to jednak silniejsze od niego. Dahla zachowa na koniec. Poza tym, jeśli się dobrze zastanowić, trudno przypuszczać, by Gunnar Dahl, przedstawiciel Norgoilu, a zatem i królestwa Norwegii, ryzykował, by zakraść się i zabrać mu notatki. Sormi, mały Sormi – ten byłby do tego zdolny. Podobnie jak inni, patrzył na Tikkanena z góry. Było to najzupełniej normalne, gdyż usługi, które świadczył Tikkanen, były tego rodzaju, że ludzie w kontaktach z nim mieli poczucie wyższości. Prezent, pomyślał Tikkanen. Mały Sormi mógł się wściec w związku z tą sprawą z działką, która utknęła w martwym punkcie, ale Tikkanen nie wyobrażał sobie, by z tego powodu Sormi mógł zawracać sobie głowę kradzieżą notatek. Czemuż miałyby to robić? Dajmy spokój, przecież to nie ma sensu. Gdyby Sormi chciał się czegoś dowiedzieć, równie dobrze mógł, pod jakimkolwiek pretekstem, zwrócić się bezpośrednio do ratusza.

Pozostawał Sikku. O, ten był interesujący. Tikkanen nie chciał przyznać, że lapoński pasterz był też najmniej niebezpieczny z nich trzech, a do tego najbardziej przystępny. Poza tym Tikkanen przycisnął trochę panią Isotalo, swoją sekretarkę. Biedna kobieta tonęła we łzach. To właśnie ona wśród łkań przypomniała mu, że pożyczył Sikku drugi komplet kluczy.

Agent nieruchomości szybko sporządził listę ewentualnych pretensji ze strony pasterza. Ta historia z rosyjskimi prostytutkami, gdy – musiał to przyznać – trochę zbyt łatwo wyjawiał policji nazwisko Sikku, różne sprawy, które załatwiał z innymi hodowcami za plecami Sikku, któremu ktoś mógł o tym donieść – motywów nie brakowało. Poza tym Sikku nie pojawiał się od kilku dni i nie odbierał telefonów od niego, co już samo w sobie wydawało się podejrzane, któż bowiem nie chciałby odpowiadać na jego telefony?

Zdecydowanym ruchem Tikkanen poprawił źle wypomadowaną czuprynę i pas opinający mu obwisły brzuch. Dzięki jednemu z hodowców – którego skreślił z listy, przeprowadziwszy z nim wcześniej rozmowę – wiedział, że odbyło się właśnie zebranie 23. dystryktu, poświęcone

przygotowaniom do pogrzebu Fjordsena. Sikku był na tym zebraniu, a Tikkanen wiedział nawet, gdzie Sikku będzie stał pojutrze: koło ogrodzenia. Tam nie będzie mógł się przed nim schować.

Rozdział 57

Po burzliwym spotkaniu z hodowcami z 23. dystryktu Klemet i Nina pojechali na inspekcję części ogrodzenia wokół Hammerfest. Mimo zapewnień ze strony ratusza, że ogrodzenie jest szczelne, policjanci nie mieli ochoty ryzykować, gdyż w razie problemów i tak wszystko spadłoby na nich. Ich oględziny wykazały, że ekipy z ratusza rzeczywiście sprawdziły płot, ale trudno dokładnie sprawdzić dwadzieścia kilometrów ogrodzenia, nie mówiąc o tym, że zdarzały się też przypadki sabotażu. Stwierdzili, że w dwóch miejscach coś było nie w porządku, i zawiadomili o tym ratusz.

Trzy kwadranse później jechali drogą prowadzącą do schroniska policyjnego. Na miejscu czekał na nich potężny 4x4. Nina zdziwiła się, widząc, że wysiada z niego Nils Sormi. Rzuciła okiem na Klemeta, którego mina zwiastowała chłodne powitanie. Najwyraźniej do prawdziwego pojednania było jeszcze daleko. Nina położyła rękę na drzwiach i obróciła się do Klemeta.

– Może najwyższy czas, żebyś powiedział mi, co się między wami dzieje?

Klemet nie spuszczał nurka z oka. Sormi czekał przed drzwiami, patrząc w ich stronę. Klemet zrobił zgnębioną minę.

– Stara historia. Pewnie uznałabyś, że warta śmiechu.

– Mimo wszystko powiedz.

– Kilka lat temu złapałem Nilsa na kłusownictwie. Przyłapałem go na gorącym uczynku razem z kolegami, nurkami i innymi takimi. Zastrzelił dziką gęś syberyjską. Część tych ptaków przelatuje tędy i zatrzymuje się w drodze do Afryki. Wzięli ją i upiekli. Jak wiesz, jest to gatunek chroniony.

– A więc zrobiłeś, co do ciebie należało. Nie mógł mieć do ciebie o to pretensji.

– Ale potem ktoś interweniował z góry. Trzeba było zamknąć sprawę. Bez szumu. Okazało się, że nurkowie są jeszcze lepiej chronieni niż gęsi. Są potrzebni. Musiałem odpuścić, położyć uszy po sobie. I znieść arogancję Sormiego. Ten dupek nie przepuszcza żadnej okazji, żeby przypomnieć mi o swojej bezkarności.

Klemet wszedł do chaty. Nina zobaczyła tylko, jak przechodząc, kiwa głową.

Podeszła do nurka.

– To z tobą chciałem rozmawiać. Tom mówił mi, że mogę ci ufać.

– W kwestii mojej pracy policyjnej i przestrzegania prawa możesz mi ufać.

– Potrzebuję twojej pomocy. I chciałbym – wskazał głową na wnętrze chaty – żeby to zostało między nami.

– Jeśli to ma związek z naszą pracą, wszystko mówię Klemetowi. Jeśli to dla ciebie problem, możesz zwrócić się do komisariatu w Hammerfest. Wiesz przecież, że umiemy być dyskretni, prawda?

– Aha, to tak, Klemet jeszcze nie zapomniał o tej historii...

– Co mi chciałeś powiedzieć?

– Ostatnio dzieją się dziwne rzeczy.

– To wiem.

W zachowaniu Sormiego nie było śladu arogancji. Dobierał słowa, wahał się. To było do niego niepodobne.

– Chcesz wejść?

Nagle się zdecydował.

– Chodźmy. Trzeba przeciąć ten wrzód.

Klemet robił kawę. Sormi rozejrzał się wokół. Nina zaprosiła go, by usiadł w części salonu, z której nie mógł widzieć szczegółów jej kompozycji z kartek poprzipinanych pinezkami. Nurek milczał. Patrzył na swoją filiżankę kawy. Potem zaczął mówić. Nina siedziała obok niego, Klemet stał nieco z tyłu, schowany w cieniu. Sormi mówił o działce, którą bez powodzenia starał się kupić. O nieporozumieniach i napięciach, jakie sytuacja ta stwarzała pomiędzy nim a Erikiem Steggo, a potem również Anneli. Wspominał o roli Markko Tikkanena, o jego niedotrzymanych obietnicach, o jego kręactwach i matactwach. Potem przeszedł do francuskiego nurka, który ponownie pojawił się w jego życiu. O tym, jak dręczą go wyrzuty sumienia, że go zbył. Ta historia z nurkiem nie

interesuje z pewnością policjantów, ale Tom nalegał, więc mówi. Może pomogą mu go odnaleźć. Nazywa się Jacques Divalgo.

Zapadła cisza. Sormi wciąż nie tknął jeszcze kawy. Nina czekała. Klemet stał nieruchomo z założonymi rękami, opierając się o ścianę z kartkami Niny.

W końcu Sormi wyciągnął z kurtki kopertę. Wyjął z niej mały magnetofon i uruchomił go. W pomieszczeniu zapanował ciężki, podniosły nastrój. Melodia grana na organach była melancholijna, budziła wielki smutek. Była mroczna, przenikliwa, nieomal rozpaczliwa, ale bardzo piękna. Ninie ścisnęło się serce. Sormi nacisnął na klawisz „Stop”. Zapadła znacząca cisza.

– Otrzymałem to nagranie z biura pewnego adwokata. Dołączono do niego obietnicę, że otrzymam dużą sumę pieniędzy z ubezpieczenia na życie. Biuro adwokata nie chce wyjawić mi nazwiska ubezpieczonego. Powiedziano mi jedynie, że umowę przygotowywano od kilku tygodni, ale jej ostatnie elementy, ten magnetofon z kasetą, nadeszły pocztą dopiero pod koniec kwietnia. Tom przypuszczał, że ubezpieczonym mógł być Bill Steel. Jednak od czasu, gdy dostałem tę kasetę, bardzo w to wątpię. W każdym razie po śmierci Steela ta historia z ubezpieczeniem mogłaby niektórym źle się kojarzyć. Ale ja nie mam nic wspólnego z jego śmiercią. Nie jestem w nią ani trochę zamieszany. Chcę grać w otwarte karty.

– Ogromnie się cieszę, że nam to wszystko mówisz, ale nie bardzo rozumiem przyczynę twojej nagłej szczerości – powiedział Klemet.

– Chcę powiedzieć, że Erik Steggo nie musiał umrzeć. Ale czy akurat tobie, Klemet, muszę wszystko tłumaczyć?

Sormi wstał i podszedł do policjanta.

– Nie lubisz mnie, ale nie szkodzi.

No i proszę, pomyślała Nina, znów się zaczyna. Rozmawiając z Klemetem, Nils Sormi znów przybrał swoją arogancką pozę.

– Oczekuję od was – mówił, wytrzymując spojrzenie Klemeta – że pomożecie mi rozwikłać tę zagadkę, żebym mógł wziąć te pieniądze i pomóc Tomowi, na którego koncern się wypiął, i temu francuskiemu nurkowi, jeśli zdołacie go znaleźć.

Dwa koguty skaczące sobie do gardeł. Nina wstała, obawiając się kolejnej katastrofy, jak wtedy, na kei pariasów. Delikatnie wzięła Sormiego pod ramię.

– Zrobimy, co w naszej mocy.

Ale nurek nie słuchał.

– Divalgo? Co on tu robi?

Sormi pokazał palcem ścianę z kartkami; Nina spojrzała na swoje dzieło. Klemet też się odwrócił.

– Jaki Divalgo?

– Ależ, na Boga, to jest ten francuski nurek. To on – powtarzał, pokazując zdjęcie palcem. – To jego wszędzie szukam.

Klemet wziął zdjęcie.

– On jest francuskim nurkiem? Jesteś pewien? Według nas ten człowiek nazywa się Zbigniew Kowalski.

Anneli Steggo wróciła do obozu na wzgórzach Kvalsund. Dołączyła do Susann, która czuwała, by klan nie zostawił niczego po zwinięciu namiotów. Pasterze przenosili się teraz do letniego obozu na Wyspie Wieloryba, tam, gdzie zmierzała większość reniferów, przenosząc się na tereny, na których samice miały wydać na świat małe, na północnym wschodzie. Okres narodzin mógł potrwać kilka tygodni. Byli zmęczeni, ale było to błogosławione zmęczenie, mówiła Susann. Dzieci były cały czas na zewnątrz, same, swobodne, za dnia, choć w środku nocy, gdyż w namiotach wieczorem musiały panować cisza i spokój, aby można było w nich nieco wypocząć.

Dla Susann, Anneli i wielu innych zwijanie obozu było rytuałem nabierającym szczególnego znaczenia. Odkąd wędrowni ludy lapońskie zaczęły hodować renifery – a stało się to dawno temu, przed pięciuset laty, a może jeszcze dawniej – pasterze uważali, że na ziemiach, przez które przechodzą, są tylko przejazdem. Pozostawali kilka tygodni w jednym miejscu, a potem szli dalej, na północ albo na południe, w zależności od pory roku i od tego, co przyroda miała do zaoferowania reniferom. Ten ciągły, niezmienny rytm migracji, z pastwisk letnich na zimowe, sprawił, że szlak wędrowki reniferów stał się czymś w rodzaju długiej, powolnej pielgrzymki, wymagającej od ludzi świadomości ich miejsca w przyrodzie. Co roku trzeba było podążać tą samą drogą, odnajdując w niezmiennym stanie te same ziemie. Nie pozostawiano po sobie śladów, czyniono z tego punkt honoru, pilnując, by panowała harmonia. Dzisiaj było inaczej. Sztuka wędrowania zginęła wraz z nadejściem skuterów, quadów i helikopterów.

Anneli wzięła Susann na bok. Starsza przyjaciółka wiedziała już o jej awansie w hierarchii klanu. Śmierć Erika, groźby związane z hodowlą, a teraz ta odpowiedzialność. Czy zdoła jej sprostać? Susann zapewniała ją, że tak. Natomiast obawy Susann budziła ciąża Anneli. Gdy młoda pasterka wyznała jej, że właściwie nie odpoczęła jeszcze od czasu, gdy znalazła ostatniego cielaka, Susann wpadła w gniew. Czy Anneli straciła rozum?

– To nie ty powinnaś szukać tego cielaka. Ja pójdę, jeśli to takie ważne.

– Nie, Susann, to ja go muszę znaleźć. Nie wiem dlaczego, ale myślę, że jestem to winna Erikowi. Inaczej czułabym, że tracę go po raz drugi.

Susann przyglądała się uważnie młodej kobiecie. Miała zmęczoną twarz i bladą cerę. Źle spała, mało jadła, ale jej determinacja nie słabła. W końcu Susann wzięła ją za rękę. Przez chwilę szły razem po pośliskim, zdeptanym wrzosowisku, omijając brunatne kałuże. Anneli czuła, jak siła tej kobiety przenika jej ciało, podobnie jak słońce ogrzewające jej duszę. Weszły na zbocze wzgórza, gdzie plamy śniegu tętniły życiem. Załom zbocza wyściełała płaska i ciemna jak łupek skała wielkości skóry renifera, tworząc platformę, skąd rozciągał się widok na dolinę, na której w minionych tygodniach obozował klan. Drobne kamienie tworzyły niewielką wypukłość, ciągnącą się w kierunku północy i letnich pastwisk. Wokół kamiennej łachy poukładane były rogi młodych reniferów. Niewielu ludzi znało to miejsce. Lapończycy bali się, by ktoś nie zbezczeszczył ich świętych kamieni. Wiele podobnych miejsc spotkał taki właśnie los.

– Jesteśmy u Gieddegeašgálgu – szepnęła Susann.

Anneli zakręciło się w głowie; usiadła na skale. Wiedziała, kim jest Gieddegeašgálgu. A więc Susann ją rozumiała. Poczowała ulgę i ścisnęła ją za rękę. Gieddegeašgálgu była żeńską istotą ze świata Saami, która żyła na obrzeżach obozów i którą można było prosić o pomoc w trudnych chwilach. Jedną z tych, które przetrwały w wierzeniach Lapończyków, mimo wielu wieków ewangelizacji.

– Wiesz, że to stara sroka, która skrzeczy, jak ja – uśmiechnęła się Susann – ale może też sprowadzić z powrotem zabłąkane ciele. Będzie ci towarzyszyć.

Telefon zaskoczył Nilsa-Antego Nango w muzeum w Alcie, ale prośba Klemeta go zachwyciła. Uwielbiał zagadki, a przede wszystkim cieszył się,

że niewdzięczny siostrzeniec wreszcie sobie o nim przypomniał.

Dowiedziawszy się, że wuj jest niedaleko, niecałe trzy kwadranse drogi od miejsca, w którym się znajdował, Klemet zaproponował, by przyjechał do niego od razu do schroniska w Skaidi. Panna Chang na pewno ucieszy się z tego nieoczekiwanego wypadu.

Klemet, Nina i Nils biedzili się nad ułożeniem niepasujących do siebie fragmentów łamigłówek. Nina pilnowała, by nigdy nie zostawiać obu mężczyzn samych. Ale napięcie ustąpiło zdumieniu, które rozwiąło dawne animozje.

Okazało się, że Kowalski, polski robotnik, to Divalgo, były nurek francuski. Klemet i Nina potrzebowali dłuższej chwili, by przyjąć to do wiadomości. Wyjaśniało to, dlaczego był tak małomówny w czasie kontroli. Dla niepoznaki wypowiedział kilka słów po polsku, które znał, i pozwolił Pedersenowi mówić dalej po norwesku. Nils podzielił się też z nimi tym, co wiedział o Anta Lauli, tajemniczej postaci, którą spotykał w swojej młodości w środowisku nurków. Nigdy nie rozumiał, jak ten ponury i kruchy Lapończyk znalazł się wśród nich, tak bardzo różnił się od pełnych życia, beztroskich zawadiaków w skafandrach. Sormi nie znał natomiast Pedersena; nigdy wcześniej go nie widywał. Ale wówczas, podobnie jak dzisiaj, nurkowie nieustannie zmieniali miejsca pracy i nie było w tym nic dziwnego.

Nie było zatem wątpliwości: Pedersena, Divalgo i Laulę łączyło to, że byli nurkami. Obecność byłego hodowcy, obecnie znanego artysty, w furgonetce nie była dziełem przypadku. Anta Laula brał udział w eksperymencie Deepex I w 1980 roku. Artykuł w „Stavanger Aftenblad”, znaleziony w kopercie ojca Niny, dowodził, że Jacques Divalgo także brał udział w eksperymentach nurkowych. Wymieniano go z nazwiska. Klemet i Nina nie mogli dotąd rozpoznać w ciele człowieka, którego znali jako Kowalskiego, młodego muskularnego mężczyzny o szerokim uśmiechu, znanego im z późniejszego zdjęcia.

Znów chodziło o ten sam eksperyment, przy którym Raymond Depierre był obecny jako jeden z lekarzy. Jeśli Laula był na tym zdjęciu niewidoczny, schowany wśród anonimowych postaci w ostatnim rzędzie, to trzech innych nurków biorących udział w eksperymencie wymieniono z imienia i nazwiska. W Internecie z łatwością odnaleźli ślad jednego z nurków, Amerykanina, który miał profil na Facebooku. Zostawili mu wiadomość.

Ten epizod z 1980 roku nabrał nagle nieoczekiwanego znaczenia. Lars Fjordsen, burmistrz Hammerfest, którego pogrzeb miał się odbyć z wielką pompą pojutrze, pracował w tamtym czasie w Dyrektoriacie Naftowym, nawet jeśli nie był jeszcze jego szefem. Jaką rolę odegrał w tym eksperymencie? Czy to właśnie za zasługi z tamtej epoki został potem nagrodzony awansem na szefa Dyrektoriatu Naftowego? Posiadane przez nich dokumenty nie umożliwiały wyciągnięcia jakichkolwiek wniosków na ten temat. Ale to Dyrektoriat musiał zatwierdzić testy.

Pewnych pytań nie mogli postawić w obecności Sormiego. Jedno z nich nurtowało Klemeta. Czy Gunnar Dahl posługiwał się tymi straceńcami? Fakt, że człowiek ten miał być wkrótce przesłuchany przez sędziego śledczego, któremu można było przekazać odpowiednie pytania, stwarzał brygadzie kryminalnej nowe możliwości śledcze. To nie leżało już w gestii straży reniferów.

Przybycie Nilsa-Antego i panny Chang przerwało tok myśli Klemeta w chwili, gdy zamierzał poprosić Nilsa Sormiego, by wziął urlop. Młoda Chinka z radością przystąpiła do inspekcji chaty, nim Klemet zdążył powiedzieć, że wbrew pozorom ich domek jest posterunkiem policji i że to, co się w nim znajduje, nie jest przeznaczone dla postronnych oczu.

Gdy już wszyscy się sobie przedstawili, Nils-Ante wysłuchał uważnie fragmentu muzyki z magnetofonu. Podniósł głowę i z przebiegłym wyrazem twarzy poprosił siostrzeńca, by puścił nagranie jeszcze raz. Wyjął telefon komórkowy i wystukał coś na klawiaturze. Znów przesłuchał taśmę i spojrzał na swój telefon.

– Pierwsza część to wersja pewnego klasycznego utworu religijnego – zaczął Nils-Ante.

– Pierwsza część?

– Nie słyszysz, że po pierwszej części następuje druga? Oba fragmenty kończy rodzaj nietypowego, krótkiego finału. W każdym razie jestem tego prawie pewien, gdyż dobrze znam drugą część.

– No proszę. Nie sądziłem, że interesuje cię ten rodzaj muzyki religijnej – zdziwił się Klemet.

– W przypadku pierwszej części posłużyłem się aplikacją do rozpoznawania utworów muzycznych, drogi siostrzeńcze. Najwyższy czas, by policja wyposażyła cię w odpowiedni sprzęt. I nauczyła trochę życia...

Klemet zachnął się. Wuj mówił dalej.

– Nie wiem, kto jest wykonawcą, to utwór organowy, ale jego tytuł nie ulega wątpliwości. To jest De profundis.

– Otrzymałem esemesa zawierającego te słowa – wtrącił Nils Sormi.

– Dlaczego wcześniej nic o tym nie wspomniałeś? – rzucił sucho Klemet.

– Zapomniałem, i tyle. Otrzymałem go, gdy siedziałem w kabinie dekompresyjnej z Tomem. Nie było numeru nadawcy. Podobne wiadomości otrzymałem esemesem jeszcze dwa razy, bez żadnego wyjaśnienia. Pierwsza zawierała słowa De profundis, a druga... Ahkanjarstabba – dodał, sprawdzwszy w telefonie. – Nie mam pojęcia, jaki związek mają ze sobą te dwa teksty.

– Ahkanjarstabba to nazwa świętej skały nad Cieśniną Wilka – zawołał Nils-Ante.

– Tak, pamiętam, że Anneli wymieniała tę nazwę – przypomniała sobie Nina.

– Ktoś chce nas posłać pod świętą skałę – wtrącił Klemet.

– To mnie ktoś chce posłać pod świętą skałę – sprostował nurek.

Klemet nie zwrócił uwagi na te słowa.

– A drugi fragment?

– Aplikacja go nie rozpoznała – podjął Nils-Ante. – Ale znam dobrze ten utwór, nawet jeśli zmieniła go nieco aranżacja organowa. Znakomicie wykonuje go zresztą Mari Boine, bardzo uzdolniona młoda osoba. Chodzi o psalm laestadiański, mój nieuczony siostrzeńcze. W swoim wykonaniu Boine łączy go z joikiem, co dodaje jej interpretacji pikanterii, zważywszy na to, że nasz Kościół uważał joikujących za wysłanników diabła.

– A finał?

– Tu się poddaję – powiedział Nils-Ante.

Włączył ponownie magnetofon. Mały domek wypełniły znów melancholijne tony. Klemetem owładnął nastrój wielkiego smutku, niepozbawionego piękna. Nie umiał ująć tego w słowa, ale po raz pierwszy od dawna poczuł ukojenie. Wszyscy wydawali się pogrążeni w swoich myślach. Klemet przypuszczał, że Nina wspomina swojego ojca, a Nils Toma. Nawet Nils-Ante zdawał się błądzić myślami gdzieś daleko.

Ów melancholijny nastrój nie udzielił się jedynie pannie Chang. Stała sama z boku przed wielkim oknem, przez które wpadały promienie słońca, i kołysała się, jakby unoszona przez dźwięk organów. Rozpoczęła powolny, gibki taniec, z głową odrzuconą do tyłu, stapiając się z lekkim piórkiem, które podrzucała do góry regularnymi westchnieniami. W takt

muzyki wiła się wokół piórka, które wirowało w promieniach ostrego światła. Klemet patrzył na nią zafascynowany. Wszyscy obecni w chacie dali się oczarować gracji emanującej z tej młodej kobiety.

Uświadomiwszy sobie, że wszyscy na nią patrzą, znieruchomiała. Złapała piórko, nim spadło na ziemię, wplotła je we włosy Nilsa-Antego, tuż nad uchem, i pocałowała go w czoło.

– Wypadło z koperty, gdy wyjmowałeś z niej magnetofon – wyjaśniła cicho Chinka.

– Moje ty żywe srebro, przeniosłaś nas na czas jednego tchnienia do swojego cudownego świata.

Nils-Ante przyjrzał się pióru.

– Kuropatwa śnieżna – powiedział. – To zwierzę było fetyszem Anty. Rzeźbił nawet wspaniałe kuropatwy.

Rozdział 58

Cieśnina Wilka

Dojazd do świętej skały zajął im niecałe pół godziny. Klemet i Nina poprosili Nilsa-Antego i pannę Chang, by im towarzyszyli. Nils Sormi jechał za nimi samochodem, po czym skręcił do Hammerfest, by zobaczyć, co słyhać u Toma Paulsena.

Było późne popołudnie. Klemet zaparkował samochód koło skały. Robotnicy opletli ją szerokimi pasami, mającymi chronić ją podczas transportu. Pod skałą leżały narzędzia, którymi miano podkopać się pod nią, by móc przenieść ją w inne miejsce.

– Czyż to nie jest nieszczęście? – powiedział Nils-Ante.

Klemet podniósł drabinę pozostawioną przez robotników i oparł ją o kamień. Nina obesła skałę, szukając pod nią jakiegoś charakterystycznego przedmiotu. Policjanci starannie przeszukiwali teren. Mówili głośno, co znaleźli: kawałki kości, ości, czasem jakąś monetę albo fragmenty rogów renifera. Nic, co mogłoby wyjaśnić, co właściwie miał na myśli Anta Laula. Klemet znalazł pióra kuropatwy. I co? Patrzył na nie zmieszany. Czy ta koperta pochodziła stąd? Takie założenie prowadziło donikąd. Kto wiedział, że ta skała nazywa się Ahkanjarstabba? Poszukiwania w Internecie nie przyniosły żadnych rezultatów. Tylko Lapończycy mogli znać tę nazwę. Klemet nie był nawet pewien, czy młodzi ją znają. On sam w każdym razie o niej nie słyszał. Jeden z esemesów otrzymanych przez Sormiego miał ich doprowadzić do tej skały, bez wątpienia. Czy po to, żeby odkryli bransoletkę Anta Lauli, którą znalazła Anneli? To wydawało się najbardziej logiczne. Ale Klemet nie był zadowolony z tego rozumowania. Nils Sormi nie byłby w stanie wywnioskować czegokolwiek z faktu, że bransoletka się tu znajdowała, nawet gdyby ją znalazł. Po prostu dlatego, że młody nurek nie wiedział, iż Anta Laula miał na ręku identyczną bransoletkę w chwili śmierci. A pierwszy esemes? To „De profundis” wiązało jakoś esemesa z muzyką.

Coś łączyło zatem świętą skałę Ahkanjarstabba, utwór muzyczny De profundis i psalm laestadiański. Ale co? I dlaczego akurat laestadiański? Co miała z tą sprawą wspólnego tradycyjalistyczna denominacja luterańska, z której wywodziła się zresztą jego własna rodzina? Klemet schodził już z drabiny, chcąc ją odstawić, gdy usłyszał okrzyk wuja, brzmiący jak wołanie proroka przemawiającego do tłumów.

– De profundis! De profundis!

Klemet pokręcił głową. Wuj popisywał się przed swoją młodą Chinką.

– De profundis, Klemet, de profundis. Szukasz w górze, zamiast patrzeć pod nogi. W głębi skały. Autor esemesa to żartowniś. To określenie odnosi się być może do muzyki, ale nie tylko.

Potrząsał jakimś kulistym przedmiotem. Klemet o mało nie spadł z drabiny. Nina podeszła bliżej. Nils-Ante czyścił przedmiot z błota. Wskazywał palcem na miejsce, w którym go znalazł. Pannie Chang udało się włożyć swoją giętką, szczupłą dłoń w załom skały.

– Czy to nie tu przypadkiem Anneli znalazła bransoletkę? Tak? Wcale bym się nie zdziwił.

Przedmiot miał zaokrąglone krańce i precyzyjnie wygładzone krzywizny. Był wyrzeźbiony z rogów renifera, starannie wypolerowanych, bez najmniejszych nierówności. Dziób małego ptaka, gdyż jego właśnie przedstawiała rzeźba, zwrócony był ku niebu. Otwory oczu wypełniała ceglana farba, grzbiet zdobiły trzy motywy lapońskie. Rzeźba mieściłaby się w dłoni, gdyby nie cokolwiek wycięty z twardszego i toporniejszego rogu renifera.

– Ktoś zdołał włożyć ją w ten załom, ale trzeba było delikatności mojej słodkiej jagódki, żeby ją stamtąd wyciągnąć.

Nina wzięła rzeźbę z rąk Nilsa-Antego.

– Klemet, dziób – powiedziała.

– Co takiego?

– Złamany. Widziałam już tego ptaka.

– Można go kupić w Kirusie – odrzekł Klemet. – To kuropatwa śnieżna, wycięta z jasnego rogu. Mogę ci nawet powiedzieć, że robił je Anta Laula.

– Wiem, widziałam podobne rzeźby na jego wystawie w Kirunie. Ale ten konkretny ptak był w furgonetce Pedersena i Divalgo, gdy ich sprawdzaliśmy. Był zawieszony na lusterku wstecznym. Ten sam złamany dziób. Jestem pewna. I nie przypominam sobie, byśmy znaleźli tego ptaka w samochodzie już po wypadku.

Teraz z kolei Klemet wziął ptaka do ręki.

– W każdym razie doprowadziło nas tu pióro z koperty.

– A bransoletki dowodzą, że tego ptaka położył tu Anta Laula. Bransoletka to jego podpis.

Klemet podszedł do bagażnika pikapa. W milczeniu wyjął termos i nalał kawy. Wiatr hulał po cieśninie. Odwilż wgrzyzała się ciemnymi pasami w ośnieżone zbocza gór, które przypominały miejscami skórę zebry. Pod nimi, pomiędzy wzgórzem a brzegiem cieśniny, prawie nie było już śniegu. Ziemia nasiąkała wodą. Brunatne kałuże na przemian z połaciami śniegu i z kępami pozółkłych, wciąż jeszcze przygniecionych do ziemi roślin pokrywały krajobraz na podobieństwo siatki maskującej.

Nils-Ante wskazywał palcem jakiś punkt nad cieśniną i szeptał do ucha panny Chang coś, co przyprawiało ją o chichot.

Nina oglądała kuropatwę ze wszystkich stron. Pisała coś na laptopie. Jak Anta Laula zdołał wymyślić to wszystko, choć wydawał się taki słaby? Susann mówiła im, że stary Lapończyk w chwilach przytomności był znakomitym organizatorem podchodów dla dzieci. Klemet podał kawę. Obecność kuropatwy w samochodzie podczas rutynowej kontroli mogła oznaczać dwie rzeczy. Albo Pedersen i Divalgo podróżowali już w towarzystwie Lauli, którego z jakiegoś nieznanego powodu nie było w furgonetce podczas kontroli, albo w ten czy inny sposób Pedersen lub Divalgo weszli w posiadanie rzeźby i przedmiot ten doprowadził ich do Anta Lauli. Mogła to być cenna pamiątka, przechowywana ze względu na pamięć o kimś. Albo o czymś. W każdym razie miał ich dokądś doprowadzić.

Hammerfest

Nils Sormi pojawił się w pokoju swojego partnera nieoczekiwanie. Nina telefonicznie powiadomiła go o znalezieniu kuropatwy. Nils zastał Elenor siedzącą na łóżku Toma, w jednej ze swoich dwuznacznych póz.

– O, jesteś wreszcie, myślałam już, że zginąłeś. Tak zostawić przyjaciela... Na szczęście ja tu byłam. Biedny Tom, prawdziwy bohater.

Pieściła go wzrokiem, trzymając rękę na ranie. Tom był blady, wyraźnie cierpiał. Potrzeba było jeszcze wielu tygodni, żeby doszedł do siebie. Sormi poprosił Elenor, by zaczekała na korytarzu.

– W takim razie zadzwoń, nie mam zamiaru tkwić w tym strasznym miejscu.

Gdy odeszła, Nils podszedł do przyjaciela i zaczął tłumaczyć dziewczynę.

– Nie lubi być długo sama, to ją denerwuje.

Paulsen milczał. Nils wyczuwał jego zażenowanie. Ale miał do załatwienia coś ważniejszego. Opowiedział mu, co wydarzyło się tego dnia, pominął jednak swoje rozmowy z Leifem Moe i Gunnarem Dahlem. Opowiedział o tym, co odkrył w fiszkach Tikkanena, o tym, jak postanowił skontaktować się z tą Niną Nansen, jak dowiedział się o śmierci Jacques'a Divalgo, o utworach muzycznych rozpoznanych przez starego wuja Nango, sympatyczniejszego zresztą niż jego siostrzeniec.

– O mało jeszcze raz się nie pobiliśmy. Pilnowała nas ta twoja koleżanka z policji, dobrze widziałem. Chroni swojego partnera.

– Myślisz, że coś jest między nimi?

Nils nie odpowiedział na to pytanie.

– Pamiętam tego Anta Laulę z czasów, gdy byłem dzieckiem. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego Jack i inni traktują go jak jednego ze swoich. Traktowali go, nie wiem, jakoś dziwnie. Z szacunkiem, a przecież ten typ to był dziwak, facet, który buja w obłokach. Widocznie brał udział w eksperymentach nurkowych w osiemdziesiątym roku. Nie jako nurek, ale w jakiś inny sposób. Zastanawiam się, czy to go mogło zniszczyć. Gdy Jack i inni wracali na początku każdego sezonu, Anta Laula był na miejscu. Nie wiem, skąd się brał, ale chodził z nimi. Małomówny. Widocznie po latach został artystą.

– Przykro mi z powodu Jacques'a. Co robił z tymi dwoma?

– Nie sądzę, by gliny wszystko mi powiedziały.

– A ta kasetka, to pióro, te esemesy, to ubezpieczenie?

– Zarówno esemesy, jak i kasetka odsyłają do De profundis, a zatem muszą pochodzić od tej samej osoby. Ten ktoś wysyłał mnie na tę skałę, gdyż jej nazwa, niemożliwa do wymówienia, jest prawie nieznaną. I ten kamień, na którym znaleziono tę cholerną bransoletkę tego trupa. Czego mógł chcieć ode mnie ten typ?

– A kto mówi, że on czegoś od ciebie chce? Ten człowiek widmo umarł razem z Jacques'em i Pedersenem. Było ich trzech. A ten Pedersen... znasz go?

– Sam nie wiem. Wtedy wielu marnie kończyło. Dla mnie ważny był wielki Jack. Adoptował mnie, zrobił ze mnie maskotkę ich grupy.

– A ubezpieczenie? Może jest od niego?

– Od niego? Kiedy go spotkałem, przypominał nieomal bezdomnego włóczęgę.

– Bezdomnego włóczęgę czy człowieka, który wkrótce umrze?

Cieśnina Wilka

Klemet porządkował bagażnik pikapa, ale robił to bardzo powoli, jakby o czymś myślał. Zastygł z paczką kawy w ręku.

– Laula chciał nie tylko doprowadzić Sormiego do tej skały, żeby znalazł tam tę kuropatwę. Chodziło mu o coś więcej. Nie wiem, dlaczego Anta bawił się w te podchody, zapewne chciał coś chronić, ale kuropatwa nie może być celem samym w sobie.

– Chyba że chodziło mu o poinformowanie Sormiego, że to on jest fundatorem ubezpieczenia na życie.

– Laula? Ależ to nie ma sensu. Nie znają się. Słyszałaś, jak Sormi o nim mówił. W tym wszystkim musi być jakiś sens. Dwa esemesy prowadzą nas do skały. Esemes De profundis mówi zarazem, że należy szukać głęboko pod skałą, żeby znaleźć tę kuropatwę, i odsyła do muzyki. Aż dotąd wszystko się zgadza. Ale jaki sens ma drugi utwór, ten psalm laestadiański? I jeszcze raz, co oznacza ta kuropatwa?

Nina delikatnie wyjęła paczkę z kawą z rąk Klemeta i włożyła ją do samochodu.

– Panno Chang, czy w Chinach też tak jest, że mężczyznom trudno jest robić dwie rzeczy naraz? – spytała, kończąc pakować bagażnik.

– Organy. Dlaczego organy?

Klemet zwrócił się do wuja, udając, że nie zauważa śmiechu Chinki.

– Nie znam tego psalmu laestadiańskiego w wersji śpiewanej. Tu został wykonany wyłącznie na organach, tak jak pierwszy utwór.

– Jaki to wszystko ma związek z laestadianami? – zirytował się Klemet.

– Może nie chodzi o laestadian, tylko o ich organy, albo o jeden z ich kościołów.

– W okolicy jest ich wiele, ale znam tylko jeden, z którym związany był Anta Laula. To kościół w Jukkasjärvi, koło Kiruny. Wraz ze swoim mistrzem, Sunną, wykonał komplet klawiszy do tamtejszych organów.

Rozdział 59

Wtorek, 11 maja

Hammerfest

Wschód słońca: 1.05. Zachód słońca: 23.38

Długość dnia: 22 godziny i 33 minuty.

Jukkasjärvi (szwedzka część Laponii)

Wschód słońca: 2.50. Zachód słońca: 22.25

Długość dnia: 19 godzin i 35 minut

Laponia, w głębi lądu, 8.30

Po dwóch godzinach lotu helikopter zbliżał się do Jukkasjärvi, leżącego 500 kilometrów na południe od Hammerfest. Pedersen i Divalgo spędzili tu jakiś czas podczas swojej eskapady na północ, jeżdżąc wynajętym samochodem, płacąc kartą bankową i zostawiając wszędzie ślady.

Klemet nie poleciał z nimi. Trochę wbrew własnej woli. Zabrakło miejsca. Nils-Ante był im potrzebny, a Nils Sormi koniecznie chciał z nimi polecieć. Zanim Klemet zdołał zareagować na jego żądanie – niepodlegające dyskusji, jak stwierdził wuj – Nina wyraziła zgodę.

Nils Sormi, który najwyraźniej nie spał dobrze minionej nocy, chciał wsiąść do helikoptera, żeby zwierzyć się Ninie. Zdradził jej, gdzie znajduje się gumpi Juvy Sikku, podzielił się także swoimi wnioskami na temat roli pasterza w całej sprawie i informacją o istnieniu fiszek. Nina natychmiast powiadomiła Klemeta.

Brakowało jeszcze dowodów, ale wydawało się teraz oczywiste, że Tikkanen, wprost lub pośrednio, skłonił Juvę Sikku, by wystraszył renifery, co doprowadziło do śmierci Steggo. Dowiedzenie premedytacji stanowiło w tym przypadku nie lada wyzwanie.

W czasie lotu nad Laponią Nils Sormi cały czas pochłonięty był podziwianiem pejzażu. Jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

– Podoba ci się?

Zasłonił się żartem, mówiąc, że zdecydowanie pewniej czuje się pod wodą.

– Ale przecież jesteś Lapończykiem. Porusza cię ten widok?

– Tak. Miło, że to mówisz. Jestem Norwegiem, to wszystko.

Nina spytała, co słyhać z Tomem. Także na to pytanie nie odpowiedział dokładnie.

– Jest pod dobrą opieką – powiedział tylko do mikrofonu w kasku, nie odwracając oczu od widoku za oknem.

Dwieście kilometrów na północ za kołem polarnym tundra spowita była jeszcze płaszczem zimy, ale już widać było żywe barwy, wprowadzające wiosenną aurę. Eurocopter wylądował przed kościołem, nad brzegiem rzeki. Mała drewniana budowla, pokryta farbą w kolorze czerwieni faluńskiej, pochodziła z siedemnastego wieku, z czasów, gdy powstał tu lapoński targ. Nils-Ante szedł energicznie na czele trójki przybyszów. Pchnął drzwi.

W głębi kościoła Nina zobaczyła tryptyk z Laestadiusem. Był namalowany jaskrawymi barwami. Chociaż odbywała swój staż w straży reniferów w Kirunie, około dwudziestu kilometrów stąd, nigdy nie była jeszcze w tym małym kościele, gdzie ślad po założycielu ruchu laestadiańskiego promieniował pięknem i życiem, a wydrążone w drewnie postacie zadziwiałały swoimi krągłymi kształtami. Nina podchodziła bliżej, stąpając po czerwonym chodniku, rozciągniętym obok ławek z szarego drewna z niebieskimi siedzeniami. Cała świątynia była drewniana. Wnętrze tchnęło zaraźliwym ciepłem. Nina usiadła na chwilę w ławce, pogрузyła się w skupieniu. Nils i Nils-Ante zatrzymali się tuż za nią.

– I co teraz? – zapytał Nils.

– Sądzisz, że znajdziesz odpowiedź w tym tryptyku? – spytał Nils-Ante.

Centralna część tryptyku przedstawiała Jezusa z krzyżem. Z czoła kapały mu ogromne krople krwi, zamieniając się w kwiaty. Na lewo, przed pastorem Laestadiusem, który grożąc, podnosił palec, stał hodowca z reniferem, wieśniak opróżniający beczkę i para robiąca wrażenie skruszonej. Po prawej stronie ten sam pastor Laestadius klęczał przed stojącą Laponką z głową na tle słońca, które tworzyło wokół niej aureolę; obok stały inne postacie, przeżywające odnowę duchową, którą Laestadius szerzył w całej Laponii poprzez swoją surową doktrynę.

– Młoda kobieta stojąca przed Laestadiusem to Maria.

Głos dochodził gdzieś z tyłu. Zbliżał się jakiś mężczyzna. Miał na sobie ciemny strój z białym kołnierzykiem pastora. Był dość stary, ale doskonale się prezentował.

– Widzicie, ktoś przyprowadza skradzionego renifera, ktoś wyrzeka się alkoholu, ludzie wyrzekają się grzechu. „Wy, pijacy i złodzieje. Wy, cudzołóżnicy i nierządnicze, nawróćcie się”. Słowa Laestadiusa ocaliły tutejszych ludzi.

Pastor podszedł bliżej. Stał przed młodym nurkiem, który wydawał się skonfundowany. On pierwszy przerwał ciszę.

– Mam na imię Nils.

Pastor przyglądał mu się przez chwilę.

– Ty jesteś Niila. Mówiono mi, że tu przyjedziesz, że już dojrzałeś. To, czego szukasz, jest na górze.

– Kto ci to powiedział? – spytała Nina.

– Anta i dwóch ludzi, z którymi tu był.

– Kiedy tu byli?

– Jakies dwa tygodnie temu, pod koniec kwietnia.

To by się zgadzało. Tuż po śmierci Fjordsena, dokładnie w czasie, gdy Laula zniknęła z obozu, tuż przed wernisażem jego wystawy, na którym się nie pokazał. Ta data pasowała też do wypłat z bankomatów i płatności dokonywanych kartą w Kirunie, niedaleko stąd.

– Co tu robili?

– Nie wiem. Weszli tu. Anta zagrał na organach, i może po kwadransie wyszli.

Wuj Klemeta podszedł do małych schodów prowadzących na piętro. Stał przy organach.

– Niila? – spytała Nina.

– To lapońska forma imienia Nils – sprecyzował Nils-Ante. – Nagranie pochodzi chyba z tych organów.

– Istniały, kiedy Laestadius przychodził głosić tu swoje kazania?

– Nie, Laestadius żył w połowie dziewiętnastego wieku, a te organy są nowe, zbudowano je w końcu lat pięćdziesiątych.

Instrument nie był zbyt duży, ale doskonale dopasowany do kościoła. Białe klawisze organów zrobione były z rogów renifera, a czarne z brzozy. Zdobiły je delikatne grawiury w kolorze cegły. Nad dwoma klawiaturami, położonymi jedna nad drugą, widać było rząd dwudziestu

czterech gałek zdobionych delikatnymi rysunkami; służyły do wywoływania dodatkowych efektów.

– Co miał na myśli ten pastor, mówiąc, że dojrzałem? Wyglądało na to, że na mnie czekał.

– No właśnie, pomyśl – zachęcał go Nils-Ante.

– Nie wiem. Możesz na tym zagrać?

– Mogę spróbować – powiedział Nils-Ante, siadając do klawiatury.

Skupiał się przez chwilę, po czym zaczął grać. Dźwięki organów wypełniły małą świątynię. Nils i Nina stali obok niego. Czego właściwie się spodziewali? Nie działo się nic szczególnego. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Słuchali w milczeniu. Nic. Nils-Ante ponownie odsłuchał nagranie, znów zagrał. Nic. Na dole pastor gdzieś zniknął.

Nina obeszała organy. Małe drzwi prowadziły do wnętrza instrumentu.

– Trzeba znaleźć klucz, powinien gdzieś tu być.

Po chwili znaleźli go w małym pudełku przymocowanym do górnej części schodów. Nina weszła do wnętrza mechanizmu. W środku można było się wyprostować. Patrzyła na pizczyłki, na drewniane części urządzenia. Wnętrze oświetlała niewielka lampka. Czego tu szukali? Według listu od adwokata chodziło o jakieś dokumenty. Ale w jakiej postaci? Na papierze, a może na pendrivie? Było tu tysiące miejsc, w których dało się schować pendrive. Ale jeśli sprawa była tak ważna, że wymagała złożonego planu, to może pendrive, który mógł się przecież zniszczyć, nie był jednak najlepszym pomysłem. To musiało być coś innego.

Otworzyła wszystko, co tylko dało się otworzyć. Na próżno. Według pastora trzech mężczyźni byli tu jedynie kwadrans i nie schodzili z piętra.

– Szukajmy wszędzie.

Sprawdzili wszystkie kąty na piętrze. Na próżno.

– Coś musi tu gdzieś być. Inaczej nie byłoby sensu nas tu sprowadzać.

Nils-Ante siedział przy klawiaturze. Ciągnął za różne gałki, uruchamiając coraz to nowe połączenia.

– Ten Anta to był jednak niezły numer – powiedział Nils-Ante, gdy Nina znów przy nim stanęła. – Słyszysz ten efekt? To jest dźwięk bębna, bębna szamana. – Zwrócił się do Nilsa. – Może tego nie wiesz, ale bębny szamanów były zabronione przez Kościół luterański przez trzysta lat, a Anta cichaczem wprowadził bęben w sam środek tej instytucji, do kościoła. Posłuchaj...

Nils-Ante pociągnął ostatnią gałkę z prawej strony i z puszczalki wydobył się przeciągły warkot.

– Słyszysz? To dźwięk bębna. Co za odkrycie. I co za rewanz.

Nina pochyliła się. Na gałce wygrawerowany był krzyżyk z kropką w środku, a nad ramionami krzyża pochylały się dwie stylizowane postacie, po jednej z każdej strony. Rozpoznała znak, który symbolizował słońce na wielu bębnach szamanów, na przykład na bębnie, który Mattis ukradł tej zimy w Kautokeino. Jej wzrok ześlizgnął się na inne gałki, również zdobione delikatnymi rysunkami, i nagle zaczęła szukać czegoś w kieszeniach swojego munduru. Wyczuła pod palcami okrągłą rzeźbę kuropatwy i wyciągnęła ją. Na grzbiecie ptaka wyrysowano trzy znaki, dokładnie takie same, jak znaki widniejące na trzech ostatnich gałkach z prawej strony.

Anneli wyjechała dziś wcześniej rano, by mieć jak największe szanse na odnalezienie cielaka. Znów pożyczyła skuter Mortena Isaaca. Jadąc zamarzniętym korytem rzeki, myślała o dobrych słowach Susann, o jej śpiewnych wezwaniach do Gieddegeašgálgu, o tym, jak była zdenerowowana, gdy po raz ostatni próbowała ją przekonać, by pozwoliła się zastąpić w szukaniu cielaka. Anneli zatrzymała się na chwilę. W tej części równiny, położonej nieco wyżej, roztopy postępowały wolniej niż gdzie indziej. Rysy na lodzie zdarzały się wprawdzie rzadziej, ale i tak trzeba było bardzo uważać i wymijać przeszkody. Na szczęście rzeki były jeszcze mocno skute lodem. Anneli nauczyła się od Erika jeździć skuterem po zamarzniętej powierzchni wody, co stanowiło jedną z ulubionych rozrywek młodych ludzi w tej okolicy, nierzadko kończących się wypadkiem.

Pogoda była ładna, lecz Anneli wolałaby, by w nocy ścisnął mróz. Jechała już pół godziny i zbliżała się do miejsca, gdzie ostatni raz widziano cielaka. Śnieg trzymał się jeszcze mocno na tym skraju pastwiska, tradycyjnie użytkowanym przez Juve Sikku na przełomie zimy i wiosny. Był to obszar położony nieco z boku, ze wzgórz roztaczał się tu wspaniały widok na zachodnią część Fiordu Wilka. Na wprost widać było wyspę Seiland, gdzie kiedyś część jej rodziny wypasała latem renifery. Poczła się pewniej. Chwyciła za lornetkę i przez chwilę lustrowała okolicę. Na skraju wzgórz w głębi doliny dostrzegła jakiś ruch. Był to cielak. Nareszcie. Jednak żył. Powtórnie rozejrzała się po okolicy i nagle dreszcz przeszedł jej po plecach. Zobaczyła rysia. Rysie były jednymi

z najgorszych drapieżników polujących na renifery. Sezon polowań na rysie skończył się już półtora miesiąca temu. Ojciec opowiadał jej, że w czasach jego młodości w Laponii nie spotykało się rysy. Pierwsze rysie pojawiły się w Finnmarku w latach osiemdziesiątych. „Dokładnie wtedy, gdy manifestowaliśmy przeciwko budowie tamy w Alcie”, mówił, dorzucając, że Norwegowie na pewno zadbali o to, by sprowadzić rysie do Laponii, żeby jeszcze bardziej osłabić hodowców. „Brudna wojna”, mówił. Anneli urodziła się kilka lat później i nie pamiętała Laponii bez rysiów. Było ich mało, ale cieszyły się złą sławą. Czy ten ryś szedł śladami jej cielaka? Czy już go znalazł? Patrzyła, w jakim kierunku idzie. Nie miała przy sobie broni. Zatrzymała się, przeszukując gorączkowo okolice za pomocą lornetki. Powstrzymała przyspieszony oddech. Znow oceniła sytuację. Nie miała wątpliwości: tam był jej cielak, taki samotny i bezbronny. Ryś podchodził do niego spokojnie, pewny swojego łupu. Nagle podjęła decyzję i nacisnęła do oporu dźwignię gazu.

Nils Sormi opisał to miejsce dość dokładnie. Klemet wiedział, gdzie ma szukać. Obszar był spory, ale punktów dostępu do niego było niewiele, a rzeźba terenu ograniczała liczbę miejsc, na których można było postawić gumpi. W przyływie dobrej woli odwiedził dziś rano gumpi Juvy Sikku, to, którego pasterz używał teraz do pilnowania stada. W szałasie nie było nikogo. Potem, zgodnie ze wskazówkami Sormiego, ruszył w kierunku wzgórz nad fiordem, znajdujących się w prostej linii kilkanaście kilometrów dalej. Klucząc ostrożnie wśród przeszkód, pół godziny później dotarł na wzgórze.

Pogrążony w myślach Klemet nie zauważył, że z daleka ktoś obserwuje go przez lornetkę. Klemet rozpoznał elementy opisu nurka: najpierw przełęcz, potem płaskowyż. Górował nad fiordem, leżącym nad Cieśniną Wilka. Klemet skreślił łagodnie skuterem w stronę fiordu i po kilku metrach zobaczył dwa ukryte gumpi Sikku, schowane za skalną ścianą. Ostrożnie rozejrzał się wokół. Nikogo nie było. Zauważył świeże ślady butów, ale były pokryte cienką warstwą lśniącego lodu. Musiał osiąść na nich w nocy, gdy mróz ścisnął po wcześniejszych roztopach. Nikogo tu nie było przynajmniej od wczoraj. Zgadzało się to z relacją Sormiego. Za dwoma gumpi leżała sterta rupieci, jakie gromadzą się zwykle w takich improwizowanych obozowiskach. Jakieś puszki, przyczepy, plastikowe worki, polana, arkany, resztki ciała renifera wyłaniające się spod topniejącego śniegu. Uwagę Klemeta zwróciła forma jednej ze stert

drewna. Podeszedłszy bliżej, rozpoznał resztki łodzi. Część łódki porąbano na drobne kawałki, przydatne na podpałkę, ale tył był wciąż nienaruszony. Klemet stanął jak wryty. Była to łódź, którą pływał kiedyś Erik Steggo. Sikku nie spalił jej, pewny, że nikt jej tu nie znajdzie. Policjant przyjrzał się resztkom łodzi. Dno było zniszczone, deski porozdzielane lub połamane. Czy był to skutek wypadku, czy też dzieło człowieka? Konieczne były dokładniejsze oględziny. Na razie Klemet zadowolił się zrobieniem kilku zdjęć. Potem zajrzał do gumpi. Bez trudu odnalazł pudełko po butach z fiszkami Tikkanena. Nie zamierzał oglądać ich na miejscu. Sikku mógł zaraz przyjść, może nawet nie sam. Bóg wie, co by wtedy zrobił. Klemet nie mógł oprzeć się pokusie zajrzenia do fiszki ze swoim nazwiskiem. Odnalazł ją. Nie był potencjalnym klientem Tikkanena, co znalazło odbicie w zawartości fiszki. Ale odnotowano jednak, do jakiego patrolu należał, jaki miał rewir, gdzie można go było znaleźć w różnych porach roku. Zapisano też, że urodził się w Kirunie i że przez jakiś czas chodził do szkoły w Kautokeino. Niewiarygodne. Jeśli inne fiszki zawierały równie szczegółowe dane, zawartość tego pudełka stanowiła prawdziwą bombę. I skarb z ich punktu widzenia. Policja nigdy nie mogłaby sobie pozwolić na gromadzenie takich danych. Gdyby to robiła i gdyby to przeciekło do prasy, skierowano by pod jej adresem najgorsze oskarżenia. Oczywiście, zdarzały się takie przypadki, ale tu wszystko było podane na tacy. Oparł się pokusie przejrzenia reszty fiszek i zamknął ostrożnie pudełko, by umieścić je na bagażniku swojego skutera. Postanowił też zabrać ze sobą resztki łodzi. Dowiedziawszy się o jego wizycie, Sikku mógł zniszczyć ten dowód rzeczowy przed przybyciem brygady kryminalnej. Podjechał skuterem pod przyczepę, przyłączył ją i umocował na niej resztki łodzi, które owinął dla ochrony kocami z gumpi. Obłożył je kiczowatymi poduszkami i ruszył w drogę, niecierpliwie wyczekując chwili, gdy będzie mógł przeczytać fiszki. Kto wie, może tam właśnie znajdzie odpowiedź, a Ellen Hotti dała im termin do jutra rana. Mieli przecież zakończyć śledztwo przed pogrzebem.

Rozdział 60

Jukkasjärvi (szwedzka część Laponii)

Małą drewnianą nawę wypełnił głos dzwonu. Nina pociągnęła właśnie za drugą gałkę. Zdobiał ją rysunek kuropatwy, pod którym znajdował się symbol gwiazdy. Na trzeciej gałce narysowane były dwie gwiazdy, jedna nad drugą; od górnej gwiazdy biegły przerywane linie. Gdy Nina pociągnęła, budynek wypełnił podmuch wiatru. Nils-Ante zmarszczył brwi. Kazał jej przestać. Myślał, siedząc z przymkniętymi oczami, pochylając głowę. Wuj Klemeta, specjalista od joiku i znany muzyk, grał cichą melodię.

– Nina, nagranie.

Włączyła je.

– Przewiń na koniec.

Nacisnęła na przewijanie. Oczekali kilka sekund, zatrzymując taśmę tuż przed krótkim finałem. Nils-Ante patrzył na Ninę błyszczącymi oczami. Potem pociągnął jednocześnie za wszystkie trzy gałki z prawej. Usłyszeli kompozycję muzyczną, tę samą, która była na nagraniu.

– Nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś podobnego – powiedział Nils-Ante.

– Trzy połączone efekty tworzą melodię. To wyjątkowe organy, chyba nie ma takich drugich w całej Szwecji.

– Chodźcie, zobaczcie – krzyknął do nich Nils z drugiego krańca pomieszczenia.

Nina i Nils-Ante stali po drugiej stronie organów. Nurek trzymał w ręku okładkę z grubym plikiem dokumentów. Drugą ręką wskazywał szufladę, którą otworzył mechanizm sprzężony z gałkami rejestrów, gdy włączyli jednocześnie wszystkie trzy efekty.

Nurek pokazał Ninie pierwszą stronę pliku. Był to list, napisany po angielsku.

„Te podchody zapewne wydały Ci się dziwne. Ale nie zabawy mi w głowie. Musiałem wynająć adwokata, żeby zrobić wszystko jak należy,

ale wiedziony doświadczeniem, nie wiedziałem, czy mogę mu powierzyć te papiery. Jeśli czytasz te słowa, to znaczy, że miałem rację, że Ci zaufałem. Gdy je przeczytasz, nie będzie mnie już wśród żywych”.

List podpisano imieniem Jack.

Juva Sikku odłożył lornetkę i zaklął. Przez chwilę obawiał się, że to Tikkanen wpadł na jego trop, ale musiał przyznać, że trudno było wyobrazić sobie Fina na skuterze, zagubionego w tundrze. Teraz był już prawie pewien, że znikająca w dali maszyna należy do policji. Ale... przecież policjanci zawsze jeżdżą parami. Wyostrzył obraz w lornetce. Tak, to policja. Zaklął ponownie. Człowiek na skuterze jechał od strony gumpi, w którym Sikku pilnował reniferów, i sądząc z kierunku, jaki obrał, ten cholerny glina zmierzał prosto do jego dwóch pozostałych szałasów. Za jakieś dwadzieścia minut powinien je znaleźć. Sikku rozpaczliwie wyteżał umysł. Fiszki nie powinny wpaść w ręce policji. To byłaby katastrofa. Do diabła, to niemożliwe, żeby Nils Sormi wskazał policji jego kryjówkę. Sikku nic nie rozumiał. Świat walił mu się na głowę. Żeby Sormi zrobił mu taki numer... A jego farma w Finlandii? Nie, koniecznie musi ukryć notatki w bezpiecznym miejscu, zanim policja je znajdzie. Wcisnął do oporu dźwignię gazu i pognał w stronę doliny. Była jeszcze szansa, że dotrze na miejsce wcześniej; przecież policjant nie mógł znać tak dokładnie położenia kryjówki. Pędził ku dolinie, chowając się przed wzrokiem intruza za linią wzgórz po swojej lewej stronie. Nie mógł tym razem zachować zwykłych środków ostrożności, ale nie na darmo był mistrzem jazdy na skuterze. Maszyna na pełnym gazie podskakiwała niebezpiecznie, lecz Sikku gnał podniecony, ze spiętymi mięśniami i ze szczękami zaciśniętymi do bólu. Naprzeciw, jakieś pięćset metrów po prawej stronie, dostrzegł kolejny skuter, który także jechał w stronę gumpi. Niemożliwe. Inny glina? Zupełna klęska. Skuter nadjeżdżający z prawej strony zbliżał się do rzeki płynącej doliną Kvalsund. Juva nie posiadał się z wściekłości. Widział fiszki, farmę, Tikkanena, Sormiego, wszystko wirowało mu przed oczami. Zatrzymał silnik, tracąc dech, z sercem bijącym jak oszalałe. Tuż przed sobą zobaczył obiekt zainteresowania człowieka nadjeżdżającego z prawej strony. Na zbocze wzgórza wchodził cielak, a kilkaset metrów za nim skradał się ryś, stąpając bezgłośnie i szybko przybliżając się do przyszłej ofiary. Na ułamek sekundy poczuł ulgę. Pasterz. Chwycił za lornetkę. Ta sylwetka... Te długie blond włosy, wymykające się spod kasku. Rozpoznał strój, który

Anneli miała na sobie na zebraniu. Nie miał się czego obawiać. Ruszył z impetem, nie zważając na gałęzie brzozy chłoszczące go w twarz, rzucił okiem na lewo, gdzie wciąż osłaniało go pasmo wzgórz, potem na prawo, akurat w samą porę, by zobaczyć, jak skuter wjeżdża na zamarzną rzekę i znika w wodzie. Sikku zatrzymał się. Łódź się załamała. Spojrzał na lewo, gdzie skuter policyjny wyłonił się zza linii wzgórz i podążył hen, ku jego gumpi, ukryty za zboczem. Z przodu stracił z oczu cielaka, ale widział, jak ryś dalej zdecydowanym krokiem zbliża się do swej ofiary. Nie wiedział, co robić. Po prawej stronie na tafli rzeki panował martwy spokój. Kierowca nie wypływał na powierzchnię. Sikku zawył z wściekłości. Patrząc na rzekę, płynącą na wprost niego mimo załamane lodu, zobaczył znów Erika Steggo, jak znika w odmetach cieśniny, wciągany przez wir. Czy Nils miał rację? To on spowodował śmierć Steggo. A zatem Tikkanen do tego stopnia go zmanipulował? Sikku nie przyznawał się do tego przed samym sobą. Dotarło do niego dopiero oskarżenie Sormiego; poczuł się tak, jakby dostał pięścią między oczy. Poczul, że kręci mu się w głowie. Sam nie wiedząc, co robi, pognął ku rzece. Po kilkudziesięciu sekundach dotarł na brzeg. Biegł, zrzucając swój płaszcz ze skóry renifera, i bez wahania rzucił się w lodowatą wodę.

Nina nie odezwała się ani słowem od momentu, gdy helikopter zabrał ich z Jukkasjärvi. Z kaskiem na uszach wertowała dokumenty. Czytała po raz trzeci dwie kartki napisane odręcznie przez Divalgo do Sormiego. Czytała na głos.

„Przyjeżdżając do Hammerfest, chcieliśmy zrozumieć, co działo się tu trzydzieści lat temu, gdy wielu straciło zdrowie podczas nurkowania lub przy eksperymentach. Oficjalnie nigdy tego nie przyznano. Szukając, natrafiliśmy na te wszystkie nowe projekty. Zobaczyliśmy, że dzisiaj obiecują tak samo jak wtedy. Zażądaliśmy od Fjordsena wyjaśnień. To, co się stało, to był wypadek”.

– Stąd wniosek, że śmierć Steela, Birge’a i Depierre’a nie była przypadkowa – powiedziała przez mikrofon do Sormiego, potrząsając kartkami.

Ale Divalgo nic o tym nie wspominał. Czytała dalej.

„Anta Laula wtedy odpuścił. Dzisiaj robią to samo. Ropy nic nie zatrzyma. Wciąż to samo. To, co zrobili wtedy tym nurkom, co zrobili Anta Lauli, to hańba. Dziś w inny sposób robią to samo, a tacy jak Anta Laula płacą za to wysoką cenę”.

W słuchawkach zabrzmiał głos Nilsa-Antego.

– Słyszę, że mówicie o nurkach. Wszystko pięknie. Ale Anta Laula? Przecież to on zabrał małego Sormiego do Jukkasjärvi. Z tego, co mówisz, Nina, widzę, że nurkowie chcieli spłacić dług wobec Saami. To dlatego cię tu sprowadzili, mój mały, w sam środek lapońskiej tundry. Inaczej znaleźliby jakąś prostszą kryjówkę, na przykład skrytkę bankową w Hammerfest. Anta stracił swoje pastwiska z powodu ropy; stracił godność, zmuszony do zrezygnowania z hodowli. A potem stracił zdrowie przez te przekłete podwodne eksperymenty.

Nina czytała dalej sama. Pedersen i Divalgo zgromadzili raporty techniczne, dokumentację medyczną, kilka artykułów prasowych. Obciążające dokumenty, bezlitośnie obnażające charakter tamtych praktyk. Niektóre fragmenty ktoś podkreślił drżącą ręką, opatrując je na marginesie licznymi wykrzyknikami. Z każdej linijki przemawiali do niej nie tylko Laula czy Divalgo; wyobrażała sobie swojego ojca.

Dokumenty dotyczyły początków operacji nurkowych dla przemysłu naftowego w latach 1965-1990. Były to czasy jej ojca. Badania zebrane przez obu nurków wykazywały, że większość weteranów Morza Północnego cierpiała na obturacyjne choroby płuc, encefalopatię, zaburzenia słuchu i zespół stresu pourazowego. Jedna trzecia cierpiała na uszkodzenia mózgu. Jeden z ekspertów twierdził, że władze publiczne, odpowiedzialne za kontrolę i zatwierdzanie operacji nurkowych, często naginały zasady bezpieczeństwa.

Nils, który czytał jednocześnie z Niną, wyjaśniał jej, o co chodzi.

– Organizowano pracę tak, by nurkowie przebywali jak najdłużej na głębokościach, na których człowiek nigdy jeszcze nie był. I wyciągano ich tak szybko, jak tylko się dało, żeby skrócić czas dekompresji, który koncerny uważały oczywiście za bezproduktywny, chociaż musiały nam za niego słono płacić.

Nina czytała dalej. „Tabele dekompresyjne używane podczas wynurzenia zatwierdzono dopiero w roku 1990; przedtem koncerny naftowe mogły skracać okres dekompresji, obniżając koszty i zwiększając w ten sposób swoją konkurencyjność”.

Według dokumentów w procederze tym brało udział wiele różnych instytucji i instancji; chciano za wszelką cenę przyspieszyć wydobycie ropy. Jeden z lekarzy opowiadał, jak w latach siedemdziesiątych raporty ostrzegające przed niebezpieczeństwami nurkowania głębinowego

lądowny na dnie szuflad. Nils wziął z rąk Niny plik kartek spiętych zszywką. Była to lista ponad sześćdziesięciu nurków, którzy stracili życie na Morzu Północnym. W każdej pozycji podano imię i nazwisko nurka, jego wiek, obywatelstwo i przyczynę zgonu. Utonięcie, gwałtowna dekompresja, wypadek przy dekompresji. Większość z nich zmarła w brytyjskiej części Morza Północnego. Inni po stronie norweskiej. Kolejna lista zawierała nazwiska około dwudziestu nurków norweskich, którzy popełnili samobójstwo. Według dokumentacji była to konsekwencja ich przeżyć zawodowych. Mogło się tu znaleźć nazwisko ojca Niny. Inny lekarz pisał, że byli nurkowie szybciej się starzeją, że mają problemy ze znalezieniem pracy. „Wielu z nich ma objawy zespołu stresu pourazowego z powodu tego, co przeżyli podczas nurkowania. Przeżycia te wywarły wpływ na ich układ nerwowy i płuca”.

Lekarz ten, pracujący w jednym z wielkich szpitali na zachodnim wybrzeżu, napisał list do Dyrektoriatu Naftowego i do koncernów naftowych, domagając się zaprzestania nurkowania głębinowego i zastąpienia go technologią bezzałogową ze względu na to, że nurkowanie jest zbyt niebezpieczne. „Nie wiemy, jak chronić nurków, jak przeprowadzać nurkowanie, by nie narażać ich na utratę zdrowia. Ale Dyktoriat Naftowy niestety nie dał wiary naszym odkryciom”.

Bardzo szybko władze norweskie rozwiąły wątpliwości, korygując standardy ryzyka przy nurkowaniu głębinowym i publikując tabele dekompresji określające, jak szybko należy się wynurzać. Czyniąc to, uznano jednak, że ropa jest ważniejsza od zdrowia nurków. Wykrzykniki na marginesie przeżyły się jak żołnierze gotowi do bitwy. Proste jak sprawiedliwy wyrok. Nabrzmiałe gniewem.

Dawny inspektor bezpieczeństwa jednej z firm nurkowych pisał rzeczy mrozące krew w żyłach. „Na początku lat siedemdziesiątych, wraz z nagłym wzrostem popytu na wydobywanie na wodach przybrzeżnych i z powodu licznych odkryć złóż ropy, które koncerny chciały natychmiast zacząć eksploatować, pojawił się ogromny popyt na nurków, przez co początkowo mała grupa kompetentnych nurków, wywodzących się z marynarki wojennej, bardzo szybko utonęła w powodzi ochotników, którzy ledwie umieli pływać. Poza wojskiem nie istniał właściwy system szkoleń, nie istniały standardy techniczne, sprzęt kompletowano ad hoc, stosownie do bieżących potrzeb. Nie było odpowiednich regulacji prawnych, gdyż chodziło o nowy rodzaj działalności. Na rezultaty nie

trzeba było długo czekać. Na początku lat siedemdziesiątych bez przerwy zdarzały się wypadki. Na całym Morzu Północnym od roku 1974 odnotowywano dziesięć wypadków rocznie. Były to wypadki śmiertelne. Nie mówię tu o wypadkach, z których nurkowie wychodzili żywi”. Nils złożył kartki i oddał je Ninie.

– Bez tych zgonów na Morzu Północnym Norwegia nigdy nie byłaby w stanie rozpocząć inwestycji na Morzu Barentsa. Nie moglibyśmy tu dziś wydobywać ropy ani gazu.

– Nie wiemy, co właściwie zamierzali zrobić Pedersen i Divalgo, zbierając to wszystko. Nie wiemy też, jakie wnioski wyciągnęli z tych materiałów – powiedziała Nina. – Pedersen w każdym razie jest zamieszany w śmierć burmistrza Hammerfest, który kierował Dyrektoriatem Naftowym, a także w śmierć Steela i Birge’a.

Nina wzięła od niego dokumenty.

– Czy to nie oczywiste? Chcieli obnażyć niesprawiedliwość, sięgającą najwyższych szczebli władzy. Fjordsen siedział po uszy w tym procederze lekceważenia zasad i naginania przepisów zgodnie z widzimisię koncernów.

– To rozumiem – powiedziała Nina. – Ale potem? A Steel i Birge?

– To ty jesteś policjantką.

– A to ubezpieczenie? Dlaczego akurat ty?

Nils potrząsnął głową.

– Widocznie czegoś ode mnie oczekują. Tak czy inaczej, mój projekt domu nad miastem okazał się mirażem.

Rozdział 61

Dolina Kvalsund

Klemet od razu spostrzegł, że coś jest nie tak. Przeciął właśnie dolinę Kvalsund, żeby wrócić na szlak wzdłuż rzeki, gdy dostrzegł skuter. Zobaczywszy dziurę w łodzi, zrozumiał, co się stało. Gdy podjechał bliżej, zauważył na ziemi jakiś kształt. Rozpoznał Juvę Sikku, z posiniąłą twarzą, trzęsącego się z zimna w kombinezonie do jazdy na skuterze, obejmującego ramieniem płaszcz ze skóry renifera, na którym leżał. Dygotał, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Skuter należał do niego. Klemet rzucił się do przyczepy, ściągnął z niej koce i przykrył pasterza. Sikku dawał mu znaki, wskazując na skórę renifera. Klemet pochylił się i rozchylił poły grubego płaszcza. Leżała w nim Anneli, skurczona, mokra, zsiniała z zimna. Ściągnął z przyczepy resztę koców. Młoda kobieta była nieprzytomna, ale żyła. Nie trzeba było wyjaśnień, by zrozumieć, co tu się stało. Klemet biegał między nimi, klepał ich, masował, nacierał ciepłymi rękoma ich twarze i ręce. Anneli wciąż się nie poruszała. Sikku był bliski omdlenia, u kresu sił, wstrząsały nim spazmy. Klemet zadzwonił po pogotowie. „Dwie osoby z ciężkim wychłodzeniem, pospieszcie się”, wrzeszczał do telefonu. Dyżurny helikopter właśnie wyleciał na platformę, by zabrać z niej chorego. Klemet poinstruował dyżurnego, żeby zawrócił helikopter wracający ze szwedzkiej części Laponii, po czym rzucił się znów do przyczepy. Napotkał wylęknione spojrzenie cielaka, którego w porę zabrał ze zbocza i przywiązał do pojazdu. Policjant ściągnął resztki łodzi i rzucił je na ziemię. Wziął Anneli na ręce i położył na kocach i poduszkach leżących na przyczepie. Przyciągnął Sikku do siebie. Pasterz poddał mu się, oszołomiony i bezwładny. Klemet ułożył go koło Anneli i owinął w koce. Pomiedzy nimi położył cielaka. Zwierzę bało się poruszyć. Owinął ich sznurem. Sikku patrzył na niego. Był oniemiały z bólu, nie mógł rozluźnić szczęki, nie panował nad drgawkami. Klemet stanął obok. Chwycił resztki łodzi i stał przez chwilę, patrząc na pasterza.

Sikku mrugnął okiem, z twarzą wykrzywioną bólem, bezsilny i pokonany. Policjant bez słowa podniósł łódź i gwałtownym ruchem wrzucił ją pod wodę. Łódź zniknęła w przerębli, pogrążając się w nurtach rzeki.

Helikopter z Jukkasjärvi nadleciał akurat w chwili, gdy Klemet dotarł do punktu spotkania. Zostawił swój pojazd na dużym placu, przygotowanym dla świętej skały. Klemet chciał rozebrać Anneli i Sikku, ale pilot, który był jednocześnie ratownikiem, powiedział, by tego nie robił. Ubrania, nawet mokre, zapobiegały dalszemu wyiębieniu. Pilot pomógł im wypić łyk gorącej herbaty. Anneli otworzyła na chwilę oczy, czując ciepło płynu, po czym znów zapadła w odrętwienie. Chwilę potem pilot wystartował, zabierając oboje rannych i Nilsa Sormiego do szpitala w Hammerfest. Obserwując start, Klemet zobaczył trzech młodych ludzi stłoczonych na tylnym siedzeniu. Nils Sormi otaczał ramionami Sikku i Anneli, ogrzewając ich swoim ciepłem.

Po powrocie do schroniska patrolu P9 i po odejździe swego wuja i jego towarzyszkę Klemet zadzwonił do Ellen Hotti, by streścić jej ostatnie wydarzenia. Poinformowała go, że Gunnar Dahl został wezwany przez sędziego.

– Radziłbym ci zachować dyskrecję.

– Nie sądzisz chyba, że będę to rozpowiadała akurat teraz, gdy połowa jego szefów będzie na pogrzebie.

– Nie to miałem na myśli. Oprócz tego, że Dahl poręczył przy wynajmie furgonetki, co nie jest bynajmniej oczywiste, właściwie nic na niego nie mamy.

– Nie szkodzi, chcemy zadać mu kilka pytań.

Klemet też chciał to wiedzieć. Jeśli Dahl posłużył się Pedersenem i Divalgo, by wyeliminować dwóch konkurentów, to jak ich potem uciszył? Podał im silne leki? Lekarz mówił przecież, że Divalgo był zdrowo naćpany. Dwóch innych zresztą też. Ale czy to tłumaczyło wypadek? Nie sposób tego udowodnić. Klemet nie wiedział zresztą, jakim motywem miałby się kierować Dahl, zlecając zabójstwo Fjordsena czy choćby Depierre'a, francuskiego lekarza.

– Na szczęście masz jeszcze całą noc, by rozwikłać ten mętlik – powiedziała ironicznie pani komisarz i rozłączyła się.

Klemet pogrążył się w lekturze fiszek. Sormi nie kłamał. Tikkanen manipulował wieloma ludźmi, a mimo to Klemet nie widział powodu, dla którego ktoś miałby chcieć zniszczyć agenta nieruchomości.

Nina rozłożyła dokumenty. Pokrywały całą podłogę. Raporty lekarzy i ekspertyzy techniczne zebrane przez dwóch byłych nurków były druzgocące.

Czytając w helikopterze list, który zostawił mu Jacques Divalgo, Nils Sormi uświadomił sobie swój błąd. Francuz, idol jego młodości, którego odepchnął, był fundatorem ubezpieczenia na życie. Divalgo zbyt późno uświadomił sobie konsekwencje swoich czynów. Jako nurek eksperymentalny przyczynił się niegdyś do zatwierdzenia testów, które nigdy nie powinny mieć miejsca. Potem milczał. Z lojalności, z żądy zysku, z wielu innych powodów, nad którymi nie warto było się rozwodzić. W trakcie testów Deepex I straciło zdrowie wielu nurków oraz Anta Laula. Lapończyk nie był nurkiem, zwerbowano go podczas eksperymentów wraz z innym cywilem jako grupę kontrolną. Sprawdzano, jak reagują organizmy ludzi nienawykłych do nurkowania w zestawieniu z organizmami przyzwyczajonymi już do wysokich ciśnień. Laula właśnie stracił wtedy pracę hodowcy reniferów przez wzmożony popyt na nieruchomości, który zaczynał się wówczas w Hammerfest, i przyjął ofertę. Dobrze płacili. Ale nie wiedział, w co się pakuje. Testy go zniszczyły. Nie był na to przygotowany. Nigdy dotąd nie miał do czynienia ze straszliwym ryzykiem, jakie niesie ze sobą dekompresja, z nieludzkim bólem. Test został zatwierdzony, gdyż ogromne projekty nie mogły dłużej czekać.

„Spróbuj nas nie osądzać, Nils. Zrozum też, że nasz gniew przychodzi z daleka, z morskich otchłani i z głębi zdradzonej duszy. Mnie i Pedersena nauczono nie zostawiać nikogo za sobą. A potem nas porzucono”. Dalsza część listu Divalgo utrzymana była w podobnym tonie. Cytował swój dawny kodeks. Nurków zdradzono, ale zdradzono też Lapończyków. „Dzięki Anta Lauli coś zrozumiałem: mamy dług honorowy, święty jak kamień ofiarny. Obserwując przez lata skutki naszych testów, wywłaszczanie hodowców, nie wytrzymałimy. Ciebie, Nils, dotyczy to szczególnie, gdyż wciągnęliśmy Cię w naszą epopeję. Dziś mam o to do siebie pretensje. Mam nadzieję, że zdołasz to naprawić. Dla mnie, dla Pedersena, dla Lauli jest już za późno”.

Czytając to wszystko, Nina przypomniała sobie prawie nieczytelne post-ity znalezione w furgonetce nurków. Wyjęła je z teczki, do której je schowali. Z pomocą Klemeta, kolekcji post-itów i dedukcji z raportów pojęła, że te karteczki to ślady przygotowań. Były na nich notatki

z obserwacji pływającego hotelu, rozkłady, telefony, nawyki Fjordsena, jego spotkania, kontakty do osób, które udostępniły im raporty. Pułapka zastawiana przez ludzi oszalałych z bólu, których pamięć słabła, którzy z pewnością nie byli u szczytu swoich możliwości. Mimo to nigdy nie zбочyli z obranej drogi. Posuwali się naprzód, post-it po post-icie.

O trzeciej nad ranem w chacie zabrzmiał sygnał zapowiadający połączenie przez Skype'a. Nina uświadomiła sobie, że od dobrej godziny nie rozmawiali z Klemetem – każde z nich pogrążone było w swoich poszukiwaniach.

Były nurek amerykański, Gary Turner, z którym skontaktowali się przez Facebooka, przeproszał, że nie zadzwonił wcześniej. W Kalifornii była godzina szósta po południu, a on cały dzień robił coś w garażu. Gdy tylko zrozumiał dokładniej, dlaczego interesuje się nim europejska policja, jego twarz natychmiast się zachmurzyła.

– Nikt wtedy nie reagował? – spytała Nina.

– Słuchajcie, dobrze nam płacili, i wyraźnie dali nam do zrozumienia, że jeśli zaczniemy gadać, natychmiast odeślą nas pierwszym samolotem. Rozumiecie, to było jak na platformie: jak zaczniesz gadać, to hop, w pierwszy helikopter i do domu, i zegnaj, słodkie życie, rolexy, sportowe samochody i dziewczynki na zawołanie. Więc trzymaliśmy gęby na kłódki i zaciskaliśmy zęby, żeby nie znaleźć się na czarnej liście. Gdyby któryś z nas poszedł do lekarza, to tak, jakby zdradził koncern, kapujecie? Bez nurkowania na dużych głębokościach nie byłoby wydobywania ropy z szelfu. Bez nurków nie byłoby ropy – proste, prawda? Gdyby trzeba było czekać na prawdziwe, autoryzowane testy, to łowilibyście jeszcze łososie na wędkę, czekając na wydobywanie waszej ropy. Taka jest prawda. Więc państwo, lekarze, koncerny, wszyscy udawali, że nie ma żadnego ryzyka, i robili swoje.

– Znał pan nurka, który nazywał się Todd Nansen?

– Nansen, mówi pani? Nie jestem pewien.

– Przedtem polował na wieloryby.

– Ach, ten! Nie, nie znałem go, ale Jack mi o nim mówił. O ile pamiętam, nurkowali razem. Równy gość, trochę marzyciel, ale wtedy wszyscy trochę tacy byliśmy.

– A te doświadczenia? Nurkowaliście razem z Jakiem Divalgo i z Anta Laulą, tym Lapończykiem?

– Jack, tak, Jack. Ten cholerny Deepex I... Coś wam powiem. Zacząłem nurkować w marynarce w latach siedemdziesiątych. Navy Seals, komando foki, rozumiecie? Niedaleko miejsca, gdzie teraz mieszkam, w Coronado. Wie pani, the only easy day was yesterday⁸, i inne takie klimaty. Ćwiczyliśmy akcje sabotażowe i tym podobne historie. Ale byłem też świetnie wyszkolony w kwestiach bezpieczeństwa. Tak samo jak Jack; on też nurkował w jednostce bojowej, we Francji, zanim wpadł w to gówna. Ale tam był zupełny bajzel. Spuszczano nas na dół w ciągu dwudziestu czterech godzin, a potem przez siedem dni mieliśmy pracować i poddawać się doświadczeniom. Wtedy nikt dokładnie nie wiedział, jakie są efekty długotrwałego nurkowania na dużych głębokościach. Ale nas to cholernie kręciło, a poza tym dawali nam dużo forsy. Prawdziwy szpan, no nie? Myśleliśmy wszyscy, że jesteśmy pionierami. Musicie wiedzieć, że w tym czasie w Norwegii nurkowano najgłębiej na świecie. Na świecie, rozumie pani?

– Co według pana było nie w porządku z tymi doświadczeniami?

Twarz Gary’ego Turnera na ekranie znów się zachmurzyła.

– A więc słuchajcie. Na przykład w jednej chwili byliśmy na stu dwudziestu metrach, a potem hop, ot tak sobie, wyciągano nas na sto cztery metry. Kretyństwo, prawda? Co to jest szesnaście metrów? Normalnie musieliby nas wyciągać przez dwanaście godzin. Słyszycie? Przez dwanaście godzin. A ci dranie w białych kitlach wyciągali nas przez minutę. Tak, dobrze pani zrozumiała. Każdy, czy to lekarz, czy technik, wiedział, że wywoła to chorobę dekompresyjną. W dzwonie skręcaliśmy się z bólu jak zwierzęta, przysięgam, jeden taki zaczął wrzeszczeć, błagaliśmy, żeby przestali. I wiecie co? Nie przestali.

Nina zobaczyła, jak nurek przełyka ślinę i na chwilę odwraca głowę. Po kilku sekundach znów mówił spokojnie dalej.

– Na chwilę zostawili nas na tej głębokości, po czym opuścili nas na sto dwadzieścia metrów. Czy to wam przypadkiem nie przypomina doktora Mengele? Jesteście Norwegami, prawda? Więc zróbcie mi tę przyjemność i nie zapominajcie, w jaki sposób wasz kraj się wzbogacił. Wtedy świadomie ryzykując życie nurków, a teraz gwałcąc prawa waszych Lapończyków.

Gary Turner nagle przerwał rozmowę, rozłączając się jednym kliknięciem.

Rozdział 62

Środa, 12 maja

Wschód słońca: 0.42. Brak zachodu słońca

Długość dnia: 23 godziny i 18 minut

Schronisko patrolu P9, Skaidi, 5.00

Po bezsennej nocy Klemet poszedł odświeżyć się w strumieniu; stał z obnażonym torsem, nacierając pierś resztkami śniegu, żeby zmyć z siebie zmęczenie tej nocy, która nawet nią nie była. Patrzył na swój cień z mieszanymi uczuciami. Następny zachód słońca przewidziany był na 29 lipca, nieco po północy. Noc potrwa wtedy jakieś dwadzieścia minut. Odtąd jego cień będzie mu towarzyszył od rana do wieczora, od świtu do zmroku, bez chwili wytchnienia. Klemet nie wiedział, co woli. Brak cienia w czasie nocy polarnej niepokoił go. Nie czuł się w pełni sobą. Teraz miał żyć dwa razy dłużej w towarzystwie swojego pełzającego sobowtóra. Mimo że uważał się za osobę racjonalną – był przecież policjantem – ten śledzący go nieustannie cień w końcu zaczynał go denerwować. Skropił swój cień wodą, co przyniosło mu chwilową ulgę, podobnie jak odprężył się, czując na sobie łagodne muśnięcie słońca.

Zaczekał chwilę przed chatą, aż Nina się wyszykuje. Wyglądała strasznie. Jak te wykończone dzieciaki, które mechanicznie, resztkami sił, nie dają się zmęczeniu. Masz ochotę podejść do nich, potrząsnąć i powiedzieć: „Idź spać, przestań się upierać, naprawdę jesteś zmęczony”, a one patrzą na ciebie otwartymi, niewidzącymi oczami, jakby nie rozumiały, co do nich mówisz. I idą dalej jak gdyby nigdy nic, krokiem zepsutego robota.

Cielak złopał coś z miski. Na widok Klemeta odsunął się spłoszony, naciągając sznurek. Był poruszająco słaby i delikatny. Czy przeżyje, teraz, gdy więź z matką została zerwana? Cień zwierzęcia padał na drewnianą ścianę chaty. Nie drżał.

Liczne patrole straży reniferów, zmobilizowane do ochrony pogrzebu, ustawiły się z samego rana na posterunkach zaraz po odprawie u Ellen Hotti, która trwała do 6.30, chociaż msza i złożenie do grobu przewidziane były dopiero na popołudnie. Pani komisarz wołała nie ryzykować. Patrolowi P9 przypadł sektor na wzgórzach nad Hammerfest. Nina robiła wrażenie nieobecnej; nie mogła uwolnić się od uczucia, że coś im umknęło i że odpowiedzi należało być może szukać u jej ojca.

– Twój instynkt? – spytał Klemet.

I od razu pożałował swoich słów.

On także był zmęczony.

Postanowił skupić się na wyznaczonych im zadaniach.

Większość samic miała wkrótce rodzić we wschodniej części wyspy, gdzie było nieco spokojniej. Zazwyczaj to samce podchodziły do miasta, szukając schronienia przed wszechobecnym słońcem.

Idąc za radą Klemeta, Ellen Hotti porozmawiała z sędzią. Oficjalnie Gunnar Dahl miał być przesłuchany jako świadek. Nie znaleziono żadnego związku pomiędzy nim a Pedersenem, tłumaczącego incydent z wypożyczeniem samochodu. Pedersen posłużył się nazwiskiem Dahla, wymieniając go jako poręczyciela bez jego wiedzy. I dla zatarcia śladów.

Klemet rozejrzał się dookoła przez lornetkę. Kilka reniferów wałęsało się w oddali wzdłuż ogrodzenia okalającego miasto. I kto tu był więźniem?

Krótką mszę miano odprawić w kościele, leżącym zupełnie na uboczu, po drugiej stronie miasteczka. Cmentarz znajdował się między kościołem i skrajem klifu, z którego Klemet i Nina obserwowali okolicę. Ludzie przybywali z całego regionu, ale także z Oslo, ze Stavanger, a nawet z zagranicy, gdyż Fjordsen miał wciąż wielu przyjaciół i znajomych z czasów, gdy był członkiem Komitetu Pokojowej Nagrody Nobla i Dyrektoriatu Naftowego. Radio Klemeta zatrzeszczało. Zgłaszał się patrol P3. Był w północnej części chronionego terenu, tam, gdzie Klemet kilka tygodni wcześniej próbował odpędzić renifery. Trzy z nich przeszły przez ogrodzenie. Przełamały zaporę. Niezły początek. Policjanci zaczęli je gonić, one jednak ani myślały się im podporządkować. Głos policjanta wydawał się napięty. Rozkazy przełożonych były wyraźne. Policję wspierali hodowcy. Przez radio rozmawiano o taktyce otaczania zwierząt, słychać było głosy pasterzy, mówiono o tym, które drogi trzeba przede wszystkim zamknąć. Wszyscy byli podekscytowani. O Boże, pomyślał

Klemet, znów to samo. Chwycił za lornetkę. W dali zobaczył postać jednego ze swoich kolegów, który szedł, machając wolno rękami, żeby odpędzić renifera w stronę ogrodzenia. Wzruszające, pomyślał Klemet. I na dodatek śmieszne. Radio znów zatrzeszczało. Tym razem działo się coś w dzielnicy Praerien. Wiele reniferów przeszło przez barierę. Wziął mapę. Była to strefa Jonasa Simby. Jeszcze jeden uparty pasterz. Nie zdziwiłbym się, gdyby tym razem to on otworzył ogrodzenie. Klemet doskonale wiedział, że hodowców wkurzały takie sytuacje. Jak tak dalej pójdzie, pogrzeb zmieni się w rodeo. Miał to gdzieś. Od rana nie odpowiadał nawet na liczne telefony od Evy, swojej koleżanki prawniczki, i od Nilsa-Antego.

Na pewno był zmęczony, ale nie czuł tego. Rzucił okiem na swój cień, który ukazał się teraz w całej okazałości. Spojrzał na zegarek i wywołał kolegę z P5, prosząc go, by rzucił okiem na swój sektor.

Wziął samochód z parkingu przy klubie Black Aurora i z Niną, pogrążoną w myślach, ruszyli do szpitala. Do diabła z ogrodzeniem.

Markko Tikkanen cały poprzedni dzień rozmyślał, jak najlepiej przemówić do rozumu Juvie Sikku. Im więcej o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że Sikku musi coś wiedzieć. Pomyślał, że najdyskretniej będzie poczekać na hodowcę przy ogrodzeniu. Wszyscy będą wtedy zajęci pogrzebem. Wahał się tylko, co ma ze sobą zabrać. Nie żeby Tikkanen potrzebował broni, nie, już sama jego siła fizyczna powinna wyrzucić wrażenie na Sikku. Ale dla zasady. Żeby Sikku nie przyszło do głowy zrobić coś głupiego, w razie gdyby chciał się bronić czy... bo ja wiem co? Tikkanen nie mógł sobie teraz pozwolić na to, żeby ktoś pokrzyżował jego plany. Rozwój Hammerfest wszedł w decydującą fazę. Morze Barentsa i Arktyka stały się nowym eldorado przemysłu węglowodorów. Będzie tu ściągać coraz więcej koncernów. Prace nad sztuczną wyspą pod rafinerię dla złoża Suolo wchodziły w końcową fazę. Hammerfest stanowiło bazę logistyczną dla wszystkich tych przedsięwzięć, a Tikkanenowi całe lata zabrakło przejmowanie kontroli nad najważniejszymi terenami. Lata kontaktów, intryg, uśmiechów, przysług. Tikkanen działał jak dobry profesjonalista. Nie rozumiał ludzi, którzy mu dokuczali i starali się go poniżyć. Nic nie rozumieli. Od strony biznesowej nie miało to żadnego sensu. On, Tikkanen, był biznesmenem. Uśmiech był narzędziem sprzedaży, używał go z takim samym zaangażowaniem jak ryz papieru, na którym drukował ogłoszenia

umieszczane w oknie. Nie moralizuje się na temat ryz papieru. Najlepszym dowodem jego profesjonalizmu był fakt, że nigdy nie uśmiechał się, gdy nie pracował. Uśmiech był jego zawodowym narzędziem. Nie należało go nadużywać. Tego także nauczył się od matki. W zależności od sytuacji przybierała uśmiech sprzedawczyni lub minę egzekutorki długów. Ta ostatnia była bardziej naturalna, nawet jeśli starała się uśmiechać w sposób nieomal doskonały, jak modelki na okładkach żurnali mód, które naśladowała, ucząc tego również swojego syna. Tikkanen wiedział, że jeśli się uśmiechała, to coś było nie w porządku. Zastanawiał się, czy powinien się uśmiechnąć, podchodząc do Juvy Sikku. Stał teraz w bardzo dobrym miejscu, niedaleko ogrodu, ale nie widział wciąż hodowcy, który miał pilnować płotu na skraju miasta, niedaleko budowy Suolo. Jakiś policjant szedł w jego stronę. Fin był pewien, że nie ma o nim fiszki. Tikkanen natychmiast przybrał swój uśmiech i odrzucił patyk. Policjant pozdrowił go. Szwed, ze straży reniferów. Spytał, czy Tikkanen ma tu dyżur, gdyż według mapy Szweda to on powinien tu stać. Hodowca, który miał tu być, nie mógł przyjechać. Był w szpitalu. Tikkanen wybełkotał coś, uśmiechnął się, przeprosił, podziękował, znów się uśmiechnął i pobiegł. Spojrzał na zegarek. Myślał, że uda mu się wykorzystać pogrzeb do załatwienia sprawy. Miał jeszcze trochę czasu. Pomyślał o patyku. Policjant zdziwiłby się, widząc, że po niego wraca. Tikkanen zdecydował, że nie jest mu już potrzebny.

Bez przeszkód dotarł do szpitala. Zmienił zdanie, wziął z bagażnika klucz francuski, jak na filmie, który kiedyś widział, i spytał w recepcji, gdzie jest jego przyjaciel Juva Sikku. Musiał się spieszyć, gdyż hodowca wkrótce miał wyjść. A więc to nic groźnego, co za szczęście. Tikkanen pomyślał, że w tych okolicznościach uśmiech handlowy na nic się nie przyda, więc go sobie darował. Czuł, że serce wali mu jak opętane. Pocił się, nie zdając sobie z tego sprawy. Czuł się jak narkoman na głodzie. Zniknięcie fiszek zaczęło wpływać na jego fizjologię. To już tyle dni. Więcej niż mógł znieść. Kładł właśnie rękę na klamce, gdy poczuł czyjąś dłoń na swoim ramieniu. Zdażył się jeszcze uśmiechnąć, nim się odwrócił. Stał przed nim Klemet Nango w towarzystwie swojej koleżanki, która sprawiała wrażenie zmęczonej. Policjant najwyraźniej nie zamierzał się uśmiechać.

– Koniec zabawy, Tikkanen.

Tikkanen ciągle się uśmiechał, ale wciąż nie rozumiał, o co chodzi. Policjant zaczął go przeszukiwać. Tikkanen poczuł, jak zalewa go fala potu. Obok Nango pojawił się inny policjant. Nango wyciągał mu teraz z kieszeni klucz francuski.

– Dziwne narzędzie jak na agenta nieruchomości składającego wizytę w szpitalu.

– Ale ja...

– Chciałeś pogłębić przyjaźń ze swoim współnikiem? Nie fatyguj się, to ja mam twoje fiszki.

Kolejna fala potu.

– To zwykłe fiszki klientów, naprawdę, nic takiego...

– Masz niestety rację, Tikkanen, to nic takiego. Ale obecny tu mój kolega jednak cię przymknie, ponieważ, widzisz, użytkując kabinę, która wybuchła, złamałeś przepisy BHP oraz zasady bezpieczeństwa i prewencji w komorach ciśnieniowych określone w rozporządzeniu Ministerstwa Zdrowia. Sędzia chciał cię oskarżyć o udział w mimowolnym zabójstwie. Nie odda to sprawiedliwości Erikowi Steggo, ale w końcu i za to zapłacisz.

Anneli wyszła już ze szpitala. Klemet zamierzał odnaleźć młodą kobietę na kei pariasów, gdzie często przychodziła. Nie było jej tam. Zastał za to Nilsa Sormiego. Na tarasie pubu Bures. Nurek był sam.

Zaprosił Klemeta, by usiadł. Nina została w samochodzie, gdyż musiała jeszcze zadzwonić w kilka miejsc.

– Po raz pierwszy siedzę z tej strony. Chłopcy z Riviera Next będą mieli o czym gadać.

– Co tu robisz?

Nils Sormi udał, że nie słyszy pytania.

– Widziałem Anneli. Właśnie poszła odpocząć. Pewnie jeszcze jest w szoku. Wie też, co ją czeka. Jest odważna.

Klemet wskazał brodą Arctic Diving.

– Kiedy wypływasz?

– Nie od razu. Właściwie nie wiem jeszcze, czy tam wrócę.

– Twój partner?

– Nie tylko. Zresztą moja dziewczyna zapalała miłością do swojego nowego bohatera. Tom nie jest teraz w stanie oprzeć się jej zalotom. Hołubi go. Tak naprawdę ona go nie interesuje, ale w tej chwili dobrze mu to robi. Myślę, że ma na oku kogoś innego, ale tak to jest.

Klemet pomyślał o Ninie. Jak by to przyjęła? Teraz z pewnością nie w głowie jej były amory.

– Popatrz, nawet jeśli teraz rzucisz nurkowanie, to pieniędzy ci nie zabraknie.

– Taak, to ubezpieczenie... Jakby Jacques wiedział, że długo już nie pociągnie.

Klemet popatrzył na nurka; nie rozumiał, o co mu chodzi.

– Umowę spisano zaledwie kilka tygodni temi. Jacques czuł, że to się źle skończy.

– Kiedy podpisał tę umowę ubezpieczenia?

– Jest datowana na koniec kwietnia.

Klemet myślał przez chwilę. Wszystko się zgadzało. Nurkowie zebrali dokumenty i ukryli je w kościele w Jukkasjärvi z pomocą Anta Lauli, który znał skrytkę, gdyż sam ją skonstruował. Potem jeden z nurków wysłał do Sormiego tego esemesa, żeby naprowadzić go na trop. Mieli tydzień na rozmieszczenie śladów: bransoletek, które łączyły Laulę ze świętą skałą, i kuropatwy z rysunkami. Mieli czas nagrać kasetę i wysłać ją adwokatowi, który włożył ją do koperty. Warunki umowy zostały określone wcześniej.

I jeszcze ten list, w którym Divalgo pisze, że gdy Sormi będzie go czytać, jego nie będzie już wśród żywych. Sormi zdawał się nie zauważać zamyślenia Klemeta.

– Anneli spodziewa się dziecka.

Klemet otrząsnął się z zamyślenia. Nie wiedział o ciąży pasterki.

– Dzieciak będzie potrzebować pomocy. Ona będzie potrzebować pomocy.

– Nie mów mi, że chcesz zostać hodowcą reniferów.

– Nie, nie ma obawy. Ale widziałem, że młodzi robią próby z paralotniami motorowymi, z których chcą doglądać zwierząt, zamiast robić to z helikopterów. Mógłbym spróbować rozwinąć ten projekt, zainwestować. Podoba mi się to, ci chłopcy są tak samo narwani jak nurkowie.

– Ale mniej zarabiają.

– Możliwe.

– Zmieniłeś się. Wiesz, myślałem kiedyś, żeby opowiedzieć ci historię twojej rodziny, z dawnych czasów, i...

– Przeszłość mnie nie interesuje – uciął Sormi.

– Tak, masz rację, to i tak nieważne. Już nie.

Rozdział 63

Hammerfest

Po trzecim telefonie Klemet nie miał wyjścia. Musiał odebrać od Ellen Hotti. Pani komisarz wychodziła z siebie.

– Jak tak dalej pójdzie, to pogrzeb Fjordsena stanie się także moim, a zapewniam cię, że i twoim.

Krzyczała do telefonu. Klemet niechętnie natychmiast wrócił w okolice kościoła i zaparkował przy cmentarzu. Z łatwością odnalazł Hotti, która gestykulując, przemawiała do zbiegowiska, nie przestając przy tym wydawać poleceń przez telefon i wymyślać Mortenowi Isaacowi, podobnie jak ona wiszącemu na telefonie. Spostrzegłszy Klemeta, pogroziła mu pięścią, nie przestając mówić. Policjant dał jej dyskretny znak ręką i usunął się na bok, by ocenić rozmiar katastrofy. Czterech mężczyzn w czarnych strojach niosło powoli trumnę z ciałem Fjordsena. Przeszli przez bramę cmentarza, a za nimi podążał długi milczący orszak ludzi wychodzących z kościoła. Po tradycyjnych strojach widać było, że niektórzy przyjechali z daleka. W ich oczach malowało się zaskoczenie na widok reniferów, biegających swobodnie między grobami i zatrzymujących się czasem, by skubnąć tu i ówdzie świeżo złożone kwiaty, po czym oddalających się zwinnie w towarzystwie policjantów, którzy biegli za nimi, machając rękami. Renifery przełamały zapórę w kilku miejscach. Klemet pomyślał, że w razie czego nie będzie sam. Rozpoznał wielu hodowców stojących na obrzeżach cmentarza. Dwóch z nich obserwowało scenę, skręcając papierosa. Najwyraźniej nigdzie się nie spieszyli, komentując zdarzenie z szerokim uśmiechem. Podszedł do nich Jonas Simba, sądząc po gestykulacji, zdenerwowany, ale jego gniew zdawał się zwracać przeciwko orszakowi. Przed bramą zatrzymała się furgonetka. Wysiadł z niej człowiek w białym kombinezonie, ze strzelbą, i zaczął przeciskać się przez tłum, kierując się w lewo, ku przerażonym policjantom. Klemet pokręcił głową, widząc, jak z drugiej strony

w kierunku procesji idą trzy renifery, za którymi biegnie dwóch hodowców z lassem. Ludzie, którzy najwyraźniej wcześniej nigdy w życiu nie widzieli tych zwierząt, wpadli w panikę i zaczęli się rozbiegać. Słychać było krzyki, orszak się rozproszył. Jeden z pasterzy chciał rzucić lassem, nim renifery wejdą w procesję, i niechcący złapał w nie człowieka w paradnym stroju, który uwolnił się z niego zaskoczony, podczas gdy zwierzęta, ku zdumieniu zgromadzonych, nacierały dalej. Człowiek w białym kombinezonie ze strzelbą weterynaryjną wycelował w jednego z reniferów. Pociągnął za spust i zwierzę padło, uśpione potężną dawką środka uspokajającego.

Widząc to, Jonas Simba wraz z dwoma innymi hodowcami podbiegli do renifera. Simba zaczął wymyślać weterynarzowi. Ten bronił się, że działa z polecenia policji. Simba próbował odebrać mu strzelbę. Wokół nich niektórzy, powodowani paniką, zaczęli przesuwać się ku bramie. Zapanował chaos. Z drugiej strony cmentarza ku wyjściu biegły dwa renifery, gonione wciąż przez policjantów. W końcu zawróciły, spłoszone. Czterech ludzi niosących trumnę usunęło się na bok, unikając spotkania z przerażonymi zwierzętami. Miotali się w różne strony, omal nie upuszczając trumny. Ellen Hotti była bliska schowania telefonu. Klemet postanowił uspokoić Jonasa Simbę, by pozwolił działać weterynarzowi. Wszyscy coś mówili, krzyczeli, oburzali się. Na końcu głównej alei ostatni renifer zerował na jednym z grobów, odwrócony tyłem do zgromadzenia. Kolejna strzałka usypiająca uśpiła go gwałtownie, podczas gdy pastor biegał pomiędzy ludźmi, próbując przywrócić porządek i uspokoić wzburzonych żałobników.

Droga E6

Nina przybyła na miejsce spotkania na drodze E6, w pewnej odległości od Karasjok i od granicy fińskiej. W Hammerfest pewnie trwała już ceremonia pogrzebowa; kościół przypuszczalnie wypełnił się już ludźmi. Złożenie ciała w ziemi miało nastąpić dopiero wieczorem. Udało jej się przekonać Klemeta, by ją puścił. Nie wiedziała, jak szybko jedzie, walczyła ze zmęczeniem, wjeżdżając w zakręty tak ostro, że nieomal kończyło się to wypadnięciem z drogi. Te ostre dawki adrenaliny na chwilę doprowadzały ją do przytomności. Cień ojca czekał na nią na parkingu, tak jak się umówili.

– Jak on się czuje?

– To wszystko bardzo nim wstrząsnęło. Co do ciebie... sam nie wie. Przez wiele lat żył z myślą, że jesteś dla niego stracona. Że go odrzuciłaś.

– Ale przecież tłumaczyłam, to moja...

– O ile wiem, przyrzekł ci kiedyś, po jednym ze swoich nocnych ataków, że nigdy nie popełni samobójstwa. Dotrzymał słowa. Nie wiem, jak udało mu się wytrwać. Czasem coś pisze.

Nina potarła czoło. Czy mógł przyrzec jej coś podobnego? Próbowала sobie przypomnieć, przeklinając samą siebie. Czegoś takiego się nie zapomina! Kiedyś ojciec wyszedł w środku nocy, a ona na niego czekała. Czy to było wtedy? Czy rzeczywiście mogła nie pamiętać takiej obietnicy?

W dalszą drogę pojechali skuterem. Nina prawie zasnęła na plecach kierowcy. We mgle majaczył pejzaż zupełnie różny od tego, który znała z okolic Kautokeino czy Skaidi. Teren był o wiele bardziej płaski, ale z daleka widziała nieznane góry. Po raz pierwszy była w tej odludnej części Laponii. Jechali nad jeszcze zamarznąłą rzeką. Twarz smagało jej mroźne powietrze, zmysły budziły się na widok otaczającego pustkowia. Tam, gdzie stopniał śnieg, widać było tylko kamienie. Z wyjątkiem porostów nigdzie nie było ani śladu życia. I jej ojciec, który zaszył się na tym końcu świata, mając za jedynego kompana tego małowównego człowieka. Nina myślała o tym, co powiedział jej na parkingu. O jego atakach, o obietnicy. A teraz to jego milczenie, jego szorstkość, dystans, z jakim się do niej odnosił.

Jechali wciąż wzdłuż zamarznętego koryta wody, przejeżdżając między dwoma wzgórzami. Przez ramię swojego kierowcy Nina spostrzegła chatę nad brzegiem jeziora. Nad nią rozciągała się połać bezkresnej tundry. Z tej strony śnieg zdawał się przerzedzać, odsłaniając jeszcze bardziej surowy krajobraz. To był koniec świata.

Chata była drewniana, pomalowana na jasnoszary kolor, z akcentami białej farby wokół okien. Dach o jednym łagodnym spadzie pokrywała czarna warstwa izolacyjna. Drzwi chaty wychodziły na małe jezioro, którego brzeg znajdował się jakieś dwadzieścia metrów od ganku. W małej trójkątnej konstrukcji, położonej na uboczu, mieściły się zapewne toalety. O ścianę oparta była zapadnięta, połamana ławka. Ojciec czekał na nich. Wstrzymał się do ostatniej chwili ze zwróceniem na nich wzroku. Jego przygarbiona sylwetka wyprostowała się; wstał. Grube spodnie, obszerna kurtka z wytartymi kieszeniami. Z jednej z nich wystawał duży zeszyt. Nina zastanawiała się, czy przygotowywał się na

spotkanie tak jak ostatnio, dostosowując swój sen do godziny spotkania, by być jak najbardziej przytomnym. „Chyba wyglądam równie okropnie jak on”.

– Zostawiam was. Idę niedaleko łowić ryby. Gdybym był potrzebny, wystarczy zadzwonić. Dzwonek jest przy wejściu.

Nina podziękowała skinieniem głowy i patrzyła, jak odchodzi. Odczekała chwilę przed rozmową z ojcem. Wciąż nic nie mówił.

– Dziękuję za dokumenty, które mi pożyczyłeś. Bardzo nam pomogły w śledztwie. Choć myślę, że pozostaje wiele niejasności.

Powinna opowiedzieć teraz o byłych nurkach, ale bała się, że zareaguje tak, jak poprzednim razem. Spytała, jak mu się żyje, od kiedy tu mieszka. Stał, wpatrzony w jeden punkt, i mówił to, co chciała usłyszeć. Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami. Był zmęczony. Wzdragał się, gdy Nina odważała się zadać mu jakieś bardziej osobiste pytanie. Denerwował się, gdy mówiła o tym, jak odszedł dwanaście lat temu. Każde trudniejsze pytanie wyprowadzało go z równowagi.

Chciała obejrzeć jego kryjówkę. Wprowadził ją do środka. Zdumiał ją widok ściany na wprost. Była pokryta post-itami, podobnie jak furgonetka Divalgo i Pedersena. Zauważył jej spojrzenie i popukał się palcem w głowę. Ten błędny wzrok.

– Wszystko ucieka. Te przeklęte testy. To was zabija, chłopaki. Ale to wredne, nie widać, wszystko jest tu.

Znów uderzył się w głowę. Był bliski płaczu. Wystarczyło słowo, i już się rozsypywał. Zszarpane nerwy. Lada chwila mógł wybuchnąć, jak wtedy. Sięgał do rezerw, mobilizując resztki energii, które mu zostały, ale one szybko się wyczerpywały. Nina rozejrzała się wokół. Polowe łóżko, śpiwór. Stół i krzesło. Przy piecu dwa taborety. Walizka, przy kuchence kredens. Post-ity. Nie mogła oderwać oczu od tej mozaiki, służącej za protezę pamięci. Obok polowego łóżka, w pudełku po butach, zobaczyła opakowania lekarstw. Ojciec siedział przy stole, patrzył gdzieś za okno. Przyjrzała się pudełkom. Rozpoznała nazwy. Fluoksetyna, rysperydon, zolpidem. Te same leki, które brali Pedersen i Divalgo. Post-ity, lekarstwa. Zewnętrzne oznaki wyniszczenia. Ojciec bez słowa wskazał na walizkę. Wyraźnie nie miał już sił. Otworzyła ją. Tuż pod wiekiem zobaczyła koperty. Jakby je dla niej przygotował. Dał jej znak brodą.

– Tam jest to, o co nie masz odwagi spytać – powiedział zmęczonym, nieobecny głosem.

Ojciec wyszedł z chaty. Listy pochodziły z ostatnich tygodni. Ani śladu nadawcy. On musiał wiedzieć. Były czytane wiele razy. Otworzyła najstarszy list, z początku kwietnia. Zaczęła czytać. Potem następny. Wszystkie adresowane były do jakiegoś Middaya. Autor listów opisywał rejteradę straceńców. Dopiero po chwili Nina zrozumiała, że korespondencja, którą miała w ręku, to listy Jacques'a Divalgo do jej ojca. Było ich około dziesięciu. Divalgo zmagał się z Pedersenem, który stawał się coraz bardziej nieobliczalny. Trzecim mężczyzną, o którym wspomniano w listach, był niewątpliwie Anta Laula. Długi szereg coraz bardziej rozpaczliwych zdań opisywał człowieka, w którym narasta gniew, Daga Pedersena vel Knuta Hansena, nad którym autor listów, Francuz Divalgo, coraz mniej panował. Pedersen, owładnięty przez swoje demony. I Divalgo, trzymający się resztkami sił, przytłoczony szaleństwem, które próbował powstrzymać. Niech on wreszcie przestanie. „Kiedy będziesz to czytać, nie będzie mnie już wśród żywych”. Divalgo zaplanował ich wypadek, żeby z tym skończyć. Pociągając za sobą Anta Laulę. Czy były hodowca zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, kiedy brał udział w tych wszystkich przygotowaniach, kiedy podrzucał bransoletki i kuropatkę, kiedy szykował skrytkę w Jukkasjärvi? Czy rzeczywiście wiedział, jak się to wszystko skończy? Czy Divalgo zdołał przekonać go do popełnienia tego... tego czynu? Nina uświadomiła sobie, że nie waży się wypowiedzieć tego słowa. Samobójstwo. Słowa, które wypowiedział wtedy jej ojciec, i o którym zapomniała.

Zadzwoił jej telefon. Wyszła, zostawiając ojca siedzącego na ławce. Nie odwrócił nawet głowy. Zgnębiony, zgarbiony. Na ekranie telefonu nad numerem, z którego dzwoniono, wyświetliła się twarz Klemeta.

– Wszystko w porządku?

– Nie.

– Mówiłem ci, że powinienem z tobą jechać.

– Jak tam u ciebie?

– Cyrk. Renifery chodzą po mieście, ogrodzenie otwarte, hodowcy pomstują i krzyczą, że to prowokacja, Ellen się na mnie krzywi, weterynarz usypia renifery jednego po drugim, i do tego jeszcze w tym wszystkim trumna Fjordsena. Możesz sobie wyobrazić.

Nina uśmiechnęła się. Dobrze jej to zrobiło. Uświadomiła sobie, jak bardzo była spięta od czasu, gdy znalazła się w tym księżycowym krajobrazie.

– Słuchaj, dzwonił do mnie lekarz sądowy. Pedersen i Laula zginęli od przedawkowania leków przed utonięciem.

– To potwierdza coś, co wyczytałam w listach, które Divalgo pisał przez ostatnie tygodnie do mojego ojca, prosząc go o pomoc. Ten człowiek zabrał ich ze sobą na śmierć.

– Coś w tym rodzaju.

Przez kilka sekund milczeli.

– Chcesz, żebym przyjechał?

– Dziękuję, ale muszę być sama.

Jej palec ześlizgnął się powoli po ekranie, wymazując obraz Klemeta. Popatrzyła na swojego ojca. Patrzył na krajobraz. Obojętny. Lekkie drżenie szczęki zdradzało napięcie. Złożyła listy w jego rękach. Zagryzł wargi. Wyglądało na to, że zaraz wybuchnie. Że się załamie. Słońce wisiało teraz najniżej nad horyzontem. Ale gwiazdy już nie wschodziły. A jej ojciec?

Nina usiadła przy nim. Wskazała na zeszyt wystający mu z kieszeni.

– Mogę?

– To dla ciebie.

Otworzyła zeszyt wypełniony pismem ojca. Zaczęła czytać. Zapis kłęski. Siedział nieruchomo, z ręką zaciśniętą na listach od Divalgo.

Po dłuższej chwili zamknęła zeszyt. Ojciec wciąż się nie ruszał.

Wzięła go za rękę. Spiał się. Spojrzała na niego smutno, wsunęła mu miękko palce we włosy i oparła się o jego ramię. Ojciec odwrócił wzrok, ale nie zabrał ręki. Siedzieli tak jakiś czas. Była nieomal zaskoczona jego głosem, rozbrzmiewającym w ciszy po długim milczeniu.

– Midday. Midday i Midnight.

Czekała.

– Tak nas nazywali. Jedność przeciwieństw. Byliśmy jednym.

– Jacques Divalgo był twoim partnerem, prawda?

Jego twarz była ściśnięta bólem. Uniósł pięść, pokazując pomięte listy, te wołania o pomoc, na które nie potrafił odpowiedzieć. I mówił przez całą noc, po raz pierwszy opowiadając o swoich głębiach, o swoich zdradach, wypowiadając słowa spowite w cieniu, mówiące o obietnicach i pieszczotach, o bólu i lęku.

1 Saami – rdzenna, właściwa nazwa Lapończyków (przyp. tłum.).

2 Gumpi – szałas służący za schronienie hodowcom reniferów (przyp. tłum.).

3 Snus – skandynawska używka sporządzana z tytoniu przeznaczonego do ssania za dolną lub górną wargą (przyp. tłum.).

4 Stureplan – dzielnica w centrum Sztokholmu, znana z licznych restauracji i barów (przyp. tłum.).

5 Laestadianizm – konserwatywny, rygorystyczny i pietystyczny nurt luteranizmu, wywodzący się od szwedzkiego pastora pochodzenia lapońskiego, Larsa Leviego Laestadiusa, obecny na Półwyspie Skandynawskim, popularny zwłaszcza wśród Lapończyków (przyp. tłum.).

6 NRK – norweska publiczna stacja radiowa i telewizyjna (przyp. tłum.).

7 Kåre Kivijärvi – znany fotograf norweski, autor wielu zdjęć reporterskich i artystycznych, m.in. dokumentujących dziedzictwo kulturowe Finlandii i północnej Norwegii (przyp. tłum.).

8 „Jedyny łatwy dzień był wczoraj” – dewiza Navy Seals, sił specjalnych amerykańskiej marynarki wojennej (przyp. tłum.).

Spis treści

Strona tytułowa	
Strona redakcyjna	
Dedykacja	
Mapa	
Rozdział 1	
Rozdział 2	
Rozdział 3	
Rozdział 4	
Rozdział 5	
Rozdział 6	
Rozdział 7	
Rozdział 8	
Rozdział 9	
Rozdział 10	
Rozdział 11	
Rozdział 12	
Rozdział 13	
Rozdział 14	
Rozdział 15	
Rozdział 16	
Rozdział 17	
Rozdział 18	
Rozdział 19	
Rozdział 20	
Rozdział 21	

Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Przypisy